



KOLEJNA
POWIEŚĆ
AUTORA
BESTSELLEROWEGO
SEDINUM

KRZYŻ PAŃSKI



LESZEK
HERMAN



Krzysztof Butler
ok. 1650r - 1717r

Mikołaj Manuzzi
ok. 1730r - 1809r

Jakob Strutyńska
1736r - ok. 1778r

Antonia
kuzynki II stopnia
Józefina Broel-Plater
1787r - 1817r

Antoni
1740r - 1820r
kuzyni III stopnia
Franciszek Radecki-Mikulicz
ok. 1774r - ok. 1817r

Andreas von Mikulicz-Radecki
ok. 1804r - ok. 1881r

Johann von Mikulicz-Radecki
ok. 1850r - 1905r



Stanisław Radecki-Mikulicz
ok. 1800r - ok. 1895r

Eduard Radecki-Mikulicz
ok. 1838r - 1902r

Marian Radecki-Mikulicz
1888r - 1940r
Elżbieta Potocka
1874r - 1960r

Stanisław Radecki-Mikulicz
ok. 1879r - 1946r

Jadwiga Radecka-Mikulicz
Ciocia Jadwiga
ok. 1879r - 1946r
Phillippe de Memente

Jan Mikulicz
1944r
Maria Różyńska
Babcia Maria z 'Litwy'
1914r - 2011r

LESZEK
HERMAN

**KRZYŻ
PAŃSKI**



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Lingventa (Barbara Milanowska, Magdalena Zabrocka)*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© Jan Jakub Nanista/Unsplash

Na okładce wykorzystano także zdjęcie Marii Różyńskiej oraz grafikę przedstawiającą herb rodu Mikuliczów.

Materiały te pochodzą z archiwum rodziny Radeckich-Mikuliczów.

Mapa i drzewo genealogiczne wykorzystane na wewnętrznej stronie okładki zostały narysowane przez Marcina Hermana.

© by Leszek Herman

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2021

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora.

Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

ISBN 978-83-287-1850-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2021

Mojej Babci Marii z Różyńskich Radeckiej-Mikuliczowej

*Szkielet pałacu oczyma martwymi patrzy na zachód różany,
a wichur północny uderza o ściany,
po parku liśćmi suchymi szeleści
i szepce dawne przedziwne powieści...*

Henryk Skirmunt, *Ballada o Belmoncie*

Polska stanowi największy krzyż pański europejskiej dyplomacji.

Arthur James Balfour, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii
na posiedzeniu gabinetu 22 marca 1917 roku w sprawie przyszłych
granic Polski

Spis treści

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Epilog

Od autora

Prolog

LONDYN
Wczesną wiosną

Przez uchylone okno do wnętrza niewielkiego biurowego pokoju dochodził monotonny, nieprzerwany szum miasta. Kakofonia dźwięków, z której przy odrobinie skupienia można było wyłować warkot silników samochodowych, urywane sygnały karetek pogotowia i policyjnych radiowozów, niecierpliwe klaksony, a także łoskot szyn kolejki podmiejskiej przetaczającej się mostem Kew Railway Bridge nad Tamizą. A tłem dla tego chóru było miarowe, przygnębiające dudnienie deszczu o szyby. Wczesna wiosna w Londynie zdecydowanie mogła wpędzić człowieka w ciężką depresję.

George Mathew O'Malley, starszy inspektor TNA^[1] – Archiwum Narodowego Wielkiej Brytanii, konkretnie Wydziału Akt Gospodarczych, zajmującego się dokumentami administracyjnymi i ekonomicznymi – odliczał właśnie już nie lata, ale miesiące do emerytury. Do niedawna miał jeszcze cichą nadzieję, że uda mu się bez jakichś większych zawirowań spędzić w spokoju ostatni rok pracy, a ta od lat zapowiadana robota, którą za każdym razem odkładano z powodu przesuwania funduszy na ważniejsze cele, spadnie jednak na barki jego następcy. Niestety kilka tygodni po Nowym Roku szefostwo wydziału w końcu się zdecydowało. Zlecono wykonanie inwentaryzacji dokumentów z pierwszych lat powojennych, a w nich właśnie panował największy bałagan i najwięcej akt było niezdigitalizowanych. Akta te, w przeciwieństwie do tajnych dokumentów służb specjalnych, protokołów komisji rządowych czy różnego rodzaju śledztw z tego okresu, nie wzbudzały większego zainteresowania i właściwie nikomu nie były potrzebne, może poza kilkoma naukowcami z dziedzin zbliżonych do statystyki lub historii, którzy raz na jakiś czas w nich szperali. Natomiast rozmaici dziennikarze tropiący sensacje z czasów Winstona Churchilla czy Chamberlaina lub komisje obcych rządów, które domagały się

odtajnienia dokumentów z czasów drugiej wojny, omijały wydział O'Malleya szerokim łukiem.

Kilka wielkich sal wypełniono równo poustawianymi stalowymi regałami. Zgromadzono na nich pozółkłe teczki i pudła. Te wypełnione były starymi papierzyskami, wśród których znajdowały się rozmaite rachunki administracji rządowej, spisy inwentarzowe wyposażenia placówek dyplomatycznych i ministerstw, stare faktury i rachunki za przeróżne zakupy i usługi, od ciasteczek na posiedzenia parlamentarne po renowacje gmachów rządowych. Regały ciągnęły się długimi na kilkadziesiąt metrów szpalerami, pomiędzy którymi, jak nory kretów, przebijały się korytarze poprzeczne. Światłówki nad przejściami zapalały się niemrawo, mrugając, jakby niechętnie budziły się z letargu.

Szefostwo przy okazji inwentaryzacji zleciło także digitalizację wszystkich tych zapomnianych zbiorów, przez co praca posuwała się w żółwym tempie. Każdy dokument trzeba było obejrzeć, sprawdzić, czy nie został omyłkowo zakwalifikowany do tej części archiwum, zweryfikować klauzule tajności, które dla niektórych z tych akt wciąż jeszcze obowiązywały, a następnie wykonać elektroniczną kopię, umieścić ją we właściwym miejscu, a dane wprowadzić do katalogów.

O'Malley przeżył już dwie takie wielkie inwentaryzacje zbiorów. Jedną, na samym początku swojej kariery, gdy część akt przenoszono ze starego budynku na Chancery Lane w City do nowych magazynów w Kew, i największą rewolucję, gdy ministerstwo po stu pięćdziesięciu latach wiernej służby postanowiło oddać ogromny neogotycki gmach, wyglądający jak szkoła w Hogwart, londyńskiemu uniwersytetowi Kings College London. Archiwum, które wówczas jeszcze nazywano Biurem Akt Publicznych, przeprowadziło się wtedy do nowo wybudowanego, gargantuicznego gmachu w dzielnicy Richmond w Kew, nieopodal Królewskich Ogrodów Botanicznych.

Ta obecna inwentaryzacyjka części akt nijak się oczywiście miała do tamtej rewolucji, ale i tak przysparzała wielu kłopotów, a pracujący przy niej od dwóch miesięcy archiwiści co rusz natykali się na jakieś rafy.

O'Malley, który właśnie odebrał telefon od jednego z młodych inspektorów, westchnął ciężko, oderwał się od monitora, skrupulatnie

pozamykał wszystkie otwarte dokumenty, które akurat miał na ekranie, i ruszył w kierunku magazynów, gdzie pojawił się właśnie jakiś nowy problem. Tym razem w części zbiorów oznaczonych kryptonimem IIWW 45–47.

Na czym polegał ów problem, O'Malley domyślił się od razu, jak tylko stanął w progu magazynu.

Na podłodze pomiędzy regałami stały dwa ogromne kufry.

Drewniane, poczerniałe ze starości i zamknięte potężnymi sztabami z kutego żelaza. Na pokrywach obu grubymi taśmami klejącymi przymocowane były teczki z widocznymi pożółkłymi kartkami.

– Co to jest? – O'Malley spojrzał po kolei na dwóch stojących nad kuframi młodych archiwistów.

– Opisane jako własność Billa Bentincka. – Jeden z młodzieńców poprawił okulary. – Ktokolwiek to jest – dodał i wzruszył ramionami.

O'Malley ukucnął przy pierwszym kufrze i sięgnął po kartę inwentarzową.

Kufer, jak wynikało z zapisów, został zarchiwizowany przez Biuro Akt Publicznych zaraz po wojnie. Pierwszy wpis pochodził z września 1947. Skrzynię przyjęto do archiwum z nadaniem najniższej klauzuli tajności i nie określono terminu ujawnienia zawartości. Kolejna pieczęć pochodziła z sierpnia 2003. *Status bez zmian* – tak brzmiał wpis z tego okresu.

O'Malley zmarszczył krzaczaste brwi, podniósł się i podszedł do jednego z czterech komputerów stojących rzędem na długim stole pod ścianą. Wstukał numery katalogowe obu kufrów i po chwili wpatrywał się w foldery, na których widniały tylko zdjęcia obu skrzyń i opis, wnoszący niewiele więcej niż ten z kart inwentarzowych.

– W dwa tysiące trzecim była przeprowadzka z Chancery Lane – mruknął pod nosem, drapiąc się w brodę. – Pewnie wtedy przystawili tę drugą pieczęć i nikt się tym nawet nie zainteresował.

– Czy to możliwe, szefie, że tego nikt nie otwierał od końca wojny? – Młody archiwista w okularach pochylił się nad kufrem i szarpnął za jedną z zardzewiałych klódek.

O'Malley odwrócił się i obrzucił go zamyślonym spojrzeniem.

Chłopak nazywał się Hughes, Dillon Hughes, i chyba liczył, że dostanie

rekomendację na stanowisko O'Malleya.

– Wiesz, kto to był Bill Bentinck, Hughes?

Chłopak pokręcił głową.

– Z nikim mi się to nie kojarzy, szefie.

– A powinno, powinno. Bill Bentinck, czyli Victor Cavendish-Bentinck, dziewiąty książę Portland. Kuzyn królowej Elżbiety Drugiej.

– To co to tutaj robi? – Hughes spojrzął z zainteresowaniem na oba kufry.

– Przecież na pewno żyją jacyś jego potomkowie. Dlaczego tego nie zabrali?

– I to jest dobre pytanie – zgodził się O'Malley i pokiwał głową.

Odwrócił się do komputera i wpisał nazwisko kuzyna królowej w wyszukiwarce.

– Przed wojną pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, później w departamencie Ligi Narodów, jeszcze później w ambasadzie brytyjskiej w Paryżu – mruzczał głośnie, przesuwając wzrokiem po ekranie. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku został szefem Połączonego Komitetu Wywiadu, a potem głównym doradcą wydziału łącznikowego...

Dillon, który stał za jego plecami i także wpatrywał się w monitor, cicho gwizdnął.

– No to chyba mamy powód, dla którego te skrzynie są objęte klauzulą tajności.

– Hm. – O'Malley przewinął notatkę biograficzną Bentincka o parę centymetrów. – Kilka wpadek dyplomatycznych i skandali zrujnowało jego karierę – przeczytał. – W sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego dostał nominację na ambasadora Wielkiej Brytanii w Brazylii, ale skandal z rozwodem spowodował, że nie tylko nie objął tego stanowiska, ale musiał w trybie natychmiastowym opuścić Ministerstwo Spraw Zagranicznych bez prawa do emerytury.

O'Malley spojrzął z lekką irytacją w kierunku dwóch ogromnych skrzyń. Za stojącą głębiej pomiędzy regałami ciągnął się po posadzce długi kilwater kurzu i niknął w nieoświetlonej części magazynu.

– Skąd w ogóle je tutaj przywlekliście? – zwrócił się do swoich podwładnych.

– Stały w samym kącie, za ostatnim regałem. – Hughes wskazał brodą ciemne przejście pomiędzy szafami. – Były przywalone fakturami Oddziału Spraw Konsularnych.

Po chwili cała trójka stała przed regałem, na którym obok kodu IIWW 45–47 widniał dopisek – POLAND.

– Polska? – O’Malley uniósł brwi ze zdziwieniem.

– No jasne... – mruknął za jego plecami Hughes wpatrujący się w ekran smartfona. – Bentinck od czterdziestego piątego do lipca czterdziestego siódmego pełnił funkcję ambasadora Wielkiej Brytanii w Polsce.

– Czyli to jest przywiezione z Polski? – odezwał się drugi z młodych archiwistów, gdy ponownie pochylił się nad kuframi. – Może to jakieś mienie zdobyczne tego Bentincka?

– To dlaczego Bentinck tego nie zabrał? – O’Malley podrapał się w brodę. – Wrócił z Polski do Londynu w niesławie po jakimś skandalu. Przywiózł ze sobą ten majdan. Dlaczego go sobie nie zabrał?

Hughes szarpnął za wielką kłódkę jednego z kufrów.

– Może odpowiedź jest w środku?

Przez chwilę cała trójka wpatrywała się w milczeniu w skrzynie.

– Przecież i tak będziemy musieli je otworzyć, skoro mamy wszystko zdigitalizować – odezwał się młody archiwista.

– A jeśli to jakieś prywatne ciemne sprawy? – mruknął Hughes niepewnie. – Z tego skandalu rozwodowego?

– Pierwsze, co by zrobił, to zabrałby to stąd.

– Dobra! – O’Malley klepnął się w udo i wyprostował. – I tak musimy to zgłosić Cardwellowi. Niech on decyduje, czy mamy otwierać, czy nie.

Charles Cardwell, zaledwie dwudziestoosmioletni dyrektor Wydziału Akt Gospodarczych i Spraw Ogólnych TNA, wpatrywał się w O’Malleya z wyrazem twarzy, w którym irytacja walczyła o pierwszeństwo z kompletnym brakiem zainteresowania.

– Kufry? Z Polski? O czym ty, O’Malley, mówisz?

– Zasoby z lat czterdzieści pięć–czterdzieści siedem, sir – powtórzył

O'Malley cierpliwie. – Opisane jako dokumenty Victora Cavendisha-Bentincka.

– Z Polski? Bentinck, Bentinck... – Cardwell szukał czegoś w pamięci. – A to nie ten, który nazwał Polskę prawdziwym krzyżem pańskim Europy?

– Nie, sir. – O'Malley pomyślał, że praktycznie jedną nogą jest już na emeryturze, więc nie musi specjalnie nadszkakiwać temu młokosowi, który dostał etat dzięki nazwisku i koneksjom tatusia pracującego w Foreign Office[2] i najwyraźniej właśnie chciał przed nim zabłysnąć. – Nie ten minister i nie ta wojna.

– Co ty powiesz, O'Malley...

– Balfour, sir. Arthur James Balfour, minister spraw zagranicznych w rządzie Lloyda George'a. On to powiedział na posiedzeniu rządu w tysiąc dziewięćset siedemnastym i chodziło o przyszłe granice Polski po pierwszej wojnie światowej.

– Skoro już to ustaliliśmy – dyrektor uśmiechnął się półgębkiem – zdradź mi może, czego właściwie po mnie oczekujesz? W kwestii tych cholernych kufrów oczywiście, a nie granic Polski.

– Nie wiemy, czy możemy je otwierać. Nikt ich nie ruszał od końca wojny. Mogą stanowić prywatne mienie kuzyna królowej, było nie było...

– Oczywiście, że otwierać, do diabła! Ministerstwo zleciło inwentaryzację, to robimy inwentaryzację. Proste.

Przecinak do stali przywleczony przez Hughesa z działu technicznego i magazynów sprzętu poradził sobie z wszystkimi czterema kłódkami bez specjalnych trudności. O'Malley otworzył drewniane wieko pierwszej skrzyni, a Hughes, nie mogąc się już doczekać, kiedy zajrzy do środka, otworzył drugą.

We wnętrzu obu skrzyń tkwiły równo poukładane jedno przy drugim jakieś stare księgi i papierzyska. Część z nich oprawiona była w skórę, a ich zawartości strzegły grube, poczerniałe ze starości okucia. Na wierzchu leżało kilka wyraźnie nowszych teczek i skoroszytów wypełnionych plikami rozmaitych pism i dokumentów.

O'Malley sięgnął po pierwszy z brzegu skoroszyt i otworzył go.

– No i co to jest? – nie wytrzymał Hughes, zaglądając staremu inspektorowi przez ramię.

– Nie mam pojęcia. – O'Malley pokręcił głową. – To po polsku.

Hughes sięgnął po kolejny dokument i ostrożnie go przekartkował.

– Wszystko po polsku, ale są tu też jakieś adresy.

– Nie pracuje u nas żaden Polak? – O'Malley podniósł wzrok znad zakurzonej kolekcji starych dokumentów.

– Pracuje. – Hughes się ożywił. – Rzeczywiście. W czytelni naukowej pracuje taka ładna Polka. – Spojrzał na kolegę. – Ty chyba znasz ją lepiej, James. Jak ona ma na imię?

– Natalia – potwierdził James z ożywieniem. – Ale co z klauzulą tajności? – zapytał niepewnie.

O'Malley się zasepił.

Teoretycznie było wykluczone, aby ktoś postronny przeglądał akta, które zostały utajnione. Ale właściwie skąd wiadomo, że to w ogóle są jakieś akta? To raczej wyglądało na korespondencję, no chyba że te stare dokumenty...

– Chrzanić to! – westchnął. – Jeśli się nie dowiemy, co to jest, to nie ruszymy z robotą. Leć po tę dziewczynę! – zwrócił się do młodego archiwisty. – Wytłumaczy się jej tylko, że nikomu ma o tym nie mówić.

James zniknął za drzwiami.

Hughes wyjął z jednego z kufrów wielką starą księgę i otworzył na chybił trafił.

– Niech pan zobaczy, szefie – powiedział, trzymając delikatnie w dłoniach wolumin, i spojrzał na O'Malleya. – Tu jest data. Tysiąc sześćset siedemnaście. To może być bardzo cenne. A jeśli to rzeczywiście jakieś zdobyczne artefakty tego Bentincka?

O'Malley przypomniał sobie, że Bentinck zaraz po tym jak go dyplomatycznie wykopano z dyplomacji, zajął się biznesem. I to też oczywiście na wielką skalę. Był chyba jednym z założycieli grupy Bildenberg, o której do dzisiaj wciąż krążą dziesiątki spiskowych teorii. Grupa wpływowych osób ze świata polityki i biznesu spotyka się na dorocznych konferencjach, które z założenia mają wzmacniać mechanizmy

wolnego rynku i ułatwiać współpracę pomiędzy Europą a Ameryką Północną. Najbardziej rozpowszechniona teoria spiskowa głosi oczywiście, że to nowa masoneria, która dąży do zaprowadzenia nowego porządku świata.

O'Malley tym razem podejrzliwie spojrział na zawartość dwóch wielkich skrzyń.

Ten Bentinck stanowczo nie był kryształową postacią. Cholera wie, co tak naprawdę mogło się wiązać z tymi kuframi.

Na korytarzu rozległy się przytłumione głosy, a po chwili w drzwiach pojawił się James i uśmiechając się głupkowato, przepuścił przodem rzeczywiście bardzo ładną młodą blondynkę.

Dwa dni później O'Malley wiedział już na tyle dużo, że zdecydował się ponownie nawiedzić swojego bezpośredniego przełożonego. Tajemnica okazała się mniej demoniczna, niż wcześniej podejrzewali, ale pojawiły się za to zupełnie nowe problemy. Teoretycznie można było przystawić kolejną pieczęć na tych pożółkłych kartach inwentarzowych i upchnąć kufrы za regałami na następne kilkadziesiąt lat, ale O'Malley stwierdził jednak, że z przyjemnością nawarzy piwa temu młodemu japiszonowi Cardwellowi. Coś mu świtało, że wprawdzie słowa „japiszon” nie używa się już chyba od połowy lat dziewięćdziesiątych, ale do tego cwaniaka pasowało ono jak ulał.

Cardwell z nieukrywaną niechęcią oderwał się od swojego monitora i wbił wzrok w O'Malleya.

– Co takiego?! Znowu coś z tą cholerną Polską?

– Wygląda na to, sir, że weszliśmy, to znaczy Ministerstwo Spraw Zagranicznych weszło w posiadanie cudzej własności na drodze przywłaszczenia.

Cardwell przez chwilę bez słowa wpatrywał się w starego inspektora.

– Jeszcze raz... – powiedział ze zniecierpliwieniem. – Do kogo należą w końcu te cholerne skrzynie i jak się tutaj znalazły?

O'Malley na wszelki wypadek postanowił ukryć przed dyrektorem udział młodej Polki z czytelnicy naukowej w ich badaniach.

– Cała zawartość tych skrzyń, sir, to najwyraźniej archiwum rodzinne.

Bardzo stare, niektóre woluminy pochodzą z siedemnastego wieku i mogą mieć dużą wartość. Ale jest też korespondencja współczesna, to znaczy przedwojenna i z czasów wojny, dokumenty, papiery wartościowe, akta własności, z których wynika, że wszystko to należało do pewnej polskiej hrabiny.

– I jak to, do diabła, trafiło do archiwum dokumentów Ministerstwa Spraw Zagranicznych?!

– Rzecz w tym, sir, udało mi się to sprawdzić, że nasza ambasada zaraz po wojnie mieściła się w pałacu owej hrabiny. – O'Malley sięgnął po notatki, z którymi przyszedł. – W Warszawie przy Alejach Ujazdowskich – przeczytał.

– No i co? – Cardwell zaczynał tracić cierpliwość.

– Prawdopodobnie część dobytku owej damy została w tym pałacu, a ludzie Bentincka, bo on swoich waliz raczej sam nie dźwigał, zabrali wszystko jak leci i przywieźli do Londynu.

– Czyli to zwykłe nieporozumienie?

– Na to wygląda, sir. Chociaż nadal nie wiemy, dlaczego nikt z tym nic nie zrobił na miejscu.

– Jak miał zrobić? Jak mogliśmy oddać średniowieczne archiwalia jakiejś polskiej hrabinie? Tam wtedy był komunizm. Pewnie by ją od razu rozstrzelali.

– Najprawdopodobniej, sir – przytaknął zgodnie O'Malley.

Cardwell pokręcił głową, jakby odganiał od siebie wyjątkowo namolną muchę.

– Proponuję oddać te szpargały do POSK[3] na King Street i będzie spokój.

– Niestety, sir. Te kufry objęte są klauzulą tajności.

Cardwell, na którego twarzy, zaraz po tym jak wpadł na pomysł z polską biblioteką, na moment zagościła ulga, spojrzał na O'Malleya z jeszcze większą irytacją.

– A ustawa o wolności informacji? Z dwutysięcznego roku?

– To są prywatne dokumenty. W dodatku żyją pewnie jacyś potomkowie

tej hrabiny. Mógłby wybuchnąć skandal. Gdybyśmy jeszcze zostawili te kufry za szafą... – O'Malley ciężko westchnął. – Ale polecił pan je otworzyć...

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Cardwell ze złością, O'Malley z wypisanym na twarzy niewinnym oczekiwaniem na decyzję przełożonego.

– To jaki masz pomysł, O'Malley? – odezwał się w końcu dyrektor, który stwierdził w duchu, że jeśli nie zaczną współpracować, to nie pozbędzie się tego starego zgreba.

– Proponuję zdigitalizować zawartość kufków, ale jednocześnie wszcząć procedurę poszukiwania spadkobierców polskiej hrabiny.

– My się tym mamy zająć? Zwariowałeś, O'Malley?!

– Tak, sir. Na mocy ustawy o aktach publicznych z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku. Wyjaśnienie takich spraw pozwala nam pozbyć się dokumentów przechowywanych niepotrzebnie w archiwum, w dodatku z zupełnie absurdalnymi zabezpieczeniami tajności.

– To po co je digitalizować?

– Po pierwsze, ułatwi to poszukiwania, w końcu jakieś dokumenty trzeba będzie pokazać prawnikom. Po drugie, jeśli poszukiwania spełzną na niczym, to na mocy ustawy o wolności informacji, którą był pan łaskaw przywołać, będziemy mogli je upublicznić bądź wtedy przekazać do POSK.

– Dobra! – Cardwell machnął ręką z rezygnacją. – Zajmij się tym, O'Malley.

– Niestety, sir. To pan musi przedsięwziąć pewne kroki. Ja nie mam takich uprawnień...

Mina Cardwella wyraźnie wskazywała, że jest gotów na wszystko, byle tylko pozbyć się starego inspektora.

– Najpierw trzeba wystąpić z wnioskiem do ministerstwa o wykreślenie tych kufków ze spisu dokumentów utajnionych – kontynuował O'Malley. –

A później nawiązać kontakt z kancelarią prawną z Warszawy, z którą współpracujemy od dwa tysiące szóstego roku.

WARSZAWA

Dwa miesiące później

Pierwsza połowa maja przywitała Warszawę bezchmurnym niebem i temperaturami sięgającymi dwudziestu pięciu stopni. Taka pogoda utrzymywała się zresztą już od końca kwietnia, a temperatura w porywach osiągała nawet dwadzieścia osiem stopni. W ogrodach, na skwerach, w parkach jak szalone kwitły bzy, japońskie wiśnie i złotokapy, wylewając się zza ogrodzeń, zwieszając nad głowami przechodniów i kipiąc wśród młodych liści innych roślin ostrożniejszych w okazywaniu entuzjazmu, które z kwitnieniem wołały poczekać do czerwca.

Patryk Nałęcz wyszedł spod półkolistej szklarni stacji metra Świętokrzyska, wyjął z kieszeni telefon i rozejrzał się wokół siebie. Najbliższa hulajnoga stała rzekomo dopiero przy skrzyżowaniu Marszałkowskiej z Królewską, poprawił więc plecak i ruszył szerokim chodnikiem w kierunku gęstej zieleni Ogrodu Saskiego.

Kancelaria Nałęcz & Łaniewski i Partnerzy miała swoją siedzibę w owalno-czworobocznym budynku przy Wroniej, w sąsiedztwie permanentnych robót budowlanych. W tym miejscu stopniowo wyburzano kamienice starego Mirowa i kwartałów, w których niegdyś stały zabudowania browaru spółki Haberbusch i Schiele. Poza widokiem z okna, z którego na pierwszym planie widać było zrujnowaną kamienicę przy Wroniej, miejsce było doskonałe.

Dla Patryka także z powodu łatwego dojazdu. Mieszkał na Mokotowie, tuż przy stacji Wierzbno, miał więc raptem pięć przystanków i piętnaście minut drogi metrem. Do pokonania pozostawał tylko odcinek Mirowa, w którym niebotyczne wieżowce wyrastały spomiędzy ruin dawnego tak zwanego małego getta, fragmentu strefy, którą w czterdziestym drugim Niemcy włączyli do „aryjskiej” Warszawy po wywiezieniu prawie wszystkich mieszkańców.

Nazwisko Nałęcz w nazwie kancelarii należało do ojca Patryka, który trzy lata temu wycofał się z prowadzenia spraw, pozostawiając sobie jedynie obowiązki wynikające z zasiadania w zarządzie spółki. Jego dwudziestoośmioletni syn, także prawnik, musiał codziennie udowadniać, że zasługuje na robotę, którą dostał dzięki ojcu.

Hulajnoga stała sobie pod słupem ogłoszeniowym niedaleko kiosku Ruchu. Patryk wyjął komórkę, wstukał kod i po chwili mknął Królewską w kierunku skrzyżowania z Jana Pawła II.

Piętnaście minut później, uwzględniając jeszcze kupienie kawy na wynos na parterze biurowca, wszedł do kancelarii.

Mariolka z recepcji przywitała go promiennym uśmiechem – coś mu się zdawało, że się jej podobał – i skinęła na niego porozumiewawczo.

– Łaniewski jest już od piętnastu minut. Pytał o ciebie.

Patryk spojrział na zegar nad ladą recepcji. Za pięć siódma. Był przed czasem, jak zwykle zresztą. Skinął głową Marioli i wszedł do głównej sali. Zdjął kurtkę, rzucił ją razem z plecakiem na krzesło przy swoim biurku i ruszył do gabinetu szefa wydzielonego od reszty pomieszczenia szklaną ścianą.

– Dobrze, że jesteś. – Hubert Łaniewski, wysoki szpakowaty brunet w grafitowym nieskazitelnym garniturze, stał właśnie przy niskiej szafce i czekał, aż czarny błyszczący jak lakier nowego mercedesa i prawie tak samo drogi ekspres upora się z jego kawą.

Spojrzał na Patryka i wskazał mu fotel przed swoim biurkiem.

– Ojciec raczej z tobą na ten temat nie rozmawiał – zaczął, gdy postawił już kubek z kawą na swoim biurku i usiadł. – Przynajmniej tak sądzę. Od wielu lat współpracujemy z TNA...

– Z czym? – zdecydował się zapytać Patryk.

– Z Archiwum Narodowym Wielkiej Brytanii. Twój ojciec, jak wiesz, specjalizował się w sprawach rozmaitych odszkodowań, w tym za mienie zabużańskie. Zajmował się gruntami warszawskimi, reprivatyzacją i takimi tam rzeczami. Notabene, nadal się tym zajmujemy, jak też pewnie wiesz, ale to kurczący się rynek. – Łaniewski machnął ręką. – Ale wracając do twojego taty, szukał kiedyś pewnych materiałów i musiał nawiązać kontakt z TNA. Skutek był taki, że wynajmowali nas później do poszukiwania spadkobierców lub rodzin, których bliscy zmarli na emigracji, nie pozostawiając żadnych danych, lub do pośredniczenia w rozmowach pomiędzy naszymi władzami. No i właśnie dostaliśmy od nich nowe zlecenie.

Łaniewski sięgnął na blat i przesunął w kierunku Patryka czarne pudełko.

– Poszukują spadkobierców pewnej kobiety, która pozostawiła po sobie prawdopodobnie cenne archiwum rodzinne. Starodruki, manuskrypty, tego typu rzeczy. – Łaniewski się skrzywił. – Nie chcą powiedzieć, jak trafiły do ich akt, ale są zainteresowani zwrotem tego badziewia legalnym spadkobiercom. Naszym zadaniem jest ustalenie dziedziczenia, praw spadkowych i tak dalej...

– A to jest? – Patryk wskazał brodą czarne pudełko.

– Dysk zewnętrzny. Przysłali skany wszystkich tych znalezionych dokumentów. Jest tego bardzo dużo. Najważniejsze są wprawdzie ostatnie papiery, listy, akta, ale przejrzeć trzeba wszystko. Robota niespecjalnie ambitna, ale to ważny klient i dobre pieniądze. Zajmiesz się tym.

Dwa dni później Patryk miał za sobą mniej więcej połowę najstarszych dokumentów. Większość stanowiły akta typu gospodarskiego, stare, ręcznie spisane umowy kupna bądź sprzedaży gruntów, nieruchomości czy inwentarza, „inwentaryzacje i remanenty majątku”, „raporta zarządców i ekonomów”, spisy strat wynikłych z powodu wojen, pożarów czy rokoszy i zajazdów lub buntów poddanych. Ale najciekawsze dla Patryka były oczywiście sprawy sądowe, których w owym archiwum było co niemiara. Spory o podburzanie chłopstwa do nieposłuszeństwa dworom, niekończące się pozwy do sądów ziemskich i grodzkich o krzywdy graniczne, kradzieże zbiorów i niszczenie lasów przy jednoczesnym całkowitym wyroków tych sądów lekceważeniu. Wiek XVIII w tych dokumentach jawił się jako widmo tego wszystkiego, co w 1772 roku posłużyło Rosji, Austrii i Prusom jako pretekst do pierwszego rozbioru – „całkowity rozkład państwa i duch frakcyjny utrzymujący w Polsce anarchię”.

Patryk kliknął w skan z grubej teki, w której ostatni glejt pochodził z lat dziewięćdziesiątych XVIII wieku, i westchnął. Musiał przyznać jednak, że Anglicy się spisali. Wszystkie dokumenty zostały dokładnie strona po stronie zeskanowane i ułożone chronologicznie. Dołączyli nawet spis treści wszystkich ksiąg i papierów, co niezwykle ułatwiło mu teraz pracę.

Wiek XIX zaczął się od dokumentów, z których wyłoniła się jakaś dramatyczna batalia hrabiny Idalii z Sobańskich Broel-Platerowej

o uwolnienie męża Ignacego z więzienia w twierdzy w Dyneburgu. Osadzono go tam za udział w powstaniu listopadowym. Batalia została zakończona sukcesem i decyzją podpisaną przez samego gubernatora grodzieńskiego i zaprzysięgłego wroga Polaków Michaiła Murawjowa. Ta sama hrabina trzydzieści lat później zdołała uwolnić swojego syna z zesłania na Syberię i zdjąć sekwestr nałożony na jego majątek, tym razem za udział w powstaniu styczniowym.

Kończąc czytać carski ukaz, Patryk pomyślał, że raczej nie chciałby wejść w drogę tej całej Idalii Platerowej.

Dalej były liczne dokumenty, które dowodziły jakichś poważnych prac budowlanych. Zestawienia ilościowe drewna do wyrębu, umowy z mistrzami ciesielskimi, dekarzami, zdunami, snycierzami. Uwagę Patryka przykuła ożywiona korespondencja ówczesnego zarządcy dóbr, który zarzucał grabarzowi złe wykonanie rowów, przez co woda zalewała błędnik jaśnie pani hrabiny.

Patryk, w którego wyobraźni natychmiast pojawiła się nieboszczka, ze znieruchomiłym wzrokiem wbitym w niebo, zalewana przez wodę gruntową podnoszącą się w źle wykonanym rodzowym grobowcu, dopiero po chwili, za pomocą Google, uświadomił sobie, że grabarzem dawniej nazywano kopacza stawów, a błędnik to był ogrodowy labirynt w dworskich parkach.

I tak po kilku dniach lektury, nieustannie wspierając się słownikiem zwrotów staropolskich i Wikipedią, dobrnął w końcu do dokumentów z okresu międzywojnia.

Pierwsza teczka, którą otworzył, to były starannie posortowane akty własności licznych majątków ziemiańskich na Kresach Wschodnich, folwarków, młynów i jakichś fabryk pod Wilnem. Dalej były dokumenty notarialne poświadczające dziedziczenie kolejnych kresowych włości oraz dla odmiany nieruchomości w Warszawie.

Patryk otworzył jeden z dokumentów w tym katalogu, ręcznie wypisany akt warszawskiego notariusza, i szybko przemknął wzrokiem po długim elaboracie, w którym stwierdzano, że Eliza z Niezabytowskich Wielopolska, córka Stefana i Celiny z Bispingów, zamężna za Zygmuntem Andrzejem Wielopolskim, bezdzietna, na mocy testamentu sporządzonego dnia tego i tego, przekazuje w spadku swojej siostrzenicy, córce Rodryga Ludwika

Potockiego i Marii z Niezabytowskich Elżbiecie...

Patryk zatrzymał się i podniósł wzrok.

No oczywiście! To dlatego te kufry znalazły się w Londynie.

Pałacyk Wielopolskich w Alejach Ujazdowskich, a właściwie przy alei Róż 1. Zaraz po wojnie mieściła się tam przecież siedziba ambasadora Wielkiej Brytanii. Ostatnia właścicielka, czyli siostrzenica Elizy Wielopolskiej, musiała te kufry tam ukryć, a Anglicy pewnie je zabrali, gdy ówczesny ambasador wracał do Londynu. Coś tam było z nim nie tak...

Patryk zanotował sobie, żeby sprawdzić, kto był ambasadorem w czterdziestym piątym roku, i dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Lektura zabytkowych archiwaliów, wszystkie te rokosze i dziewiętnastowieczne sprawy sądowe trwające po kilkadziesiąt lat wciągnęły go na tyle, że zapomniał o swoim głównym zadaniu – a więc znalezieniu spadkobierców właścicielki wiekowych kufrów, czyli hrabiny Elżbiety – zajrzał do dokumentu – Radeckiej-Mikulicz, ostatniej właścicielki Willi Róż.

Zamknął skan i otworzył następny.

Przez chwilę wpatrywał się w dokument, zanim dotarło do niego, że ma właśnie przed sobą testament hrabiny Elżbiety Radeckiej-Mikulicz z domu Potockiej spisany w czerwcu 1944 roku.

I nagle pomyślał o czymś, co spowodowało, że zrobiło mu się gorąco. Przecież spadkobiercy mogą wystąpić o zwrot Willi Róż! Albo przynajmniej o odszkodowanie. Procent dla kancelarii byłby ogromny.

Kolejny dzień, a był to piątek, okazał się dla Patryka niezwykle wręcz pracowity. Najpierw spędził blisko dwie godziny na szperaniu w internecie i szukaniu czegoś na temat spadkobierców wymienionych przez Elżbietę w testamencie. O dziwo, poszło dość łatwo. Następną godzinę poświęcił zatem na konferowanie z inspektorkami urzędów stanu cywilnego bez mała z połowy Polski, zanim wpadł na trop tego, którego akurat szukał. Kolejnym krokiem zatem było napisanie wniosków o udostępnienie aktów zgonu. Z aktami urodzenia i małżeństwa już tak łatwo nie poszło. Wyglądało na to, że będzie się musiał zwrócić do odpowiednich urzędów na Litwie i Białorusi, co trochę go przerażało. Głównie ze względu na terminy wchodzące

w rachubę w takiej sytuacji. Postanowił na razie to sobie odpuścić i zobaczyć, co wyniknie z tych działań, które tymczasem przedsięwziął.

Na koniec napisał wniosek do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa o udostępnienie do wglądu archiwalnej księgi wieczystej o numerze 1714A, załączając do niego szczegółowe i dyplomatyczne wyjaśnienie tak zwanego interesu prawnego, wynikającego z postępowania o ustalenie spadkobierców ostatniej właścicielki nieruchomości. Patryk skończył pracę dopiero przed osiemnastą. Do archiwalno-historycznych poszukiwań doszły jeszcze bieżące sprawy: dwa procesy, do których zbierał materiały dla szefa, i kilka pisemek. O dwudziestą był umówiony z przyjaciółmi na piwo. Stwierdził, że nie opłaca mu się już wracać do domu, zwłaszcza że lodówkę miał całkiem pustą. Zamówił więc pizzę i w oczekiwaniu na dostawcę zanurkował ponownie do internetu.

Hasło Radecki-Mikulicz uruchamiało przede wszystkim dziesiątki stron na temat Johanna Mikulicza-Radeckiego, urodzonego w Czerniowcach na Bukowinie w dawnym zaborze austriackim, znanego chirurga, wynalazcy nowych narzędzi i technik chirurgicznych, profesora uczelni w Krakowie, Królewcu, we Wrocławiu i w Wiedniu.

Wrocławski profesor, ze względu na zbyt dalekie pokrewieństwo, nie mógł mieć jednak nic wspólnego z warszawską hrabiną i jej kuframi, Patryk zawęził zatem poszukiwania do konkretnych imion wymienionych w testamencie.

Mężem Elżbiety był Marian Radecki-Mikulicz, podporucznik, ale przede wszystkim ziemianin i agronom, wykształcony w prestiżowej Akademii Rolniczej w Dublanach na Wołyniu. Pojawiał się głównie na stronach rozmaitych historycznych archiwów wojskowych i list katyńskich. W jednym z linków na stronie Warsaw Institute – polskiego think tanku zajmującego się geopolityką – Patryk ze zdziwieniem natknął się na informację, że Marian był członkiem wojskowego konwoju, który we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku przez Rumunię, Francję i Anglię eskortował do Kanady najcenniejsze skarby narodowe, w tym zawartość skarbca wawelskiego. W tym samym artykule wspomniana była także jego małżonka Elżbieta i jej ogromna kolekcja dzieł sztuki, która przepadła w całości w powstaniu warszawskim.

Patryk się zamyślił. Testament Elżbiety był zastanawiający. Obok męża, zapisów wynikających z jakichś skomplikowanych praw dożywotnio-majoratowych, które dotyczyły niektórych jej majątków i folwarków, wymieniony był także brat Mariana, Stanisław, przedwojenny dyrektor Zachęty. A szwagier Elżbiety był jednym z organizatorów, jak Patryk szybko zdołał ustalić, szalonej akcji ratowania i wywożenia z Warszawy we wrześniu 1939 *Bitwy pod Grunwaldem*. Obrazu, za który Niemcy wyznaczyli nagrodę dwóch milionów marek.

Czy ta dziwna zbieżność losów obu braci mogła mieć jakieś znaczenie?

Pod artykułem w Warsaw Institute były przypisy z numerami akt dotyczących inwentaryzacji zbiorów Elżbiety Radeckiej-Mikulicz. Patryk, zanim zatopił zęby w pizzy, która dotarła już do kancelarii, wysłał jeszcze jedno pismo z prośbą o udostępnienie akt. Tym razem do Archiwum Państwowego w Milanówku.

Na wszystkie zamówione dokumenty musiał czekać prawie tydzień. Jako ostatnie dostał skany właśnie z Milanówka. Dokumentacja okazała się kwestionariuszem w sprawie szkód wojennych, który w czterdziestym piątym roku Elżbieta Radecka-Mikulicz złożyła do władz Warszawy. Spis obejmował łącznie dwadzieścia stron. Szczegółowo opisano całe wyposażenie Willi Róż, które hrabina, po eksmitowaniu przez Niemców, zdołała ukryć. Wywiozła, co tylko mogła, do mieszkań i domów rodziny oraz przyjaciół. Cały ten ogromny majątek spłonął wraz z Warszawą w 1944 roku. Poszły także z dymem inne nieruchomości warszawskie hrabiny, między innymi Willa Węgierka w Wilanowie.

Ocalała natomiast Willa Róż...

A rok później wprowadził się tam ambasador Wielkiej Brytanii Victor Cavendish-Bentinck, który zanim został ambasadorem, był szefem brytyjskiego wywiadu.

Patryk wpatrywał się w zdjęcie angielskiego arystokraty. Zastanawiał się, co też kryło się za tymi dziwnymi przypadkami, które sprawiły, że kufry, niewymienione w dodatku przez hrabinę w kwestionariuszu (czemu właściwie?), wyjechały do Londynu.

Patryk oderwał wzrok od ekranu laptopa i spojrzął w okno.

Miał wrażenie, że za tymi odnalezionymi w Londynie kuframi kryje się jakaś tajemnica. Za wiele było tutaj dziwnych powiązań i przypadków. No i ten dziwacznie skonstruowany testament.

Testament!

Westchnął i pochylił się z powrotem nad ekranem laptopa, na którym pod całym plikiem pootwieranych linków kryły się oficjalne wnioski i wystąpienia. Zwyczajna robota.

Dał się wciągnąć w klasyczną spiskową teorię dziejów. Pewnie zupełnie niepotrzebnie nadaje tym wydarzeniom jakieś dodatkowe znaczenia, a wszystko to są zwyczajne pogmatwane losy ludzi miotanych wojenną zawieruchą.

A przecież jemu przede wszystkim chodziło o ustalenie spadkobierców dwóch starych skrzyń z Londynu. Przesunął ręką po pliku wydruków i spojrzał na naszkicowane odręcznie drzewo genealogiczne rodziny. Jak na razie nie był w stanie ustalić pełnego spisu bezpośrednich spadkobierców Elżbiety.

Elżbieta i Marian byli bezpotomni. Elżbieta zmarła w Warszawie w 1960 i spoczęła na Powązkach. Marian został zamordowany w Starobielsku. O potomkach Stanisława niczego nie znalazł. Jedynie lakoniczną informację, że były dyrektor Zachęty zmarł w Zakopanem i tam został pochowany.

Dzięki odrobinie szczęścia i pewnym wspólnym znajomym, jak się okazało, zdołał jednak ustalić nazwisko i miejsce zamieszkania osoby, która bez żadnych wątpliwości należała w prostej linii do spadkobierców hrabiny Radeckiej-Mikulicz.

LONDYN

W tym samym czasie

Przez uchylone okno do wnętrza niewielkiego pokoju biurowego wciąż wpadał monotony, nieprzerwany szum miasta. I miarowe, jednostajne dudnienie deszczu. I jeszcze odgłos żaluzji, którą wiatr uderzał rytmicznie o ramę.

O'Malley oderwał wzrok od monitora i westchnął z rezygnacją. Dźwignął

się ze swojego miejsca, podszedł do okna i zatrzęsął je ze złością. Późna wiosna w Londynie wcale nie była lepsza niż wczesna.

O'Malley pomyślał, że jeszcze miesiąc i w końcu zabierze Rose na Maderę na wymarzony wyjazd, który otworzy ich sezon emerytalnych podróży po świecie, no, powiedzmy po Europie. Pierwsze taktory motywu z *Różowej pantery* oderwały go od przyjemnych rojeń na temat wygodnego leżaka na złotej plaży. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął komórkę. Spojrzał na wyświetlacz i przemknęło mu przez myśl, że pojedzie na tę cholerną Maderę pod warunkiem, że w ogóle uda im się skończyć upiorną inwentaryzację akt gospodarczych.

– Szefie, znalazłem coś dziwnego. – Słysząc było, jak Hughes przerzuca jakieś kartki. – Chodzi znowu o zbiór akt IIWW 45–47.

Kilka minut później O'Malley stał nad młodym inspektorem i patrzył na stojące przed nim na stole wielkie drewniane pudło, w którym pomiędzy przegródkami poupychane były niewielkie fiszki.

– Co to niby jest? – spytał, obawiając się znowu komplikacji, które zmuszą go do odwiedzenia nory Cardwella.

– Katalog Ministerstwa Spraw Zagranicznych, konkretnie spraw gospodarczych IIWW 45–47. – Hughes podniósł wzrok. – Znalazłem to w magazynie z dawnymi archiwami. Takimi katalogami manualnymi. Na kartkach – dodał gwoli wyjaśnienia.

– Niestety, wiem aż za dobrze, jak wyglądają takie katalogi, młody człowieku – mruknął O'Malley. – Co jest z nim nie tak?

– To pochodzi jeszcze z czasów Biura Akt Publicznych, zanim powstało TNA. – Hughes wyjął z pudła jedną z fiszek i położył na stole. – Chodzi o te kufry, szefie.

– O Chryste! – jęknął O'Malley.

– Pamięta pan, szefie? – ciągnął niezrażony Hughes. – Te dwa kufry wciągnięto do katalogu elektronicznego, ale tylko jako pozycje z jednym zdjęciem, bez żadnych szczegółów na temat zawartości. Rzecz w tym, że ktoś zapomniał o usunięciu tego... – Młody inspektor wskazał brodą drewniane pudło. – I niech pan zobaczy, co jest pod pozycją siedemset czterdzieści pięć.

O'Malley przez chwilę wpatrywał się w leżącą na stole karteczkę.

– Nie ma żadnej adnotacji o usunięciu zbioru albo nie wiem... o zniszczeniu go? – spytał.

Hughes pokręcił głową.

O'Malley zmarszczył krzaczaste brwi i wziął do ręki fiszkę, przyjrzał się jej i odwrócił na drugą stronę.

– A niech mnie!

Rozdział 1

LUND

Początek czerwca

Parkur od strony zadaszanej trybuny był jednolicie zieloną płaszczyzną doskonale utrzymanego trawnika. Lśnił w słońcu wręcz szmaragdowo, podkreślony przez biel ogrodzeń oraz białe elementy konstrukcyjne przeszkód. Dopiero z bliska można było zauważyć wydeptane łachy ziemi przed stacjonatami, kopertami i zbudowanymi ze styropianowych cegieł murami. W tle zielenił się sosnowy las poprzetykany ciemnym złotem wysokich pni.

Karen poprawiała toczek, wypchnęła lekko konia biodrami i popuściła wodze. Kasztan ruszył kłusem wzdłuż ogrodzenia, by po chwili wejść w spokojny galop.

Naprowadziła konia na pierwszą łatwą przeszkodę.

Koń z gracją przeskoczył, a Karen zrobiła niewielkie kółko, omijając kilka stojących po drodze stacjonat i kopert i skierowała kasztana na szereg – ustawione jeden za drugim pięć stojaków, każdy w odległości dwóch fuli galopu. Ściągnęła wodze przed pierwszą przeszkodą i pochyliła się nad grzbietem konia. Kasztan przeskoczył, a Karen ściągnęła wodze ponownie i po chwili przepłynęli oboje nad czterema kolejnymi.

Dziewczyna puściła konia luźniej i pozwoliła mu pobiec spokojnym galopem wokół parkuru.

Został jej do przećwiczenia tylko corner, najtrudniejsza z przeszkód, ale chciała najpierw odstresować konia. Corner miał w rzucie kształt trójkąta, ale najazd należało robić od strony wierzchołka, a następnie pokonać przeszkodę pod kątem w możliwie najwęższym miejscu. Konie często się stresowały niejednoznacznością tej konstrukcji i prawidłowe jej pokonanie zależało od precyzyjnego kontrolowania konia przez jeźdźca.

Po drugim okrążeniu Karen poklepała kasztana po szyi, zrobiła parę kółek kłusem i ruszyła w kierunku wyjazdu z padoku.

Pięciobój zaczęła trenować jeszcze w liceum. Nie miała żadnych ambicji brania udziału w zawodach, czym oczywiście doprowadzała do rozpaczy trenerów, którzy uważali, że ma talent. Podobała jej się po prostu wszechstronność dyscypliny. To, że bez zapisywania się do dziesięciu różnych grup czy klubów można pływać, biegać i strzelać.

Treningi kontynuowała na studiach. Gdy dwa lata temu wybrała uniwersytet w Lund, wcześniej sprawdziła, czy jest tutaj jakiś odpowiedni dla niej akademicki klub sportowy.

Lund było cudowne. Piękne miasteczko, wysoki poziom wykładow, bardzo otwarty system kształcenia, nastawiony na dyskusje i wymianę poglądów. To wszystko, o czym czytała w folderach, okazało się najszczerzą prawdą. W dodatku tuż obok była Kopenhaga. Wystarczyło przejechać mostem nad Sundem.

Jedynie, co jej nie wyszło, to wybór kierunku.

Zarządzanie turystyką i hotelarstwem, które wydawało się jej rozsądną opcją, zapewniającą ciekawe perspektywy, po dwóch latach studiów, gdy został jej już tylko rok do zakończenia pierwszego etapu i licencjatu, okazało się niewypałem.

Nie widziała siebie jako menadżerki hotelu ani właścicielki jakiegoś pensjonatu lub agroturystyki.

Prawdę mówiąc, taka przyszłość napełniała ją przerażeniem.

Już rok temu, gdy po pierwszych dwóch semestrach wróciła na wakacje do rodziców do Kristianstad, zaczęły nią targać rozmaite wątpliwości. W tym roku tydzień temu zaliczyła ostatnie egzaminy i właśnie zaczęły się jej kolejne wakacje. Zupełnie nie miała ochoty wracać tutaj w sierpniu.

To znaczy wracać do Lund jak najbardziej, ale nie na turystykę.

Zastanawiała się, jak powiedzieć rodzicom, że najchętniej zmieniałaby kierunek studiów. Część zaliczeń da się uratować, zdobyte punkty ECTS[4] pewnie też się przydadzą.

Tylko co dalej?

Najgorsze, że o ile była pewna, że nie chce pracować w hotelu, o tyle tak

naprawdę sama nie wiedziała, czego chce od życia. Mimo zamiłowania do sportu jako zawodniczki czy jeszcze gorzej – nauczycielki WF-u – nie widziała siebie jeszcze bardziej. Wszystko to napełniało ją frustracją.

Stała przed lustrem i szarpała szczotką swoje długie jasne włosy. Klub akademicki miał bardzo zadbane, czyste szatnie, dwadzieścia minut pod prysznicem było zatem samą przyjemnością.

Pół godziny później wyjeżdżała z parkingu przed zabudowaniami stajni. Początkowo w planach miała jeszcze spotkanie z koleżankami, ale po treningu straciła na nie ochotę.

Mieszkała przy ulicy Sankt Laurentiigatan w samym centrum Lund niedaleko uczelni.

Na początku ostatniego semestru wprowadził się do niej Lasse.

Lasse – bardzo poważny powód pozostania w Lund. A pomyśleć, że zaczęło się od żartów, że nazywa się jak łobuziak z *Dzieci z Bullerbyn*. Szare oczy, bardzo jasne włosy, nawet wyglądał jak Lasse. Tylko tatuaży na łydce i brzuchu bohater książki Astrid Lindgren raczej nie miał. Chociaż właściwie... może zrobił je sobie potem. W zasadzie nie wiadomo przecież, co się dalej działo z dziećmi z wioski w Smalandii. Może prawdziwy Lasse został marynarzem albo bandziorem, co wcale nie znaczy oczywiście, że tatuaże mają wyłącznie bandyci.

Pozwalając myślom swobodnie dryfować, zjechała z północnej obwodnicy miasta i skierowała się do centrum.

Dochodziła dwunasta. Miała wrócić po południu koło siedemnastej, więc pewnie Lasse pójdzie gdzieś coś zjeść z kolegami z uczelni. A może zadzwoni do niego, zrobi mu niespodziankę i powie, że sama coś przygotuje w domu?

Pomyślała, że zanim wyskoczy z taką deklaracją, powinna jednak najpierw zinwentaryzować lodówkę, bo Lasse zawsze opróżniał całą do ostatniego okruszka.

Zaparkowała przy fasadzie jednej z całego ciągu ceglanych kamieniczek i ruszyła do głównego wejścia.

Gdy otworzyła drzwi, usłyszała jakieś odgłosy dochodzące z głębi mieszkania. Lokal składał się z kuchni, całkiem sporego pokoju dziennego

i wydzielonej z niego za pomocą przesuwnej ściany sypialni. W pierwszej chwili pomyślała, że Lasse wrócił wcześniej, uprzedził ją i sam właśnie coś przygotowuje na obiad. Albo, co było bardziej prawdopodobne, gra na konsoli w jedną ze swoich głupawych gier.

Zajrzała do kuchni. Na stole pod oknem stał kubek z niedopitą herbatą, a na talerzyku leżały jakieś kruche ciastka.

To łasuch, pomyślała Karen. Nic dziwnego, że co wieczór przez godzinę biega. Pewnie jego główną motywacją jest możliwość bezkarnego obżerania się ciastkami.

Rzuciła torbę z ciuchami ze stajni na sofę i podeszła do drzwi sypialni.

Rozsunęła je i zamarła.

Najpierw zobaczyła odchyloną do tyłu głowę Lassego. Potem jego klatkę piersiową i fragment tatuażu na brzuchu – symetrycznie usytuowanego nad włosami łonowymi stylizowanego skorpiona. Ale tylko fragment, reszta ginęła bowiem pod rozsypanymi wokół włosami jakiejś brunetki.

Z początku jej nie zauważyli. Dopiero gdy się poruszyła, Lasse otworzył oczy i spojrzał na nią niezbyt przytomnym wzrokiem. Widziała, jak zbladł i gwałtownie się poderwał, odsuwając głowę dziewczyny od swojego krocza.

Karen gwałtownie się obróciła i czując, że ma kompletny mętlik w głowie, chwyciła swoją torbę i wyskoczyła na korytarz. Gdy zbiegała po schodach, słyszała, jak Lasse woła za nią, żeby się nie wygłupiała.

Nie wygłupiała? Ona się wygłupiała?!

Wypadła na ulicę. Jej samochód pisnął głośno, gdy wyszarpnęła kluczyki z kieszeni i wcisnęła guzik na pilocie.

Gdy wyjeżdżała pomiędzy samochodów zaparkowanych przy chodniku, zobaczyła w lusterku wstecznym, jak Lasse, ubrany wyłącznie w ręcznik na biodrach, wybiega przed dom i macha do niej rękami.

Pół godziny później z kubkiem herbaty z wiśniówką siedziała skulona na fotelu swojej najlepszej przyjaciółki Elsy i patrzyła ze złością na wciąż rozjarzający się ekran smartfona, który wyciszyła i na wszelki wypadek położyła daleko od siebie.

– Te historie w stylu, że jakaś opanowana laska czeka, aż skończą,

a następnie mówi do faceta, żeby zapłacił pani, a potem zajrzał do kuchni, to totalna ściema. – Karen siorbnęła kolejny łyk herbaty i spojrzała na uśmiechającą się uspokajająco koleżankę. – Wymyślają to głupie baby, żeby udowodnić, jakie to my, kobiety, jesteśmy mądre i eleganckie. A to gówno prawda! W rzeczywistości stoisz jak głupia i patrzysz, jak w waszej sypialni, w waszym łóżku i waszej pościeli jakaś kurew obciąga twojemu facetowi. I czujesz się jak ostatnia idiotka.

Karen westchnęła ciężko.

– A w dodatku ja ją znam. Byliśmy razem z jej, byłym już chyba teraz, chłopakiem na kręglach. Już wtedy wydawało mi się, że ona i Lasse są dla siebie zbyt uprzejmi.

– Nie wiem, co powiedzieć... – Zmartwiona Elsa pokręciła głową.

– Na przykład, że laska to nie zdrada. – Karen z wisielczym humorem uśmiechnęła się do koleżanki.

Elsa mimowolnie parsknęła śmiechem.

– Może lepiej nie wracaj dzisiaj do siebie? – Spoważniała, patrząc z niepokojem na przyjaciółkę. – Moja współlokatorka już wyjechała. Dam ci świeżą pościel i możesz spać w jej pokoju.

Karen wciąż jeszcze miała przed oczami ostatnie, brzemiennie w skutki wydarzenia i nawet nie zarejestrowała propozycji koleżanki.

– I ten łajdak w białym ręczniku. Czuję się jak jakaś żalosna bohaterka francuskiego filmu.

– Może jednak chcesz się napić? – Elsa wstała i skinęła głową w kierunku baterii butelek stojących na szafce w aneksie kuchennym.

– Jest dopiero czternasta. – Karen pokręciła odmownie głową. – Nie będę robiła z siebie alkoholiczki przez jakiegoś faceta.

– To może lody? – Elsa ruszyła w kierunku lodówki i nagle zatrzymała się jak wryta. – Ups. Przepraszam. – Spojrzała ze strachem na przyjaciółkę.

– Tuczyć się z jego powodu też nie będę. – Karen schowała twarz za wielkim czerwonym kubkiem i spojrzała z wściekłością na znowu nerwowo podrygujący smartfon.

– To może jest coś, co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – Elsa usiadła na

kanapie i pogładziła ramię koleżanki. – Nie chcę mówić, że wszystko się ułoży, ale...

Karen pokiwała głową i odstawiła kubek na ławę.

– Możesz coś dla mnie zrobić.

Elsa spojrzała na nią pytająco.

– Dam ci klucze i pojedziesz tam po moje rzeczy. Zabierz mój laptop, tablet, Kindle'a, ładowarki, a z ciuchów tylko takie, jakie sama chciałybyś włożyć. Ubierasz się znacznie lepiej ode mnie.

– A może to jednak za szybko? – Elsa popatrzyła na Karen z niepokojem.

– I tak miałam jechać do domu w przyszłym tygodniu, żeby wyblagać u starych trochę kasy. Z Lassem mieliśmy się spotkać dopiero pod koniec czerwca i jechać do Paryża. Plany wakacyjne właśnie wzięły w łeb.

Elsa stwierdziła, że Karen po raz pierwszy, odkąd pojawiła się w jej drzwiach, wyglądała tak, jakby miała się rozpłakać. Objęła przyjaciółkę i przyciągnęła do siebie.

– Wiesz, co się mówi w takich chwilach? Tego kwiatu jest pół świata. – Westchnęła. – Lasse to prostak. Ja właściwie nie wiem, co ty w nim widziałas.

– A ten jego tatuaż? – Karen wytarła nos rękawem.

Po chwili obie parsknęły śmiechem.

– Na szczęście już nabierasz dystansu. – Elsa podniosła się z kanapy i wyciągnęła rękę do koleżanki. – Dawaj te klucze. Ale nie obiecuję, że mu nie przyłożę, jeśli go tam zastanę.

Gdy Elsa wyszła, Karen zrobiła sobie kolejny kubek herbaty, tym razem nie dodając wiśniówki, i skuliła się w kącie sofy. Na ekranie telewizora trwała jakaś batalia domowa w popularnym popołudniowym serialu, ale uwagę Karen od problemów głównych bohaterów opery mydlanej ciągle odrywał telefon. Nie była właściwie pewna, że to cały czas dzwoni Lasse, ale bała się sprawdzić. Właściwie to bardziej z powodu tego, że mogłoby się okazać, że to wcale nie on. Że wcale się nie przejął tym wszystkim.

Karen pokręciła głową, usilnie starając się skupić na akcji na ekranie, gdy komórka znowu zapiszczała. Tym razem jednak innym tonem. Przyszła

wiadomość.

Przez jakieś dziesięć minut udawała, że nic jej to nie obchodzi, po czym wstała i sięgnęła po telefon. Na szczęście wiadomości tekstowe były wolne od upierdliwej funkcji powiadamiania o tym, że ktoś przeczytał tekst, co robiło swoim użytkownikom większość komunikatorów. Zawsze się zastanawiała, jaki baran to wymyślił.

Ale gdy na ekranie zamiast uśmiechniętej gęby Lassego zobaczyła babcię, poczuła ukłucie żalu. Zniechęcona opadła na sofę i otworzyła wiadomość.

Dzień dobry, kochanie. Może wpadniesz do nas w tym roku na kilka dni? Tak dawno Cię już nie widziałam. Natasza powiedziała, że do Paryża jedziesz dopiero pod koniec miesiąca.

Karen lekko się uśmiechnęła. Babcia mieszkała w zapadłej dziurze i prowadziła z dziadkiem gospodarstwo agroturystyczne. Jako dziecko jeździła tam z rodzicami co roku i całkiem dobrze się bawiła, ale nieco później po prostu umierała z nudów.

Chciała odłożyć telefon, ale przy okazji zobaczyła rejestr połączeń. Dziesięć nieodebranych. Wszystkie od Lassego. Poczuła ulgę, za co w duchu od razu się skarciła.

Przez chwilę wpatrywała się w ekran telewizora, a potem nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Podniosła się i jeszcze pełna wątpliwości spojrzała w kierunku laptopa Elsy.

Sięgnęła po klawiaturę i wstukała kilka słów.

Po chwili wyskoczyło zestawienie połączeń. Ostatni prom odchodził dzisiaj o 22.40. Z Ystad.

To był impuls oczywiście. Sięgnęła po telefon i wybrała numer infolinii.

Z biletami nie było problemów. Przemiły chłopak z biura obsługi stwierdził, że Karen może od razu zarezerwować rejs, a zapłaci w kasie w terminalu.

– Jeden bilet? Plus samochód, tak? Mogę prosić o pani imię i nazwisko? – zapytał.

– Jeden. W jedną stronę. Lindberg. Karen Fleming Lindberg.

Rozdział 2

Dalewo niedaleko Szczecina

Drewniana balustrada tarasu opleciona była młodymi gałązkami wiciokrzewu pomorskiego, który zaczynał właśnie kwitnąć i roztaczał wokół odurzający waniliowy zapach. W tle zielenił się trawnik spływający nad brzeg jeziora prosto ze wzgórza, na którym stał dom.

Stare lipy i rosochate wierzby rzucały wielkie ciemnozielone plamy cienia i wszystko byłoby wprost idealne, gdyby nie dochodzący z nieodległych zabudowań łomot tak zwanej muzyki.

Anna Fleming z zamkniętymi oczami i głową przysłoniętą słomkowym kapeluszem leżała na wiklinowej sofie i usiłowała ignorować muzykę suwerena, ale powoli zaczynała w niej brać górę furia. Obiecała sobie, że policzy do dziesięciu i zrobi z tym porządek, ale nie zdążyła dojść nawet do połowy. W drzwiach do domu stanął jej mąż.

– Anno – zaczął poważnym tonem. – Czy złożyłaś pozew o rozwód?

Anna sięgnęła po kapelusz, odsłoniła twarz i spojrzała na męża z osłupieniem.

– Słucham? O czym ty mówisz?!

– Pytam, czy złożyłaś pozew o rozwód. – Wysoki szpakowaty mężczyzna stanął obok ogrodowego stolika i ze splecionymi z tyłu rękami patrzył na żonę surowym wzrokiem.

– Edward! – Anna wyprostowała się i odłożyła kapelusz na sofę. – Jeśli to są znowu jakieś twoje żarty, to obiecuję ci, że obiad będziesz jadł z letnikami!

– No to co to jest? – Edward, patrząc oskarżycielsko, wysunął zza pleców rękę i wyciągnął ją w kierunku żony. – Do ciebie. Z kancelarii adwokackiej.

Anna przez chwilę wpatrywała się w podłużną elegancką kopertę, po

czym przeniosła wzrok na męża.

– Jezus Maria! – wyszeptała.

Edward rzucił kopertę na stolik i roześmiał się.

– Przecież żartuję.

– Tu nie ma z czego żartować! Ktoś nas pozwał! – Anna wciąż nie mogła oderwać wzroku od podejrzanej koperty leżącej obok filiżanek z herbatą.

– Gdyby ktoś nas pozwał, toby było adresowane na gospodarstwo agroturystyczne, a nie na ciebie – stwierdził Edward.

– Nie wiadomo. Może to ja się komuś naraziłam. Na mnie jest tylko zaadresowane, a właściwy pozew jest w środku. Boże!

Edward sięgnął po kopertę i podał żonie.

– Otwórz, to się dowiemy, o co chodzi.

Od strony podjazdu dobiegł ich nagle odgłos silnika.

– A to kto? – Anna spojrzała w kierunku drzwi prowadzących do wnętrza domu. – Nikt się na dzisiaj nie zapowiadał.

– Może ktoś przejazdem? – Edward podniósł się z fotela. – I chce zanocować.

– Jest jedenasta!

– No i co z tego?

– Kto będąc w drodze, decyduje się na nocleg o jedenastej?! – Anna postukała się palcem w czoło. – Pewnie po prostu znowu zrobiłeś rezerwację i nie zapisałeś.

Zerwała się i ruszyła w kierunku drzwi.

Edward sięgnął po kopertę.

– Do licha, kobieto! Najpierw sprawdź, co to jest!

Anna podniosła wzrok do nieba, wzięła kopertę, oderwała fragment papieru i wyjęła ze środka dwie kartki zapisane drobnym drukiem.

– No i co to jest? – Edward wpatrywał się w żonę z nieukrywanym zainteresowaniem.

Anna pokręciła głową z irytacją i rzuciła pismo na stolik.

– Boże! A tak się przestraszyłam. – Odetchnęła z ulgą. – Znowu jakieś bzdury o tym, że coś tam odziedziczyłam. Maili tego typu dostajemy przecież mnóstwo.

– Jesteś pewna? – Edward spojrział podejrzliwie na pismo. – Takie rzeczy pocztą tradycyjną też przychodzą?

– No jak widać. – Anna ruszyła w kierunku drzwi, stanęła w progu jak wryta i nagle głośno krzyknęła.

– Karen!

Do holu po drugiej stronie domu wchodziła właśnie Karen objuczona plecakiem i torbą podróżną.

– Przecież ja do ciebie wczoraj pisałam! – Anna rzuciła się pędem przez salon i hol i chwyciła wnuczkę w objęcia. – Co za zbieg okoliczności. A Natasza? Swen? Też przyjechali?

– Nie, babciu. – Karen oswobodziła się w końcu z objęć Anny i Edwarda i głęboko odetchnęła. – Przyjechałam sama. Zdałam ostatnie egzaminy i miałam jechać do domu, ale skoro już do mnie napisałaś, postanowiłam po drodze wpaść do was na kilka dni.

– Po drodze? – Anna patrzyła na nią z niedowierzaniem. Samochodem?! Ze Szwecji?

– A co to za problem? – odezwał się Edward, wpatrzony z zachwytem w dziewczynę. – Ależ ty już jesteś pannicą. Kiedy to się stało? Dopiero co byłaś taką małą dziewczuszką. – Zatrzymał dłoń na wysokości pasa. – A Igor całymi dniami się z tobą droczył.

– Jest wujek Igor? – Karen rozejrzała się wokół z ożywieniem.

– Nie, no skądże. – Anna wzruszyła ramionami ze zniechęceniem. – W Londynie znowu. Ja nie mogę pojąć, jak on żyje. Skąd bierze środki do życia. Jak nie w Londynie, to w Danii. Ależ się cieszę, że cię widzę! – Anna ponownie objęła wnuczkę. – Pewnie jesteś głodna?

Karen dobrze wiedziała, że z babcią tej batalii nie wygra, więc, rada nierada, ruszyła za Anną do kuchni.

Godzinę później po prysznicu, rozpakowaniu się w swoim dawnym pokoju, w którym lądowała zawsze, gdy przyjeżdżała tutaj z rodzicami, po drugim śniadaniu, złożonym z chleba pieczonego własnoręcznie przez Annę

i warzyw z miejscowego ogrodu, została zasypana pytaniami o studia, rodzinę, plany wakacyjne i oczywiście chłopaka.

Karen dyplomatycznie omijała wszystkie niewygodne tematy, jak na przykład swoje wątpliwości co do kontynuowania studiów, a o blondwłosym pętaku babcia jeszcze nic nie wiedziała, więc tym bardziej teraz nie było powodu, żeby ją wtajemniczać.

Gdy zamknęła za sobą drzwi od pokoju na piętrze, oparła się o nie plecami i rozejrzała dookoła. Ten pokój zawsze na nią czekał. Nawet w szafie wisały niektóre jej ubrania, których nie było sensu wozić ze sobą wte i wewte, jak kurtka do jazdy konnej, stara dresowa bluza czy ogrodniczki, w których kiedyś pomagała dziadkowi w pracach w parku.

Teraz, gdy już się tutaj znalazła, zaczęło do niej docierać, że cały ten projekt z nagłym wyjazdem do dziadków polegał tylko na tym, żeby zająć czymś myśli, spakować się, zorganizować wyprawę promem, żeby coś się działo i żeby nie musiała rozpamiętywać powodów, dla których nagle przytulne mieszkanko w Lund stało się obce i straszne.

Tylko co ona tutaj będzie robiła, na miłość boską? Telefon wciąż co jakiś czas się odzywał. Lasse napisał kilka wiadomości z tłumaczeniem, że to nie miało żadnego znaczenia i że obiecywali sobie przecież, że ich relacja, tak to zawsze nazywał – relacja, nie będzie ich ograniczać i że nie będą rościć sobie niepodzielnych praw jedno do drugiego.

Boże! Jak to mądrze brzmiało. Prawie się z nim wtedy zgodziła, ale to nie zmieniało faktu, że czuła się oszukana. Nie była jeszcze gotowa, żeby się z nim konfrontować. Prędzej czy później będzie musiała, ale nie teraz.

Zmieniła buty, pogrzebała w torbie, szukając swojej ulubionej czapki z daszkiem, ale okazało się, że akurat o tym Elsa, pakując jej rzeczy, nie pomyślała. Słońce już mocno grzało i nie chciała się na nie wystawiać. Przypomniała sobie, że widziała na dole kapelusz słomkowy.

Spacer po ogrodzie i brzegiem jeziora to było to, czego teraz bardzo potrzebowała.

Anna stała zamyślona przy oknie w kuchni i obserwowała bawiące się na trawniku psy letników.

– Karen miała jakąś niewyraźną minę – odezwała się w końcu, nie

odwracając się od okna. – Mam wrażenie, że coś ją trapi.

– Co takiego? – Edward oderwał się od gazety i spojrzał nieco nieprzytomnym wzrokiem na żonę. – Już znowu wymyślasz – stwierdził i pokręcił głową ze zniecierpliwieniem, gdy dotarło do niego, co powiedziała Anna. – Zaraz pewnie powiesz, że schudła.

– No za dobrze to ona nie wygląda.

– Kobieto... – Edward pochylił się nad gazetą. – Ona w tej Szwecji cały czas biega. I jeździ konno. Ma doskonałą kondycję.

– Ale ja nie o kondycji mówię – zniecierpliwiała się Anna.

Obeszła stół i wyjrzała przez drzwi, usiłując dojrzeć, co się dzieje w sieni.

– Cały czas jest u siebie na górze? – zapytała, patrząc w kierunku schodów.

– Co? – Edward podniósł wzrok. – Eee... nie. Była przecież na spacerze, a teraz siedzi na tarasie. Nie zachowuj się jak Pawlaczka z *Samych swoich*. Niech robi, co chce.

– A czy ja jej czegoś zabraniam? – Anna okrążyła wielki drewniany kuchenny stół i podeszła do szafki. – Edward! – Westchnęła ciężko, patrząc w kierunku okna, zza którego znowu dochodziły odgłosy narodowej muzyki disco. – Idź, powiedz tym młodym gamoniom, że jeśli nie wyłączą tej muzyki, to na obiad dostaną szpinak! Słowo daję! Albo ja pójdę i każę im się stąd wynosić do diabła!

– Teraz ci zaczęła przeszkadzać?

– Przeszkadza mi od rana! Poza tym zaraz pani Maryla będzie podawała obiad. Po pierwszej już. Trzeba jej powiedzieć, żeby nam tym razem przyniosła do domu.

Edward zamknął gazetę, westchnął ciężko i wstał od stołu. Po chwili zniknął za drzwiami.

Karen siedziała na sofie na tarasie i wpatrywała się w ekran swojego smartfona. Przed nią na stole leżał poranny list z kancelarii, a tuż obok koperta, zaadresowana równym odręcznym pismem.

– Jak się udał spacer?

Karen drgnęła i odwróciła się gwałtownie do stojącej w drzwiach na taras Anny.

– Fajnie, dzięki. Uporządkowany park wygląda pięknie. Jak tu byłam ostatnio, to dopiero wycinaliście busz wokół ruin pałacu. – Karen spojrzała na stół. – Przepraszam, babciu, ale zostawiłaś ten list na wierzchu i zajrzałam do niego.

– E tam... – Anna podeszła do stołu i usiadła obok na wiklinowym fotelu. – To tylko jakiś głupi łańcuszek albo coś w tym stylu.

– Przeczytałaś w ogóle to pismo? – Karen popatrzyła na Annę uważnie.

– No w zasadzie nie do końca. – Anna sięgnęła do kieszeni sukni i wyjęła okulary. – Akurat ty się pojawiłaś.

– Sprawdziłam ich właśnie. – Karen wskazała wzrokiem swoją komórkę. – Warszawska kancelaria Nałęcz & Łaniewski, mają własną stronę internetową.

Anna nałożyła okulary i wzięła do rąk pismo.

– Prawdę mówiąc, skończyłam czytać, gdy doszłam do fragmentu, w którym informują, że coś tam odziedziczyłam... – Zmarszczyła brwi i pochyliła się nad pismem. – To z reguły są przecież oszustwa.

– A tu są w dodatku fotografie. – Karen wyjęła z koperty dwie kserokopie zdjęć. – Popatrz. Jakieś stare kufry.

– O mój Boże... – Anna podniosła na chwilę wzrok i spojrzała z osłupieniem na wnuczkę, po czym zaczęła głośno czytać.

W związku z prowadzonym przez nas postępowaniem spadkowym w sprawie mienia pozostawionego przez Elżbietę Radecką-Mikulicz, córkę Rodryga Ludwika Potockiego i Marii Niezabytowskiej, mamy podstawy sądzić, że jest pani jedną z osób uprawnionych do nabycia spadku po zmarłej...

Anna przerwała i wstrząśnięta podniosła wzrok znad listu.

– Kto to jest Elżbieta Radecka-Mikulicz? – spytała Karen. – Jakaś ciotka?

– Boże... – Anna wciąż osłupiała wpatrywała się w przestrzeń. – Ale o co tu może chodzić? Przecież Elżbieta zmarła w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym...

– Ale kim ona była? – Karen wpatrywała się w babcię z rosnącym zainteresowaniem. – Mieliśmy krewnych wśród Potockich?

Anna odłożyła okulary i przez chwilę siedziała z listem na kolanach. Milczała.

– Elżbieta to była stryjeczna prababcia – odezwała się w końcu. – A konkretnie...

– Moja prababcia?

– Dla ciebie to byłaby prapra... – Anna zaczęła liczyć na palcach, ale po chwili machnęła ręką. – Lepiej zostanmy przy tym, kim była dla mnie, bo dla ciebie to się nie doliczymy tych pra. Więc była to żona brata mojego pradziadka. Średnia rodzina, ale rodzina.

– A skąd nagle teraz, po tylu latach, ten spadek?

– Nie mam pojęcia. – Anna wzruszyła ramionami. – Z Elżbietą były związane różne rodzinne legendy. Nasłuchałam się ich w dzieciństwie od babci i ciotek.

Anna przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w przestrzeń. Dochodzący od strony domków letniskowych hałas nagle umilkł jak nożem uciął i po chwili od strony jeziora dotarł do nich świergot ptaków.

– Rzecz w tym, że była strasznie bogata – odezwała się ponownie Anna. – W momencie gdy wychodziła za mąż za pradziadka Mariana, była jedną z najbogatszych wdów Drugiej Rzeczypospolitej. Tak ją niekiedy opisywano, chociaż to była lekka przesada.

– Dlaczego ja nigdy o tym nie słyszałam? – Karen wpatrywała się w Annę ze zdziwieniem.

– Bo pewnie w innych okolicznościach, nie oszukujmy się, uznałabyś, że to potworna nuda – stwierdziła Anna i uśmiechnęła się ironicznie.

– I co było dalej?

– O ich związku też krążyły legendy. Elżbieta Potocka z Koniecpola, już i tak bogata z domu, wyszła bardzo młodo za mąż za dużo starszego Feliksa Broel-Platera, dziedzica niekończących się połaci ziemi pod Brasławiem. Feliks umarł w dwudziestym czwartym, a rok później Elżbieta wyszła za mąż za młodszego o dziesięć lat oficera Trzynastego Pułku Ułanów Wileńskich, który to pułk, notabene, wspierała od początku jego istnienia.

– No to pięknie! – Karen parsknęła śmiechem. – Pradziadek Marian musiał być całkiem, całkiem.

– Tak podobno wtedy się o tym mówiło. – Anna pokiwała głową. – Znalazłam sporo wzmianek na jego temat w różnych książkach i opracowaniach. Niezbyt pochlebnych zazwyczaj w tym kontekście, ale było chyba zupełnie inaczej.

Anna przez chwilę wpatrywała się zamyślona w połyskujące pomiędzy drzewami jezioro.

– To znaczy jak? – nie wytrzymała Karen.

– To znaczy nigdy się tego już nie dowiemy, ale prawda na ich temat pewnie leży gdzieś pośrodku. Rzecz w tym, że Marian był także wdowcem. Studiował na Ukrainie w Dublanach i tam poznał swoją pierwszą żonę, córkę ziemian z Wołynia. To były jeszcze czasy Imperium Rosyjskiego, a Radeccy byli bardzo zamożni. A potem wybuchła pierwsza wojna, a zaraz potem rewolucja. Granica z Litwą została poprowadzona kilkadziesiąt kilometrów od dworu i nagle większość ziemi, wiosek i folwarków przepadła. A i pierwsze małżeństwo Mariana długo nie potrwało.

– A co się stało? Ta dziewczyna umarła? – spytała zasłuchana Karen.

– W tysiąc dziewięćset siedemnastym Wanda wraz z całą rodziną została zamordowana przez bolszewików.

Karen spojrzała na pismo z warszawskiej kancelarii i pomyślała, że historie dotyczące tamtych czasów zawsze były dla niej abstrakcją albo co najwyżej tematem rozprawek w szkole. A tymczasem okazuje się, że dotyczą bezpośrednio jej rodziny.

– I co było potem? – zapytała.

– Wbrew pozorom i mimo różnicy wieku Marian z Elżbietą żyli chyba całkiem szczęśliwie. Do wybuchu kolejnej wojny oczywiście, czyli nie tak znowu długo. – Anna ciężko westchnęła. – A potem przepadło już wszystko.

– W sensie, że Polska straciła kresy, a potem był komunizm?

– To także. – Anna pokiwała głową. – To generalnie spotkało całą resztę naszej rodziny, ale poza tym Marian został zamordowany w Starobielsku, a Elżbieta straciła praktycznie wszystko w powstaniu warszawskim i zmarła w biedzie. No i wtedy właśnie pojawiły się te różne rodzinne legendy.

Karen wpatrywała się w Annę z ciekawością, coraz bardziej zaintrygowana.

– Rzekomo Elżbieta zdołała ukryć gdzieś cały kufer biżuterii i to dzięki niemu, stopniowo wyprzedając swoje precjoza, miała na życie po wojnie. Według innych opowieści zamieszkała w jakimś warszawskim klasztorze, a siostry dostały część jej skarbów. Ale były jeszcze inne legendy. Najwięcej opowieści snuła oczywiście babcia Maria. A we wszystkich tych bajaniach ciągle przewijały się jakieś kufry...

Anna zamilkła i przez dłuższą chwilę obie wpatrywały się w kserokopie zdjęć z kancelarii, na których widać było dwie stare drewniane skrzynie.

Karen ze zdziwieniem skonstatowała, że przestała nerwowo spoglądać na swój telefon i w ogóle przestała myśleć o powodach, dla których tu przyjechała. Oczywiście babcia miała rację. Wszelkie opowieści rodzinne zawsze wydawały jej się nierzeczywiste i faktycznie śmiertelnie nudne. Ten korowód zabytkowych ciotek i prababek, te suknie, te fryzury na chłopczycę, te bale w resursach obywatelskich – notabene sama ta nazwa była wyjątkowo śmieszna – te dworzyszczka na kresach, linijki, kubitki i o czym tam jeszcze babcia Maria zawsze opowiadała.

Ale teraz, gdy przed jej oczami leżały fotografie jakichś autentycznych artefaktów, czuła, jakby ta historia, zamiatając długą suknią podłogę, wyszła z dagerotypów i poźółkłych fotografii i stanęła przed nią żywa, trzymając się pod boki.

– Jakie inne legendy? – spytała, spoglądając na zamyśloną babcię.

– Słucham? – Anna z trudnością oderwała się od wspomnień.

– Powiedziałaś, że były jeszcze inne legendy na temat kufrów.

– Ano tak... – Anna westchnęła. – Tę najbardziej, powiedziałabym, prawdopodobną babcia przekazała na temat Litwy.

– W sensie kraju?

– Nie, nie kraju. – Anna się uśmiechnęła. – Jako dziecko także nie potrafiłam tego rozróżnić. Chodzi o majątek we wsi, która nazywała się Litwa. I żeby było śmieszniej, leżała na dzisiejszych terenach Białorusi niedaleko Nowogródka, a właściwie to bliżej Mińska.

Karen sięgnęła po komórkę i słuchając babci, otworzyła Google Maps.

– Tuż przed nadejściem Niemców, gdy pojawiły się pierwsze pogłoski o tym, że do kraju mogą wkroczyć Sowieci, dziadek poskładał najcenniejsze rzeczy do trzech wielkich kufków i zakopał je w parku. Rzekomo pod jakimś bardzo starym dębem. Dziadka tak jak i leśniczego, i zarządcę majątku, którzy według opowieści babci pomagali zakopywać kufry, zamordowali później Sowieci. No i tych kufków oczywiście nikt nigdy potem już nie zobaczył.

– Czyli możliwe, że gdzieś na Białorusi do tej pory są ukryte w ziemi rodzinne skarby? – Karen wpatrywała się w Annę z fascynacją.

– Możliwe, jeśli nikt ich stamtąd już dawno nie wykopał. – Anna sięgnęła po kopertę, starannie poskładała pismo z kancelarii i włożyła je do środka. – Zresztą w tej opowieści nie ma nic szczególnie wyjątkowego. Przed wejściem Rosjan wszyscy ukrywali, co się dało, nie tylko w majątkach ziemiańskich, ale i w miastach. Zamuroвывали w piwnicach, upychali pod podłogami, chowali w stropach. Tak zresztą ukrywano wszystko także przed Niemcami. Cała wschodnia Europa zakopywała w ziemi jakieś kufry. – Anna uśmiechnęła się kwaśno. – A i tak, biorąc pod uwagę efekty, na niewiele się to zdało.

– A pozostałe legendy?

– A co ty nagle tak się zainteresowałaś tymi sprawami? Za każdym razem kiedy próbowałam ci opowiadać o rodzinie i kuzynach, byłaś kompletnie znudzona. Zresztą z Igorem jest zupełnie tak samo.

– No bo nie da się ukryć, że takie opowieści są okropnie nudne. – Karen zachichotała. – Ale tutaj mamy prawdziwą tajemnicę. Skarby w kufkach, jakiś skandaliczny związek leciwej ciotki z młodym ułanem. To prawie jak u Jane Austen.

Anna uśmiechnęła się i schowała okulary do kieszeni.

– Widzę, że inaczej jak przez kulturę masową do młodych dzisiaj nie sposób dotrzeć.

– Od kiedy Jane Austen to kultura masowa?

– A czytałaś jakąś jej książkę? Czy oglądałaś wyłącznie ekranizacje? – Anna popatrzyła na Karen pobłaźliwie. – Mój Boże! To już po pierwszej! – Spojrzała nagle na zegarek i gwałtownie się podniosła. – Kochanie, potem

dokończymy te rodzinne opowieści. Teraz czas na obiad.

– Przecież ja dopiero jadłam. – Karen popatrzyła z przestraszeniem na idącą w stronę domu Annę. – Ileż można jeść?

– Takie tam jedzenie. Dwie kanapki. – Anna zatrzymała się w progu. – Zjemy w domu, tylko muszę dopilnować, żeby pani Maryla tutaj nam podała, bo Edward oczywiście zapomniał.

Obiadu nie dało się uniknąć. Karen, rada nierada, zasiadła przy stole w jadalni, patrząc z niepokojem na wnoszone przez kucharkę naczynia.

Pani Maryla, gospodyni z Dalewa, gotowała dla letników, ale przy okazji oczywiście jedli także i dziadkowie.

– Musiałabym chyba zwariować, żeby jeszcze osobno szykować obiady dla ciebie – odpowiadała babcia na wyrzuty dziadka, że kuchnia w domu stoi pusta i nikt tam nie gotuje.

O dziwo jednak, gdy na stół wjechała waza z zupą, Karen poczuła, że jest głodna. Długi spacer po parku i lasach wokół jeziora zrobił swoje i ze smakiem zjadła teraz wielki talerz zupy pomidorowej, z której wujek Igor zawsze się naśmiewał, że to zupa z bufetu w PRL-u.

Gdy skończyli jeść, na stole pojawił się upieczony własnoręcznie przez Annę placek jabłkowy. Edward chwycił dwa kawałki i mówiąc, że przecież za pięć minut wracają kajakarze, zniknął za drzwiami.

Anna na chwilę wyszła z kuchni, po czym wróciła z kilkoma ogromnymi albumami. Rozłożyła je na stole przed Karen, nalała sobie herbaty i usiadła wreszcie obok.

– A to jest właśnie Elżbieta – powiedziała. Otworzyła jeden z albumów i wskazała palcem duże, sztucznie podkolorowane zdjęcie.

Na tle jakiegoś budynku stała grupa ludzi. Na pierwszym planie na ławeczce siedział ksiądz, po jego prawej stronie, w wysokich oficerkach i marynarce, korpulentny jegomość z sumiastymi wąsami, a po lewej, ubrana według mody z lat dwudziestych, elegancka kobieta.

Karen pochyliła się nad fotografią.

– Ale ten obok to chyba nie jest pradziadek Marian?

– To pierwszy mąż Elżbiety. – Anna podniosła filiżankę do ust. – Feliks

Broel-Plater. Zdjęcia Mariana albo nie mam, albo po prostu nie wiem dokładnie, który to on na tych starych fotografiach.

– A ci ludzie? Gdzie w ogóle to zdjęcie zostało zrobione?

– To pracownicy majątku. Ci mężczyźni dookoła to pewnie zarządcy, leśnicy, ekonomowie, kobiety to najprawdopodobniej służba. A miejsce to oczywiście Belmont.

– Scena prawie jak z *Downton Abbey*[5]. – Karen wpatrywała się w fotografię z fascynacją. – Belmont?

– Majątek Elżbiety, a właściwie Broel-Platerów, po których go odziedziczyła. Niedaleko Braśławia. Przed pierwszą wojną jakieś sześćdziesiąt tysięcy hektarów, po wojnie raptem trzydzieści.

– Trzydzieści hektarów?! – Karen spojrzała z niedowierzaniem na babkę.

– Trzydzieści tysięcy hektarów. W dalszym ciągu fortuna. To były kresy Kresów Wschodnich. Najdalej wysunięta na północny wschód część kraju.

Karen podniosła wzrok znad albumu.

– A właściwie skąd się tam wziął ten Marian? Służył gdzieś niedaleko?

– Pamiętaj, dziecko, że ja aż taka stara nie jestem. – Anna uśmiechnęła się pod nosem. – Wszystkie te opowieści znam z drugiej ręki. Od babci Marii, która i Elżbietę, i Mariana znała osobiście. Wiele informacji zdobyłam potem z różnych pamiętników żołnierzy albo ziemian z tamtych stron, ale to wszystko wiedza nabyta. No więc Marian... – podjęła Anna po chwili. –

Takie to były czasy, że zaraz po studiach zostawił młodą żonę w domu rodzinnym na Wołyniu, a sam wstąpił do dowborczyków.

Babcia sięgnęła po filiżankę z herbatą.

– Ufam, że za chwilę się dowiem, kim byli ci dowborczycy. – Karen uśmiechnęła się z przekąsem. – Chyba nie zakładasz, że w Lund nic innego nie robię, tylko studiuję polską historię.

– A jak widać, przydałoby się. Ja jestem matematyczką i coś tam jednak wiem.

– Babciu, tylko nie wchodźmy na temat patriotyzmu, błagam – jęknęła Karen. – Jestem w połowie Szwedką.

– Dowborczycy, w połowie Szwedko, to byli żołnierze Pierwszego

Korpusu Polskiego w Rosji dowodzonego przez generała Józefa Dowbor-Muśnickiego. Korpus powstał na potrzeby wojny z Niemcami, ale wybuch rewolucji spowodował, że zamiast walczyć na froncie pierwszej wojny światowej, walczyli z bolszewikami. Po tym jak korpus został rozwiązany w tysiąc dziewięćset osiemnastym, Marian brał udział w walkach o obronę Wilna. Służył w oddziałach, które samorzutnie organizowały się do obrony Wileńszczyzny i walki o jej powrót do odradzającej się Polski. Te oddziały formowali lokalni ziemianie, a Trzynasty Pułk Ułanów Wileńskich praktycznie ufundowała Elżbieta, werbując ochotników, dostarczając mundury, konie, a nawet broń, którą skupywała od wycofujących się z Litwy żołnierzy niemieckich. Po odzyskaniu niepodległości zaś, gdy pułk stacjonował pod Wilnem, urządzała bale w Belmoncie, a dla ułanów fundowała prezenty z okazji świąt pułkowych i Gwiazdki.

– No i jesteśmy w domu! – stwierdziła Karen. – Pradziadek musiał jej wtedy najwyraźniej wpaść w oko.

– Najwyraźniej – odparła Anna z uśmiechem.

– Ale wytłumacz mi jeszcze jedno... – Karen spojrzała w okno. – Majątek naszej rodziny, ta cała Litwa, był dość daleko. Nowogródek jest ponad dwieście kilometrów od Brasławia, sprawdziłam sobie na mapie. A pamiętam, że babcia Maria zawsze mówiła, że Belmont leżał niedaleko rodzinnych włości. No to co w końcu?

– Babcia Maria mówiła o Kozaczyźnie, nie Litwie. Marian urodził się w Kozaczyźnie.

– Chryste... – Karen westchnęła. – Czuję, że zaraz się w tym wszystkim kompletnie pogubię. Skąd nagle jakaś Kozaczyzna?

Anna sięgnęła po album, przerzuciła kilka grubych czarnych kart oddzielonych staroświecką poźółkłą bibułą i zatrzymała się na zdjęciu wielkiego białego dworu ukrytego pomiędzy drzewami, stojącego na wzgórzu nad stawem.

– To jest Litwa – powiedziała i postukała palcem w zdjęcie. – Tutaj urodził się mój dziadek, ale zarówno mój pradziadek Stanisław, jak i Marian urodzili się jeszcze w Kozaczyźnie.

Anna przerzuciła kolejne karty albumu i zatrzymała się na fotografii niewielkiego skromnego budynku przycupniętego pod ogromnymi drzewami.

– Czyli co? – Karen przekrzywiła głowę, przypatrując się zdjęciu. – Rodzina znacznie się wzbogaciła przez jedno pokolenie?

– Wprost przeciwnie – westchnęła Anna. – W zasadzie nie wiadomo, dlaczego mój pradziadek, czyli najstarszy syn, przeniósł się do Litwy...

– No ja bym też się raczej przenieśli.

– Nie w tym rzecz. I Litwa, i Kozaczyzna należały do naszej linii Radeckich-Mikuliczów od początku dziewiętnastego wieku. Pechowo oba majątki po traktacie wersalskim i ustaleniu nowego kształtu Rzeczypospolitej znalazły się na samych jej granicach. Praktycznie o rzut kamieniem. Kozaczyzna straciła na rzecz Litwy...

– Litwy? – Karen spojrzała zdezorientowana.

– Państwa Litwy – wyjaśniła Anna. – No więc straciła kilka folwarków i prawie całą ziemię, a majątek Litwa na rzecz Związku Radzieckiego dla odmiany, sporo ziemi i także jakieś wsie i folwarki. Przy czym, o ile przy Litwie zostało jednak jakieś tysiąc hektarów, to Kozaczyzna stała się praktycznie resztówką ze skromnymi trzystoma hektarami, głównie lasów i jezior.

– Czyli w spadkowych podziałach – Karen zmarszczyła brwi, usiłując poukładać sobie wszystko w głowie – Stanisław, najstarszy syn, dostał większą schedę, a Marian musiał się zadowolić tym domkiem – stwierdziła i wskazała brodą zdjęcie dworku w Kozaczyźnie.

– No nie do końca. – Anna pokręciła głową. – Braci było trzech. Według starszeństwa – Edward, Stanisław i Marian. Litwa przypadła pradziadkowi Stanisławowi, a Kozaczyzna jego starszemu bratu Edwardowi. Marian, najmłodszy z rodzeństwa, miał się przenieść na Wołyń, do majątku żony, który dostała jako wiano. Tyle że wszystko potoczyło się inaczej przez wojny i rewolucje. Żona Mariana zginęła w czasie rewolucji, a Edward poległ w wojnie polsko-bolszewickiej. Więc Marian wrócił do Kozaczyzny. Ale to z Kozaczyzną właśnie wiąże się jedna z rodzinnych tajemnic...

– Jaka? – Karen spojrzała na Annę z ciekawością.

– Zgodnie z wszystkimi materiałami, które wygrzebałam, starymi aktami, dyplomami ukończenia uczelni, także małżeństwami, które zawierali, nasza linia Radeckich przez cały dziewiętnasty wiek musiała być bardzo zamożna.

Mało która rodzina mogła sobie pozwolić wówczas na wysłanie każdego z synów na studia zagraniczne. Ponadto prapradziadek Eduard, według opowieści babci Marii, która pamiętała je z kolei jeszcze od prababci Janiny, był zapalonym podróżnikiem. Jeździł po całym świecie i zwoził do majątku rozmaite pamiątki. W Litwie aż do wojny była cała sala urządzona meblami, parawanami, obrazami, wachlarzami sprowadzonymi z Japonii. Na taki styl życia w tamtych czasach, w dodatku zaraz po powstaniu styczniowym, mogły sobie pozwolić jedynie rodziny magnackie. Tymczasem, jak sama zresztą zauważyłaś – Anna wskazała fotografię w albumie – dworek w Kozaczyźnie był ubożuchny.

– Czyli co? – Karen sięgnęła po dzbanek z kawą. – Kolaborowali z zaborcami?

Anna pokręciła głową z powątpiewaniem.

– Zarówno prapradziadek Eduard, jak i jego brat Leon brali udział w powstaniu. Są na to dowody w postaci zapisów w aktach uczelni w Tartu w Estonii, gdzie obaj studiowali. Obaj w sześćdziesiątym trzecim opuścili uczelnię, a rok później wrócił tylko Eduard.

– To może wcześniej rodzina mieszkała jednak w tym wielkim dworze w Litwie? Tylko potem się przeprowadzili?

Anna pokręciła głową.

– Nie, od początku dziewiętnastego wieku byli związani z Kozaczyzną. Tam się urodził Leon, Eduard w Kownie, mieli tam jakąś kamienicę. Litwa była chyba przez cały wiek dziewiętnasty oddana w dzierżawę.

– To przecież bez sensu – stwierdziła Karen. – Gnieździł się w malutkiej chacie, a ogromny dwór w Litwie, prawie pałac, wynajmowali?

– No więc właśnie. – Anna wzruszyła ramionami. – Nie znalazłam niczego, co mogłoby to tłumaczyć. Ale może to było po prostu przywiązanie do ziemi? Nasza linia wywodziła się z Litwy, z okolic Wilna, Kowna i terenów późniejszych Prus Wschodnich. Za czasów Księstwa Warszawskiego te tereny nazywano Traktem Zapuszczańskim. I stamtąd, przez małżeństwa, Mikuliczowie trafili także w okolice Święcian.

– Jakich Święcian?!

– Kozaczyzna leżała w województwie święciańskim. To znaczy najpierw

wileńskim, a potem brasławskim... Nieważne – ucięła Anna, widząc przerażone spojrzenie wnuczki. – Litwa, która leżała na Białorusi niedaleko Mińska, musiała się dostać do rąk rodziny jako spadek albo czyjś posag, ale że była daleko, nikomu się chyba nie paliło tam przenosić. Dopiero mój pradziadek Stanisław zaczął tam gospodarować.

– W Szwecji wszystko od zawsze było szwedzkie i jest szwedzkie. – Karen pokręciła głową z niedowierzaniem. – A tutaj... Polska, ale Litwa. Litwa, która najpierw była jakimś krajem zapuszczańskim, a potem Prusami Wschodnimi. Polskie kresy, które dzisiaj należą do Litwy albo Rosji, i jeszcze, jakby tego było mało, dwór, który nazywał się Litwa i leżał na Białorusi.

– No właśnie – przytaknęła Anna z uśmiechem. – Nasi koczowniczy praprzodkowie, zamiast poleźć nieco dalej w głąb kontynentu, wybrali niestety takie kretyńskie miejsce, praktycznie na środku drogi z Azji do Europy. A potem średnio co sto lat dziwili się, że jakaś maszerująca hołota pali im domy, niszczy zbiory i porywa w jasyr córki...

– Albo synów – dokończyła ze śmiechem Karen.

– Tacy nowocześni to oni wtedy jeszcze nie byli. – Anna obrzuciła wnuczkę rozbawionym spojrzeniem. – Chociaż w jasyr mężczyzn także brano, a jakże. Do pracy. Ale skoro jesteśmy przy konwenansach, to warto wspomnieć ciocię Jadwinę...

– Ciocię Jadwinę? Twoją ciotkę?

– Prababkę. Cioteczną.

– Boże! – Karen wzniosła oczy do nieba. – Nie mieszaj. Przecież ja się już kompletnie pogubiłam. Będę musiała sobie to wszystko rozpisać w Excelu. Jaką Jadwinę?

– Ciocią nazywała ją zawsze babcia Maria. Jadwiga to była siostra Mariana.

– Edwarda, Stanisława i Mariana? – Karen wołała się upewnić.

– Tak – przytaknęła Anna. – Eduard, ten podróżnik...

– Ten, co walczył w powstaniu styczniowym? – przerwała Karen.

– Ten sam. No więc Eduard miał pięcioro dzieci. Trzech synów i dwie córki. Stanisława, Edwarda i Mariana oraz Julię i Jadwigę. Pamiętaj, że to był

koniec dziewiętnastego wieku. Kobiety wówczas nie mogły studiować. Jedyną wiedzą, którą dla nas przewidziano, była nauka szycia i gry na fortepianie, ewentualnie, co najwyżej, nauka języków obcych. Obie siostry wyłamały się z tych konwenansów. Julia założyła prywatną szkołę języków, a Jadwiga postawiła jednak na swoim i jako jedna z pierwszych wówczas kobiet wyjechała na studia na Sorbonę.

– Jak Maria Skłodowska – dodała Karen z uznaniem i spojrzała na babcię.

– Dokładnie. Większą rewolucjonistką od niej była w rodzinie jedynie Zofia Stryjeńska...

– Ta malarka?

Anna przytaknęła.

– Stryjeńscy byli spokrewnieni z Mikuliczami przez kuzynostwo spod Kowna. Jako że na wymarzoną przez nią Akademię Sztuk Pięknych w Monachium nie przyjmowano kobiet, Zofia przez rok studiowała, podając się za swojego brata.

– Żartujesz?! – zawołała Karen wstrząśnięta. – Te rodzinne opowieści powinnaś była zaczynać od takich właśnie rzeczy. I co? Skończyła tę szkołę?

– Niestety nie. Po roku została zdemaskowana i wróciła do Krakowa, gdzie zaczęła malować. W Litwie była wielka kolekcja jej obrazów, które pradziadek Stanisław, żeby ją wspomóc, skupował, zanim zaczęła być sławna. Spłonęły oczywiście w czasie wojny. Ale wracając do Jadwini... Z nią związana jest kolejna rodzinna legenda, w której pojawiają się kufry...

Anna sięgnęła po filiżankę i udając, że nie widzi ponaglącego spojrzenia Karen, wypła łyk herbaty.

– Jadwiga, mimo studiów i całej tej emancypacji, stała się ofiarą wyjątkowo wręcz konwencjonalnej awantury. – Anna wróciła po chwili do przerwane go wątku. – Otóż w Paryżu poznała pewnego chłopaka. Chociaż wtedy mówiło się kawalera. Kawaler ów pochodził rzekomo, rzekomo, bo wszystko to wiem z ust babci Marii oczywiście – dodała gwoli wyjaśnienia – z bardzo dobrej francuskiej rodziny arystokratycznej. No i niestety skończyło się źle.

Przed oczami Karen, która usiłowała zachować kamienną twarz, całkowicie wbrew jej woli, pojawił się w tym momencie tatuaż nad włosami

łonowymi pewnego łobuza o imieniu jak z powieści Astrid Lindgren.

– Jadwiga ze złamanym sercem wróciła na Litwę i do końca życia pozostała samotna, wspominając ukochanego żabojada – kontynuowała nieświadoma niczego Anna. – Przy czym babcia Maria czasem mówiła, że Francuz zginął, a czasem, że zwyczajnie rzucił ją dla innej.

– Cholernie romantyczne – bąknęła Karen, usiłując usunąć z wyobraźni fatalne wspomnienie z Lund. – A kufry?

– Kufer. – Anna znacząco podniosła do góry palec. – Jadwiga miała trochę pieniędzy i kosztowności, które odziedziczyła po matce. Nie wiadomo, ile tego było, ale wystarczyło, żeby powstały plotki. W każdym razie po wybuchu drugiej wojny światowej razem z Elżbietą wyjechała do Warszawy i podobno zabrała ze sobą ten tajemniczy kufer, po którym ślad później zaginął.

Na chwilę zapadło milczenie. Od strony jeziora przez otwarte okna dochodził krzyk ptaków wodnych, a gdzieś z oddali słychać było rozmowy i śmiechy letników.

Karen sięgnęła po list z warszawskiej kancelarii i wyjęła ze środka złożone kserokopie fotografii. Przez chwilę przyglądała się zdjęciom.

– A jeśli to jeden z tych? – zapytała i spojrzała na Annę, wskazując dwie skrzynie stojące na posadzce jakiegoś magazynu.

– Piszą tam, że to mienie Elżbiety.

– To jeszcze lepiej. – Karen uniosła brew. – Dwa kufry jednej z najbogatszych kobiet Drugiej Rzeczypospolitej.

Przez chwilę spoglądały na siebie. Jedna z malującym się na twarzy rozbawieniem wymieszanym z ciekawością, a druga powątpiewająco.

– E tam... – Anna machnęła w końcu lekceważąco ręką. – To wszystko pewnie i tak okaże się jakimś bzdurnym nieporozumieniem.

Rozdział 3

Dawno, dawno temu...

Działo się to w czasach, gdy mocarstwa Europy wyniszczone trwającymi od dekady wojnami na krótki czas zawarły nietrwały rozejm, a zawiązane koalicje, które łączyły państwa o wspólnych, acz efemerycznych interesach, niebezpiecznie trzeszczały w szwach.

Wczesną wiosną, a był ładny słoneczny dzień, wąskimi brukowanymi uliczkami Tybingi, przy których wznosiły się stare kamieniczki z pruskiego muru, jechał korowód karet. Końskie kopyta wybijały nierówny rytm na kocich łbach, a tłum przechodniów rozstępował się niechętnie, przepuszczając powozy wspinające się ku zamkowi górującemu nad miastem.

Największą kareta, ciągniętą przez cztery konie, na której drzwiach pysznił się herb Fryderyka I króla Wirtembergii, jechał tutaj ze Stuttgartu tajny radca królewski. W czterech pozostałych podróżowali inni wysocy urzędnicy królewscy oraz komisja naukowa złożona z szacownych naukowców uniwersytetu w Tybindze, którym przewodziła trójka profesorów. Pierwszym z nich był Johann Gottlieb Friedrich von Bohnenberger, astronom, matematyk i zamiłowany konstruktor maszyn. Towarzyszyli mu zaś Carl Friedrich Kielmeyer, słynny biolog i chemik, autor pierwszych prac na temat teorii rekapitulacji i twórca podwalin chemii organicznej, oraz Adam Karl August von Eschenmayer, filozof, lekarz, ale także wyznawca mistycyzmu i demonologii.

To przedziwne towarzystwo, złożone z ludzi o różnych światopoglądach zajmujących się różnymi dziedzinami nauki i mających inne wobec niej oczekiwania, miało wydać werdykt w sprawie otoczonych głęboką tajemnicą eksperymentów pewnego austriackiego mechanika. Na swój dwór ściągnął go i zezwolił mu na prowadzenie prac król Fryderyk I.

Sprawca rozgrywających się na podzamczu wydarzeń nie miał jeszcze czterdziestu lat. Urodził się w Dolnej Frankonii w rodzinie uboższych ziemian, którzy po kilku nieudanych próbach wykształcenia syna na księdza lub rolnika, nie mogąc zapanować nad temperamentem chłopaka, posłali go do armii. Po trzech latach służby odszedł z wojska w stopniu kapitana, ożenił się i osiadł w Niemczech, gdzie całkowicie poświęcił się swojej pasji konstruktora i wynalazcy.

Karety minęły bramę, przejechały drogą wzdłuż zamkowych murów i znalazły się na wielkim tarasie otoczonym niskimi murami, za którymi rozciągał się malowniczy widok na okoliczne wzgórza. Na placu u stóp zamku Hohentuebingen stały dwa hangary, wokół których uwijało się kilkudziesięciu pracowników. Plac położony był na tarasach, które niegdyś zajmowały ogrody, ale po tym, jak zamek stracił znaczenie książęcej siedziby, stając się jedną z państwowych fortec, ogrody wycięto.

Lustracja trwających tutaj prac ciągnęła się kilka godzin. Profesorowie oglądali ogromne drewniane ramy, ciesielskie połączenia i fragmenty szkieletu tajemniczej maszyny, z powodu której austriacki mechanik przez wielu naukowców uważany był za szaleńca i mitomana. Matematyk von Bohnenberger z ogromnym zainteresowaniem sprawdzał skomplikowane obliczenia i dokumentację projektu, a pozostali profesorowie z fascynacją pochylali się nad ogromnymi płachtami rysunków technicznych.

Gdy po kilku godzinach konwój karet odjechał w kierunku zamkowej kordegardy, a stukot końskich kopyt zaczął się oddalać, uradowany mechanik mógł znowu powrócić do przerwanej pracy. Werdykt był pozytywny, profesorowie uniwersytetu w Tybindze uznali eksperyment za realny i dający duże szanse powodzenia.

Oczywiście w swoim racjonalnym i poukładanym umyśle nieszczęsny Austriak nie mógł przewidzieć, że to właśnie ściągnie na niego kłopoty. Pozytywna opinia zacnego gremium przysporzyła królowi Fryderykowi, przekonanemu do tej pory o nieszkodliwości wynalazcy, nie lada zmartwień. Uwikłany w sieć międzynarodowych układów i sojuszy musiał jednak postąpić tak, jak postąpił.

Kilka dni później austriacki mechanik dostał wezwanie na policję, gdzie przez kilka dobrych godzin był przesłuchiwany, a zaraz potem musiał się

stawić na dworze w Stuttgarcie. Otrzymał tam, podpisany przez króla Fryderyka I, nakaz natychmiastowego zakończenia prac, zakaz informowania o nich kogokolwiek oraz rozkaz opuszczenia królestwa w ciągu dziesięciu dni i powrót do Austrii.

Ale król nie wiedział o tym, że jego niedawny beniaminek już od dłuższego czasu jest obserwowany przez agentów służb specjalnych innych państw.

Jeszcze przed upływem owych dziesięciu dni, które zostały mu do spędzenia w Wirtembergii, Austriak dostał propozycję kontynuowania prac dla innego mecenasa.

Dla niego koszty nie miały żadnego znaczenia.

Z fałszywym paszportem, dokumentacją, którą zdołał ukryć przed policją Wirtembergii, i w towarzystwie eskortującego go agenta wsiadł w Monachium do pociągu i wyruszył w długą podróż do Sankt Petersburga.

Rozdział 4

WARSZAWA

Patryk dyskretnie przyglądał się Łaniewskiemu. Szef wertował dokumenty, uważnie czytając każdy paragraf i załącznik.

Gdy skończył, poskładał wszystko i włożył z powrotem do teczki, zostawiwszy przed sobą tylko jeden dokument – kilka spiętych razem kartek A4.

– Bardzo szybko ci to poszło – stwierdził, obrzucił przychylnym spojrzeniem Patryka i skinął z uznaniem głową. – Ale ta sprawa prosta nie będzie. Problemy administracyjne z zakresu prawa rzeczowego, kwestie prawa deliktowego, czyli wszystkie pieprzone roszczenia i postępowania odszkodowawcze. Do tego ekspertyzy rzeczoznawców i negocjacje z całą zgrają roszczeniowo nastawionych stron. To może potrwać kilka dobrych lat.

– Jak zawsze – stwierdził Patryk. – Przecież prowadziliśmy sporo takich spraw.

– I nawet wszystkie wygraliśmy. – Łaniewski uśmiechnął się z zadowoleniem. – Ostatnia zajęła nam jednak piętnaście lat. Od początku tysiąclecia. – Spojrzał na Patryka pobłaźliwie. – Jak zaczynaliśmy, ty bawiłeś się jeszcze w piaskownicy.

– No to jesteśmy zainteresowani tym czy nie? – Patryk wskazał brodą leżące przed Łaniewskim dokumenty.

– Jak na razie nie mamy klienta. Sami tego wszcząć nie możemy.

– Zamierzam nad tym popracować.

Łaniewski przekartkował od niechcienia plik kserokopii.

– Prawdę mówiąc – spojrzął na Patryka bez entuzjazmu – to nie jest sprawa, która nas powinna interesować. Zysk bardzo odsunięty w czasie, a i nie taki znowu pewny.

Patryk wzruszył ramionami.

– Jak sam wspomniałeś, prowadziliśmy już przecież takie sprawy – powiedział i spojrzał na Łaniewskiego wzrokiem, w którym widać było rozczarowanie.

Łaniewski westchnął.

– Ani ta Flemingowa, ani jej kuzynki raczej nie mają pieniędzy na prowadzenie takiej sprawy. Za samą ekspertyzę stanu technicznego oraz kwerendę wykonanych tam remontów trzeba będzie zapłacić ze dwadzieścia tysięcy. A koszta rzeczoznawców? Wyjazdy do Paryża, czy gdzie tam teraz mieszkają potomkowie brata tej całej hrabiny, hotele, obsługa to będą kolejne dziesiątki tysięcy. Za wszystko będziemy musieli płacić sami. Wtedy, gdy twój ojciec zajmował się takimi rzeczami, to były zupełnie inne czasy. Dzisiaj nas po prostu na to nie stać.

Patryk pokiwał smętnie głową.

– Może masz rację – westchnął, lekko zawiedziony.

– Niestety. – Łaniewski zamknął teczkę z dokumentami i pchnął ją w kierunku młodego prawnika. – Przynajmniej na tym TNA udało się zarobić bez szarpaniny.

– Dobra! – Łaniewski spojrzał na zegarek. – Notariusz będzie tutaj o piętnastej. Weź samochód, bo pewnie jak zwykle jesteś hulajnogą. – Spojrzał z protekcyjnym uśmiechem na swojego podwładnego. – I jedź po nie na lotnisko. Dzięki Angolom już i tak sporo na nich zarobiliśmy, więc możemy się postawić.

*

Młody sympatyczny steward, z uroczym, aczkolwiek służbowym uśmiechem, podziękował za lot, życzył miłego pobytu w stolicy i wyraził nadzieję na ponowne spotkanie. Gdy tylko umilkły silniki, a bombardier zatrzymał się na końcu pasa, pasażerowie zaczęli wstawać i przepychać się wąskim korytarzykiem w kierunku wyjścia.

– Poczekajmy, aż ci wszyscy ludzie wyjdą. – Anna spojrzała chłodno na dwie kobiety, które z zawziętością godną zupełnie innych okoliczności wyrywały swoje torby z szafek nad głowami. – Ten samolot na szczęście

nigdzie już dalej nie poleci. Nie chciałam tego mówić w trakcie lotu, ale ten napęd śmigłowy jakoś nie wzbudza mojego zaufania. Myślałam, że już takich nie robią.

– To całkiem nowe samoloty. – Karen wyjrzała przez okno. – Najnowocześniejsze turbośmigłowe samoloty na świecie – dodała bez przekonania, odwracając się do Anny.

– To tak, jakby powiedzieć, że furmanka na kołach z oponami to najnowocześniejszy pojazd zaprzęgowy na drodze.

Karen pomyślała, że lepiej nie wtajemniczać babci w powtarzające się co jakiś czas informacje, że w samolotach kanadyjskiego producenta zdarzają się problemy z lądowaniem w wyniku niezablokowanych kół, o czym przeczytała w drodze na lotnisko. W końcu wracać mają w ten sam sposób.

Uśmiechnęła się i sięgnęła do torby na plecach fotela. Telefon, gdy tylko odblokowała tryb samolotowy, radośnie zaczął dzwonić. Spojrzała z obawą na wyświetlacz.

Dwie wiadomości z nieznanego numeru. Przez chwilę się zastanawiała, czy przypadkiem to nie Lasse pisze do niej z telefonu jakiegoś kumpla. W końcu zorientowała się, że to numer prawnika z Warszawy.

Dzień dobry. Witam w Warszawie! 😊

Będę czekał na Panię w hali przylotów. Brunet w granatowym garniturze. Proszę dzwonić w razie problemów.

Karen uśmiechnęła się pod nosem. Patryk Nałęcz zapomniał, że na stronie kancelarii wisi jego piękne zdjęcie, lub bezpodstawnie zakładał, że tam nie zajrzała.

– Po co ja się dałam namówić na tę podróż. – Anna ciężko westchnęła. – Edward sam z letnikami, w dodatku na początku sezonu, a to wróży same kłopoty.

– Pomyśl o mnie. – Karen podniosła się, gdy ostatni z pasażerów minął ich fotele. – Nigdy nie byłam w Warszawie. Poza tym zapłacili za przelot i za hotel. Będziemy się świetnie bawić.

– To także wróży same kłopoty. – Anna chwyciła swoją torbę i poszła w ślad za wnuczką.

Karen zobaczyła Patryka, gdy tylko znalazły się w hali przylotów i czekały na bagaż. Nałęcz stał niedaleko taśmy z walizkami, prawie całkiem już pustej. Wolno jechała właśnie w ich kierunku jakaś spora torba podróżna.

– Patryk Nałęcz? – zapytała Karen i podeszła do mężczyzny. Miała przewagę nad prawnikiem, bo widziała wcześniej jego zdjęcie. Zastanawiała się ostatnio, jak RODO wpłynęło na zwyczaj pokazywania na lotniskach tabliczek z nazwiskami pasażerów. W każdym razie Nałęcz jej nie miał.

– Pani Anna Fleming? – odparł Patryk i spojrzał ze zdziwieniem na młodą dziewczynę. Spodziewał się kogoś starszego.

– Anna Fleming to moja babcia. – Karen uśmiechnęła się i wskazała głową wypatrującą swojej torby Annę. – Karen Fleming Lindberg. Miło mi pana poznać.

– Spodziewałem się, że pani Fleming przyjedzie z mężem. – Patryk przywitał się z Karen, a następnie uklonił Annie i rycersko chwycił jej torbę, gdy tylko pojawiła się na taśmie.

– Mała zmiana planów. – Anna, korzystając z okazji, że Patryk był akurat zajęty jej bagażem, zlustrowała prawnika od stóp do głów. Ona także spodziewała się kogoś starszego.

Karen spojrzała na babkę z uśmiechem.

Cały tydzień zajęło jej, żeby ją przekonać do tej wyprawy. Po dwóch dniach przyłączył się dziadek, co odniosło skutek akurat odwrotny. I dopiero po kolejnych dwóch dniach Anna sięgnęła wreszcie po telefon i połączyła się z warszawską kancelarią. Argumentem, który w końcu zadziałał, była stara mądrość, że im prędzej wszystko się zacznie, tym prędzej się skończy.

Tydzień upłynął Karen na studiowaniu rodzinnych albumów i starych papierów. Sporo ciekawych wiadomości znalazła także w sieci, na różnego rodzaju stronach genealogicznych, w archiwach wojskowych, archiwach akt dawnych, z których pościągająca na dysk dostępne stare dokumenty. Jechała więc do Warszawy uzbrojona w podstawową wiedzę na temat historii rodziny i sama się sobie dziwiła, że tak ją to wciągnęło.

– Zaparkowałem niedaleko. – Patryk wskazał głową wyjście. – Niekoniecznie zgodnie z przepisami. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Ale dzięki temu nie będą panie musiały czekać. Zarezerwowaliśmy dla pań

pokoje w hotelu Warszawa – poinformował, gdy znaleźli się we wnętrzu czarnej skody superb. – Bardzo piękny budynek, niedawno wyremontowany.

– Dawny Prudential. – Anna wyglądała ciekawie przez okna samochodu. – Stefana Bryły.

– Słucham? – Patryk, zdezorientowany, spojrział w lusterko.

– Stefan Bryła, słynny inżynier, budowniczy tego gmachu – odpowiedziała Anna, nie odwracając wzroku od okna. – Zamordowany w czterdziestym trzecim za prowadzenie tajnego nauczania na wydziale budownictwa.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Karen patrzyła na Annę z niedowierzaniem. – To przez wujka Igora?

– A gdzie tam wujka – parsknęła Anna. – Igor rozmawiałby ze mną o architekturze? Piekło by prędzej zamarzło. Jak Edward jeszcze pracował w PŻM, to jeździł do Warszawy na delegacje. Nocował wtedy w tym hotelu. Byłam z nim raz czy dwa. Poza tym, dziecko, przecież ja dzieciństwo spędziłam w Warszawie.

Skoda przetoczyła się Alejami Jerozolimskimi i na rondzie Dmowskiego skręciła w Marszałkowską.

Karen poprawiła kapelusz. Elsa spakowała wyłącznie jakieś wybitnie kobiece rzeczy. Ani jednej bluzy dresowej, ani żadnej czapki z daszkiem. Z džinsów jedynie obcisłe od Calvina Kleina, za którymi specjalnie nie przepadała, a w których jakoby wyglądała świetnie. Na moment dopadła ją nieprzyjemna myśl, że może przestała o siebie dbać. Może Lasse właśnie tego szukał w nowej dziewczynie. Jakiejś stylówki, prowokacyjnych ciuchów.

No to teraz pewnie byłby zadowolony. Przyjechała do tej Warszawy ubrana jak jakaś influencerka. Cielista luźna sukienka z mocno podkreślonym biustem i czarny kapelusz z falującym rondem. Nawet nie wiedziała, że taki ma.

Skoda stanęła na światłach przed skrzyżowaniem ze Świętokrzyską. Karen oderwała wzrok od okna i w lusterku wstecznym złowiła spojrzenie Patryka. Speszony od razu umknął wzrokiem.

Przez moment w samochodzie panowała cisza i słychać było tylko warkot

silnika i hałas miasta dochodzący zza szyb. Skoda skręciła w prawo i za chwilę zatrzymała się przy szerokim chodniku prowadzącym do dawnego Prudentialu.

– Nie mogę tutaj parkować. – Patryk się odwrócił. – Wysadzę panie i za chwilę będę. Proszę poczekać na mnie w holu.

– Ale my sobie poradzimy, młody człowieku. Bardzo dziękujemy. – Anna chwyciła swoją torebkę i sięgnęła do klamki.

– Nie wątpię, pani Anno. – Patryk się uśmiechnął. – Ale muszę zabrać dokumenty, o które prosiliśmy. Jeśli notariusz dostanie je wcześniej, wszystko przebiegnie sprawniej. No i mam do przekazania parę informacji.

Dziesięć minut później, gdy już usiedli w lobby niedaleko głównego wejścia, Anna wyciągnęła ze swojej torby teczkę z dokumentami, otworzyła ją i położyła przed prawnikiem.

– To naprawdę szczęśliwy traf, że miała pani akurat wszystkie odpisy z urzędu stanu cywilnego. – Patryk po kolei przeglądał każdy dokument.

– To nie żaden szczęśliwy traf, tylko zdrowy rozsądek. Po korowodach przy poświadczaniu dziedziczenia po babci Marii. Pamiętasz to zamieszanie?

– Anna spojrzała na Karen, która dyplomatycznie uniosła brwi. – Postanowiłam wtedy skompletować wszystkie dokumenty i mieć je u siebie w archiwum. Nigdy nic nie wiadomo, niestety.

– To bardzo rozsądne. – Patryk zamknął teczkę i ukłonił się Annie. – Najważniejsze jednak, że dziedziczące wraz z panią kuzynki potwierdziły dane w projekcie protokołu notarialnego i wyraziły zgodę na otwarcie testamentu i spisanie protokołu dziedziczenia. To pozwoli jeszcze dzisiaj zakończyć całe postępowanie notarialne.

– Całe szczęście. – Anna odetchnęła z ulgą.

– Muszę przyznać, że taka dobra współpraca w rodzinie nie zdarza się zbyt często.

– Jeszcze nie wiemy, co jest w testamencie – odezwała się Karen i rzuciła Annie porozumiewawcze spojrzenie, nie starając się specjalnie ukryć, że świetnie się bawi. – Ani tym bardziej w kufrach. Może się okazać, że to puszka Pandory.

– Nie kracz, dziecko.

– Myślę, że nie będzie tak źle. Ja w przeciwieństwie do pań znam już zarówno zawartość testamentu, jak i tych skrzyń. Ale à propos... – Patryk na moment zmarszczył brwi. – Nabycie spadku, ze względu na fakt, że mienie hrabiny Radeckiej-Mikulicz znajduje się wciąż jeszcze w Anglii, może przysporzyć pewnych drobnych trudności. Także prawnych. Dlatego proponujemy dalszą współpracę – powiedział i spojrzał ponownie na Annę.

– Jakich trudności? – Zaniepokojona Anna podniosła wzrok.

Już zdążyła się przyzwyczać do myśli, że wszystko skończy się dzisiaj, w piątek zwiedzą z Karen Warszawę i zdążą wrócić do Dalewa jeszcze na sobotni podwieczorek.

– Nie mogę ujawniać zapisów testamentowych – powiedział Patryk z miną wyrażającą ubolewanie. – Dlatego będziemy mogli porozmawiać o tym dopiero po fakcie. Przy okazji mam do przekazania kilka bardzo interesujących dokumentów, które wpadły mi w ręce przy prowadzeniu tej sprawy. Proponuję, żebyśmy jutro się spotkali.

Prawnik wyjął wizytówkę i położył ją na stole.

Jakiś czas później, gdy już ulokowały się w swoich pokojach, Karen zastukała do Anny i weszła do środka, ciekawie rozglądając się po nieco innym niż jej układzie pokoju.

Anna powędrowała wzrokiem za spojrzeniem wnuczki. Okna wychodziły na oszklone patio, przez które do środka wpadały promienie słońca.

– Nie uważasz, że to trochę dziwne? – zapytała. Wstała, podeszła do jednej z panoramicznych szyb i wyjrzała na zewnątrz.

– Co takiego? – Karen usiadła na łóżku i śmiejąc się, podskoczyła kilka razy. Przypomniała sobie, że gdy była dzieckiem, przyjeżdżała do dziadków i skakała po łózkach wraz z wujkiem Igorem, który był wtedy studentem, ale nie przeszkadzało mu to w wygłupach. – Co jest dziwne?

– To, że opłacili nam pobyt tutaj. – Anna powiodła spojrzeniem po ścianach wyłożonych drewnem. – Dosyć drogo. No i przelot.

– E tam! – Karen wzruszyła ramionami. – Przelot to tysiąc złotych w obie strony, a za nasze pokoje będzie pewnie ze dwa koła. Co to jest dla wziętej

warszawskiej kancelarii.

– Hm... – Anna usiadła na krześle obok małego stoliczka i ponownie rozejrzała się po wnętrzu pokoju. – Kiedy nocowaliśmy z Edwardem w tym hotelu, dominował tutaj taki peerelowski wystrój, wiesz, metaloplastyka i takie tam.

Karen, która urodziła się w Szwecji, na dobrą sprawę nic nie kojarzyło się z Peerelem, ale wolała nie pytać. Wzornictwo przemysłowe interesowało ją jeszcze mniej niż turystyka.

– Nie masz ochoty na kawę? – zapytała z nadzieją w głosie i spojrzała na babcię.

– W zasadzie... Bardzo chętnie bym się napiła.

Chwilę później siedzieli zatem przy stoliku w hotelowej kawiarni. Zamiast sufitu nad ich głowami wisiały stalowe panele ażurowej konstrukcji, pomiędzy którymi przez wielkie tafle szkła widać było dachy sąsiednich kamienic.

Karen wpatrywała się w ekran komórki.

Elsa chwilę wcześniej przysłała jej zdjęcie Lassego z krótką informacją, że widziała go w bibliotece akademickiej. Karen nie miała wprawdzie pojęcia, do czego właściwie mogłaby się przydać ta informacja, ale intuicja podpowiadała jej, że przyjaciółka chce jej jakoś dowieść, że Lasse jest przygnębiony. Wybrała bowiem zdjęcie, na którym szedł z pochyloną głową i zaciśniętymi ustami.

– Czemu to miejsce nazywa się Szóstka? – zapytała Anna.

– Słucham? – Karen spojrzała na nią nieprzytomnie, skupiona na analizowaniu fotografii.

– Zastanawiam się, skąd ta nazwa.

– To chyba szóste piętro – bąknęła Karen.

Zamknęła aplikację i odłożyła telefon. Pies mu mordę lizał czy jak tutaj w tej Polsce mówią.

– A może zjemy coś słodkiego? – zaproponowała i spojrzała na babcię z uśmiechem.

– Widziałaś ceny? – Anna pokręciła głową z niesmakiem. – Czterdzieści

złoty za jakieś ciastko z jabłkami. Rozbój! Za samą kawę zapłacimy tyle, ile letnicy płacą u nas za dzień pobytu. Z wyżywieniem.

– Oj tam. Odziedziczyłaś właśnie kufry z rodzinnymi skarbami, więc nie musisz się martwić – stwierdziła Karen i zachichotała. – Spokojnie możemy zjeść po jednym snobistycznym warszawskim ciastku.

Chwilę później kelner postawił przed nimi filiżanki z kawą i talerzyki z kawałkami ciasta, przyozdobionymi listkami mięty i okruchami czekolady.

– A co tam słyhać u wujka tak w ogóle? – Karen odsunęła od siebie telefon.

Anna westchnęła i sięgnęła po filiżankę.

– Ostatnio usiłowałam wpytać mamę, jak to się stało, że wujek zaczął nagle tak dobrze zarabiać – ciągnęła wątek Karen. – Ma więcej zleceń? Czy to jakiś doskonały kontrakt?

– Twój wujek wpędzi mnie w końcu do grobu – oświadczyła Anna i pokręciła głową. – Też chciałabym wiedzieć, skąd nagle ma tyle pieniędzy, ale zbywa mi zawsze jakimiś żartami. No i stale jest w Londynie. Martwię się, że on robi jakieś podejrzone interesy.

Karen uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

– Wujek Igor nigdy nie miał głowy do interesów. Naprawdę nie chce nic powiedzieć? Może po prostu pracuje dla tych Anglików? Tam pewnie znacznie lepiej płacą.

– Próbowałam się dyskretnie wpytać... – Anna pochyliła się nad stolikiem. – Oczywiście tak, żeby się o tym nie dowiedział, bo przecież od razu miałby pretensje.

– I co? – Karen spojrzała z ciekawością, oblizując łyżeczkę z resztek kremu.

– No i twoja była ciotka Dorota...

– Moja była ciotka Dorota i dyskrecja – parsknęła Karen.

– No nie przesadzaj, ona wcale nie jest aż taką paplą. No więc Dorota zdradziła mi, że Igor razem z tymi londyńskimi przyjaciółmi zajmuje się poszukiwaniem skarbów.

– Co takiego?! – Karen na moment znieruchomiała i otworzyła szeroko

oczy. – Żartujesz?!

– Wprawdzie kpiała sobie najwyraźniej, znasz przecież Dorotę, ale coś jest na rzeczy. Dwa lata temu prasa opisała nawet pewną ekspedycję duńską, w której brali udział jego angielscy przyjaciele. Chodziło o wrak jakiegoś okrętu czy coś tam. Igor oczywiście powiedział, że ich obecność była całkowicie kurtuazyjna, rzekomo ojciec jednego z nich sponsorował całą ekspedycję, ale najwyraźniej coś kręcił. Boję się, że wpakował się w coś złego. – Anna westchnęła i ukroiła łyżeczką kawałek ciastka. – W dodatku rzeczywiście ma obecnie dużo pieniędzy. Cholera wie skąd. A przecież całkiem niedawno narzekał, że ma straszne długi. A teraz dla odmiany zaproponował, że sfinansuje remont tej ruiny w naszym parku. Wyobrażasz sobie?

Karen wpatrywała się w babcię z rosnącym zainteresowaniem i niedowierzaniem.

– Wrak okrętu? Igor? To niezłe hobby sobie wujek znalazł. Tego, co mówi Dorota, nie traktowałabym jednak poważnie. Nigdy nie przepadałam za byłą żoną wujka.

– Jest kuta na cztery nogi, to jej trzeba przyznać – skwitowała Anna. Pokiwała smutno głową i odłożyła łyżeczkę na talerzyk. – Co wcale mnie nie uspokaja w kwestii wyczynów twojego wuja. Mamy z nim tutaj prawdziwy krzyż pański.

Temat rozwodu wujka Igora spowodował, że przed oczami Karen znowu jak duch pojawił się Lasse. Po kilku dniach powtarzających się regularnie telefonów odpisała w końcu, że nie ma siły na rozmowę z nim. Telefony i wiadomości ustały na trzy dni, po czym Lasse zaczął robić jej wyrzuty. Że ostatnio stale jej nie było w domu, że tak się skupiła na zaliczeniach, że w ogóle nie mieli kontaktu, a jak już się zeszli, to była zmęczona po treningach. Karen zaczęła żałować, że mu odpisała. To naprawdę tak wyglądało z jego perspektywy? Czy to tylko nieudolna linia obrony?

Anna spojrzała na zegar zawieszony nad barem.

– Już czternasta! Musimy się powoli zbierać. Nie wiadomo, jak długo taksówka będzie się przedzierała przez miasto o tej porze. Ten prawnik ostrzegał, że może być kłopot z dojazdem.

Salka konferencyjna kancelarii Nałęcz & Łaniewski i Partnerzy, utrzymana w chłodnych szarościach i elegancko neutralna, rozświetlona była teraz słońcem, które wpadało przez wielkie płaszczyzny okien i układało się miękko na grafitowym blacie stołu konferencyjnego.

U jego szczytu siedział łysiejący mężczyzna w ciemnym garniturze i rozkładał przed sobą jakieś dokumenty. Anna i Karen zajęły miejsca po jednej stronie stołu, a po drugiej siedzieli mecenas Łaniewski i skupiony nad jakimś dokumentem Patryk.

Mężczyzna w ciemnym garniturze podniósł w końcu wzrok i spojrzał na Annę.

– Otrzymałem tutaj podpisane już wcześniej projekty protokołów poświadczających dane pani kuzynek, które na mocy testamentu pozostawionego przez Elżbietę Radecką-Mikulicz są równoprawnymi spadkobierczyniami określonej części spadku. Zatem nic nie stoi na przeszkodzie, żeby sporządzić protokół dziedziczenia.

Notariusz sięgnął do jednej z teczek i wyjął z niej stary pożółkły dokument. Przesunął go ostrożnie po stole, po czym założył okulary i podniósł wzrok.

– Zanim to nastąpi, dokonam otwarcia i ogłoszenia testamentu, który sporządziła Elżbieta Radecka-Mikulicz, córka Rodryga i Marii.

Notariusz poprawił okulary, po czym opisał stan zachowania testamentu i przywołał niezbędne dane do sporządzenia protokołu. Gdy te wstępne formalności zostały już zakończone, zaczął czytać.

Dnia 29 czerwca 1944 roku, w obliczu nadchodzącej do Polski i Warszawy armii sowieckiej, nie mogąc przewidzieć wydarzeń, które nastąpią i przeto także miesięcy czy dni, które do końca życia mi pozostały, spisuję moją ostatnią wolę.

Majątki ziemskie w powiecie brasławskim, z dawien dawna do Broel-Platerów należące – Belmont, Bohiń, Olgierdów, Albinowo, Hołowsk, Bogdanowo, Idalinowo, Feliksowo, a także mniejsze folwarki, których nazw nie wymieniłam, a których akta własności posiadam...

Anna słuchała, jak notariusz wymienia majątki z długiej listy kresowych

siedzib, których nazwy brzmiały jak żywcem wyjęte z trylogii Sienkiewicza, i miała dziwne, ale niepokojąco budujące wrażenie, jakby cała ta historia, oddzielona wojną, komunizmem, żelazną kurtyną na jej oczach (w uszach właściwie) ponownie niewidzialnymi nitkami łączyła się ze współczesnością. Niestety bez żadnej siły sprawczej. Trzydzieści tysięcy hektarów dóbr na Kresach Wschodnich, mimo ważności testamentu, nadal zostanie częścią jakiegoś pegeeru na Białorusi.

...Także gospodarstwo leśne z tartakiem, gospodarstwa rybne i jeziora w powiecie brasławskim oraz zakłady wraz z gorzelnią, młynami parowymi i fabryką tektury „Platerowo”...

Karen, obserwującej z lekkim rozbawieniem skupionego nad czymś Patryka, przyszło na myśl, że określenie ciotecznej pra-ileśtam-babki mianem jednej z najbogatszych kobiet Drugiej Rzeczypospolitej chyba jednak nie było znowu aż taką przesadą.

Odziedziczone po mojej matce majątki ziemskie Sworotwa Wielka wraz z folwarkami oraz Strumiłowszczyzna w powiecie nowogrodzkim przekazuję bratankowi Władysławowi...

Bratanek Elżbiety, Władysław Kalikst Potocki, zginął w wypadku samochodowym koło Waszyngtonu w 1973. Awanturnik, który przez całe życie chwycił się coraz to innych zajęć. Ziemianin, plantator eksperymentalnego na polskich ziemiach tytoniu, później założyciel spółek okrętowych i rybackich w Gdańsku i we Francji, a w końcu na usługach polskiej służby wywiadowczej we francuskim ruchu oporu. Anna o wszystkim tym albo czytała, albo słyszała niegdyś od krewnych, generalnie nie była tego pewna.

Nieruchomości w Warszawie przekazuję mojemu mężowi Marianowi. Składają się na nie willa Węgierka w Wilanowie wraz z całym wyposażeniem oraz dom przy alei Róż 1 wraz z całym wyposażeniem i dobytkiem, które na żądanie okupanta zostało wywiezione, w pierwszej części w roku 1942, a w pozostałej w roku bieżącym. Dobytek w postaci szczegółowego protokołu wraz z adresami miejsc, w których został ulokowany, zostanie załączony do

testamentu...

Karen, która przez ostatni tydzień zdołała sobie także przyswoić podstawy przedwojennego prawa spadkowego, kojarzyła, że Marianowi w trybie ustawowym przypadłaby jedynie jedna czwarta majątku Elżbiety, i to tylko tego, który nie został, jak Belmont, objęty prawem dożywotnim. Dzięki testamentowi Elżbieta zabezpieczyła swojego mężusia, bo gdyby ona zeszła z tego świata przed nim, byłby bardzo bogatym człowiekiem.

A zaraz potem Karen z poczuciem winy uświadomiła sobie, że prapradziadek Marian w tym samym czasie, gdy Elżbieta spisywała testament, nie żył już od czterech lat. Z kulą w potylicy, w wojskowym szynelu zawiązanym na głowie, leżał w zbiorowej mogile w lasach pod Charkowem.

A Elżbieta jeszcze o tym nie wiedziała.

W domu przy alei Róż 1 w Warszawie ukryte zostały dwa kufry...

I Anna, i Karen oderwały się od kontemplacji międzywojennej doczesnej fortuny Elżbiety, która kołem stoczyła się w ruiny Warszawy i stracone kresy, i spojrzały na notariusza.

Mój pierwszy mąż Feliks Broel-Plater opowiedział mi niegdyś pewną legendę związaną z Belmontem. Głosiła ona, że dawno, dawno temu w niewyjaśnionych okolicznościach na ziemiach należących do rodziny mojego męża, w podziemiach jakiegoś zamku ukryta została ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra. Wedle legendy trafić można było do niej tylko w święto Mendoga. W jaki sposób Belmont miałby się z tym łączyć, nie wiadomo. W archiwum Belmontu miał się podobno znajdować klucz do tej zagadki, ale nikt nigdy go nie odnalazł. Rzekomo widziano kiedyś wysadzany kamieniami szlachetnymi pastorał czy krzyż, który był częścią tego skarbu, ale i on potem zaginął. Opowiadano także o jakiejś dziwnej maszynie, którą jakoby dziad mojego męża w dawnych czasach miał przywieźć z Dalekiego Wschodu. Ta machina także z owym skarbem jakoś się wiązała, ale to już bajki zapewne, chociaż i w archiwum Kozaczyzny coś na ten temat rzekomo się znajdowało. W domu przy alei Róż 1 w Warszawie zostawiam przeto dwa kufry i zapisuję całą ich zawartość mojemu szwagrowi

Stanisławowi, który zawsze pasjonował się starożytnościami, a z racji pełnionej funkcji najlepiej wiedział będzie, jak z nimi postąpić. Zobowiązuję go jednocześnie do tego, aby zawartość owych kufrów pozostała w całości i nigdy nie uległa rozproszeniu i żeby, gdy tylko to będzie możliwe, udostępnioną została publicznie...

Karen, która słów notariusza słuchała, wstrzymując oddech, głęboko westchnęła. Czegoś takiego absolutnie się nie spodziewała. Albo praciotka przez całą pierwszą część testamentu starannie zatuszowała fakt pomieszczenia zmysłów i dopiero pod koniec nie udało jej się ukryć szaleństwa, albo to jakaś kompletnie odjazdowa rodzinna tajemnica.

Ale notariusz nie skończył jeszcze czytać.

Wraz z dwoma kuframi z Belmontu w domu przy alei Róż ukryty został także powierzony mojej pieczy kufer mojej szwagierki Jadwigi Radeckiej-Mikulicz. Mojego męża Mariana zobowiązuję zatem do zwrócenia należącego do niej mienia w stanie nieumniejszonym.

Anna, z wymalowanym na twarzy wyrazem totalnego osłupienia, powoli odwróciła się do Karen i spojrzała na nią wstrząśnięta.

– Zdaje mi się, że wypowiedziałam w złą godzinę te zdania o poszukiwaniu skarbów przez twojego wujka.

Minęło jeszcze sporo czasu, nim notariusz wygłosił wreszcie końcowe oświadczenie, prawnicy dopełnili ostatnich formalności, a wszystkie dokumenty i protokoły zostały podpisane.

Anna Fleming, z domu Radecka-Mikulicz, wraz ze swoimi dwiema kuzynkami stała się niekwestionowaną współwłaścicielką dwóch ogromnych kufrów, które nadal wprawdzie znajdowały się w londyńskim archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii. Ich istnienia nikt przynajmniej nie podważał. Stała się także współwłaścicielką hipotetycznego trzeciego kufra, o którym nic konkretnego nie było wiadomo, oraz całkowicie teoretyczną współwłaścicielką kilku folwarków i jakichś dwóch tysięcy hektarów ziemi na terenach dzisiejszej Litwy i Białorusi.

Rozdział 5

LONDYN

Wściekle pomarańczowy TIR z emblematami angielskiej firmy spedycyjnej skręcił z Lombard Wall w Riverside i powoli zaczął się przeciskać pomiędzy starymi murami z czerwonej cegły a współczesnymi ogrodzeniami z betonowych paneli. Przy wąskiej uliczce stały zapuszczone magazyny, dawno nieremontowane budynki biurowe i socjalne i tylko gdzieś wyrastała lśniąca czerwienią licowej cegły nowa zabudowa jakiejś firmy. Volvo minęło ostatnie metry wąskiej Riverside i z groźnym pomrukiem zatrzymało się przed ogrodzeniem, za którym widać było spory betonowy plac, a nieco dalej Tamizę. Stalowa brama drgnęła i powoli zaczęła się przesuwac. Po chwili TIR wmanewrował na plac i zatrzymał się przed wrotami stojącego tutaj magazynu.

Na piętrze w sporej sali, której okna wychodziły na plac przed budynkiem, przy jednym z nich stał wysoki ciemnowłosy mężczyzna i wpatrywał się w parkującą ciężarówkę.

– Przyjechał transport – oświadczył, odwrócił się i spojrzał z ożywieniem w kierunku długiego stołu, przy którym siedziało pięciu mężczyzn i dwie kobiety.

– Przywieźli?! Serio? – Szczupły blondyn w białej koszuli poderwał się i doskoczył do okna.

– Usiłuję wam właśnie wytłumaczyć... – Potężnie zbudowany mężczyzna w grafitowym garniturze spojrzał z irytacją na jasnowłosego towarzysza. – Igor! Johann! Do diabła! Jest po osiemnastej! Nie uporamy się z tymi papierami do północy!

Z dołu dobiegł łoskot otwierających się drzwi magazynu.

Johann odwrócił się w kierunku oszklonej ściany, która oddzielała salę konferencyjną od galerii zawieszanej nad parterem budynku.

– Zaraz do tego wrócimy! Przecież się nie pali! Idziemy zobaczyć! No co?
– Uśmiechnął się ugodowo. – Nie jesteś ciekawy?

Po chwili drzwi z trzaskiem uderzyły o ścianę i rozległ się głośny stukot, gdy Johann zbiegał po stalowych stopniach na parter. W ślad za nim ruszył jego ciemnowłosy kolega.

– Idziemy! Dermot, nie wydziwiał, zdążymy. – Wyjątkowo przystojny mężczyzna w ciemnej koszulce polo także się poderwał, a zaraz za nim korpulentny jegomość w szarym garniturze.

– A ty dokąd, Jamie?! Co ma księgowy do sprzętu?! – Dermot trzasnął plikiem dokumentów o stół i z rezygnacją pokręcił głową.

Po chwili cała siódemka była już na dole i patrzyła, jak wielki TIR powoli wjeżdża tyłem do hangaru. Warkot potężnego silnika zwielokrotniała stalowa konstrukcja budynku.

– Może być tutaj? – Z szoferki wyjrzał kierowca i wychylił się przez okno, usiłując oszacować wielkość hangaru.

– Dalej, dawaj! – Jeden z dwóch ubranych w robocze kombinezony pracowników machnął do niego ręką. – Pod ścianę.

– Jeszcze prowadnice muszą się zmieścić!

– Zmieszczą się! Dawaj!

Chwilę później otwarły się tylne wrota samochodu, a z wnętrza wyjechały dwie szyny. Powoli się wysunęły, rozłożyły i opadły na betonową posadzkę hangaru.

– Ile on właściwie kosztował? – Dermot pochylił się nad ramieniem Jamiego.

– Pytaj Johanna, a nie mnie.

– To ty jesteś księgowym.

– To inwestycja. – Johann uśmiechnął się, patrząc zaaferowany na ogromną drewnianą skrzynię, która powoli zjeżdżała po szynach. – Z takim sprzętem mamy o wiele większe szanse niż ze zwyczajnymi robotami.

– Jak głęboko on może zejść? – zapytał ciemnowłosy mężczyzna, który z takim samym jak inni podekscytowaniem wpatrywał się w skrzynię.

– Nawet do sześciu tysięcy metrów – odparł Johann z dumą. – Potęga!

Wielki drewniany kontener zatrzymał się, a dwaj mężczyźni z firmy przewozowej zaczęli odpinać mocujące go taśmy. Szyny, składając się po drodze, wjechały z powrotem do wnętrza samochodu.

– Deep Explorer, jeden z najbardziej precyzyjnych i najlepiej wyposażonych robotów typu ROV[6]. – Johann zachowywał się tak, jakby to była wyłącznie jego zasługa.

– A to?! – Dermot wskazał ręką wielkie kartony, które tragarze wynosili właśnie z samochodu i ustawiali pod ścianą.

– Oj, Dermot... – jęknął Johann.

– Co to jest?! – Dermot pochylił się nad jednym z kartonów. – LIDAR?! Po co nam taki wyjebany laserowy skaner? W dodatku LIDAR[7]?! To przecież do skanowania lotniczego! Igor?! – Dermot spojrzał oskarżycielsko na ciemnowłosego mężczyznę.

Igor uśmiechnął się niewinnie i wzruszył ramionami.

– Samolot też kupiliśmy? – Jamie spojrzał na Johanna kpiąco.

– Tym skanerem robi się także mapowanie dna morskiego – bronił się Johann.

– Do pięćdziesięciu metrów głębokości! – Dermot wpatrywał się w kolegę z irytacją. – Głębiej nie da rady. I działa też z samolotu! Mam nadzieję, że samolotu jednak nie kupiliśmy!

– Gwen, chodźmy stąd. – Jasnowłosa dziewczyna skinęła do drugiej z kobiet. – Oni się zaraz pobiją o te zabawki. To istne przedszkole, a nie hangar poważnej firmy eksploracyjnej.

– Dobra! – Dermot rozpostarł ręce, jakby zaganiał stadko ptactwa do kurnika. – Na górę! Wszyscy na górę! Musimy skończyć z papierami, bo mnie szlag zaraz trafi!

Firma poszukiwawcza Sedinum Exploration powstała, gdy całkowicie przypadkowo w trakcie letniego nurkowania na Bałtyku odkryli wrak starego okrętu. Cała ósemka, wliczając nieobecna na tej naradzie dziennikarkę Paulinę Weber, poznała się kilka lat temu dzięki dziennikarskiemu śledztwu Pauliny. Dotyczyło ono katastrofy budowlanej w Szczecinie, w wyniku której odnalezione zostały cenne artefakty i archiwalia. Igor Fleming, architekt

zaplątany w formalności budowlane związane z tamtym feralnym gmachem, Johann, dzięki matce, potomek pomorskiej rodziny szlacheckiej, z owymi archiwaliami właśnie związanej, i Paulina, która wpakowała się w to wszystko trochę z powodów zawodowych, a głównie przez wrodzone wścibstwo, poznali się jako pierwsi. To jej wścibstwo naraziło ich jeszcze potem na kilka innych przygód. Rok po wydarzeniach w Szczecinie wpadli na trop wraku z piętnastego wieku i tak zaczęła się historia firmy Sedinum Exploration.

Dermot sięgnął ponownie po plik dokumentów, które dopiero co cisnął na stół, i położył je przed sobą.

– W tym, na co się porywamy, jedyną naszą przewagą nad innymi firmami eksploracyjnymi był dostęp do prywatnych hiszpańskich archiwów. Dzięki rodzinnym koneksjom Gwen. – Spojrzał na uśmiechającą się skromnie dziewczynę. – I na tym nasze aktywa się kończą. Pieniądzy, można właściwie powiedzieć, nie mamy żadnych...

– Nie przesadzasz trochę? – Igor spojrział na Dermota z mieszaniną zdumienia i rozbawienia.

Dermot przez chwilę patrzył na niego z irytacją.

– Wiesz, jaki budżet ma na przykład Odyssey Marine Exploration? – spytał. – Roczny?

Igor uniósł brwi z zaciekawieniem.

– Dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów! – wycedził Dermot z naciskiem. – Piętnaście lat temu, gdy u wybrzeży Gibraltaru znaleźli wrak hiszpańskiego galeonu, wydali na poszukiwania, na logistykę i wreszcie na całą operację wydobywania, a pewnie także i na łapówki, trzy miliony dolarów. Trzy miliony! I co się stało?

Powiódł spojrzeniem po twarzach przyjaciół.

– Dermot... – Johann westchnął.

– Nie Dermot, tylko wszystko stracili! Wszystko zgarnęła Hiszpania. Nie dostali ani grosza z tej imprezy, a na batalię sądową z rządem Hiszpanii wydali pewnie jeszcze dodatkowo z pół miliona. Różnica polega jednak na tym, że ich na to stać.

– Mam dość tego ciągłego porównywania do innych. – Johann westchnął ponownie. – Odyssey to ogromna firma, która zajmuje się głównie poszukiwaniem minerałów na dnie mórz. Ma zlecenia od rządów na całym świecie. Poszukiwania wraków to dla nich wyłącznie zabawa. Po co nas do nich porównujesz?

– No właśnie po to – powiedział Dermot z irytacją. – Uważam, że powinniśmy jakoś dywersyfikować tę naszą działalność. Statek badawczy, który kupiliśmy, za miesiąc będzie gotowy, i co dalej? Mamy kupę sprzętu do nurkowania i do analizy. Mamy teraz batyskaf, chociaż to był zupełnie zbędny wydatek...

– Ale co? Mamy świadczyć usługi dla rybaków? – odezwał się Jamie.

– Chociażby!

– To teraz ja opowiem o aktywach. – Johann sięgnął po teczkę Dermota i wyszarpnął mu ją, zanim ten zdążył nakryć ją dłonią.

– Mamy bazę. – Johann zatoczył ręką krąg. – A jako że teren należy do mojej matki, nie musimy nic płacić, poza mediami.

– Ja się w ogóle dziwię, że Irene jeszcze nie sprzedała tej działki – wtrąciła Gwen, której rodzina posiadała sieć biur nieruchomości. – Już jest warta majątek, a jak skończą apartamentowce tuż obok na Upper Riverside, to kilogram ziemi stąd będzie wart tyle co kilogram złota.

– Gwen... – Johann rzucił dziewczynie zniecierpliwione spojrzenie. – Więc mamy własny teren – powtórzył, gdy posłała mu całusa. – Zatem nie ponosimy żadnych kosztów. Także za cumowanie tutaj naszego statku. A co do planowanej od prawie roku misji... – Spojrzał znacząco na Dermota. –

Dzięki rodzinnym koneksjom Gwen jako pierwsi obcy po stu latach mogliśmy zajrzeć do rodzinnego archiwum książąt de Medina de las Torres, dzięki czemu dostaliśmy do rąk pamiętnik bosmana z galeonu, jak mu tam...

– „Nuestra Señora de Blanca” – podsunął Igor.

– Właśnie. Poza tym przypominam, że po tym jak zawarliśmy ugodę z Danią i odstąpiliśmy od naszych praw do ładunku, dostaliśmy kupę kasy za wrak odnaleziony na ich wodach na Bałtyku. – Johann ponownie spojrzał na Dermota. – Gdyby nie to, pewnie jeszcze przez dziesięć lat prowadzilibyśmy spory sądowe ze Szwecją i Norwegią. A skaner... – Johann podniósł rękę,

widząc, że Dermot chce mu przerwać.

– Skaner do niczego nam się nie przyda! – Dermotowi udało się jednak wtrącić słowo.

– LIDAR przyda się na wodach przybrzeżnych. Jedna z teorii mówi przecież o tym, że galeon zatonął na rafach na północ od przylądka Tarifa...

– Ale trzeba będzie wynająć samolot!

– A co to za problem?!

Igor wpatrywał się w kłócących się kolegów i czuł, jak powoli rośnie w nim podniecenie na myśl o projekcie, który właśnie omawiali. Mimo że znał ich wszystkich od dobrych kilku lat, w dalszym ciągu łąpał się na tym, że sam nie dowierza, jak dziwnie potoczyło się jego życie. Johann, na co dzień dyrektor kreatywny w londyńskiej agencji reklamowej, prywatnie syn lorda Charlesa Carleya, Gwen Crichton-Stuart, teoretycznie utrzymująca się z pracy w biurze nieruchomości, której rodzina miała ze dwa hrabstwa i kilka zamków, prawnik Dermot Carmondeley, lekarka Alice Griffin-Norton, oboje z tej samej sfery. I tylko Jamie McGowan, księgowy, i Rupert Wickham, fotomodel, byli kolegami Johanna z jego agencji. Nigdy w życiu nie poznałby nikogo z tego towarzystwa, gdyby kiedyś oparł się urokowi Pauliny i nie dał się wplątać w wyjaśnianie afery związanej z katastrofą pewnego biurowca w centrum Szczecina.

Nagle zapadła cisza, która przywróciła do rzeczywistości pogrążonego w myślach Igora. Na moment się wyłączył, więc nie wiedział, o co chodzi. Dyskretnie przyjrzał się twarzom przyjaciół, na których wyraźnie widać było zaskoczenie.

– Dopiero teraz o tym mówisz? – odezwał się Johann, wpatrzony w Dermota ze zgrozą.

– A kiedy miałem powiedzieć?! Polecieście jak idioci oglądać ciężarówkę.

– I co teraz będzie? – Gwen wpatrywała się w Dermota. – Przecież ja mam ustalone terminy, plan urlopowy w firmie.

– A to moja wina? – Dermot machnął rękami. – Dowiedziałem się o tym kilka godzin temu. Wcześniej zapewniali, że nie będzie żadnych kłopotów.

– To dlatego zacząłeś nagle wymyślać usługi dla rolnictwa? – zakpił Jamie.

– Nie ma jakiegoś sposobu, żeby na nich wpłynąć? – Alice przeglądała swój kalendarz w komórce. – We wrześniu to ja w ogóle odpadam.

– Chyba że twój ojciec spróbuje coś ugrać – zwrócił się Dermot do Johanna. – Już tam przecież nurkował. Nam ci pieprzeni Hiszpanie, po dwóch miesiącach oczekiwania zresztą, odpowiedzieli w końcu, że do września nie wyrażą zgody na żadną eksplorację wód w sąsiedztwie parku Estrecho[8].

W sali ponownie zapadła cisza.

Nagle rozległa się syrena alarmowa.

Jamie gwałtownie poderwał się od stołu, strącając przy okazji szklankę z wodą. Szklanka spadła na posadzkę i stłukła się z głośnym brzdękiem.

Dermot głośno zaklął, a reszta towarzystwa wbiła w Igora poirytowane spojrzenia.

– Zmień w końcu, do cholery, ten dzwonek! – warknął Jamie, siadając i patrząc bykiem na chichoczącego Johanna. – Kto podkłada syrenę alarmową pod numer własnej matki?!

Igor, uśmiechając się pojednawczo, chwycił leżący przed nim telefon i wstał od stołu.

– Mamo? – rzucił do słuchawki, gdy znalazł się przy oknie. – Mam teraz spotkanie, nie mogę rozmawiać. Co takiego?

Igor odwrócił się tyłem do sali, czując na plecach wpatrzone w siebie sześć par oczu.

– W Warszawie! Jestem w Warszawie – powtórzyła Anna Fleming. – Z Karen.

– Z Karen? Natasza do was przyjechała? – Igor w pierwszej chwili pomyślał, że siostra z rodziną zmieniła plany i zamiast do Włoch wybrała się, nie wiedzieć czemu, pod Szczecin, ale przypomniał sobie o Warszawie.

– W Warszawie? A co wy tam robicie?

– Przyjechałyśmy na otwarcie testamentu. Zmarła ciotka...

– Ciotka zmarła?! – Igor otworzył oczy z przerażeniem. – Ciocia

Klaudyna? Przecież ona była młoda. Ile miała lat? Boże!

– Jaka Klaudyna? – W słuchawce na moment zapadła cisza. – A nie... Igor! No co ty pleciesz? Nikt nie zmarł.

– No przecież sama powiedziałaś, że zmarła ciotka. – Igor odetchnął z ulgą i oparł się o szybę.

– Nikt nie zmarł. Jesteśmy w Warszawie, bo zmarła...

– Mamo... – jęknął Igor, czując, że ma mętlik w głowie.

– Daj mi powiedzieć, no przecież przez ciebie nie mogę dojść do sedna. Odnalazł się testament ciotki Elżbiety z Belmontu! – dokończyła wreszcie i westchnęła głośno. – Zostawiła nam dwa tysiące hektarów ziemi pod Wilnem.

Igor na chwilę wstrzymał oddech. Matka chyba straciła rozum. Może to udar?

– Mamo, dobrze się czujesz? O czym ty mówisz?

– No ciotka, właściwie cioteczna prababka Elżbieta zapisała pradziadkowi swoje kufry...

– Mamo... – Igor poczuł, że wpada w popłoch, był już prawie pewien, że matka ma coś z głową. – Masz problemy z poruszaniem się? Czujesz jakiś bezwład? Upadłaś może? Zawołaj ojca!

W słuchawce na moment zapadła cisza.

– Igor! Czy ty jesteś trzeźwy? – Anna odezwała się w końcu wyraźnie poirytowanym głosem. – Jaki bezwład?! O czym ty mówisz?! Przecież mówiłam, że jestem w Warszawie! Nie ma ze mną ojca!

– Nagle zaczęłaś opowiadać o jakichś kufrach. Najpierw, że ciotka zmarła, a teraz kufry. Na pewno możesz ruszać swobodnie rękami?

– No kufry, co ja poradzę. Jakimi rękami?! Co? Nie mam żadnego udaru, do diabła! Ale coś czuję, że jak jeszcze chwilę z tobą porozmawiam, to z pewnością szlag mnie trafi!

Igor odetchnął głęboko.

– Mamo, spokojnie. O co w ogóle chodzi?

– O kufry ciotki! Trzeba je odebrać, a skoro jesteś już w tym Londynie, to pomyślałam...

Igora, który zdołał się wprawdzie uspokoić w sprawie udaru, kwestia odbioru jakichś kufrów napęliła ponownie niepokojem. W międzyczasie w dodatku usiłował wygrzebać z pamięci cioteczną prababkę matki. O co w tym wszystkim chodziło?

– Pewnie bez problemu to załatwisz – kontynuowała. – Nasz prawnik wyśle ci zaraz pełnomocnictwo, uzgodnili to już, wystarczy skan. Wybierzesz się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych...

– Gdzie?! – Igor pomyślał, że znowu źle usłyszał.

– Nie, zaraz, nie ministerstwa... – Słyszać było, jak matka konferuje z kimś w tle. – Do archiwum ministerstwa! No bo te kufry stamtąd trzeba odebrać. Po co mają wysyłać, skoro możesz sam zabrać.

– Mamo...

– No to przecież nie jest chyba jakiś duży problem?

Igor któryś już raz w czasie tej rozmowy poczuł, że ma trudności z oddychaniem. Może zbyt pochopnie założył, że wszystko jest w porządku.

– W jaki sposób jakieś stare kufry ciotki miałyby się znaleźć w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Londynie? – spytał w końcu, powoli i wyraźnie artykułując poszczególne słowa. – Może chodzi o Polski Czerwony Krzyż?

W słuchawce rozległo się głośne westchnienie.

– Ja jeszcze do reszty nie zwariowałam, żeby Polski Czerwony Krzyż pomylić z angielskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych!

– Ale może coś ci się po prostu pomieszało.

– Nic mi się nie pomieszało! – Matka najwyraźniej straciła cierpliwość. – Oj, ja już nie mam siły z tobą rozmawiać. Oddaję telefon naszemu prawnikowi. On ci wszystko wyjaśni.

Przez chwilę kompletnie zdezorientowany Igor słyszał, jak w tle wymienia z kimś uwagi, potem kilka szmerów i w końcu w słuchawce rozległ się niski męski głos.

Oczywiście poza Johannem, który po kilku latach znajomości z Igorem i Pauliną zaczął rozumieć sporo słów po polsku, nikt nic nie pojmował z tej rozmowy. Mimo to w sali panowała cisza i wszyscy wpatrywali się

w wyraźnie czymś wstrząśniętego Igora.

Po kilku minutach przerywanych pojedynczymi pytaniami i oznakami niedowierzania Igor pożegnał się w końcu z rozmówcą i odwrócił od okna.

– Coś się stało? – Johann patrzył na niego z niepokojem.

Igor pokiwał głową z niezdecydowaniem.

– Będzie mi potrzebna twoja pomoc – westchnął. – I twoja – dodał, spoglądając na Dermota.

– Ale co się stało?

– Muszę się dostać do archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Rozdział 6

WARSZAWA

Karen stała przed furtą zawieszoną na dwóch filarach obłożonych brzydkim różowym kamieniem i z nostalgią wpatrywała się w fasadę stylowej willi, nazywanej obecnie w przewodnikach po Warszawie pałacykiem Elizy Wielopolskiej.

Na froncie klasycystycznej regularnej fasady znajdował się taras wsparty na czterech toskańskich kolumnach, a do wejścia wiodły szerokie kamienne schody. Karen oczami wyobraźni widziała, jak w czterdziestym trzecim pilnowani przez Niemców tragarze wynoszą stąd kufry i skrzynie z dobytkiem ciotki Elżbiety, a ona sama odjeżdża sprzed bramy wjazdowej jakąś niezarekwirowaną bryczką albo riksą. Samochód pradziadka Mariana, wielkiego czarnego mercedesa, którego zdjęcie widziała w jakimś albumie babci, zajęło polskie wojsko jeszcze we wrześniu trzydziestego dziewiątego.

Willa od strony Alei Ujazdowskich sprawiała wrażenie małej gustownej siedziby, ale był to tylko czubek góry lodowej. Stała na rogu, a wzdłuż alei Róż ciągnęło się boczne skrzydło, zakończone oficyną, prawie tak samo dużą jak główny budynek. Pomiędzy nimi był zaś wielki dziedziniec zamieniony obecnie na parking.

– Odwiedziłam to miejsce kilka razy – odezwała się Anna stojąca nieco dalej i schowana pod koroną rozrośniętego kasztanowca. – Wtedy jeszcze była tutaj ambasada Wielkiej Brytanii.

– A właściwie z jakiego powodu ciotka musiała się stąd wyprowadzić w czasie wojny? – Karen stanęła tyłem, podniosła komórkę i zrobiła sobie selfie na tle budynku.

– Żartujesz, dziecko? – Anna spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Zamierzamy znowu poruszyć temat patriotyzmu?

– Wiedzy ogólnej tym razem. – Anna na moment się zamyśliła. Zastanawiała się, jak wielu młodych warszawiaków potrafiłoby powiedzieć cokolwiek o historii Szczecina. Może rzeczywiście niepotrzebnie daje się ponieść swoim belferskim przyzwyczajeniom. – W czasach okupacji była tutaj dzielnicą policyjną. Wiele budynków przejęła niemiecka administracja, a w części z nich znalazły się lokale dla urzędników i oficerów. Mieszkańców zaś wykwaterowano. Ciotka i tak została potraktowana dość ulgowo. Najpierw Niemcy kazali jej opróżnić tylko parter i wprowadzili tutaj zbór ewangelicki. Elżbieta mieszkała jeszcze cały rok na wyższych piętrach, zanim polecili jej się całkiem wynosić.

– A co się stało z wyposażeniem? – Karen skinęła głową w kierunku pałacu. – Tu musiały wisieć setki obrazów i stać setki starych mebli.

– Nie mam pojęcia. – Anna wzruszyła ramionami. – W testamencie ciotka napisała, że wywiozła gdzieś cały dobytek. Może wszystko rozszabrowano po powstaniu?

– Więc jak to możliwe, że te kufry przetrwały? – Karen zrobiła kilka kroków wzdłuż chodnika przy alei Róż, cykając kolejne fotki. – Prawnik mówił, że w tych archiwach zachowały się bardzo stare i cenne woluminy. Niemcy by je przecież zabrali. Na bank musiała te kufry gdzieś замуrować – stwierdziła zaaferowana i spojrzała na babcie.

Karen wciąż jeszcze była podekscytowana wydarzeniami poprzedniego dnia. A zwłaszcza testamentem i całą aferą, o której będzie mogła opowiedzieć koleżankom. No bo co mogło z tego jeszcze wyniknąć? Tego, co było w kufrach, już się dowiedziały. Po zakończeniu wszystkich formalności Patryk pokazał im zawartość twardego dysku i opowiedział w skrócie o dokumentach, które tam się znajdowały. Niestety ani inkrustowanych rubinami diademów, ani kolii z pereł tam nie było, jedynie stare szpargały.

– Wyślę wujkowi fotkę tego pałacu. – Karen pochyliła się nad komórką. – Może sobie przypomni, o którą ciotkę chodziło.

– À propos ciotek... – Anna rozejrzała się dookoła. – Gdzieś tutaj niedaleko stoi kamienica kolejnej, Heleny Radeckiej-Mikuliczowej z Lipiek.

– Ciotki? – Karen podniosła wzrok. – Twojej ciotki? Czy jak?

– Kuzynostwa z Wołynia. Chyba w tamtą stronę. – Anna skinęła ręką

w kierunku placu Trzech Krzyży. – Możemy się przejść piechotą. Kamienica stoi, o ile pamiętam, naprzeciwko pałacu Pod Karczochem.

– Pod czym? – Karen spojrzała na babkę z niedowierzaniem.

– W połowie dziewiętnastego wieku stał tam pawilon ogrodowy z dachem zwieńczonym rzeźbą karczocho, stąd nazwa. Idziemy!

Dziesięć minut później mijały ambasadę Serbii i Czarnogóry, a zaraz potem zaniedbany pałac Śleszyńskich z początku dziewiętnastego wieku, najstarszy budynek w Alejach Ujazdowskich.

– Aleje Ujazdowskie to niegdyś była najelegantsza dzielnica Warszawy. – Anna zatrzymała się u wylotu ulicy Pięknej i upewniwszy się, że jest zielone światło, ruszyła na drugą stronę.

– Czy ja wiem... – Karen rozejrzała się dookoła. – Ulica jak ulica. Kilka domów nawet w dość średnim stanie. Chyba wasza aleja Wojska Polskiego w Szczecinie bardziej mi się podoba. To też, o ile pamiętam, aleja z pałacami arystokracji i przemysłowców.

– Tylko że ocalała w całości, natomiast większość cennych obiektów w Warszawie zmiotła wojna. Z pewnymi wyjątkami oczywiście. – Anna niechętnie skinęła głową w kierunku topornego betonowego gmachu z płaskim dachem, przed którym na maszcie powiewała flaga Stanów Zjednoczonych. – Tutaj jeszcze po wojnie stał pałac Czetwertyńskich. Amerykanie go rozebrali i postawili to coś. O ile kojarzę, o ten pałac cały czas trwa batalia w sądach, Czetwertyńscy ciągle walczą o odszkodowanie. Bardzo dziwna historia. Przeczytałam, że syna ostatniej właścicielki w latach pięćdziesiątych oskarżono o szpiegostwo i rzekomo brali w tym udział Amerykanie, żeby pozbyć się prawowitego spadkobiercy terenu... Czy wasze pokolenie naprawdę nie jest w stanie wytrzymać nawet pięciu minut bez gapienia się w komórkę?! – Anna przystanęła i spojrzała na Karen z dezaprobatą.

– To akurat w dobrej intencji. Sprawdzam, co tu stoi wokół. Czekaj, babciu...

Przez chwilę coś czytała, po czym podniosła głowę i rozejrzała się.

– Wiedziałaś, że tu niedaleko stoi także kamienica Anny Mikulicz-Radeckiej? – Spojrzała na babkę ze zdziwieniem. – O tym mi nic nie

mówiłaś. To też jakaś krewna?

– A dokąd my idziemy?! – Anna spojrzała na Karen ze zgrozą. – Czy ty w ogóle mnie słuchałaś?

– No przecież mówiłaś o jakiejś Helenie. – Karen wyciągnęła w kierunku babki swój telefon. – Zobacz. A tu piszą o kamienicy Anny Mikulicz-Radeckiej. – O to tutaj. – Karen przystanęła przed odnowionym całkiem niedawno budynkiem. – Numer trzydzieści siedem. Wybudowana w tysiąc dziewięćset czwartym według projektu Władysława Marconiego w stylu neobarokowym – przeczytała i zadarła głowę.

Budynek miał cztery kondygnacje i strych, z którego pod samym gzymsem wieńczącym wyglądały, niczym oczy jakiejś neobarokowej bestii, owalne okienka. Nad główną bramą znajdował się balkon z dekoracyjną balustradą z kutego żelaza, której pręty układały się w kształt kosza z kwiatami. W głębi długiego przejazdu widać było rozświetlony słońcem podwórzec.

– No toż przecież to jest właśnie kamienica ciotki Heleny! – Anna podniosła głowę i zlustrowała elewację budynku. – Odnowili ją chyba niedawno.

– A gdzie ten pałac pod... rzodkwią? – Karen obróciła się i rozejrzała dookoła.

– Dziecko, jaką rzodkwią?! Pod karczochem! – Anna wskazała palcem niepozorny budynek po drugiej stronie ulicy. – Tam stoi.

– Też mi pałac – prychnęła Karen. – Stary gołębnik w Dalewie jest większy.

– Teraz dopiero widać, jaka ładna jest ta kamienica. – Anna zadarła głowę, podziwiając ornamenty w kształcie liści palmowych i róż.

– A skąd ta Anna? – Karen podeszła do bramy i przez kratę zajrzała do wnętrza.

– Nie mam pojęcia. – Anna pokręciła głową. – W dodatku źle podane jest nazwisko. Warszawiacy wszystko poplątali.

– Czemu źle? – Karen odwróciła się do babki i spojrzała na ekran telefonu.

– Źle, bo odwrotnie. To kolejna z rodzinnych tajemnic. Niegdyś nazwisko

rzeczywiście pisało się Mikulicz-Radeccy, ale mniej więcej w połowie osiemnastego wieku jakiś przodek zmienił kolejność członów i tak już zostało. Od tamtej pory dwie linie, litewska i wołyńska, używały nazwiska Radeccy-Mikulicz. Jedynie linie, które wcześniej rozjechały się po Rzeczpospolitej, posługiwały się dawnym brzmieniem.

– Wejdziemy do środka? – Karen szarpnęła za kratę. Gdy to nie dało efektu, podeszła do domofonu.

– Może lepiej nie? – Anna stanęła za jej plecami i obejrzała się za siebie. – Jeszcze nas wezmą za kogoś od czyścicieli kamienic.

– No co ty za głupoty opowiadasz, babciu? – Karen spojrzała na Annę z politowaniem. – Tu są siedziby jakichś firm – stwierdziła i zaczęła studiować listę numerów na domofonie. – Przecież możemy być zwykłymi interesantkami. Kto to sprawdzi?

– Ktoś idzie! – syknęła nagle Anna. – Uważaj! Dziecko, na miłość boską!

– A co ja niby robię? – Karen odwróciła się i spojrzała na babkę ze zdziwieniem. – Przecież tylko stoję przy domofonie. Nie włamuję się nigdzie.

– Wchodzą panie? – Młody mężczyzna w szarym garniturze i z torbą przerzuconą przez ramię otworzył bramę i przytrzymał ją, uśmiechając się do Karen. – Proszę bardzo.

– Dziękuję. – Karen odwzajemniła uśmiech i wsunęła się do środka. – Babciu, idziemy.

Anna przez chwilę się wahała, po czym nieco zdenerwowana wyminęła młodzieńca i ruszyła za Karen na podwórze.

– Jest naprawdę ogromna. – Karen stanęła na środku wielkiego podwórka studni i zadarła głowę do góry. – Ta wołyńska linia Mikuliczów miała chyba znacznie więcej kasy niż nasza, skoro mogli sobie zbudować taką czynszówkę w stolicy.

– Zaraz nas ktoś zapyta, co my tutaj robimy.

– No to powiemy, że szukamy agencji PR. Widziałam, że była tam jakaś w spisie.

Anna westchnęła i rozejrzała się po wielkim podwórku kamienicy. Był na tyle duży, że nie sprawiał wrażenia typowej studni, ale raczej

reprezentacyjnego dziedzińca. A dalej wyłaniał się następny, na którym była fontanna wprost tonąca w rozrośniętej zieleni. Bała się nawet pomyśleć, ile mógł dzisiaj kosztować metr kwadratowy takiej kamienicy i w takiej lokalizacji.

Te rozmyślania przerwał telefon, który rozdzwonił się w jej torebce.

– Pan Patryk – powiedziała do Karen, spojrzawszy na wyświetlacz.

Karen, korzystając z chwili, gdy Anna rozmawiała przez telefon, odeszła na bok. Ustawiła się na tle ni to wieży, ni to ryzalitu, w którym mieściła się klatka schodowa, podniosła telefon i zrobiła sobie kolejne selfie.

Wczoraj wieczorem, gdy dotarły już po kolacji do hotelu, ponownie odezwał się Lasse. Czy zamierza z nim w końcu porozmawiać. I co z wyjazdem do Paryża. Przecież on musi sobie jakoś zaplanować wakacje. W ferworze wydarzeń zdążyła na chwilę o nim zapomnieć. Wiedziała, że jeśli odpisze, da się wciągnąć w toksyczną dyskusję, która przeciągnie się do północy, a koniec końców, wyniknie z niej, że wszystko to jej wina.

– Pan Patryk o czternastej zaprasza nas na obiad. – Anna podeszła do niej, chowając telefon do torebki. – Zaproponował, żeby się spotkać na Krakowskim Przedmieściu, blisko placu Zamkowego.

– Byłam tam wczoraj wieczorem. – Karen spojrzała na zegarek. – W takim razie mamy jeszcze godzinę. Możemy się przejść piechotą, to nie jest aż tak daleko.

– Może jak się ma dwadzieścia lat. – Anna westchnęła i znowu sięgnęła po telefon. – Cały Nowy Świat i całe Krakowskie Przedmieście. Po takiej przechadzce musieliby mnie chyba od razu na ostry dyżur zabrać. Jedziemy taksówką.

Dwie godziny później wszyscy troje siedzieli w ogródku letnim na Krakowskim Przedmieściu opodal placu Zamkowego. Patryk, mimo że spotkanie było nieformalne, przyszedł ubrany w elegancką marynarkę i ciemne dżinsy. Jedyne braki przy białej koszuli był odstępstwem od kancelaryjnej etykiety.

Karen obserwowała go dyskretnie. Nie przepadała specjalnie za takimi sztywniakami. Gajery, białe koszule, białe mankiety, korporacyjny dress code. Pewnie tylko w sobotni wieczór przebiera się w T-shirt od Toma Forda

za jedyne tysiąc euro, bierze jakieś piguły albo speeda i szaleje w klubach do rana albo dopóty, dopóki kogoś nie wyrwie. Może dziewczynę, może chłopaka. Nie ma obrączki, no chyba że nie nosi.

Chociaż właściwie... W zasadzie nie wyglądał na kogoś takiego. Ale przecież Lasse także nie wyglądał na... Nie! Lasse wyglądał. Zdecydowanie wyglądał na łobuza.

Może to w tym tkwi jej problem.

– Karen!

Karen zdezorientowana spojrzała na babkę ponaglającą ją wzrokiem.

– Pan Patryk właśnie spytał, jak ci się podoba Warszawa.

– Przepraszam, zamyśliłam się. – Karen uśmiechnęła się do prawnika. – Jeszcze nie wiem, jeśli mam być szczerą. Za mało widziałam.

– Szkoda, że nie zostają panie dłużej. Z przyjemnością służyłbym za przewodnika.

– Moja babcia dobrze zna Warszawę.

– No to za szofera. – Patryk pokazał w uśmiechu białe zęby.

Przez chwilę patrzyli na siebie. On odrobinę zawadiacko, ona odrobinę wyzywająco.

– Jestem Szwedką – odpowiedziała w końcu Karen i sięgnęła po szklanę z wodą. – Jeśli tylko mogę, to unikam samochodu.

Anna dyskretnie odwróciła wzrok, udając, że zainteresowała ją nagle sukienka przechodzącej kobiety.

– Wspomniał pan o jakichś archiwaliach – zapytała, gdy na moment zapadła cisza.

– A właśnie! – Patryk starannie wytarł usta chusteczką i sięgnął do torby. – Obiecałem, że przyniosę paniom pewne dokumenty, które znalazłem podczas rozpoznawania tej sprawy. Może na coś się przydadzą. Poza tym mogą pośrednio dotyczyć także tego trzeciego kufra.

– Ciekawe, co się mogło z nim stać. – Karen wypięła łyk wody mineralnej. – Może nadal jest zamurowany gdzieś w Willi Róż? Ten trzeci kufer znaczy – dodała.

– Mało prawdopodobne. – Patryk pokręcił głową z powątpiewaniem. – Po

wojnie Anglicy robili tam remont, więc pewnie to, co było do znalezienia, dawno znaleźli.

– Więc jak to się stało, że dwa kufry naszej ciotki Elżbiety Anglicy wywieźli, a ten ciotki Jadwigi gdzieś zaginął?

– Jeżeli tam rzeczywiście były jakieś kosztowności, to pewnie po prostu je sobie przywłaszczyli. Mogli to zrobić także Niemcy przed opuszczeniem Warszawy, a potem właściwie każdy. – Patryk wzruszył ramionami. –

Kuframi z papierami nikt by się nie zainteresował, ale jeśli w tamtym rzeczywiście było coś cennego, to ktoś go raczej gwizdnął. Wracając do dokumentów...

Wyciągnął z teczki plik kserokopii. Prawie wszystkie były w kolorze sepii. Kopie starych pożółkłych akt i archiwaliów.

– W czterdziestym piątym roku, dokładnie dwudziestego siódmego sierpnia – Patryk położył na stole plik kartek – hrabina Radecka-Mikulicz złożyła do władz miasta Warszawy kwestionariusz w sprawie szkód wojennych.

Anna wyjęła z kieszeni sukienki okulary i sięgnęła po plik kserokopii.

– Jest to kompletny spis całego wyposażenia willi przy alei Róż, kolekcji malarstwa, ceramiki, rzeźb, mebli. Wszystko to po eksmisji z pałacu Wielopolskich pani hrabina ulokowała w domach rodziny i przyjaciół.

– Mój Boże... – Anna pochylona nad spisem dóbr pokręciła ze smutkiem głową. – Wyczółkowski. Dzisiaj byłby wart z ćwierć miliona. Kolekcja malarstwa holenderskiego, porcelana z Miśni, z Sèvres, majolika z Korca, Baranówki, srebra, złoczone brązy. To majątek.

Karen zajrzała babci przez ramię.

– I co się z tym wszystkim stało?

– Najprawdopodobniej wszystko spłonęło w powstaniu. – Patryk westchnął ciężko.

– A ten wniosek? Ciotka liczyła na jakieś odszkodowanie? – Karen spojrzała na Annę z niedowierzaniem.

Anna pokręciła głową. Nic na ten temat nie wiedziała.

– Ta sprawa nie została nawet rozpatrzona – odezwał się Patryk. –

Niczego nie znalazłem w aktach, żadnej oficjalnej odpowiedzi. Kwestionariusz jest z sierpnia, a od lipca legalnie działał już przecież rząd tymczasowy Bieruta. W dodatku uznany przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Nikogo wtedy nie obchodziły straty wojenne zwykłych ludzi.

– A zwłaszcza arystokracji – dodała Anna z przekąsem.

– W Warszawie działała już wtedy ambasada brytyjska. Pani Elżbieta usiłowała się kontaktować z konsulem, ale zdaje się, że jej unikano. Dotarłem dzięki pomocy brytyjskiego Archiwum Narodowego do dwóch pism, które przesłała pani Mikuliczowa. Ambasadorem był wówczas Victor Cavendish-Bentinck, bardzo dziwna postać. Miał coś wspólnego z brytyjskim wywiadem, ale dwa lata później został wydalony ze służby dyplomatycznej.

– Czyli Anglicy, którzy zajęli jej dom, udawali, że nic się nie stało. – Karen podniosła wzrok znad dokumentu. – Wszystko, co miała, poszło z dymem i została bez dachu nad głową.

– Po prawdzie, jak znakomita większość warszawiaków.

– No a te rzeczy? – Karen wzięła do ręki plik kserokopii. – Dwadzieścia stron wypełnionych spisem cennych dzieł sztuki. Pomijając zupełnie, że to pamiątki rodzinne, to przecież także ogromna strata. Aż trudno uwierzyć. – Wpatrywała się przez moment w zadumie w dokument, wreszcie podniosła głowę. – A co z adresami, na które ciotka to wywozła? Może jednak tam gdzieś trafił zaginiony kufer cioci Jadwini?

Patryk sięgnął po jeden z dokumentów.

– Wszystkie miejsca, w których pani hrabina ulokowała swój dobytek, zajmowała, o ile zdołałem się zorientować, rodzina – powiedział i spojrzał na Annę. – Proszę to potwierdzić.

– O ile będę w stanie – zgodziła się Anna.

– Mieszkanie pana Zygmunta Zyberk-Platera przy Chocimskiej dwadzieścia pięć.

Anna w zamyśleniu spojrzała w przestrzeń.

– Zygmunt to był kuzyn Elżbiety od strony Elizy Wielopolskiej. Jego mama była z domu Wielopolska. Był także znanym przedwojennym architektem. Pamiętam, jak dawno temu ciotki zabrały mnie na Służewiec, żeby mi pokazać tor wyścigów konnych, którego Zygmunt był głównym

projektantem.

– Służewiec? To tego nie doczytałem – stwierdził ze zdziwieniem Patryk.
– Ale Zyberk-Plater był także projektantem modernistycznej kamienicy przy Chocimskiej dwadzieścia pięć właśnie. Budynek należał zresztą do Platerów. Niestety wybudowano go w czasach największego kryzysu, więc miał drewniane stropy i spłonął prawie doszczętnie w czasie powstania. Kolejne miejsce to pałacyk Benedykta Tyszkiewicza przy Pięknej numer pięć.

– Niestety ten budynek także spłonął w czterdziestym czwartym i został rozebrany po wojnie. Dzisiaj w tym miejscu stoi ambasada Kanady. – Patryk obrócił tablet, pokazując Karen zdjęcie w Google.

– Chryste... – Karen przerzuciła pięć kolejnych kartek kwestionariusza. – Trafiło na ten adres dwadzieścia sześć kufrów i skrzyń. Dużo dupereli typu portiery, szynszyle, gronostaje i firany, ale także porcelana saska, miśnieńska, srebra, złocone brązy. I kilkadziesiąt różnych obrazów.

– I niestety, pozostałe dwa miejsca także zostały kompletnie zniszczone. Mieszkanie pełnomocnika pani Elżbiety mecenasa Wacława Szadurskiego przy Rynku Starego Miasta dwadzieścia cztery i restauracja Fregata przy Mazowieckiej jednaście. Notabene, dzięki tej sprawie także sam się czegoś dowiedziałem. – Patryk posłał Annie uśmiech. – Restaurację Fregata prowadziła Zofia Dziakiewiczowa. Bardzo ciekawa postać. Pułkownikowa, wdowa. Otworzyła ją z początkiem wojny, a do obsługi zatrudniła bardzo ładne młode kobiety o znanych nazwiskach z tak zwanego towarzystwa, żeby w ciężkich czasach podreperować ich domowe budżety. Pracowała u niej podobno Nina Andrycz. – Patryk wygrzebał kolejną kserokopię i przesunął ją w kierunku Anny. – Znalazłem pewien dokument, według którego w czterdziestym drugim pani Elżbieta wypożyczyła część mebli, luster i obrazów na urządzenie tego lokalu. Niestety Stare Miasto zamieniono w zgliszcza, a po kamienicy na Mazowieckiej zostały ruiny, które po wojnie kompletnie przebudowano – dokończył Patryk, gdy Anna przeglądała starą umowę.

– Wyczółkowski pojechał właśnie na Stare Miasto – westchnęła Anna, patrząc na spis dzieł sztuki.

– No to nieźle. – Karen oparła się o wiklinowy fotel i sięgnęła po szklanke z wodą. – Taka ogromna kolekcja dzieł sztuki poszła z dymem.

– Nie ona jedna – westchnęła Anna. – W Warszawie spłonęły setki, co ja mówię setki, tysiące dzieł sztuki, malarstwo starych mistrzów, rzeźby, portrety rodzinne, kolekcje białej broni, pasów słupek, kontuszy i czego tam jeszcze nie było. Po wybuchu wojny wiele rodzin zwiozło tutaj najcenniejsze rzeczy z dworów i pałaców na Kresach Wschodnich. Część tego tutaj, a przede wszystkim ogromna kolekcja porcelany, na której punkcie ciotka miała prawdziwego hopla, także przecież jest z Belmontu. Pojedyncze sztuki byłyby dzisiaj pewnie więcej warte niż Wyczółkowski.

– Z porcelaną to chyba przesadzasz trochę. – Karen spojrzała powątpiewająco na babkę.

– Spójrz na tę listę – powiedziała Anna, czytając kserokopię inwentarza – Miśnia, Sèvres, Korzec, Baranówka. To pochodziło z pierwszych lat działalności fabryk. Jeszcze z czasów Manuzzich na Belmontie. Dzisiaj takie rzeczy osiągają na aukcjach niewyobrażalne ceny.

– Po powstaniu wiele cennych pamiątek trafiło do opustoszałego budynku Zachęty, gdzie z całej Warszawy zwożono takie ocalałe przedmioty – odezwał się Patryk. – Więc teoretycznie jest możliwe, że pani Elżbieta odzyskała jakąś część zbiorów. Zwłaszcza że dyrektorem Zachęty był jej szwagier.

– Elżbieta mieszkała po wojnie gdzieś na Mokotowie, a Jadwiga u rodziny swojej siostry. – Anna patrzyła w zamyśleniu na przechadzających się po Krakowskim Przedmieściu ludzi. – Z tego, co wiem, utrzymywały kontakt.

– To może ciotka Jadwiga odzyskała jednak ten kufer? – Karen spojrzała na babkę. – A Elżbieta testamentu nie zmieniała, bo po wojnie to wszystko i tak przestało mieć znaczenie.

– Ale coś byłoby jednak o tym wiadomo. – Anna pokręciła głową. – A ja tymczasem doskonale pamiętam rozmowy na ten temat. Wszyscy w rodzinie wiele razy mówili, że Jadwinia straciła wszystko. Chociaż to wtedy właśnie pojawiły się plotki o uratowanej biżuterii.

– W tym kwestionariuszu nie ma nic na temat biżuterii – odezwał się Patryk, wskazując wzrokiem leżące na stole kserokopie spisu strat wojennych. – W zasadzie to nic dziwnego. Jeśli obie panie rzeczywiście zdołały uratować jakieś precjoza, z pewnością trzymały je kurczowo przy sobie i pewnie tylko dzięki nim udało im się przeżyć po wojnie.

– Też tak zawsze myślałam – przytaknęła z namysłem Anna.

– Oj tam! – Karen pokręciła głową ze zniecierpliwieniem i uśmiechnęła się. – Miałam nadzieję, że uda się znaleźć tutaj coś na temat tego legendarnego skarbu, o którym wspomniała ciotka.

Anna spojrzała z pobłażliwym uśmiechem na wnuczkę.

– Karen, jeśli przez prawie dwieście lat, mimo że archiwa Belmontu i Kozaczyzny były pod ręką, nikomu z rodziny nie udało się niczego znaleźć na ten temat, myślisz, że akurat nas tutaj w Warszawie oświeci?

– Może nikt nie szukał, bo wszyscy w rodzinie po kolei myśleli tak samo jak ty? – Karen nie dawała za wygraną. – Nie sądzisz chyba, że ot tak, bez powodu dopisywałyby to do testamentu, gdyby coś nie było na rzeczy.

Anna westchnęła zrezygnowana.

– Dziecko, a ty dalej swoje. Pewnie ciotce chodziło głównie o zachowanie jakichś rodzinnych apokryficznych legend. Dlatego też zwróciła się z tym do naszego pradziadka, który był historykiem sztuki z wykształcenia.

– I tylko z tego powodu wpisywałyby to do testamentu?

– Ciotka przez całe życie zajmowała się zbieraniem dzieł sztuki, a w czasie wojny widziała, jak całe to bogactwo pokoleń idzie z dymem, jest rozkradane, wywożone i grabione. Zapewne chciała po prostu zachować chociaż opowieści z dawnych czasów.

Karen przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w przestrzeń.

– Ta etnograficzna teoria jakoś mnie nie przekonuje – prychnęła w końcu z powątpiewaniem.

– Nikt ci nie zabrania wierzyć w bajki o legendarnych rodzinnych skarbach – powiedziała Anna z przekąsem. – Poza tym za etnografią przemawia także ta wzmianka o Mendogu. To wręcz dowód na to, że to wszystko bajdy.

– Kto to jest właściwie Mendog?

– Pierwszy król Litwy, który w trzynastym wieku połączył ziemie Litwy w Wielkie Księstwo Litewskie.

– Ale legendy o skarbach skądś się musiały wziąć – odezwał się nagle Patryk, który przypomniał sobie dokumenty, gospodarcze archiwalia, stare

nadania, akty własności. Przeglądał te papiery zaraz, jak tylko przysłali im je Anglicy z TNA. – Czasami same historie związane z takimi opowieściami są bardziej wartościowe niż mityczne skarby. Od czegoś musiały się przecież zacząć.

– A właśnie. – Karen nagle przypomniała sobie nazwisko, które padło w trakcie rozmowy. – Kto to byli ci Manuzzi? – Spojrzała na babkę.

Anna miała się właśnie odezwać, gdy nagle jej wzrok zatrzymał się na czymś po przeciwnej stronie ulicy.

– A to dopiero... – powiedziała cicho do siebie.

– Co się stało? – Karen spojrzała na nią z zaciekawieniem.

– Powiedziałabym, że to omen...

– Ale co? – Karen rozglądała się gorączkowo po zalanym słońcem placu Zamkowym. – Jaki omen?

– Ten budynek naprzeciwko. – Anna wskazała głową pierzeję po drugiej stronie ulicy.

– Biblioteka rolnicza? – zapytał Patryk z malującym się na twarzy zdziwieniem, kierując dłoń w stronę arkadowej elewacji budynku dawnego Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, stojącego tuż przy kościele Świętej Anny.

– Obok – powiedziała Anna.

– Resursa Obywatelska? – Patryk przypomniał sobie nazwę gmachu, dziwiąc się jednocześnie, że utkwiała mu w pamięci.

Anna przytaknęła.

– Dawniej w tym miejscu stał pałac Zamoyskich. Byli jego właścicielami na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku, ale nieco wcześniej, przez kilkanaście lat, należał do pewnego weneckiego awanturnika Mikołaja Manuzziego, przyjaciela Casanovy. I to od niego właśnie wszystko się zaczęło. Prawdziwa vendetta, która ciągnęła się przez sto pięćdziesiąt lat.

Patryk wpatrywał się z niedowierzaniem w klasycystyczną elewację. Vendetta?

– Vendetta? Casanovy? – zapytała Karen, patrząc na babkę z osłupieniem.

– A właściwie to zaczęło się nieco wcześniej – kontynuowała Anna. – Od faworyty Stanisława Augusta, której portret wisiał nawet w apartamentach

królewskich w Łazienkach, Jadwigi ze Strutyńskich, starościny opeskiej albo diablidy północy, jak należałoby ją raczej nazwać.

– I jaki to może mieć związek z ciotką? – nie wytrzymała i zapytała Karen.

– Bohiń, gdzie stał pałac Manuzziego, ziemie dawnego starostwa opeskiego razem z Opsą, no i Belmont, i wszystkie te miejsca, które były sceną tych wydarzeń, do trzydziestego dziewiątego należały do naszej ciotki, która także została, tak jak i cała nasza rodzina, wplątana w tę awanturę. Ale wszystko zaczęło się od Jadwigi.

W połowie XVIII wieku Rzeczpospolitą toczyła już śmiertelna choroba. Sejmu przez liberum veto nie udało się utrzymać ani razu, zatem żadne nowe ustawy, nie mówiąc o reformach, nie miały najmniejszych szans. Ciężar sprawowania władzy spadł zatem na sejmiki, na których rządziła ciemna, często niepiśmienna, zapita i zapluta szlachta zagrodowa. I to jej trzeba było nadszkakiwać albo wodzić ją za nos, obiecując gruszki na wierzbie, żeby wyjść na swoje. Mistrzem w tym w Braślawiu był imć Józef Strutyński, starosta szakinowski i dziedzic Uciany. Awanturnik i łotr, zwolennik liberum veto i tak zwanej szlacheckiej wolności. Jego śmiertelnym wrogiem była potężna rodzina Ciechanowieckich. A zwłaszcza starosta opeski Jan...

– Babciu... – Karen westchnęła, spoglądając ze zgrozą na Annę. – Ja wiem, że ty jesteś nauczycielką, ale no weź, przestań...

– Ale co ty chcesz, dziecko? – Anna, wyrwana z toku swojej opowieści, spojrzała na nią zdezorientowana. – Przecież chciałam wam naświetlić tło historyczne. To jest akurat istotne.

– Ale ja zaczynam już się w tym gubić. Co to w ogóle były te starostwa? Urzędy? Skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy?

– Starostwa, czyli inaczej królewszczyzny, to były takie dzisiejsze spółki skarbu państwa – odezwał się Patryk. – Teoretycznie winny trafiać w dzierżawę do obywateli szczególnie zasłużonych dla Rzeczpospolitej, w rzeczywistości dostawały się w łapy kuzynów, szwagrów i kumotrów.

– Często kanalii i łajdaków. Dokładnie tak jak dzisiaj – smętnie dodała Anna.

– No dobra – poddała się Karen. – To co było dalej? Tylko mniej

o patriotyzmie, a więcej o tej vendecie. Patryk pewnie spieszy się na jakąś randkę, a my zanudzamy go historią.

– Nie mam żadnej randki – mruknął Patryk, uśmiechając się pod nosem. – Słucham pani z przyjemnością – oświadczył, spoglądając na Annę. – Przedzierałem się przez dokumenty z kufrów waszej krewnej, więc teraz chętnie poukładam sobie wszystko w głowie.

Anna uśmiechnęła się z wdzięcznością do Patryka i wróciła do swojej opowieści.

– Małżeństwo w tych czasach i tych sferach było oczywiście posunięciem politycznym. – Spojrzała bezwiednie na Karen. – A obowiązywała wówczas stara sarmacka zasada pięciu „p”. Panna musiała być *pulchra, pudica, pia, prudens* i przede wszystkim *pecuniosa*.

– Czyli jaka? – nie wytrzymała Karen.

– Czyli piękna, wstydliva, pobożna, roztropna, a przede wszystkim winna mieć spory posag.

Jadwiga spełniała wszystkie pięć warunków, ale niestety miała też ojca łotra.

Gdy w Brasławiu trwał kolejny sejmik, po obradach odbywały się zazwyczaj huczne przyjęcia i hulanki. I traf chciał, że na jednym z takich balów piękna córka Strutyńskiego wpadła w oko Janowi Ciechanowieckiemu.

Starosta opeski, wówczas dobiegający trzydziestki, wysoki, przystojny brunet, w dodatku niezmiernie bogaty, w kandydatkach mógł przebierać jak w ulęgałkach. Jadwiga zatem uznała, że pana Boga za nogi złapała. Uradowane rodziny, naiwnie myśląc, że to wręcz cud boski i że dzięki małżeństwu skończą się wojny w powiecie, ogłosiły zaręczyny.

Młodzi po ślubie zamieszkali w Opsie, stolicy starostwa, na którym Ciechanowieccy urzędowali od ponad stu lat. I wydawać by się mogło, że w końcu wszystko dobrze się ułożyło, ale wystarczył tydzień, by pojawiła się pierwsza rysa.

Gdy przyszło do spisania intercyzy, okazało się, że Jadwiga posagu nie dostanie.

Strutyński bezczelnie oświadczył, że pieniędzy nie ma, nie miał i że

wszystko po pijanemu się rzekło, a łągał oczywiście w żywe oczy, bo ze swoich dóbr miał dochody takie, że i trzem córkom jeszcze mógłby dać świetne posagi.

– No to w czym wina tej Jadwigi? – Karen skorzystała z okazji, że Anna sięgnęła po szklanę ze swoją herbatą. – Ojciec ją w takim świetle postawił, że pewnie ze wstydu omal tam nie umarła. Nagle się okazało, że ten przystojniak starosta wziął ją w bieliźnie. Nie popieram oczywiście takich patriarchalnych zabobonów – spojrzała na uśmiechającego się ironicznie Patryka – ale rozumiem, jak to wyglądało w tamtych czasach.

– Jan zachował się jak prawdziwy dżentelmen. – Anna odstawiła szklanę. – Powiedział, że żonę kocha, pieniędzy własnych mu wystarczy, a dodatkowo, żeby nie być gołosłownym, sam w intercyzie żonie dwa razy taką sumę zapisał, a i kosztowności za drugie tyle jej podarował.

– Brunet, wysoki, hojny – westchnęła Karen. – Ideał.

– No więc niestety on też nie okazał się aniołkiem – powiedziała Anna z markotną miną.

– Jak zwykle... – Karen spojrzała na babkę z irytacją. – Wiesz, jak zepsuć nastrój.

– Nie minął rok, a zaczął podejrzewać Jadwigę o... – Anna ściągnęła brwi, szukając właściwego określenia. – Wtedy mówiło się chyba płochość.

– Czyli o co?

– Czyli że się puszcza – palnął Patryk, który na moment zapomniał, że znajduje się w towarzystwie, było nie było, swoich klientek. – To jest, przepraszam... – Spojrzał na śmiejącą się Karen. – Nie była mu wierną.

– Jakkolwiek to brzmi – powiedziała z westchnieniem Anna. – Jednym z dworzan Ciechanowieckiego był młody, bardzo urodziwy szlachcic z sąsiedztwa, dla którego Jadwiga była rzekomo zbyt grzeczna. Niewiele myśląc, starosta wywłókł go z dworu i pobił tak, że biedak przez rok się kurował. No i od tego momentu zaczęły się pomiędzy młodymi spory. Większość dziewiętnastowiecznych kronikarzy stawiała później oczywiście po stronie Jadwigi, a to pewnie dlatego, że w owym czasie w Łazienkach wisiał jeszcze jej portret, wizerunek ślicznej blondynki o twarzy anioła, na który zresztą się powoływali. Ale ja mam na ten temat własne zdanie.

– No właśnie czekam, kiedy dojdziemy do tego, czemu ona niby była taką diablicą.

– Kolejny rok później, a był to już rok tysiąc siedemset pięćdziesiąty czwarty, Strutyński, bawiąc w stolicy jako poseł na sejm, za plecami zięcia uczynił rzecz wyjątkowo perfidną. Otóż korzystając ze swoich układów, uzyskał dla córki prawo do dziedziczenia starostwa opeskiego. Tym samym pozbawił Ciechanowieckich praw do dóbr, które mieli od ponad stu lat. To przeważyło szalę. Wściekły starosta wpakował Jadwigę do karocy i odwiózł matce do Uciany.

– *Ius communicativum*. – Patryk pokiwał głową, sam się dziwiąc, co zapamiętał z wykładów z prawoznawstwa. – Tak się nazywało to prawo. Teoretycznie mąż musiał na to wyrazić zgodę. Nic dziwnego, że to go dotknęło.

– To było aż takie straszne? – Karen spojrzała powątpiewająco na babkę.

– Dla szlachcica w osiemnastym wieku? To była wielka ryna na honorze. Ale strasznie to się zrobiło dopiero potem.

Dwa lata później, a był to rok tysiąc siedemset pięćdziesiąty szósty, na kolejnym sejmiku w Brasławiu pewnego wieczoru w czasie jak zwykle trwających libacji gromada uzbrojonych łotrów, która towarzyszyła Strutyńskiemu, zabiła najmłodszego brata Jana, Ksawerego Ciechanowieckiego. Była to iskra, która wywołała prawdziwą wojnę w miasteczku. Szlachta sprzyjająca starości rozniosła w proch brasławski dwór Strutyńskich i wybiła w pień jego ludzi. Tych, którzy usiłowali się ratować ucieczką jeziorem, potopili.

Jan rozpoczął batalię sądową, ale z racji tego, że w owym czasie Stanisław August Poniatowski będący już wówczas stolnikiem litewskim zawarł był wtedy tak zwaną znajomość z Jadwigą, starostę opeskiego stawiało to w sytuacji beznadziejnej. Po dwóch latach sądowych wojen obie strony wezwano na mediacje do Wilna. Zarówno Strutyński, jak i Ciechanowiecki pojawili się na czele prawdziwych armii, złożonych z towarzyszących im stronników. Rokowania trwały dwa dni i końca ich nie było widać. Strutyński był nieprzejednany, bezczelny, pewny swojej bezkarności i z pyszałkowatą nonszalancją traktował braci Ciechanowieckich z góry. Jako że akurat wypadł dzień świętego Antoniego, marszałek trybunału, chcąc rozładować

ciężką atmosferę, zaprosił wszystkich na bal. Pojawiła się tam także i Jadwiga. Piękna podobno jak nigdy, otoczona wianuszkami kawalerów rzucała Janowi pogardliwe spojrzenia. Wieczór zamienił się w psychologiczną wojnę podjazdową, a w końcu po kilku scysjach obrażona Jadwiga wraz z matką wyszły ostentacyjnie z balu. A zaraz po nich Strutyński. Gdzieś w okolicach pałacu Radziwiłłów w ciemnej uliczce rozległ się nagle tętent kopyt i karete zatrzymało kilku zamaskowanych jeźdźców. Jeden z nich szarpnął za drzwi, otworzył je na oścież i wypalił Strutyńskiemu prosto w łeb.

– I co? – Karen nie wytrzymała, gdy Anna znowu przerwała opowieść, żeby sięgnąć po szklankę z herbatą. – Zabili go?

– Na śmierć! – potwierdziła Anna. – Rozpętało się piekło, a na scenę weszła teraz osobiście Jadwiga. Następnego dnia obie z matką przed trybunałem wileńskim oskarżyły Ciechanowieckiego o zamordowanie męża i ojca. Wszystko przemawiało przeciwko braciom, więc większość szlachty tym razem opowiedziała się po stronie osieroconej starościny. Ciechanowieccy w atmosferze skandalu wyjechali do Opsy, a już wkrótce obie Strutyńskie wytoczyły przeciw nim najcięższe działa. Za Jadwigą stali Czartoryscy. Od kilku lat mieszkała w ich Wołczyńcu, gdzie ojciec ukrył ją zaraz po tym, jak zamordowano najmłodszego brata Ciechanowieckiego.

– A to rzeczywiście bracia zabili Strutyńskiego?

– Nikt im tego nie udowodnił. Poza tym starosta nie miałby w tym żadnego interesu. On chciał, żeby Strutyński trafił w ręce kata, zabicie go chyłkiem, nocą było zupełnie nie w jego stylu. Poza tym nietrudno było przewidzieć, że w takim wypadku na nich padnie oskarżenie.

– No i co było dalej? – Karen, gdy opowieść babci straciła cechy historycznej ramoty, zmieniając się wręcz w kryminał, słuchała z napięciem.

Procesy ciągnęły się oczywiście latami, a zmieniła się także sytuacja polityczna. Przede wszystkim umarł protektor braci hetman wielki litewski Michał Radziwiłł zwany Rybeńko. Ciechanowieccy zostali bez stronników i w dodatku mając za wroga króla, którego Jadwiga była już wtedy faworytą. Ona sama wydała fortunę na procesy z wszystkimi braćmi, a gdy w końcu ich skazano, kolejne bająnskie sumy płaciła za ich ściganie. Braci skazano na

śmierć, konfiskatę majątków i utratę czci. Jana zamordowano w Opsie, a dwaj bracia zdołali uciec za granicę, ale i tam dosięgły ich macki Jadwigi i jej bająsko bogatej matki. Oczywiście cały majątek Ciechanowieckich przeszedł na własność Strutyńskiej. Kochanka króla, teraz pani na ogromnych włościach, rezydowała w Warszawie otoczona nimbem jednej z najpotężniejszych kobiet w stolicy. Ale w końcu i nad jej głową zaczęły się zbierać ciemne chmury.

– W międzyczasie w Rosji zasiadła na tronie Katarzyna Druga Wielka, a wszelkie próby przeprowadzenia w kraju reform rozбивały się o liberum veto – wtrącił Patryk. – I w rezultacie nastąpił pierwszy rozbiór Polski.

– W tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim – dodała Anna. – Kolejny omen. Dokładnie w tym samym roku Jadwiga zachodzi w ciążę z królem. Nawet przy jej pozycji i z jej majątkiem był to nie lada kłopot. Także w siedemdziesiątym drugim do Warszawy z Petersburga ściera awanturnik, intrygant, szpieg Grigorija Potiomkina, potężnego faworyta Katarzyny Wielkiej, Wenecjanin Mikołaj Manuzzi. W krótkim czasie, dzięki rosyjskim koneksjom, staje się jedną z najbardziej wpływowych postaci w Warszawie. Król, zapewne zmęczony już rosnącymi aspiracjami Jadwigi, zawiązuje z Manuzzim pakt. Włoch dostaje od niego spore nadania, potwierdzenie tytułu oraz te nieszczęsne starostwa po Ciechanowieckich z Opsą na czele. W zamian za to Manuzzi żeni się z Jadwigą, ku nieopisanej uldze króla, który za jednym zamachem pozbywa się i metresy, i bękarta. Manuzzi wywozi Jadwigę na Litwę, gdzie wkrótce rodzi się mały Stanisław, którego miejscowi nazywają później „królewiczem”.

– I tak się poddała? Bez walki? – zapytała Karen. Zafascynowana wpatrywała się w babkę. Gdyby jakiś miesiąc temu ktoś jej powiedział, że zainteresują ją takie rodzinne legendy, nigdy by w to nie uwierzyła.

– Oczywiście, że nie – prychnęła Anna. – Małżeństwo z Manuzzim było przecież wyłącznie na papierze. Cały czas liczyła, że nic się nie zmieni, i wciąż jeździła do Warszawy. To wtedy właśnie mieszkała w tymże pałacu. – Anna skinęła głową w kierunku budynku Resursy Obywatelskiej. – Poza tym spędzała czas u matki albo u siostry. Z Mikołajem praktycznie się nie widywali, ona chyba cały czas liczyła, że z nim też sobie poradzi. No, ale trafiła kosa na kamień.

Anna głęboko westchnęła i spojrzała na zegarek.

– A co z ciotką? – Karen przypomniała sobie o postaci łączącej osiemnasty wiek ze współczesnością. – I jak nasza rodzina wplątała się w tę vendettę?

– Karen, zostawmy resztę tej opowieści na kiedy indziej. Pan Patryk zaraz umrze z nudów.

– Ależ skądże – energicznie zaprzeczył Patryk. – Słucham z ogromną ciekawością.

– Urwałaś w najciekawszym miejscu. – Karen patrzyła na Annę zawiedziona. – A pewnie właśnie miało się wyjaśnić, jak to wszystko wiązało się z naszą rodziną.

– Kochanie, jestem strasznie zmęczona. – Anna uśmiechnęła się przepraszająco.

– No to powiedz przynajmniej, jak ta historia łączy się z ciotką.

– Zwyczajnie. – Anna wzruszyła ramionami. – Przez małżeństwa. „Królewicz” Stanisław ożenił się z Konstancją Broel-Plater, a jako że nie mieli dzieci, ugodzili przekazać cały majątek najmłodszemu bratu Konstancji Ignacemu. Ignacy ożenił się z kolei z Idalią Sobańską...

– A więc to jest ta żelazna hrabina – stwierdził Patryk.

– Jaka? – Karen spojrzała na niego zdumiona.

– W dokumentach z kufrów jest opisana cała historia jej walki o wydobywanie z rosyjskich więzień męża, a potem syna, którzy znaleźli się tam za udział w powstaniach.

– Pan Patryk przez tę kwerendę kufrów ciotki jest teraz prawdziwym ekspertem – pochwaliła Anna Patryka, który uśmiechnął się skromnie. –

A kończąc genealogię... Belmont z kolei przeszedł w ręce Feliksa, najmłodszego syna Idalii i Ignacego, a Feliks to właśnie był pierwszy mąż ciotki Elżbiety.

– A oprócz Mariana to jak nasza rodzina została wplątana w tę vendettę? – Karen zawzięła się, żeby wyciągnąć z babki jak najwięcej.

– Zwyczajnie – powiedziała Anna z uśmiechem. – Także przez małżeństwa. Konstancja, żona „królewicza”, była krewną naszej pra-ilestam-

babki, a ponadto nasi prapradziadkowie w czasach powstania kościuszkowskiego byli największymi wrogami Mikołaja Manuziego. „Królewicz” Stanisław usiłował położyć kres tym sporom, ale niezbyt mu to wyszło, a wojny o Belmont trwały przez cały dziewiętnasty wiek, aż do rewolucji.

– No i co dalej?

– Karen, wiesz, która jest godzina? Szesnasta! Muszę odpocząć! – Anna wstała.

– Ale, babciu...

– Pan Patryk się spieszy, a ty pewnie będziesz chciała potem gdzieś jeszcze wyjść, nie wiem, czy dam radę.

– Nigdzie się nie spieszę – zapewnił Patryk.

– No oczywiście! Przecież nie wiem, kiedy znowu będę w Warszawie. Chciałabym zobaczyć te wszystkie miejsca, w których mieszkała nasza rodzina. À propos, właśnie! – Karen nagle coś sobie przypomniała. –

Nurtowało mnie to od momentu, kiedy Patryk opowiadał o miejscach zdeponowania majątku ciotki. Dlaczego właściwie ciotka nie zdeponowała niczego u Radeckich-Mikuliczów?

Zanim Anna zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Patryk.

– Powód jest prosty. Szukając spadkobierców pani Elżbiety, przeglądałem księgi adresowe miasta i spisy abonentów telefonicznych. Praktycznie wszystkie nieruchomości, które przed wojną należały do rodziny Radeckich-Mikuliczów, były w obrębie niemieckiej dzielnicy policyjnej. Aleje Ujazdowskie, Koszykowa. Wszyscy zostali po prostu wykwaterowani.

Patryk podsunął Annie plik wydruków.

– Tutaj są te adresy.

Anna pochyliła się nad skanami z przedwojennych ksiąg adresowych.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. To przynajmniej wszystko da się obejść za jednym zamachem – stwierdziła Karen, zaglądając przez ramię babce. – A ta Maria to kto? Aleje Ujazdowskie dziewięć. – Wskazała palcem jeden z adresów na tablecie.

– Maria z Boguszów. Kuzynka z Wołynia. – Anna sięgnęła po torebkę. –

To niedaleko Willi Róż.

– Ale tu przecież stoi jakiś gmach publiczny. – Karen wpatrywała się w mapę w swojej komórce. – To dom tej Marii wyburzono?

– Pod dzisiejszą dziewiątką mieści się obecnie CBA, dawniej był to jeden z budynków koszar Korpusu Kadetów Suworowa – wtrącił Patryk. – Po wojnie zmieniono numerację ulic. Dawny numer dziewięć to dzisiejszy numer jedenaście. – Pochylił się nad stołem i pokazał palcem punkt na mapie. – Ten budynek, w którym mieszkała wasza kuzynka, był przed wojną jednym z najbardziej luksusowych apartamentowców w Warszawie, z kawiarnią na dachu. Piękny modernizm.

– Ale widzę, że ocalał. – Karen dotknęła ekranu, przechodząc w tryb Street View. – Można tam wejść? – zapytała i spojrzała na Patryka.

– To będzie raczej trudne. – Patryk się roześmiał. – Odradzałbym.

– Dlaczego? A co tam jest teraz?

– Ministerstwo Sprawiedliwości.

Rozdział 7

LONDYN

Dermot chwycił swoją skórzaną torbę, ale po chwili zastanowienia wsadził ją z powrotem do samochodu i schował głęboko za tylnym siedzeniem. Jeśli będą musieli targać te kufry Ajgora, torba będzie mu tylko przeszkadzać. Sprawdził, czy w kieszeni marynarki ma portfel i komórkę, i ruszył za trzema kolegami, którzy stanęli właśnie przed głównym wejściem i spoglądali w jego kierunku niecierpliwie.

– Jak ci się w ogóle udało tak szybko załatwić to spotkanie? Z dnia na dzień? – spytał Johann i otworzył na oścież oszklone drzwi.

– Przecież Charles Cardwell jest dyrektorem tego wydziału. Nie znasz Cardwella?

– Cardwell, Cardwell... – Johann usiłował wygrzebać z pamięci znajome nazwisko.

– Jego ojciec pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. A ten Charles jest parę lat od nas młodszy, taki straszny pozer.

– A... Ten Cardwell. – Johann kiwnął głową i przepuścił przodem Dermota. – Znają się nasi ojcowie, ja go nie znam.

Po chwili znaleźli się w wielkim holu, w którym kilka hałaśliwych wycieczek szkolnych okupowało stanowiska multimedialne. Na rozstawionych pod oknami sofach przed otwartymi laptopami siedziało kilkoro studentów, a przez otwarte drzwi prowadzące w głąb budynku co chwila wchodziły i wychodziły nowe grupy ludzi.

Za ladą recepcji siedziało kilka młodych kobiet, wpatrujących się w monitory i uśmiechających grzecznie do interesantów.

Dermot podszedł do jednej z nich i przez chwilę o czymś rozmawiali. Dziewczyna sprawdziła coś w swoim komputerze, po czym sięgnęła po

słuchawkę.

– To skąd w końcu wzięły się te kufry? – Jamie zwrócił się do rozglądającego się dookoła Igora. – Ta twoja prababka wywiozła je do Londynu?

Igor bez mała cały wczorajszy wieczór spędził przy telefonie, słuchając matki, która usiłowała przypomnieć mu koligacje rodzinne. Pomagała jej Karen, ale mimo to w dalszym ciągu nie do końca rozumiał wszystkie zależności. Zwłaszcza te wiążące cioteczną prababkę z angielskim Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

– O ile dobrze zrozumiałem, Anglicy po wojnie znaleźli je zamurwane w ścianach domu ciotki w Warszawie.

– No tego to nie mówiłeś. – Johann spojrzał na niego z zainteresowaniem.

– Wczoraj wieczorem dopiero zdołałem porozmawiać z mamą.

– Ale po co to zabrali? – Jamie wpatrywał się w Igora. – Alianci coś gwizdnęli?

– Jacy alianci? Z tego, co zrozumiałem, przez przypadek pracownicy ambasady wyekspediowali je po wojnie.

– Przez przypadek wywieźli z Warszawy cudze bezcenne dokumenty?

– Jakie bezcenne! – Igor parsknął. – To zwyczajne stare archiwum rodzinne. Pewnie akty ślubów, chrztów, stare rachunki i taki badziew. To znaczy, owszem, dla mnie bardzo interesujące, jestem ogromnie ciekaw tych papierów, ale nie sądzę, żeby cokolwiek z tego miało jakąś wartość.

Drzwi wejściowe były chronione czytnikami kart. Jedne z nich otworzyły się i do holu wszedł młody mężczyzna w okularach. Rozejrzał się i widząc Dermota, uśmiechnął się do niego niepewnie.

– Idziemy. – Johann kiwnął głową w kierunku machającego do nich kolegi.

– Przenieśliśmy kufry do działu spedycji – odezwał się Hughes, obecnie starszy inspektor Wydziału Akt Gospodarczych, gdy szli już długim korytarzem niedostępnej dla interesantów części TNA. – Chodzi o to, że tam można wjechać samochodem i będzie panom po prostu łatwiej je zabrać – dodał wyjaśniająco.

– O Chryste! – westchnął Igor, gdy weszli do wielkiego magazynu, w którym pod ścianami, jedna na drugiej, stały ogromne drewniane skrzynie, oblepione licznymi ostrzegawczymi symbolami i napisami.

Pod ścianą tuż obok drzwi do aneksu biurowego oddzielonego od magazynu oszklonym przepierzeniem stały dwa drewniane kufry.

– Nie sądziłem, że będą takie ogromne. – Igor podszedł do jednego i dotknął ręką starego zniszczonego drewna. – A w ogóle to zmieszczą się do twojego samochodu? – zapytał Dermota.

– Zaraz zobaczymy. – Mina prawnika zdradzała, że ma co do tego pewne wątpliwości. – Najwyżej pošlemy po kogoś.

– Zapraszam panów. – Hughes otworzył drzwi do kantoru i spojrzął na Dermota. – Trzeba podpisać protokół odbioru. Muszę także wystawić przepustkę dla kierowcy.

– Skąd mamy mieć pewność, że po otwarciu z tych kufrów nic nie zginęło – zapytał Dermot i dotknął przeciętej, wiszącej luzem kłódki.

– To absolutnie niemożliwe. – Hughes spojrzął na prawnika z lekką urazą. – Mamy określone procedury. Poza tym w pomieszczeniach magazynów są kamery. – Hughes przypomniał sobie, ile problemów mieli z O'Malleyem, żeby wytłumaczyć się z wejścia na zaplecze Polki z recepcji. I to pomimo tego, że wyrobili jej jednorazową przepustkę i cały czas byli razem.

– Nie przesadzaj. – Igor uśmiechnął się do Dermota i wszedł za inspektorem do biura.

– Pan dyrektor prosił, żeby pan wpadł potem do niego, sir – zwrócił się Hughes do Dermota. – Chodzi o dopełnienie pozostałych formalności. Ja tymczasem przygotuję przepustki i protokoły. Jeśli mógłby pan zostawić swój telefon, to dam znać, jak wszystko będzie gotowe.

Obawy Igora co do wielkości jaguara Dermota okazały się uzasadnione i Johann musiał dzwonić do swojej firmy po vana z kierowcą. Niestety zdołał się przebić przez centrum Londynu dopiero po godzinie. Cała operacja z przewiezieniem spadku po ciotecznej prababce matki Igora zakończyła się zatem późnym popołudniem. Powstał także problem, gdzie ulokować te dwie ogromne skrzynie. Loft Johanna przy Shad Thames w Bermondsey w starym, przerobionym magazynie kawy i herbaty mógłby pomieścić wprawdzie

oprócz dwóch rodowych kufrów także wszystkie pozostałe skrzynie z magazynu TNA, ale jakoś trzeba byłoby przecież dotargać je z parkingu do windy. Koniec końców zatem, mimo oporów Johanna i Dermota, którzy obawiali się pozostawiania cennych archiwaliów w dzielnicy portowej, kufry hrabiny Radeckiej-Mikulicz wylądowały w siedzibie firmy poszukiwawczej Sedinum Exploration w Riverside Greenwich.

Późnym popołudniem, gdy wody Tamizy zamigotały pierwszymi granatowo-żółtymi refleksami, a na przeciwległym brzegu, w zniżającym się nad miastem słońcu, zaślniły szklane i aluminiowe ściany biurowców i apartamentowców Silvertown, do siedziby firmy przy Riverside ściągnęli wszyscy, mocno zaciekawieni wspólnicy.

Na dębowym stole w sali konferencyjnej leżały wyciągnięte archiwalia, a Igor pochylony nad jakimś starym pozwem sądowym zastanawiał się, w jaki sposób przetłumaczyć barwną staropolszczyznę Dermotowi dopytującemu się o szczegóły sprawy sądowej.

...Manuzzi, projektując zawsze o dóbr Rzeczpospolitej przejęciu, nabył dobra Bohiń i do niego 23 wsie z zaściankami i miastem Uhorem oderwał, urzędnika przybyłego z Warszawy do zatajenia postępków swego i zatwierdzenia poddaństwa mieszczan uhorskich skłonił... Uwieńczony tym sposobem na zaborze własności królewskiej Manuzzi absolutnym panem i rządcą stał się i pańszczyznę mieszczan uciemiezać zaczął i podatki nakładać, a i różgami przymuszać...

Igor podniósł wzrok i spojrział bezradnie na Dermota.

– To jest sprawa sądowa, którą poddani wytoczyli przodkowi mojej praciotki, tej od kufrów – zaczął zawile tłumaczyć. – Chodziło o to, że ten przodek przy okazji zakupu jakiejś ziemi przyłączył do niej także pewne miasto i mimo że posiadało prawa miejskie, nałożył na mieszczan nielegalne podatki i pańszczyznę. – Igor skrzywił się, widząc powątpiewający wzrok Dermota. – Sam tego do końca nie rozumiem.

– A czemu tutaj wszystko jest cyrylicą? – Jamie przerzucił kilka pożółkłych kart w grubym pliku dokumentów.

– Toż przecież te tereny przez cały wiek dziewiętnasty były rosyjskim zaborem. No, dzielnicą. – Igor podrapał się po głowie. Brakowało mu angielskich słów. Nie dość, że sam dużej części staropolskich zwrotów nie

mógł przeczytać, to jeszcze do tego dochodził brak wiedzy w zakresie zawłościi historii Polski z tamtego okresu. Sam był przecież Pomorzanie.

– Manuzzi? – Johann zajął Dermotowi przez ramię. – A to nie jest włoskie nazwisko? Skąd wam się wziął taki przodek?

– Pojęcia nie mam – powiedział z przekonaniem Igor.

– I kto to mówi? – parsknął Jamie, patrząc z ironią na Johanna. – Twoja mama jest przecież Niemką.

Johann odpowiedział mu protekcjonalnym uśmiechem.

– Anglicy ciągle kręcili z Niemcami. Windsorowie to przecież bardziej Niemcy niż Anglicy. Ale Włosi w Polsce? W osiemnastym wieku? To chyba rzadkość, co?

Igor pokiwał głową z namysłem, myśląc jednocześnie, że było chyba odwrotnie. W siedemnastym i osiemnastym wieku na polski dwór królewski i do pałaców magnaterii ściągano całe hordy Włochów – architektów, malarzy, rzeźbiarzy. Canaletto, Bernardo Bellotto, Jakub Fontana. Ale ten Manuzzi... Coś mu się nawet kojarzyło. Pamiętał z dzieciństwa niekończące się opowiadania babci Marii. Puszczając mimo uszu zawłościi koligacyjne i wtręty historyczne, z wypiekami na twarzy natomiast słuchał opowieści o wilkach goniących zimą za saniami albo o sowieckich bandziorach, którzy przekraczali nielegalnie granicę i napadali na wsie, i o babci, która, uciekając jakąś bryką czy faetonem, cokolwiek to było, musiała się bronić przed nimi batem. Znając temperament babci Marii i wiedząc, do czego jest zdolna, nigdy ani przez sekundę nie wątpił, że to była czysta prawda.

– A tu są chyba jakieś akty własności. – Johann podniósł plik dokumentów. – To nawet ja rozumiem, bo widzę dane i wielkości. Widziałeś w ogóle ten testament? – Spojrzał na Igora.

– Nie. Wiem tyle, ile matka opowiedziała przez telefon. Karen przesłała mi wczoraj wieczorem razem z fotką warszawskiego pałacu ciotki również skan testamentu, ale tylko rzuciłem na niego okiem.

– Wiesz o tym, że na Litwie obowiązują przepisy o restytucji mienia? – odezwał się Dermot. – Wprawdzie dotyczą własności z okresu po litewskiej reformie rolnej, która pozbawiła Polaków ziemi bez odszkodowania, pozostawiając jedynie domy i posiadłości rzędu stu hektarów, ale...

– A skąd ty wiesz takie rzeczy? – Jamie spojrzał na Dermota z autentycznym zdumieniem.

– Nasza kancelaria prowadziła taką sprawę. Anglik polskiego pochodzenia wystąpił o zwrot majątku pod Kownem.

– Patrzcie, co tutaj znalazłam – odezwała się nagle Gwen, która od dłuższej chwili z pomocą translatora Google tłumaczyła sobie jakiś dokument. – To chyba wyjaśnia pochodzenie tego całego Włocha. Stanisław August to chyba wasz ostatni król? – zapytała i spojrzała na Igora.

Igor sięgnął po dokument.

Dobrze nam zasłużonemu Mikołajowi grafowi Manuzzi in recompensam zasług nadajemy indygenat oraz prawem dożywotniem starostwa Opeskie i Damaskie...

Pod krótkim tekstem uchwały z 1776 roku widniał zamaszty podpis Stanisława Augusta Poniatowskiego.

– Co to jest indygenat? – Igor spojrzał na Gwen, zdając sobie sprawę, że to on powinien raczej tłumaczyć zawiłości polskich obyczajów Anglikom, a nie odwrotnie.

– Potwierdzenie szlachectwa i nadanie obywatelstwa – przeczytała Gwen, patrząc w ekran swojej komórki.

– Nie ma nic w necie na temat miasta Uhor – burknął Dermot, wciąż śledzący akta różnych spraw sądowych. – Nawet na polskich stronach.

Igor chciał odpowiedzieć, że może zmieniło nazwę. Stare kroniki i polskie dokumenty potrafiły być wyjątkowo nierzetelne. Pamiętał, jak babcia Maria opowiadała o jakimś miasteczku Kurki, które rzekomo należało kiedyś do Mikuliczów. W herbarzach rzeczywiście pojawiały się jakieś Kurki, ale w aktach i różnych dokumentach były Kukle, a w księgach parafialnych Kurkle. Wcale by się nie zdziwił, gdyby tajemnicze miasto na kresach nazywało się w rzeczywistości Gęsi. Chciał się podzielić swoimi wątpliwościami, ale nagle zadzwonił telefon Dermota.

Dermot spojrzał na wyświetlacz, po czym odebrał. Przez chwilę słuchał, wreszcie spojrzał na Igora jakimś dziwnym wzrokiem, wstał i odszedł na bok.

– A co się w końcu stało z tym zaginionym miastem? – zainteresował się

Jamie. – Nazwa Uhor brzmi strasznie tajemniczo.

– Ponoć leżało na ziemiach należących do ciotki – odparł Igor i westchnął. Już nie pamiętał, czy opowiadała mu to babcia Maria, czy może gdzieś o tym czytał. W pewnym okresie życia starał się zweryfikować wszystkie zasłyszane historie. Przedzierał się przez historyczne opracowania, wspomnienia jakichś wojennych kombatantów, dzienniki dzierżawców z tamtych stron, przedwojenne przewodniki. Ale interesowała go w tamtym okresie przede wszystkim architektura. Koligacje rodzinne i tym razem schodziły na plan dalszy.

– Uhor według legendy leżał po zachodniej stronie jeziora Bohiń. Po wschodniej stronie zaś, w miasteczku o takiej samej nazwie jak jezioro, do czasów powstania kościuszkowskiego stał pałac tego całego Manuzziego. Został wtedy kompletnie zniszczony, a Mikołaj Manuzzi przeniósł się wówczas do Belmontu. I to właśnie za zniszczenie siedziby i rozgrabienie swoich bogactw mścił się później na okolicznej ludności i mieszkańcach Uhoru. I tak ich prześladował, aż spalił w końcu całe miasto, tak że kamień na kamieniu nie został.

– I te miasta należały do twojej ciotki jeszcze przed wojną? – upewnił się Johann.

– Bohiń z czasem zredukował się do rozmiarów wsi, a na miejscu Uhoru wyrósł las. Jedyne, co zostało po tamtych czasach, to zbudowana przez tego całego Manuzziego grobla, która zresztą służy do dzisiaj.

– Może coś na ten temat jest w tym archiwum. – Gwen z namaszczeniem dotknęła jednej z grubych starych ksiąg.

Igor wzruszył ramionami.

– Pozostały jedynie te dwa stare kufry – stwierdził filozoficznie, patrząc z nostalgią na stojące koło stołu skrzynie.

– Trzy stare kufry – odezwał się nagle Dermot, który od dłuższej chwili stał obok i przysłuchiwał się Igorowi.

– Co? – Igor spojrzał na niego zdezorientowany. – Jakie trzy?

– W archiwum były trzy kufry.

– A skąd nagle ci się to wzięło?

– Właśnie miałem telefon w tej sprawie.

Godzinę później granatowy jaguar Dermota powoli przepełnęła Bayswater Road wzdłuż północnej granicy parku Kensington i za stacją metra Lancaster skręcił w Lancaster Terrace, a zaraz potem w Gloucester Road.

– Który to numer? – zapytał siedzący obok Dermota Johann.

– Pięćdziesiąt cztery – mruknął Dermot. – To chyba w tej części za Craven.

Jaguar powoli przejechał wzdłuż identycznych białych szeregowców, które ze swoimi owalnymi wykuszami, balustradami z pękatych tralek i portykami wspartymi na kolumnkach wyglądały jak wielkie bezowe ciastka, długi na kilkaset metrów weselny tort bezowy. Szeregowce różniły się tylko kolorem drzwi wejściowych.

Igor śledził kolejne numery, podziwiając jednocześnie karność mieszkańców, którzy powstrzymywali się przed tym, żeby pomalować chociaż kawałek ściany na inny kolor. Na przykład różowy albo seledyn, żeby było cieplej i przytulniej. Ale to przecież nie Polska. Eleganckie do bólu białe jak śnieg elewacje wystarczały widać artystycznie zdeprawowanym Anglikom.

– Jest. – Johann wskazał jeden z szeregowców, obok którego stała akurat latarnia z zawieszonymi na niej kwitnącymi petuniami.

– Dlaczego on w ogóle tak się z tym kryje? – spytał Igor, obserwując palące się w budynku światła. – Nie można było tego załatwić w TNA?

– Coś tam było z tym nie tak. – Dermot wyłączył silnik i podążył spojrzeniem za wzrokiem Igora. – Nie chciał mówić przez telefon. Podobno Cardwell nie chciał, żeby to wyszło na jaw. Idziemy, mam nadzieję, że zaraz się wszystkiego dowiemy.

Drzwi otworzył im wysoki zwałisty mężczyzna na pierwszy rzut oka po sześćdziesiątce.

O'Malley obrzucił spojrzeniem patrzących na niego niepewnie gości, a gdy się przedstawili, odsunął się i zaprosił ich do środka.

– Proszę tutaj. – Wskazał ręką drzwi do jednego z pomieszczeń. – To mój gabinet. Chowam się tu czasem przed żoną – powiedział i uśmiechnął się konfidencko. – Ale teraz jest u koleżanki, więc będziemy mieć spokój.

Napijecie się panowie czegoś?

– Panie O’Malley, o co chodziło z tym trzecim kufrem? – zapytał Dermot, gdy już rozsiedli się w fotelach. – I dlaczego inspektor Hughes o tym nie wspomniał?

– Nie chciałem narażać Dillona na nieprzyjemności. – O’Malley westchnął. – Za tydzień wyjeżdżam z żoną na Maderę i korzystając z okazji, że przyjechał pan po te kufry, sir – skłonił głowę w kierunku Igora – postanowiłem w końcu mieć tę sprawę za sobą. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym, tuż przed przeprowadzką Biura Akt Publicznych do Kew, inwentaryzowano stare archiwalia Ministerstwa Spraw Zagranicznych i wtedy właśnie jeden z kufrów zniknął.

O’Malley sięgnął po kieliszek i wypił łyk koniaku.

– W katalogach elektronicznych usunięto wszystkie dane na temat trzeciego kufra. Przez niedopatrzenie został jednak stary katalog analogowy.

– Jaki? – spytał niepewnie Johann.

– Skrzynia z fiskalami – wyjaśnił O’Malley. – Na pewno widział to pan, młody człowieku, w filmach albo w jakiejś bibliotece na prowincji.

Johann uśmiechnął się cierpko. Pomyślał, że wszystko jest względne. Dla osiemnastolatków, ze swoimi trzydziestoma ośmioma latami na karku, jest starym grzybem, a tu proszę – młodym człowiekiem.

– Rzecz w tym, że w tym katalogu na fiskalach w podkatalogu 47-B467 są trzy pozycje – 743, 744 i 745. Natomiast po pierwszej digitalizacji, czyli w czasach, gdy część akt przenoszono już do Kew, w katalogu elektronicznym są już tylko dwie pozycje – 743 i 744. Jedna zniknęła. Ale zachowała się karta katalogowa.

O’Malley sięgnął po teczkę, która leżała przed nimi na ławie, i wyciągnął stary poźółkły kartonik.

Igor wziął do ręki fiskkę i przez chwilę wpatrywał się w fotografię trzeciego kufra.

– Ale co się z nim stało? – spytał w końcu. – Został wywalony do śmieci, ktoś go ukradł?

– No więc to jest właśnie dziwne. – O’Malley odłożył teczkę na stół. – Jak tylko Hughes odkrył ten stary katalog, usiłowałem dotrzeć do jakichś

informacji na ten temat. Wiele osób od tamtego czasu przeszło na emeryturę, więc nie było to łatwe. Trafiłem w końcu na pewien trop. Otóż kufer został podobno odesłany do rodziny. Jakoby znaleziono w nim listy z Francji i właśnie na ten francuski adres kufer po prostu odesłano. Tylko że w takich przypadkach jest mnóstwo formalności, są protokoły, zachowuje się pisma przewodnie, potwierdzenia nadania. Tymczasem w dokumentach nie ma kompletnie nic na ten temat. Niestety trzeba założyć, że w latach dziewięćdziesiątych w trakcie zmiany siedziby archiwum był po prostu bałagan. – O'Malley westchnął ciężko. – Trudno mi się do czegoś takiego przyznać, bo przepracowałem w TNA prawie czterdzieści lat, ale niestety na to wychodzi.

– I nie wiadomo, dokąd konkretnie wysłano ten kufer? – Dermot spojrzał na O'Malleya podejrziwie.

– I dlaczego akurat ten? A dwa pozostałe zostały na miejscu, mimo że wewnątrz były przecież dokumenty z adresami w Polsce – dodał Igor. – Mało tego, był tam przecież testament właścicielki!

– Początkowo myśleliśmy, że to dlatego, że te dwa kufry, w przeciwieństwie do trzeciego, nie były otwierane od czasów wojny, ale podczas inwentaryzacji coś znaleźliśmy. – O'Malley uniósł brwi.

– Co takiego? – zainteresował się Dermot.

O'Malley bez słowa wstał i podszedł do stojącego przy oknie biurka. Sięgnął do jednej z szuflad i wyciągnął jakiś pordzewiały stalowy przedmiot.

Dermot obserwował tę inscenizację z irytacją.

– Rzecz w tym, że wewnątrz znaleźliśmy to. – O'Malley podał siedzącemu najbliżej Igorowi wielką stalową kłódkę.

– W środku? – Johann spojrzał na O'Malleya niepewnie. – W środku zamkniętego kufra?

– Mogło być tak, że ktoś przeciął stare kłódki i jedną przez nieuwagę zostawił wewnątrz. Sprawdziłem je. To produkty z końca dziewiętnastego wieku z małej fabryczki w Wilnie. Natomiast te, które obecnie znajdują się na kufkach, są angielskie. Także stare, ale mogą pochodzić najwcześniej z lat czterdziestych. Zakład, który je produkował, powstał w czterdziestym szóstym.

– Czyli jednak ktoś do nich po wojnie zaglądał? – Dermot podrapał się po brodzie.

– Pewnie niczego nie znaleźli i dali sobie spokój – mruknął Igor lekceważąco.

Dotarło do niego, że jakoś dziwnie, trochę nawet wbrew sobie, zaczyna się wstydzić za to, że wciągnął swoich przyjaciół w tę rodzinną aferę. Stare skrzynie z resztkami jakichś papierów i dokumentów, może i stare, może i z pieczęciami ostatniego polskiego króla, ale jak to wygląda? W zamku ojca Johanna biała broń wisząca na ścianach pochodziła ze średniowiecza. Anglicy, tak jak zresztą wiele innych nacji w Europie, zdołali ochronić swoją historyczną spuściznę, a Polacy...

Oczywiście to nie nasza wina, a jakże. Jak to leciało? *Gdyby tylko nie te troki u gaci i gdyby skrzaty nam nie szczały do mleka, jakże wielcy byśmy byli my, sarmaci...*[9]

– Igor – dotarło do niego, że Johann coś do niego mówi.

Spojrzał na niego roztargnionym wzrokiem.

– Nie kojarzysz żadnej rodziny z Francji?

Igor powoli pokręcił głową. Z opowieści babci Marii pamiętał tylko, że jakaś prababka studiowała na Sorbonie. Ale żadnej rodziny we Francji nie mieli.

– Odpowiadając w końcu na pana pytanie, sir – O'Malley spojrzał na Igora – prawdopodobnie nadawca z Francji po prostu się odnalazł. Natomiast w Polsce, sami panowie wiedzą, że po wojnie wszystko się zmieniło. Ja przecież brałem udział w inwentaryzacji zawartości tych dwóch skrzyń. Wewnątrz, owszem, były dokumenty, ale z adresami wsi i miejscowości na terenie ówczesnego Związku Radzieckiego. Adresy warszawskie także wszystkie przepadły. Możliwe, że po prostu nie dało się wówczas nikogo odnaleźć. W tamtych czasach w Warszawie nie było z kim rozmawiać. Przepraszam pana, sir. – O'Malley spojrzał na Igora, który uśmiechnął się wyrozumiale.

– A Cardwell to dlaczego niby nie chciał, żeby to wyszło na jaw? – Dermot ponownie spojrzał podejrzliwie na O'Malleya.

– Cardwell zrobiłby wszystko, żeby tylko mieć święty spokój. – O'Malley

westchnął. – Jak dowiedział się o tym, że TNA wysłało gdzieś ten trzeci kufer, a znaleźli się spadkobiercy, to kazał nam milczeć. Stwierdził, że skoro nie ma żadnych śladów poza tą fiszką, nie ma po co ściągać sobie dodatkowych kłopotów na głowę.

– No tak – przytaknął Dermot i pokiwał głową. – To rzeczywiście do niego podobne.

– No to wszystko jasne. No cóż... – Igor wiercił się nerwowo. – Zabraliśmy już panu wystarczająco dużo czasu.

Nadal czuł się skrępowany tym, że przez stare kufry ciotki narobił tyle zamieszania. Matka właściwie narobiła zamieszania, a nie on.

– Jest jeszcze coś. – O'Malley podniósł znacząco brwi i sięgnął po teczkę. Cała trójka ponownie wbiła w niego zaciekawione spojrzenia.

– Kufry odnaleźliśmy w marcu. – O'Malley wyciągnął z teczki jakieś wydruki. – Właściwie to nie powinienem tego panom mówić ani pokazywać kopii tych dokumentów, ale mam to gdzieś. Jestem na emeryturze – dokończył i położył na stole dwa wydruki.

– W maju pewna firma złożyła do Wydziału Akt Gospodarczych wnioszek o udostępnienie do wglądu materiałów archiwalnych i dokumentów naszej ambasady w Polsce z czasów Billa Bentincka.

– Victora Cavendisha-Bentincka? – upewnił się Johann. – Tego polityka od grupy Bildenberg?

– Tego samego – przytaknął O'Malley. – Udostępniliśmy im oczywiście wszystkie materiały nieobjęte klauzulą tajności. Zapłacili za komplet skanów. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dwa tygodnie później ta sama firma skierowała do nas pytanie, czy w archiwum z tego okresu nie znajdują się przypadkiem archiwalia rodzinne z Achremowiec.

– A dlaczego to niby miałyby się wiązać z naszymi kuframi? – zapytał zdezorientowany Johann.

Igor wygrzebał z pamięci, że przecież Achremowce to dzisiejsza nazwa wsi...

– Achremowce to dawny majątek Belmont, który do trzydziestego dziewiątego roku należał do hrabiny Radeckiej-Mikulicz – odpowiedział O'Malley i pokiwał znacząco głową.

Przez chwilę trwała cisza.

Dermot sięgnął po jeden z wydruków i przebiegł wzrokiem po kopii wniosku.

– Firma nazywa się C.Seekers. Inc. – powiedział, podnosząc wzrok na Johanna. – Z niczym ci się to nie kojarzy?

– Niby dlaczego miałyby? – zdziwił się Johann.

– Nie wiem. – Dermot przygryzł wargi. – Coś mi ta nazwa mówi. Już gdzieś się z nią zetknąłem.

– A czego może szukać jakaś angielska firma w starych polskich archiwaliach? – Johann spojrzał na O'Malleya. – Nie sprawdziliście, kim oni są?

O'Malley pokręcił głową.

– Normalnie nie robi się takich rzeczy. Tylko w przypadku zasobów objętych klauzulami tajności TNA sprawdza pełnomocnictwa, ale w przypadku zapytania nie było to potrzebne. I tak nie zamierzaliśmy im przecież tego udostępnić.

Igor, który odstawiał właśnie na stół szklaneczkę, poczuł, jak wyciszony telefon w jego kieszeni zaczął wibrować.

Przeprosił, wyjął komórkę i spojrzał na wyświetlacz. Karen. Odrzucił połączenie, stwierdziwszy, że to niezbyt dobry moment na konferowanie z siostrzenicą.

Tymczasem O'Malley wciąż tłumaczył zasady udostępniania zbiorów w archiwum.

– I co im w końcu odpowiedzieliście? – zapytał Igor, gdy O'Malley dotarł do końca swojego wywodu.

Emerytowany inspektor spojrzał na niego.

– Cardwell głowił się nad tym przez parę dni. Oczywiście także w kontekście własnego świętego spokoju – powiedział z ironią. – Nie chciał ściągać sobie na głowę problemów, zwłaszcza że już wtedy zaangażowana była w tę sprawę kancelaria z Warszawy. Ale musieliśmy jednak odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Ale chyba nie wysłaliście im skanów tych dokumentów? – Johann

spojrzał na inspektora z niepokojem.

– Zawartość kufrów w połowie maja nie była już objęta klauzulą tajności – odparł O'Malley i ciężko westchnął. – Niemniej trwało postępowanie wyjaśniające. Odpisaliśmy im zatem dyplomatycznie, że wszelkie dokumenty dotyczące tego okresu z terenów dawnej Rzeczypospolitej objęte są obecnie pracami inwentaryzacyjnymi i nie ma możliwości sprawdzenia ich zawartości, a tym samym odpowiedzi na zapytanie.

– Czyli jeśli zwrócą się do was jeszcze raz, TNA będzie musiało udostępnić te skany – dopytywał się Johann.

O'Malley uśmiechnął się bezradnie i wzruszył ramionami.

– Nie będzie – powiedział dobitnie Dermot. – Zgodnie z prawem skany są wprawdzie własnością TNA, ale ich publikacja, a także udostępnianie wymaga zgody właściciela tych dokumentów. Skierujemy do Cardwella odpowiednie pismo w tej sprawie.

Gdy pół godziny później jechali z powrotem do Greenwich, Igor usiłował dodzwonić się do siostrzenicy. Bezskutecznie. Uznał zatem, że nie było to nic ważnego.

W międzyczasie zapadł zmierzch. Na przeciwległym brzegu Tamizy widocznym z wielkich magazynowych okien budynku przy Riverside w biurach i apartamentowcach Royal Docks i Silvertown pojawiły się światła, a Tamiza zrobiła się ciemnogrnatowa.

Stał teraz przy oknie i lekko skonfundowany wpatrywał się w swoich współników, którzy od dobrej godziny konferowali na temat rewelacji przekazanych im przez byłego inspektora Wydziału Spraw Gospodarczych TNA. Johann pochylony nad swoim laptopem w skupieniu przeglądał jakieś materiały w necie, a Dermot z Gwen oglądali kolejno wszystkie dokumenty z kufrów ciotki. Ze względu na przeważający w nich język polski z domieszką cyrylicy niczego oczywiście nie rozumieli.

– Nie uważacie, że to jednak przesada? – zapytał ostrożnie, podchodząc do stołu, na którym piętrzyły się stosy starych papierów. – Może to zwykłe nieporozumienie? Przypadek?

– Odnajdują się kufry twojej ciotki zachachmęczone przez Bentincka i nagle ktoś zaczyna poszukiwać archiwaliów z tego samego okresu, akurat

z czasów jego ambasadorowania? – zapytał podejrzliwie Johann i podniósł wzrok znad klawiatury. – Nie wydaje ci się to podejrzane?

– Może to jakieś towarzystwo historyczne?

– Albo płaskoziemcy, którzy szukają dowodów na to, że grupa Bildenberg chce przejąć władzę nad światem – zakpił Jamie.

– No na przykład.

– I w tym celu szukają polskich archiwaliów z Achremowiec? – Johann parsknął i uśmiechnął się sarkastycznie.

– A co ty możesz wiedzieć o tym, jak się przejmuje władzę nad światem? – Jamie zrewanżował mu się pobłażliwym uśmiechem. – Może archiwalia z Achremowiec są do tego niezbędne.

Johann postukał się palcem w czoło, a Igor wzruszył ramionami z zakłopotaniem.

Wciąż czuł się trochę zażenowany tym wszystkim. Po poważnym projekcie poszukiwania wraku galeonu w okolicach Gibraltaru grzebią teraz w kufrach jego praciotki i przeglądają akta procesów sądowych o kradzież drewna z lasu. Na Litwie w dodatku.

– Mam wrażenie, że coś kiedyś czytałem. – Johann cały czas wpatrzony w skupieniu w ekran swojego laptopa przeszukiwał nadal internet. – Jakaś dziwna sprawa. O rany... Wiedziałem!

Igor podszedł do Johanna i zajrzał mu przez ramię.

– Co znowu? – zapytał Jamie i spojrzął w ich kierunku.

– Szukałem czegoś na temat Billa Bentincka. To nazwisko nie dawało mi spokoju. I słuchajcie, co znalazłem. Jego pradziadek, piąty książę Portland, był właścicielem jednej z największych angielskich posiadłości Welbeck Abbey w Nottingham i zarazem największym dziwakiem ówczesnej Anglii. Całe swoje życie poświęcił właściwie przebudowom i rozbudowom w swoim majątku. Założył ogromny park z rezerwatami dzikich zwierząt, wielką ujeżdżalnią i ze sztucznym jeziorem.

– A co to ma wspólnego z kuframi prababki Igora? – zniecierpliwiał się Jamie.

– To słuchaj dalej. – Johann zgromił go wzrokiem. – Jego największą

pasją stało się jednak drażnienie tuneli – oznajmił i spojrzął porozumiewawczo na przyjaciół. – Na terenie ogromnego majątku powstały wkrótce kilometry podziemnych przejść łączących pałac z folwarkiem, ujeżdżalnią, a także z miasteczkiem Worksop, gdzie William Cavendish, dzięki temu tunelowi, podobno pojawiał się incognito przebrany za kmiotka. Zbudował także cały podziemny pałac i spędzał tam tak dużo czasu, że prawdziwy stary dwór stał długie lata nieużywany. Ale najciekawsze rzeczy działy się po jego śmierci.

Johann powiódł zaaferowanym spojrzeniem po twarzach przyjaciół.

– Niedługo po jego pogrzebie do sądu w Londynie wpływa pozew niejakiej Eleonory Druce. Kobieta twierdzi, że jej zmarły teść Thomas Charles Druce był w rzeczywistości piątym księciem Portland, który upozorował własną śmierć po to, żeby wieść spokojne życie z prostą dziewczyną z Worksop, zresztą jej teściową. Ponoć w grobie księcia spoczywała trumna wypełniona ołowiem, a sam książę był osobiście na swoim pogrzebie. W przebraniu i z dolepioną brodą świetnie się bawił. Proces sądowy o odzyskanie gigantycznego majątku trwał wiele lat i zakończył się, gdy doprowadzony do ostateczności szósty książę Portland zgodził się w końcu na ekshumację, która dowiodła niezbitnie, że w grobie leży pradziadek naszego Billa.

Johann oderwał wzrok od ekranu laptopa i spojrzął z rozbawieniem na zasłuchanych współników.

– Jeżeli ten Bill Bentinck wychował się w takim domu, w dodatku pewnie jako dzieciak penetrował te dziadkowe korytarze i tajemne przejścia, to można podejrzewać, że jednak nieprzypadkowo zgarnął kufry prababki Igora.

– O wiele ciekawiej wygląda jego dorosłe życie – odezwała się nagle Gwen, która także pochylona nad laptopem śledziła coś w sieci. – Bentinck w latach trzydziestych był szefem wywiadu. Nadzorował służby bezpieczeństwa i agencje typu Secret Service, Defence Intelligence. Przez jego ręce przechodziły wszystkie tajne dokumenty i materiały angielskich służb wywiadowczych, czaicie? – Gwen oderwała się na chwilę od czytania i popatrzyła z niedowierzaniem na przyjaciół. – Jego karierą zachwiała jednak pewna wpadka...

– No czytaj – zniecierpliwił się Jamie, gdy Gwen długo milczała, przesuając wzrok po ekranie laptopa. – Jaka wpadka?

– W sierpniu czterdziestego trzeciego roku ówczesny ambasador Wielkiej Brytanii przy polskim rządzie emigracyjnym przekazał tajne materiały na temat deportacji i ludobójstwa tysięcy Żydów na polskich kresach. Bentinck nie tylko zlekceważył te doniesienia, ale ostro potępił polskie i żydowskie relacje na ten temat jako prowokację i próbę wywołania międzynarodowego skandalu. Napisał tak: „Jestem przekonany, że historie o komorach gazowych są nieprawdziwe i popełnilibyśmy błąd, dając im wiarę”.

Ciszę, która na moment zapadła przy stole, przerwał Johann.

– Nieźle. To rzeczywiście musiało później zrujnować jego karierę. W czterdziestym piątym dostał nominację na ambasadora w Polsce. Chyba po prostu chcieli się go pozbyć z Londynu – mruknął, wpatrując się w swój laptop.

– Ale to nie koniec – wtrąciła ponownie Gwen. – W czterdziestym szóstym zaliczył kolejną dyplomatyczną wpadkę. W Szczecinie! – Podniosła wysoko brwi i spojrzała na Igora.

– W Szczecinie? – upewnił się Igor ze zdziwieniem.

– Pod koniec czterdziestego szóstego formalnie wizytował Szczecin – dodała Gwen i czytała dalej. – Został poproszony o podjęcie rozmów z niemiecką ludnością, która w fatalnych warunkach przebywała jeszcze w swoich domach, i z polskimi uchodźcami z kresów. Chodziło o porozumienie w celu wspólnego tymczasowego zamieszkania i stopniowego przejęcia nieruchomości, które bez nadzoru były podpalane i niszczone to przez niemieckich maruderów, to przez Rosjan. Bentinck odmówił, argumentując, że zarówno jedna, jak i druga strona zamiast starać się osiągnąć konsensus, będzie narzekała na swój los i zanudzała go swoimi problemami. Skłócony z polskimi władzami został odwołany ze stanowiska i miał trafić na placówkę do Brazylii, ale skandal z rozwodem spowodował, że w ogóle pozbyto się go z ministerstwa. I to jest trochę dziwne.

– To, że po takich wpadkach go wywalono? – Igor usiłował przypomnieć sobie wczesną powojenną historię Polski. Czterdziesty siódmy to był okres sfałszowanych wyborów, likwidacji podziemia i opozycji i początek stalinizmu. Przeszło mu przez myśl, że jeśli Bentinck faktycznie był skłócony z ówczesnymi władzami, to paradoksalnie raczej dobrze o nim świadczy.

Gwen pokręciła głową.

– Mam na myśli jego małżeństwo. Z tego, co tutaj czytam, wynika, że żona opuściła go jeszcze w trzydziestym dziewiątym. Rozwód po wojnie był jedynie formalnością. Dlaczego w takim razie nagle dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii stało się to takim skandalem, że aż Bentincka wywalili? W dodatku pozbawiając go nawet praw do emerytury.

– Pretekst? – spytał Dermot.

– Właśnie – potwierdził Johann. – Musiał mieć coś więcej za uszami.

– Wszędzie o tym okresie jego życia piszą bardzo enigmatycznie. – Gwen przejechała palcem po ekranie. – Możliwe, że ze względu na jego karierę w służbach specjalnych wszystko nadal objęte jest tajemnicą.

– Ma się rozumieć, ale co to wszystko ma wspólnego z prababką Igora? – odezwał się znowu Jamie. – Albo przynajmniej ze spółką, która interesuje się jej kuframi?

Właśnie! Igorowi nagle stanęła przed oczami babcia Maria. Pamiętał, że opowiadała kiedyś o jakimś generale, który był szyczą w rządzie emigracyjnym. Jak on się nazywał...

– Mogę? – spytał i nie czekając na odpowiedź, sięgnął po laptop Johanna. Wpisał kilka słów w wyszukiwarce i po chwili śledził listę wyników. Ten wynik, o który chodziło, pojawił się prawie od razu.

– Mój krewny, Witold Radecki-Mikulicz, w tym samym czasie, gdy Bentinck szefował Secret Service, i później, gdy był ambasadorem, był attaché wojskowym przy rządzie emigracyjnym w Londynie – powiedział, wpatrując się w stronę na jakimś portalu dotyczącym wojskowości.

– No to nie ma siły – stwierdził z przekonaniem Dermot. – Musiał mieć z tym związek. To wygląda na starą polityczną aferę. Może w tych kufrach są jakieś dowody, jakieś kwity na tego Bentincka. Może ktoś chce je wykorzystać?

– Czytam tutaj, że... – odezwała się ponownie Gwen. – To jest wprawdzie jakaś typowa strona ze spiskowymi teoriami dziejów, ale może coś w tym jest. Bentinck został jakoby oskarżony o kontakty z dowódcami specjalnych jednostek Armii Czerwonej, które zajmowały się szabrem. Odsunięto go z tego właśnie powodu, ale nie nagłaśniano sprawy, żeby nie wybuchł skandal. Matka ówczesnej królowej, Elżbieta Bowes-Lyon, żona króla

Jerzego Szóstego, była z domu Cavendish-Bentinck.

– No właśnie! – wtrącił Dermot. – Mówię wam, że to jest jakieś polityczne gówno.

– Brygady trofiejne – mruknął z niedowierzaniem Igor.

– To po rosyjsku? – Dermot spojrzał na niego. – Co to znaczy?

– Brygady trofiejne, czyli te jednostki od szabru, o których wspomniała Gwen.

– Co ambasador Wielkiej Brytanii mógł mieć z nimi wspólnego? – Gwen wpatrywała się w ekran laptopa, usiłując znaleźć odpowiedź na swoje pytanie.

– Czekaj, czekaj... – Johann przysunął laptop. – Google twierdzi, że ten twój krewny Witold był także attaché wojskowym w Paryżu. A może to do jego rodziny pojechał ten trzeci kufer?

Igor pokręcił głową.

– Witold wrócił z Paryża do Anglii zaraz po wojnie. Jest pochowany na cmentarzu w North Sheen. Jego rodzina mieszka tutaj do dzisiaj.

– Nie macie żadnych kontaktów? – zapytał Dermot.

– Nawet ich nie znam.

– Obawiam się, że wspomniane podejrzone typy mogą dotrzeć do tych materiałów. – Johann sięgnął po jeden ze starych woluminów, które wciąż leżały na stole. – Skoro skany są w archiwum TNA, to prędzej czy później je zdobędą, nawet jeśli formalnie twoja rodzina nie wyrazi zgody. Chociażby przez Cardwella. Bentinck, kufry, ten twój generał... – Spojrzał na Igora. – A teraz okazuje się, że jeszcze radzieckie jednostki od szabru. To wszystko musi się jakoś łączyć.

– I co gorsza, ci z C.Seekers mogą mieć jakieś dodatkowe informacje – stwierdził Dermot. – Dzięki nim mogą nas uprzedzić i znaleźć trzeci francuski kufer. Te sprawy są wprawdzie z całą pewnością objęte najszczelniejszymi klauzulami tajności, ale skoro oskarżenia przeciwko Bentinckowi były takiego kalibru, to z całą pewnością zachowały się jakieś zapisy, dokumenty, protokoły przesłuchań...

– Wiem, jak możemy dowiedzieć się czegoś więcej o kulisach zwolnienia

Bentincka! – odezwała się nagle Alice. – Oczywiście nam nikt nie udostępni tych materiałów, ale...

Na moment zapadła cisza, a wszyscy obecni wbili wzrok w dziewczynę.

Alice pokiwała znacząco głową i spojrzała na Johanna.

Ten przez chwilę wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc, co chciała powiedzieć. Nagle otworzył szeroko oczy.

– Mowy nie ma! – powiedział i zdecydowanie pokręcił głową. – On nigdy się na to nie zgodzi. Nawet nie wyobrażam sobie, że mógłbym go prosić o coś takiego.

– Kogo? O co? – Jamie patrzył to na Alice, to na Johanna. – O czym wy mówicie? Zaraz... Nie chodzi ci chyba o...

– Oczywiście! – rozpromienił się nagle Dermot. – Sir Charles Carley, wielmożny lord Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej[10].

– Odbiło wam! – Johann postukał się energicznie palcem w czoło. – Jak to sobie wyobrażacie? Że umówię się z ojcem na obiad i ni z tego, ni z owego palnę: „Tatuś, potrzebne mi są pewne dokumenty z tajnego archiwum służb specjalnych. Mógłbyś zrobić dla mnie kopie? Oddam ci za papier do drukarki”?

– Przecież nie musi niczego wynosić ani kopiować. – Alice wzruszyła ramionami. – Wystarczy, jak zajrzy tam i później nam opowie. Dzięki temu nie będzie żadnych śladów.

– Słuchajcie! – przerwał Igor Alice. – Johann ma rację. To absurd. Nie możemy go o to prosić. Poza tym przypominam wam, że to tylko stare kufry, a wy już doszukujecie się w tym wręcz spisku iluminatów.

Wydał wargi i machnął lekceważąco ręką.

– Dobra...

– Co dobra? – Zdezorientowany Igor spojrzał na Johanna.

– Dobra, spróbuję. – Johann ciężko westchnął. – Umówię się z ojcem jutro na lunch. Pewnie od razu mnie wydziedziczy.

Wybuch entuzjazmu przerwał głośny dźwięk komórki.

Igor spojrzał na wyświetlacz. Spodziewał się Karen, ale na ekranie

wyświetlił się numer warszawskiego mecenasa.

Podniósł się i odszedł na bok.

Tamiza była już całkiem czarna, a przeciwległy brzeg mienił się tysiącem świateł, które migotliwie odbijały się w wodzie. Igor słuchał z rosnącym niedowierzaniem, a gdy wrócił do stołu, musiał mieć dziwny wyraz twarzy, bo Dermot, który natrząsał się jeszcze ciągle z Johanna, od razu spytał, co się stało.

– Właśnie się dowiedziałem, że w Warszawie aresztowali moją matkę.

Rozdział 8

Dawno, dawno temu...

Według zachowanych opisów kronikarzy i wspomnień uczestników tych wydarzeń dzień, kiedy ogromna armia wraz z setkami uciekinierów opuszczała mury tego wielkiego grodu, był jednym z tych pięknych jesiennych dni, w których niebo jest intensywnie niebieskie, a słońce wydobywa z barw pól, łąk i lasów błyski w kolorach złota i czerwieni.

Miasto otoczone potężnymi murami w ten jesienny dzień wydawało się kronikarzom podobne do zniszczonej Troi opuszczanej przez Agamemnona lub do Kartaginy, z której wychodziły zwycięskie wojska Rzymian. Ktoś inny napisał potem także, że ów ogromny exodus przywodził na myśl „armię starożytnych Persów podczas ich wypraw przeciw Grekom”.

To była gigantyczna kolumna maszerujących wojsk, jeźdźców, armat, wozów pełnych prowiantu i wyposażenia, powozów generałów, marszałków, oficerów. Za nimi wlokły się landary z wywożonymi z grodu zdobycznymi skarbami, a dalej karoce, landa, kabriolety nawet lub zwyczajne wozy po brzegi wypełnione dobytkiem uciekających z miasta mieszkańców: kobiet, dzieci, kupców, arystokratów ratujących swoje bogactwa, prostaków ciągnących marne wózki z dobytkiem. Były też wozy trup teatralnych i cyrkowych, a nawet wozy markietanek, którymi stały się teraz dziewczęta z miejskich burdeli.

Ilość prących na zachód pieszych, konnych i jadących wozami była tak ogromna, że sam przejazd przez bramę miejską nanizaną na cyklopowe mury obronne stał się gigantyczną operacją logistyczną, która trwała prawie trzy dni.

A nad opuszczanym grodem unosiły się pióropusze dymów i czerwone łuny ognia, który pożerał całe biedne dzielnice drewnianych domów, bogate szpalery kunsztownie rzeźbionych pałaców magnaterii, kościoły i wieże

fortecznych umocnień.

Nad przepływającą przez gród rzeką znajdowało się serce miasta, ogromna ufortyfikowana twierdza na wzgórzu ze wznoszącymi się nad nią wysokimi wieżami kościołów i dzwonnicy i tą najwyższą, najważniejszą, lśniącą białą i zwieńczoną niebosiężnym krzyżem z czystego srebra.

Trzeciego dnia po tym, jak rozpoczął się exodus, pozostawiony na tyłach wojska oddział podłożył pod tym ogromnym fortalicjum ładunki wybuchowe. Miasto miało zostać pozbawione swojego najważniejszego symbolu, najstarszej części górującej nad grodem od wieków.

Gdy wybuchły pierwsze dwa ładunki, była druga w nocy. Czoło armii znajdowało się wtedy już dobre kilometry drogi od grodu i podążało na zachód starym traktem zwanym kałuskim. Według zachowanych dzienników i wspomnień oficerów w pierwszej chwili zdezorientowani żołnierze nie wiedzieli, co się dzieje. Jeden z adiutantów generała gwardii przybocznej zanotuje później, że był to najgłośniejszy huk, jaki słyszał w swoim życiu.

O tym, co stało się w mieście, napiszą później także bezpośredni uczestnicy owej misji, do której został oddelegowany jeden z generałów.

Dwa pierwsze wybuchy zniszczyły część murów starożytnej fortecy i jedną z głównych baszt nad rzeką, trzeci wysadził w powietrze jeden z ogromnych kościołów i stojące przy nim cztery niebotyczne dzwonnice. Pewien podróżnik, odwiedzający to miejsce rok później, zrelacjonuje potem, że okolica usiana była szczątkami starej świątyni, a ogromne dzwony, z których jeden ważył sto tysięcy kilogramów, leżały porzucane dookoła, wbite w ziemię aż po pierścień na ich szczycie.

Czwarty wybuch, najbardziej ze wszystkich przerażający, zdruzgotał ogromny arsenał. W powietrze wyleciały grube na ponad cztery metry mury wraz z sąsiadującą z arsenałem bramą i kilkoma wieżami obronnymi.

Eksplozje były tak potężne, że wiele ocalałych w mieście domów zostało zmiecionych z powierzchni ziemi przez falę uderzeniową, a pozostawieni w miejskich lazaretach ranni i chorzy, którzy nie byli w stanie udać się w drogę, sądzili, że nadszedł koniec świata.

Tej jesiennej nocy zniszczona została także najcenniejsza świątynia cytadeli, ze stojącą przy niej śnieżnobiałą dzwonnica, zbudowaną przez pierwszego z władców. Gdy wybuchł podłożony pod nią ładunek, wieża

została rozdarta od szczytu po fundamenty, a ogromny krzyż na wieńczącej jej szczyt kopule zwalił się na ziemię wraz z resztkami dachu, arkuszami połączonej blachy z hełmu wieży i szczątkami jej murów.

Rozdział 9

WARSZAWA

W tym samym czasie, gdy jaguar Dermota płynął Bayswater Road, a O'Malley w swoim białym szeregowcu przy Gloucester, wyglądając co chwila przez okno, oczekiwał gości, Anna i Karen wysiadały właśnie z taksówki na skrzyżowaniu Mokotowskiej z Koszykową.

Słońce z wolna zniżało się nad miastem, oświetlając jedynie najwyższe piętra kamienic przy północnej pierzei ulicy.

– Dalej panie pójdą prosto, Koszykowa sześć będzie po lewej stronie, jakieś dwieście metrów przed placem Na Rozdrożu. – Młody taksówkarz, pochylony nad siedzeniem pasażera, instruował jeszcze w ostatniej chwili Karen, która uśmiechała się do niego i jednocześnie ciekawie rozglądała dookoła. – Tylko niech panie uważają, tam będzie dzisiaj spory ruch.

Po chwili taksówka odjechała w stronę placu Zbawiciela, a Anna i Karen ruszyły w kierunku wskazanym przez taksówkarza.

– Powinnaś była umówić się z tym młodym prawnikiem, on by cię oprowadził, a nie ciągać babkę po całej Warszawie – gderła Anna. Poprawiła torebkę, uśmiechając się pod nosem.

– Co ty za głupoty opowiadasz? – zachnęła się Karen. – Proponował to wyłącznie kurtuazyjnie, pewnie dla wszystkich klientów jest taki miły. Poza tym nie będę z obcym facetem odwiedzała rodzinnych adresów.

– W takim razie musimy jeszcze zajechać na Stare Powązki. Trzeba zapalić świeczkę ciotce Elżbiecie. Przy okazji wszystkim pozostałym z rodziny, którzy tam leżą. Nie wiem, czy będę miała jeszcze kiedykolwiek okazję.

– Jutro rano na pewno zdążymy. – Karen wyjęła telefon i zadarła głowę.

Na ostatnim odcinku Koszykowej w lewo odbijała krótka uliczka Świętej

Teresy, a flankowały ją dwie identyczne kamienice z narożnymi wieżyczkami.

– Tu jest Koszykowa sześć. – Karen podniosła telefon i zrobiła fotkę. – To kto tutaj w końcu mieszkał?

– To jeszcze raz... – Anna westchnęła. – Helena, mieszkająca w kamienicy przy Alejach Ujazdowskich, miała trzech synów: Witolda – tego generała z Londynu, Marcelego i Stefana, oraz dwie córki, które możemy pominąć, bo nie było ich w Warszawie, siedziały na włościach mężów na Wołyniu.

– I tak tego nie zapamiętam. – Karen zrobiła sobie selfie na tle bramy wejściowej, którą zdobiły dwie wielkie kute latarnie.

– No w każdym razie... – Anna zdecydowała się skrócić genealogię do niezbędnych informacji. – Tutaj przy Koszykowej i za rogiem w tym budynku, w którym dzisiaj mieści się Ministerstwo Sprawiedliwości, były dwa mieszkania należące do Marcelego i Marii.

– Oddzielne mieszkania? – Karen popatrzyła na babkę ze zdziwieniem.

– To pewnie była lokata kapitału, jak by to dzisiaj powiedzieć. Wołyńskie majątki przynosiły na tyle duże zyski, że stać ich było na stary styl życia.

– Czyli jaki?

– Wakacje na wsi, a resztę roku spędzali w stolicy. Zresztą tak samo funkcjonował Belmont i Litwa do pewnego czasu, chociaż z Litwy to raczej jeżdżono do Wilna. Dopiero dziadek, ten od babci Marii, skończył agronomię w Poznaniu i zakochał się w życiu na wsi.

– I zupełnie nie przychodzi ci do głowy, o jakie ziemie Mikuliczów mogło chodzić?

– Jakie ziemie? – Anna spojrzała na Karen zdezorientowana. Miała wrażenie, że nie nadąza niekiedy za tokiem myślenia wnuczki i błyskawicznymi zmianami tematów. – A ty znowu o tych mitycznych skarbach z testamentu...

– „W niewyjaśnionych okolicznościach na ziemiach należących do rodziny mojego męża w podziemiach jakiegoś zamku ukryta została ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra...” – zacytowała z pamięci Karen.

– Kochanie, sama chyba słyszysz, jak to brzmi – powiedziała Anna z przekąsem. – W co drugim dworze na kresach opowiadano takie bajdy.

– A zamek nie jest jakąś wskazówką? Mikuliczowie mieli kiedyś jakiś zamek?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale to także zależy od tego, co miał na myśli autor tych banialuk. – Anna się zawahała. – Zamkiem dość często nazywano na przykład stary pałac w Belmoncie. Nawet opowiadano, że został zbudowany na murach zamczyska, które kiedyś należało do królowej Bony.

– No proszę...

– Poza tym skąd wiadomo, że to chodzi o naszą rodzinę? Ciotka, pisząc o ziemiach swojego męża, mogła przecież mieć na myśli pierwszego męża Feliksa.

– To po co zostawiałyby te kufry naszemu pradziadkowi? To przecież bez sensu. Poza tym wspomniała o archiwum Kozaczyzny. Skąd w archiwum Kozaczyzny miałyby się znaleźć jakieś legendy Platerów?

– Teoretycznie masz rację. Teoretycznie dlatego, że to generalnie wszystko bzdury.

– Oj, babciu...

– Kresy to historia ciągłych powstań, rewolucji i wojen, w których ciągle płonęły jakieś stare domy. Litwa też stała na fundamentach starego dworu obronnego.

– Czyli zamku? – podchwyciła Karen z entuzjazmem.

– E tam... – Anna tylko machnęła ręką. – Ale à propos tej tutaj Marii i Marcelego, resztki zamku to stały akurat w ich Czetwertni...

Karen oderwała wzrok od ekranu komórki i spojrzała na babcię z zainteresowaniem.

– O żadnej Czetwertni mi jeszcze nie opowiadałaś.

– Prastara siedziba książąt Czetwertyńskich, ich najstarsze gniazdo rodowe od średniowiecza. Od niego zresztą wzięli swoje nazwisko. Pamiętasz, pokazywałam ci ambasadę amerykańską. To ci sami Czetwertyńscy. Pod koniec dziewiętnastego wieku Heliodor, ostatni książę na Czetwertni, wydał swoje dwie córki za dwóch braci Mazarakich. A starsza

z nich, Stanisława, to babcia tej tutaj Marii. – Anna skinęła głową w kierunku gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości, którego skrzydło, dobudowane po wojnie na narożniku placu na Rozdrożu, sięgało do Koszykowej. – I w ten oto sposób Czwertnia jako posag dostała się Mikuliczom z Wołynia.

– Ale to zajebiste – westchnęła z podziwem Karen. – Brzmi prawie jak bajka. Jakaś Kraina Lodu czy coś w tym stylu.

– Bajka skończyła się w trzydziestym dziewiątym – stwierdziła Anna z przekąsem. – Ukraińskie wsie w okolicach Czwertni stały się sceną jednych z najbardziej krwawych rzezi UPA na polskiej ludności.

– Umiesz zepsuć nastrój.

Karen zrobiła ostatnią fotkę na tle kamienicy. Cofając się, wpadła na grupkę młodych ludzi, którzy głośno o czymś rozprawiając, szli w kierunku placu.

– Przepraszam – uśmiechnęła się i skinęła przyjaźnie ręką.

– Skąd tu taki ruch? – Anna rozejrzała się dookoła.

Koszykową, w kierunku placu Na Rozdrożu, szły kilkusobowe grupy. Na placu widać było zbierający się coraz gęstszy tłum ludzi.

– Może to jakiś jarmark albo coś w tym stylu. – Karen spojrzała w stronę uliczki Świętej Teresy. – Idziemy! Musimy obejrzeć apartamentowiec ciotki Czort... werty...skiej. – Karen się skrzywiła. – Chryste. Język można sobie połamać.

– Czwertyńskiej! I nie Czwertyńskiej, tylko Boguszówny – powiedziała Anna i ruszyła za Karen. – Co ja bym teraz dała za filiżankę herbaty na swoim tarasie w Dalewie.

*

Kanciasto-owalny budynek przy Wroniej pogrążony był już częściowo w ciemności. Piąteczek i zbliżająca się godzina dwudziesta wypędziły przeważającą liczbę pracowników mieszczących się tutaj korporacji i tylko nieliczne światła na poszczególnych kondygnacjach informowały, że ktoś ślęczy po godzinach.

Na czwartym piętrze jaśniały jeszcze okna w open spacie zajmowanym

przez kancelarię Nałęcz & Łaniewski i Partnerzy, a dwa ciemne pola dalej jarzyło się światło w narożnym gabinecie prezesa.

Hubert Łaniewski właśnie skończył rozmawiać z żoną, która zniecierpliwiona i pełna obaw, że nie zdążą na koncert, na który szykowała się od tygodnia, dzwoniła już po raz drugi.

Łaniewski wpatrywał się w dokumenty na ekranie i usiłował ułożyć sobie w głowie plan postępowania w skomplikowanej sprawie – obrony jeszcze do niedawna wpływowego prezesa jednej ze spółek skarbu państwa, którego pół roku temu prokuratura oskarżyła o wyłudzenie ogromnych pieniędzy. Sprawa wyglądała dość blado, śmierdziała politycznie i generalnie była szambem, ale przynosiła spory zysk. To znaczy mógł być spory, jeśli tylko zdołaliby wytrącić prokuraturze argumenty z ręki i udowodnić, że wartość sprzedanych akcji spółki nie została celowo zaniżona.

Łaniewski spojrzął na ścienny zegar. Minęła dwudziesta piętnaście. Jeśli zostanie jeszcze chwilę dłużej, to rzeczywiście spóźnią się na pierdolony koncert. Westchnął i z rezygnacją zamknął swój laptop.

W tym samym momencie zadzwonił jego smartfon.

Zaklął pod nosem i gotując się na kolejną porcję utyskiwań, odebrał, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Kochanie – warknął. – Właśnie wychodzę. Będę za dwadzieścia minut! Zdążymy! Do dwudziestej drugiej jest od chuja czasu.

– Bardzo mi miło, panie Łaniewski – usłyszał niski męski głos, mówiący w języku angielskim. – Nazwanie mnie „kochaniem” na pewno ułatwi dalszą rozmowę.

W głosie nieznajomego dało się wyczuć rozbawienie.

– Przepraszam najmocniej. – Łaniewski spojrzął na wyświetlacz. Nieznany numer. W dodatku z jakimś prefiksem. Czterdzieści cztery i dwadzieścia? – Nie spojrzałem na numer, ale słyszę, że rozumie pan po polsku?

– Bardzo słabo. – Nieznajomy najwyraźniej się uśmiechnął. – Ale akurat „kochanie” wiem, co znaczy. Nie zabiorę panu dużo czasu, nie chcę, żeby żona na pana czekała. Czy moglibyśmy się spotkać jutro? To nie jest rozmowa na telefon.

– Szuka pan prawnika?

– Ja jestem prawnikiem – powiedział nieznajomy i zapewne znowu się uśmiechnął. – Mam dla pana bardzo atrakcyjną propozycję współpracy. W Warszawie będę jeszcze dzisiaj. Zatrzymuję się w Bristolu. Brunch? Marconi? Jedenasta?

Łaniewski wpatrywał się w mahoniowy blat swojego biurka.

Czterdzieści cztery i dwadzieścia to był Londyn, ale facet mówił z jakimś ledwie wyczuwalnym akcentem.

Spojrzał na zegarek. Był umówiony z klientem na dwunastą. Godzina to chyba aż nadto.

– Może dziesiąta?

– Znakomicie. Do zobaczenia jutro. Życzę udanego wieczoru.

Nieznajomy, nie czekając, rozłączył się.

Łaniewski przez moment wpatrywał się w wyświetlacz, zorientował się, że jest dwudziesta trzydzieści, a w nieodebranych było kolejne połączenie. Tym razem od żony.

*

Uliczkę Świętej Teresy otwierają, niczym pylony jakiejś starożytnej bramy, dwie narożne wieże kamienic przy ulicy Koszykowej. Wąski zaułek zamyka fasada kamienicy pod numerem drugim, a uliczka zaraz potem odbija w prawo i kończy się gargantuiczną siedmiokondygnacyjną fasadą budynku Ministerstwa Sprawiedliwości.

Karen zadarła głowę, a następnie zrobiła sobie selfie na tle gmachu.

– Modernistyczny apartamentowiec oraz pozostałe kamienice przy ulicy Koszykowej zostały wybudowane jako zespół luksusowych czynszówek. Mieściły się tutaj także poselstwa, między innymi amerykańskie... – Karen podniosła wzrok znad komórki i spojrzała na babkę. – A wiemy konkretnie, gdzie Maria tu mieszkała? Na którym piętrze na przykład?

– Pojęcia nie mam – oświadczyła Anna. – Byłam tutaj kiedyś z ciotkami, ale one też nie wiedziały. Wiedziały jedynie, że Marceli i Maria mieli widok na Aleje Ujazdowskie.

– Czyli na drugą stronę? – Karen obróciła się wokół własnej osi. Po lewej stronie, pomiędzy budynkami, majaczyła szklana ściana nowego biurowca.

– Widzisz to szklane coś tam? – Anna skinęła w tym kierunku. – To nowe coś przylega do tylnej ściany oficyny Willi Róż.

– Serio? – Karen powiodła oczami za wzrokiem babki. – To naprawdę wszyscy tutaj mieli do siebie blisko. A to co? – Spojrzała w kierunku gmachu ministerstwa. – To chyba jakieś muzeum?

Podeszła bliżej i zatrzymała się przy tylnych drzwiach wejściowych.

– To miejsce ma bardzo niesławną przeszłość. – Anna skrzywiła się, patrząc na wejście do piwnic gmachu. – Chociaż biorąc pod uwagę aktualne przeznaczenie, trudno sobie wyobrazić, że mogło być gorzej.

– Dlaczego? – Karen oderwała wzrok od komórki i spojrzała na Annę z zainteresowaniem.

– Niemcy wywalili stąd mieszkańców i urządzili w tym miejscu siedzibę Kripo, policji kryminalnej, która wbrew nazwie zajmowała się głównie organizowaniem łapanek i dostarczaniem ludzi do obozów koncentracyjnych. Natomiast po wojnie mieściła się tutaj bezpieka.

– Cele bezpieki – przeczytała Karen. – To na ten temat jest ta ekspozycja? Wchodzimy?

Anna westchnęła.

– Nie wiem, czy chcę to oglądać.

– Potraktuj to jako lekcję historii dla wyrodnej wnuczki pół-Szwedki.

– No chyba że tak.

Gdy godzinę później wyszły z mrocznych kazamatów komunistycznej bezpieki, na zewnątrz panował już półmrok i paliły się latarnie.

Anna odetchnęła głęboko.

– Wyobraź sobie tych młodych ludzi, którzy dopiero co walczyli w powstaniu, stracili ojców, braci, przyjaciół, a władza powojennej Polski w podziękowaniu wrzuciła ich do tych lochów i torturowała.

– Ale napisali, że cała tamta władza i to Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego były zorganizowane i nadzorowane przez Stalina.

– Oczywiście! – Anna prychnęła ze złością. – Ale bez uczynnych i czołobitnych wobec nowej władzy Polaków żaden Stalin niczego sam by nie zrobił. Nie akceptuję tej narracji, że za wszystko odpowiadają tak zwani mityczni komuniści. Skoro upieramy się, żeby mówić o Niemcach, a nie o nazistach, to tak samo mówmy o Polakach, a nie o komunistach.

Karen ostrożnie przytaknęła.

W Kristianstad, Lund, Sztokholmie, nawet na promie w Ystad czy gdziekolwiek w Europie, była Szwedką, ale za każdym razem, odkąd przestała być dzieckiem i zaczęła dostrzegać skomplikowane relacje polityczno-społeczne, gdy przyjeżdżała do Polski, ocierała się o tę bolesną świadomość polskiej przynależności narodowej. I nic tutaj nie było ani proste, ani oczywiste, zwłaszcza obecnie, gdy czytała, jak patriotyzm zlewa się z nacjonalizmem, a Polacy nazywający siebie patriotami pozdrawiają się „rzymskim salutem”.

Obejrzała się jeszcze raz i spojrzała na monumentalny budynek. Pomyślała, jakie życie jest przewrotne. Przedwojenny apartamentowiec – dawniej synonim libertyńskiej zamożności i wolności, potem symbol ludobójstwa, totalitaryzmu i łamania praw człowieka.

Po chwili dogoniła babcię.

– Jedyne syn Marii i Marcelego zginął w powstaniu. Dwudziestoletni chłopiec. – Anna poprawiła torebkę, dziwiąc się, że ze zdenerwowania trzęsą jej się ręce. – Właściwie może to i lepiej, niż gdyby miał być tutaj zakatowany przez rodaków.

Kilka minut później znalazły się w Alejach Ujazdowskich. Ulica od strony placu była zamknięta, a dalej stał gęsty tłum ludzi. Nad nim widniały rozpostarte transparenty. Z zaimprovizowanej na pace jakiegoś samochodu trybuny dobiegał podniesiony głos kobiety. Z tłumy rozlegało się raz po raz głośne skandowanie.

– To jakaś manifestacja – stwierdziła zaskoczona Karen i automatycznie sięgnęła po telefon.

– Może lepiej, żebyśmy poszły inną drogą. – Anna rozglądała się zaniepokojona.

– Nic nie mówiłaś. – Karen spojrzała na babkę. – To znowu w obronie

praw kobiet?

Anna westchnęła.

– Nieważne, w jakiej sprawie, ale skoro odbywa się pod Ministerstwem Sprawiedliwości, to całkowicie popieram! Tylko wolałabym, żebyśmy jednak nie brały w niej udziału. Co ja potem powiem twojej matce?

– Mama popiera prawa kobiet.

– Nie o to mi chodzi...

– Jak przejdziemy chodnikiem wzdłuż apartamentowca ciotki, nielegalnie zarekwirowanego przez faszystów, to przecież nic się nie stanie.

– Nie wiem, czy jednak nie ujęłaś tego trochę na wyrost.

Anna, rada nierada, ruszyła w ślad za Karen.

Od strony centrum przed gmach ministerstwa wciąż napływały nowe grupki ludzi, a z tłumu słychać było coraz bardziej stanowcze okrzyki. Nad głowami protestujących powiewały kolorowe transparenty i widać było tablice z napisami. Z trybuny cały czas dochodziło głośne skandowanie.

Przed bramą wjazdową na teren ministerstwa stały zaparkowane dwa policyjne radiowozy, a grupa ubranych na czarno funkcjonariuszy tworzyła dookoła policyjny kordon.

Karen filmowała telefonem całe zajście. Chciała ominąć obstawę, więc zeszła na ulicę i zaczęła się przepychać między protestującymi. Anna, coraz bardziej zaniepokojona, szła za nią, usiłując nie stracić jej z oczu.

Od strony placu Na Rozdrożu dobiegły nagle jakieś okrzyki i głośne gwizdy, a po chwili przez tłum ludzi przedarł się nieoznakowany samochód. Wyskoczyło z niego kilku zamaskowanych mężczyzn w kominiarkach i z długimi policyjnymi pałkami rzuciło się na protestujących. Przez tłum przebiegł ryk wściekłości, a na jezdnię upadło kilka osób.

Napierający tłum ruszył z okrzykami na pięciu bandziorów. Ktoś cofając się, popchnął Karen, a ta straciła równowagę i poleciała prosto na jednego z mężczyzn.

Od strony bramy wjazdowej na parking przed ministerstwem wypadło kilku policjantów w czarnych mundurach i rzuciło się w kierunku centrum zamieszania.

Drab w kominiarce złapał Karen za ręce i przewrócił na ziemię. Anna, która nie mogła uwierzyć w to, co się dzieje, wpadła najpierw w panikę, a zaraz potem w furię. Krzycząc coś (potem nie mogła sobie tego przypomnieć), dopadła mężczyzny i z całej siły wyrzuciła go torebką. Biorąc pod uwagę, że miała w niej flakon wody toaletowej, małą butelkę z wodą mineralną i kilka innych rzeczy, uderzenie nie było znowu aż takie bezbolesne i wystarczyło, żeby Karen odepchnęła draba i wyswobodziła się. Na krótko.

Anna poczuła nagle, jak ktoś złapał ją mocno w pól, i zobaczyła, że dwóch policjantów osacza jej wnuczkę, podrywa ją i wynosi gdzieś z tłumu.

*

Patryk stał przed lustrem i wpatrywał się z powątpiewaniem w swoje odbicie. Błękitna koszula z wyłożonymi mankietami i do tego jasna marynarka. I trampki.

Powinno być w porządku.

Skrzywił się. Najchętniej jednak wróciłby do zwykłych granatowych dżinsów i T-shirtu, które przymierzył na samym początku. W końcu nie po to wychodzi do klubu z przyjaciółmi, żeby czuć się sztucznie umundurowany.

Tak naprawdę wcale nie miał na to ochoty. Dwaj kumple namawiali go prawie przez godzinę, argumentując, że powinien się zabawić. Uległ dla świętego spokoju. Nie żeby nie lubił się bawić, wprost przeciwnie, ostatnio zdarzało mu się to chyba nawet zbyt często.

Po prostu dzisiaj nie miał na to ochoty. Po powrocie z obiadu ze swoimi nietypowymi klientkami cały czas myślał o tych zwariowanych historiach rodzinnych, które opowiedziała Anna Fleming. Spędził nawet całą godzinę w internecie, wygrzebując jakieś dodatkowe fakty na ten temat.

Kiedy Belmont przeszedł w ręce Broel-Platerów, wojny podjazdowe, tak jak opowiadała Anna Fleming, rzeczywiście trwały nadal. Strutyńscy, potomkowie Jadwigi, faworyty Stanisława Augusta, wytoczyli Ignacemu Platerowi proces, który trwał później prawie sto lat. Patryk pamiętał z historii prawa przykłady takich spraw. Mało kto wiedział dzisiaj, że aż do drugiej wojny w prawodawstwie spadkowym obowiązywał jeszcze tak zwany

kodeks napoleoński, czyli przepisy, które w dziedziczeniu miały przede wszystkim zabezpieczać trwanie wielkich majątków, majoratów, kluczy i ciągłość rodów. Bywało zatem, że po śmierci właściciela dóbr, o ile nie pozostawił po sobie męskiego spadkobiercy, wszystko przechodziło na dalekiego kuzyna. Żona i córki nie miały takich praw jak dzisiaj.

Wojna o Belmont skończyła się dopiero w 1904 roku przegraną Platerów. Nie znalazł jednak w necie niczego więcej, a był ciekaw, jak to się stało, że majątek jednak pozostał w ich rękach. Musieli się albo odwołać, albo spłacić Strutyńskich. A w tych ostatnich poczynaniach brała już osobiście udział hrabina Elżbieta.

Fascynująca sprawa, a przecież historia nigdy go zanadto nie interesowała. Dziwne.

Miał przed oczami wprawdzie cały czas czarny kapelusz z wielkim rondem, a zwłaszcza jego właścicielkę, ale przecież nie dlatego zainteresował się dziewiętnastowiecznym procesem sądowym. Bez przesady. Po prostu ciekawiło go to z powodów zawodowych...

Stojącego cały czas przed lustrem Patryka z zamyślenia wyrwał dzwonek telefonu. Był pewien, że dzwonił któryś z kumpli, żeby się upewnić, czy już się ubiera, więc gdy zobaczył na wyświetlaczu obcy numer, w dodatku poprzedzony numerem kierunkowym, od razu pomyślał, że to coś z robotą. Łaniewski potrafił do niego dzwonić o najdziwaczniejszych godzinach. Ale nawet biorąc pod uwagę zwyczaj szefa, nie spodziewał się tego, co usłyszał.

– Proszę niczego nie podpisywać! – powiedział dobitnie, gdy udało mu się w końcu zrozumieć, co roztrzęsionym głosem mówiła do niego Anna Fleming. – Żadnych protokołów ani oświadczeń!

– Jak to dobrze, panie Patryku, że pan odebrał. Nie chcieli mi oddać telefonu, ale na szczęście pamiętałam pana numer! – Anna mówiła podniesionym tonem. – Niczego nie podpisałam! Niczego nie podpiszę! Cały czas usiłuję się dowiedzieć, dokąd zabrali Karen! Ale tu nikt nie chce mi niczego powiedzieć!

– Gdzie pani jest? Powiedzieli pani?

– Nie powiedzieli, ale ja się rozejrzałam. Na Białołęce.

– Proszę na mnie czekać! Zaraz tam będę!

Patryk chwycił swoją torbę i rzucił się do przedpokoju, ale po drodze przypomniał sobie, że Karen jest przecież Szwedką. Wyciągnął telefon, odnalazł numer konsulatu i zawiązując buty, czekał na połączenie z konsulem.

*

Policyjny furgon przedzierał się najpierw przez centrum Warszawy, potem minął Wisłę, rondo Waszyngtona i wkrótce dojechał do Grochowskiej. Karen było i tak obojętne, dokąd jadą, ponieważ po pierwsze, nic nie widziała, a po drugie, nawet jakby widziała, to i tak nie miałaby zielonego pojęcia, gdzie się znajduje. W samochodzie oprócz niej były jeszcze cztery inne kobiety. Dwie z nich krzyczały i wyzywały policjantów od gestapowskich bandziorów.

Karen przede wszystkim martwiła się o babcię. Nie miała pojęcia, co się z nią stało. Nigdy by się jej do tego oczywiście nie przyznała, ale ta sytuacja nie była znowu dla niej aż taką nowością. To znaczy nigdy jej nie zatrzymano i nie wieziono, jak teraz, nie wiadomo gdzie, ale odkąd skończyła siedemnaście lat, brała udział w manifestacjach proekologicznych i klimatycznych. W Sztokholmie, Kopenhadze, kilka razy w studenckich protestach w Lund. Nigdzie jednak nie spotkała się z taką zapalczywą nadgorliwością ze strony policji. Rozmawiała oczywiście wiele razy z matką i Igorem na tematy polityczne i wiedziała, co się dzieje w tym kraju, ale zawsze było to dla niej abstrakcyjne. Teraz natomiast znalazła się w samym centrum wydarzeń. I żeby to jeszcze z powodów ideologicznych. Oczywiście była całkowicie po stronie protestujących, ale, niestety, znalazła się tutaj przez przypadek.

Samochód wjechał na drogę krajową numer 2 i pomknął w kierunku Mińska Mazowieckiego. Karen nie domyśliłaby się tego, gdyby nie dziewczyny obok, które wymieniały między sobą uwagi.

Pół godziny później razem z innymi kobietami znalazła się w zamkniętym pomieszczeniu w komendzie i nastawiła się na długie oczekiwanie. Jakiś policjant usiłował z nią rozmawiać, ale po angielsku zażądała zawiadomienia konsulatu. Policjant z bezczelnym uśmiechem powiedział, że jeśli poda nazwisko konsula i telefon do niego, wtedy ją połączą. Wiedziała, że to wbrew jakimkolwiek przepisom, ale udała, że nie rozumie, i powtórzyła to

samo po szwedzku. Od początku przyjęła zasadę, że nie będzie z nikim rozmawiać po polsku. Trochę był to bunt, a trochę kalkulacja. Jeżeli stwierdzą, że jest Szwedką i nie mówi po polsku, będą musieli poinformować konsulat.

Kolejne pół godziny minęło, gdy rozległ się jazgot otwieranych drzwi i na progu pojawili się dwaj policjanci.

– Karen Lindberg? Jest tu taka? – krzyknął jeden, sprawdzając brzmienie nazwiska w jakichś papierach, które miał przy sobie.

– *Mitt namn är Karen Lindberg!* – Karen konsekwentnie trzymała się szwedzkiego.

– Pójdiesz z nami – odezwał się po polsku policjant i skinął na nią ręką.

– Masz iść z nimi – przetłumaczyła słowa policjanta na angielski siedząca obok Karen dziewczyna.

Karen wstała i podeszła do drzwi. Policjant przepuścił ją przodem i po chwili znalazła się na korytarzu. Funkcjonariusz wskazał jej ręką kierunek.

– To Szwedka? Ciekawe, czy to prawda, co mówią o Szwedkach? – Jeden z policjantów nawet nie usiłował mówić ciszej.

– Czyli co?

– Czyli że chętnie rozkładają nogi.

– Ciszej bądź – syknął drugi z mężczyzn. – Może usłyszeć.

– Przecież nie mówi po polsku – prychnął pogardliwie pierwszy. – Jakby mało u nas było tych dziwek na ulicach, to jeszcze ze Szwecji przyjeżdżają. A potem to aborcja...

– Zamknij się, kurwa!

Policjant otworzył jakieś drzwi i skinął głową Karen, żeby weszła do środka.

Karen obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. W końcu nie mówiła po polsku.

Wewnątrz pomieszczenia przy stole stał kolejny umundurowany policjant i jakiś mężczyzna w ciemnym garniturze. Gdy weszła do środka, funkcjonariusz skinął porozumiewawczo swojemu towarzyszowi i wyszedł.

Mężczyzna wskazał dłonią krzesło i odezwał się po angielsku.

– Proszę usiąść.

Karen usiadła i dopiero w tym momencie zauważyła, że na stole leży jej torba.

– Nie będę się rozwodził. – Mężczyzna usiadł naprzeciwko Karen. – Za naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza grozi pani pozbawienie wolności do lat trzech. Ponadto mamy udział w nielegalnej manifestacji...

– Nie brałam udziału w żadnej manifestacji! – Karen, która powtarzała sobie w duchu, żeby nie dać się wyprowadzić z równowagi, nie wytrzymała.

– Nie skończyłem. – Mężczyzna spojrział na nią chłodnym wzrokiem. – Nie twierdzą, że pani się nie wybroni z tych zarzutów, ale będzie to trochę trwało, a my możemy panią aresztować nawet na trzy miesiące. Poza tym nawet jeśli pani jest na tyle nieodpowiedzialna, żeby lekceważyć moje słowa, to pozostaje pani babcia. Ciężą na niej znacznie poważniejsze zarzuty. Z całkowitą premedytacją uderzyła policjanta.

Karen zdała sobie sprawę, że tak naprawdę dobrze nie pamięta całego zdarzenia. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdołała nawet dokładnie zarejestrować tego, co się po kolei działo. Pamiętała drabów w kominiarkach...

– Może pani jednak wyjść stąd nawet za chwilę, a pani babcia zaraz potem.

Karen podniosła wzrok.

Mężczyzna zmarszczył brwi i spojrział w kierunku jej torby.

– Nie znaleźliśmy tego w pani torebce ani w torebce pani Fleming. Nie było tego także w waszych bagażach w pokojach hotelowych.

– Przeszukaliście nasze pokoje? – Karen patrzyła na policjanta z niedowierzaniem.

– Nikt nie wie i nikt się nie dowie o tym spotkaniu. – Mężczyzna się uśmiechnął. – Rozmowa nie jest nagrywana, a ci dwaj, którzy tam stoją – wskazał głową policjantów za drzwiami – zaprzeczają, że miała miejsce.

– Czego tam niby nie było?! – Karen spojrzała na swoją torebkę z autentyczną zgrozą. Zaczynała się czuć jak bohaterka thrillera Harlana

Cobena.

– Dysku z dokumentami.

– Czego?!

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu. On z chłodnym zniecierpliwieniem, ona z kompletną dezorientacją. Mężczyzna uderzał palcami w stół, w końcu pochylił się do Karen.

– Powiesz mi, gdzie to jest, ja dzwonię, do kogo trzeba, a ty oszczędzasz sobie mnóstwa kłopotów.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! – Karen podniosła głos. – To nie *Proces Kafki*! Pan chyba zwariował i bierze mnie za Józefa K.

– Słucham? – Policjant przez chwilę wyglądał na zbitego z tropu.

– O jaki dysk panu chodzi?! Nie wiem, o czym pan mówi! – Karen wpatrywała się w mężczyznę z przerażeniem. I nagle otworzyła usta.

Pomyślała, że to niemożliwe. Nie może przecież chodzić o ten dysk.

Drzwi do pomieszczenia gwałtownie się otworzyły i stanął w nich ten sam umundurowany policjant, którego Karen widziała tutaj już wcześniej.

– Zjazd! – warknął cicho do mężczyzny w garniturze. – Jej prawnik i konsul tutaj idą! – dodał, patrząc na mężczyznę ze złością.

Policjant w cywilu chwycił swoje rzeczy i nie spojrzawszy nawet na Karen, wyszedł z pokoju. A chwilę później w drzwiach pojawił się Patryk, a razem z nim dwóch brodatych mężczyzn, w których Karen od pierwszego spojrzenia rozpoznała Szwedów.

Przez dłuższą chwilę trwało zamieszanie, a wszyscy, jeden przez drugiego, usiłowali się nawzajem przekrzyczeć. W różnych językach w dodatku.

Karen siedziała wciąż jeszcze zszokowana rozmową, w której dopiero co uczestniczyła. Kto to w ogóle był? Ktoś z prokuratury?

– Na pani Lindberg ciąży poważny zarzut naruszenia nietykalności funkcjonariuszy publicznych – powtórzył po raz kolejny policjant.

– Wasze rejestratory oczywiście okażą się zepsute, jak mniemam – zadrwił Patryk po polsku. – Celowo nie mówię po angielsku, sierzancie, żeby pan się osobiście nie ośmieszał przed konsulem. Mamy zarówno

świadców, jak i nagrania tego, że pani Lindberg broniła się przed bandziorami w kominiarkach, przed którymi to wy powinniście chronić zarówno ją, jak i pozostałe kobiety.

Karen, na pół jedynie świadoma tego, co działo się nad jej głową, usiłowała sobie przypomnieć zawartość dysku, który po otwarciu testamentu pokazywał im Patryk. Przecież to były same stare szpargały. Czy to możliwe, że zawierały jakieś ważne dokumenty? Jakież kompromitujące materiały? To musiało być totalne nieporozumienie. W tym państwie panuje taki burdel, że może po prostu prokurator pomylił pokoje.

Wszystko, łącznie ze spisaniem protokołów przesłuchania, kategoryczną odmową podpisania oświadczenia, że nie będzie składała zażalenia, i rozmową z konsulem potrwało jeszcze dobre dwie godziny. Gdy więc w końcu znalazła się na parkingu przed komendą, dochodziła dwudziesta trzecia, a w blokowiskach naokoło paliły się tylko nieliczne światła.

Z samochodu konsula wysiadła Anna i z telefonem przy uchu ruszyła w kierunku Karen i Patryka. Rozmawiała z kimś podniesionym głosem.

– To było kompletne nieporozumienie. – Nie przestając mówić, stanęła obok Patryka i uśmiechnęła się z ulgą do Karen. – Nie, no skądże. Jakie aresztowanie? Co ty, Igor, pleciesz? Pan Patryk po prostu trochę przesadził. Nie zostaliśmy aresztowane, to było nieporozumienie! – Anna spojrzała na uśmiechającego się ironicznie Patryka i wzniosła oczy do nieba. – A czemu tam u ciebie jest tak głośno? Gdzie ty jesteś?! W pubie?! No to nic dziwnego, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię!

– Patryk, bardzo ci dziękuję za pomoc. – Karen uśmiechnęła się do prawnika i dopiero wtedy uprzytomniła sobie, że przecież nie przeszli jeszcze na ty. – To jest, przepraszam...

– W porządku, bardzo mi miło.

Anna skończyła w końcu rozmawiać, wrzuciła telefon do torebki i ciężko westchnęła.

– Mój syn mnie kiedyś wykończy tymi rozmowami.

Anna spojrzała na Karen i pogroziła jej palcem.

– Nie wolno ci nic mówić Igorowi o tym, co tu się działo! Jeśli on się dowie, to od razu się dowiedzą i twoja matka, i twój ojciec. Nie wiem, jak ja

im to wytłumaczę.

– Babciu, ja mam dwadzieścia lat! Nie piętnaście!

– A co to ma do rzeczy, dziecko?! Jak już jesteśmy przy zachowaniu dyskrecji, to mam nadzieję, że nie mówiłaś nic Igorowi o moich domysłach co do poszukiwania skarbów? – zapytała Anna i spojrzała na Karen z niepokojem. – Od razu uzna, że go śledzę. A jak dojdzie do tego jeszcze aresztowanie, naprawdę nie wiem, jak to się skończy...

– Nic nie mówiłam – zaprzeczyła Karen bez przekonania, zastanawiając się, ile z tego, co pisała do wujka, on będzie w stanie połączyć w całość.

Anna odetchnęła i dopiero teraz spojrzała na uśmiechającego się dyskretnie prawnika.

– Panie Patryku, to chyba pana zasługa, że konsul Szwecji pojawił się tak szybko. Bez pana siedzielibyśmy tam pewnie do rana.

Patryk uśmiechnął się skromnie.

– Pomyśleć, że musiałam przyjechać aż do Warszawy, żeby po raz pierwszy w życiu być aresztowana. Nie mówiąc już o tobie, moje dziecko. Co ja powiem twojej matce, jeśli się o wszystkim dowie? – Anna zerknęła ponownie na Karen. – Boże, co się z tym krajem porobiło.

Karen uznała, że to nie najlepszy pomysł, żeby chwalić się, że kiedyś ją i całą bandę jej znajomych aresztowano w Kristianstad za urządzenie imprezy w nocy na basenie, na który dostali się przez okno.

– A tego poszukiwania rodzinnych skarbów i chodzenia po Warszawie mam dość do końca życia.

– Nie cieszysz się, że twoja wyrodna wnuczka dowiedziała się tyle o historii rodziny? – zapytała Karen. – I o rodzinnych skarbach?

– Lepiej już nie wracajmy do tych bzdur. Dopiero nas z więzienia wypuścili. O Boże! – Anna spojrzała na zegarek. – Czy ty wiesz, która jest godzina? Dwudziesta trzecia dwadzieścia! Matko Boska!

– I co się takiego stało? Jest początek lata, piątek. – Karen patrzyła na babcię z rozbawieniem pomieszanym z irytacją. – Przecież nie musimy się nigdzie spieszyć.

– Jutro mamy jeszcze jechać na cmentarz, a ja pewnie teraz to przez pół

nocy nie zasnę. – Anna spojrzała na prawnika. – Panie Patryku, czy mógłby pan wezwać taksówkę?

– Pan konsul obiecał, że nas odwiezie. – Patryk ukłonił się trzymającemu się na uboczu Szwedowi.

Rozdział 10

LONDYN

Błyaskający światłami ambulans pojawił się na Lombard Wall w tym samym czasie, kiedy ogromny czarny mercedes wjeżdżał właśnie na plac przed ceglanym budynkiem na Riverside. Kierowca zaparkował przed magazynem i wyskoczył, żeby otworzyć drzwi swojemu pasażerowi.

Nieco dalej stał policyjny radiowóz, którego migoczące światła rzucały nerwowe błyski na pogrążone w ciemności kąty portowej parceli. Za nim stała furgonetka firmy ochroniarskiej. W otwartych drzwiach magazynu, przed którymi na bruku jaśniała wielka plama światła wydobywająca się z wnętrza budynku, kręciło się już kilka osób. Sygnał karetki, przytłumiony przez portową zabudowę, rozległ się nagle wyraźnie i po chwili na plac wjechał zielono-biały samochód pogotowia.

Z mercedesa wysiadła szczupła blondynka. W obcisłych dżinsach i czarnym swetrze, z włosami związanymi na karku, wyglądała o dwadzieścia lat mniej, niż miała w rzeczywistości. Rozejrzała się dookoła i widząc idących ku niej policjantów, odwróciła się w ich kierunku.

– Pani Irene Carley? – zapytał jeden z funkcjonariuszy i się uklonił.

– Czy ze stróżem wszystko w porządku? – Kobieta spojrzała z niepokojem w kierunku ambulansu, do którego dwaj sanitariusze wnosili właśnie na noszach mężczyznę w czarnym kombinezonie firmy ochroniarskiej.

– Uśpiono go prawdopodobnie jakimś barbituranem, tiopentalem lub czymś podobnym. To sen narkotyczny, więc jest nadzieja, że nie będzie miał żadnych powikłań.

– Co się w ogóle stało? Policjant, który do mnie zadzwonił, nie potrafił nic powiedzieć. Czy coś zginęło? – Irene spojrzała w kierunku magazynu. – Mój syn, o ile wiem, trzyma tutaj dość cenny sprzęt.

– Pan Johann Carley to pani syn? – upewnił się policjant. – Już z nim rozmawialiśmy, jest w drodze. Przepraszam, że panią wezwaliśmy, ale patrol, który tu przyjechał, podał po prostu dane właściciela terenu.

– Rozumiem, oczywiście. Kto was wezwał? Ochrona?

– Stróż z sąsiedniego zakładu. Coś go podobno tknęło, gdy zobaczył, że na wasz teren wjeżdża w nocy jakiś samochód, i usiłował się dodzwonić do strażnika. Gdy za trzecim razem mu się nie udało, zawiadomił nas.

– A alarm? Ochrona?

– Po obezwładnieniu strażnika musieli wyłączyć alarm – stwierdził bezradnie policjant. – Wasza firma ochroniarska właśnie to sprawdza.

Kobieta rozejrzała się po wielkim placu.

– Coś w ogóle zginęło?

– Nie wiemy. To właśnie trzeba sprawdzić. Jeżeli pani syn tutaj urzęduje, musimy poczekać na niego. Wewnątrz jest trochę bałaganu. – Policjant podrapał się w głowę. – Dziwne raczej...

– Co jest dziwne? – Irene Carley spojrzała w kierunku policjantów kręcących się w otwartych drzwiach magazynu.

– Najcenniejszą rzeczą tutaj jest batyskaf i oczywiście specjalistyczny sprzęt do nurkowania, ale najwyraźniej włamywacze go nie tknęli. Za to narobili sporo bałaganu w pozostałych pomieszczeniach biurowych.

– Grunt, że ta żółta łódź podwodna mojego zwariowanego syna nadal tu jest. – Irene odetchnęła. – Prawdopodobnie szukali po prostu czegoś łatwiejszego do spieniężenia.

– Bardzo możliwe, proszę pani.

– Czyli wiele hałasu o nic. – Irene przejechała dłonią po twarzy, odgarniając niesforny pukiel jasnych włosów. – Mój syn będzie musiał pomyśleć o solidniejszym systemie antywłamaniowym.

Na ulicy przed bramą pojawiły się światła samochodu i po chwili na plac wjechał szary land rover. Zaparkował obok mercedesa, a po chwili wysiedli z niego wyraźnie zdenerwowany Johann i towarzyszący mu Igor.

– Mamo? – Johann skinął kierowcy mercedesa, który stał oparty o maskę samochodu i dyskretnie wprawdzie, ale z nieukrywanym zainteresowaniem

śledził to, co się działo. – Ściągnęli cię tutaj? Z Hatfield? I jesteś przede mną? – zapytał i spojrzał podejrzliwie na matkę.

– No jak widać, mnie łatwiej było znaleźć. – Irene powiodła sceptycznym spojrzeniem po eleganckich marynarkach i koszulach obu mężczyzn. – Widzę, że się gdzieś bawiliście.

– To przecież piątek wieczór.

– Wieczór – powiedziała Irene z przekąsem. – Trzecia w nocy. Czy ty nie piłeś przypadkiem?

– Oj, mam... – zachnął się Johann i spojrzał z niepokojem na policjanta, który z ledwie widocznym ironicznym uśmiechem udawał, że nie słucha. – Wypiłem raptem tyle co nic. Poza tym mam alkomat w aucie.

– Jasne.

– A ty jesteś tutaj z Markiem? – zdziwił się i spojrzał na kierowcę. – A nie mogłaś wziąć taksówki? – Ściszył głos. – Trzeba było budzić biedaka o tej porze?

– Znalazł się trybun ludowy – parsknęła Irene. – Byłam właśnie na takim... pewnym spotkaniu i wołałam mieć samochód. Poza tym Mark dostaje za niespodziewane wyjazdy takie premie, że z całą pewnością jest zadowolony.

– Jakim spotkaniu?

– Spotkaniu z przyjaciółmi, a co ci do tego? – Irene była zniecierpliwiona. – Nie powinienes przypadkiem obejrzeć swojego sprzętu? – zapytała i zerknęła na stojącego na uboczu policjanta wciąż cierpliwie udającego, że nie słucha.

– Ochroniarze powiedzieli mi przez telefon, że ze sprzętu nic nie zginęło – stwierdził Johann. – Możemy tam iść? – zapytał policjanta.

– Tak, tak – potwierdził funkcjonariusz. – Do raportu potrzebne nam są informacje o stratach.

Jakąś godzinę później Irene Carley pożegnała się i wsiadła do samochodu, a Johann i Igor stali koło okna w sali na piętrze i przyglądali się, jak wielki mercedes wyjeżdża na ulicę, a zaraz za nim policyjny radiowóz.

Na dole w magazynie i w pozostałych pomieszczeniach kręcili się jeszcze

pracownicy firmy ochroniarskiej.

– I matka, i ojciec z kimś się spotykają, tylko robią z tego wielką tajemnicę – oświadczył Johann z przekąsem, śledząc oddalający się samochód.

– Twoja matka wygląda na trzydzieści pięć lat. – Igor popatrzył na przyjaciela łobuzersko. – Dziwne, gdyby było inaczej.

– Nie przesadzaj. – Johann oderwał wzrok od placu za oknem i rozejrzał się po wnętrzu pomieszczenia.

Na podłodze pod szafami leżały tymczasowo sterty segregatorów i teczek. Przez drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju widać było panujący tam bałagan.

– Straszny burdel – westchnął ciężko Johann. – I w dodatku zepsuli nam imprezę. Trzeba jechać odespać. – Ziewnął, przesłaniając usta rękawem marynarki.

– Aż trudno uwierzyć, że nic nie zginęło. – Igor obszedł stół dookoła, spoglądając pod nogi.

– Bo tu nie ma przecież nic cennego, z wyjątkiem sprzętu. Kilka komputerów i monitorów, urządzenia biurowe. Jedyne cenne rzeczy to te skany i archiwalia z Madrytu. Przez chwilę się obawiałem, że to właśnie o nie chodziło, ale wszystko jest.

– Przypadkowy włam? Liczyli, że będzie jakaś kasa pancerna?

– No na to wygląda. – Johann wzruszył ramionami. – Przeczესali wszystkie szafy. Może rzeczywiście szukali archiwaliów z galeonu „Nuestra Señora de Blanca”.

– I co? Nie znaleźli ich?

– Tutaj są tylko skany dokumentów, pamiętnik bosmana jest u Gwen.

– Konkurencyjna ekipa poszukiwaczy skarbów? – parsknął ironicznie Igor. – To jak z głupiego filmu.

– Nic w tym nie ma głupiego. Czytałem o rabusiach albo piratach śledzących poszukiwaczy i okradających statki na morzu.

– Na morzu okay, ale w londyńskich dokach?

Johann nagle podniósł wzrok.

– A jeśli to ta firma, o której wspominał O’Malley? C.Seekers? Pamiętasz, co Dermot wymyślił? Że to jakaś stara śmierdząca afera polityczna i ktoś chce teraz wygrzebać te materiały, żeby zrobić z nich użytek.

– Bentinck nie żyje, jego dalsza rodzina nie zajmuje się polityką, komu mieliby zagrozić?

– Chociażby Windsorom. Przeciwnicy firmy stawiają coraz poważniejsze zarzuty. O koszta, majątki rodzinne, profity, które dostają od państwa...

– Hm... – Igor w zamyśleniu wpatrywał się w stertę segregatorów. – Ale to oznacza, że mieliby nas śledzić.

– No właśnie – przytaknął Johann. – Widzieli, że wywieźliśmy z archiwum kufry twojej ciotki. A od tego durnia Cardwella mogli nawet wiedzieć, kiedy to nastąpi.

– Ale skoro nas obserwowali, to widzieli przecież także, że je stąd zabraliśmy.

Igor przypomniał sobie wydarzenia sprzed kilku godzin, kiedy to przekonany przez Dermota i Johanna zgodził się zabrać kufry do mieszkania Johanna na Shad Thames.

To musiało nieźle wyglądać – pięciu facetów targających z parkingu za apartamentowcem w Bermondsey dwie ogromne stare skrzynie, które potem zresztą ledwie się zmieściły do windy. I z tyłu dwie kobiety rozglądające się nerwowo dokoła. Jeśli ktoś obserwował ich z okien, to pewnie cała ta operacja była już na YouTube.

– Niekoniecznie. – Johann pokręcił głową. – Przecież Gwen wjechała autem do magazynu. Jeśli obserwowali nas z jakiegoś zaparkowanego samochodu, na pewno nie widzieli, co robimy w środku.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć, że ktoś włamałby się tylko dla tych kufrow. Wszystko wygląda raczej na zwyczajny włam.

– No może masz rację – zgodził się Johann i ziewnął. – Jedziemy, musimy się przespać. Cały piątkowy wieczór zjebany przez jakichś nieudolnych włamywaczy.

Zanim dobrnęli na Bermondsey, zrobiła się prawie szósta. Dopiero koło południa Igora obudziły pierwsze telefony od pozostałych wspólników,

którzy zaniepokojeni nagłym wyjściem ich obu z pubu zażądali dokładniejszych wyjaśnień.

Mieszkanie Johanna mieściło się w dawnych londyńskich dokach, przekształconych w nadrzeczną dzielnicę staromiejską. Obok urokliwych knajp i restauracji mieściły się tu modne galerie sztuki, targi antyków, a tuż obok, pod mostem kolejowym, na targowisku Maltby Street Market stoły sprzedawców ugięły się pod ciężarem z każdej części świata. Także tutaj niedaleko, na poddaszu starej kamienicy, mieszkała powieściowa Bridget Jones.

Loft Johanna mieścił się w starym magazynie herbaty i kawy i składał z dwóch niezależnych części połączonych ze sobą osobliwym stalowym mostem, przerzuconym nad kanionem wąskiej ulicy Shad Thames. Te właśnie zachowane po dawnych magazynach mosty, po których przetaczano niegdyś beczki i wózki z kawą i herbatą z dalekich kolonii, sprawiały, że w wąskiej uliczce w sezonie turystycznym nie przestawały błyskać flesze i lampy błyskowe w aparatach i komórkach, chociaż te ostatnie na niewiele się raczej przydawały.

Igor za każdym razem, gdy przebywał w Londynie, zatrzymywał się u Johanna po jednej stronie owego mostu, mając do dyspozycji praktycznie samodzielne mieszkanie z osobnym wejściem.

Pierwsze telefony Igor zignorował. Wiedział jednak, jak mocny sen ma Johann. Jego zapewne bombardowanie Londynu nie zbudziłoby od razu. Więc gdy telefon znowu zadzwonił, nie miał wyjścia, sięgnął po niego i nie patrząc na wyświetlacz, odebrał.

– Co się dzieje, do diabła! – usłyszał podniesiony głos Dermota. – Johann nie odbiera od dwóch godzin.

– Co się ma dziać? – Igor spojrzął na zegar przy łóżku. Dochodziło południe.

– Irene do mnie dzwoniła. Podobno było włamanie na Riverside! Dlaczego mnie nie powiadomiliście?!

– O trzeciej nad ranem?! Po co mielibyśmy cię budzić, skoro nic właściwie się nie stało.

– Jak nic?

– No nic. Niczego nie ukradli. Zrobili tylko bajzel. Deep Explorera pewnie wzięli za zbiornik na wodę albo coś w tym rodzaju. – Igor zakrył usta dłonią i ziewnął. – Trzeba będzie tam dzisiaj posprzątać.

– No to nieźle – mruknął niewyraźnie Dermot. – Te twoje kufry stoją jeszcze u Johanna?

Igor ściągnął brwi.

– A gdzie mają stać? – Spojrzał w głąb mieszkania. Przez rozsunięte częściowo drzwi sypialni widać było na środku salonu dwie skrzynie. Wyglądały dokładnie tak, jak je zostawili po przytarganiu z windy wczoraj wieczorem.

– Obudź Johanna, wpadnę tam zaraz do was. Dowiedziałem się ciekawych rzeczy.

– Jakich rzeczy? – Igor dopiero teraz ocknął się z sennego otępienia.

– Będę za pół godziny.

Johann z rozczochranymi jasnymi włosami, wciąż jeszcze w pasiastych szortach od pizamy, siedział na sofie i tak jak pozostała dwójka wpatrywał się w dwie stare skrzynie.

Gdy zabrzęczała jego komórka, nie odrywając wzroku od kufrów, sięgnął po nią i podniósł do ucha.

– Jesteśmy u Igora – rzucił do słuchawki.

Po chwili na moście nad Shad Thames pojawiła się Gwen.

– Dlaczego nie jesteś jeszcze ubrany?! – jęknęła na widok Johanna. – Dermot? – Teraz dopiero zauważyła prawnika. – Co wy tu w ogóle robicie?

– Wiesz, czym zajmuje się spółka C.Seekers Inc.? – Johann oderwał w końcu zaspany wzrok od mienia hrabiny Radeckiej-Mikuliczowej i spojrzał na Gwen.

– Znaleźliście coś jeszcze na temat Bentincka? – Dziewczyna odwróciła się do Dermota.

– Niezupełnie... – Dermot pokręcił głową.

Przez chwilę trwała cisza.

– Firma C.Seekers. Inc. należy do mieszkającego w Londynie rosyjskiego

milionera Olega Sokołowa. – Dermot odpowiedział w końcu z namysłem. – Z niczym ci się to nie kojarzy?

– Niby dlaczego miałyby? – Gwen wzruszyła ramionami.

Przeszło jej przez myśl, że Dermot patrzy na nią jakimś dziwnym wzrokiem.

– Bo to firma zajmująca się poszukiwaniem skarbów.

– Poszukiwaniem skarbów?! – Gwen otworzyła szeroko oczy. – Skąd ty to w ogóle wiesz? – Wpatrywała się w Dermota z osłupieniem.

– Bo to ja zajmuję się głównie zapleczem naszej działalności. Wy tylko bawicie się w pubach – odparł Dermot, rzucając Johannowi urażone spojrzenie.

– A ten znowu swoje. – Johann westchnął. – Mówiłeś przecież, że gdzieś wyjeżdżasz, dlatego cię nie informowaliśmy, że wychodzimy.

– No pojechałem właśnie do Rochford – przytaknął Dermot.

– Do Rochford? – Johann zmarszczył brwi. – Tam jest lotnisko. Po co?

– W przeciwieństwie do was wszystkich poważnie podchodzę do naszej działalności.

– I pewnie dlatego do ostatniej chwili nie wiedzieliśmy, że do końca września nie będzie można nurkować przy parku Estrecho – stwierdził zgryźliwie Johann.

– Trzeba było samemu się tym zająć, głąbie!

– To ty jesteś prawnikiem!

– Więc co z tą firmą?! – Gwen przerwała tak dobrze zapowiadającą się rozmowę przyjaciół. – Po co żeś do tego Rochford pojechał?

– C.Seekers. Inc. – Dermot sięgnął po tablet i zaczął przesuwając po nim palcem. – Zarejestrowana trzy lata temu na terenie Wielkiej Brytanii spółka z kapitałem zagranicznym. Własność Olega Sokołowa, milionera, właściciela kilku kopalni w Rosji, zajmującego się wydobywaniem metali szlachetnych i produkcją stali. Spółka ma siedzibę w Rochford.

– I pojechałeś do nich porozmawiać? – Johann popatrzył z niedowierzaniem na Dermota.

– Jeszcze nie zdurniałem. – Dermot popukał się palcem w czoło. –

Pojechałem pogadać z ludźmi. W okolicy mieszka paru naszych klientów. Okazało się, że Sokołow ma dom z własną przystanią w Westcliff, a koło lotniska Southend spory teren, na którym stoi parę wielkich baraków. Trzyma tam prywatny samolot.

– Czyli to mogą być po prostu plotki. – Gwen usiadła na sofie obok Johanna. – No o tym poszukiwaniu skarbów.

– C.Seekers? – Dermot spojrział na nią z ironią. – Coś tam poszukiwacze? Nawet w nazwie się specjalnie z tym nie kryją.

– A „C” co znaczy?

Dermot wzruszył ramionami.

– W jaki sposób dowiedzieli się o kufrach? – odezwał się Johann.

– Cardwell – warknął Dermot. – Pewnie gdzieś wygadał.

– Dokładnie – potwierdził Igor. – Czas się zgadza. O’Malley znalazł kufry w marcu, a oni odezwali się w maju.

– Po co im stare archiwum waszej rodziny? – zapytał Johann i przeniósł wzrok na stojące na środku salonu stare skrzynie.

– Mówiłeś, że siostrzenica przesłała ci skan testamentu – odezwała się nagle Gwen. – Jeśli to nie jest oczywiście zbyt prywatna sprawa...

– Właśnie! – przytaknął jej Johann. – Nam przecież możesz chyba zaufać.

– Nie wygłupiaj się. – Igor wzruszył lekceważąco ramionami i sięgnął po telefon.

Zaczął czytać i jednocześnie tłumaczyć głośno kolejne fragmenty testamentu. Przebrnął przez długie listy kresowych folwarków i wsi, zastępując je uniwersalnym polsko-angielskim zamiennikiem „bla, bla, bla”, doszedł do Willi Róż w Warszawie, gdzie na chwilę przerwał, żeby obejrzyć zdjęcie pałacyku w Alejach Ujazdowskich, a następnie pokazać go wszystkim pozostałym, i dotarł w końcu do ostatnich akapitów testamentu.

Przeczytał najpierw sam pierwsze zdania i na moment się zawahał. Dotarł do końca i zaniemówił.

– Co tam jest? – spytał Johann, który przyglądał się Igorowi, oczekując na przetłumaczenie ostatniej części testamentu.

Igor, całkiem zdezorientowany, zaczął przekładać tekst na angielski. Gdy

dobrnął do końca, spojrzał na słuchających go w ciszy przyjaciół.

– No ja dziękuję... – odezwała się Gwen po chwili ciszy, która zapadła, gdy Igor skończył czytać.

– Skarb z czasów cesarza Pawła lub Aleksandra – powtórzył cicho Johann.

– Nie wyciągajcie pochopnych wniosków – powiedział Igor i ciężko westchnął.

Tajemniczy rosyjscy poszukiwacze skarbów i teraz to. Babcia Maria opowiadała wprawdzie różne legendy na temat rodzinnych skarbów, gdzieś tam pozostawionych albo zakopanych, ale to tutaj... Z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra? Tajemnicza machina? Ciotka chyba musiała zwariować. Wojna, zbliżająca się armia sowiecka, bombardowania. W zasadzie trudno się jej dziwić. Ale że ktoś to bierze poważnie... A więc to miała na myśli Karen, pisząc, że to mu się spodoba. Zaraz, zaraz...

Skąd Karen miałaby wiedzieć o poszukiwaniach skarbów? Czy to możliwe, że matka coś wyśledziła?

– No a jak można to inaczej zrozumieć? – Johann wstał i podszedł do skrzyń. – Może w tym archiwum jest ukryty jakiś trop.

– A tam – mruknął zniecierpliwiony Igor. – Wciąż bardziej prawdopodobna wydaje mi się teoria Dermota. O jakiejś starej politycznej aferze.

– Sokołow ma związki z prawicowymi politykami angielskimi. I nacjonalistami – stwierdził Dermot ostrożnie. – Przeciwnicy Unii oczywiście, wrogowie rodziny królewskiej...

– No właśnie – podchwycił Igor. – Bentinck może i poszukiwał skarbów. Zaraz po wojnie to miało zresztą zupełnie inny wymiar. Ogromna liczba skradzionych dzieł sztuki, poukrywanych po różnych kopalniach i sztolniach. Te jego kontakty z rosyjskimi szabrownikami. Możliwe, że Sokołow wpadł na ślad jakichś starych sowieckich dokumentów, którymi chce się posłużyć. Może to na przykład jakaś okropna kompromitująca sprawa, nie wiem, mienie pomordowanych jeńców albo hitlerowskie złoto.

– Dowody na współudział w czymś takim członka rodziny królewskiej mogłyby się stać straszliwą bronią w rękach populistów – powiedział Dermot.

– Naprawdę sądzicie, że to oni stoją za tym włamaniem? – Igor zamysłony podrapał się po brodzie.

– No i to by się zgadzało – przytaknął Johann. – Nie interesowało ich nic poza papierami. Szukali dokumentów z tych kufrów. Pamiętacie, co powiedział O'Malley? Że skrzynie były otwierane po wojnie? Może Bentinck zostawił tam jakieś kompromitujące papiery.

– No to tutaj też raczej nie są bezpieczne – odezwała się Gwen. – Pewnie już wiedzą, gdzie Igor mieszka.

Na moment zapadła cisza.

– A jeśli dotrą przed nami do Francji? – odezwał się nagle Dermot.

– Co wy w ogóle opowiadacie?! – Igor spojrzał na niego z osłupieniem. – Wiedzą, gdzie mieszkam?! To według was jakaś mafia? I jak przed nami? My się gdzieś wybieramy?

– A nie uważasz, że powinieneś jednak odszukać ten trzeci kufer? To przecież wasza rodzinna spuścizna.

– Chryste! – jęknął Igor. – Pewnie stare listy i widokówki. Poza tym pojęcia nie mam, dokąd dokładnie we Francji TNA mogło wysłać ten cholerny kufer.

– Nie kojarzysz żadnej rodziny? – Dermot patrzył na niego z niesmakiem. – Żadnych krewnych, którzy tam wyjechali po wojnie?

Igor pokręcił głową. Pomyślał, że matka pewnie wiedziałaby, gdyby rzeczywiście we Francji mieszkała jakaś ich rodzina.

– A twoja mama? – Johann chyba czytał w jego myślach.

Igor wzruszył ramionami.

– Zadzwoń do niej i zapytaj. Akurat jesteś u nas, a od nas do żabojadów to godzina samolotem.

– I myślicie, że ten stary kufer stoi gdzieś u kogoś pod ścianą? – zirytował się Igor. – Pewnie już dawno wylądował na śmietniku albo w najlepszym razie w jakimś antykwariacie ze starzyzną.

– Nie wiadomo – powiedział Dermot – a może stoi na jakimś strychu.

– „Ukryta ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra...” – przypomniał nagle Johann jeden z wątków testamentu i spojrzał na Igora. –

A zaginione czy rozkradzione bogactwa tego Włocha... Manuzziego. To jaki to był właściwie okres? Koniec osiemnastego wieku?

Igor przez moment się zastanawiał. Historia Polski. Jego pięta achillesowa w szkole. Insurekcja kościuszkowska to był chyba tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty któryś...

– Łatwo sprawdzić – odezwał się Dermot, wpatrując się w swój tablet. –

Powstanie kościuszkowskie wybuchło w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. To koniec panowania Katarzyny Wielkiej, która umarła w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym. Potem przez pięć lat rządził Paweł Pierwszy Romanow...

– Zanim go nie zamordowali... – przypomniał sobie Igor. – A po nim carem został chyba wnuk Katarzyny, Aleksander.

Dermot podniósł wzrok. Wymienili się z Johannem znaczącymi spojrzeniami.

– Czyli wszystko dokładnie się zgadza – stwierdził Johann. – To całe zaginione miasto Uhor i ten rozgrabiony majątek Manuzziego. Miejscowa ludność splądrowała pałac Manuzziego w Bohiniu, a następnie, obawiając się zemsty z jego strony, wszystko gdzieś ukryła. A że te ziemie aż do wojny należały do twojej rodziny... – Johann spojrzał na Igora. – Więc wszystko zgadza się z testamentem.

– Tak – potwierdził Igor. – Jasne...

– Posłuchajcie, co tu znalazłem. – Dermot uciszył go ruchem ręki. – Jakiś artykuł z dwa tysiące ósmego.

Z Bohinia o świcie ruszyła kolumna wozów. Żołnierze rosyjscy w liczbie pięćdziesięciu szabel jechali w eskorcie. Mieli przewieźć ruchomości z tutejszego pałacu pod opiekuńcze skrzydła carycy Katarzyny. Konwój pokonał groblę na Jeziorze Bohińskim. Dalej polnym duktem kierował się na wschód, żeby ominąć Braśław. Od kilku dni w tym mieście urzędowała komisja porządkowa insurekcji kościuszkowskiej. Należało przeto unikać gościńców i pod osłoną lasu brnąć przecinkami. Po pięciu milach kolumnę zatrzymano. Pan Mirski z oddziałem powstańców litościwie pozwolił uciec Moskałom i zajął się wozami. Ich zawartość daje wyobrażenie o zasobności właściciela, którym był Wenecjanin hrabia Mikołaj Manuzzi...[11]

– Co ty czytasz? – Igor patrzył na niego ze zdumieniem. – Skąd to jest?

– Jakaś polska gazeta. – Dermot podniósł wzrok znad tabletu. – Przetłumaczyłem sobie tłumaczem Google.

– Czyli miałem rację! – odezwał się Johann, który nadal siedział w kucki przy kufrach. – Wychodzi na to, że Bentinck mógł szukać skarbów tego waszego Manuzziego. Może w czasie wojny trafił na jakieś dokumenty, relacje z tamtych czasów...

– Bentinck! – Gwen nagle poderwała się z sofy. – Przecież my jesteśmy umówieni z twoim ojcem na lunch! – Spojrzała ponagląco na Johanna.

– Zabierasz Gwen? – Dermot popatrzył na Johanna zaskoczony. – I co? Chcesz przy niej poruszać temat zagładania do tajnych archiwów służb specjalnych?

– Co to znaczy „przy niej”?! – zachnęła się Gwen. – Że niby przy kobiecie?

– Oj tam. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Nie mam pojęcia!

– Mój ojciec uwielbia Gwen. – Johann, puszczając mimo uszu sprzeczkę pomiędzy Dermotem a swoją dziewczyną, dźwignął się z podłogi. – Ma go tylko wprowadzić w dobry nastrój, a potem pod byle pozorem pożegnać się i wtedy go jakoś zapytam.

– Makiaweliczny plan, chociaż seksistowski. – Igor zarechotał.

– Zadzwoń do matki i zapytaj o tę francuską rodzinę! – Johann pogroził mu palcem i przepuścił Gwen w drzwiach.

Igor nie był przekonany.

– Wieczorem widzimy się na Riverside! – krzyknął Dermot za parą spieszącą na drugi brzeg mostu nad Shad Thames.

Rozdział 11

WARSZAWA

Łaniewski zaparkował na Karowej, chwycił torbę i wysiadł. Miał szczęście, już myślał, że będzie musiał zjechać na dół i zostawić samochód gdzieś na Furmańskiej, a potem drałować pod górę na piechotę. Gdyby nie to, że później musiał jechać do klienta aż do Wilanowa, wzięłby taryfę.

Był zły na siebie, że zgodził się na to spotkanie. Facet się przecież nawet nie przedstawił. Właściwie powinien to olać, ale był po prostu ciekaw. Intuicja?

Tyle lat w zawodzie, a wciąż czasem dopuszczał ją do głosu. No ale co szkodzi, najwyżej straci półtorej godziny, pomyślał, wchodząc do holu hotelu Bristol.

I jeszcze ten hotel. Nie lubił go. Przytłaczała go ta secesja, te bizantyjskie kolory, ta cepelia.

Pokręcił głową, ze złością odpędzając od siebie negatywne myśli.

Ostatnio był tutaj z Nałęczem seniorem. Prowadzili jakąś sprawę o zwrot nieruchomości w Warszawie. Znane nazwisko, ogromna kamienica, ogromny procent. Dzisiaj, po tych wszystkich aferach, takie sprawy stały się jeszcze trudniejsze, poza tym coraz mniej już zostało nieruchomości. To Nałęcz był w tych sprawach specjalistą, jego znacznie bardziej interesowały kwestie gospodarcze.

Wszedł do lobby i skierował się w kierunku szeroko otwartych drzwi do restauracji.

– Hubert Łaniewski – przedstawił się szefowi sali przed wejściem. – Ktoś tutaj na mnie czeka.

Maître d'hôtel skłonił głowę i przez chwilę wpatrywał się w tablet.

– A tak – potwierdził. – Proszę za mną.

Ruszył w kierunku otwartych na oścież drzwi tarasowych prowadzących na wewnętrzny dziedziniec. Zatrzymał się w progu i przepuścił Łaniewskiego przodem. Przy jednym ze stolików, na tle przekwitających właśnie białych rododendronów, siedział mężczyzna w granatowej sportowej marynarce. Na widok Łaniewskiego uśmiechnął się, podniósł i wyciągnął do niego rękę.

– Witam, panie Hubercie, nie przedstawiłem się wczoraj. Aleksander Pahlen.

Łaniewski poczekał, aż kelner położy przed nim kartę, po czym spojrział na mężczyznę.

– No więc, czym mogę służyć koledze po fachu... Anglik, prawda?

– Zgadza się. Prowadzę kancelarię prawną w Londynie. Reprezentuję interesy klienta, który chciałby złożyć panu intratną propozycję w zamian za bardzo niewielką przysługę.

Łaniewski pomyślał, że skoro facet tak ją określa, to musi być coś naprawdę dużego kalibru.

W międzyczasie podszedł kelner. Przyjął zamówienia i rozstawił na stole szklanki i butelki z wodą mineralną. Gdy w końcu się oddalił, mężczyzna sięgnął po teczkę, którą trzymał na sąsiednim krześle, i wyciągnął z niej dwa zdjęcia.

– Prowadzi pan właśnie dwie sprawy, w których możemy panu z przyjemnością pomóc. Pierwsza to ten pan. – Mówiąc to, położył na stole zdjęcie byłego prezesa jednej ze spółek skarbu państwa, którego obroną Łaniewski właśnie się zajmował.

Łaniewski zeszytywniał. Sprawa z założenia była cuchnąca politycznie i spodziewał się oczywiście różnego rodzaju nacisków i problemów.

– Nie wydaje mi się, żebym był zainteresowany – odparł chłodno. – Polityka mnie nie interesuje.

– No niech pan nie żartuje – powiedział Anglik z sarkazmem. – Ta sprawa jest polityczna, ale nasza pomoc w żaden sposób pana nie dotyczy. Możemy się zająć, jeśli można tak powiedzieć, logistyką poczynań prokuratury.

Łaniewski pomyślał, że przyjscie tutaj było ogromnym błędem. Już widział swoje zdjęcia na jakichś zasranych portalach z komentarzami „Obrońca oszusta przyjmuje ofertę korupcyjną”. Wcale by go nie zdziwiło,

gdyby to była nawet prowokacja prokuratury. Odsunął krzesło i chciał się pożegnać.

– Panie Hubercie, spokojnie. – Anglik wyciągnął w jego kierunku dłoń i oparł ją o stół. – Porozmawiajmy spokojnie, proszę poczekać, aż skończę. Strasznie się pan najeżył.

– Nie chcę mieć żadnego związku z logistyką poczynań prokuratury. – Łaniewski się zatrzymał.

– No to proszę posłuchać o drugiej sprawie. – Anglik wyciągnął kolejne zdjęcie i położył na stole. – Zajmuje się pan aktualnie tym budynkiem.

Łaniewski spojrzał na fotografię i przez chwilę przyglądał się jej zaskoczony. Angielska kancelaria? Co oni mają do tego?

– Nie zajmuję się tym budynkiem – odparł z wahaniem i pokręcił głową.

– Ale zastanawia się pan nad tym. Zwrot budynku dawnym właścicielom albo odszkodowanie to dla pana ogromny procent. Przy takiej lokalizacji i takiej wartości tego pałacu.

– Nie jesteśmy tym zainteresowani – oświadczył Łaniewski, zastanawiając się, czy przypadkiem Patryk nie polazł gdzieś z jęczorem. Jeśli to on, powinien wylecieć na zbity pysk. – Sprawa będzie się ciągnęła latami. Rodzina byłej właścicielki nie ma środków. Żadnej gwarancji zwrotu nakładów.

– No więc myli się pan. – Pahlen uśmiechnął się nonszalancko. – Jesteśmy w stanie skrócić to postępowanie do, powiedzmy – ściągnął usta z udawanym zafrasowaniem – dwóch, trzech miesięcy, no niech będzie pół roku, żeby poważniej wyglądało.

– W jaki sposób? To własność skarbu państwa.

– No przecież lepiej, żebyśmy o tym nie mówili. – Pahlen uniósł brwi. – Gwarancją dla pana będzie, że pokryjemy koszty postępowania. Zwróci nam je pan ze swojego procentu od wygranej sprawy.

– A jeśli nie wygramy? Będę waszym dłużnikiem? Żartuje pan sobie ze mnie?

– Nie ma mowy o żadnej przegranej. Tak jak i poprzednio, nasza rola polega na kierowaniu logistyką. – Pahlen uśmiechnął się przebiegle.

– W jaki sposób angielska kancelaria ma niby wpłynąć na polską prokuraturę i skarb państwa? Zaczynam mieć podejrzenia, że jestem w ukrytej kamerze. Nie jest pan przypadkiem jakimś popularnym youtuberem?

– Nie mam do tego żadnych kwalifikacji, niestety – odparł Anglik. – A wasze Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuratura są absolutnie niezależne. Nawet przez myśl by mi nie przeszło, że ktoś mógłby tam dać sobą sterować – dodał.

Łaniewski podniósł wzrok i pomimo poważnego tonu dostrzegł w oczach mężczyzny jawną kpinę.

Podszedł kelner i zaczął rozstawiać talerze z zamówionymi daniami. Przez chwilę słychać było brzdęk sztućców i stłumiony hałas dochodzący z Krakowskiego Przedmieścia.

– Możemy się tak umówić... – Mężczyzna spojrział na swój zegarek. – Do jutra rana dostanie pan pewne dokumenty w tej pierwszej sprawie, które pozwolą panu ją zamknąć. Natomiast drugiej sprawy pan po prostu nie zacznie, dopóki nie przekazemy panu zaliczki na wstępne postępowania. Niczego pan w takiej sytuacji nie ryzykuje.

Łaniewski przez chwilę milczał.

– A czego właściwie miałyby dotyczyć ta... bardzo niewielka przysługa?

*

Karen wyciągnęła się na łóżku i sięgnęła po telefon, żeby przejrzeć zrobione wcześniej zdjęcia. Wróciły właśnie z babcią z bardzo późnego śniadania, aż dziw, że babcia jej wcześniej nie obudziła. No ale wczorajszy wieczór, obfitujący w sensacyjne wydarzenia, zakończył się bardzo późno. Zwłaszcza dla niej.

Konsul wysadził ich na skrzyżowaniu Nowego Światu i Świętokrzyskiej. Babcia stwierdziła, że po tym wszystkim krótki spacer do hotelu dobrze jej zrobi na nerwy. A Karen zauważyła nagle, że jest piękna noc, a wokół tyłu jeszcze spaceruje ludzi, śmiejąc się i ostentacyjnie ciesząc z początku lata. Pomyślała, że chciałaby się przejść. Patryk prawie od razu zaproponował, że ją odprowadzi, i wysiadł razem z nimi, a babcia nie zdążyła nawet

zaprotestować, chociaż, prawdę powiedziawszy, nie wyglądała wcale tak, jakby zamierzała protestować.

Gdy zostali sami, Patryk się rozejrzał.

– Chciałabyś się przejść w kierunku zamku? Stare Miasto? Czy dokąd? – Rozłożył ręce z udawaną bezradnością.

– Tak naprawdę to chciałam zejść nad Wisłę – odpowiedziała z wahaniem.
– Więc jeśli się spieszysz, przejdę się sama.

– Obiecałem twojej babci, że cię odprowadzę. – Patryk uklonił się nieco błazeńsko i skinął ręką w stronę Krakowskiego Przedmieścia. – Znając już trochę kobiety z twojej rodziny, wolę nie łamać danego słowa...

– Ja bym jednak na twoim miejscu bardziej obawiała się moich szwedzkich genów – powiedziała nieco złośliwie. – Po potopie to już nigdy nie doszłicie chyba do siebie.

– Wy? Czyli bardziej jednak czujesz się Szwedką?

– Miałam na myśli polskich mężczyzn.

Patryk parsknął śmiechem.

– Kobiety, które nienawidzą mężczyzn – powiedział kpiąco. – Taka kontynuacja Larssona chyba jeszcze u was nie powstała.

– Może sama ją napiszę, jak się lepiej poznamy.

Patryk roześmiał się ponownie. Miał wrażenie, że właśnie odpuszczają mu nerwy z ostatnich kilku godzin.

– W takim razie możemy się przejść Krakowskim Przedmieściem, a potem w dół Bednarską – zaproponował. – Bardzo lubię tę ulicę. Najpierw przejdziemy obok Wydziału Dziennikarstwa, to swoją drogą też stary pałac. Bednarską zejdziemy prosto na bulwar nad Wisłą.

No i koniec końców, Karen wróciła do hotelu dopiero koło drugiej. Rozmawiali najpierw tylko o policyjnej awanturze, prawach kobiet, jej i babci głównym powodzie przyjazdu do stolicy, ale później rozmowa zesła najpierw na Warszawę (neutralny temat), a potem na jego pracę w kancelarii, na jej studia, na plany wakacyjne (tutaj musiała być kreatywna) i nagle znaleźli się znowu na Świętokrzyskiej.

Musiała przyznać, że Patryk, wbrew temu, co na początku o nim myślała,

wcale nie był sztywniakiem. Okazał się całkiem dowcipny.

Rozległo się pukanie do drzwi. Karen spojrzała na zegar.

Babcia. Miały jeszcze jechać na Powązki.

*

Patryk wpatrywał się w swój monitor. Od dobrej godziny ślęczał nad pismem procesowym. Prosty, zwyczajnym pismem procesowym w całkiem banalnej sprawie. Ale co napisał dwa, trzy zdania, to i tak musiał je skasować, bo okazywały się kompletnie pozbawione sensu.

Był trochę niewyspany, to prawda, do domu dotarł przecież przed trzecią. Ale bardziej nie mógł się skoncentrować z powodu wspomnianości. Tak to chyba nazywają autorki powieści dla kobiet. Uśmiechnął się pod nosem.

Dawno już nie spędził z nikim tak przyjemnie czasu. W dodatku zaraz po tym, jak tego kogoś wyciągnął z więzienia.

Znowu uśmiechnął się do siebie.

Nie żeby zaraz coś tam, bez przesady, w końcu to klientka, ale fakt pozostawał faktem. Umawiał się czasem przez Tindera, ale te spotkania były takie wymuszone, napięte. Za każdym razem wisiało mu wręcz nad głową widmo desperackiego poszukiwania związku. Zwłaszcza po tej drugiej stronie, co od razu ustawiało go na dystans. Wręcz widział w oczach tych dziewczyn, jak go oceniają, że prawnik, że wysoki, że nie ma brzucha, że nieźle wyjdzie na wspólnych fotkach na Insta. A Karen była tak wyluzowana, że te dwie godziny były samą przyjemnością.

Zamyślony, nie usłyszał, że ktoś go woła. Mocne walnięcie w niskie przepierzenie oddzielające jego kanciapę od reszty sali przywróciło go do rzeczywistości.

Podniósł wzrok.

Koleżanka obok ze zniecierpliwioną miną wskazywała głową stojącego w półotwartych drzwiach Łaniewskiego. Właśnie wyszła od niego blond gwiazda kancelarii mecenas Kamińska, której Łaniewski dawał najtrudniejsze sprawy. Uśmiechnęła się protekcjonalnie do Łukasza i skinęła głową, żeby się pospieszył. Zazwyczaj, pół żartem, pół serio, bardziej serio nazywała go Nałęczem juniorem, robiąc aluzje do tego, że trafił tutaj dzięki

ojcu.

Chyłka od siedmiu boleści.

Patryk wstał i dopiero teraz się zorientował, że Kamińska siedziała u Łaniewskiego prawie dwie godziny, od samego rana. Coś się chyba działo.

Na biurku Łaniewskiego leżał plik dokumentów. Patryk rozpoznał w nim materiały, które sam skompletował i dwa dni wcześniej przyniósł szefowi.

– A co spowodowało, że zmieniłeś zdanie? – zapytał, patrząc, jak Łaniewski wpatruje się w kserokopię archiwalnej księgi wieczystej, którą sam jeszcze w maju wyszarpał z Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa, podpierając się bardzo kreatywnym uzasadnieniem interesu prawnego.

– Tylko krowa nie zmienia poglądów. – Łaniewski uśmiechnął się jak rekin. Patryk zawsze uważał, że szef, gdy się uśmiechał, wyglądał złowrogo i generalnie myślał, że lepiej byłoby, gdyby tego za często nie robił. Zwłaszcza w obecności klientów.

– A co z twoimi obawami, czy nas stać na to postępowanie?

– Powiedzmy, że przeanalizowałem ponownie wszystkie za i przeciw, młody. A co ty się nagle zrobiłeś taki podejrzliwy?

– No nie, ale nie obawiasz się, że możemy stracić? Sam się nad tym zastanawiałem potem i rzeczywiście koszty będą spore.

– Okazuje się, że nie aż tak. – Łaniewski zagryzł wargi, jakby jeszcze o czymś myślał. – Możemy wprawdzie spróbować wysondować, jakie są rzeczywiste możliwości finansowe tej Fleming. Prowadzi z mężem jakąś agroturystykę, nie wiem, ile z tego wyciągają. Ale podobno jej syn jest bardzo zamożny.

– Właściwie to nie mamy pewności, czy ona w ogóle będzie chciała wszczynać tę sprawę.

– Jak nie ona, to jej dwie kuzynki. O której ta Fleming z wnuczką wylatują? – Łaniewski spojrzał na zegarek. – Dzisiaj?

– Tak, dzisiaj – potwierdził Patryk. – O osiemnastej.

– Dzwon do niej i zaproś je tutaj! To znaczy, oczywiście pojedziesz i je tutaj przywieziesz. I odwieziesz je potem na lotnisko.

– Teraz?! – Patryk patrzył na szefa zaskoczony tempem, jakiego nagle nabrały beznadziejne do niedawna jeszcze sprawy.

– A kiedy? – warknął Łaniewski. – Jest jedenasta! Będziesz się przedzierał przez miasto w jedną i drugą stronę z godzinę, a cholera wie, gdzie one teraz polazły. Może do Wilanowa je poniosło. A na lotnisko trzeba wyjechać o szesnastej, bo potem korki będą jak cholera!

*

Karen wpatrywała się w nagrobek. Prosta płyta z czterema stalowymi klamrami, a za nią krzyż wystający z czegoś w rodzaju skały zbudowanej z granitu. Poczerniały kamień z zielonymi plamami mchu. I ledwie widoczne, starte imiona i nazwiska.

Dyskretnie rozejrzała się dookoła. Stare Powązki. Pociemniałe ze starości kamienne płyty, monumentalne postumenty, rzeźby aniołów i pogrążonych w smutku lub melancholii postaci. A nad tą ogromną galerią rzeźb i monumentów prześwietlone teraz słońcem zielone sklepienie starych drzew.

Ciotka była pochowana w starym grobie swojej krewnej, Natalii Potockiej, tuż obok bramy od strony ulicy Tatarskiej. Przy bramie kupiły kwiaty i ogromny szklany znicz, który teraz mienił się pulsującym w środku ognikiem.

– Jakie to życie jest marne – westchnęła filozoficznie Anna.

– Dlaczego niby? – zapytała Karen ściszym głosem. Towarzystwo tych wielkich rzeźb aniołów, kamiennych kobiet wpatrzonych z rozpaczą w przestrzeń i małych smutnych amorków siedzących na granitowych płytach trochę ją onieśmiało.

– Urodziła się w wielkim zamku...

– Zamku? – zainteresowała się od razu Karen.

– Tylko nie zaczynaj z tymi głupotami! – Anna zgromiła ją wzrokiem. – W Koniecpolu, niedaleko Częstochowy. Życie spędziła w innych ogromnych pałacach i dworach. Miała wszystko, o czym można tylko zamarzyć, przeżyła dwie wojny, z wojną polsko-sowiecką to trzy i jeszcze rewolucję, a na starość wszystko jej odebrano, wydarto wręcz. I umarła z niczym.

Karen chciała właśnie zauważyć, że to samo można powiedzieć o wielu

innych osobach z tego pokolenia, ale zadzwoniła jej komórka. Patryk?

Uśmiechnęła się przepraszająco i odeszła na bok.

– Cześć, zaszły pewne okoliczności – zaczął Patryk dyplomatycznie.

– Jakie okoliczności?

– Musicie koniecznie wpaść do kancelarii. Właśnie po was jadę. Dzwoniłem już do hotelu i przedłużyłem wasz pobyt, więc nie musicie się martwić o bagaże.

– Co to znaczy przedłużyłem? – Karen spojrzała z niepokojem w kierunku Anny. – Babcia wpadnie w rozpacz, jak się dowie, że musi zostać dłużej w Warszawie.

– Chodzi o dobę hotelową. Normalnie każą opuścić pokój o trzynastej. Potem odwiozę was na lotnisko.

– Ale o co chodzi? – Karen dopiero teraz się zaniepokoiła. – Coś się stało? Ktoś podważył testament?

– Wprost przeciwnie. Mój szef ma dla twojej babci pewną propozycję. Gdzie jesteście?

– Na Powązkach. Podjedź od ulicy Tatarskiej. Piąta brama.

Kilkadziesiąt minut później Anna Fleming z wyrazem kompletnego osłupienia na twarzy wpatrywała się w Huberta Łaniewskiego. Karen siedziała nieco z boku i z zaciekawieniem śledziła rozwój wypadków.

– Ale jakie są w ogóle do tego podstawy prawne? – odezwała się w końcu, po dłuższej chwili konsternacji. – A reforma rolna?

– Reforma rolna nie ma tu nic do rzeczy – zapewnił Łaniewski i uśmiechnął się protekcyjnie. – Gruntów warszawskich dotyczy dekret Rady Ministrów z dwudziestego szóstego października czterdziestego piątego roku. Celem tego dekretu było, cytuję – to mówiąc, pochylił się nad wydrukiem rozporządzenia i zaczął czytać – „Przejęcie wszelkich gruntów na terenie miasta Warszawy w celu umożliwienia przeprowadzenia odbudowy stolicy i dalszej jej rozbudowy zgodnie z potrzebami Narodu”.

– Brzmi logicznie. – Anna spojrzała powątpiewająco na prawnika.

– Tylko że dekret ten był później błędnie i z naruszeniem prawa

interpretowany. Było już wiele orzeczeń sądowych w tej sprawie, więc to akurat nie ulega wątpliwości.

– Dlaczego błędnie?

– Gdyż dekret miał charakter jedynie planistyczny, absolutnie nie uzasadniał nacjonalizacji. Tymczasem państwo, posiłkując się nim, przejęło wszystkie nieruchomości warszawskie, nie wypłacając właścicielom nawet rekompensat.

– Czyli naprawdę uważa pan, że... – Anna patrzyła na Łaniewskiego z osłupieniem.

Mecenas skinął głową.

– Że Willa Róż może wrócić do spadkobierców, względnie możecie dostać za nią ogromne odszkodowanie – przytaknął Annie. – W dodatku jest testament, co także wszystko upraszcza. Bez niego postępowanie dotyczyłoby całej, bardzo obecnie już rozgałęzionej, rodziny Henryka, brata Elżbiety, a to obejmowałoby obok Francji także Kanadę, Stany Zjednoczone i Bóg wie co jeszcze.

– Ale ja muszę to wszystko skonsultować z kuzynkami. – Anna spojrzała bezradnie na Karen. – Poza tym wokół tych spraw było już tyle afer. Nie wiem, czy to dobry pomysł. No i to będzie trwało latami. Zrujnuje nam kompletnie życie.

– Według naszych ustaleń sprawa wydaje się dość prosta, a wszystko nie potrwa dłużej niż pół roku.

Siedzący na końcu stołu Patryk podniósł wzrok. Pół roku?!

Wciąż się zastanawiał, co spowodowało, że Łaniewski tak radykalnie zmienił zdanie na temat tej sprawy. I na jakiej podstawie twierdzi, że to nie potrwa dłużej niż pół roku.

– Pani Anno, jedyne, co pani musi zrobić, to podpisać dla nas pełnomocnictwa, a resztą my się już zajmiemy – obiecał Łaniewski i uśmiechnął się uspokajająco. – Patryk odwiezie panie teraz do hotelu i na lotnisko. Wszystkimi sprawami zajmiemy się my i o wszystkim będziemy panie na bieżąco informować.

Dwie godziny później Anna i Karen znalazły się na lotnisku. Patryk

odwiozł je pod same drzwi hali wylotów, a potem jeszcze odprowadził do bramki.

– Mam nadzieję, że zobaczymy się niedługo – powiedział i uśmiechnął się do Karen.

Karen odwzajemniła uśmiech.

– Jeśli będziesz w Szwecji, koniecznie się odezwij.

– Myślałem raczej o jakimś bliższym terminie. Pewnie twoja babcia będzie musiała podpisywać jakieś papiery w związku z tą sprawą. Mogłabyś przyjechać razem z nią. Zawsze też ja mogę przyjechać do was. Z tymi papierami znaczy.

Karen wybuchnęła śmiechem.

– W takim razie do zobaczenia! – Chwyciła swoją torbę i ruszyła w kierunku babci stojącej w kolejce do kontroli bagażowej.

Pomachała Patrykowi, który został za szklaną ścianą.

Kładąc swoją torbę na taśmie, zastanawiała się, czy jeszcze się spotkają.

I złapała się nagle na tym, że od dwóch dni nie pomyślała nawet o Lassem.

Ale jak już sobie o tym przypomniała, to momentalnie zwarzył jej się humor.

Nagle posmutniała i powlokła się za babcią, bacząc tylko, żeby za każdym razem, gdy Anna obracała się, chcąc skontrolować sytuację, posłać jej radosny uśmiech.

Stanowiska wylotu do Szczecina były na samym końcu hali, więc po kilometrowym spacerze dobrnęły do poczekalni i usiadły przy stoliku małej kawiarenki.

Karen zatopiła się w smartfonie, a zmęczona Anna piła herbatę i marzyła tylko o swoim łóżku w Dalewie.

Dzwonek telefonu schowanego głęboko w torebce Anny otrzeźwił obie.

Anna wyjęła smartfon i spojrzała na ekran.

– To Igor! – poinformowała zaciekawioną Karen.

Ostatnim razem po odebranych telefonach niespodziewanie wylądowały

w kancelarii Patryka. Była ciekawa, co jeszcze może się zdarzyć w tej Warszawie.

– Co ty mówisz? – Anna otworzyła szeroko oczy i szturchnęła siedzącą obok Karen. – Ten trzeci kufer się odnalazł! – rzuciła cicho do wnuczki.

– Jeszcze się nie odnalazł! – sprostował Igor. – Okazało się tylko, że figuruje w kartotece archiwum. Dlatego dzwonię. Podobno TNA odesłało go do rodziny, na adres, który znajdował się na jakichś listach wewnątrz. Do Francji.

– Do Francji? – Anna odwróciła się w kierunku bramki prowadzącej do samolotu. Do wylotu miały jeszcze prawie pół godziny, ale i tak się denerwowała i co chwila sprawdzała, czy nie pojawiła się już obsługa.

– No właśnie. Nie wiesz, do kogo oni mogli wysłać ten kufer? Mamy jakąś rodzinę we Francji?

– A w tej Anglii nie wiedzą, dokąd posłali kufer?

– Mamo, nie chce mi się teraz wszystkiego tłumaczyć – powiedział zniecierpliwiony Igor. Westchnął. – W aktach nie ma żadnego adresu. Jedyne, co wiadomo, to że do Francji.

– Do Francji... – Anna na moment umilkła, wpatrując się w posadzkę. – Nic mi nie wpada do głowy.

– Może jacyś dalecy krewni? – dopytywał się Igor. – Z kim ciotka mogła korespondować?

– Zaraz! – Anna podniosła się gwałtownie. – Jedyne, co mi przychodzi teraz na myśl, to Montresor. Jeśli miało z ciotką coś wspólnego...

– Montresor? – Igor przez chwilę szukał w pamięci. Nazwa mu się z czymś kojarzyła. – Montresor?! – Nagle zaskoczył. – Zwariowałaś?! Ten zamek Reyów, co go w TVN bez przerwy pokazują? Co ty opowiadasz? Co ciotka mogła mieć wspólnego z tym zamkiem?

– Jakbyś słuchał tego, co opowiadała babcia Maria, i jakbyś mnie słuchał, tobyś wiedział.

– Mamo...

– Teraz to mamo.

– Oj, mamo!

– To teraz przynajmniej posłuchaj, bo nie będę powtarzała.

Igorowi zupełnie bezwiednie, ponieważ rozmawiali na temat Francji, stanęła od razu przed oczami przywódczyni ruchu oporu z francuskiego serialu *Allo, allo*, która każdą kwestię zaczynała od słów: „Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzała”.

Potęga kultury masowej.

– Ciotka Elżbieta miała brata – mówiła Anna dobitnie, jakby zakładając, że Igor znowu puści wszystko mimo uszu. – I ten brat Henryk ożenił się z Julią Branicką, kuzynką ówczesnych właścicieli i zarazem wnuczką Róży Potockiej, która ten zamek w połowie dziewiętnastego wieku kupiła. Henryk zaraz po wojnie wyjechał do Francji i pozostał tam do śmierci. Jest pochowany w kaplicy w Montresor.

– Żartujesz? – Igorowi wszystkie koligacje od razu kompletnie się pomieszały. Dotarło do niego jedynie, że kufer ciotki Jadwigi pojechał do jednego z zamków nad Loarą.

– A co to miałyby być za temat do żartów?

– Wujek Igor jest we Francji? – zapytała Karen, która mimo usilnych starań nie mogła nadażyć za treścią rozmowy. – O czym wy właściwie mówicie? I co z tym kufrem?

– A co z tym kufrem? – Anna powtórzyła pytanie, przyciskając telefon do ucha.

W tle słyhać było, że Igor z kimś rozmawia.

– Igor!

– No nie mam pojęcia! – Igor w końcu się odezwał. – Jeśli rzeczywiście tam go wysłali, to pewnie dawno już wylądował na śmietniku. Zawracanie głowy.

Odpowiedź Igora brzmiała, jakby nie była skierowana do Anny. Zwłaszcza że część była po angielsku. Na potwierdzenie jej domysłów w tle rozległo się kilka głosów.

– Nie wybierasz się chyba teraz do Francji dla odmiany?! – zapytała z niepokojem.

– Wujek jedzie do Francji? – zapytała ponownie Karen, wpatrując się

w babkę.

– No właśnie usiłuję się dowiedzieć. – Anna nerwowo potrząsnęła telefonem. – Igor! Co z tą Francją? A kiedy do nas przyjedziesz? Mieliście przecież wpaść z Pauliną do Dalewa.

– Paulina wraca dopiero w lipcu – odpowiedział Igor machinalnie. – To co, że to niedaleko? – kontynuował po angielsku. – Poza tym jak to niedaleko?! Pięćset kilometrów w linii prostej to niedaleko?!

– Igor, z kim ty rozmawiasz?! – zirytowała się Anna.

– Mamo, muszę kończyć. Zadzwoń później. Mam tu urwanie głowy.

– Babciu, musimy iść. – Karen nagle wstała i sięgnęła po torbę. – Obsługa już wpuszcza do samolotu.

– Boże! – Anna patrzyła ze zdenerwowaniem to na swój telefon, to w kierunku bramki, przy której momentalnie zaczął gromadzić się tłum ludzi.

Pocieszając się w myślach, że za jakieś dwie godziny będzie mogła wreszcie usiąść w swoim wiklinowym fotelu w Dalewie i napić się herbaty, ruszyła za Karen w kierunku bramek do samolotu.

Rozdział 12

Dawno, dawno temu...

Powoli zapadał zmierzch, gdy kolumna jeźdźców, za którą jechały wozy ciągnięte przez wychudłe szkapy, wyłoniła się z lasu i ruszyła ledwie widocznym spod śniegu traktem w kierunku miasteczka mającego w oddali.

Na zachodzie nad czarnymi konarami drzew starego lasu jaśniała okrągła pomarańczowa tarcza zachodzącego słońca, która wyglądała tak, jakby przysłaniała ją zamarznięta szyba. W ciągu dnia temperatura spadła do minus 20 stopni, a teraz tuż przed zmierzchem zbliżała się już do minus 25.

To właśnie na tych ziemiach sto lat temu w trakcie wojny północnej żołnierze szwedzkiego króla Karola XII po raz pierwszy zaobserwowali zjawisko, o którym pisali później ich kronikarze. Siedzące na gałęziach ptaki zamarzały w czasie snu i spadały z drzew wprost pod nogi przerażonym piechurom.

Jeźdźcy podążający w kierunku miasteczka tworzyli malowniczą, ale przedziwną grupę. Jadący na wymizerowanych szkapach żołnierze okutani byli w kozuchy i futra, wyglądające bardziej na teatralne kostiumy niż na odzież wojskową. Długie czarne płaszcze ze skór niedźwiedzich opadające na końskie boki zakończone były szklanymi soplami, które wyglądały niczym przedziwna biżuteria. Brudne futra z soboli, kurtki z drogich, wykwinnych skór, obszytych futrami szynszyli, mieli założone jedna na drugą, a twarze przewiązane szalami i apaszkami z kolorowych, szykownych niegdyś materiałów: adamaszków, kaszmiru, jedwabiu. Okutani w te przedziwne ubiory, przysypiali, kołyszając się na wszystkie strony niczym szmaciane lalki.

Za jeźdźcami ciągnęły wozy z podobnie odzianymi woźnicami, a tył i boki kolumny zamykali brodaci i wąsaci jeźdźcy we wschodnich czapach i długich kozuchach związanych skózanymi pasami. Obrazu dopełniało

działko na wielkich drewnianych obręczach ciągnięte za ostatnim wozem.

Trakt wiódł w kierunku wieży kościelnej wystającej spomiędzy dalekich dachów. Po lewej stronie wśród drzew błyszczało niewielkie skute teraz lodem jezioro, a na jego wschodnim brzegu pięło się wysokie wzniesienie porośnięte ogromnymi starymi drzewami. Kilkaset metrów dalej odchodziła w bok krótka droga, przy której stały budynki z kamienia i cegły. Pomiedzy nimi była drewniana brama zamknięta łańcuchem i zawieszona na murowanych filarach. Prowadziła w głąb podwórca.

Od oddziału oderwało się dwóch jeźdźców w kozackich czapach i ruszyło galopem w kierunku bramy. Rozległ się strzał i zardzewiała zamarznięta kompletnie kłódka rozprysnęła się, a długi łańcuch z jazgotem uderzył o drewniane skrzydła. Po kilku minutach jeden z jeźdźców ponownie pojawił się na podjeździe i wskazał pozostałym miejsce postoju.

Kolumna pokonała wolno ostatnie metry traktu i wjechała na teren posiadłości. Telepiące się na skrzypiących kołach wozy zatrzymały się przed jednym z budynków, za którym widać było wzgórze. Na jego szczycie, pomiędzy drzewami, widniały ściany starego domostwa.

Dziedziniec od strony południowej zamykała zabudowa jakiegoś klasztoru, o czym świadczyła niska wieża z krzyżem, na środku dziedzińca zaś wznosiła się studnia osłonięta dachem wspartym na pękatych murowanych kolumnach.

Żołnierze zeskoczyli z koni z nadzieją znalezienia jakiegoś osłoniętego od wiatru wnętrza, gdzie można by było rozpalić ogień, i ruszyli w kierunku zabudowań opuszczonego klasztoru. Trzech oderwało się od grupy i poszło w kierunku dworu na szczycie wzgórza. Kozacy zakrzętnęli się wokół koni i wozów. Jeden z nich podszedł do bramy, przy której zatrzymał się konwój, i otworzył na oścież ogromne wierzeje.

Wewnątrz budynku widać było jedynie ślady dawnego przeznaczenia i marne resztki tego, co tu przechowywano. Porozbijane beczki, walające się pod ścianami skrzynie, kopce brudnego zboża i ziemniaków. Można było zobaczyć wyraźne ślady obecności oddziałów aprowizacyjnych, przeszukujących okoliczne majątki.

W przylegającej do wzgórza ścianie spichlerza otwierały się wielkie murowane arkady, pozostałość po tarasie widokowym, który z czasem

zmienił funkcję na dużo mniej reprezentacyjną.

Nie mógł mieć oczywiście o tym pojęcia kozak, który przeszedł się wzdłuż ściany, zaglądając z ciekawością do ciemnych nisz. Nagle coś o wiele ważniejszego zaprzętnęło jego uwagę. Od strony bramy wjazdowej rozległ się krzyk i po chwili na podwórzec wpadł jeździec, pozostawiony tam na czatach, głośno krzycząc i wskazując ręką trakt od strony miasteczka.

Kozak wybiegł ze spichlerza i krzyknął do najbliższego woźnicy. Ten podniósł się i z rozpaczą rozejrzał dokoła. Poruszona wiatrem brama starego spichlerza zaskrzypiała, a w jej tle woźnica zobaczył połyskujące w oddali jezioro. Skuta lodem tafla załśniła nagle w zachodzącym słońcu złotawą poświatą.

Woźnica strzelił batem i pierwszy powóz powoli zaczął się toczyć, śmiertelnie zmęczone konie szły noga za nogą, a za nimi ruszyły dwa następne wozy.

Tymczasem od strony zabudowań klasztornych przybiegli zaalarmowani żołnierze i rzucili się do koni, wyszarpując pozostawione przy siodłach muszkiety. Dwaj dopadli do działa, odczepili je od ostatniego wozu, który czekał przy wrotach do spichlerza, i zaczęli przetaczać je w kierunku bramy.

Chwilę później na dziedziniec wpadł nagle oddział w czerwono-niebieskich mundurach rosyjskiej armii. Żołnierze przez chwilę wydawali się zaskoczeni.

Dopóki nie padł pierwszy strzał.

Jeden z rosyjskich kawalerzystów padł martwy na ziemię, a pozostali spięli konie i zawrócili do bramy, strzelając jednocześnie do żołnierzy na dziedzińcu.

Gdy huknęło działo, na podwórcu zrobił się rejwach.

Niespodziewanie zza bramy także rozległ się huk i po chwili część spichlerza legła w gruzach, grzebiąc dwóch wybiegających akurat na zewnątrz żołnierzy. Dwóch zabitych kozaków spadło na ziemię, a ich przerażone konie rzuciły się do ucieczki i zniknęły między drzewami parku. Działo przy studni odpowiedziało ogniem, zabijając wpadających przez bramę rosyjskich żołnierzy.

Kolejny wybuch rozniósł na strzępy drewniane zadaszenie nad studnią,

zniszczył dach spichlerza i zabił kolejnych żołnierzy. Tymczasem od strony dworu nadbiegli trzej kawalerzyści, którzy wybrali się na zwiedzanie domostwa. Zaczęli strzelać, uśmiercając kilku rosyjskich muszkieterów.

Bitwa nie trwała jednak długo. Niewielki rosyjski oddział nie był zbyt liczny, miał za zadanie jedynie rozejrzeć się w terenie, na którym według wszelkiego prawdopodobieństwa nie powinno być żadnych sił wroga. A Rosjanie nie mieli w dodatku żadnego rozeznania co do liczebności oddziału, który zatrzymał się na podzamczu. Po kilkunastu minutach pozostali przy życiu Rosjanie wycofali się w kierunku lasu i rzucili do ucieczki.

Tymczasem na dziedzińcu tuż obok ruin spichlerza, zniszczonej studni, zabitych kozaków i padłych koni zostali jedynie dwaj żołnierze.

Rozdział 13

PARYŻ

Igor z czarnym plecakiem na ramionach stał w ogromnej hali przylotów lotniska Charles'a de Gaulle'a i z zadartą głową przyglądał się ogromnej przeszklonej kopule. Był tutaj po raz pierwszy. Ostatnio do Paryża przyjechał samochodem z Dorotą. Wtedy jeszcze wytrzymywali ze sobą zamknięci kilka godzin w samochodzie i taka sytuacja była nawet przyjemna. Koszmarem stała się trochę później.

– *Excusez-moi!*

Młoda dziewczyna, ciągnąc za sobą wielką torbę na kółeczkach, prawie wpadła na jego plecy. Uśmiechnęła się przyjaźnie, ale ze zniecierpliwieniem.

Dopiero teraz zorientował się, że zatrzymał się na drodze przybierającej gwałtownie fali ludzi. Pomyślał, że pewnie musiało akurat wylądować w tym samym czasie kilka samolotów, a zaraz potem uprzytomnił sobie, że lotnisko CDG jest najbardziej obleganym lotniskiem w Europie. Zszedł na bok i rozejrzał się. Zboczenie zawodowe polegające na przyglądaniu się architekturze, gdziekolwiek się znalazł, najczęściej skutkowało zgubieniem towarzyszy podróży.

Poprawił plecak i ruszył w stronę wyjść. Przypomniała mu się czerwona walizka Pauliny, z której zawsze się natrzęsał, ale której nie sposób było nie zauważyć pośród innych ciemnych i burych bagaży. Że też Paulina akurat teraz musiała wyjechać do Danii. Dostała stypendium dla dziennikarzy zagranicznych i możliwość napisania cyklu artykułów o dziełach sztuki związanych z Gryfitami znajdujących się w duńskich zbiorach. Niby nic szczególnego, ale jak do tej pory niewiele osób dostało zgodę na obejrzenie i opisanie prywatnych zbiorów duńskiej rodziny królewskiej.

Gwen i Johann wybrali sobie na sprzeczkę prawie geometryczny środek hali przylotów, nie przejmując się specjalnie opływającą ich rzeką ludzi.

Pomachał do nich i po chwili stali już we trójkę. Rozglądali się za Dermotem i Jamiem, którzy wybrali się na poszukiwania punktu wynajmu samochodów.

– Jezu! Czegoś ty tutaj nabrała? – jęknął Johann, zarzucając sobie na ramię torbę Gwen i patrząc na nią ze zgrozą. – Przecież wracamy po południu.

– A za chwilę zaczniesz jęczeć oczywiście, czy nie mam przypadkiem chusteczek nawilżających albo czegoś do zjedzenia.

Igor uśmiechnął się pod nosem.

– Czemu właściwie Alice i Rupert nie pojechali z nami? – zapytał.

– Rupert dostał fantastyczne zlecenie w Nowym Jorku i stwierdził, że w jego wieku i w jego zawodzie nie może czegoś takiego odrzucić. – Gwen uśmiechnęła się porozumiewawczo. – A Alice została zarzucona robotą. To jej słowa.

Igor rozejrzał się w poszukiwaniu tablicy informacyjnej.

– Na którym terminalu ona ląduje? – spytał Johann.

– No właśnie szukam tej informacji. – Igor dostrzegł wielką tablicę, na której świeciły się rzędy niezbędnych i zbytecznych informacji.

– Za dwadzieścia minut – mruknął. – Na drugim.

– To wyślij jej wiadomość, że czekamy przy wyjściu jedenastym. – Gwen spojrzała w kierunku oszklonej bramki. – Pewnie zaraz będziemy musieli szukać Dermota i Jamiego, a jak zaczniemy łązić każdy w inną stronę, to w końcu będą nas musieli wszystkich szukać przez megafony.

– Może poczekamy w tej kafejce? – Igor wskazał głową jedną z kilkudziesięciu na tym lotnisku. Ta akurat była blisko wyjścia.

Propozycja została przyjęta i po chwili rozlokowali się przy małym stoliczku, a Gwen poszła kupić kawę.

– Czy to naprawdę taki problem wynająć samochód? – Johann, gdy minął kolejny kwadrans, spojrzął na zegarek.

Gwen odstawiła swój kubek na stół i spojrzała na Johanna.

– Przecież i tak musimy czekać na siostrzenicę Igora.

Jakby w odpowiedzi rozległ się nagle okrzyk.

– Igor!

Spomiędzy wypełniającego terminal tłumy ludzi dobiegł ich nagle kobiecy głos. Igor odwrócił się i zobaczył, że w jego stronę przepycha się dziewczyna w białej lnianej sukience i ogromnym czarnym kapeluszu.

Wstał i wyszedł jej naprzeciw.

– Karen! – Wzrokiem zmierzył siostrzenicę od stóp do głów, gdy przed nim w końcu stanęła. W jego rodzinie nie rzucano się sobie w objęcia, raczej panował zwyczaj chłodnych powitań i złośliwych uwag. A Karen w dodatku była w połowie Szwedką.

– Nie poznałbym cię – powiedział z uśmiechem. – Wyglądasz bardziej na rodowitą Francuzkę.

– Potraktuję to jako komplement – odparła i spojrzała z zainteresowaniem na dwójkę przyjaciół Igora. – Miło was poznać.

Igor patrzył z rozbawieniem, jak Karen wita się z Gwen i Johannem.

– Miało was być czworo. – Karen pytająco spojrzała na Gwen.

– I teoretycznie jest – przytaknęła Gwen. – Piękny kapelusz. – Uśmiechnęła się. – Jeśli chciałaś się dostosować do kobiet chodzących po ulicach Paryża, to raczej będziesz wyjątkiem.

– Tak samo jak przyjeżdżający po raz pierwszy do Londynu oczekują tłumy nobliwych pań wyglądających jak Hiacynta Bukiet – parsknął ironicznie Johann.

Karen nie zdążyła odpowiedzieć, bo rozległ się nagle dzwonek. Johann, nerwowo zonglując swoim plecakiem i torbą Gwen, zdołał w ostatniej chwili wyjąć telefon z kieszeni.

– No co jest? Gdzie wy jesteście? – rzucił niecierpliwie do słuchawki, gdy zobaczył na wyświetlaczu zdjęcie Dermota. – Aha, wyjście dziewiąte – powtórzył i okręcił się dookoła, rozglądając się w poszukiwaniu tablicy informacyjnej.

– Tam. – Gwen machnęła ręką i już po chwili, taszcząc swoje bagaże, przedarli się przez ruchome drzwi i wyszli na zewnątrz.

Samochód, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym, właśnie podjeżdżał.

– Matko Boska! – westchnęła Gwen. – Posłać po coś Dermota i Jamiego.

Przy krawężniku zatrzymał się volkswagen transporter potocznie nazywany ogórkiem, do niedawna produkowany jeszcze jedynie w Brazylii. Ten był w kolorze zwanym błękitem paryskim.

– Wsiadajcie, do diabła! Tutaj nie wolno stawać – wrzasnął Dermot zza kierownicy, widząc wstrząśnięte twarze przyjaciół. – Potem będziecie się wymądrzać. Nie było innych samochodów na sześć osób.

Dwadzieścia minut później błękitny ogórek mknął autostradą A1, jeżeli oczywiście mknięciem można nazywać prędkość stu kilometrów na godzinę.

– Każdy nas wyprzedza – stwierdził z niedowierzaniem Johann, odprowadzając wzrokiem oddalającą się ciężarówkę.

– Powinniśmy się cieszyć, że Rupert i Alice musieli zostać w Londynie, bo pewnie Dermot i James wynajęliby jakiś stary autobus.

– Jedziesz? To lepiej się ciesz. Alternatywą był pociąg. – Dermot posłał Gwen zjadliwy uśmiech, po czym wrzucił kierunkowskaz i zaczął zjeżdżać na lewy pas.

– Nie! – wrzasnął nagle z tyłu Jamie. – Nie zjeżdżaj na A3!

– Ale nawigacja tak mi każe!

– Bo dalej są jakieś roboty, ale jak pojedziemy na Bobigny, to potem będziemy stali w korku do usranej śmierci. Przez samą dziesiątą dzielnicę będziemy się przedzierać chyba z godzinę.

– Skąd ty to możesz wiedzieć? – Dermot odwrócił się i spojrzał na Jamiego z powątpiewaniem.

– On ma rację – włączyła się Gwen. – Powinniśmy jechać aż do obwodnicy i naokoło, a dalej będzie wyjazd na Wersal albo Chartres.

– Sami kierowcy tutaj – parsknął Dermot, ale posłusznie wrócił na prawą stronę szosy.

– Gdybyście wcześniej uzgodniły ze mną ten wyjazd, to kupiłbym ci bilet – odezwał się Igor do Karen. – A tak pewnie leciałaś jakimś najgorszym połączeniem.

– A co to ma za znaczenie? – Karen beztróska wrzuciła ramionami. –

Dwie godziny lotu?

– Tak, ale przez ten twój lot jesteśmy tu dopiero o jedenastej. A do tego cholernego zamku mamy jeszcze ze trzy godziny.

– Dwie – odezwał się zza kierownicy Dermot. – Nie dokuczaj dziewczynie – powiedział i uśmiechnął się promiennie do lusterka.

– Poza tym nie jęcz. Jedziemy po kufer ze skarbami. – Johann wyszczerzył zęby do Igora.

– Lepiej mnie nie denerwuj – ostrzegł go Igor z niezadowoleniem. – Moja matka wpakowała nas w tę durnowatą aferę, a w tym zamku teraz ja będę się za nią wstydzić.

– Co ty gadasz? – Jamie postukał się palcem w czoło. – Każemy im oddać kufer twojej ciotki i tyle. Dermot ma przecież wszystkie papiery.

– Jeśli chcesz, to możesz się w ogóle nie odzywać. – Johann parsknął śmiechem. – My będziemy z nimi gadali.

Minęli tablicę informującą o zjeździe na obwodnicę Paryża. Volkswagen zjechał na prawy pas i potoczył się dalej, wyprzedzany przez wszystkich uczestników ruchu.

Gdy godzinę później mieli już za sobą połowę drogi i jeden przystanek na kawę na stacji benzynowej, Igor, obserwując z boku Karen, stwierdził, że jest bardziej bezpośrednia i wyluzowana w towarzystwie jego przyjaciół niż on sam. Co się stało z tą cichą dziewczyną w czapce z daszkiem, która najlepiej czuła się na końskim grzbiecie?

– No to teraz wiemy, skąd się wziął ten Włoch Manuzzi – zawyrokował Johann, gdy Karen skończyła streszczać historię Jadwigi Strutyńskiej. – To dzięki paktowi z królem dostał mnóstwo ziemi i ogromne dochody z pańszczyzny. Po zamieszkach w czasie waszego powstania kościuszkowskiego miejscowa ludność naprawdę mogła gdzieś ukryć skradzione u niego skarby.

– Po upadku powstania nastąpił okres prześladowań ze strony caratu, wielu powstańców zesłano na Syberię i skonfiskowano ich majątki, więc wszelki ślad po tych skarbach zaginął – podjęła Karen, która w Johannie znalazła najwyraźniej pokrewną duszę.

– A co ma z tym wspólnego kufer ciotki Jadwigi? – zapytał ironicznie Igor. – Po który, przypominam, żeby wszystko było jeszcze bardziej groteskowe, jedziemy do zamku nad Loarą.

– Możliwe, że nic. – Johann spojrzał na niego rozbawionym wzrokiem. – Po kufer jedziemy dlatego, że twoja matka dostała go w spadku. Trzeba go odebrać żabojadom i tyle.

Karen zachichotała, a Igor przewrócił tylko oczami.

Najpierw spomiędzy pagórków porośniętych zagajnikami i wzniesień pokrytych uprawnymi polami wyłoniły się pierwsze zabudowania. Stare domy z granitowych polnych kamieni i nowe, otynkowane i pokryte blachodachówką lub gontem. Ani ładne, ani brzydkie, ot wieś, jakich wiele w całej Europie. Ale po kilkuset metrach krajobraz zaczął się zmieniać. Przy drodze wyrosły wyższe domy z piaskowca z portfenetrami oplecionymi dzikim winem i pnącą różą, miały wysokie kamienne mury i kute żelazne bramy prowadzące na podwórza. I nagle droga wpadła pomiędzy wąsko stojące kamieniczki, a w jej perspektywie wyrosły wysokie wieże zamczyska, górującego nad miasteczkiem.

– Wygląda zupełnie jak z bajki... – westchnęła zachwycona Karen.

– Wybudowany na początku jedenastego wieku, prawdopodobnie przez rycerza Foulques'a hrabiego d'Anjou – przeczytała Gwen, pochylona nad tabletem. – Później właścicielem był znany awanturnik Roger le Petit Diable...

– Przypominam, że nie jesteśmy na wycieczce krajoznawczej – wtrącił zza kierownicy Dermot. – Przyjechaliśmy, żeby odzyskać z rąk Francuzów dziedzictwo Igora.

– Przestańcie już bredzić. Poza tym to Polacy. – Igor pokręcił niecierpliwie głową.

– Warto poznać wrogów, nim się wejdzie na ich teren. – Gwen ponownie spojrzała w swój tablet. – W połowie dziewiętnastego wieku zrujnowany zamek wraz z połową miasteczka i ziemią wokół kupuje dla swojego syna Ksawerego Róża z Potockich Branicka. Od tej pory zamek związany jest z Polakami i staje się schronieniem dla emigrantów politycznych i artystów z Polski. Dzisiaj jest w posiadaniu rodziny Reyów, spadkobierców

Branickich.

Mikrobus jechał uliczką, nad którą wznosiły się porośnięte pnączami ściany zamku, i skręcił w wąski podjazd na podzamcze.

Na dziedzińcu kręciło się trochę ludzi, japońska para zapamiętała robiła sobie zdjęcia na tle studni, otoczonej kutą balustradą, a w głębi podwórca rodzina z trójką dzieci okupowała wejście do sklepiku z pamiątkami.

– No i co teraz? – Igor rozejrzał się dookoła z zachwytem. Gdyby nie cel wizyty, który wciąż wydawał mu się wyjątkowo głupawy, zwiedzanie tego miejsca byłoby samą przyjemnością. Średniowieczny zamek, przebudowywany średnio co sto lat w coraz to innej epoce i innym stylu, był dosłownie zaklętą w kamień historią. W dodatku ostatnich sto pięćdziesiąt lat, mimo odległości od kraju, to była historia wyłącznie polska. Zbiory poloników, które się tutaj znajdowały, przewyższały swoim bogactwem niejedno polskie muzeum.

– Pójdę popytać. – Johann skinął głową w kierunku sklepiku, obok którego widać było tabliczkę z napisem „Informacja”.

– Ksawery Branicki wspierał polskie ruchy narodowyzwolenicze, finansował polskie legiony walczące we Włoszech i w Turcji, a także wspierał powstanie styczniowe. – Gwen z tabletem w ręku nadal czuła się w obowiązku zapoznać wszystkich z dziejami zamku.

– Ale za to jego dziadek był twórcą konfederacji targowickiej – stwierdził Igor z ironią. – W czasie powstania kościuszkowskiego został uznany za zdrajcę i skazany na śmierć. Kara nigdy oczywiście nie została wykonana, bo powstanie upadło, a Polska zniknęła z mapy świata.

– Więc można powiedzieć, że wnuk całym swoim życiem odpokutował błędy dziadka. – Gwen, wolna od polskich kompleksów i narodowyzwolenicznych upiorów, uśmiechnęła się pogodnie.

– Chodźcie! – Od strony wejścia do budynku dobiegł ich głos Johanna.

Szczupła, chociaż właściwszym określeniem byłoby chuda, brunetka w ładnym szarym kostiumie i z włosami ściągniętymi na karku ciemną wstążką zaprosiła całą sześćoosobową, angielsko-szkocko-szwedzko-polską grupę do dużego gabinetu, wykończonego jasnym dębem, i zaproponowała herbatę.

– Nazywam się Jeannette Giroud. Jestem menadżerką – przedstawiła się. – Właściciele prosili przekazać, że bardzo żałują, ale nie mogli przyjąć państwa osobiście. Niestety, cała rodzina jest obecnie w Polsce. Nomen omen – powiedziała i uśmiechnęła się do Johanna. – Sir Johann Carley, prawda, to z panem rozmawiałam?

Johann skinął głową.

– Tutaj są stosowne dokumenty. – Położył na biurku plik papierów. – Kserokopia testamentu i pełnomocnictwo dla mecenasa – dodał i wskazał dłonią Dermota.

– W zasadzie to nie jest potrzebne. – Francuzka uśmiechnęła się ponownie. – Henryk Potocki należał do rodziny właścicieli, więc jeśli poszukujecie państwo jakichś dokumentów jego siostry, to dołożymy oczywiście wszelkich starań, żeby państwu pomóc. Pan Potocki jest pochowany w kaplicy rodowej na cmentarzu za zamkiem, gdybyście chcieli państwo potem tam zajrzeć... – Spojrzała na całą szóstkę i po chwili mówiła dalej. – Pan Henryk Potocki umarł w sześćdziesiątym ósmym, jego żona Julia umarła jeszcze przed wojną i jest pochowana na cmentarzu w Saint-Cloud pod Paryżem. Po śmierci pana Potockiego wszystkie jego rzeczy osobiste zabrał syn. Niestety, mimo dokładnego przejrzenia wszelkich archiwaliów nie znalazłam żadnego śladu po tym kufrze, o którym pan wspomiał.

– Wysłany został przez archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych, względnie przez Biuro Akt Publicznych – odezwał się Dermot. – W dziewięćdziesiątym siódmym.

Francuzka miała minę wyrażającą żal.

– Proszę mi wierzyć, że gdyby taka przesyłka tutaj trafiła, to sami stanęlibyśmy na głowie, żeby odnaleźć rodzinę właścicielki.

W gabinecie przez chwilę trwała cisza.

Kobieta wstała i wzięła z biurka plik kluczy.

– Coś państwu pokażę. – Skinęła ręką w stronę drzwi. – Proszę ze mną.

Wyszli na korytarz i ruszyli za Francuzką przez kolejne sale i komnaty.

Igor rozglądał się dookoła. Bardziej nawet niż wiszące tutaj kolekcje obrazów i całe ławice białej broni rozpięte niczym wachlarze na ścianach fascynował go stary wystrój wnętrza. Niezaburzony od setek lat bieg czasu.

Rzeka czasu, która płynęła tutaj spokojnie, nie wrywając niczego wirami wojen i rewolucji, a kolejnymi zmianami stroju nie zamieniając renesansowych komnat w składy obornika.

Stanęli przed drzwiami. Kobieta odszukała na wielkim kółku jeden z kluczy. Drzwi stanęły otworem i weszli do wielkiej sali wypełnionej szafami, na których stały dziesiątki waz, wyszczerbionych ceramicznych figurek i leżały stosy starych dokumentów. Ale to, co Jeannette chciała im pokazać, stało pod jedną ze ścian.

Kilkanaście wielkich kufrów. Mniej lub bardziej dekorowanych, ze stalowymi sztabami, często z malowidłami na wiekach lub stalowymi dekoracjami boków.

– Te kufry przyjechały tutaj z Polski. – Kobieta wskazała ręką dziwną kolekcję. – Wszystkie. Razem z uciekinierami, uchodźcami, po powstaniu styczniowym, po rewolucji, po obu wojnach.

Cała szóstka wpatrywała się w milczeniu w ten zestaw.

– Ten – kobieta wskazała dłonią jedną z największych skrzyń – przyjechał tutaj z Białej Cerkwi, majątku Branickich straconego po rewolucji październikowej. Przyjechały w nim żołądźce z Ukrainy, z których wyrosły potem dęby w parku w Montresor.

Na krótką chwilę zapanowała cisza, w czasie której wszyscy wpatrywali się w artefakty polskich uchodźców, po czym Jeannette zaczęła znów mówić.

– Gdyby z Londynu trafił tutaj jakiś kufer z dokumentami należącymi do waszej krewnej, na pewno byłby w zamku.

– I to by było na tyle – rzucił z przekąsem Igor, gdy pożegnali się z Jeannette i wyszli z powrotem na dziedziniec. Spojrzał przy tym znacząco na Karen.

– Przecież to nie moja wina. – Karen z trudem powstrzymywała śmiech, widząc marsową minę wujka.

– Wymyśliłyście z matką jakieś bzdury i tylko niepotrzebnie straciliśmy czas.

– Chcesz powiedzieć, że kilka godzin w naszym towarzystwie to strata czasu? – odezwał się Jamie.

– Właśnie! – Karen świetnie się bawiła.

– Jeśli chodzi o ciebie, zawsze tak uważałem – wtrącił Dermot, spoglądając na Jamiego.

– Przyjeżdżamy tutaj do tego arystokratycznego zamku Branickich-Potockich i zwracamy ludziom głowę, żeby szukali jakiegoś kufra z duperelami cioci Jadwini, która pewnie trzymała tam robótki ręczne, stare zdjęcia i kilka listów.

– A co ty możesz o niej wiedzieć, wujek. – Karen wzruszyła ramionami. – Urodziłeś się dwadzieścia lat po jej śmierci. Babcia mi opowiadała, że była jedną z pierwszych kobiet, które odważyły się iść na studia. Czego jak czego, ale robótek ręcznych to na pewno w tym kufrze nie trzymała.

– Od kiedy zrobiłaś się taką specjalistką od rodzinnych budżetów? I taką emancypantką w dodatku?

– Od czasu jak się dowiedziałam, że zajmujesz się poszukiwaniem skarbów...

Karen nagle umilkła i zasłoniła usta dłonią.

– Ups... Miałam się nie wygadać... – przeszła na język polski.

Igor patrzył na nią z niedowierzaniem.

– A skąd ty wiesz... To znaczy... Co ty za bzdury opowiadasz? Kto ci takich rzeczy nakładł do głowy? Matka?

– Nie denerwuj się, wujek – westchnęła Karen. – Tylko nic nie mów babci, że ci powiedziałam.

– Babci?! Nie mów do mnie wujek! To matka ci to powiedziała? Boże! Ona mnie chyba śledzi.

– No babcia mówiła, że od razu powiesz, że cię śledzi. – Karen zaczęła chichotać.

– O czym wy tak rozprawiacie po polsku? – zainteresował się Johann.

Igor spojrzał na czwórkę Anglików, która w milczeniu śledziła kłótnię rodzinną, i przełożył główny temat rozmowy na angielski.

– Nie wiem, dlaczego robisz z tego taką tajemnicę – zdziwił się Johann, uśmiechając się porozumiewawczo do Karen. – Zresztą Paulina także.

– Bo w Polsce skarbów szukają tylko mitomani i wariaci. A ja mam firmę

na głowie. Kto potem przyjdzie po projekt do poszukiwacza skarbów? Wy tutaj możecie sobie pozwolić na takie kaprysy.

– Co za bzdury. – Johann się roześmiał. – To tylko zapewniłoby ci reklamę.

Igor zamierzał coś odpowiedzieć, gdy z zamku nagle wybiegła Jeannette.

– Halo! Przepraszam, zupełnie zapomniałam – zawołała, podchodząc do Johanna. – Pewnie to nie jest nic ważnego, ale pod koniec maja albo na początku czerwca byli tutaj u nas jacyś ludzie, którzy podawali się za krewnych hrabiny Radeckiej-Mikulicz.

Ani Igor, ani Karen, którzy nie znali francuskiego, nie zareagowali, zwłaszcza że Francuzka mówiła do Johanna ściszym głosem, a i nazwisko wymieniła tak niewyraźnie, że tylko dobra orientacja Johanna pozwoliła mu się domyślić, o co chodzi.

Natomiast cała pozostała trójka spojrzała na menadżerkę z zaskoczeniem.

– Pytali dokładnie o to samo co państwo. Oczywiście nie legitymowałam ich. – Francuzka się uśmiechnęła. – Pokazałam im to samo, co państwo oglądali przed chwilą.

– Podawali się za krewnych? – spytał Dermot podejrzliwie. – Pamięta pani, jak wyglądali?

– Dwaj dość młodzi mężczyźni. Mogli być w państwa wieku. Jeden mówił po angielsku z wyraźnym wschodnim akcentem. To akurat, przyznaję, w tym kontekście uczyniło go bardzo wiarygodnym – dodała dziewczyna wyjaśniająco, widząc zdziwione spojrzenie Dermota.

– Przepraszam, muszę wracać. – Jeannette się odwróciła. – Mam nadzieję, że jakoś państwu pomogłam.

– Co się dzieje? – zapytał Igor, gdy Francuzka zniknęła z powrotem w zamku.

– Co takiego? Krewni? – zdziwił się, gdy Johann przetłumaczył mu, o czym rozmawiał z Jeannette.

– Czy to naprawdę mogła być jakaś wasza rodzina? – spytała Gwen, patrząc na zdezorientowanego Igora i zdziwioną Karen.

– No jak? – zachnął się Johann. – Przecież o trzecim kufrze nikt jeszcze

wówczas nie wiedział.

– Cardwell wiedział – warknął Dermot.

– To pewnie po prostu jakieś nieporozumienie. – Zafrasowany Igor podrapał się w głowę. – Kto mógłby interesować się ciocinym kufrem? – zastanawiał się, patrząc na Karen.

– Na mnie nie patrz. Ja o wszystkim dowiedziałam się dopiero od babci.

– Musimy porozmawiać o tym poszukiwaniu skarbów. – Igor spojrział na nią surowo. – Matka nie powinna takich rzeczy rozpowiadać.

– Tak naprawdę to powiedziała Dorota.

– Dorota? – Igor ciężko westchnął. Wiedział, że matka w dalszym ciągu utrzymuje kontakt z jego byłą żoną, ale przenikliwość Doroty mogła naprawdę przerazić.

– Do ciebie chyba nie dotarło, że ktoś cały czas depcze nam po piętach! – Johann patrzył na niego z wyrzutem. – Włamanie na Riverside i wizyta tutaj to na pewno jedna i ta sama szajka.

– Nie wiadomo. Dlaczego zaraz szajka?

– Nie zastanawia cię, po co ktoś szuka kufra twojej ciotki?

– No właśnie zastanawia, ale to jest tak absurdalne, że musi być jakieś inne wytłumaczenie.

– Ze stania tutaj i rozmyślenia na ten temat nic nam nie przyjdzie – odezwała się nagle Gwen. – Skoro wszystko poszło tutaj szybciej, niż zakładaliśmy, możemy, wracając, zajechać do Paryża i coś obejrzeć. Do dwudziestej mamy sporo czasu.

– Kościół Inwalidów – przytaknął Igor. – Jakoś zawsze zostawał na koniec i przez to nigdy go nie widziałem.

– Może być. – Gwen była za. – Ja też w nim nie byłam.

Dwie godziny później zjechali z obwodnicy Paryża i przez XVI dzielnicę, a następnie mostem nad Sekwaną dojechali do placu Vauban, gdzie cudem udało im się zaparkować nieomal przed samą fasadą kościoła Inwalidów.

Od tej strony widoczna na tle ogrodów świątynia wydawała się niepozorna, ale ten zbudowany na planie krzyża greckiego kościół był

jedynie zwieńczeniem, prawdziwą koroną gigantycznego kompleksu, który rozpościerał się tuż za nim na powierzchni blisko dwunastu hektarów. Cały kompleks kazał zbudować Ludwik XIV, nazywany Królem Słońce. Nazywany tak oczywiście nie przez swoich poddanych, których był oprawcą, a właściwie wyłącznie przez siebie. Powielany na monetach wizerunek króla na tle słońca pozostał jednak już na stałe w historii Europy. Kompleks z założenia był połączeniem klasztoru z przytułkiem, a służyć miał inwalidom wojennym produkowanym przez króla w postępie iście arytmetycznym. Wracali do stolicy Francji z pól bitewnych niezliczonych wojen prowadzonych przez monarchę. Sam kościół początkowo miał być kaplicą, a w przyszłości także grobowcem Ludwika XIV, tak się jednak nie stało. W 1840 przekształcono go w mauzoleum Napoleona, drążąc w jego podłożu otwartą kryptę okoloną alegorycznymi posągami symbolizującymi zwycięstwa wodza. W posadzce kaplicy umieszczono wyryte nazwy wielkich wygranych bitew, a wrota prowadzące do krypty wykonano z przetopionych armat, zdobytych pod Austerlitz.

– Piękna – powiedziała cicho Gwen.

Stali w środku kościoła pod ogromną kopułą, z której przez dwanaście okien do wnętrza świątyni wpadało światło.

Igor, podążając za wzrokiem Gwen, zadarł głowę. Kopuła wznosiła się dokładnie nad grobem Napoleona, a w jej zwieńczeniu, na wysokości ponad stu metrów, mienił się błękitem fresk przedstawiający czterech ewangelistów oraz świętego Ludwika wręczającego Chrystusowi miecz, za którego pomocą miał pokonać niewiernych.

– Wiedziałeś, że szczątki Napoleona spoczywają w sześciu trumnach? Włożonych jedna w drugą? – szepnęła Karen do Igora, który stał przy balustradzie i wpatrywał się w umieszczony na środku krypty sarkofag z czerwonego kamienia. – Z kości słoniowej i białego metalu, z mahoni, w dwóch ołowianych, z hebanu i z dębu. Podsłuchałam właśnie, jak mówiła o tym przewodniczka jakiejś wycieczki.

– Pamiętam coś tam ze studiów.

– Uczyli was o wojnach napoleońskich?

– O historii architektury, młotku.

– A o tym, że kopuła pokryta jest dwunastoma kilogramami złota,

wiedziałaś? – Gwen stanęła za nimi, spoglądając ku błękitnemu sklepieniu kościoła.

– To jakiś egzamin? – zapytał Igor i spojrzał z rozbawieniem najpierw na Gwen, potem na Karen. – Wiem nawet, że promień kopuły stanowił podstawę do wyliczenia wszystkich pozostałych wielkości i proporcji budynku. Boska geometria. Prawie Dan Brown.

– Super! – z udawaną fascynacją potwierdził Jamie. – Teraz jak to wszystko wiem, to chyba dzisiaj nie zasnę.

– Tak to jest mówić do księgowego o sztuce. – Dermot szturchnął Jamiego. – Perły przed wieprze.

– À propos! – odezwał się nagle zaintrygowany Johann. – A jeśli ta wasza rodzinna tajemnica to skarb Napoleona?

– Gdzie Rzym, gdzie Krym? – zdziwił się Dermot.

– Niby dlaczego? – Johann spojrzał na niego urażony. – A co tu niby nie pasuje?

– Mapa – prychnął Dermot. – Napoleon wracał z Moskwy tak zwanym traktem smoleńskim, przez Orszę, Mołodeczno, Wilno. Do Braśławia, gdzie leżały ziemie rodziny Igora, to jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów na północ.

Igor spojrzał na Dermota z autentycznym podziwem.

– A ty skąd wiesz takie rzeczy?

– Wojny napoleońskie to był kiedyś mój konik. – Dermot wzruszył ramionami. – Mnóstwo na ten temat czytałem.

– No ale nie mogli się jakoś zapędzić na północ? – Johann nie rezygnował.

– Nie mogli. – Dermot spojrzał na niego z lekceważącym uśmiechem. – Zima, minus dwadzieścia, żołnierze Napoleona ledwo szli i umierali z głodu. Z półmilionowej armii ocalało jakieś czterdzieści tysięcy ludzi. Kto niby mógłby się zapędzić na północ?

– Jeśli to miałyby być skarby Napoleona, to od razu wiadomo, że to brednie – stwierdził Igor, wpatrując się w grobowiec wodza. – Praktycznie w każdej wsi, od Wilna po Wrocław, pokutują takie legendy. Do tego dochodzi pierdyliard jezior i stawów, w których podobno utonęły wozy ze złotem. Nie mogę wprost uwierzyć, że my dalej rozprawiamy o tym rodzinnym skarbie.

Rozmowę przerwały wibracje telefonu w kieszeni Igora.

Igor wyciągając go, pomyślał, że na szczęście, wchodząc do kościoła, wyciszył dzwonek. Ryk syreny pewnie wywołałby tutaj panikę.

– Mamo? – odezwał się, chcąc zacząć rozmowę od poszukiwania skarbów, ale pani Anna nie dała mu dojść do słowa.

– Igor! To nie ten zamek!

– Co takiego?!

– To nie ten zamek! W ogóle nie pomyślałam, że skoro kufer należał do cioci Jadwini, to przecież nie mógł być w Montresor! Teoretycznie mogła korespondować z bratem Elżbiety, możliwe, że się znali, ale...

– Mamo! – przerwał jej Igor. – Jestem teraz w kościele, nie mogę rozmawiać. O czym ty mówisz?

– W kościele jesteś?! A co ty robisz w kościele, na miłość boską?

– Zwiedzam! Nie obawiaj się. Powiesz wreszcie, o co ci chodzi?

– No toż właśnie usiłuję ci powiedzieć, tylko ciągle mi przerywasz! Ciocia Jadwinia przez pół życia korespondowała przecież z tym swoim niedoszłym kochankiem. Dopiero potem sobie o tym przypomniałam. Znalazłam tutaj te listy...

– Jak mogłaś znaleźć? – jęknął Igor, któremu przemknęło przez głowę, że kwadratura koła genealogii jego rodziny jest nie do pojęcia. – Przecież rzekomo były w tym kufrze?

– Nie wszystkie. Kufer zaginął zaraz po wojnie, a ona z tym swoim kochankiem korespondowała jeszcze potem. Po jej śmierci zachowało się trochę rzeczy. No i słuchaj...

Igor zmierzwił palcami włosy.

Rozmawiał jeszcze przez dłuższą chwilę z matką, po czym odwrócił się i napotkał pięć wpatrzonych w siebie zaintrygowanych par oczu.

– Okazuje się, że byliśmy nie w tym zamku – wydukał z trudem.

– Co takiego?! – Jamie spojrzął na Igora, jakby obawiał się o stan jego umysłu. – Jak można pomylić zamki?

– Przecież tam był jakiś wasz krewny! – Johann machnął ręką w kierunku, w którym sądził, że znajduje się kaplica cmentarna Montresor. – Na własne

oczy oglądaliśmy nagrobek brata twojej ciotki.

– Tak, ale to nie ten zamek. To nie o ciotkę Elżbietę chodzi, tylko o ciotkę Jadwinę. A ciocia Jadwinia korespondowała prawie do śmierci z jakimś Francuzem.

– Boże – westchnął ciężko Johann.

– No tak! – Karen pokiwała głową. – Przecież babcia mi opowiadała. Ciocia Jadwinia korespondowała z tym, którego poznała na Sorbonie, a on ją potem rzucił. Więc jednak nie zginął na wojnie...

– Karen! – Igor spojrzął na siostrzenicę ze zgrozą. – Jakiej wojnie? Albo nie! Nic nie mów, nie teraz! – uciszył ją, widząc, że szykuje się do wyjaśnień.

– Ten właściwy zamek stoi gdzieś pod La Rochelle. Château Lagreniault albo Lagrenielle... Jakoś tak. Matka twierdzi, że na kopercie było niewyraźnie napisane. A kochanek ciotki nazywał się Philippe de Aimemente.

– Ożeż! – jęknął Dermot. – Toż przecież to jest dokładnie w tym samym kierunku co Montresor. Tylko dwa razy dalej.

Rozdział 14

*SZCZECIN
Kilka godzin wcześniej*

Biała skoda octavia powoli ruszyła i od niechcienia potoczyła się w kierunku szybko oddalającej się czerwonej toyoty yaris.

Siedząca obok Edwarda Anna oderwała wzrok od gazety i spojrzała na męża.

– O co ci w końcu chodzi? – zapytała z irytacją.

– O nic mi nie chodzi – parsknął Edward. – Tak sobie wzdycham. Już powzdychać sobie nie mogę?

– Przecież mówiłam ci dziesięć razy. Mamy klucze, poza tym to nasi kuzynostwo. To nie moja wina, że się do nich nie mogłam dodzwonić. A ponadto co się złego stanie, jak tam wejdziemy? Dwadzieścia lat tam mieszkaliśmy przecież.

– A ja nie dlatego wzdycham. – Edward pokręcił głową. – Z tym, że jedziemy, żeby się włamać do cudzego domu, już się pogodziłem. Skoro zakosztowałaś w gangsterce w tej Warszawie, to trudno. Problemem może być tylko to, że Igora nie ma w mieście, więc nikt nas z więzienia nie wykupi. Ten prawnik z Warszawy też pewnie prędko nie przyjedzie.

– Och, jakie ty głupoty opowiadasz! – Anna zaszeleściła gazetą, energicznie przekładając stronę. – Mamy przecież klucze, jeszcze raz ci przypominam.

– Mamy, bo nie oddaliśmy. Były trzy komplety, a my oddaliśmy tylko dwa.

– Ale pamiętasz, jak uzgodniliśmy, że to wszystko na strychu zostawiamy, ale jak tylko będą robić remont, to zabierzemy?

– Dwadzieścia lat temu!

– A co to zmienia? Osiemnaście dokładnie.

Od pół godziny tkwili w korku na wjeździe do miasta na wysokości Kijewa. Wypadek gdzieś za skrzyżowaniem z Niedźwiedzią zatrzymał w miejscu ławicę samochodów podążających do centrum Szczecina. W tym białą skodę Edwarda.

Gdy chwilę potem Edward znowu westchnął, Anna odłożyła gazetę.

– Na miłość boską! – Spojrzała na niego zniecierpliwiona.

– No wzdycham, bo to już nie to samo... – Edward westchnął ponownie.

– Co nie to samo? Po sześćdziesiątce trudno, żeby wszystko było jak dawniej.

– Co ty gadasz, kobieto! – Edward rzucił Annie rozbawione spojrzenie. – Ja mówię o samochodzie.

– Jakim samochodzie?!

– No że ta skoda to już nie to samo, co nasz stary mercedes. Niby nowa, ma te wszystkie czujniki, ale mój stary merc to była zupełnie inna klasa. Po co mi ten czujnik deszczu na przykład? Co ja wycieraczek sam nie potrafię włączyć?

– O Chryste! – Anna pokręciła głową z niedowierzaniem i sięgnęła ponownie po gazetę.

Czterdzieści minut później udało im się uwolnić z drogowego zatoru pod Kijewem i przedzierali się właśnie przez centrum miasta w kierunku dzielnicy Pogodno.

Skoda minęła most Akademicki i vis-à-vis Wydziału Ekonomii Uniwersytetu Szczecińskiego skręciła w ulicę Ludwika Waryńskiego. Po obu stronach wyrosły stylowe, ukryte w zieleni szeregowce z początku XX wieku.

– Ależ tu się doskonale mieszkało – westchnęła Anna, rozglądając się dookoła z nostalgią. – Że też nam się zachciało stąd wyprowadzać.

– Już nie pamiętasz, jak narzekałaś na wilgoć i grzyb, którego w żaden sposób nie mogliśmy się pozbyć? Tyle razy malowaliśmy, a on ciągle wyłaził.

– Potem Igor stwierdził, że to przez remont właśnie. – Anna uśmiechnęła

się do swoich wspomnień. – Dopóki okna były nieszczelne, grzyb siedział cicho, ale jak wymieniliśmy stolarkę i ociepliliśmy dach, to wyłaził i wyłaził. Pomyśleć, że wtedy uznałam to za cud, że syn twojego kuzyna zdecydował się odkupić ten dom.

Anna westchnęła.

– Jak ja sobie wzdycham, to źle, ale sama to możesz?

– Ja przynajmniej wzdycham z racjonalnego powodu, a nie o jakieś bzdury z czujnikiem deszczu.

Samochód minął niewielki placyk, przejechał jeszcze kilkadziesiąt metrów pod kopułami starych drzew i zatrzymał się przy ogrodzeniu przedwojennej willi z wysokim dachem, schowanej za gąszczem rozrośniętych krzewów.

– Może powinienem jednak zaparkować trochę dalej? – Edward rozejrzał się dookoła.

Uliczka była pusta i uśpiona gorącym czerwcowym słońcem.

– Wtedy to dopiero ktoś pomyśli, że się wkradamy. – Anna otworzyła energicznie drzwi, wysiadła i zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu kluczy do furtki.

– Miejmy nadzieję, że nie wymienili zamków – odezwał się Edward. – Bo cała ta ekspedycja będzie psu na budę.

– Nie kracz! – Anna wyjęła wielki kłęb kluczy i pobrzękując nimi, wsunęła jeden w zamek furtki. Nacisnęła klamkę i skrzydło otworzyło się na oścież. – Widzisz? – powiedziała z triumfem i spojrzała na męża.

– Nie mów hop. – Edward wszedł za Anną na schodki prowadzące pod daszek nad gankiem i po chwili stali już przed drzwiami wejściowymi.

– Boże, ile ja się nachodziłam po tych schodach. – Anna przekładała klucze, szukając tego właściwego. – Z malutkim Igorem i wiecznie droczącą się z nim Nataszą.

– Pomijając te sentymenty – Edward pochylił się nad Anną – trochę jednak nieładnie, że wchodzimy bez pytania.

– Dom stoi pusty od pięciu lat. – Anna znalazła w końcu klucz. – Nawet alarmu nie założyli. Siedzą w tej Australii i dodzwonić się do nich nie można.

Nagle od strony furtki dobiegł metaliczny łoskot, a zaraz potem rozległ się

donośny głos.

– A co ona tutaj robi?!

Anna oderwała się od opornego zamka i odwróciła, łowiąc po drodze spłoszone spojrzenie męża.

Przy ogrodzeniu stała korpulentna kobieta z zawiązanym na podołku fartuchem i patrząc podejrzliwym wzrokiem na Annę i Edwarda, potrząsnęła ponownie furtką.

– Co tu robi, pytam?!

– Jaka ona? – Anna rozejrzała się niepewnie dookoła. Oprócz Edwarda na terenie posesji nikogo więcej nie było.

– A ona, ona! – Kobieta wskazała ręką Annę. – Stoi i gmera przy zamku! Co tu robi?!

Anna przez chwilę wpatrywała się w świdrującą ją spojrzeniem sąsiadkę.

Przemknęło jej przez myśl, niby dlaczego ta kobieta ma pretensję tylko do niej, a nie do Edwarda, przecież stoją tutaj razem.

Spojrzała na męża z wyrzutem. Odpowiedział jeszcze bardziej spłoszonym wzrokiem.

– A dlaczego pyta? – zwróciła się w końcu do kobiety.

– Kto pyta? – Niewiasta zmarszczyła brwi.

– No ona. – Anna skinęła głową w jej kierunku.

– Niech ona taka mądra nie będzie! Milicję zaraz zawołam! Co tu robi?! Jeszcze raz pytam!

– Łaskawa pani, ja tu mieszkałam. Całe dwadzieścia lat...

Kobieta zlustrowała Annę od stóp do głów.

– Jakoś jej nie pamiętam.

– No ja pani też nie pamiętam.

– Ale ja się nigdzie nie zakradam, a ona tak!

– Na miłość boską! – Edward wznosił oczy do nieba i spojrzał zrezygnowany na żonę. – Idź, kobieto, załatw to, co masz do załatwienia, a ja pogadam z panią. – Nie czekając na reakcję żony, ruszył w kierunku furtki.

Niezdecydowana Anna przez chwilę patrzyła w stronę Edwarda, po czym

przekręciła w końcu klucz i weszła do domu.

Przywitał ją zapach dawno niewietrzonego wnętrza i kurzu, który zdołał się już zgromadzić na wszystkich powierzchniach. Anna obrzuciła zniesmaczonym spojrzeniem hol i salon, z którego widać było rozrośnięte w ogrodzie krzewy sumaka. Meble nakryte były narzutami, a dywany zrolowane i ułożone pod ścianą.

Weszła po drewnianych schodach na piętro i stanęła przed drzwiczkami prowadzącymi na strych. Kuzyn Edwarda nie zdążył nawet zacząć przebudowy, na którą tak się szykował. Dostał intratny kontrakt w Australii. Najpierw to miały być tylko trzy miesiące, ale potem ściągnął do siebie żonę i córkę i nie zanosilo się, żeby mieli szybko wrócić.

Otworzyła drzwi i po skrzypiących schodach zaczęła wspinać się na strych. Zapalone światło wydobyło z mroku dziesiątki skrzyń i pudeł, które stały w stertach pod ścianami. I kilka starych mebli, których nie chcieli zabierać do Dalewa. Lata sześćdziesiąte. Coś jej się kojarzyło, że chyba nabrały teraz wartości.

Dokładnie to pamiętała.

Gdy kilka lat po milenium umarł jej ojciec i wraz z dalszą rodziną porządkowali jego rzeczy, natknęła się na stare manele po cioci Jadwini. To, że były po cioci Jadwini, pamiętała z jeszcze dawniejszych czasów, gdy matka trzymała wszystko w Warszawie. Były tam jakieś stare dokumenty, pożółkłe papiery, listy z obco i tajemniczo brzmiącymi adresami.

Rozejrzała się po strychu. Do ich starych maneli doszła teraz sterta zabawek i jakieś pudła kuzynów z niemodną elektroniką. Wznosiły się na szczęście na osobnej piramidzie.

Anna westchnęła i podeszła do kilku mniejszych i większych skrzyń pod ścianą. W szczycie domu było malutkie okrągłe okienko, które wpuszczało akurat tutaj strumień światła. Poruszały się w nim drobinki kurzu.

I od razu go dostrzegła. Prawdziwy cud.

– I kolejny kufer – szepnęła z przekąsem.

Nieduży, drewniany, zamykany na kluczyk, który pamiętała, że zaginął jeszcze w Warszawie. Dźwignęła kuferek i postawiła go na podłodze.

W środku upchnięte ciasno jeden obok drugiego były różne stare

dokumenty.

Sięgnęła po spory plik listów, owiniętych papierem i ściągniętych gumką. Ostrożnie rozpakowała i rozłożyła pierwszy z brzegu. Gruby papier był prawie całkiem żółty i kruszył się na brzegach. Kilka innych nosiło ślady ognia. Ze zdumieniem zauważyła, że list był po francusku. No oczywiście, ciocia Jadwinia znała przecież świetnie ten język, do końca życia była zakochana we francuszczyźnie. Ale coś tutaj było nie tak...

Na samym dole pisma były tylko inicjały, za to zmyślnie powykręcane. KM. No i data. Dopiero teraz to spostrzegła. Tysiąc osiemset dwanaście!

Boże! Jakież to było stare! Dlaczego nigdy tego wszystkiego dokładniej nie przejrżeli. Chyba ona i Edward upadli na głowę! To historia w najczystszej postaci. Ciekawe, ileż takich rzeczy jeszcze leży po różnych strychach, a ile nieświadomi niczego lub głupi ludzie spalili w piecach?

Bardzo ostrożnie złożyła list i wetknęła cały plik do kuferka. Były tam jeszcze rozmaite oficjalne pisma, jakieś plany i rysunki. Anna przejrzała je bez zainteresowania i sięgnęła po kolejny zwitek listów. Na pierwszej kopercie była znowu francuska pieczętka i adres. Nieczytelny niestety.

Wyjęła list. Także po francusku. Ale tym razem przewijało się tutaj co jakiś czas imię Jadwiga, a na końcu wykaligrafowane pięknymi zawijasami widniało *Le tien Philippe*.

Przez moment wpatrywała się w przestrzeń, a zaraz potem sięgnęła po telefon.

Rozdział 15

Lasy pod La Rochelle

Volkswagen minął Poitiers i jechał w kierunku La Rochelle autostradą A10, inaczej nazywaną L'Aquitaine, jednym z odcinków drogi łączącej Belgię z Hiszpanią, dla której Belgowie wymyślili wybitnie romantyczną nazwę – *Route des Estuaria*[12].

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – Dermot spojrział podejrzliwie na Jamiego.

– A co to? Księgowi nie mogą już nic wiedzieć?

– Wcześniej też się wymądrzałeś, którą drogą trzeba jechać przez Paryż...

– Przecież siostra Bridget mieszka w Nantes, głąbie! Dwa razy do roku tam jeździmy i mówiłem wam o tym ze sto razy. – Jamie odwrócił się i spojrział z urazą na Johanna i Gwen.

– Ja o tym pamiętam. – Gwen wzruszyła ramionami.

– Ja także. – Johann spojrział z niewinną miną na Jamiego.

– Kłamiesz!

– Kto to jest Bridget? – spytała Karen, zwracając się do Igora.

– Żona Jamiego – mruknął Igor, pochylony nad mapą Google w tablecie. – Będziemy chyba skręcać za kilka kilometrów! – krzyknął do Dermota.

Mikrobus minął stojącą obok drogi tablicę informacyjną, a kilkaset metrów dalej zjechał w prawo i potoczył się zjazdem na La Rochelle.

– I co teraz? – Dermot zwolnił, gdy minęli małe miasteczko La Gorre.

– Według Google miejscowość La Greniault jest bliżej Rochefort, a nie La Rochelle. – Gwen podniosła wzrok znad mapy i wyjrzała przez okno.

Mikrobus toczył się akurat przez las, który porastał drogę z obu stron.

– A La Grenielle w ogóle nie ma.

– No i gdzie ja mam jechać? – zniecierpliwiał się Dermot. – Jak to możliwe, że w Paryżu znaleźliście to na tej samej mapie, a teraz nie ma?

– Jakoś inaczej ta nazwa brzmiała... – Igor przesunął palcem po tablecie.

– Zapytajmy kogoś – zaproponowała Gwen. – Zatrzymaj się przy jakiejś knajpie albo sklepie.

– Tu będzie zjazd do kolejnego miasteczka. – Igor podniósł głowę. – Le Mignon – przeliterował.

Dermot przewrócił oczami i wrzucił kierunkowskaz.

Ogórek zjechał w boczną drogę i potoczył się w kierunku majaczącej za lasem zabudowy.

Kilka kilometrów dalej wyrosła przy drodze stacja benzynowa. Dermot zjechał na parking i się zatrzymał.

– Zostajecie tutaj! – warknął, widząc poruszenie wewnątrz mikrobusu. – Jak pójdziemy wszyscy, to Jamie zaraz się zrobi głodny i będziemy czekać godzinę, aż przygotują mu hot dogi albo inne gówno. A Igor polezie oglądać jakąś stodołę i nie będzie go kolejną godzinę.

– Zrobiłem tak kiedyś? – Igor wyjrzał za Dermotem przez okienko. – Zrobiłem?

– Agrenieux! – rzucił Dermot, wsiadając po kilku minutach do samochodu. – Château Agrenieux. Za lasem trzeba skręcić w lewo na Le Gué-d'Alleré, cokolwiek to znaczy.

– Jest piąta. – Gwen spojrzała na zegarek. – Na pewno zarezerwowałeś dla nas ten hotel? – zagadnęła Johanna.

– Zarezerwowałem i przebukowałem bilety na samolot. – Johann westchnął. – Już pytałaś.

– Początek sezonu, Paryż.

– Na pewno nie będziemy nocować na lotnisku ani pod mostem.

– W tym gronie w zasadzie aż tak bardzo bym się nie zdziwiła.

Igor uśmiechnął się porozumiewawczo do Karen, która dyskretnie obserwowała jego przyjaciół. Widziała ich wszystkich po raz pierwszy, ale już rozumiała, czemu Igor tak się z nimi dobrze dogaduje. Lecąc do Paryża,

spodziewała się, że Anglicy będą bardziej nieprzystępni, zwłaszcza po opowieściach babci na temat tego, że ojciec Johanna, lord Charles Carley, jest gdzieś tam w kolejce do tronu. Tymczasem Anglicy okazali się bardziej swobodni niż niektórzy jej znajomi z uczelni.

A Lasse nie odzywał się już od kilku dni.

– Zobacz – przerwał jej rozmyślenia Igor, wskazując schowany pomiędzy wielkimi drzewami stary budynek jakiegoś dworu albo gospodarstwa.

Im bliżej byli południa Francji, tym bardziej zmieniał się krajobraz i architektura. Wieże zamków i dworów w dolinie Loary ustąpiły miejsca rozłożystej i niższej zabudowie, a przy drogach coraz częściej rozścielały się winnice. Farma, którą zostawili za sobą, była długim budynkiem z mansardowym dachem, pokrytym niebieskawym łupkiem, z całym szpalerem wysokich drzwi tarasowych i portfenetrów zamykanych drewnianymi okiennicami w kolorze lawendy.

Igor uprzytomnił sobie, że wjechali właśnie na teren Akwitanii, jednej ze starożytnych krain Galii, rzymskiej prowincji Cezara, ojczyzny druidów i Asterixa.

Wąska dwupasmówka wpadła pomiędzy las, a kilka kilometrów dalej nagle przy drodze pojawiły się niskie kamienne ogrodzenia i pierwsze domy. Mikrobis minął mostek na jakiejś rzeczce i zaczął się wspinać na wzniesienie, na którego szczycie widać było kościelną wieżę.

– Agrenieux – przeczytała Gwen na białej tablicy przy drodze.

– Jakimś cudem trafiliśmy. Gdzie ten zamek? – Dermot rozglądał się wokół.

Volkswagen wjechał pomiędzy domy niewielkiego miasteczka. Były schowane za niskimi murami i ogrodzeniami z siatki, pokryte wymyśloną jeszcze przez starożytnych Greków dachówką, zwaną mnich i mniszka.

– Może zapytamy kogoś? – zaproponowała Gwen.

– Zaraz się skończy wieś, a zamku nie ma – dodał Jamie.

Minęli ostatnie domy i znaleźli się na szosie między drzewami.

– Zatrzymaj! – krzyknęła nagle Gwen.

Przerażony Dermot zahamował, a widząc, że nikogo nie przejechał i nie

stało się nic równie strasznego, spojrzął ze złością w lusterko.

– Tablica! – Gwen pokazała palcem baner reklamowy ukryty pomiędzy rozrośniętymi krzewami.

Nieco dalej od głównej drogi odbijała aleja, przy której rosły wielkie stare graby, dawniej pewnie równo przycinane. W jej perspektywie majaczyła brama wjazdowa.

– Zwiedzanie w sezonie do dwudziestej – z trudem odczytała na tablicy Gwen. – To mamy szczęście.

– Nie mów hop – mruknął Igor.

Gdy samochód toczył się żwirowym podjazdem, Karen miała wrażenie, jakby ocierała się o ślady dawno minionego życia swojej ciotecznej pralieśtam-babki. Więc to tutaj mieszkał facet, w którym zakochała się tak nieszczęśliwie, że wspominała go potem przez całe życie. Sto lat temu. Dzieliło ich pół kontynentu, a łączyły jedynie listy.

Tylko dzięki tej korespondencji udało się tutaj trafić.

Château Agrenieux przypominało raczej pałac albo wielki rozłożysty dwór, opleciony dzikim winem i kwitnącą właśnie pnącą herbacianą różą, której widok na tle ścian z piaskowca zapierał dech w piersiach. Z obu stron elewacji frontowej wznosiły się wieże nakryte mansardowymi hełmami. Na wysypanym żwirem dziedzińcu rósł ogromny rosochaty platan, w głębi zaś widać było stajnie i budynki gospodarcze.

Dermot zaparkował tuż obok zielonego vana.

– Mamy jakiś plan? – zapytał.

Johann wzruszył ramionami.

– A po co ci plan? Idziemy, mówimy, że chcielibyśmy porozmawiać z właścicielami, i koniec.

– Jasne – mruknął z tyłu Igor. – Genialne.

– A jaki wy widzicie w tym problem? Nawet lepiej, że się nie zapowiedzieliśmy, weźmiemy ich z zaskoczenia. Poza tym to pewnie mili i sympatyczni ludzie, tak samo jak w Montresor. Idziemy!

– Nie ma miłych i sympatycznych Francuzów! – Dermot, wysiadając, trzasnął ze złością drzwiami.

Johann wy dostał się z samochodu, poczekał, aż reszta do niego dołączy, i ruszył przodem w kierunku drzwi frontowych.

– Przecież my nawet nie wiemy, czy posiadłość nadal należy do tej rodziny – powiedział z powątpiewaniem Igor i rozejrzał się po wielkim holu, gdy weszli już do wnętrza zamku.

– Zaraz się dowiemy – zapewnił Johann i szturchnął go, wskazując idącą w jego kierunku kobietę w granatowej garsonce.

– Dzień dobry, czym mogę państwu służyć?

Mimo że Igor nie rozumiał po francusku ani w ząb, i tak wyczuł w głosie kobiety lekką irytację.

– Wejście dla gości jest w bocznym skrzydle. Jest dobrze oznakowane. – Kobieta uśmiechnęła się chłodno, robiąc taki ruch ręką, jakby chciała wskazać im drzwi wyjściowe.

– Bardzo przepraszam za to najście – zaczął Johann, uśmiechając się do Francuzki. – Chcielibyśmy porozmawiać...

– Oczywiście. – Kobieta przerwała Johannowi i zrobiła krok w stronę drzwi na dziedziniec. – Zapraszam państwa do wejścia dla gości. Tam jest biuro. Jeśli są państwo zainteresowani wynajęciem château na wesele lub bankiet.

– Niezupełnie, my...

– Przepraszam, ale to jest prywatna część château...

– To my przepraszamy, że się nie zapowiedzieliśmy – odezwał się nagle czystym francuskim Dermot. – Mecenas Dermot Carmondeley z kancelarii Carmondeley & Chatfield. Chcielibyśmy porozmawiać z właścicielami.

Kobieta na moment straciła rezon, a po jej twarzy przemknął cień niepokoju.

– A mogę wiedzieć, w jakiej sprawie?

– Jeżeli jest pani upoważniona do reprezentowania właścicieli, to oczywiście pani wyjaśnię.

Dermot uniósł lekko jedną brew.

Przez chwilę panowała cisza, w końcu kobieta kiwnęła głową i wskazała im stojące w holu fotele.

– Proszę tutaj poczekać. Sprawdzę, co da się zrobić.

Johann odprowadził kobietę wzrokiem i pochylił się ku Dermotowi.

– Pięknie. Zrobiłeś z nas śmiertelnych wrogów. Angole, w dodatku z prawnikiem. Jeśli nas nie zastrzelą od razu, to pewnie wywalą za drzwi, jak tylko wyłuszczymy, z czym przyjechaliśmy.

– A przypominam, że przyjechaliśmy po kufer na bieliznę z robótkami ręcznymi – mruknął Igor. – Jak się dowiedzą, to pewnie pękną ze śmiechu, a dopiero potem wywalą nas za drzwi.

Na schodach prowadzących na piętro ponownie ukazała się kobieta w granatowym kostiumie.

– Proszę za mną. Pan de Aimemente państwa przyjmie.

Louis Antoine de Aimemente, wcześniej posiwiwały brunet w okolicach sześćdziesiątki, bardzo dokładnie przeczytał pełnomocnictwo, które warszawska kancelaria reprezentująca londyńskie Archiwum Narodowe oraz matkę Igora wystawiła dla Dermota. Popatrzył po raz ostatni na dokument i położył go przed sobą na biurku.

– Mon Dieu... Stara sprawa – powiedział, kiwając ostrożnie głową. – Mój pradziad miał rzeczywiście, jeśli można to tak nazwać... romans z pewną Polką. Wyglup młodego człowieka, którego na szczęście rodzice przywołali do porządku. Taki mezalians byłby nie do przyjęcia w naszej sferze. – Spojrzał na Dermota i Johanna znacząco. – W tamtych czasach zwłaszcza. Z całym szacunkiem dla owej Polki. Jak ona miała na imię... Marie... Babette...

– Jadwiga – podpowiedział Johann.

– Hedwige... A tak. Mój pradziad do świętych nie należał, a tych dziewcząt trochę było... – Mężczyzna uśmiechnął się rubasznie. – Ale wracając do rzeczy... – Postukał palcami w pełnomocnictwo na biurku. – Mam nadzieję, że nie przyjechali panowie tutaj przekonywać mnie, że spadkobiercom tej Poleczki coś się od nas należy...

Mężczyzna parsknął śmiechem, wpatrując się z rozbawieniem w Dermota i Johanna.

Rozmowa toczyła się w języku francuskim, więc siedzący z boku Igor nie

miał pojęcia, co się dzieje. Reszta towarzystwa zdecydowała się zostać na dole, czyniąc Dermota odpowiedzialnym za negocjacje.

Dermot obrzucił Francuza chłodnym spojrzeniem.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym Biuro Akt Publicznych przesłało do państwa pewne archiwalia Ministerstwa Spraw Zagranicznych...

Igor, który nadal niczego nie rozumiał, dałby sobie jednak głowę uciąć, że Francuz na krótki moment zbladł. Przez jego twarz przemknął jakiś cień, który szybko ustąpił jednak protekcjonalnemu uśmieszkiowi.

– A co to było konkretnie? – zapytał. – Bo wie pan, określenie archiwalia jest dość nieprecyzyjne.

– Konkretnie to był stary zabytkowy kufer.

– Kufer? – Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

Przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń nad głowami Dermota i Johanna, po czym pokręcił głową.

– Niestety nie mogę panom pomóc. Nie pamiętam żadnego kufra.

Od strony korytarza rozległo się nagle głośne stukanie, jakby ktoś uderzył młotkiem lub innym narzędziem w podłogę.

Johann, Dermot i Igor spojrzeli w kierunku drzwi, a potem na gospodarza.

Stukot rozległ się ponownie, a zaraz po nim czyjś podniesiony głos.

– Proszę nie zwracać na to uwagi! – powiedział mężczyzna lekceważąco i machnął ręką. – Jak już wspomniałem, nie wiem nic o żadnym kufrze. Czy macie panowie do mnie jeszcze jakąś sprawę?

– Ten kufer stanowił własność Jadwigi Radeckiej-Mikulicz, którą jest pan łaskaw kojarzyć. – Dermot obrzucił Francuza chłodnym spojrzeniem. – Przez pomyłkę TNA wysłało kufer tutaj, bo ten adres znaleziono w korespondencji pani Jadwigi Radeckiej-Mikulicz z pana pradziadkiem.

– A czy mają panowie coś na udowodnienie tej tezy? – Francuz podniósł brwi i spojrzął z jawną ironią na Dermota. – Jakiś dokument nadania? Protokół przekazania? Cokolwiek? Na jakiej podstawie miałbym panom ten kufer zwrócić?

– Powiedział pan przecież, że nie pamięta żadnego kufra.

W gabinecie zapadła na moment cisza.

Karen siedziała na kanapie obok Gwen i rozglądała się z ciekawością dokoła. Hol zamkowy wyłożony był boazerią, a posadzka białoczarnymi płytkami, które najwyraźniej musiały pamiętać co najmniej wiek osiemnasty. Karen powiodła spojrzeniem po bogato zdobionej balustradzie schodów. Pomyślała, że gdyby ten Francuz w swoim czasie nie rzucił ciotki Jadwini, to być może miałyby teraz tutaj jakichś kuzynów.

Od strony drzwi prowadzących do holu rozległ się nagle głośny stukot. Po chwili drzwi stanęły otworem.

Ukazała się w nich staruszka o całkiem siwych włosach ubrana w długą ciemną suknię. Podpierała się laską, którą głośno stukała w posadzkę.

– Pani Bernadette! – Tuż za staruszką pojawiła się kobieta, z którą rozmawiali wcześniej. Najwyraźniej pełniła tutaj funkcję ochmistrzyni. – Pan de Aimement zabronił pani wychodzić do naszych gości. To ze względu na stan pani zdrowia. Jeszcze się pani czymś zarazi. Pani Bernadette, no bardzo proszę...

Staruszka przystanęła i wyrznęła laską w posadzkę.

– *Merde!* – zaklęła głośno. – Mój bratanek nie będzie mi niczego zakazywał. A już na pewno nie ty, dziewucho!

– Pani Bernadette! Ja bardzo proszę! Zaprowadzę panią do prywatnego ogrodu!

Ochmistrzyni, nie kryjąc irytacji, dreptała za podążającą holem seniorką.

– Nigdzie mnie nie zaprowadzisz! – Staruszka podniosła laskę, pogroziła nią kobiecie i ruszyła dalej przed siebie.

Gwen, Jamie i Karen siedzieli cicho na kanapie w rogu holu, obserwując całą scenę z ciekawością i rozbawieniem.

Staruszka nagle przystanęła i obrzuciła spojrzeniem całą trójkę, która zmartwiała na moment w oczekiwaniu na głośną reprimendę. Wprawdzie tylko Gwen zrozumiałaby, o co chodzi, Jamie jedynie dukał po francusku, ale istniała obawa, że tym bardziej zdenerwują starszą panią.

– Tu jesteście! – Staruszka podniosła laskę i wycelowała nią w Karen. – A ciebie to skądś znam! Pomożesz mi! – powiedziała starsza pani tonem

nieznoszącym sprzeciwu, cały czas celując laską w Karen.

– Pani prosi cię o pomoc – szepnęła Gwen.

– Słucham? – Karen patrzyła na staruszkę z przerażeniem. – Przepraszam, nie znam francuskiego.

Kobieta stuknęła laską w podłogę.

– Nie szkodzi. Ja znam angielski. Pomożesz mi, dziecko, na schodach wyjściowych. Są strome.

– Ale pani de Aimemente! – zaprotestowała głośno ochmistrzyni. – Powiedziałam przecież, że panią zaprowadzę! Proszę...

– *Merde!* – Staruszka machnęła groźnie laską w kierunku ochmistrzyni. – Dosyć, Odille! Nigdzie mnie nie zaprowadzisz, dziewucho! Skąd Louis Antoine bierze taką służbę! Co za bezczelność!

Karen poderwała się i podeszła do starszej pani. Ta bezceremonialnie wzięła ją pod rękę i skinęła laską w kierunku drzwi do sąsiedniego pomieszczenia.

– Pójdziemy przez jadalnię. Wyjście do ogrodu jest tam. Ja cię na pewno skądś znam, dziecko.

Louis Antoine de Aimemente patrzył na Dermota ze zniecierpliwieniem.

– Żadnego kufra żadnej puszczańskiej Polki czy tam Litwinki tu nie ma i nie było! Jeśli to wszystko, to bardzo przepraszam, ale mam sporo obowiązków.

To mówiąc, Francuz podniósł się i stanął za swoim biurkiem, patrząc poirytowanym wzrokiem na mężczyzn.

Johann po króciutkiej chwili wahania stwierdził, że nic już więcej nie ugrają, i podniósł się także.

– Jeśli okazałoby się jednak, że kufer się znalazł, to bardzo proszę o kontakt. – Dermot wyjął z kieszeni wizytówkę i położył ją na biurku. –

Zawartość kufra to cenne rodzinne pamiątki naszych klientów, którym bardzo zależy na ich odzyskaniu.

– Rozumiem oczywiście, ale jeszcze raz powtarzam, że o żadnym kufrze nic nie wiem i nie mogę panom pomóc. Żegnam panów.

Dermot zacisnął szczęki, po czym uklonił się ledwie zauważalnym ruchem głowy i skinął do Johanna i Igora. Po chwili wszyscy trzej wyszli.

Francuz okrążył biurko i sięgnął po wizytówkę. Przez chwilę się jej przypatrywał, po czym prychnął pogardliwie, podarł mały kartonik na strzępy i wyrzucił do stojącego obok biurka kosza.

Igor usiadł na progu otwartych drzwi mikrobusu.

– Niestety, drań ma rację. – Dermot zacisnął szczęki. – Skoro nie mamy żadnego potwierdzenia, że TNA wysłało ten kufer do nich, to nic nie zdziałamy. Mogliśmy liczyć jedynie na dobrą wolę.

– Może trzeba było jednak zacząć bardziej asertywnie – zastanawiał się Johann.

– Nie sądzę, żeby to coś dało. Potrwałoby tylko dłużej.

– Wydaje mi się, że ten facet kłamał – odezwał się Igor, spoglądając w zamyśleniu na rozświetloną słońcem fasadę zamku. – Jak powiedzieliście o TNA i kufrze, to wyraźnie zmienił mu się wyraz twarzy.

Johann spojrzał na niego zaskoczony.

– Przecież nie znasz francuskiego.

– Tyle razy powtórzyliście po francusku *coffre*, że zapamiętałem.

– Też uważam, że żabojad kłamał – przytaknął Dermot.

– Ale teraz wiemy przynajmniej, że Francuz, z którym miała romans twoja ciotka, był właśnie stąd. – Gwen uśmiechnęła się do Igora.

– I co nam z tego przyjdzie... – Igor wzruszył ramionami. – Nadal jestem zakłopotany, że w ogóle was w to wciągnąłem. Historia z rodzinnymi kuframi jest po prostu żenująca.

– Co ty gadasz? – Johann postukał się palcem w czoło. – Doskonale się bawimy. Poza tym nurtuje mnie pytanie, dlaczego ten facet miałby robić tyle problemów, gdyby to był zwykły kufer?

– No właśnie – przytaknął Dermot. – Nie zdziwiłbym się, gdyby w środku rzeczywiście były jakieś cenne starodruki, których nie chcą teraz oddać.

– A gdzie jest Karen? – Johann rozejrzył się dookoła.

– Zaraz powinna wrócić. – Gwen uśmiechnęła się pod nosem. – Matka

chyba czy jakaś ciotka tego Francuza kazała jej zaprowadzić się do ogrodu. Straszna hetera.

– A nie ma żadnego późniejszego samolotu? – Igor spojrział z nadzieją na Johanna. – Może zdążymy i nie będziemy musieli nocować?

– Ostatni samolot jest o dwudziestej pierwszej. Następny jest o szóstej rano. Do Paryża mamy pięć godzin drogi.

– Ta wycieczka była absurdalna. – Igor przejechał dłońmi po twarzy. – Strata czasu.

Na progu głównych drzwi do zamku ukazała się nagle Karen. Szła szybko w ich kierunku, trzymając ręce w kieszeniach swojej lnianej sukienki.

– Nie uwierzycie, co się stało – powiedziała, gdy stanęła przed nimi. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła złożoną na pół kartkę z eleganckiej papeterii.

– Co to jest? – Igor patrzył podejrzliwie na siostrzenicę. – Jakiś list?

– Ona mi to dała. – Karen wpatrywała się w pismo zaaferowana.

– Ta staruszka? – upewniła się Gwen, która w pierwszej chwili myślała, że chodzi o ochmistrzynię.

Karen skinęła głową. Igor sięgnął po pismo, po czym skrzywił się i oddał Dermotowi.

– Jest po francusku.

Dermot wziął do ręki kartkę, przebiegł szybko wzrokiem i parsknął.

– Co to za głupota?

– Co tam jest napisane? – Johann zajrzał mu przez ramię.

– „Louis Antoine was okłamał. Przyjdźcie o jedenastej wieczorem. Nie będzie go, bo jedzie ze swoją wywłoką na jakiś koncert do La Rochelle. Boczna brama. Zaczeka na was Paul” – przeczytał głośno i podniósł wzrok.

Na moment zapanowało milczenie.

– Ta staruszka dała ci tę kartkę? – odezwał się w końcu Igor, patrząc z niedowierzaniem na Karen.

– Wcisnęła mi do kieszeni i powiedziała, żebym przeczytała później.

– Na pewno dobrze przetłumaczyłeś tę wywłokę? – zainteresował się Jamie.

– Tylko wywłoka wydaje ci się zastanawiająca w tym liście? – zakpił Johann.

– Może chodzi o tę ochmistrzynię? – Gwen wzięła od Johanna list. – Papeteria z nadrukiem Château Agrenieux. Ładne pismo.

– Trzeba znowu przebukować samolot i anulować hotel w Paryżu – westchnął ciężko Johann, sięgając po telefon. – I poszukać czegoś gdzieś tutaj.

– Jaki samolot? O czym ty mówisz? – Igor z osłupieniem spojrzął na Johanna.

– Samolot mamy na ósmą rano. Za cholerę przecież nie zdążymy.

– Czyli na serio chcesz wrócić tutaj o jedenastej w nocy?!

– A ty nie? – Johann wzruszył ramionami, wybierając numer linii lotniczych. – Dzień dobry, chciałbym przebukować lot...

Od strony zamku dobiegł donośny głos przewodnika, który wprowadzał właśnie do środka grupkę zwiedzających.

*

Tymczasem na bulwarach nad Tamizą zaświeciły pierwsze światła, niebo zrobiło się granatowe, a w wąskie uliczki dzielnicy Bermondsey wdarł się wieczorny mrok.

Czarne audi Q7 powoli przejechało Gainsford Street, zatrzymało się na chwilę na rogu z Curlew Street, żeby przepuścić tłumek turystów zagubionych w londyńskich dokach i rozglądających się na wszystkie strony, i powoli wjechało w wąską uliczkę. Mniej więcej w połowie jej długości, niczym wyrwa w ceglanych pionowych skałach, mieścił się wjazd na podwórzec pomiędzy budynkami.

Audi zatrzymało się i wysiadło z niego dwóch eleganckich młodych mężczyzn pogrążonych w rozmowie i co chwilę wybuchających śmiechem.

Jeden z nich skinął kierowcy i auto potoczyło się dalej. Mężczyźni w ciemnych garniturach z hipsterskimi torbami przewieszonymi przez ramie minęli szlaban, uśmiechnęli się przyjaźnie do portiera, który z niepewną miną przypatrywał im się przez oszkloną witrynę, i cały czas pogrążeni

w rozmowie weszli na dziedziniec.

Portier śledził ich wzrokiem, dopóki nie zginęli za rogiem.

Mężczyźni przeszli przez czworoboczny podwórzec, na którego środku znajdował się parking, i po chwili znaleźli się przy drzwiach wejściowych do budynku przy Shad Thames.

Jeden z nich sięgnął do kieszeni i głośno komentując niemożliwy do zrealizowania deadline jakiegoś projektu, przyłożył do czytnika telefon, a gdy na monitorze domofonu pojawiła się zielona lampka, pchnął drzwi i obaj weszli na schody.

*

Mikrobus jechał wolno przez las gruntową drogą. Dzięki otwartym oknom do środka wdzierał się głośny śpiew cykad znad pobliskiej rzeki i nawoływania nocnych ptaków. Samochód pokonał ostatnie sto metrów lasu i po prawej stronie drogi pojawiła się narożna wieżyczka, za którą ciągnęło się ogrodzenie zamku. Volkswagen potoczył się jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym stanął pod wysokim granitowym murem. Jego okrągłe wyłupiaste reflektory wydobywały z mroku żwirową nawierzchnię drogi i splewające z muru pędy bluszczu i wisterii. Kilka metrów dalej widać było drewniane wrota prowadzące do parku na tyłach zamku.

– Tutaj chcesz zaparkować? Pod samym murem? – wyszeptał Jamie do Dermota. – Przecież każdy nas tu zobaczy.

– Jaki każdy? – odpowiedział pytaniem zirytowany Dermot. – Widzisz tu kogoś?

– Wystarczy, że ktoś będzie tędy laźł i potem łatwo dojdą po rejestracji, że to my.

– Przecież nie wjadę w krzaki! – Dermot wbrew sobie też zaczął szeptać. – Porysuję ten hipsterski błękitny lakier i policzą nam w Paryżu jak za konserwację zabytków. Poza tym czemu szepczesz, do diabła?

– Jak to czemu? Właśnie się wkradamy do galijskiego zamku.

– Przestańcie bredzić – odezwał się z tylnego siedzenia Johann. – Jest już po jedenastej?

– Jedenasta za dziesięć. – Gwen spojrzała na zegarek. – To na pewno ta brama?

– Objechaliśmy dookoła ten cholerny zamek dwa razy – syknął Dermot. – I to jest jedyna brama poza główną. Widziałas zresztą w Google.

– Idziemy! Bo jak jeszcze chociaż przez chwilę będę się nad tym zastanawiał, nigdzie nie pójdę! – Igor otworzył energicznie drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

– Po co ci to? – Jamie popatrzył podejrzliwie na Dermota, który wyciągnął ze swojego plecaka latarkę.

– A ja wiem, przez co będziemy musieli się tam przedzierać?

– Przedzierać? Przecież ma po nas wyjść służący.

– Skąd wiesz, że będzie miał latarkę?

– A ty gdzie? – Igor obrzucił podenerwowanym spojrzeniem Karen.

– Jak to gdzie?

– Lepiej chyba, żebyś tutaj została. Po co mamy iść wszyscy? A jak właściciele wrócą wcześniej i wezwą gliny?

– Ty chyba nie mówisz poważnie, wujek?

– Nie mów do mnie wujek!

– Przecież to mnie Bernadette zaprosiła. Mowy nie ma, nie przepuszczę takiej imprezy! – Karen zamknęła drzwi i ruszyła szybko za Johannem, jakby obawiając się, że Igor siłą wepchnie ją do samochodu.

Od strony bramy rozległ się nagle cichy łoskot i jedno ze skrzydeł powoli się uchyliło.

Wyjrzał zza niego na oko szesnastoletni chłopak i obrzucił przestraszonym spojrzeniem szóstkę cudzoziemców.

– Jestem Paul – powiedział cicho całkiem dobrym angielskim. – Mam was zaprowadzić kuchennymi schodami do pokoju pani Bernadette.

– Boże! – westchnął Igor pod nosem. – Niepełnoletni dzieciak. Jak nic pójdziemy wszyscy do francuskiego mamra.

Za bramą przez gąszcz zapuszczonego od tej strony parku wiodła wąska żwirowa ścieżka. Pomiędzy drzewami na tle nieba rysowała się mroczna

sylwetka zamku, w którego ciemnej bryle jaśniały tylko pojedyncze okna.

Paul szedł szybkim krokiem, od czasu do czasu dyskretnie oglądając się za siebie, jakby w obawie, że któryś z Angoli przyłoży mu czymś w głowę.

Po chwili znaleźli się przed drzwiami, nad którymi paliła się malutka latarenka. Chłopak pchnął skrzydło i zatrzymał się w progu.

– Tylko bądźcie cicho na schodach. Pani Odille już śpi.

– Stójcie! – syknęła nagle Gwen.

– Chryste! – Igor zmartwił i rozejrzał się przerażony. – Co się dzieje?

– Nic. Nic się nie dzieje – uspokoiła go Gwen. – Pomyślałam, że jednak lepiej, jeśli ktoś tu zostanie. Ja nie muszę iść. Jamie także. – Spojrzała na niego. – Dermot mówi doskonale po francusku. Po co mamy robić tam tłok?

– Tutaj chcesz zostać? – Johann spojrział na nią z wahaniem.

– Staniemy z Jamie na rogu i będziemy patrzeć, czy przypadkiem ktoś nie nadjeżdża. W razie czego zadzwonię.

– O rany! – szepnął Jamie. – Myślałem, że będę na pierwszej linii.

– Sama tu nie zostanę.

– No dobra. – Jamie westchnął.

– Pan Louis jeździ bordowym bentleyem – podpowiedział przytomnie małolat, stojący w drzwiach i przysłuchujący się spiskowcom.

Gwen uśmiechnęła się do niego.

– Dobra! – Johann pchnął drzwi i wszedł za chłopakiem na schody. – Tylko nie naróbcie tutaj jakichś kłopotów. – Odwrócił się i spojrział znacząco na Jamiego.

Paul ruszył pierwszy. Pozostała czwórka zaczęła się wspinać za nim.

Kręcone schody były dość wąskie, a kamienne stopnie wytarte przez setki butów.

Igor pomyślał, że przez dziesiątki lat wchodziły tędy pokojówki i służebne, trzymając kurczowo tace lub cokolwiek tam było potrzebne domownikom.

Weszli na piętro, gdzie w prawo i w lewo prowadził wąski korytarz. Z jednej strony kończył się oknem, a z drugiej drzwiami do dalszej części

zamku.

– Ostrożnie – szepnął chłopak. – Tu jest pokój pani Odille. Lepiej, żeby się nie obudziła. – Chwycił za klamkę i przytrzymał im wszystkim drzwi.

Weszli do kolejnego korytarza, który – sądząc po wystroju, obrazach na ścianach i dywanach – był prywatną częścią zamku.

Chłopak przemknął pod ścianą i stanął przy trzecich z kolei drzwiach. Otworzył je bez pukania i wsadził do środka głowę. Po chwili wyłonił się ponownie i skinął na czwórkę spiskowców, którzy mocno zdezorientowani wpatrywali się w niego z niepokojem.

Karen jako pierwsza weszła do pokoju Bernadette de Aimemente. Jako ostatni wślizgnął się Igor. A kiedy minął próg i Paul cicho zamknął za nim drzwi, stanął jak wryty.

Nie żeby oszołomił go wyjątkowo bogaty wystrój czy wyposażenie, chociaż i wystrój, i wyposażenie były niesłychanie stylowe i najpewniej pamiętały ostatnie co najmniej dwieście lat, jeśli nie więcej. Pod ścianą stało ogromne rzeźbione łóżko z baldachimem, po przeciwnej stronie piękna sekretera, a obok ogromna szafa na rzeźbionych łapach jakiegoś drapieżnego galijskiego stwora.

Ale zarówno Igor, jak i pozostała trójka wpatrywali się z osłupieniem w stojący na podłodze obok łóżka artefakt – wielki drewniany kufer ze stylowymi, poczerniałymi ze starości okuciami.

Rozdział 16

W komnacie, bo jednak trudno było nazwać to wnętrze inaczej, przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć dochodzącego zza otwartego okna szumu wiatru.

Staruszka siedziała w milczeniu w fotelu pod oknem, trzymając swoją laskę niczym berło. Na jej twarzy jednak błąkał się uśmiech, tak jakby była bardzo zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła na swoich gościach.

– Zaskoczyłam was? – odezwała się w końcu. – Podśluchałam waszą rozmowę. – Wycelowwała laskę w kierunku Dermota i Johanna. – Ty też tam chyba byłeś, chłopcze. – Skinęła na Igora.

Wszyscy trzej przytaknęli, jakby byli na dywaniku u wyjątkowo surowej dyrektorki szkoły z internatem.

– Mój bratanek was okłamał! – Staruszka stuknęła laską w podłogę, wskazując kufer. – Przywieźli to tutaj jakieś dwadzieścia lat temu. Boże, jak ten czas leci... – Pokręciła głową, wpatrując się w zamyśleniu w skrzynię. –

Philippe to był mój dziadek – podjęła po chwili. – Zbliżcie się tutaj! – Znowu stuknęła laską w dywan. – Nie gryzę. Przecież nie mogę do was krzyczeć.

Cała czwórka podeszła do stojącego przed staruszką kufra.

Johann ukucnął i wyjął telefon. Wyszukał zdjęcie z archiwum TNA i przypatrywał mu się przez moment.

– Zobacz. – Podniósł wzrok na Igora i szepnął: – Ten sam.

– Oczywiście, że ten sam. – Bernadette słuch miała wciąż doskonały. – I oczywiście należał do Jadwigi.

Sięgnęła na stolik obok swojego fotela i otworzyła leżący na nim album. Przerzuciła kilka kart i po chwili wyjęła zdjęcie.

– Podejź tutaj, dziecko – zwróciła się do Karen. – Mówiłam, że cię skądś znam.

Karen zbliżyła się do staruszki i wzięła od niej fotografię. Igor stanął za jej plecami i zajrzał przez ramię.

Zdjęcie przedstawiało dwójkę młodych ludzi. Chłopak w kraciastych spodniach do kolan, białej koszuli i kaszkiecie opierał się o kamienną balustradę. I dziewczyna z parasolką w długiej jasnej sukni mocno wciętej w talii. W tle płynęła Sekwana, a za nią z zieleni wynurzała się katedra Notre Dame.

– Bulwar Montebello. – Staruszka się uśmiechnęła. – Sorbona jest kilka kroków dalej.

– Jesteś do niej bardzo podobna – stwierdził Igor i spojrział z niedowierzaniem na Karen.

– To Jadwiga?

– Oczywiście, moje dziecko. A któż by inny? – Bernadette uśmiechnęła się nostalgicznie i westchnęła. – Niestety wkrótce rodzice zmusili Philippe’a do małżeństwa z moją babką.

– A Jadwiga wróciła na Litwę... – Karen pokiwała głową, przypominając sobie rozmowę z babcią sprzed dwóch tygodni.

– Ale nie zapomniał o niej. Pisali do siebie jeszcze po drugiej wojnie. Moich rodziców bardzo to drażniło, ale wszyscy wiedzieli, że małżeństwo z moją babką było kompletnie nieudane.

Staruszka uśmiechnęła się do własnych wspomnień.

– Dziadek wysyłał mnie z każdym listem na pocztę. Jeździłam stąd na rowerze. Listonosz, który do nas przyjeżdżał, był poinstruowany, że listy z Polski ma przekazywać po cichu tylko mnie. I trwało to tak aż do śmierci dziadka.

Staruszka umilkła i przez chwilę wpatrywała się w przestrzeń.

Wiatr za oknem zaczął przybierać na sile, a na szybach pojawiły się pierwsze krople deszczu.

– No a potem któregoś dnia przywieźli ten kufer. – Bernadette spojrzała w jego kierunku. – Opakowany w ogromną drewnianą skrzynię. Wewnątrz było pismo, że Biuro Akt Publicznych Wielkiej Brytanii przekazuje rodzinie własność pana Philippe’a de Aimemente.

Johann usiadł na kolanach obok kufra. Dermot zrobił to samo.

– Usiądź, dziecko, tutaj. – Staruszka wskazała Karen drugi fotel. – Rozumiem, że Jadwiga była twoją... – zawahała się.

– Siostrą mojego prapradziadka – odezwał się Igor. – A Karen jest córką mojej siostry.

Przemknęło mu przez głowę, że bardziej skomplikować tego już nie mógł, ale Bernadette pokiwała głową.

– Więc Jadwiga jednak nie wyszła za mąż – powiedziała do siebie.

Igor potwierdził skinieniem głowy.

– A co było dalej z tym kufrem? – zapytała Karen.

Strasznie ją nęciło, żeby zajrzeć do wnętrza i zobaczyć, co skrywa, ale bez słowa zachęty ze strony Bernadette wołała tego nie robić.

– Żył wtedy jeszcze mój brat. I to on zdecydował, że skoro Anglicy przysłali go do nas, to nie będziemy się nad niczym zastanawiać. Nie zgadzałam się z nim – oświadczyła pewnie staruszka i pokręciła głową. –

Pisałam do Archiwum Narodowego Wielkiej Brytanii, ale moje listy odsyłano z adnotacją, że sprawa jest nieaktualna, a ja nie jestem stroną w postępowaniu. Dopóki żył mój brat, zawartość pozostała jednak nienaruszona, ale gdy zamek formalnie odziedziczył Louis Antoine, postanowił wszystko spieniężyć...

– Spieniężyć? – Igor spojrzał zaskoczony. – Naprawdę było tam coś takiego, co właścicielowi takiego majątku – zatoczył ręką dookoła – wydawało się warte sprzedania?

– W środku były rodzinne archiwalia i starodruki. I to w większości się zachowało. Poza pierwszym wydaniem *Biblii kobiet* Elisabeth Cady Stanton[13], której Louis pozbył się w tajemnicy przede mną, sprzedając jakiemuś towarzystwu historycznemu. Łajdak!

Bernadette westchnęła ze złością.

– Ale najcenniejsza była oczywiście biżuteria – dodała po chwili, a w komnacie zapadła cisza.

Jamie schował się pod koroną ogromnego buka, który stał nieopodal bocznej elewacji zamku. Był stąd doskonały widok zarówno na drzwi

kuchenne, jak i na rozciągający się w oddali i na szczęście oświetlony kilkoma latarniami podjazd do zamku. Jeszcze dalej majaczyły pogrążone w ciemności stare graby przy alei wjazdowej.

– Wiesz, że w czasie burzy nie można chować się pod drzewami? – Gwen stanęła obok Jamiego i założyła na głowę fikuśny kaptur swojej bluzy.

– Czyli jak się schowam pod drzewem, to od razu walnie w nie piorun?

– Oczywiście. Prawa Murphy’ego są nieubłagane. – Gwen się rozejrzała.

Za zamkiem ciągnął się pogrążony w ciemności ogromny park. W dzień widać było wielkie trawniki i polany pomiędzy grupami starych drzew, teraz całość tonęła w mroku.

W dodatku zaczął padać deszcz.

Nagle ciemność wybuchła niebieskim blaskiem, na krótką chwilę pokazując zatrzymane w stop-klatce stare drzewa i upiornie pociemniały zamek.

Zaraz potem nad parkiem rozległ się powoli narastający grzmot.

– Super – mruknął Jamie. – Wykراكałaś. Nie dość, że włamaliśmy się do galijskiego zamku, to jeszcze mamy burzę.

– O kurczę!

– No właśnie. Sama widzisz.

– Ja nie o burzy. – Gwen szturchnęła Jamiego, wskazując przedzierające się przez ciemną aleję z grabów dwa świecące punkty.

– Ktoś jedzie! – jęknął Jamie.

Samochód minął dwa filary z piaskowca i wjechał na oświetlony latarniami podjazd.

– Bentley! – Gwen sięgnęła do kieszeni. – To ten Francuz wraca.

– Lepiej stańmy w jakimś mniej wyeksponowanym miejscu. – Jamie wskazał kępę rozrośniętych krzewów niedaleko ścieżki.

– Niech tylko Johann odbierze! – Gwen nerwowo przesuwiała palcem po ekranie komórki, biegnąc za Jamiem.

Igor i Karen wpatrywali się w Bernadette z osłupieniem.

– Biżuteria? – zapytał z niedowierzaniem Igor.

– Więc jednak... – wykrztusiła Karen. – Babcia znowu miała rację...

– Rzeczywiście przedstawiała jakąś wartość? – Igor patrzył na staruszkę z powątpiewaniem.

Bernadette uśmiechnęła się ironicznie.

– Młody człowieku, za pieniądze z jej sprzedaży został wyremontowany cały dach.

– Co takiego? – Igor patrzył na kobietę kompletnie zaskoczony. Powoli usiadł na dywanie obok Johanna.

– Może powinnam była bardziej wówczas protestować, zagrozić mu czymś, ale prawdę powiedziawszy, nie miałam wtedy na to siły. A Louis argumentował, że skoro ojciec nic z tym nie zrobił, to tym bardziej on nie będzie się cackał. A wtedy dopadły go, przyznaję, poważne kłopoty. Podatek spadkowy był gigantyczny i koniec końców, ja za niego zapłaciłam...

Staruszka ucichła, a Igor znów spojrzał na kufer, niemy podmiot całej rozmowy, którą prowadzili od pół godziny. Był mniejszy niż kufry ciotki Elżbiety, zamykany na grube stalowe okucia.

Sięgnął i podniósł pokrywę.

Wewnątrz leżało sporo różnych dokumentów rozrzuconych w nieładzie. Grube stare teczki z aktami, księgi oprawione w skórzane okładki i woluminy w grubych introligatorskich oprawkach.

Za oknem nagle zrobiło się jasno. A gdy wszyscy spojrzeli w tym kierunku, rozległ się głośny grzmot.

– Oho, burza – skomentowała cicho Bernadette. – Zanosiło się na nią już od dawna. Nie chcę was oczywiście wyrzucać... – Spojrzała na Karen i pozostałych. – Rzadko miewam gości, ale Louis zaraz może wrócić tutaj z tą swoją modelką, czy kim tam jest ta cwana latawica.

Z kieszeni Johanna rozległa się nagle cicha melodyjka.

Johann odebrał i zerwał się na równe nogi.

– To Gwen! – rzucił. – Na podjazd wjeżdża właśnie bentley w kolorze burgunda!

– Co takiego? – Dermot patrzył na Johanna z malującym się na twarzy

osłupieniem. – W kolorze czego?

– Bordowy! No co, powtarzam za Gwen! Zwijamy się!

– Weźcie ten koc. – Staruszka rzuciła Igorowi pled, który do tej pory trzymała na kolanach. – Nakryjcie nim kufer. W razie gdyby ktoś was zauważył – dodała.

Igor skinął głową i zarzucił koc na skrzynię. Kufer miał z dwóch stron przymocowane okrągłe stalowe uchwyty, za które dało się go bez trudu podnieść.

– Bardzo dziękujemy! – Karen wzięła staruszkę za rękę i uściśniła mocno. – Bardzo bym chciała, żeby pani poznała moją babcię. Przypadłybyście sobie do gustu.

– Wszystko jest jeszcze możliwe, moje dziecko. – Bernadette uśmiechnęła się z zadumą.

Do pokoju zajrzał nagle wyraźnie zaniepokojony Paul.

– W pokoju pani Odille słychać jakieś stuki. Pewnie się obudziła, ona się boi burzy. Musimy się pośpieszyć!

Igor wyrzwał na korytarz za Pauliem, który stał już niecierpliwie przy drzwiach do części służbowej. Chłopak skinął ponagłajaco głową.

Igor przepuścił przodem Johanna i Dermota targających kufer, poczekał na Karen i zamknął za sobą drzwi. Przebiegli przez korytarz i dopadli do drzwi służbowych. Paul otworzył je i przytrzymał.

– Jak najciszej przy tych drzwiach po prawej – syknął. – Jak Odille wyjdzie, to narobi hałasu, a mojego ojca wywalą z pracy.

Do wejścia na kręcone schody było może z dziesięć metrów. Przeszli ostrożnie obok pokoju ochmistrzyni i po chwili byli już przy schodach. Paul szarpnął za klamkę i skrzywił się z przerażeniem. Drzwi zaskrzypiały.

Na moment cała piątka zamarła. Igor odwrócił się i spojrzał ze strachem w kierunku pokoju Odille. Nie dochodziły stamtąd żadne dźwięki. Psyknął na Dermota i Johanna, którzy ocknęli się z odrętwienia i wypadli na schody, a zaraz za nimi Karen. Igor przepuścił Paula i wchodził właśnie na klatkę schodową, gdy drzwi pokoju ochmistrzyni się otworzyły.

Kobieta wyjrzała na zewnątrz. Najpierw spojrzała w kierunku wejścia na

prywatny korytarz, a zaraz potem w kierunku schodów. Igor właśnie zniknął za drzwiami.

– Halo! – krzyknęła za nim Odille. – Halo! Kim pan jest? To część prywatna!

Igor pogratulował sobie w duchu pomysłu, żeby założyć czapkę z daszkiem. Widziała go, ale może go jednak dzięki temu nie poznała.

Kobieta szybkim krokiem przeszła przez korytarz i szarpnęła za klamkę. Wyrzwała na schody. Z dołu dobiegło trzaśnięcie drzwi wyjściowych.

Johann i Dermot wypadli na zewnątrz i ruszyli biegiem w kierunku ścieżki.

– Nie tam! – krzyknął za nimi Paul.

Johann zatrzymał się jak wryty, a szarpnięty kufer prawie przewrócił Dermota.

– Tędy! – Paul machnął ręką, pokazując wąską przecinkę pomiędzy drzewami. – Wyjdziecie prosto na bramę! Ja muszę wracać do domu, bo jak ojciec zobaczy, że mnie nie ma, to nabiorą podejrzeń.

Johann i Dermot rzucił się biegiem i wpadli pomiędzy drzewa.

– Co się dzieje?! – krzyknął Jamie do Karen, która wybiegła jako trzecia z zamku.

– Widziała nas ta baba!

– Jazda! – Igor popędził Jamiego i Gwen. – Ona może zaraz tutaj przybiec! Widziała was! Opiszcie policji! Dziękujemy, Paul! – krzyknął za oddalającym się chłopakiem.

Paul odwrócił się i pomachał ręką.

Gwen i Jamie rzucili się za Karen.

Nad ich głowami niebo nagle rozjaśniło się, jakby ktoś błysnął lampą stroboskopową, a po chwili nad parkiem ponownie rozległ się głośny grzmot.

Błysk pioruna na moment ukazał ścieżkę, a w jej głębi mur okalający park.

Przebiegli ostatnie metry i wypadli prosto na bramę.

Johann nie puszczając kufra, szarpnął za stalową klamrę, ale brama ani

drgnęła.

– Co jest? – Dermot się odwrócił.

Po chwili cała piątka stała za plecami Johanna.

Johann puścił kufer i szarpnął za klamrę oburącz.

– Zamknięta! – Odwrócił się i spojrział ze zgrozą na Igora.

– Jak to? Przecież Paul zostawił ją otwartą! – Igor dopadł do bramy i też szarpnął za uchwyt.

Drewniane wierzeje zatrzęsły się, ale nie ruszyły.

– Ktoś musiał ją zamknąć w międzyczasie. – Gwen rozejrzała się dookoła z przestraszeniem.

– Może strażnik tędy przechodził? – Jamie zaczął szarpać energicznie wierzejami.

– Zostaw, to nic nie da – jęknął Johann i przetarł czoło ręką.

Deszcz padał coraz mocniej.

Niebo przecięła kolejna błyskawica, ukazując rozczapierzone konary starych drzew dookoła i ciemną sylwetkę zamku.

Akurat w tym momencie zapaliły się w nim światła na piętrze.

Louis Antoine został przywitany w holu przez ubraną w szlafrok Odille, która w najwyższym stopniu zdenerwowana chodziła od ściany do ściany. Niezbyt był z tego rad. Miał cichą nadzieję, że wszyscy o tej porze, a dochodziła właśnie pierwsza, będą spać i dadzą mu święty spokój. Przede wszystkim dlatego, że przyjechała z nim Marianne, a zarówno Odille, jak i Bernadette za nią nie przepadały. Ale Louis uważał, że należało mu się coś od życia. Rozwód kosztował go mnóstwo nerwów i sporo pieniędzy i zamierzał wszystko to sobie zrekompensować. Ale między innymi stąd właśnie brały się utyskiwania ciotki, że znowu lata za jakąś łasą na pieniądze wywłoką.

Odille chodziła zdenerwowana wte i wewte. Jak tylko Louis pojawił się w drzwiach, rzuciła się w jego kierunku, mierząc przy okazji Marianne pogardliwym spojrzeniem.

– Ktoś chyba włamał się do zamku – jęknęła żałośnie. – Wstałam, bo

obudziła mnie burza, i zobaczyłam, jak ktoś ucieka kuchennymi schodami.

– Coś zginęło? – Louis wbił w ochmistrząnię zaniepokojony wzrok. – Obudziłaś Martina?

– To się stało dopiero co. – Odille skurczyła się ze strachu, widząc, jak podjazd rozjarza się nagle w niebieskobiałej poświacie. A zaraz potem gruchnął kolejny grzmot.

Louis rzucił się na schody.

Odille pobiegła za nim.

Louis najpierw wpadł do biblioteki na piętrze, gdzie wisiał wart ćwierć miliona euro Boudin. Obraz był ubezpieczony i chroniony specjalnym alarmem, ale kto mógł wiedzieć, na jaki pomysł wpadli włamywacze. *Odpływ w Trouville* wisiał jednak spokojnie na swoim miejscu.

Louis sprawdził zabezpieczenia. Wszystko było w najlepszym porządku.

Otworzył drzwi do gabinetu i rozejrzał się dookoła. Nie było żadnych śladów przetrząsania szuflad czy czegośkolwiek. Obraz nad biurkiem, na którym marszczył brwi jego prapradziadek, ten sam, który nie dopuścił do skandalicznego ślubu pradiadka Philippe'a z tą całą Litwinką, wisiał nietknięty. Przez moment zastanawiał się, czemu przypomniał sobie ten akurat rodzinny skandal. Za obrazem był wprawdzie sejf, ale...

Anglicy! Podejrzani Angole, którzy byli tutaj wypytywać o tę całą Hedwige! No przecież!

Wypadł na korytarz i pobiegł do swojej sypialni. Przytargał tu ze strychu ten cholerny kufer, żeby mieć go na oku.

Na korytarzu minął wystraszoną Odille. Wpadł do pokoju. Jeden rzut oka wystarczył, żeby stwierdzić, że kufra nie ma. Zniknął.

Stanął jak wryty i przez chwilę zastanawiał się, jak to się mogło stać i o co tu może chodzić. Wystraszył się Anglików z powodu ewentualnych konsekwencji sprzedaży rodzinnej biżuterii tej całej Litwinki. Gdyby teraz po latach chcieli ciągać go po sądach... Ale jacy prawnicy uciekają się do włamania i do kradzieży?! To wprawdzie byli Angole, ale nawet ich trudno raczej podejrzewać o takie metody.

Wybiegł ponownie na korytarz i wpadł prosto na Odille.

– Panie de Aimemente, czy mam wzywać policję? Czy coś zginęło? – Ochmistrzyńi patrzyła z przestachem na mężczyźnę.

Louis zacisnął usta. Wezwanie policji mogło bardziej zaszkodzić, niż pomóc. Szczególnie w tej sytuacji.

Stał i zastanawiał się, co ma, do diabła, zrobić, gdy nagle ze swojego pokoju wyszła Bernadette. I od razu zrozumiał, co się stało.

Lało już jak z cebra. Igor wpatrywał się w majaczącą pomiędzy drzewami bryłę zamku. Raz po raz błyskawice rozświetlały jego fasadę. Na piętrze paliły się już prawie wszystkie światła.

– Boże! Zaraz zaczną nas szukać! – jęknął Jamie.

– Musimy przeleźć górą. – Johann zadarł głowę, wpatrując się w koronę murów. – Nie mamy wyjścia.

– Mur ma ze cztery metry wysokości. – Gwen spojrzła ze strachem na granitową ścianę.

– Jest porośnięty grubymi konarami bluszczu. – Igor szarpnął za jedną z gałęzi. Wyszukał nogą występ w kamiennej płaszczyźnie i złapał za kłęb pnączy.

– A co zrobimy z kufrem? – Jamie kopnął skrzynię.

– Może jakoś przeniesiemy. – Dermot rozejrzał się dookoła. W ciemności nic nie było widać. Wyjął z kieszeni latarkę i oświetlił najbliższe sąsiedztwo.

– Zwariowałeś?! – syknęła Gwen. – Ktoś to zaraz zauważy.

– Patrzyłem, czy nie ma tu czegoś, na co można by się wspiąć. Przelazłbyś i podałbym ci kufer przez bramę.

– W tym busie jest wyciągarka? – Johann spojrział z nadzieją na Dermota.

– To nie land rover defender – prychnął Dermot. – Tylko gówniany zabytek.

– Ale nie wiesz na pewno?

– Zamierzacie tak stać i dywagować? – Gwen naciągnęła na głowę i tak kompletnie mokry kaptur swojej bluzy. – Może pójdziemy do głównej bramy?

– No faktycznie – parsknął Jamie. – Bo jak zaczniemy przelazić przez

główną bramę w świetle jupiterów iluminacyjnych, to będzie o wiele mniej widoczne niż przez tę na tyłach.

– Dobra! Przełazę! – Igor złapał się gałęzi na wysokości głowy i dźwignął się do góry. Trafił stopą w dziurę pomiędzy kamieniami muru i sięgnął po konary wyżej. Po chwili złapał za kamienie na wierzchu muru. Wciągnął się z trudem na samą górę i usiadł okrakiem.

– To prostsze, niż mi się wydawało – rzucił do wszystkich przyglądających mu się z dołu i zaczął schodzić na drugą stronę.

Po chwili zza muru dobiegł trzask łamanych gałęzi i głośne tradycyjne polskie przekleństwo.

– Dobra! Wszystko w porządku! Tylko się podrapałem!

– Daj mi kluczyki! – Johann wyciągnął rękę do Dermota. – Ten bałwan oczywiście zapomniał. Sam sprawdzę, czy tam jest wyciągarka.

Dermot podciągnął kufer do muru i sprawdził nogą wytrzymałość drewna.

– Możecie na nim stanąć. – Odwrócił się do Karen i Gwen. – Będzie łatwiej.

– Ty nie! – Spojrzał na Jamiego ostrzegawczo.

Urażony Jamie wyduł wargi.

Johann wdrapał się na samą górę i zmienił koncepcję. Krzyknął do Igora i rzucił mu kluczyki. Igor pobiegł do samochodu i po chwili wrócił z naręczem poplątanej liny.

– Wyciągarki nie ma, ale była lina. – Ukucnął i zaczął ją rozplątywać.

W międzyczasie na mur wdrapała się Karen, dla której okazało się to jakoś niespecjalnie trudne. Z gracją i błyskawicznie zeszła na dół i zaczęła pomagać Igorowi.

Po chwili koniec liny poszybował na drugą stronę. Gdy Dermot obwiązywał kufer, Jamie wgramolił się na górę. Kiedy więc kufer był gotowy do transportu, wszyscy z wyjątkiem Dermota, który kontrolował operację z parku, i Johanna, który cały czas siedział okrakiem na górze, byli już po drugiej stronie.

– Zabierać! – wrzasnął Dermot.

Igor złapał za linę i z pomocą Jamiego zaczęli ciągnąć skrzynię. Jakoś

dotelepała się na górę, gdzie Johann przeciągnął ją i postawił na szczycie muru.

W tym momencie uprzytomnili sobie, że asekurowanie liny i powolne wciąganie ciężaru działa tylko po jednej stronie, po drugiej wydajnie wspomaga ich grawitacja. Niestety nie było to zbyt korzystne dla cennego ładunku.

Louis ze złością wpatrywał się w swoją ciotkę.

– Coś ty narobiła?

– Co ja narobiłam?! – Bernadette stuknęła laską w podłogę. – Zwróciłam to, co zostało, prawowitym właścicielom! Dachy niestety nie mogłam im oddać.

– Zwariowałaś, ciociu?! Skąd ty możesz wiedzieć, kim oni byli? A może to oszuści?

– Dla oszustów nic cennego już w tym kufrze nie zostało!

Louis głęboko odetchnął i złapał się za głowę.

Na schodach pojawiła się nagle Marianne.

– Co ona tu robi?! – Bernadette wycelowała laskę w kierunku dziewczyny.
– O tej porze!

– Nie twoja sprawa, do diabła!

Louis przeniósł wściekłe spojrzenie na Odille.

– Widziałaś, czym ci Angole przyjechali?

– Takim błękitnym busikiem. – Odille wpatrywała się ze strachem w swojego pracodawcę. – Takim śmiesznym.

– Śmiesznym! – prychnął Louis. – I to miałbym powiedzieć policji?!

– Nie będziesz dzwonił na żadną policję! – Bernadette ponownie stuknęła laską w podłogę.

– Przestań walić w końcu tą laską!

– Ty mi nie będziesz mówił, co ja mam robić! Wezwij tylko policję, a od razu dzwonię do adwokata! Twój ojciec nigdy mnie nie spłacił, a ty jesteś mi winien podatek spadkowy!

Louis rzucił zaniepokojone spojrzenie Marianne. Bentley robił odpowiednie wrażenie, a teraz ta cholerna ciotka mogła wszystko zepsuć.

– Nie zdajesz sobie sprawy, co narobiłaś. Na ten kufer miałem kupca! Dawał za niego dwadzieścia tysięcy!

Louis wpatrywał się ze złością w Bernadette. Gdy ochłonął, dotarło do niego, że niepotrzebnie o tym powiedział.

– Kupca?! – Bernadette wycelowała w bratanka laskę. – Nawet to, co zostało, chciałeś sprzedać, paserze!

– Wiesz, ile kosztuje utrzymanie tego domu?! Z turystów ledwie się zwraca!

– To nie powód, żeby okradać biednych ludzi zza żelaznej kurtyny!

– Jakiej żelaznej kurtyny, do diabła?! Co ty gadasz? Kiedy ta żelazna kurtyna była?!

– Jadwiga klepała biedę, a ty sprzedałeś jej spadek po matce!

– Dzisiaj ich stać na angielskich prawników, to chyba już biedy nie klepią!

Marianne cicho kaszlnęła, a gdy Louis spojrzał na nią, wskazała oczami hol na dole i z obrażoną miną zaczęła schodzić po schodach.

– Odille! Pomóż pani Bernadette. – Louis skinął na ochmistrzynię. – Musi się położyć. Zaraz będzie druga w nocy!

– Nie potrzebuję żadnej pomocy! – Staruszka stuknęła po raz ostatni laską w podłogę, odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi do swojej komnaty.

– Zdążyłam w ostatniej chwili! – powiedziała jeszcze głośno, triumfalnie machając laską.

– Stara wariatka! – cicho pod nosem warknął Louis i wpadł do swojego gabinetu.

Dziwni krewni tej cholерnej kochanki pradziadka Philippe'a odezwali się po raz pierwszy pod koniec maja. Zadawali pytania o zawartość kufra, dokumenty, stare archiwalia. Najpierw ich spławił, tak samo jak tych tutaj, ale w połowie czerwca ponownie się odezwali. Stwierdzili, że odkupią skrzynię bez weryfikowania zawartości. Suma, którą zaproponowali, biorąc pod uwagę, że zostało tam już tylko kilka bezwartościowych dokumentów, była bardzo kusząca.

A w zamku trzeba koniecznie wymienić pompę i część instalacji wodno-kanalizacyjnych.

Ci podejrzani Litwini spadli mu jak z nieba. Więc się zgodził. Mieli przyjechać na dniach. Może nawet dzisiaj.

Louis wyjął telefon i znalazł numer.

Przez moment się zastanawiał, zagryzając wargi i usiłując jakoś ułożyć w głowie to, co chce powiedzieć. Złapał się nagle na tym, że ci osobliwi krewni wzbudzali raczej niepokój. Nawet chyba trochę się ich przestraszył. Pokręcił głową ze złością. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby bał się jakichś polskich czy litewskich pętaków.

Wybrał numer i odczekał kilka sygnałów. Po dłuższej chwili w słuchawce rozległ się zaspany i poirytowany głos.

– Czy pan wie, panie hrabio, która jest godzina? Powiedziałem wprawdzie, żeby w tej sprawie dzwonił pan do mnie o każdej porze, ale nie sądziłem, że potraktuje to pan aż tak dosłownie.

Louis de Aimemente spojrział z roztargnieniem na zegarek, po czym ze złością pokręcił głową.

– Niestety, z przykrością muszę zawiadomić, że transakcja jest nieaktualna! – powiedział bez żadnych wstępów.

– Chodzi o pieniądze? – Głos mężczyzny po drugiej stronie od razu oprzytomniał i stwardniał.

– Niezupełnie. – Louis westchnął ciężko. – Mieliśmy dzisiaj włamanie i kufer został skradziony.

Mężczyzna na chwilę umilkł, po czym zadał kilka pytań.

– Tak, chyba tak – ze zdziwieniem przytaknął Louis. – Skąd pan wie, że byli niebieskim volkswagenem T2? Halo! Halo!

Louis oderwał telefon od ucha i przez moment wpatrywał się w portret swojego prapradziadka. Przyszło mu do głowy, że przecież tamci i ci dzisiaj to mogła być jedna i ta sama szajka. Tak czy siak, o dwudziestu kawałkach mógł zapomnieć.

– Twojemu synalkowi zachciało się amorów! – warknął do obrazu, wsadził komórkę do kieszeni i wyszedł z gabinetu, głośno trzaskając

drzwiami.

Dermot z zadartą głową wpatrywał się w Johanna.

– Co wy tam robicie, do diabła! – wrzasnął. – Ileż to trwa?!

Johann ostrożnie manewrując ciałem, przysunął do siebie kufer i spojrzał w dół.

– Może weź przerzuć linę do Dermota! – krzyknął do Igora. – On złapie i będzie powoli opuszczał na dół. Nie włącz! Nie włącz! – Odwrócił się do Dermota, który właśnie zaczął się wspinać na górę. – Będziesz opuszczał kufer!

Dermot zaklął i zeskoczył.

Błyskawica na moment oświetliła park, wydobywając z mroku siedzącego okrakiem na szczycie muru Johanna i kufer, który trzymał w objęciach.

Igor zamachnął się i rzucił linę. Przeleciała nad murem, płacząc się wokół Johanna.

Dermot złapał jej koniec i spojrzał w górę.

– Powoli, jeszcze nie! – krzyknął Johann, odplątując linę i przesuwał kufer na brzeg muru. – Jak ci powiem, to ją ściągnij, a ja zepchnę kufer!

Czy też Dermot za mocno pociągnął, czy to lina w ciemności zaplątała się gdzieś wokół Johanna, ale gdy byli już gotowi do rozpoczęcia operacji, a Johann zsunął ostrożnie kufer z muru, wszystko oczywiście poszło nie tak.

Johann nagle wrzasnął, łapiąc równowagę, chwycił się kurczowo za oplatające mury gałęzie starego bluszczu, a kufer, zamiast zsuwać się powoli, asekurowany przez Dermota, przyspieszył i z całej siły wyrznął o ziemię, rozbijając się na kawałki.

– O Chryste! – jęknął Igor, patrząc ze zgrozą na ruinę posagu cioci Jadwini.

I jakby tego było mało, zza muru rozległ się okrzyk wspinającego się właśnie po nim Dermota.

– Ktoś idzie! Pośpieszcie się tam!

– Zbierajcie te dokumenty, bo zamokną – krzyknęła Gwen i nie czekając, rzuciła się do szczątek skrzyni. Karen i Jamie poszli za jej przykładem.

Igor włączył latarkę w telefonie i pochylił się nad rozbitym kufrem.

– Zbieraj to wszystko! – krzyknął Dermot, który właśnie zląził z muru. – Na co ty czekasz! Potem będziemy się zastanawiać, co z tym zrobić!

Johann zeskoczył na ziemię i ruszył na pomoc Igorowi. Po chwili wszystkie kawałki zrujnowanej skrzyni wylądowały na podłodze busa, a dokumenty zapakowane do wielkiej plastikowej torby, z której Karen wyrzuciła na tylne siedzenie butelki z wodą i różne przekąski przygotowane na podróż.

Dermot wskoczył za kierownicę i włączył silnik. Okrągłe światła wydobyły z ciemności mur, drzewa i drewniane wrota, które właśnie zaczęły się otwierać.

Dermot przyspieszył i bus potoczył się przez kałuże na żwirowym dukcie, mijając prawie o włos dwóch wymachujących pięściami mężczyzn, którzy wyskoczyli na drogę.

Kilka minut później, gdy volkswagen w miarę swoich skromnych możliwości pędził przez pogrążone we śnie miasteczko Agrenieux, Igor spojrział na Karen i odezwał się grobowym głosem.

– Jeśli swojej albo mojej matce szepniesz chociaż słówko o tym, co się tutaj stało, to już nigdy, przenigdy nigdzie cię nie zabiorę.

– Jeszcze nie zwariowałam, wujek. – Karen czesała mokre włosy. – Nigdzie byś mnie nie zabrał i tak, bo rodzice do trzydziestki nie wypuściliby mnie ze Szwecji. Mało ze Szwecji! – prychnęła. – Z domu!

Johann siedział na podłodze pomiędzy siedzeniami i usiłował dopasować połamane części kufra.

– To się da poskładać – mruknął do siebie. – Matka ma dobrego stolarza.

– Po cholere mieliśmy to restaurować? – Igor spojrział na niego zdumiony.

– I dlatego właśnie u nas ludzie mieszkają w domach z szesnastego wieku, a u was stoją same różowe bloki – powiedział z ironią Johann. – Historia to nie tylko kościoły i zamki, ale przede wszystkim takie stare rodzinne kufry.

Igor pokiwał głową z namysłem.

– Zamki u nas też są zrujnowane, ale poza tym masz rację.

– A to co? – Johann wyciągnął spomiędzy desek połamanego dna kufra pogniecioną blachę.

Blacha poczerniała ze starości, a w kilku miejscach miała przeżarte rdzą dziury w kształcie malutkich otworów.

– To było w tym kufrze? – Johann spojrzał zdziwiony na Igora. – Zaglądałeś do środka?

– Co tam jest? – zainteresował się Dermot, usiłując dojrzeć coś w lusterku wstecznym.

– A nie zabraliśmy tego przypadkiem z drogi razem z deskami? – Igor patrzył z powątpiewaniem na starą blachę.

– Hm... – Johann wzruszył ramionami. – Może masz rację, chociaż pamiętam, że ta droga była raczej wysprzątana.

– Zgarnialiśmy to wszystko w pośpiechu i po prostu zabraliśmy jakiś śmieć.

Johann przytaknął bez przekonania.

– Może to pas cnoty twojej ciotki? – Dermot, rechocząc, odwrócił się do Igora.

Igor postukał się palcem w czoło i spojrzał najpierw na uśmiechającą się pobłaźliwie Karen, a następnie z politowaniem na zaśmiewających się Jamiego i Johanna.

– Ty lepiej zajmij się prowadzeniem, mizoginie. – Gwen szturchnęła Dermota w ramię. – Wylądujemy w końcu na drzewie.

Mikrobus, mimo swoich skromnych możliwości, przemknął jednak przez miasteczko z prędkością znacznie przekraczającą francuskie przepisy i wyjechał na drogę w kierunku La Rochelle.

Rozdział 17

Hotel Le Rochelouis wciśnięty był pomiędzy boisko szkolne i jakieś średniej klasy apartamentowce, stojące przy bulwarze nad zatoką Pertuis d'Antioche. Od sąsiednich zabudowań oddzielony był wysokim murem, a w narożnik pomiędzy bulwarem a apartamentowcami zdołano upchnąć nawet niewielki basen, nad którym stały tonące obecnie w deszczu stoliczki i leżaki. Z restauracji dochodziły głośne śmiechy i muzyka.

– Mamy widok na mur od strony ulicy – mruknął Jamie, wyglądając przez drzwi tarasowe. – W dodatku na tyle niski, że widać głowy przechodzących Francuzów.

– Tu nie ma żadnych Francuzów – warknął Johann, dźwigający z Igorem torbę wypełnioną archiwaliami cioci Jadwini. – W hotelu są sami Angole i Rosjanie. Nawet w recepcji siedzi jakaś Rumunka czy Turczynka.

– A nie było czegoś bardziej z boku?

– Jest koniec czerwca, głąbie! A to kurort. Poza tym nie przyjechaliśmy tutaj na wywczasy!

Paka ze starodrukami wylądowała na jednym z łóżek, a Johann usiadł obok niej i westchnął.

– A w ogóle to powinniśmy się zastanowić.

– Nad czym? – Gwen od razu po wejściu do pokoju sięgnęła po ręcznik i wycierała teraz włosy.

– Czy w ogóle tutaj zostajemy. Ten cały Francuz, jak mu tam było... Louis, pewnie zna tutejszego mera, całą żandarmerię i wszystkich świętych. A my mamy taki środek lokomocji, że rano wszyscy będą wiedzieli, że tu nocowaliśmy.

– Nie przesadzaj. – Dermot wzruszył ramionami. – Poza tym niczego złego nie zrobiliśmy.

– Dopiero co przelazłeś przez mur po włamaniu się do zamku!

– Nigdzie się nie włamaliśmy. Byliśmy tam na zaproszenie, a kufer dostaliśmy w prezencie.

– Nie wiadomo, czy ta staruszka to potwierdzi, jak nas będą wsadzać do tutejszego mamra.

– Mamy przecież jej zaproszenie na piśmie!

– Teraz mamy jechać? – Gwen rzuciła ręcznik na łóżko, sięgnęła po szczotkę i spojrzała na Johanna z wahaniem. – Chcesz teraz po nocy wracać do Paryża?

– Jest prawie trzecia. – Igor spojrzął na zegarek. – W Paryżu będziemy o jakiejś siódmej.

– Właśnie. A samolot mamy o osiemnastej – wpadła mu w słowo Gwen. – I co my tam będziemy robić? Tutaj się przynajmniej prześpimy.

Karen, która była we Francji po raz pierwszy, a jako osoba w wieku studenckim nie miała jeszcze specjalnie potrzeby wysypiania się, pomyślała, że łożenie przez cały dzień po Paryżu to byłaby sama przyjemność.

Igor nagle głośno jęknął i spojrzał na leżącą na łóżku pakę.

– O Boże! Nie pomyślałem! Przecież nie wpuszczą nas do samolotu z tym majdanem! A jeszcze mamy przecież ruinę kufra. To wszystko zabytki. Na wywiezienie tego z Francji powinniśmy mieć zezwolenie lokalnych władz konserwatorskich.

W pokoju hotelowym na moment zapadła cisza.

– Do diabła! – Johann spojrzął na pakę z archiwaliami – Jesteś pewien?

Igor pokiwał głową.

– No oczywiście – potwierdził Dermot. – Tutaj są dokumenty z osiemnastego wieku. Nikt nas z tym nie wypuści. A w dodatku nie wiemy, czy ten prawnik kochanka ciotki Igora w końcu nie zawiadomił policji.

– No to co? – Gwen oderwała wzrok od głównego tematu aktualnego wątku i spojrzała na Johanna. – To może wyślemy to jakimś kurierem jutro rano? Nikt tego nie będzie sprawdzał.

– Nie wiadomo. – Dermot pokręcił głową. – Przez zasrany brexit mogą teraz prześwietlać na granicy takie przesyłki.

– No to jedziemy do Londynu – odezwał się nagle Jamie, a widząc

pytające spojrzenia, dodał wyjaśniająco: – W sensie, że samochodem przez kanał.

W pokoju ponownie zapadła cisza.

– Tym samochodem? – dopytała w końcu Gwen.

– Możemy w Paryżu spróbować wymienić go na inny, ale pewnie znowu na sześć osób niczego nie znajdziemy. A ten w Londynie oddamy do jakiegoś ich przedstawicielstwa. Poza tym co się czepiasz? Jedzie? Jedzie.

Johann pochylił się nad telefonem.

– Z Calais do Dover – uprzedził go Jamie – promy płyną co półtorej godziny.

– Pięć godzin do Paryża, potem trzy do Calais i razem z promem trzy do Londynu. – Dermot policzył na palcach. – W sumie jakieś dziesięć, jedenaście godzin.

– Ale na promie nikt nie będzie niczego sprawdzał – dodał Jamie. – Bridget jechała miesiąc temu. Trzepią tylko tirowców, na nią nawet nie spojrzeli.

Johann nagle się skrzywił.

– Ale jazda z tymi dokumentami komplikuje całą sprawę.

– Co znowu? – Dermot rzucił w niego poduszką.

Johann zasłonił się i poduszka spadła na ziemię.

– Jeśli naprawdę naślą na nas policję, to nawet jeśli udowodnimy, że do zamku zaprosiła nas Bernadette, to korowody z zabytkowymi dokumentami i służbami konserwatorskimi będą się ciągnąć przez pół roku. Pół roku? Co ja mówię? Przecież jeśli de Aimemente pójdzie do sądu, to w życiu nie odzyskasz tych archiwaliów.

Johann podniósł brwi i spojrzął na Igora znacząco.

Pół godziny później młoda recepcjonistka z Bułgarii nieco zdziwiona, ale ze stoickim spokojem odebrała klucze od dziwnego towarzystwa, które dopiero co wносиło manele do swoich pokoi, a po upływie niecałej godziny wносиło je z powrotem. Oczywiście zdarzało się, najczęściej poza sezonem, że wpadały tutaj przeróżne pary i rozmaite grupy gości.

W wiadomym celu. Ale nie pamiętała, żeby komuś udało się ogarnąć te sprawy tak błyskawicznie.

Volkswagen wytoczył się z hotelowego parkingu, wzbudzając zainteresowanie kilku gości, którzy stali akurat z papierosami przy tylnym wyjściu z restauracji.

– Jeśli pół godziny temu w ogóle nikt nie wiedział, że tu jesteśmy, to teraz już wie cały hotel – mruknął niezadowolony Dermot, który był jednym z nielicznych przeciwników koncepcji gwałtownej ucieczki z hotelu. –

A jutro połowa miasta będzie mówić o jakichś podejrzanych typach i dziwnych facetach, którzy zmyli się pod osłoną nocy.

– Część będzie twierdzić, że nie zapłaciliśmy – mruknął Igor.

– A kilka godzin później ktoś sobie przypomni, że widział, jak z jakiejś paki kapła krew – dorzucił Jamie.

– Czyli sami widzicie, że wyjazd był absolutnie konieczny – skwitował kreatywnie Johann.

– Jak wy mnie czasami denerwujecie... – westchnęła Gwen.

Odwróciła się do okna i wbiła wzrok w ciemność.

Mikrobus mijał właśnie uśpioną wieś Nuaille-d'Aunis. Po chwili pogrążone we śnie zabudowania zostały z tyłu.

Wzdłuż szosy rozciągały się całkowicie jeszcze ciemne przestrzenie pól i winnic.

– Kto to był Ferdynand? – Karen spojrzała na Igora.

Od kilku chwil siedziała pochylona nad starą księgą z kufra cioci Jadwini, w którą powkładane były jakieś akta i dokumenty.

– Nie mam pojęcia – odparł Igor.

– A Anastazja?

– No skąd ja mam wiedzieć takie rzeczy? O co ty mnie pytasz?

– No babcia mówiła właśnie... – Karen, zawiedziona, pokiwała głową.

– Co mówiła? – spytał Igor, gdy minęła dłuższa chwila, a Karen nie kontynuowała swojej myśli. Był zły, że daje się podpuścić.

– Że nigdy nie interesowałeś się dziejami rodziny.

– I kto to mówi? – Igor prychnął z ironią. – Pewnie dopiero w tym roku dowiedziałas się w ogóle, że babcia była z domu Radecka-Mikulicz.

– Wiesz, wujek, w ogóle, co to jest?! – Karen, puszczając mimo uszu uwagę Igora, podniosła zaaferowany wzrok. – To intercyza ślubna! Tysiąc osiemset piąty rok. Jakiś Bielik...owicz, imię nieczytelne, przekazuje coś tam w posagu Ferdynandowi Aleksandrowi Radeckiemu-Mikuliczowi, synowi Jana Teodora. – Karen pochyliła się nad pożółkłym pergaminem, usiłując odczytać coś więcej. – Podczas temu starodubowskiemu i połockiemu... chyba... To wszystko jest kompletnie nieczytelne – stwierdziła i westchnęła.

– Nie coś tam, tylko jakiś majątek. – Igor wskazał palcem niewyraźny zapis w starym dokumencie. – To akurat pamiętam. Jeszcze babcia Maria opowiadała. Że jakiś majątek najpierw dostali w posagu Bielikowiczowie od Butlerów, a potem Radeccy-Mikuliczowie od Bielikowiczów. Czyli przez ponad trzysta lat należał do rodziny. Zobacz, tu jest nawet podana wartość, dwadzieścia pięć tysięcy talarów.

– To wtedy dużo było?

– Nie mam pojęcia. – Igor wzruszył ramionami.

Karen sięgnęła po telefon i otworzyła przeglądarkę.

– Talar bity w Polsce w czasach Księstwa Warszawskiego miał mniej więcej wartość talara niemieckiego – przeczytała. – Czyli równą sześciu złotym polskim. To mi dalej nic nie mówi – stwierdziła z westchnieniem.

– Wartość pieniądza historycznie ustanawia się na podstawie porównania cen za ten sam produkt. Czyli na przykład ile kosztuje dzisiaj, a ile kosztowała pod koniec osiemnastego wieku krowa. Jak znajdziesz cenę krowy w tysiąc osiemsetnym, to będziemy wiedzieć, ile warte były wtedy nasze włości.

– Masakra... – westchnęła po raz kolejny Karen.

– O czym wy tak rozmawiacie? – zainteresował się Johann. – Usłyszałem Butler?

Genealogiczne rozważania Karen i Igor prowadzili po polsku, więc poza hrabiowskim nazwiskiem cała reszta była dla wszystkich pozostałych kompletnie niezrozumiała.

– Butler – przytaknął Igor. – Oni chyba dotarli na Litwę przez Prusy.

Z Anglii.

– Butlerowie nadal żyją w Anglii. – Johann spojrział z zainteresowaniem na dokumenty, które trzymała w ręku Karen. – To irlandzka rodzina, earlowie.

– No proszę. – Karen pokiwała głową. – Tego chyba nawet babcia nie wiedziała.

– Wiedziała, wiedziała. Nie doceniasz jej. – Igor uśmiechnął się ironicznie. – Tylko że jeszcze chyba do tego nie dotarła w rozmowach z tobą. Ta gadanina zajmuje potworną ilość czasu. A co do Butlerów... – powiedział i spojrział na Johanna. – Według legendy po jakimś irlandzkim powstaniu wyemigrowali do Niderlandów i Prus, a potem przyłączyli się do Zygmunta Trzeciego Wazy w wojnie polsko-szwedzkiej.

– Tych irlandzkich powstań było od groma – włączył się Dermot. – Moja rodzina też ma korzenie irlandzkie. Ale to w takim razie musiało chodzić o powstanie, które wybuchło w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym czwartym, nazywane później powstaniem wielkich rodów. Po jego upadku Anglia praktycznie już całkowicie podbiła Irlandię, a wiele rodów rzeczywiście udało się na emigrację.

– To ci nasi Butlerowie wpadli z deszczu pod rynną – podsumował ironicznie Igor. – Trafili do Rzeczypospolitej tuż przed jej upadkiem, a potem mieli znowu powstanie za powstaniem.

– Tylko zamiast Angoli mieli teraz na głowie Rosjan – dodała Karen.

– Nie każdy rodzi się w narodzie zwycięzców. – Johann wypiął pierś i uśmiechnął się błazeńsko.

Dermot wyciągnął rękę i usiłował go uderzyć, ale Johann, śmiejąc się, schował się za Gwen.

– Dobrze, że ja nie mam z tym wszystkim nic wspólnego – mruknął Jamie.

– No jak nie masz? Przecież was Angole też pokonali – przypomniał Dermot, rzucając Jamiemu szydercze spojrzenie. – Stuartowie robili, co mogli. Spisywaliście się nieco bardziej heroicznie, trzeba wam to przyznać, ale koniec końców, i tak Angole was posuwają.

– Ja nie jestem ze zdegenerowanej arystokracji, która zawsze się między

sobą wyrzynała, tylko ze zwykłych mieszczan. A jak o posuwaniu mowa, to my przynajmniej nie jesteśmy wyznawcami sekty watykańskiej.

– Bo kalwini to rzeczywiście samo dobro.

– Żaden z was nie był w kościele od czasów szkolnej wycieczki do katedry westminsterskiej – zakpiła Gwen.

– À propos... – Igor, śmiejąc się, spojrzał na Karen. – Radeccy-Mikuliczowie też byli kalwinami, ale na początku dziewiętnastego wieku zaczęli pragmatycznie przechodzić na katolicyzm.

– A Flemingowie to z kolei luteranie. I nie są przypadkiem z Niderlandów?

– Oczywiście. – Igor pokiwał głową. – W średniowieczu z Flandrii trafili na Pomorze Zachodnie, a z Pomorza do Polski.

– I tyle właśnie warte są idee i obsesje narodowe – podsumował Dermot, spoglądając na Karen i Igora w lusterku wstecznym. – Nabzdyczony patriotyzm i nacjonalizm, które nawet już trudno odróżnić. Tymczasem Europa w rzeczywistości stanowi tygiel narodowości, a krew już dawno całkowicie się wymieszała.

Samochód wjechał właśnie do kolejnego uśpionego miasteczka, minął pogrążone w ciemności zabudowania i wjechał w mroczną strefę lasów, które ciągnęły się po obu stronach szosy.

*

Mokotów około godziny trzeciej nad ranem był pogrążony we śnie. Stare domy Wierzbna, przycupnięte pod wielkimi koronami drzew i powciskane pomiędzy nie budynki z rozmaitych okresów stały sobie cicho w mroku podkreślonym przez palące się latarnie.

Na balkonie jednego z nowszych bloków przy ulicy Wejnerta stał w samych spodenkach Patryk i usiłował znaleźć odrobinę chłodu w rozgrzanym i nieruchomym powietrzu.

Położył się późno. Do pierwszej siedział nad papierami, którymi zarzucił go Łaniewski, a gdy w końcu stwierdził, że czas spać, upał spowodował, że przewracał się z boku na bok w oczekiwaniu na sen, który nijak nie chciał przyjść.

Najpierw wziął Kindle'a i powrócił do czytania tysiącstronicowej powieści, którą męczył od dwóch bez mała lat, z przerwami na inne lektury, mając nadzieję, że zmorzy go zmęczenie. Niestety efekt był taki tylko, że światło lampki przyciągnęło mnóstwo małego latającego cholerstwa, które zaczęło mu bzyczeć nad głową.

Wstał zatem, zgasił światło i wyszedł na swój maleńki balkonik osłonięty rozrośniętymi konarami dwóch świerków.

Pomyślał, że jeśli nie zaśnie przynajmniej na tych kilka godzin, które zostały mu do świtu, to jutrzejszy dzień także będzie miał zepsuty. Przeżyje jakoś jak zombie na dwóch, trzech red bullach, które dodadzą mu skrzydeł, a wieczorem padnie trupem.

Na balkonie stała skrzynka po wódce, prezent imieninowy chyba sprzed dwóch lat. Kopnął ją od niechcienia i przypomniał sobie nagle dwie inne skrzynie. I ich dwie urocze właścicielki. Jedną szczególnie. A zaraz potem pomyślał znowu o pewnym dziwnym zdarzeniu, które dręczyło go od kilku dni.

W poniedziałek, dwa dni po tym, jak odwiózł Karen i jej babcię na lotnisko, przyszedł do pracy trochę spóźniony. Była może ósma. Ledwie usiadł przy swoim kieracie, gdy wezwał go Łaniewski.

– Wiesz, że to są prywatne dokumenty? – spytał chłodnym tonem, gdy tylko Patryk stanął w drzwiach jego gabinetu. – Mało ważne wprawdzie stare szpargały, ale mimo wszystko tam są akty ślubów, urodzin, akty własności...

– O czym ty mówisz? – Patryk spojrzał na szefa trochę nieprzytomnie.

– O tym! – Łaniewski rzucił na biurko czarną skrzynkę.

– Skąd to wzięłeś? – Patryk zrobił w pamięci szybki przegląd tego, co robił ostatnio z tym dyskiem. Wyszło mu, że niewiele. Po otwarciu testamentu pokazał zawartość pani Fleming i to wszystko... Gdzie to było? Zaraz jak notariusz sobie poszedł...

– Joanna znalazła to na stole w sali konferencyjnej – wycedził Łaniewski z lodowatym uśmiechem.

– Jak to? – Patryk dałby sobie głowę uciąć, że wpakował dysk do swojego biurka i zamknął na klucz. – Niemożliwe. Na pewno...

– Skoro Kamińska to znalazła, to nic nie jest na pewno – przerwał mu Łaniewski. – Zabierz to i schowaj. Niektóre z tych dokumentów będą nam potrzebne do sprawy Willi Róż. Przychodzi tu mnóstwo klientów, wystarczyłoby, żeby ktoś to zwędził i na przykład gdzieś opublikował. Ta Fleming może i wygląda na nieszkodliwą paniusią, ale mam wrażenie, że jak przyszóby co do czego, to potrafiłaby nieźle zajść za skórę.

Patryk westchnął i wytarł twarz wierzchem dłoni. Podniósł się i począpiał do siebie. Takie są właśnie efekty niedosypiania i dobijania się red bullem.

*

Dermot zwolnił i pozwolił się wyprzedzić jakiemuś błyskającemu długimi światłami mercedesowi. Samochód pognał w ciemność, zostawiając za sobą kilwater z deszczu.

– I ciągle pada... – westchnęła sennie Gwen.

– I co z tego? – warknął Johann. – Przecież nigdzie nie wysiadamy.

Sięgnął po swój telefon i otworzył przeglądarkę.

– No proszę, w Paryżu jest ładna pogoda – powiedział radośnie i zaczął szperać w telefonie. Sprawdził Facebook, kręcąc głową z politowaniem, gdy zobaczył swoje zdjęcie z kościoła Inwalidów, na którym zadziera głowę do góry, wstawił je i oznaczył Jamie. Zajrzał z nudów na Instagram i dopiero gdy chciał schować telefon, zauważył, że ma nieodczytaną wiadomość.

Otworzył esemesa i zamarł na moment.

Uruchomił jedną z aplikacji i powoli zaczął przesuwać kursorem wzdłuż spisu dat i godzin. Zatrzymał się przy godzinie dwudziestej pierwszej sześć. Wczorajszego wieczoru.

– A to co, do diabła? – mruknął do siebie.

– Co się stało? – Igor podniósł wzrok.

Dermot spojrział w lusterko.

– Dostałem wiadomość, że wczoraj wieczorem ktoś wchodził do mojego mieszkania. Po dwudziestej pierwszej.

– Może to Irene? – Dermot wzruszył ramionami i włączył kierunkowskaz, sugerując kolejnemu niecierpliwemu kierowcy, że może ich wyprzedzić.

– Nie wiem. – Johann zagryzł wargi. – Ona zawsze uprzedza mnie, że czegoś chce. Jest po trzeciej, nie będę przecież o tej porze dzwonił.

– No jedź, baranie! – warknął Dermot, wpatrując się w lusterko wsteczne. – Wlecze się z tyłu i mruga światłami.

– A kto ci przysłał tę wiadomość? – zapytała sennie Karen. – Ochrona?

– To system inteligentnego zarządzania. Odnotował, że ktoś wyłączył alarm i wszedł do mieszkania, i wysłał mi powiadomienie.

Wnętrze samochodu zalały nagle światła jadącego z tyłu auta.

– No co za baran! – Dermot wcisnął klakson i migacz.

– Może to po prostu jakiś błąd. Na przykład nie było przez moment prądu. – Igor obejrzał się za siebie. – Jedzie za nami?

– Takie rzeczy się nie zdarzają. – Johann schował komórkę do kieszeni. – Pewnie jednak matka. Zadzwońię do niej, jak dojedziemy do Paryża.

Światła nagle zjechały w bok, a jadący z tyłu samochód przyspieszył i zrównał się z busikiem. Ktoś z wnętrza wysunął legitymację i skinął do Dermota, żeby zjechał na pobocze.

– Do diabła! – warknął Dermot. – Przecież tym nie da się jechać za szybko.

– Tylko z nimi nie dyskutuj – ostrzegła Gwen, wyglądając z niepokojem przez okno. – Francuska policja jest wredna. Mają prawo cię nawet zabić, jeśli stwierdzą, że jesteś agresywny.

– A to nie powinni być żandarmi?

– We Francji prawo do zatrzymywania i kontroli ma nawet Legia Cudzoziemska. – Jamie uważnie obserwował samochód, który ich wyprzedził, a następnie zaczął zwalniać.

Dermot wrzucił kierunkowskaz i powoli zjechał na pobocze. Samochód, czarny jeep cherokee, zrobił to samo i zatrzymał się kilkanaście metrów przed nimi.

Z wnętrza wysiadło dwóch mężczyzn. Rozejrzeli się dookoła. Każdy z nich miał na głowie głęboko nasuniętą czapkę z daszkiem. Coś do siebie powiedzieli i ruszyli w kierunku mikrobusu.

– Coś tu jest nie tak... – mruknął nagle Jamie i poruszył się nerwowo.

– Co jest nie tak? – Dermot spojrział na niego zaniepokojony.

– Nie wystawili światła na dach, a powinni. – Jamie pochylił się, usiłując dostrzec coś przez przednią szybę. – I nie mają mundurów!

– Nie muszą mieć mundurów. – Gwen wyjrzała zza fotela Dermota, patrząc na drogę oświetloną światłami obu samochodów.

– To powinni mieć opaski na rękawach.

Dwaj mężczyźni byli już o kilka metrów od samochodu.

– To nie jest żadna policja! – krzyknął nagle Jamie.

– Co ty gadasz?! – Dermot spojrział na niego ze złością.

– Jedź! – wrzasnął Jamie. – To jakieś bandziory! Jedź, do diabła!

Dermot, poruszony dzikim wrzaskiem Jamiego, złapał za kierownicę i gwałtownie wrzucił bieg. Busik w miarę swoich bardzo ograniczonych możliwości szarpnął jednak i zjechał na jezdnię. Dwaj mężczyźni, zaskoczeni, na chwilę znieruchomieli, po czym rzucili się biegiem w ich kierunku, wyciągając coś z kieszeni.

– Co wy robicie?! – Przerazona Gwen odwróciła się i usiłowała dojrzeć coś przez tylną szybę. Volkswagen minął jeepa, z którego wyskoczyła nagle jakaś postać i wyciągnęła złączone dłonie w kierunku oddalającego się samochodu.

– Pochylcie się! – krzyknęła Gwen, rzucając się na siedzenie.

Usłyszeli nagle głośny huk i okno z tyłu samochodu rozprysło się na kawałki.

– Jezus Maria! Strzelili do nas! Zaraz nas dopadną – jęknął Jamie.

Dermot przycisnął pedał gazu do oporu. Samochód z protestacyjnym warkotem przyspieszył.

W oddali widać było, jak mężczyźni wskakują do jeepa.

– Musimy skręcić do jakiejś wsi. – Johann wyjrzał na drogę zza pleców Dermota. – Tutaj nas dorwą i po krzyku.

– Za trzysta metrów będzie skręt w lewo. Tam jest jakaś wiocha – krzyknęła Karen, pochylona nad mapą w Google.

– Co to za ludzie?! – Gwen, przerażona, wciąż wpatrywała się w tylne

okno, za którym w oddali majaczyły światła jeepa. – Co spodziewali się ukraść z takiego samochodu?

– Może kradną właśnie takie zabytkowe samochody? – krzyknął Jamie ze wzrokiem wbitym w lusterko boczne.

– I strzelają? – Dermot spojrział na niego z powątpiewaniem.

– A co to za problem wstawić potem okno!

W tylnej szybie powoli zaczęły rosnać światła ścigającego ich jeepa.

Od głównej szosy odbijała w bok boczna droga, przy której stała tablica informacyjna z nazwą miejscowości. Dermot gwałtownie skręcił w lewo, a busik, piszcząc żałośnie oponami, wpadł na wysadzany drzewami zjazd do miasteczka. W oddali majaczyły światła pierwszych zabudowań.

– Dzwonię na policję! – Gwen sięgnęła po komórkę. – Co to za miasto?

– La Laigne – odpowiedziała Karen, spoglądając na ekran telefonu.

Światła jeepa pojawiły się na szosie przed zakrętem i po chwili zaczęły powoli, ale nieubłaganie zbliżać się do rufy busiku.

Droga nagle odbiła w prawo, a za zakrętem pojawiły się pierwsze domy, tonące w zieleni ogromnych starych drzew porastających pobocza drogi.

Dermot przycisnął pedał gazu i samochód wpadł na roгатki.

– Skręć gdzieś! Pod jakiś dom! – Jamie co chwila nerwowo się odwracał, śledząc światła jeepa.

Dermot nagle przesunął dźwigienkę i światła ich samochodu zgasły.

– Zwariowałeś! – krzyknęła Gwen, z telefonem przyklepionym do ucha. – Rozbijemy się!

Po obu stronach drogi zaczęły wyrastać zabudowania. Domy z okiennicami w kolorze lawendy, stodoły i wielkie garaże. Spomiędzy zabudowań wystawała, na szczęście rzęsiście oświetlona, wieża kamiennego kościółka, a zaraz obok odbijała w bok boczna uliczka, schowana za wysokimi kamiennymi murami ogrodów.

Dermot gwałtownie zakręcił i busik prawie wychylając się od pionu, wpadł pomiędzy ogrodzenia i podskakując na bruku, potoczył się w kierunku kościoła. Tuż przed bramą prowadzącą na teren świątyni zakręcała kolejna wąska droga, a od niej w bok widać było wjazd prowadzący na plebanię.

Dermot szarpnął kierownicą i samochód, prawie ocierając się o granitowy mur, wpadł na podjazd i z piskiem zatrzymał się przed bramą garażu.

Na drogę z trzaskiem spadły gałęzie rozrośniętych nad podjazdem konarów drzew, połamanych przez dach samochodu.

W samochodzie zapanowała na moment kompletna cisza. Cała szóstka na wszelki wypadek przestała nawet oddychać.

Minęło może pięć minut, gdy Johann jako pierwszy zdecydował się odezwać.

– Dodzwoniłaś się do tej policji? – Spojrzał na Gwen, która pokręciła głową.

– Cały czas było zajęte.

– Chyba pojechali dalej. – Karen wyrzała przez zbitą tylną szybę.

– Zorientują się od razu, że schowaliśmy się pomiędzy domami. – Dermot cały czas trzymał ręce na kierownicy.

– Może zapukamy do tej plebanii? – Jamie spojrzął na drzwi schowane w gęstwinie pnączy porastających ściany kamiennego budynku.

– Jest po czwartej! – odezwał się z wahaniem w głosie Igor.

– To co z tego? To wyjątkowa sytuacja. Klecha pośpi kiedy indziej.

Gwen zaczęła nagle mówić coś gorączkowo po francusku. Kilka razy rozejrzała się dookoła samochodu, po czym ze zniecierpliwieniem powtórzyła nazwę miejscowości.

– I co? – zapytał Johann, gdy skończyła rozmowę.

– Przyślą tu kogoś z La Rochelle.

– Z La Rochelle?! – jęknął Jamie. – To pół godziny, a żabojady pewnie się śpieszyć zanadto nie będą.

– Powiedziała, że do nas strzelali.

– Idę do księdza. – Jamie otworzył drzwi.

– I co mu powiesz? – scenicznym szeptem zawołał za nim Dermot. – Że czego my chcemy?!

– Że chcemy poczekać do przyjazdu policji! – odpowiedział kategorycznie Jamie i trzasnął drzwiami. Przebiegł truchtem przez zarośnięty ogród i stanął

przed wejściem na plebanię.

– Ja bym na miejscu tego księdza nie otwierała. – Gwen spojrzała na zegarek. – Głupi by był, gdyby to zrobił. Na jego podjazd wpada nad ranem jakiś grat bez świateł, a teraz ktoś się dobija. Pewnie ksiądz ukrył się gdzieś i dzwoni właśnie na policję.

– Tym lepiej – wtrąciła Karen. – Może szybciej przyjadą.

Po kilku minutach Jamie wrócił.

– Nikt nie otwiera – rzucił. – Nawet światło się nie zapaliło.

– A nie mówiłam? – westchnęła Gwen.

– I będziemy tak siedzieć? – zniecierpliwiał się Johann, gdy minęło kolejnych kilka minut.

– A masz inne wyjście? – burknął Dermot. – Gdyby chociaż ten grat tak się nie rzucał w oczy.

Pół godziny później usłyszeli jakiś samochód, który wolno przejeżdżał główną ulicą miasteczka. Wszyscy ponownie wstrzymali oddech.

– To oni? – szepnął Johann.

– Może policja? – syknęła z nadzieją w głosie Gwen. – Może się rozglądają?

Jakby na potwierdzenie jej słów rozległo się krótkie szczeknięcie policyjnej syreny.

– Powiedziałaś im, że stoimy przy kościele? – Igor spojrzał na Gwen.

– Powiedziałam, że stoimy przy plebanii.

– Nie mogą trafić?

– Może plebania jest jednak gdzie indziej, a to jest jakiś inny budynek?

Warkot silnika policyjnego samochodu zaczął się oddalać.

– Boże! Co za koszmar! – Gwen sięgnęła po telefon. – Zadzwonię do nich.

– Jedziemy! – Dermot zapalił silnik. – Dogonimy ich. Tu jest tylko jedna główna ulica. Nie możemy się przecież minąć.

Busik powoli wyjechał z podjazdu i skręcił na uliczkę dojazdową do głównej drogi. Dermot zatrzymał się na moment i wyjrzał. Po samochodzie

policyjnym nie było śladu.

– Muszą tędy wracać – odezwała się Karen, spoglądając na mapę w Google. – Nie ma innej drogi.

– Jadę! – Dermot wyjechał na drogę.

Samochód minął domy w centrum miasteczka, przemknął pod rozłożystymi konarami dębów koło jakiegoś starego budynku i po chwili znalazł się na końcu miejscowości.

Dermot rozejrzył się na boki.

– Tam dalej jest już wyjazd na szosę.

– Dyżurna właśnie do nich dzwoni. – Gwen rzuciła telefon na siedzenie. – Co za matole!

– Jedziemy! – Dermot przyśpieszył. – Jeżeli policja tędy przejeżdżała, to pewnie ci bandyci ich usłyszeli i dali sobie spokój. Poza tym parę kilometrów dalej jest następna wiocha.

Volkswagen minął kilka ostatnich domów, przy których paliły się latarnie, zostawił za sobą tablicę zegnającą przyjezdnych i wjechał w mrok drogi dojazdowej do głównej szosy.

– Ile zostało do autostrady? – zapytała Gwen, gdy dookoła ponownie zapanowała kompletna ciemność i tylko reflektory wycinały z niej fragmenty asfaltowej drogi.

– Dwadzieścia minut – mruknął Dermot, spojrzawszy na panel nawigacji.

– Tych samochodów nie jest już aż tak dużo – odezwał się po chwili Johann. – Może rzeczywiście kradną je na części. Chyba już nikt ich nie produkuje.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wpatrując się w wyłaniającą się z ciemności drogę przed samochodem.

– Nie uważasz, że to jednak dziwne z tym twoim mieszkaniem? – odezwała się nagle Karen.

– A co konkretnie?

– Ściągałeś ostatnio jakąś pocztę przez komórkę?

– No bez przerwy to robię.

– Może ktoś ci zhakował telefon?

– A właśnie! – przytaknął Dermot. – Masz przecież do tego aplikację. Cały ten gówniany system inteligentnego domu. Zaraz się okaże, że ci obrobili chatę.

– Przestań krakać – ofuknęła go Gwen i spojrzała na Johanna. – Może jednak zadzwoń do ochrony?

Spomiędzy porastających pobocze drzew w mroku rozjarzyły się nagle światła. Dermot, kompletnie zaskoczony, zaklął i odruchowo nerwowo skręcił.

Samochód wpadł na sąsiedni pas i z piskiem opon wrócił.

Z krzaków wypadł na drogę wielki ciemny kształt i natychmiast znalazł się za nimi.

Długie światła oślepiły Dermota, a zaraz potem rozległ się huk.

Bus wpadł w poślizg i zaczął się miotać po drodze jak ranne zwierzę. Koła złapały nagle pobocze i samochód wypadł z drogi. Przejechał tak jeszcze z kilkanaście metrów, po czym zatrzymał się, szorując bokiem o jakieś rozrośnięte krzaki.

Nikt nie zdążył nawet zareagować.

Czarny jeep stanął tuż za nimi, a zaraz potem ktoś szarpnął drzwi busa, które z hukiem się otworzyły.

– Wysiadać! Wszyscy! – wrzasnął typ w kominiarce. W rękę trzymał pistolet. Machnął nim ostrzegawczo.

Najpierw z przodu wysiadł Dermot, a po chwili przez boczne drzwi wszyscy pozostali.

– Przeszukaj ich manele! – krzyknął typ do swojego towarzysza, który, nie czekając, wskoczył do środka. Po chwili z wnętrza dobiegł hałas przerzucanych bagaży.

Przez chwilę wszyscy stali, mierząc się wzrokiem.

Karen zdała sobie sprawę, że wydarzenia potoczyły się tak błyskawicznie, że nawet nie miała czasu, żeby się porządnie przestraszyć. Rzuciła okiem na tablicę rejestracyjną. Była oczywiście kompletnie czymś zamazana. Nagle dotarło do niej, że mężczyźni mówili po angielsku. Dlaczego francuscy

złodzieje mówią po angielsku?

– Jest! – Ten, który przed chwilą zanurkował do wnętrza busa, stanął na progu, triumfalnie trzymając w ręku torbę.

Zeskoczył i podszedł do drugiego z bandziorów.

– Pod siedzeniem leżą szczątki skrzyni – mruknął cicho.

– Jebać je – warknął mężczyzna z pistoletem. – Po co nam one.

Jego kolega dźwignął torbę i chciał ją wrzucić na tylne siedzenie jeepa, ale kumpel złapał go za rękę.

– Komórki! – krzyknął do zastygłej ze zgrozy szóstki i machnął pistoletem. – Tutaj!

Dermot, który stał najbliżej, sięgnął do kieszeni.

– Powoli! – warknął typ i wycelował w niego broń.

Dermot podniósł obie dłonie do góry i wskazał oczami wypchaną kieszeń dzinsów. Powoli wyjął komórkę i rzucił ją do wnętrza torby.

Po chwili torba wraz z dopiero co odzyskanymi archiwaliami z polskich kresów oraz sześcioma telefonami wylądowała we wnętrzu jeepa. Mężczyzna wciąż celował do nich z pistoletu, gdy drugi wyjął broń i przestrzelił jeszcze dwie opony w nieszczęsnym busiku.

Obaj mężczyźni cofnęli się, nie spuszczać z oczu Dermota, który według nich wyglądał chyba na najniebezpieczniejszego z całej szóstki, i wskoczyli do samochodu.

Jeep warknął, wyskoczył na jezdnię, syjąc pod kół ziemią i żwirem, i po chwili jego tylne światła zaczęły się błyskawicznie oddalać.

– Boże! – Gwen, która w czasie całego incydentu prawie nie oddychała, głośno wciągnęła powietrze i powoli oparła się o starego volkswagena.

– Do diabła! – zaklął Dermot. – Ktoś spojrzał na rejestrację?

– Ja – odezwała się Karen. – Wysmarowali ją czymś.

– No oczywiście! Dranie!

– Karen! – Igor, który odzyskał głos, spojrzał surowo na siostrzenicę. – Nie wolno ci pod żadnym pozorem wspomnieć o tym wszystkim babci. Matce też nie. Natasza by mnie zabiła.

Karen zagryzła wargi. Miała wrażenie, że od jakiegoś czasu pomiędzy nią, babcią i Igorem rośnie liczba spraw, o których jedno nie może mówić drugiemu. W rozmaitych konfiguracjach.

– Właściwie to ja powinnam ci o czymś powiedzieć – przyznała i westchnęła.

– O czym? – Igor momentalnie się zaniepokoił. – Co znowu?

Karen przeszła na angielski i opowiedziała o wydarzeniach w Warszawie, a ściśle rzecz biorąc, o wydarzeniach na komendzie w Mińsku Mazowieckim.

Gdy skończyła, na poboczu zapadła cisza.

– Prokurator pytał cię o archiwalia z tych cholernych kufrów? – Igor przesyłabizował całe zdanie z niedowierzaniem.

– Nie wiem, kto to był tak naprawdę. – Karen wzruszyła ramionami. – Był w cywilnych łachach, w gajerze. Ale skoro policja go tam wpuściła, to kim niby miałyby być?

– Zatrzymali was w czasie jakiegoś protestu i nagle pytają o te dokumenty? – Johann patrzył na Karen z malującym się na twarzy osłupieniem.

– Potem pomyślałam sobie, że ktoś musiał nas śledzić. – Karen odgarnęła włosy. – Ale to wydawało mi się tak bardzo nieprawdopodobne, że dałam sobie spokój z tą teorią.

Johann oparł się o drzwi busa.

– Właśnie ukradli archiwalia z kufra waszej ciotki – powiedział dobitnie. – W Warszawie prokuratura wypytuje o archiwalia z kufra waszej drugiej ciotki. Kilka dni temu włamali się do naszej bazy na Riverside, a wczoraj ktoś wślizgnął się do mnie do domu, bo teraz nie mam już co do tego żadnych wątpliwości. No i do tego jeszcze ci podejrzani ludzie, którzy podawali się za waszych krewnych i wypytywali o kufry w Montresor. Trzeba być ślepym, żeby nie dostrzec, że to wszystko jedna i ta sama sprawa.

– C.Seekers? Sokołów? – odezwał się posepnie Dermot.

– Co takiego? – Karen spojrzała pytająco na Igora.

– Potem ci powiem – odparł zniechęcony Igor.

Johann pokręcił głową.

– Wpakowaliśmy się w kłopoty i nie wiemy nawet, o co chodzi.

– Odpowiedź musi być w tych starych dokumentach. – Gwen usiadła na progu w drzwiach samochodu. – To był jednak dobry pomysł, żeby je zabrać od ciebie.

Johann pokiwał głową. Przypomniawszy sobie, jak przed wyjazdem wymyślili, żeby na wszelki wypadek przetaszczyć kufry kilka mieszkań dalej, do zaprzyjaźnionego sąsiada.

W oddali rozległ się nagle dźwięk syreny i po chwili na poboczu obok busiku zatrzymał się policyjny peugeot.

– Rychło w czas – mruknął pod nosem Jamie.

Rozdział 18

Dawno, dawno temu...

14 Julija 1812

N*ajukochańsza moja Kuzynko i Przyjaciółko!*

Będąc pomną naszych młodzieńczych lat w przepięknym Twoim ojcowskim Krasławiu, mam nadzieję, że nadal Ciebie tak tytułować mogę.

Trzy lata upływają właśnie od smutnej tej rocznicy, gdy ojciec ukochanego mego Monroia zmarł od zgryzot w swojej myśliwskiej samotni w Albinowie. Ale będąc pomną, że ta rocznica dla rodziny pana cześnika radosną może się zdawać, przeto podziękować Panu Bogu naszemu jedynie należy, że mój Monroi zdołał do ładu dojść ze wszystkimi i że zgoda w powiecie zapanowała po latach tych waśni i sporów, które jeszcze dziad jego rozpoczął, a które niczym Montekich i Kapuletich nasze rodziny rozdzieliły. Wspomnieć ze skromnością muszę, że rękę do tego szczęśliwego końca przyłożyłam.

Jak wiesz pewnie, od początku wydarzeń tych straszliwych, które na Litwę spadły przez wojnę, którą cesarz Francuzów Imperatorowi Aleksandrowi wypowiedział, całym sercem, jak i całe zastępy krajan naszych, stoję po stronie Bonapartego. On jeden jest gwarantem, że Rzeczpospolita znowu się odrodzi. I w tej sprawie, chociaż może nie aż tak ważnej jak wskrzeszenie ojczyzny, ale tak samo bolesnej dla mnie samej, właśnie do Ciebie piszę, droga kuzynko.

Dni temu raptem kilka stał u nas z wojskiem marszałek Michaił Bogdanowicz, z całą armią swoją cara Aleksandra. Straszliwie dłużyła się nam wszystkim tutaj ta wymuszona gościna, a i porządki wojskowe, które spadły na dom i służbę, bokami już wszystkim wychodziły. Nie wspomnę nawet o szkodach straszliwych, które żołdacy po sobie zostawili. Ograbione wsie, folwarki splądrowane, popalone ziemie leżą odłogiem. Kraj ten czyni

wrażenie pustyni raczej aniżeli ziemi zamieszkaney. A doszło to wszystko w tak nieszczęśliwym momencie kłopotów i rozpaczego stanu finansów z zaległymi skarbowymi długami i ciągłymi prośbami o prolongaty.

Trzy dni po carskim marszałku na ziemie nasze wdarł się następny okupant, także marszałek, tylko francuski obecnie, i z całym swoim wojskiem zajął Opse, a w domu naszym sztab sobie urządził. I tak jakem przychylna Bonapartemu, tak znowu boleć musiałam nad kolejnemi zniszczeniami w gospodarstwie. Ale marszałek francuski, książę Bergu i król Neapolu w jednym, to zupełnie inna postać aniżeli imć pan Barclay de Tolly. Mój kochany Monroi, pomimo jego innych zalet niewątpliwych tak charakteru, jak ducha, zawsze wydawał mi się nad wyraz wdzięcznej powierzchowności, ale porównać go do pana Joachima to jak słusznej i dobrej rasy konia porównać do arabskiego ogiera. Pisząc to, sama się zawstydziłam, a co dopiero Ty, moja droga kuzynko. Aż boję się pomyśleć, co Ty o mnie sądzić będziesz. Ale pan marszałek tak mi nadskakuje, takie dusery prawi, poematy mi całe wypisuje i pieśni śpiewa, a co dzień kwiaty z ogrodu przynosi, że cały czas boję się, że mój Monroi straci w końcu cierpliwość i jakimś strasznym dramatem wszystko to się skończy.

Tuszę, że bracia Twoi uniknęli tych strasznych kłopotów z frontem związanych, a piękny Krasław stoi nietknięty. Doszły nas słuchy albowiem, że bardzo wiele domów na Wileńszczyźnie zdruzgotanych zupełnie. Wojska Napoleona, mimo że wolność nam przynieść mają, bardzo źle poczynają sobie niekiedy. Napisz, kuzynko droga, jak obecna sytuacja na chateau Bouteleur się odcisnęła, bom bardzo zaniepokojona o Twoje i imć Pana cześnika losy.

Twoja kuzynka i przyjaciółka

KM

24 Julija 1812

Kochana Kuzynko Moja, bardzo mnie Twój list ukontentował i bardzom rada, że dzięki temu tyle nowinek usłyszałam z wielkiego świata. Przyjaciółką możesz mnie nazywać bez obawy, że kiedykolwiek zawiodę pokładane we mnie zaufanie. Od naszych lat młodości, gdy do rodzinnego domu mojego z Inflant zjeżdżałaś, nic się nie zmieniło.

Śpieszę Ci donieść na początku, że bracia moi gospodarują całkiem udatnie, chociaż kochanego Adasia bardziej wszelakie starożytności, archeologije i nauki ciągną anizeli ziemia, ale na szczęście są jeszcze trzej pozostali.

Przez dobrych lat kilka bawiłaś, kuzynko droga, na dworze w Petersburgu, a do Brasławia zapewne z rzadka zjeżdżałaś, zatem nie znane Ci są nasze tutaj losy. Po powstaniu kościuszkowskim bardzo wiele majątków w sekwestr poszło lub co gorsza, w konfiskatę. Dziesiątki starych, dobrych rodzin wyrzucono z domów i u kuzynów gościnnego kąta musieli szukać ci nieszczęśnicy lub na poniewierkę jechać w rozmaite strony szukać pracy jakiej. A piszę o tem, ponieważ ogromnie nas zaskoczył imć pan Ksawery, Twój, kuzynko, szambelan, który korespondencyję Twoją do mnie przywiózł. Okazało się ni mniej, ni więcej, że to kuzyn małżonka córki mojego szwagra Leonarda, któren to małżonek château Bouteleur w posagu wziął sześć lat temu. Ojcowizna pana Ksawerego poszła w konfiskatę, a starostwo olszewskie, z dawien dawna w rękach rodziny, na cara przeszło i tak biedak zmuszon został za chlebem iść, na szambelana do Ciebie, kuzynko, trafił.

Château Bouteleur, dziękować Bogu, stoi, jak stał od lat dwustu. Ale po latach gospodarowania tutaj braci dom pusty i zaniedbany i dopiero przy nowych gospodarzach wracać do świetności począł. Ale zanim renowacyje zakończyli, nawet dzierżawców znaleźć nie zdążyli, bo wojna nastąpiła, a już mocno go nadwerężyli kawalerzyści króla, któren to także w drodze na Brasław i tu się zatrzymał, ale na tak urokliwe towarzystwo jak Twoje, kochana kuzynko, w opuszczonym naonczas domostwie liczyć nie mógł. Gospodarze albowiem z początkiem lata za kordonem się schronili u rodziny imć pana starosty pomorskiego.

Pozdrów serdecznie kochanego Twojego Monroia. Może gdy lepsze czasy powrócą, spróbuję do tańca go porwać jak niegdyś, kiedyśmy obie tak sobie z niego dworowały, że ma dwie lewe nogi.

Twoja oddana kuzynka i przyjaciółka

JB

Rozdział 19

LONDYN
Dwa dni później

Igor wysiadł z taksówki i nerwowo poprawił kołnierzyk koszuli. Zadarł głowę i niepewnie spojrzął na monumentalny gmach, który wyglądał, jakby trafił tutaj prosto z Włoch. Przez moment zastanawiał się, z czym mu się kojarzy ta budowla, i w końcu go olśniło. Pałac Farnese w Rzymie! Prawdziwy pomnik włoskiego renesansu zaprojektowany dla kardynała Aleksandra Farnese, który w trakcie budowy został papieżem Pawłem III i kontynuowanie prac przekazał wówczas samemu Michałowi Aniołowi.

Klub Reforma – londyńska kopia z pierwszej połowy XIX wieku, mimo że mniejsza, przywoływała ducha epoki odrodzenia. Była to regularna, zwieńczona wydatnym gzymsem elewacja, pośrodku której mieścił się portal z drzwiami wejściowymi. Wiodły do nich szerokie schody.

To tutaj właśnie zaczynała się akcja najświetniejszej powieści Juliusza Verne'a. W ogromnej bibliotece na piętrze Phileas Fogg założył się ze swoimi znajomymi, że w osiemdziesiąt dni objedzie dookoła świat i zdąży na partyjkę wista w klubie.

Igor westchnął i odwrócił się do Johanna, który właśnie wysiadał z taksówki.

– Nie mogłeś mu jednak wybić tego z głowy?

– Spotkania? – Johann spojrzął na niego z niekłamanym zdumieniem. – Przecież sami mnie do tego nakłanialiście!

– Nie spotkania! – Igor poprawił ponownie kołnierzyk. – To znaczy spotkania w tym miejscu. – Machnął ręką w kierunku neorenesansowej fasady.

– Ojciec jada tutaj obiady. – Johann wzruszył ramionami, tak jakby

stołowanie się w jednym z najbardziej elitarnych klubów dla dżentelmenów w Londynie było czymś najzwyczajszym w świecie. – Poza tym parlament jest tuż obok. No i stwierdził, że tu na pewno nikt nas nie podsłucha.

– A w ogóle mnie tutaj wpuszczają? – Igor spojrział z powątpiewaniem w stronę drzwi frontowych, zza których przyglądał im się elegancki odźwierny.

– Skoro jego tutaj wpuszczają... – Dermot, który dołączył do nich jako ostatni, śmiejąc się, klepnął Johanna w ramię.

– Powiedziałem ojcu, że okazało się, że pochodzisz z Butlerów...

– Co takiego? Ty chyba zdurniałeś! – Igor stanął u stóp paradnych schodów i złapał się kurczowo żelaznej balustrady.

– Od razu nabrał respektu. Jedna z linii angielskich Butlerów ma nawet tytuł książęcy... No przecież żartuję – powiedział ze śmiechem Johann, gdy zobaczył przerażone spojrzenie Igora, który oczami wyobraźni widział już siebie płaczącego się w zeznaniach w sprawie przodków, o których nie miał bladego pojęcia.

– Naprawdę daj sobie spokój – wtrącił lekceważąco Dermot. – Jeden z szacownych członków tego klubu, Jeremy Thorpe, w latach siedemdziesiątych zlecił zabójstwo swojego chłopaka. Obawiał się, że romans z przystojnym stajennym wyjdzie na jaw i zrujnuje mu karierę w partii.

– Od razu mi ulżyło. – Igor odetchnął, poprawił po raz setny kołnierzyk i zaczął się wspinać na schody.

Lord Charles Carley nie był podobny do Johanna w najmniejszym nawet stopniu. Siwiejący na skroniach szatyn, średniego wzrostu, bardzo dystyngowany. Może jedynie kształt oczu i sposób, w jaki się uśmiechał, przywodziły trochę na myśl syna. Igor, który ojca Johanna widział pierwszy raz w życiu, musiał przyznać, że jego przyjaciel miał szczęście całą urodę odziedziczyć po matce.

Gdy obiad podawany przez wyjątkowo dyskretnych kelnerów powoli dobiegał końca, sir Charles sięgnął po kieliszek czerwonego wina i rzucił swojemu synowi spojrzenie, w którym zainteresowanie mieszało się z irytacją.

– Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, do czego musiałem się posunąć, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Córka Bentincka jeszcze żyje, nie mówiąc o dalszej rodzinie. Mniemam, że nie byliby zadowoleni, gdyby te rzeczy wyszły na jaw...

– Zrewanżuję ci się i przyjadę z Gwen na obiad do Carley. Babcia będzie zachwycona.

– Synu, to nie są tematy do żartów. Muszę wiedzieć, że nic z tego, co wam tutaj powiem, nie dostanie się do mediów.

– Tato... – Johann wznosił oczy do nieba. – Do jakich mediów? To sprawy naszej firmy. Wierz mi, że jesteśmy bardziej niż ty zainteresowani tym, żeby nikt się nie dowiedział.

Igorowi na moment stanęły przed oczami sceny z lasu pod La Rochelle.

– W porządku. – Lord Carley odstawił kieliszek i postukał palcami w jego nóżkę.

Przez moment siedział i w milczeniu wpatrywał się w stół, jakby chciał sobie poukładać w głowie to, co ma powiedzieć, po czym podniósł wzrok.

– No więc tak... Victor Cavendish-Bentinck... O tym, że to kuzyn królowej Elżbiety, oczywiście wiecie? – Obrzucił badawczym spojrzeniem trzech słuchających go z uwagą mężczyzn, a nie widząc oznak zdziwienia, wrócił do tematu. – Bentinck w czterdziestym siódmym dostał nominację na ambasadora Brazylii. Nie objął tej funkcji, oficjalnie z powodu wyjątkowo skandalicznego rozwodu z Amerykanką Klotyldą Quigley, nieoficjalnie natomiast z powodu kontaktów, jakie nawiązał z Rosjanami.

Johann podniósł wzrok i rzucił Igorowi porozumiewawcze spojrzenie.

– W czterdziestym siódmym dochodzenie w tej sprawie prowadziła sekcja kontrwywiadu MI6. – Lord ściszył głos i pochylił się lekko nad stołem. – To właśnie do tych archiwów musiałem zajrzeć.

Igor pomyślał w duchu, że życie bywa zaskakujące jak diabli. Lord Carley właśnie zdradza im tutaj stare tajemnice angielskiego wywiadu, gdy tymczasem dopiero co przechodził przez ogromny hol klubu, na którego arkadowej galerii kręcono sceny do filmu o Jamesie Bondzie, a Pierce Brosnan, skacząc pomiędzy kolumnami, stoczył tutaj słynny szermierczy pojedynek.

– We wrześniu czterdziestego szóstego Bentinck był z oficjalną wizytą w Szczecinie, gdzie spotkał się z tamtejszymi władzami – kontynuował swoją opowieść lord Carley, nieświadomy skojarzeń Igora. – Chodziło o koordynację akcji Jaskółka, czyli wysiedlenia Niemców z Pomorza Zachodniego. I to wtedy właśnie nawiązał po raz pierwszy kontakt z dowództwem radzieckich władz okupacyjnych.

Lord na moment przerwał.

– MI6. – Powiódł spojrzeniem po twarzach syna i jego kolegów, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. – Znalazłem meldunek, w którym informują, że pod pretekstem rozmów na temat losów niemieckiej ludności cywilnej Bentinck spotkał się z oficerem batalionu roboczego do spraw restytucji i zabezpieczania mienia, niejakim Zubowem.

– To te brygady trofiejne? – Dermot spojrzał na Igora, który skinął głową.

– Bentinck kontaktował się z Zubowem jeszcze kilka razy. Zawsze odbywało się to w czasie jakichś roboczych wyjazdów lub spotkań tego typu. Kontrwywiad podejrzewał Bentincka o szpiegostwo, w końcu kilka lat wcześniej Bentinck był szefem Joint Intelligence Committee i znał większość tajemnic wywiadu. Niczego mu w końcu nie udowodniono, ale uznano, że jego postępowanie zagraża ogólnie pojętemu bezpieczeństwu narodowemu.

Lord przerwał i sięgnął po wino.

– To przerażające, ale większość z tego, co powiedziałeś do tej pory, znaleźliśmy już na stronach z różnymi teoriami spiskowymi – oznajmił Johann i uśmiechnął się z ironią.

– Czyli mam rozumieć, że sekta poszukiwaczy krzyża was już nie interesuje? – Lord Carley odwzajemnił ironiczny uśmiech syna.

Gdy tylko padła ta dziwna nazwa, Dermot prawie się zakrztusił, a Johann i Igor wymienili się spojrzeniami. Wszyscy trzej pomyśleli oczywiście o tym samym.

– Poszukiwaczy krzyża? – powtórzył Johann, spoglądając na ojca z niedowierzaniem. – Serio? Tym zajmował się kontrwywiad w czterdziestym szóstym?

– Będąc na waszym miejscu, bardziej bym się interesował tym, co łączyło Bentincka z tą sektą. – Carley odstawił kieliszek. – Powtórzę wam tylko to,

co znalazłem w archiwum wywiadu, dokładniejszy research historyczny musicie sobie zrobić sami. Tytułem wstępu: poszukiwacze krzyża uznawani byli za sektę, która wywodziła się z jednej z najbardziej tajemniczych rosyjskich organizacji religijnych w dziewiętnastym wieku, czyli skopców. Przywódcą skopców był Konrad Sieliwanow, chłop z guberni orłowskiej, który zdołał przekonać do siebie setki ludzi. Krążyło o nim mnóstwo legend, między innymi, że był nieślubnym i niepokalanie poczętym dzieckiem cesarzowej Elżbiety. Katarzyna Wielka go nienawdziła, ale za to jej syn Paweł, a także wnuk Aleksander otaczali go szacunkiem. Głównie z powodu tego, że sekta skopców z czasem stała się bajecznie bogata. Aleksander nie słynął jednak ze stałości w uczuciach. Sieliwanow oraz pozostali przywódcy sekty zostali w końcu pojmani i osadzeni w odludnych klasztorach. Natomiast majątek sekty przypadł w tajemniczych okolicznościach.

Igor, zasłuchany w opowieść lorda Carleya, podskoczył, gdy Johann kopnął go nagle pod stołem. Podniósł wzrok i napotkał jego spojrzenie. No tak. *Ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra.*

– Ale no właśnie! Co wspólnego z Bentinckiem ma jakaś sekta? – zapytał Dermot. – Przecież w Związku Radzieckim Cerkiew i inne Kościoły zostały pozbawione jakichkolwiek praw. Skąd nagle w czterdziestym szóstym wzięłaby się jakaś sekta?

– Otóż to – przytaknął lord Carley i pokiwał głową. – Kontrwywiad ustalił, że Zubow był członkiem pewnej tajnej organizacji o takiej samej nazwie, która zajmowała się poszukiwaniem zaginionych i wywiezionych z Rosji w różnych okresach najcenniejszych skarbów narodowych. W czasie wojny parali się także grabieżą artefaktów archeologicznych i dzieł sztuki w Europie Wschodniej. Generalnie coś w stylu Ahnenerbe.

Lord Carley umilkł i z satysfakcją wpatrywał się w trzech słuchaczy, rozbawiony wrażeniem, jakie zrobiły jego słowa.

– Jak powiedziałem, Bentinckowi nie zdołano niczego udowodnić, ale jego kontakty były na tyle podejrzane i dziwne, że usunięto go z dyplomacji.

Przy stole na dłuższą chwilę zapadła cisza. Słyszać było wręcz tykanie ogromnego drewnianego zegara stojącego pod ścianą.

Igor, z nieruchomym wzrokiem utkwionym w przestrzeni, usiłował przetrwać wszystkie informacje, które właśnie usłyszał. Pytanie ojca

Johanna kompletnie go zaskoczyło.

– Więc jest pan spokrewniony z Butlerami? – Lord Carley patrzył na niego z przychylnym uśmiechem.

Igor od razu otrzeźwiał, po czym rzucił mordercze spojrzenie Johannowi, a następnie wymierzył mu pod stołem solidnego kopa. Przemknęło mu przez głowę pytanie, czy często w tym najbardziej elitarnym klubie w Londynie dżentelmeni kopią się pod stołem.

– No tak... – wydukał, usiłując przypomnieć sobie koligacje. – Mój daleki pradziad ze strony matki...

– A kojarzy pan, milordzie, firmę C.Seekers? – przyszedł mu z pomocą Dermot. – Właściciel to Oleg Sokołow.

Lord Carley spowaźniał nagle i spojrzał nerwowo na Johanna.

– Mam nadzieję, że nie macie z nim nic wspólnego?

Johann pokręcił głową.

– Nic poza wiedzą, że także interesował się kuframi ciotki Igora.

– Dobrze wam radzę, lepiej trzymajcie się od niego z daleka.

– Uważasz, że nazwa jego firmy to przypadek?

– Cross Seekers? – dorzucił Dermot.

– To, co wam tutaj powiedziałem, ma zostać między nami. – Ojciec Johanna pochylił się nad stołem i spojrzał po kolei na każdego z mężczyzn. – Nic nie wiem o tej firmie. Jeśli to Sokołowa, to najlepiej zrobicie, jeśli będziecie się trzymać od niej jak najdalej.

Kilka godzin później, tuż przed zmierzchem, całe towarzystwo spotkało się na Riverside. Przez okna wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, układając się długimi wstęgami na olejowanych deskach podłogi.

Pod ścianą obok stołu niczym wyrzut sumienia stały przywiezione z Bermondsey kufry. Na stole leżała wydrukowana kopia testamentu hrabiny Elżbiety, a tuż obok niej dwie kartki z dokładnym tłumaczeniem na język angielski. Przekład był autorstwa Karen, którą wśród obecnych uznano za najbardziej kompetentną w tej dziedzinie.

– Skoro twój ojciec twierdzi, że lepiej trzymać się z daleka od tego

putinowskiego oligarchy, to na pewno wie, co mówi. – Gwen patrzyła z irytacją na Johanna, który zaproponował właśnie, żeby dyskretnie przejechać się na lotnisko w Southend i rozejrzeć po barakach należących do spółki C.Seekers.

– Dlaczego putinowskiego? – Jamie spojrzał na nią niepewnie.

– Przejrzałam sobie wszystko na jego temat. – Gwen szturchnęła stojący przed nią laptop. – W przeciwieństwie do wielu innych miliarderów mieszkających poza Rosją Sokołow jest całkowicie wierny Putinowi. Według niektórych źródeł zresztą wywodzi się z tych samych kręgów.

– Czyli jakich?

– Czyli KGB – odpowiedział Igor.

– Naprawdę sądzicie, że to on stoi za napadem we Francji? – Karen z namysłem wpatrywała się w okno. – Bo jeśli...

– A kto? – przerwała jej Gwen. – Tajemniczy Litwini z Montresor i Agrenieux, wcześniej ktoś usiłuje się dostać do archiwum TNA, potem to włamanie tutaj i do Johanna, a wszystko obraca się wokół tych tam... – Skinęła głową w stronę dwóch skrzyń pod ścianą.

– Ale ten dziwny prokurator w Warszawie? – Karen spojrzała na Igora. – Sokołow miałby wtyki w polskiej policji?

– Albo w Ministerstwie Sprawiedliwości. – Igor pokiwał głową. – Nie chce mi się w to wierzyć.

– A co w tym dziwnego? – prychnął Dermot. – Biorąc pod uwagę to, co sam nam tutaj opowiadasz o tym, co dzieje się u was w kraju.

– Nie zdążyłem wam powiedzieć... – odezwał się nagle Johann dziwnym głosem. – À propos tych wydarzeń... Przedwczoraj było także włamanie do matki w Hatfield. Nocowała u swojego tajemniczego wielbiciela, a na weekend dała wolne prawie całej służbie.

– No to nie ma siły. – Jamie sięgnął po kartkę z tłumaczeniem Karen. – Za wszelką cenę usiłują dostać się do tych kufrów. Próbują od momentu, gdy pojawił się testament.

– Sekta poszukiwaczy krzyża – powiedziała Gwen z niedowierzaniem. – Jak ci z MI6 wymóździli, że to następcy skopców, to nie mam pojęcia. Poczytałam sobie o nich. Coś potwornego. Mieli obsesję na punkcie seksu.

Uważali, że popęd płciowy jest grzechem pierworodnym, a ich wyznawcy musieli być kastrowani. Tak zwana mała pieczęć, czyli kastracja jąder u mężczyzn oraz obcięcie piersi u kobiet, gwarantowała objęcie w niebie rangi anioła. Ale żeby zostać archaniołem, należało się poddać rytuałowi wielkiej pieczęci, czyli całkowitej kastracji. Jaki to ma związek z rosyjskimi skarbami narodowymi?

Jamie podniósł wzrok i spojrzał na Gwen z ciekawością.

– Jaka to była ta całkowita kastracja?

– Naprawdę mamy o tym rozmawiać?

– No zaczęłaś, to wyjaśnij.

– Jądra i członek u mężczyzn, a u kobiet piersi, wargi sromowe i lechtaczka. – Gwen westchnęła. – Boże! O czym ja tutaj mówię...

Karen się wzdrygnęła.

– Trudno uwierzyć, że ludzie robili to sobie nawzajem w imię Boga.

– Robili sobie znacznie gorsze rzeczy i nadal robią. Religia to filozofia ludzi moralnie upośledzonych – podsumował Dermot.

– Nie żebym się z tym nie zgadzał – przytaknął Igor z wahaniem.

Przypomniał sobie opracowania historyczne na temat Litwy i Rosji z czasów wojny ze Szwecją i zaraz potem z okresu wojen napoleońskich.

– W Europie Zachodniej nigdy nie było aż takiej nędzy jak w tamtych czasach na Wschodzie – dodał po chwili. – Nędza i ciemnota. Powstało wówczas wiele apokaliptycznych sekt, które wieściły koniec świata. A do tego dochodziła opresyjna Cerkiew, stojąca murem za caratem i pańszczyzną. Łatwo nam ich dzisiaj oceniać.

– Czytam tutaj – odezwał się znad laptopa Johann – że sekta skopców w drugiej połowie dziewiętnastego wieku rozpadła się na różne odłamy. Niektóre nakazywały nadal kastrację, ale w ograniczony sposób, na przykład dopiero po urodzeniu dwojga dzieci, natomiast część w ogóle porzuciła te praktyki na rzecz symbolicznych tylko rytuałów. Może ci poszukiwacze krzyża znaleźli sobie inny fetysz niż kastracja.

– Poszukiwacze krzyża? – Karen sięgnęła po wydruk. – A może chodziło właśnie o krzyż? W testamencie stoi przecież jak byk o krzyżu. – Podniosła

kartkę i przeczytała: – *Rzekomo widziano kiedyś wysadzany kamieniami szlachetnymi pastorał czy krzyż, który był częścią tego skarbu, ale i on potem zaginął...*

Johann pokiwał głową.

– Pamiętacie, co powiedział ojciec? Że ta sekta w czasach stalinowskich ewoluowała w coś na wzór Ahnenerbe. Poszukiwali zaginionych narodowych skarbów i tajemniczych artefaktów. Więc możliwe, że ten krzyż to stary rosyjski artefakt.

– Może to nie Bentinck zatem szukał z nimi kontaktu... – w zamyśleniu powiedział nagle sam do siebie Igor. – Może znalazła go ta sekta. Po zajęciu Belmontu i Kozaczyzny Sowiet nie natknęli się tam na archiwa, więc stało się oczywiste, że zabrały je nasze ciotki.

Jamie podniósł głowę znad laptopa.

– A skąd w ogóle Rosjanie mogli wiedzieć o waszych rodzinnych legendach?

– Z Petersburga oczywiście.

– Dlaczego nagle z Petersburga? – Jamie patrzył na Igora ze zdziwieniem.

– Bo polska szlachta w czasach zaborów, jak tylko poczuła się zagrożona, to niestety wszystko wywoziła w głąb Rosji. W obawie przed Szwedami, przed Napoleonem, przed Niemcami. Nie pamiętasz tego artykułu, który Dermot znalazł w necie? Mikołaj Manuzzi po wybuchu insurekcji kościuszkowskiej chciał zwiać ze swoim dobytkiem właśnie do Petersburga. Mnóstwo sprzyjających caratowi arystokratów przebywało na dworze carskim. A o Manuzzim w ogóle mówiono, że był carskim szpiegiem. Jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej ziemianie ze strachu przed Niemcami także wywozili wszystko do Petersburga. I niestety wszystko szlag trafił po wybuchu rewolucji. Mało kto w ogóle zdaje sobie sprawę, jak ogromne ilości skarbów, dzieł sztuki, bezcennych kolekcji, które nigdy nie zostały zinwentaryzowane, ale po prostu tkwiły od stuleci w starych dworach, zginęło w ten sposób na Wschodzie.

Johann zamknął z trzaskiem swój laptop.

– I jakby tego było mało, ten Rusek ukradł teraz jeszcze wasze rodzinne archiwum.

– Dobrze, że tego nie ukradli. – Gwen skinęła głową w kierunku dwóch skrzyń.

– Obawiam się, że mogą nadal próbować.

– Może powinienem jednak wywieźć je do Polski? – zastanawiał się Igor. Obrzucił zniechęconym spojrzeniem kłopotliwy spadek matki.

– No przecież tam to od razu je ukradną! – zachnęła się Karen. – Dom babci w sezonie stoi praktycznie otworem. Cały czas ktoś wchodzi i wychodzi. Jak nie kucharka, to jacyś letnicy z pytaniami o kajaki albo rowery.

– Wobec tego wymyślimy coś tutaj. – Johann wstał od stołu i podszedł do kufrów. – Teraz po aferach z włamaniami wydaje się oczywiste, że zawartość tych kufrów jest z jakiegoś powodu bardzo cenna, pomijając nawet wartość samych archiwaliów. Skoro Rosjanie włożyli tyle wysiłku w to, żeby je zdobyć...

Dermot pokiwał głową.

– Może się jednak okazać, że do odczytania jakiegoś szyfru jest niezbędna ta druga część majdanu, którą oddaliśmy oprychom we Francji.

– Jakiego znowu szyfru? – Igor spojrzał na niego zaskoczony.

– Nie wiem. – Dermot wzruszył ramionami. – Ale pewnie jest tam coś, co pozwoli zlokalizować ten bezcenny ruski skarb narodowy.

– *W archiwum Belmontu miał się podobno znajdować klucz do tej zagadki, ale nikt nigdy go nie odnalazł...* – Karen zacytowała fragment testamentu.

– No właśnie! – przytaknął Dermot.

– Musimy jakoś odzyskać te archiwalia z Francji. – Johann wrócił do stołu i usiadł obok Karen. – Nawet nie zdążyliśmy ich dokładnie obejrzeć.

– Poza intercyzą ślubną naszego pra-ileśtam-dziadka Ferdynanda.

– A co nam da podróż do Southend? – Gwen spojrzała z niepokojem na Johanna, widząc, że jej chłopak wraca znowu do swojego ryzykownego pomysłu.

– Musieli przecież gdzieś te archiwalia zabrać – stwierdził Johann. – Albo trzymają je w barakach na lotnisku, albo Sokołow ma je u siebie w Westcliff.

– Równie dobrze mogą być w każdym innym miejscu. Może mają na

przykład jakiegoś laboratorium, gdzie je przeglądają. A jak zaczniemy się tam pętać, to się jeszcze wpakujemy w kłopoty. Przypominam ci, co twój ojciec mówił na temat tego człowieka.

– Southend to nie jest prywatna posesja, tylko zwykły port lotniczy. Międzynarodowy w dodatku. Kto nam może zabronić tam się pętać?

– Ale baraki C.Seekers leżą na prywatnej posesji.

– No właśnie usiłuję coś wymyślić.

– Zanim zaczniemy planować kolejne włamanie, może uporządkujmy wszystko, co wiemy. – Karen sięgnęła po notatnik i długopis.

Pobyty u wuja podobał jej się coraz bardziej. Wprawdzie, owszem, najadła się trochę strachu we Francji – nigdy by nie przypuszczała, że kiedykolwiek znajdzie się w sytuacji jak z filmu gangsterskiego – ale myśląc o tym teraz, czuła tylko podekscytowanie.

– Karen, ty lepiej nic nie planuj. – Wujek oczywiście, jakby czytał jej w myślach, próbował zepsuć dobrą zabawę. – Nikt się nie będzie nigdzie włamywał.

Igor rzucił poirytowane spojrzenie Johannowi, który podniósł niewinnie brwi.

Karen grzecznie się zgodziła.

– *Dawno, dawno temu, w niewyjaśnionych okolicznościach* – i tak dalej – *ukryta została ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra...* – przeczytała. – Po pierwsze, czasy cesarza Pawła albo Aleksandra. Zakładam, że ciotce chodziło o okres rządów, a więc to są lata od tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt sześć do tysiąc osiemset dwadzieścia pięć, co oczywiście wiem z Wikipedii – uzupełniła.

– Ciotka nie napisała, który Aleksander wchodzi w grę – wtrącił Igor, wpatrując się w ekran telefonu. – Może Aleksander Drugi?

– Jeśli chodziło o określenie czasu zdarzenia, to byłoby to trochę bez sensu. Zanim nastał Aleksander Drugi, po Aleksandrze Pierwszym przez dwadzieścia pięć lat rządził Mikołaj Pierwszy. Dlaczego zatem w związku z tym nie miałyby to obejmować także jego czasów?

Igor bezradnie rozłożył ręce.

– *Na ziemiach należących do rodziny mojego męża.* – Karen przytoczyła kolejny fragment testamentu. – Usiłowałam w Warszawie wydusić z babci jakieś informacje na ten temat, ale babcia zwróciła uwagę na następną niejasność zapisu. Czy chodzi o ziemie, które należały do rodziny w owym czasie, czy o stan własności w momencie pisania testamentu?

– Logika każe przyjąć, że chodzi o czas przeszły – odezwał się Dermot z namysłem. – Wprawdzie ta część testamentu nie odnosi się do woli zmarłej i nie jest tym samym dokumentem prawnym, ale odwoływanie się do aktualnego stanu własności powodowałoby, że w momencie sprzedaży ziemi, co mogło nastąpić przecież w każdej chwili, informacja byłaby bezsensowna.

– Zwłaszcza że testament powstał w czasie wojny, kiedy kresy były już zajęte przez Sowieców – dodał Igor.

– Dlaczego bezsensowna? Byłaby równie konkretna – zaprotestował Johann. – Przecież testament ma konkretną datę.

– Czyli nawet tego nie można ustalić jednoznacznie – stwierdził poirytowany Igor. – Nawet przy udziale prawnika. – Spojrzał na Karen z pobłażliwym uśmiechem. – Nie mówiąc o tym, że nie wiadomo nawet, o którego męża chodziło.

– Babcia też o tym wspomniała – ucieszyła się Karen. – Ale po co ciotka zostawiała wtedy kufry naszemu pradziadkowi? Poza tym w dalszej części testamentu „moim mężem” nazywa konsekwentnie Mariana.

Udział Karen w tych poczynaniach raczej martwił Igora. Gdyby mógł przewidzieć, jak skończy się wyprawa do Paryża, to na pewno by jej tam nie zabrał. A teraz, siłą rzeczy, dziewczyna uczestniczy w ich knowaniach i nie było to nic, co mogłoby go cieszyć. No i jeszcze te dziwne wydarzenia w Warszawie. Przecież Natasza i Swen prędzej czy później się o wszystkim dowiedzą.

– Igor!

Podniósł wzrok i napotkał pytające spojrzenie Johanna.

– Wyłączyłeś się, a nadal próbujemy ustalić, o jakie miejsce na mapie może chodzić. Gdzie wasza rodzina miała ziemie na przełomie osiemnastego i dziewiętnastego wieku? Z zamkiem?

– To zupełnie bez sensu – stwierdził Igor ze zniechęceniem.

– Dlaczego? – spytał Johann.

– No właśnie! – Karen założyła ręce na piersi.

Igorowi przeszło przez myśl, że entuzjazm siostrzenicy zaczyna go irytować.

– Bo to jest zbyt ogólne określenie. Mikuliczów było wtedy bardzo wielu i mieli majątki praktycznie na całych kresach. Od Wołynia po Inflanty. Nasza linia konkretnie pod Kownem, ale to też nie było w jednym miejscu, tylko w rozstrzeleniu na obszar od Uciany do Suwałk, a to jest tak jak ze Szczecina do Gdańska. Zatem to, o czym pisze ciotka, mogło być wszędzie. Na obszarze większym niż Belgia.

Na moment zapadła cisza.

– Więc uważasz, że Sokołow szuka po omacku? – zapytał w końcu Dermot.

– Może mieć jakieś materiały z rosyjskich archiwów. Akta własności, katastry, intercyzy, akta sprzedaży, wszystko to, co przypadło z kresów w Rosji i gnije gdzieś po tamtejszych muzealnych magazynach. Wiem, że matka usiłowała ściągać materiały z archiwum w Petersburgu, ale to masakra. Na przykład księgi parafialne z nieistniejących już miasteczek, prowadzone przez setki lat. Żeby znaleźć w nich cokolwiek, na przykład akty narodzin czy ślubów, trzeba ręcznie przedrzeć się przez tysiące zapisów. W dodatku metryki w osiemnastym wieku były po łacinie, później pisano je cyrylicą, a dodatkowo jeszcze rzadko który ksiądz miał czytelne pismo.

– Ale z ciebie pesymista, wujek. – Karen westchnęła ciężko, wpatrując się w ekran laptopa, na którym od razu zaczęła przeglądać dostępne on-line rosyjskie archiwa.

– A jeszcze trzeba wziąć pod uwagę, że część ówczesnych miasteczek i wsi w ogóle przestała istnieć – ciągnął Igor, niezrażony krytyką. – Po insurekcji, po wojnach napoleońskich, po powstaniach. Nawet jeśli nazwy folwarków czy majątków widnieją w carskich spisach, to znalezienie ich na mapie jest praktycznie niemożliwe.

Na chwilę ponownie zapadło milczenie.

– A nie zastanawia was dalsza część? – Gwen pochyliła się nad kopią testamentu i zaczęła czytać: – *Opowiadano także o jakiejś dziwnej machinie,*

którą jakoby dziad mojego męża w dawnych czasach miał przywieźć z Dalekiego Wschodu. Ta machina także z owym skarbem jakoś się wiązała, ale to już bajki zapewne, chociaż i w archiwum Kozaczyzny coś na ten temat rzekomo się znajdowało.

– No właśnie – odezwał się Jamie. – Mnie najbardziej intryguje ta machina. Może ten krzyż i machina są jakimś tropem?

– Jaka machina mogła powstać w osiemnastym wieku? – Gwen spojrzała na Igora. – Ty jesteś inżynierem.

Igor wzruszył ramionami.

– W połowie osiemnastego wieku na przykład zaczęto konstruować takie przerażające maszyny zegarowe. Nakręcane kluczem setki trybików i kół zębatach, które poruszały rękami jakiejś lalki. Kojarzę też coś o oszustwie dokładnie z tych czasów.

– Tak! – podchwycił Dermot. – To się nazywało Mechaniczny Turek! Mechanizm do gry w szachy.

– Skąd wy wiecie takie rzeczy? – Jamie spojrzał zdumiony na Dermota i Igora. – Nie szkoda wam miejsca w głowach?

Dermot spiorunował go wzrokiem.

– Ty masz tam stanowczo za dużo wolnego miejsca!

– Konstrukтором tego mechanizmu był Wolfgang von Kempelen – przeczytała Gwen, od dawna przyzwyczajona, by puszczać mimo uszu większość komentarzy Jamiego i Dermota. – Węgierski inżynier na dworze Marii Teresy. Autor systemów nawadniających i licznych unowocześnień w parku w pałacu Schönbrunn. Zbudował lalkę, która potrafiła wypowiadać całe zdania, i inne tego typu gadżety.

– Ale Mechaniczny Turek okazał się oszustwem. Sterował nim ukryty wewnątrz karzeł. – Dermot się uśmiechnął. – Chociaż tak właściwie to nikt nigdy tego nie udowodnił. Dopiero długo po śmierci von Kempelena zaczęto pisać, że to niemożliwe, żeby maszyna oparta wyłącznie na mechanizmie zegarowym potrafiła grać w szachy. Ale facet zjeździł z nią całą Europę, a w szachy z tym Turkiem grała podobno sama Katarzyna Druga i wasz ostatni król.

– Stanisław August Poniatowski. – Karen podniosła wzrok i spojrzała

z namysłem na Igora. – Prawdziwy tatuś Stanisława „królewicza” Manuzziego z Belmontu.

– Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Czekaj, czekaj! Ona może mieć trochę racji – odezwał się Johann zza ekranu swojego laptopa. – W tamtych czasach było wielu innych szalonych inżynierów, między innymi Francuz Jacques de Vaucanson, który zbudował automat do przewracania stron w Biblii, ale także różne mechaniczne lalki, grającego flecistę, lalkę grającą na tamburynie, pływającą kaczkę, która łąpała i połykała ziarna... No jasne!

– I co z tego? – Igor spojrział na niego z niepokojem i lekką irytacją.

– Francuz sprzedał swoje lalki paryskiej arystokracji i rzekomo wszystkie zaginęły w czasach rewolucji. À propos tego waszego Manuzziego, sam sobie trochę o nim poczytałem. – Johann spojrział znacząco na Igora. – Jako młodzieniec był sekretarzem przy weneckiej ambasadzie, najpierw w Madrycie, a potem w Paryżu właśnie! Później dopiero trafił do Petersburga. To się wszystko ładnie układa!

– A wiedziałeś w ogóle, że ten wasz Manuzzi kumplował się z Casanovą? – odezwał się nagle Jamie, który także, jak wszyscy wokół, szperał w swoim laptopie. – Znali się z Wenecji, ale chyba potem się pożarli, bo Casanova napisał w pamiętnikach, że to Manuzzi doniósł na niego inkwizycji. Uuu... No proszę... – Jamie parsknął śmiechem, wpatrując się w swój laptop. – Niezła rodzinka, nie ma co. Według Casanovy Manuzzi ożenił się z jakąś polską hrabianką, którą następnie otrul.

– Jadwigą Strutyńską – potwierdziła Karen. – Wspominałam wam o niej. W sumie to wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby to była prawda.

– Nie mieszajcie! – Igor spojrział na Jamiego i Karen z desperacją, a następnie odwrócił się do Johanna. – Co ci się niby układa?!

– Ten wasz Manuzzi mógł przywieźć z Paryża do Petersburga jedno z tych urzędzeń. Może chciał czymś zaimponować miejscowej arystokracji i cesarzowej. Wszyscy kronikarze piszą o nim, że zabiegał o względy Katarzyny i rywalizował nawet wówczas z waszym młodym przyszłym królem, stąd się znali.

– Dlatego potem król Staś skorzystał z jego pomocy przy pozbyciu się

Jadwigi i dzieciaka – wtrąciła Karen.

– Karen! – Igor upomniał siostrzenicę. – I co było niby dalej?

– Tajemnicze miasto Uhor i skarby Manuzziego zagrabione przez włościan oczywiście!

Johann patrzył na Igora z entuzjazmem.

– Oczywiście! – podchwycił Dermot. Otworzył własny tablet i zaczął gorączkowo przesuwając palcem po kwadraciku touchpada.

– Gdzie to było? – Spojrzał na Igora. – Jak się nazywała ta gazeta, w której ja to przez przypadek znalazłem?

– „Polityka”.

– Jest! – krzyknął Dermot triumfalnie. – *Z Bohinia o świcie ruszyła kolumna wozów. Żołnierze rosyjscy jechali w eskorcie...* – Dermot podniósł wzrok na Igora. – Ten wasz Manuzzi był targowiczanie, też sobie poczytałem – oznajmił wyjaśniająco, widząc wstrząśniętą minę Igora. –

Słuchajcie dalej! *Po pięciu milach kolumnę pięćdziesięciu wozów zatrzymano. Pan Mirski z oddziałem powstańców litościwie pozwolił uciec Moskałom i zajął się wozami. Ich zawartość daje wyobrażenie o zasobności właściciela, którym był Wenecjanin, hrabia Mikołaj Manuzzi.*

– Kim był pan Mirski? – Johann spojrzał na Igora jak na przesłuchaniu.

– Książę Światopełk-Mirski? – odezwała się Karen. – Oni mieli dobra w okolicach Braśławia, po sąsiedzku. Ja także sporo czytałam – dodała, widząc spojrzenie Igora.

– No to jeszcze lepiej się układa! – Johann uśmiechnął się z entuzjazmem. – Poprzednio mówiłeś, że to chłopstwo i mieszczenie tego zaginionego Uhoru rozgrabili wozy ze skarbami, ale skoro zajął się nimi jakiś miejscowy książę, to raczej tego nie rozkradli. Mogli gdzieś ukryć, a następnie w obawie przed zemstą Manuzziego i Rosjan udawali głupich. Potem były wojny napoleońskie, później powstania, część osób tego dramatu zginęła, a skarb gdzieś został!

– Na ziemiach ich rodziny, a nie gdzieś – uzupełnił Dermot, patrząc na Igora oskarżycielsko.

– I to dlatego klucz do jego znalezienia jest w waszych archiwach rodzinnych! – Johann także wbił wzrok w Igora. – A skoro cała ta awantura

rozgrywała się pod nosem Rosjan, to zostało po niej także wiele dokumentów w carskich archiwach! I stąd Sokołów!

W sali narad siedziby spółki eksploracyjnej Sedinum Exploration ponownie zapadła cisza.

Igor, całkowicie zbity z tropu, wpatrywał się w uczestników zaimprovizowanej konferencji historycznej z malującym się na twarzy przerażeniem. Wychodziło na to, że w towarzystwie złożonym z Anglików, Anglika z irlandzkimi korzeniami, Anglika z matką Niemką, Szkota oraz własnej siostrzenicy wprawdzie, ale Szwedki, na temat cholernejszej polskiej historii on, Polak, wiedział najmniej.

– Musimy przejrzeć dokładnie te dokumenty! – Johann poderwał się od stołu i stanął nad kuframi. – Przydałby się jakiś ekspert od staropolszczyzny i tłumacz z rosyjskiego. Może matka kogoś znajdzie w National Museum? – myślał głośno z entuzjazmem. – I potrzebujemy kogoś, kto orientuje się bardziej w historii waszej rodziny. Bardziej niż ty, bez urazy – zwrócił się do Igora z ugodowym uśmiechem.

– Nie musimy nikogo szukać – odezwała się Karen. – W Warszawie jest doskonały ekspert od tych archiwaliów, a od spraw rodziny nie znajdziemy nikogo bardziej kompetentnego niż babcia.

Rozdział 20

SZCZECIN
Dwa dni później

Skoda octavia przejechała wolno ulicą Jagiellońską, minęła plac Zamenhofa, następnie skrzyżowanie ze Śląską i zwolniła jeszcze bardziej.

– A mówiłam, żeby jechać od strony zamku? – Anna rozglądała się ze zniecierpliwieniem dookoła. – Stanęlibyśmy gdzieś przy placu Lotników.

– Bo tam akurat byłoby miejsce – burknął Edward. – W całym cholernym śródmieściu nie ma gdzie zaparkować, a tam by było.

– A ty na Jagiellońskiej chciałeś znaleźć?

– Kiedyś tu zawsze można było stanąć. – Edward pochylił się nad kierownicą, zaglądając za róg jakiegoś vana, za którym niestety stał mały żółty opel. – Teraz to chyba wszyscy tutaj mają po dwa samochody i używają ich zamiennie, żeby nie tracić wolnego miejsca. Tylko to tłumaczy, że o godzinie jedenastej nie ma gdzie zaparkować. Czy ci ludzie nie pracują?!

– A myślisz, że ci, co pracują w tych wszystkich biurach na Wyzwolenia, to gdzie trzymają samochody?

– Na parkingu w galerii Galaxy oczywiście. Dlatego tam też nie ma gdzie zaparkować.

Edward wyjechał na plac Lotników i ruszył dookoła skweru z konnym pomnikiem weneckiego kondotiera Bartolomeo Colleonego, który po remoncie placu dopiero co znalazł tu dla siebie miejsce, a już według pewnych radnych miał ustąpić miejsca Piłsudskiemu. Przy czym niektórzy sugerowali, żeby konia zostawić, bo i tak nikt nie odróżni go od kasztanki marszałka.

Pół godziny później zatrzymali się na Mazurskiej, jakieś ćwierć kilometra od celu podróży. Anna przez chwilę rozważała wezwanie taksówki. Ustąpiła

wobec argumentów o dobroczynnym wpływie ruchu na kręgosłup i jak się wyraził Edward, wszystko pozostałe.

– Co ty się spodziewasz tutaj znaleźć? – zapytał, gdy dobrnęli w końcu na miejsce i przez drzwi w monumentalnym kamiennym portalu dostali się do środka budynku przy ulicy Świętego Wojciecha.

– Zobaczymy – zbyła Anna męża, po czym nachyliła się do otworu w okienku. – Do czytelni – rzuciła do portiera.

Portier wcisnął guzik pod blatem i po chwili brzęczyk zakomunikował, że drzwi prowadzące do wnętrza Archiwum Państwowego są otwarte.

Czytelnia, w której udostępniano zamówione wcześniej archiwalia, mieściła się na piętrze. Aby tam dotrzeć, trzeba się było wspiąć po starych kamiennych schodach, a następnie korytarzem dojść do niewielkiego pokoju, przylegającego do czytelni naukowej.

– Chodzi o te materiały z zespołu akt Urzędu Wojewódzkiego?

Kobieta za biurkiem, w zapiętym pod szyję swetrze, spojrzała bez przesadnego zachwyty na Annę i Edwarda, gdy tylko wyłuszczyli powód swoich odwiedzin.

– Tak właśnie – skinęła głową Anna. – Sprawozdania i raporty z drugiej połowy czterdziestego szóstego. Chodzi mi właściwie wyłącznie o wizytę ambasadora Wielkiej Brytanii w Szczecinie, ale wasz internetowy katalog nie jest aż tak precyzyjny.

Kobieta uśmiechnęła się z przekąsem.

– Musiałabym sama, dokument po dokumencie, specjalnie dla pani grzebać w tych aktach, żeby to znaleźć.

Anna spojrzała na skoroszyt leżący na brzegu biurka. Nie był przesadnie gruby.

– Proszę wypełnić te dokumenty – zarządziła kobieta i podsunęła Annie formularz. – I wpisać swoje dane oraz cel badań.

Anna wypełniła pierwsze rubryki i zatrzymała się nad ostatnią. Po chwili wahania wpisała „badania genealogiczne”.

Kobieta wpisała datę i adnotację do swojego katalogu i sięgnęła po formularz. Przeleciała wzrokiem po danych i zatrzymała się na celu badań.

– Rozumiem, że to są badania naukowe? – Spojrzała podejrzliwie na Annę.

– No, w zasadzie tak. – Anna po króciutkiej chwili wahania zdecydowanie przytaknęła. – Oczywiście, że należy je tak nazwać.

– To jakaś praca doktorska? Pani jest z uniwersytetu?

Anna z lekka zaniepokojona rzuciła nerwowe spojrzenie obserwującemu ją dyskretnie Edwardowi.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – To są prywatne badania.

– Pani jest spokrewniona z tym ambasadorem? – Kobieta zajrzała do akt. – Victor Cavendish-Bentinck? To jakaś państwa rodzina?

– Skądże – zachnęła się Anna. – Niemniej ten człowiek wiąże się z naszymi rodzinnymi, nazwijmy to, sprawami.

Kobieta zawahała się i położyła rękę na pożółkłym skoroszytcie.

– Przepraszam, ale obawiam się, że to zmienia nieco postać rzeczy. Nie wiem, czy mogę udostępnić pani archiwalia z tego zespołu...

– A dlaczego nie? – Edward nie wytrzymał.

– To są jednak dokumenty służb bezpieczeństwa, obca dyplomacja. – Kobieta spojrzała z wahaniem na okładkę skoroszytu. – Osoby z ówczesnych władz jeszcze żyją...

– I co z tego? – Edward słabo sobie radził z powstrzymaniem irytacji. – Stare banialuki z komuny? Przecież to nie są nawet dokumenty IPN-u.

– Tak, ale jednak obowiązuje nas RODO, prawda? Skąd ja mam wiedzieć, czy państwo nie opublikują tego w prasie.

– Na miłość boską! – Edward wzniósł oczy do nieba.

Kobieta wstała i sięgnęła po skoroszyt.

– Niestety, takie mamy procedury. Proszę tutaj poczekać. Muszę to skonsultować z szefową.

– Wiedziałam, że to takie proste nie będzie. – Anna westchnęła z rezygnacją, gdy tylko kobieta wyszła z pokoju.

Edward podniósł głowę i rozejrzał się dookoła.

– Tu są kamery – oświadczył i wskazał oczami narożnik pokoju nad

drzwiami.

– I co w związku z tym? – Anna podążyła za jego wzrokiem. – Nie planuję niczego kraść. Zresztą ta kobieta zabrała skoroszyt ze sobą.

– Czy to znaczy, że gdyby zostawiła, wzięłabyś coś takiego pod uwagę?

Anna nie zdążyła odpowiedzieć, bo w progu pojawiła się urzędniczka.

– Zapraszam do pokoju obok. Szefowa chciałaby z państwem porozmawiać osobiście.

Kierowniczka wydziału zajmowała nieco większy i bardziej wykwintnie wyposażony pokój. Gdy Anna i Edward przestąpili próg gabinetu, nie podnosząc oczu znad skoroszytu z dokumentami, wskazała ręką dwa krzesła przy starym drewnianym biurku.

– Mamy problem, niestety – odezwała się po chwili znad akt. –

Dokumenty są parafowane przez byłe wprawdzie, ale jednak służby bezpieczeństwa. W takim przypadku wymagamy jednak jakiegoś uzasadnienia potrzeby ich przejrzenia i wglądu w nie. – Kobieta podniosła wzrok i obrzuciła taksującym spojrzeniem Annę i Edwarda. – Może to być właśnie praca naukowa, a może także pełnomocnictwo urzędowe, na przykład kwerenda konserwatorska. Wówczas powinniście państwo mieć jakiś dokument od wojewódzkiego lub miejskiego konserwatora zabytków.

– Po to, żeby zajrzeć do byle jakich papierów urzędu wojewódzkiego? – nie wytrzymał Edward.

– Przecież numer tych akt jest podany na państwa stronie. – Anna zajrzała do swoich notatek. – 65/317/0 – wyrecytowała. – Dowiedziałam się, że nie wszystko jest zeskanowane, dlatego zamówiłam je wcześniej i pofatygowaliśmy się osobiście.

– Tak, proszę pani – przyznała ze smutkiem kobieta. – To niedopatrzenie, że od razu nie zweryfikowaliśmy państwa wniosku, ale obawiam się, że bez odpowiedniego upoważnienia nie będziemy mogli udostępnić tych akt. Naprawdę bardzo mi przykro.

Przez chwilę wpatrywała się w zdezorientowaną i zasmuconą Annę i rozeźlonego i zniecierpliwionego Edwarda, po czym wstała.

– Proszę chwilę poczekać. – Uśmiechnęła się zdawkowo. – Spróbuję jeszcze zapytać pana dyrektora. Może jakoś uda mi się państwu pomóc.

– Po co ci to w ogóle potrzebne? – Edward pokręcił głową, gdy tylko za kobietą zamknęły się drzwi. – Co ci po jakichś ubeckich protokołach z lat czterdziestych? Co wyście z tą dziewczyną wymyśliły?

Anna ściskając kurczowo torebkę, podniosła wzrok i rozejrzała się.

– Tu chyba nie ma kamer?

– No pewnie, że nie ma. Po co mieliby podglądać kierowniczkę? Tylko tam, gdzie ludzie przyłóżą... – Edward przerwał, widząc, że jego żona zerwała się i sięgnęła przez biurko po upiorny ubecki skoroszyt. – Co ty robisz? Kobieto!

– Nie gadaj, tylko idź i stań przy drzwiach! – zakomenderowała Anna. – Szybko, bo ona zaraz może wrócić!

– Chryste! – Edward z szeroko otwartymi oczami rzucił się do drzwi, uchylił je i wyjrzał przez szczelinę na zewnątrz.

– To powinno być gdzieś w środku... – Anna nerwowo kartkowała dokumentację. – Wrzesień czterdziestego szóstego... Protokoły zdawczo-odbiorcze rad narodowych... akta oficera łącznikowego przy wojewodzie... sprawozdania z umów z rządem ZSRR...

– Pośpiesz się! Na miłość boską! – Edward oderwał głowę od szpary między drzwiami a framugą i spojrzał na żonę. – Zaraz znowu wylądujesz na komendzie!

– Sprawozdania, sprawozdania... – Anna przerzucała kolejne strony akt. – Sprawozdanie przekazania zakładów zajmowanych przez Armię Radziecką... sprawozdanie z wizyty... – Nagle zatrzymała się nad jakimś pozółkłym napisanym na maszynie dokumentem i wykrzyknęła: – Jest! Sprawozdanie z wizyty ambasadora Wielkiej Brytanii!

Anna sięgnęła po torebkę i wyjęła telefon.

– Boże, jak to dobrze, że ja się nauczyłam to obsługiwać – powiedziała do siebie, manipulując przy aparacie. – Jak to człowiek nigdy nie wie...

Pochyliła się nad aktami i zrobiła zdjęcie. Przerzuciła kartkę i zrobiła zdjęcia wszystkich kolejnych pięciu stron starego sprawozdania.

– Ktoś idzie! – syknął histerycznie Edward. – Kończ tę cholerną dywersję! Mata Hari się znalazła! Z Dalewa!

Zamknął ostrożnie drzwi i kilkoma wielkimi susami znalazł się przy biurku.

Anna zamknęła skoroszyt, odwróciła go i przesunęła na poprzednie miejsce, po czym opadła na krzesło, stwierdzając w duchu, że jest bliska udaru.

Gdy kierowniczką weszła do pokoju, oboje siedzieli jak trusie.

– Niestety, tak jak powiedziałam – kobieta westchnęła ciężko, siadając za biurkiem – bez odpowiedniego upoważnienia nie możemy państwu udostępnić tych materiałów.

Rozdział 21

LONDYN

Kolejne dwa dni później

Bardzo szybko okazało się, że konfrontacja eksperta od archiwaliów z Warszawy ze specjalistką z Dalewa, czyli matką Igora, najbardziej kompetentną w zakresie rodzinnych koneksji, logistycznie będzie sporym wyzwaniem. Zwłaszcza że główni animatorzy tego wydarzenia wraz z kłopotliwym spadkiem w dalszym ciągu przebywali w Londynie.

Już po pierwszej rozmowie z matką Igor poinformował wszystkich, że o jej ewentualnym przyjeździe do Londynu mogą zapomnieć. Po kolejnych, w których brała udział także Karen, wykreślono również Warszawę. To znaczy, tej ewentualności pani Anna nie odrzucała tak definitywnie, ale, jak stwierdziła, po ostatnich wydarzeniach w stolicy od wizyt tam wolałaby jednak zrobić sobie dłuższą przerwę. Dużo łatwiej poszło z Patrykiem, który bardzo chętnie przystał zarówno na wyjazd do Wielkiej Brytanii, jak i przyjazd do Dalewa.

Przyjazd prawnika do Dalewa niczego jednak nie rozwiązywał. Żeby udostępnić mu bowiem oryginały dokumentów, trzeba byłoby przetransportować je do Polski. Po dostarczeniu ich do kraju musiałyby już tam pozostać, gdyż zgody i zezwolenia na wywóz z Wielkiej Brytanii w drugą stronę nie działały. Flemingowie stanęliby w związku z tym przed problemem ich zabezpieczenia, a ojciec Igora – słuchający w tle ich rozmowy z matką – od razu się zastrzegł, że w ciągu kilku dni skarbcza pod domem nie zbuduje. Sytuacja zatem jawiła się niczym nierozwiązywalny koszmar i Igor zaczął już myśleć, że nie będzie innej rady, jak tylko zmusić matkę do przyjazdu do Londynu siłą, względnie podstępem.

Na szczęście rozważania na ten temat przerwała Gwen.

– Zrobimy telekonferencję.

W pierwszej chwili Igor oczyma wyobraźni ujrzał, jak matka razem z ojcem usiłują odebrać połączenie wideo, i zrobiło mu się słabo. Ale zaraz potem przypomniał sobie, że w Dalewie mieszka przecież młodociany syn kucharki, którego dawno już podejrzewał o to, że jest z całą pewnością, jeśli nie hakerem, to przynajmniej hejterem, w związku z czym kompetencje ma aż za wysokie jak na potrzeby tego przedsięwzięcia.

Tak więc kolejny weekend, po owocnym wypadzie do Francji, zaczął się bardzo intensywnie już w sobotę rano. Konkretnie od wyjazdu na lotnisko po Patryka, który wprawdzie zarzekał się, że doskonale poradzi sobie sam, w końcu w Londynie bawił już kilkadziesiąt razy, ale Karen była w tej kwestii nieubłagana. Zwłaszcza że obowiązek odebrania go z lotniska i tak spadał na barki wuja.

Igor, rad nierad, wszedł do tesli Johanna i z poczuciem nadmiernego wykorzystywania gościnności przyjaciela skoro świt wyruszył do Stansted wraz z towarzyszącą mu Karen.

– Podczas rozmowy z babcią nie wolno ci nawet słówkiem wspomnieć o wydarzeniach we Francji – przypomniał Igor, odrywając na chwilę wzrok od szosy połykanej bezszelestnie przez tesłę. Spojrzał surowo na Karen. – Zrozumiałaś?

– No przecież. – Karen wzniosła wzrok do nieba. Odkąd wyjechali z centrum Londynu, Igor powtórzył to już co najmniej trzy razy.

– No przecież, no przecież, a wszystkie wasze tajemnice z babcią jakoś wygadałaś.

– Przecież to co innego! Nie chciałabym babci denerwować czymś takim. Poza tym to oczywiste, że od razu zadzwoni do matki.

– Po tym wszystkim powinienem być wsadzić cię do samolotu i odesłać do Szwecji. – Igor westchnął ciężko. – Nie wiemy, do czego ci ludzie mogą się jeszcze posunąć.

– Przecież nic się nie stało.

Igor spojrzał na Karen ze złością. Tesla odbiła w prawo, po czym wróciła na swój pas.

– Nie denerwuj mnie! Jak będziesz tak nonszalancko do tego podchodzić, to w każdej chwili mogę cię stąd wyekspediować. To nie są żarty, Karen.

– Jezu...

– I temu prawnikowi lepiej też nic nie mówić.

– O czym nie mówić? – Karen spojrzała na Igora ze zniecierpliwieniem. – Przecież właśnie specjalnie go wezwaliśmy, żeby pomógł nam przy analizowaniu tych papierów. To co mu powiemy, że co?

– Nie mówić o wydarzeniach we Francji!

– Raczej nie zdążę – stwierdziła Karen uszczypliwie. – Założę się, że Jamie albo Dermot wygadają się w ciągu pierwszych dwudziestu minut.

Tym razem Igor wzniosł oczy do nieba. Karen oczywiście miała rację.

Tesla tymczasem minęła wiszącą nad drogą tablicę informacyjną i na gargantuicznym węźle drogowym pomiędzy miasteczkiem Bishop's Stortford a lotniskiem Stansted skierowała się na to ostatnie.

Pomimo zapewnień Karen o profesjonalnej inwentaryzacji dokumentów, którą wczesną wiosną przeprowadził Patryk, zaraz po tym jak jego kancelaria otrzymała zlecenie od brytyjskiego archiwum, Johann skorzystał jednak ze znajomości matki.

Irene Carley, właścicielka odziedziczonej po ojcu marszandzie sporej kolekcji bardzo cennego malarstwa, a także długoletnia opiekunka historycznych zbiorów zamku byłego męża w Carley, posiadała bezcenne kontakty w środowiskach londyńskich historyków i wszelkiego rodzaju konserwatorów zabytków. Od razu skontaktowała syna z Maksymem Dougarowitchem, wnukiem rosyjskich emigrantów, sławistą, historykiem, współpracownikiem i ekspertem londyńskich muzeów.

W Riverside, w wielkiej hali na parterze budynku, stało kilka stołów, rzęście oświetlonych ustawionymi wokół lampami. Na stołach leżały porozkładane jeden obok drugiego wszystkie dokumenty z obu kufrów. Te najnowsze, z okresu międzywojennego, najmniej interesujące, odłożono na bok. Obok nich leżały poukładane chronologicznie stare księgi inwentarzowe, pożółkłe dokumenty zalakowane ogromnymi pieczęciami, stare akta, umowy, plany jakichś budów i urządzeń gospodarczych, mapy folwarków.

Historia majątku w Belmoncie zakłęta w rozsypujących się ze starości

papierach.

Igor przyglądał się, jak profesor i Patryk wertują po kolei stare dokumenty. Patryk, jak się okazało, przy tłumaczeniu dokumentów pisanych cyrylicą, mimo że mówił po rosyjsku, korzystał także z pomocy znajomych rusycystów z Warszawy. Przydawała się obecnie także jego znajomość historii prawa i niektórych łacińskich terminów. Wszystko to przypominało badania pozostałości jakiejś zaginionej cywilizacji.

Ale przecież właściwie tak było.

Igor przypomniał sobie wszystkie długie godziny spędzone na stołku w kuchni z kogłem-mogłem w dłoni, gdy babcia Maria opowiadała niekończące się historie o Wilnie, różnych swoich ciotkach, u których spędzała wakacje, o rodzinnych koligacjach, ułanach, „królewiczu” Manuzzim. Ale także o duchach kozaków, litewskich bojarów i francuskich żołnierzy, które nocami można było spotkać, bo rzekomo włóczyły się po lasach wokół dworu, a jeden nawet straszył w domu. O sześćdziesięciu polskich zamkach na Ukrainie, które strzegły Europy przed imperium osmańskim, o rycerzach ze skrzydłami, o Nieświeżu, Mirze, Ołyce, Podhorcach, o wszystkich tych bajkowych magnackich rezydencjach na kresach. I o dziadku zabitym przez Sowietów i pochowanym koło dworu. I o tym, jak babcia wyjeżdżała z majątku, a wszyscy ludzie ze wsi przyszli na stację, żeby ją pożegnać.

Zaginiona cywilizacja, coraz bardziej niknąca w mrokach dziejów...

– A jednak! – usłyszał nagle zaaferowany głos Patryka.

Igor wrócił do rzeczywistości i podszedł bliżej stołu. Patryk przeglądał właśnie na laptopie zeskanowane przez Anglików dokumenty.

– Jest! – krzyknął i pochylił się nad ekranem.

– Co się stało? – Johann znalazł się momentalnie za jego plecami.

Patryk, tuż po przyjeździe na Riverside, gdzie poznał wszystkich współników Igora, na początku wyglądał na nieco wystraszonego. Zapewne nie spodziewał się, że trafi od razu w sam środek wydarzeń. Obiad i rozmowa z przyjaciółmi Igora szybko go jednak oswoiły. Igorowi nie umknęło także, że Karen wodziła za nim nieustannie rozmarzonym wzrokiem.

– Miałem pewne podejrzenia, że niektóre z dokumentów mogły być przez

Anglików zeskanowane na skróty. – Wskazał głową jakiś stary papier na ekranie.

– Jak to na skróty? – Johann pochylił się nad laptopem, wpatrując się w dokument.

– Ten akt na przykład ma cztery strony. To intercyza dotycząca porozumienia stron w sprawie sąsiedzkiej batalii o wzajemne szkody. Najważniejsza jest jednak preambuła i porozumienie spisane na dwóch pierwszych kartach. Anglicy zeskanowali więc jedynie te dwie strony, zakładając pewnie, że reszta jest nieistotna. Zwłaszcza że nazwiska są wymienione na początku.

– Stanisław Manuzzi... – przeczytała Karen. – Ludwik Abramowicz i ktoś tam jeszcze...

– Ciekawe ilu dokumentów to dotyczy? – Johann zmierzwił palcami jasne włosy. – A to brakoroby...

– Proszę pamiętać, że TNA robiło te skany na potrzeby postępowania prawnego, spadkowego, nie do celów archiwizacji. Zresztą jakoś też jest wystarczająca do odczytania, ale do celów muzealnych powinna być znacznie lepsza.

– To oznacza, że powinniśmy przejrzeć wszystko po kolei od początku? – zapytała Gwen, dotykając ostrożnie jednego ze starodruków.

– Ja to zrobię z prawdziwą przyjemnością – oświadczył profesor Dougarowitch i podniósł lekko nieobecny wzrok znad jakiegoś starego dokumentu. – Są fascynujące. A jeśli już mnie państwo słuchają – powiódł spojrzeniem po wszystkich twarzach po kolei – natknąłem się już na samym wstępie na pewne dokumenty, które wydają mi się trochę dziwne jak na archiwum dóbr belmonckich.

– Dziwne? – od razu podchwycił Johann. – Czemu?

– Dobra Manuzzich, potem Platerów, a do drugiej wojnie hrabiny Elżbiety – profesor skinął głową w kierunku Igora – obejmowały tereny w powiecie brasławskim, z dawnymi miastami Bohiniem i Opsą. Tymczasem są tutaj dokumenty administracji olickiej oraz papiery gospodarcze dawnych starostw w Serejach i Metelach. I bobtelskie na dokładkę. – Spojrzał na dokument, od którego przed chwilą się oderwał. – A to miasteczka między Suwałkami

a Kownem, tuż za dzisiejszą granicą.

Na moment zapadła cisza. Profesor powiedział wszystko, co miał akurat do powiedzenia, a reszta, mając blade pojęcie o topografii okolic Kowna, nie wiedziała nawet, jak to skomentować.

Johann usiadł przy stole i sięgnął po laptop. Po chwili wszyscy stali za jego plecami, wpatrując się w mapę Litwy.

– Trzysta kilometrów. – Johann wskazał palcem miasteczka na pograniczu. – Czy to możliwe, żeby to były jakieś satelitarne włości twojej ciotki? – zwrócił się do Igora.

Igor wydał usta.

– Pojęcia nie mam. Szczerze mówiąc, pierwszy raz słyszę te nazwy. Sereje, Metele...

– A tu jest przepiękny plan ogrodu barokowego – powiedział profesor i rozłożył na stole wielki stary pergamin. – Opisany jako *Cwietocznyj sad Bołdiery*.

Igor od razu pochylił się nad stołem. Na pożółkłych kartach osiemnastowiecznego projektu widać było rozrysowane partery kwiatowe i szpalery przycinanych grabów. Na bokach planów widniały małe finezyjne rysunekczki, prawdopodobnie widoki okolicznych miejsc, na środku ogrodu zaś tkwiło niewielkie kółko.

– To studnia – podpowiedział profesor, widząc zaciekawione spojrzenie Igora.

Igor wpatrywał się zachwyconym wzrokiem w kunsztowne rysunki na wyblakłym pergaminie.

– To było na tych skanach od Anglików? – Spojrzał na Patryka.

– Tylko skan pierwszej strony oraz dwa zdjęcia całości. Podejrzewam, że w TNA nie mają tak dużego skanera, a nie chcieli zlecać tego gdzieś na zewnątrz.

– Kojarzysz tę miejscowość? – spytał Johann, dotykając ostrożnie pergaminu. – Bołdiery? – przesyłabizował powoli rosyjsko brzmiącą nazwę.

Igor pokręcił głową.

– Chryste! – Johann popatrzył na Igora z nagannym niedowierzaniem. –

Mam nadzieję, że twoja matka będzie wiedziała więcej od ciebie.

– To są jakieś majątki sprzed rewolucji – stwierdził Igor i wzruszył ramionami. – Po pierwszej wojnie zostały za granicą Rzeczypospolitej, na Litwie. Skąd ja mam to wszystko wiedzieć?

Igor odwrócił się i rozejrzał po hali, szukając wzrokiem Karen. Może ona coś na ten temat słyszała od matki? Ale Karen siedziała właśnie obok Patryka i nad czymś w skupieniu konferowali.

Telekonferencja miała się odbyć za godzinę. O ile oczywiście młodociany syn kucharki z Dalewa zdoła dojechać do ładu z matką.

– A to co to jest? – nagle od stołu dobiegł ich okrzyk Gwen.

Odwrócił się i zobaczył, że za plecami dziewczyny od razu zaczęło się zbierać całe stadko zainteresowanych.

Gwen oglądała jakąś grubą księgę w twardych okładkach. Gdy podszedł bliżej, właśnie ostrożnie podważała paznokciem zlepione strony.

– Nie chciałabym tego zniszczyć – powiedziała, spoglądając na profesora.
– Strony są pozlepiane tutaj w środku w kilku miejscach. Mam wrażenie, że coś tam jest.

Dougarowitch przysunął ostrożnie księgę do siebie i spojrzał najpierw na stronę tytułową.

– To kalendarz – powiedział, przyglądając się z zainteresowaniem kilku pierwszym kartkom.

Gwen przytaknęła.

– No właśnie, zainteresował mnie, bo jest tam sporo wpisów po francusku.

– Nie został zeskanowany? – zapytał Johann, zaglądając do laptopa.

– Anglicy zeskanowali tylko pierwsze strony – uprzedził go Patryk. – Zrobili nawet adnotację, że to taki kalendarz pamiętnik. Tu ich można zrozumieć, pewnie obawiali się ujawniania prywatnych szczegółów i ewentualnych pozwów później.

– W tamtych czasach... – zaczął mówić profesor i przerwał.

Spojrzał jeszcze raz na pierwszą stronę.

– Tysiąc osiemset dwunasty, hm, ciekawa data... No więc był wówczas zwyczaj wypełniania takich właśnie kalendarzy krótkimi wzmiankami.

Nawiasem mówiąc, wtedy w tych sferach język francuski używany był bardzo często. Notowano w kalendarzu różne codzienne obowiązki, krótkie opisy spotkań czy wojaży albo, w przypadku młodych panien, rozmaite romantyczne zwierzenia. – Uśmiechnął się, patrząc na jedną ze stron. – Tu mamy chyba do czynienia z czymś takim właśnie. Niestety ta panienska nigdzie się nie podpisała.

– Instagram sprzed dwustu lat – skomentowała cicho Karen.

– A te zlepione strony? Tam wyraźnie coś jest w środku. – Gwen patrzyła na stary kalendarz z coraz większym zainteresowaniem.

– Proszę się nie spodziewać żadnych tajemnic. To mogą być po prostu ukryte liściki miłosne. – Profesor pomacał dwie strony i ostrożnie podważył malutkim nożykiem jedną z nich. – Panienki często ukrywały takie kalendarze przed matkami, na przykład pod podłogą. Strony raczej nie skleiły się przypadkowo.

– To fantastyczne! – zawołała Gwen z entuzjazmem. – Historia jakiejś miłości sprzed dwustu lat. Poczytam to sobie dzisiaj, większość zapisków jest po francusku.

– Może lepiej poprośmy kogoś od matki, żeby to zrobił fachowo. – Johann patrzył sceptycznie na próby rozerwania stron starego kalendarza. – Boję się, że to zniszczymy. Chyba wytrzymasz do jutra – powiedział z nadzieją w głosie i spojrzał na Gwen.

– No proszę... Kolejna zakochana praciotka – mruknął Igor pod nosem.

Telekonferencja zaczęła się punktualnie, chociaż nie bez drobnych problemów. Najpierw o oznaczonej godzinie na ekranie pojawił się Filip – mały syn kucharki. Zobaczywszy całą halę pełną obcych ludzi, wyraźnie się speszył i zdenerwowany szybko coś nacisnął. Obraz zniknął, by po chwili pojawić się ponownie, tym razem jako martwa natura z kuchnią w Dalewie na pierwszym planie. W tle dało się słyszeć jakieś przyciszone głosy, w których po chwili wyraźnie zabrzmiał sceniczny szept ojca.

– Przecież tam wszyscy czekają! Dokąd ty leziesz, kobieto?!

Igor ciężko westchnął.

– Zapomniałam albumów, zaraz wracam.

– Po co ci albumy? Nie będziesz im przecież pokazywać zdjęć! To nie Wielkanoc.

Po chwili przed kamerką z kilkoma albumami pod pachą przebiegła matka i zniknęła poza kadrem.

– Edward! Edward! Tu masz sernik. Zabierz go, bo potem będziesz łąził i przeszkadzał.

Karen roześmiała się głośno, a Igor oparł łokcie na stole i schował twarz w dłoniach.

Na ekranie pojawiła się w końcu Anna i zasiadła przed laptopem. W tle w oknie kuchennym widać było liście lipy, rozświetlone późnym popołudniowym słońcem.

– Dzień dobry wszystkim – przywitała ich matka Igora, uśmiechnęła się i pomachała dłonią. Igor miał wrażenie, jakby znalazł się nagle na lekcji, a za chwilę wszyscy mieli ryknąć „dzień dobry pani profesor!”.

– Karen, mam nadzieję, że nie sprawiasz tam za dużo kłopotu panu Johannowi.

– Pani Anno, absolutnie żadnego, co innego Igor – powiedział pewnie Johann i uśmiechnął się szeroko do Igora. – Wielka szkoda, że nie udało się nam pani tutaj ściągnąć.

– Jeszcze tylko w Londynie jej nie było... – dobiegł gdzieś z głębi domu stłumiony głos ojca.

Tym razem prawie wszyscy parsknęli śmiechem.

– Mamo... – zaczął Igor słabym głosem, ale Anna go uprzedziła.

– Kochani, mój angielski jest, jaki jest. Jeśli będę miała kłopoty, to Karen mi pomoże...

Igor przez króciutką chwilę zastanawiał się, dlaczego niby nie on, po czym przyznał w duchu, że po angielsku mówi chyba jeszcze gorzej niż matka.

– Karen mi powiedziała, że potrzebujecie pomocy w ustaleniu pewnych faktów w związku z przejściem trzeciego kufra po cioci Jadwini. Ale skoro Francuzi to tacy służbiści, to trudno. Doprawdy nie chce mi się wierzyć, że ten kufer się znalazł.

Igor otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się i spojrzał z mimowolnym uznaniem na Karen. Cwanie ominęła kwestię durnowatych poszukiwań rodzinnego skarbu. Igor nie potrafił sobie wyobrazić rozmowy z matką na ten temat, ale jak widać, nie będzie to może konieczne.

– W testamencie pani Elżbieta scedowała obowiązek zabezpieczenia mienia pani Jadwigi na męża – odezwał się Patryk oficjalnym tonem. – I najpierw musimy ustalić pewne fakty z nim związane, żeby móc określić, kto po nim ten obowiązek dziedziczy.

– A Francuzi są bardzo drobiazgowi – zawtórowała mu Karen. – Chodzi także przecież o zgodę na wywóz tych archiwaliów z Francji.

– To tam naprawdę są jakieś archiwalia? – Anna wyjęła z kieszeni okulary i ostrożnie je włożyła. – Wprost niewiarygodne.

– Na przykład intercyza ślubna Ferdynanda i Anastazji. Oglądałam ją.

– Naprawdę jest taki dokument? Mój Boże, Anastazja Bielikowiczówna. To właśnie wtedy Kozaczyzna jako posag trafiła do Mikuliczów.

– Konkretnie w tysiąc osiemset drugim.

Igor rzucił Karen ostrzegawcze spojrzenie, żeby nie przeholowała. Matka w końcu zechce zobaczyć te dokumenty. I co wtedy? Raczej nie zanosilo się, żeby je kiedykolwiek odzyskali.

– W Kozaczyźnie urodził się ich syn, a nasz prapra-ileśtam-dziadek w linii prostej. – Anna zaczęła grzebać w swoich zdjęciach i dokumentach. – Ale jeśli chodzi o Ferdynanda, to miałam tu gdzieś nawet akt jego chrztu. Urodził się w majątku nad Niewiażą niedaleko Poniewieża. Tuż obok były Burbiszki, gdzie mieszkał Kornel Makuszyński, a nad tą samą rzeką, tylko kilka wsi dalej, urodził się Miłosz. Dolina Issy to tak naprawdę dolina Niewiaży.

Igor pomyślał, że matka, nauczycielka matematyki w szkole w Dalewie, po tym jak przejęła fizykę, musiała chyba zacząć także prowadzić historię, z braku chętnych do zajmowania słabo płatnych etatów.

– A trochę dalej na południe, pod samym Kownem, leżało starostwo bobtelskie, które od końca siedemnastego wieku należało do Mikuliczów, a ciut dalej rozciągały się ziemie administracji olickiej. Możliwe, że i sam Ferdynand wychowywał się na dworze w Olicie.

– Pani Anno – odezwał się Patryk i nagle zaskoczony umilkł.

Igor pomyślał, że stworzona przez Karen i Patryka na potrzeby przesłuchania matki piramida argentyńska oparta na rzekomych francuskich szykanach właśnie się chyba zawaliła.

– W Bobtelach? – Johann pochylił się nad stołem i zaczął gorączkowo grzebać w papierach, które jakąś godzinę wcześniej pokazał im profesor Dougarowitch. – A Sereje i Metele? – zapytał, wyciągając kilka starych skoroszytów.

– To starostwa niedaleko Olity. Ale to bardzo stare dzieje. Co Francuzi mają dzisiaj do ziem Mikuliczów z osiemnastego wieku? – zapytała zdziwiona matka Igora i spojrzała uważnie znad okularów.

– Bo w kufrze ciotki Jadwini znajdowały się dokumenty stamtąd – odpowiedziała szybko Karen.

Igorowi przemknęło przez głowę, chociaż Karen oczywiście wymyśliła tę odpowiedź na poczekaniu, że to akurat mogła być prawda. Dokumenty mogły naprawdę pochodzić z kufra ciotki Jadwigi. Ludzie Bentincka grzebali we wszystkich trzech kufkach po wojnie, tak jak zresztą mówił ten stary O'Malley, inspektor z TNA, i po prostu pomieszali ich zawartość.

– A w tych miasteczkach? – Karen przyglądała się z fascynacją mapie na laptopie. – Tam stały jakieś zamki?

– W Serejach stał zamek jeszcze po Radziwiłłach, nawet do dzisiaj zachowały się jego pozostałości. Na tym dworze sporo naszych przodków brało śluby... – Anna przez chwilę wertowała swoje notatki. – Miałam tu nawet jakieś kserokopie aktów... Stary dwór stał też w Olicie.

Karen spojrzała najpierw na Johanna, a potem na Igora. Podniosła porozumiewawczo brwi.

– Natomiast w Bobtelach stał całkiem spory pałacyk. Chyba nawet z siedemnastego wieku. – Anna wyjęła ze swoich notatek jakieś stare zdjęcie i pokazała je do kamery. – Zachował się zresztą do dzisiaj.

– A kojarzysz miasteczko albo wieś Bołdiery? – Igor oderwał wzrok od poślódkiej fotografii dworu pod Kownem i spojrzał na matkę z nadzieją.

Anna z wahaniem pokręciła głową.

– Bołdiery? Pierwsze słyszę – odpowiedziała w końcu.

– To rosyjska nazwa, może po polsku brzmiała jakoś inaczej –

podpowiedział Patryk, ale matka Igora ponownie pokręciła głową.

– A ci Francuzi przypadkiem nie przesadzają? – Anna zdjęła i przetała okulary. – Do czego są im potrzebne takie informacje?

– Pewnie muszą mieć pewność, że te papiery rzeczywiście należą do rodziny. – Karen spojrzała w monitor z niewinną miną. – W końcu chcemy wywieźć z Francji zabytkowe starodruki. A... babciu, mam pytanie o pewną osobę. Czy to prawda, że nadprezydent Prus Wschodnich Leopold von Schrötter był naszym dalekim krewnym?

Anna Fleming popatrzyła na swoją wnuczkę. Była zaskoczona nawet bardziej niż Igor, który wpatrywał się w Karen podejrzliwie. Był ciekaw, co też ona wymyśliła.

– A skąd ty to wzięłaś? Gdzieś to wyczytała?

– Czyli był?

– Rodzina von Schröttera pochodziła z Kurlandii, a jedna z linii Mikuliczów skrzyżowała się tam z niemieckimi rodzinami von Korff, von Osten, von Nettelhorst. Ale co to ma wspólnego z kufrem cioci Jadwini? – Anna patrzyła ze zdumieniem na Karen.

– Znalazłam taką informację, że Leopold von Schrötter był wykonawcą testamentu naszego krewnego z tej właśnie Olity i prawnym opiekunem jego nieletnich córek – odpowiedziała Karen.

– A jakie to były lata właściwie? – zapytał Johann.

– Von Schrötter był nadprezydentem Prus Wschodnich od tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego aż do reformy administracyjnej w tysiąc osiemset ósmym – przeczytała Karen w Wikipedii i spojrzała roziskrzonym wzrokiem na Johanna.

Igor nie miał pojęcia, o co jej chodziło. O tajemniczym Prusaku słyszał pierwszy raz w życiu. Możliwe, że tak jak i o wielu innych krewnych, przodkach czy kimkolwiek po prostu zapomniał albo nie dosłyszał, jak opowiadały matka albo babcia Maria. Ale Karen najwyraźniej coś wykombinowała.

W dalewskiej kuchni nagle powstało jakieś zamieszanie. Zza kadru dobiegły dziwne hałasy. Anna przeprosiła i na chwilę odeszła na bok.

– Co ty wymyśliłaś z tym von... Sz... von Dupersztanglem?! – Igor

odwrócił się do Karen i wbił w nią wzrok. – Jaki on ma związek z... z czymkolwiek?!

Na ekranie pojawiła się ponownie Anna.

– Bardzo was przepraszam, ale musimy kończyć. Mamy tu problemy z letnikami. Twój ojciec znowu kogoś nie zapisał albo dwie grupy zapisał na ten sam termin. – Spojrzała wymownie na Igora.

– Wszystko zapisałem! – huknął z boku ojciec. – To ludziom coś się pomieszało!

– Muszę kończyć. – Anna pochyliła się nad monitorem. – Jakbyście coś jeszcze chcieli wiedzieć, to niech Karen dzwoni.

Johann uderzył palcem w klawiaturę i z ekranu zniknęło logo znanego społecznościowego medium.

– To mamy ziemie Mikuliczów z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra! – powiedział z entuzjazmem, odwracając się do całej grupy. – I mamy nawet jakieś zamki. Kiedy twoja matka mówiła, ja grzebałem oczywiście w necie. W tych Serejach rzeczywiście zachowały się pozostałości kasztelu, a pałac w Bobtelach stoi nadal. Jest tam dzisiaj hotel. No, mogą być tam jakieś lochy...

– Jedyne lochy, na które tam się niewątpliwie natkniemy, to dzikie świnie.

Igor chciał ponownie przypomnieć o rosyjskim bandziorze, któremu wchodzili właśnie w paradę, ale zadzwonił jego telefon.

– Igor, ja aż taka głupia nie jestem.

Igor podniósł się i spodziewając się jakichś wymówek dotyczących wciągania Karen w swoje ciemne sprawy, odszedł na bok.

– O co ci chodzi, mamoo?

– Przecież od razu się zorientowałam, że prowadzicie właśnie poszukiwania tego wydumanego skarbu ciotki Elżbiety. Karen przez ostatnie dni dzwoniła do mnie już z dziesięć razy i wypytywała o różne rzeczy.

– To, że o tym tutaj gadamy, o niczym jeszcze nie świadczy. Przeglądamy po prostu te stare materiały i znalazło się tam sporo intrygujących rzeczy.

– À propos... – Igor w tle usłyszał szelest kartek. – Nawet nie wspomnę, na co się narażałam, ale zdobyłam protokół szczecińskiej bezpieki

z czterdziestego szóstego! Filip wydrukował mi z telefonu. Nie wiedziałam, że to w ogóle tak można.

– Co takiego?!

– Karen opowiedziała mi o waszych ustaleniach dotyczących Bentincka i o tym, że był w Szczecinie, więc postanowiłam zajrzeć do szczecińskiego archiwum. Niestety takie proste to nie było...

Anna westchnęła.

– W każdym razie, według esbeckiego protokołu ten cały Bentinck, zaraz po roboczej wizycie w Szczecinie, we wrześniu czterdziestego szóstego, po tym jak nawiązał kontakty z radzieckimi służbami, pojechał prosto do Wałbrzycha. A stamtąd do zamku w Książu!

– No i co z tego? – zapytał po chwili Igor, gdy jego matka przerwała, a w tle słychać było szelest przierzucanych kartek.

– A to, że jest tu taka mała wzmianka. – Matka znalazła w końcu właściwy akapit. – *Stwierdzono, że B. oglądał podziemia wykonane przez niemiecką organizację Todt pod zamkiem oraz poszukiwania prowadzone w Pełcznicy!*

– Ostatnia właścicielka Książa była przecież Angielką – napomknął bez przekonania Igor. – Może chodziło o jakieś negocjacje.

– W Pełcznicy stoi dwór myśliwski, który pod koniec dziewiętnastego wieku kupił Johann Mikulicz-Radecki – wypaliła Anna. – Nie wiedziałeś o tym?

Igor spojrział w kierunku rześście oświetlonego stołu na środku hali, przy którym trwała jakaś ożywiona dyskusja. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby matka włączyła się do poszukiwań.

– Mamo – zaczął słabym głosem. – To kompletny przypadek. Głupota. Co może mieć wspólnego wrocławski chirurg z mitycznym skarbem z końca osiemnastego wieku?! Aż wstyd mi o tym mówić...

– Ja nie twierdzę, że ma coś wspólnego! – oświadczyła pani Anna z irytacją, zniżając głos. Igor domyślił się, że gdzieś w pobliżu jest ojciec. –

Mówię tylko o tym, że ktoś mógł po wojnie brać pod uwagę wszelkie możliwości. W końcu od lat krążą związane z tym legendy o Siemianowicach, Namysłowie czy Krobielowicach. A jeśli sprawdzali taką

ewentualność, no to pomyśl, mogło chodzić tylko o to.

– Z czym związane?! O co? – Igor nie miał zielonego pojęcia, o czym matka mówi.

– Muszę kończyć, bo ja przecież nie wytrzymam tutaj z twoim ojcem! Ulokowaliśmy tych nadprogramowych letników w domu. Dobrze, że oni tylko na weekend. Pamiętaj, nie wciągaj w nic Karen!

Igor schował telefon do kieszeni i powoli podszedł do stołu.

Akurat w tym momencie rozległ się głośny rumor otwieranych stalowych drzwi i do hali wpadła Alice. Z torbą lekarską w ręku.

– Ile straciłam? – spytała zdyszana, stanąwszy obok stołu. – Musiałam wziąć kolejny dyżur, bo w Londynie jest za mało lekarzy.

– Po co ty w ogóle pracujesz w tym szpitalu? – Dermot patrzył na nią poirytowany.

– Specjalizacja sama się nie zrobi, a na skarby raczej nie ma co liczyć. Co tu się działo?

Streszczenie wydarzeń zajęło trochę czasu i Johann dotarł w końcu do puenty.

– Mamy zatem trzy teorie, czym mógł być ten mityczny skarb. Pierwsza to majątek Manuzziego, bogate wyposażenie pałacu w Bohiniu, które w czasie insurekcji kościuszkowskiej zostało ukryte gdzieś w pobliżu. Za tym przemawiają fakty, dokładne opisy wydarzenia, zatrzymania ludzi hrabiego przez powstańców Kościuszki. Nawet jest inwentaryzacja tych skarbów. Manuzzi złożył ją na ręce Katarzyny Drugiej, domagając się odszkodowania, które, notabene, dostał. Przeciw przemawia fakt, że wydarzenia działy się jednak na rok przed objęciem władzy przez cara Pawła, no i w sąsiednich dobrach Mikuliczów jeszcze brak zamku. Raczej trudno przypuszczać, że powstańcy wlekliby pięćdziesiąt wozów ze skarbami aż pod Kowno, do tych Bobtel czy Olity.

Igor usiadł przy stole, wpatrując się z podziwem w Johanna. Musiał przyznać, że jego przyjaciel przyswoił sobie tyle wiedzy na temat historii jego kraju, ile wielu prawdziwych Polaków nie zdobyło przez całe życie.

– Druga teoria to majątek sekty skopców, która została rozwiązana przez Aleksandra Pierwszego, a jej przywódcy wywiezieni do odległych

klasztorów i więzień – kontynuował Johann. – Ta teoria jest idealnie ulokowana czasowo, za nią przemawiają również dokumenty angielskiego wywiadu, który stwierdził, że członkowie sekty poszukiwaczy krzyża są ich następcami. Jest także krzyż, o którym wspominał testament. No i jest firma eksploracyjna rosyjskiego oligarchy Olega Sokołowa C.Seekers. Cross Seekers?

Johann przerwał, wpatrując się we wszystkich zgromadzonych przy stole.

– Profesor Dougarowitch potrzebuje jeszcze dwóch, trzech dni, żeby zapoznać się ze wszystkimi dokumentami z kufrów, żeby je przetłumaczyć, potrzebuje dodatkowego tygodnia, dokładne ich przeanalizowanie to kwestia kolejnych tygodni. Jak do tej pory jednak nie trafiliśmy na nic, co byłoby jakąś wskazówką. Jest niestety możliwe, że to coś zabrał po wojnie Bentinck.

– Znaleźliśmy przecież mapy i katastry tych majątków pod Kownem – przypomniał Dermot.

– No właśnie – przyznał Johann. – A z tym wiąże się trzecia teoria, którą stworzyła Karen.

Karen się uśmiechnęła.

– Dlatego właśnie zapytałam babcię o nadprezydenta Prus Wschodnich, krewnego Mikuliczów, jak się okazało. Otóż dokładnie w tych latach... Nie myślcie sobie, że ja to wiedziałam. Właściwie wpadł na to Patryk, przypominając o wydarzeniach, w których brał udział Marian, mąż Elżbiety. Konwojował wywóz skarbcza wawelskiego przez Rumunię do Francji. Jedno z drugim nie ma raczej związku...

Karen zaplątała się i straciła na chwilę wątek.

– No więc dokładnie w tych czasach, jesienią tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego wojska pruskie, które w czasie powstania Kościuszki okupują Kraków, na rozkaz Fryderyka Wilhelma Trzeciego... – Igor w tym momencie domyślił się, o co chodziło Karen – ...włamują się do skarbcza wawelskiego. W styczniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego szóstego polskie regalia trafiły do Wrocławia, a potem do Królewca. Dwanaście lat później, w tysiąc osiemset szóstym, po tym jak Napoleon podbił Prusy, a z części odzyskanych ziem powstało Księstwo Warszawskie, Polacy zażądali zwrotu regaliów. Tymczasem Fryderyk Wilhelm Trzeci, żeby zasilić własną kasę, zdecydował rozmontować i sprzedać klejnoty.

W styczniu tysiąc osiemset dziewiątego regalia przyjechały z Królewca do Berlina, gdzie ich wartość oszacowano na pół miliarda talarów, a następnie w marcu wróciły do Królewca, gdzie miały zostać zdemontowane i przetopione. W tysiąc osiemset piętnastym jednak marszałek sejmu Królestwa Polskiego otrzymuje propozycję odkupienia Szczerbca, który rzekomo ocalał i został odnaleziony w Moskwie. Marszałek odmówił, zakładając, że to oszustwo. Po latach okazało się jednak, że miecz był autentyczny, i w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku na mocy traktatu ryskiego wrócił z Petersburga na Wawel.

Karen przerwała i spojrzała na słuchającego w skupieniu Igora.

– A co, jeśli regalia jednak ocalały? Akcja ich demontażu w Królewcu musiała oczywiście przebiegać pod nadzorem nadprezydenta Prus Wschodnich, Fryderyka Leopolda von Schröttera, naszego, niestety, dalekiego krewnego...

Nad stołem, na którym leżały sterty starych dokumentów, zapadła cisza.

– A w tym czasie córki naszego krewnego z Olity nie były jeszcze pełnoletnie i cały czas pozostawały pod kuratelą kuzyna. Obie urodziły się w Olicie właśnie, a po sąsiedzku były do dyspozycji stare dwory i pałace, w Bobtelach, Serejach, na pewno z lochami!

– Karen... – Igor ciężko westchnął, odrywając wzrok od planów barokowego ogrodu w tajemniczych Bóldierach. – To jest tak... – zająknął się, szukając odpowiedniego określenia – absurdałne historical fiction.

– No i to tłumaczy udział w całej sprawie tej ruskiej odmiany Ahnenerbe – odezwał się Johann, któremu teoria Karen najwyraźniej bardzo przypadła do gustu. – Skarby o wyjątkowym znaczeniu narodowym, symbole.

– Ale dla Polski, nie dla Rosji! – Igor wciąż patrzył kątem oka na plan tajemniczego ogrodu. – Poza tym w skarbcu wawelskim nie było żadnego krzyża, nie mówiąc już w ogóle o jakiejś tajemniczej machinie.

– Była korona moskiewska – zaprotestowała bez przekonania Karen. – Bardzo podobno ważna dla Rosjan.

– Ale raczej trudno koronę pomylić z krzyżem, a w testamencie jest mowa o krzyżu. Poza tym przypominam wam, że w testamencie jest jeszcze magiczna wstawka o tym, że skarb można znaleźć jedynie w święto

Mendoga. To raczej nie pasuje już do niczego.

Na mapie ogrodu nad rysunkiem był wykaligrafowany kunsztowny napis po rosyjsku, a obok widoczek jakiegoś miasteczka. Projekty z tamtych czasów często były same w sobie dziełami sztuki. Na widoczku spomiędzy dachów wyłaniała się kopuła jakiegoś kościółka z wieńczącym ją krzyżem.

– A Mendog najlepiej dowodzi tego, że to tylko legenda. Etnograficzna piękna bajka, którą ciotka, z racji powiązania z Belmontem, chciała uratować. No i miała rację. Tamten świat, wraz ze śmiercią pamiętających go ludzi, właśnie bezpowrotnie odchodzi. Nazwy prawdziwych miejsc z Sienkiewicza czy Słowackiego stają się równie bajkowe jak nazwy z *Władcy Pierścieni*. To, co matka mówiła o Niewiaży, dolinie Issy...

Ale co matka miała na myśli, mówiąc o Siemianowicach?

Piękny jest ten rysunek. Kościółek trochę przypomina kościół Inwalidów w Paryżu. Skąd mu się wzięło to skojarzenie?

Igor, który przez leżący przed nim osiemnastowieczny projekt nie mógł się skupić, nagle poczuł, jakby ktoś go walnął w łeb.

Zerwał się od stołu, strącając na ziemię jakiś skoroszyt.

– Gdzie jest ta blacha?! – krzyknął do Johanna.

– Blacha? – Johann patrzył na Igora jak na szaleńca. – Jaka...

– Blacha z Francji? Co myśmy z nią zrobili? Została w busie?

– Nie. Johann chciał ją wywalić, ale ja rzuciłem ją po prostu w kąt – odezwał się Dermot. – Leży za pudłami.

– Których nawet jeszcze nie odpakowaliśmy – wtrąciła Alice z przekąsem.

Igor rzucił się do drzwi, ale zatrzymał nagle w pół kroku i wrócił do stołu. Chwycił leżącą na nim szmatkę.

– Mamy tutaj sodę? – Spojrzał na Johanna. – Albo od biedy proszek do prania?

Johann otworzył szeroko oczy.

– A może ktoś ma płyn do dezynfekcji rąk?

– Czy ci całkiem odbiło? – zdecydował się zapytać Johann.

– Ma ktoś?!

– Ja mam – przypomniała sobie Alice i sięgnęła do swojej czarnej lekarskiej torby.

Igor chwycił buteleczkę z płynem i trzymając w drugiej bawełnianą szmatkę, rzucił się w kierunku wyjścia. Dopadł stalowych drzwi i po chwili znalazł się w holu dawnego magazynu, w którym stał ogromny, dopiero co kupiony batyskaf, a za nim piętrzyły się kartony, oklejone różnorakimi pieczętkami ostrzegawczymi.

Rozejrzał się po podłodze. Zaraz za nim do holu weszli oczywiście wszyscy pozostali, obserwując go z lekkim niepokojem.

– Tam leży. – Dermot wskazał ręką brudną pogiętą blachę, wystającą zza ustawionych jeden na drugim kartonów.

Igor rzucił się w kąt, wyszarpnął blachę i po chwili ostrożnie położył ją na podłodze na środku pomieszczenia.

Odkręcił korek buteleczki z płynem do dezynfekcji i wylał odrobinę na szmatkę. Uklęknął na ziemi, pochylił się nad francuskim artefaktem i zaczął pocierać jego fragment.

– Co ty, do diabła, robisz? – zapytał Johann.

Wszyscy stanęli w kręgu nad Igorem, przypatrując się jego poczynaniom.

– To niemożliwe – mrucał do siebie Igor. – To absurdalne, że w ogóle to sprawdzam...

Oderwał ściereczkę od blachy i spojrzał.

Część poddana właśnie chemicznym torturom błyszczała teraz, przezierając pomiędzy brudnymi smugami.

Igor podniósł głowę i spojrzał na stojącą nad nim całą, lekko wystraszoną siódmką.

– To czyste srebro.

Rozdział 22

W hali dawnego magazynu przy Riverside przez dłuższą chwilę trwała taka cisza, że słychać było plusk przepływających po Tamizie barek i odległy szum generowany przez biurowce w Silvertown stojące na przeciwległym brzegu.

Jamie głośno przełknął ślinę.

– Chciałeś wyrzucić jakieś dziesięć kilogramów czystego srebra na śmietnik? – spytał Igor ze wzrokiem wciąż wbitym w pogięty i szerniały kawał blachy.

– Skąd miałem wiedzieć... – odezwał się niepewnie Johann, po czym pokręcił energicznie głową, jakby obudził się z hipnozy. – Ale zaraz, zaraz! Skąd to się tutaj wzięło? Skąd srebro? – zapytał zdumiony, patrząc na siedzącego na posadzce Igora. – Jak ci w ogóle przyszło do głowy, żeby to sprawdzić?!

– Coś mnie oświeciło. – Igor podrapał się po głowie, mierzwiąc jeszcze bardziej już i tak potargane ciemne włosy. – Kilka skojarzeń, ale i tak nie ma jeszcze pewności...

– Przestań dukać i wyjaśnij po kolei, o co tutaj chodzi?! – Kategorieczny ton Gwen podziałał na wszystkich jak wiadro zimnej wody.

Karen kucnęła i dotknęła z namaszczeniem blachy.

– To jest dużo warte? – zapytała, spoglądając na Johanna.

– Uncja srebra kosztuje dwadzieścia sześć dolców – odezwał się automatycznie Jamie. – A uncja to jakieś dwadzieścia osiem gramów, czyli zakładając, że to waży jakieś dziesięć kilo, to będzie z dziesięć tysięcy euro.

Karen spojrzała z mimowolnym szacunkiem na Jamiego, uświadamiając sobie nagle, że ten grubawy, niepozorny, zabawny facet jest jednak księgowym matki Johanna, prowadzącej jakieś wielkie interesy.

– Myślałam, że więcej.

– Znacznie cenniejsza będzie informacja, skąd to się wzięło. – Alice popatrzyła ponagląjąco na Igora, wciąż zatopionego w myślach.

Igor natomiast wpatrywał się w rodzinny artefakt i nie mógł pojąć, jak to się stało, że wszystkie bajdy opowiadane przez babcię Marię nagle stały się realne. Może to jeszcze nie było właściwe określenie, ale namacalne stały się już na pewno.

Wyciągnął dłoń i pogłodził wyczyszczony fragment metalu.

– Tydzień temu byliśmy w Paryżu. – Spojrzał w końcu na Alice i przyglądającego mu się ze zniecierpliwieniem Johanna. – W kościele Inwalidów...

– A co to ma do rzeczy? – nie wytrzymał Jamie.

– Niech on mówi, do diabła! – zniecierpliwiała się Alice.

– Zaraz po telekonferencji zadzwoniła do mnie matka. – Igor zagryzł wargi. Pomyślał, że zapomniał ją poprosić, żeby wysłała mu fotki tego ubeckiego protokołu. Będzie musiał znowu liczyć na pomoc hejtera Filipa.

– I co dalej? – Johann usiadł po turecku obok i wbił wzrok w Igora.

– Idziemy stąd! – zakomenderowała nagle Gwen. – Do stołu. Tam jest kawa. Może nam wszystkim to dobrze zrobi.

Igor, z fizycznie wręcz odczuwalną świadomością tego, że wszyscy się w niego wpatrują, oczekując wyjaśnień, sam wpatrywał się w stronę w Wikipedii. Chciał wspomóc przynajmniej takim, niepewnym wprowadzie, ale zawsze źródłem, swoją mizerną wiedzę historyczną. Ze zgrozą pomyślał, że przydałaby się teraz pomoc matki.

– Do tych waszych poronionych pomysłów na temat wielkiego skarbu – odezwał się w końcu – dorzuciłbym teraz dwa jeszcze bardziej fantastyczne. Nie chce mi się w to wierzyć... – westchnął, patrząc na leżący na stole, przytargany z holu kawał szlachetnego żelastwa. – Ale nie ma siły, jakoś ten artefakt do kufra ciotki Jadwigi musiał się dostać. Jest wprowadzie możliwe, że po prostu ciotka znalazła to gdzieś po powstaniu w Warszawie, jakiś fragment spalonego wyposażenia kościoła czy czegoś, i zabrała, ale...

– Nie mogła – przerwała Karen, kręcąc kategorycznie głową. – Kufer znalazł się w Willi Róż przed powstaniem, skoro ciotka Elżbieta wpisała go

do testamentu. Testament jest z czerwca, a powstanie wybuchło w sierpniu.

Igor musiał jej przyznać rację. Co ona właściwie studiuje w tej Szwecji? Hotelarstwo? Co się z nią porobiło w te wakacje?

– *Wraz z dwoma kuframi z Belmontu w domu przy alei Róż ukryty został także powierzony mojej pieczy kufer mojej szwagierki Jadwigi Radeckiej-Mikulicz* – przeczytała Karen.

– No dobra. – Igor uniósł dłonie. – Więc załóżmy, że to naprawdę skarb. W związku z tym mam dwie dodatkowe koncepcje.

Na moment przerwał i spojrzał na stronę Wikipedii.

– Zacznę od tej bardziej fantastycznej, za to łatwo tłumaczącej udział w tym Sokołowa. Otóż Rosjanie mają swoje legendarne skarby, których od dziesięcioleci szukają po całym kraju. – Przerwał i powiódł spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych przy stole. – Jednym z nich jest gigantyczny rzekomo skarb wywieziony przez Polaków po tym, jak w tysiąc sześćset dwunastym ograbili i splądrowali Moskwę.

– Polacy? – Jamie spojrzał na Igora z niedowierzaniem.

– W tysiąc sześćset dziewiątym ostatni car z dynastii Rurykowiczów zawarł ze Szwecją sojusz przeciwko Polsce. W obliczu tego faktu panujący wówczas u nas Zygmunt Trzeci Waza wyruszył na Smoleńsk, najsilniejszą ówczesną twierdzę rosyjską. Podbił ją, a zaraz potem wojska hetmana Żółkiewskiego pokonały Rosjan pod Kłuszynem, w następstwie czego wszystkie twierdze rosyjskie, po kolei, jedna po drugiej, się poddały. Koniec końców, rosyjscy bojarzy wypędzili cara Wasyla Czwartego Szujskiego, przejęli tymczasową władzę i zaproponowali koronę synowi Zygmunta Trzeciego, Władysławowi. To była właśnie ta korona moskiewska ze skarbca wawelskiego. – Igor spojrzał na Karen.

– To po cholere wy obchodzicie jakieś rocznice nieudanych powstań? – Jamie patrzył na Igora z malującym się na twarzy osłupieniem. – To powinno być wasze największe święto. Kto obchodzi rocznicę tego, że dostał wpierdol?!

– Niech on mówi, do diabła! – Johann uciszył Jamiego. – Bo nigdy się nie dowiemy, o co chodzi z tą cholerną blachą!

– Zaraz po wypędzeniu Wasyla Czwartego bojarzy aresztowali jego braci

Dymitra i Iwana, a polskie wojska hetmana Żółkiewskiego wkroczyły na Kreml. Moskiewska mennica zdążyła nawet wybić monety z wizerunkiem Władysława Wazy...

– Zdążyła? – zdziwiła się Karen.

– Jak to Polacy, jak zawsze nie zdołaliśmy wykorzystać tego zwycięstwa. Zygmunt Trzeci wahał się tak długo z przekazaniem korony carów synowi, że Rosjanie stracili cierpliwość, a na prowincji zaczęły wybuchać powstania przeciw Polakom. W końcu Polacy zostali wyparci z Moskwy, na tron wstąpił Michaił Romanow, syn Fiodora Romanowa, patriarchy Rusi, zapoczątkowując nową dynastię. Ziemie na wschodzie razem ze Smoleńskiem pozostały jednak w rękach Polaków przez kolejne pół wieku.

– Rosjanie siódmego listopada obchodzą jedno ze swoich najważniejszych świąt narodowych – przeczytał Johann. – Święto Jedności Narodowej, pamięci wyzwolenia Moskwy i Rusi od Polaków.

– Czyli możliwe, że gdyby Władysław Waza tego nie spieprzył, to nie byłoby całego stulecia zaborów i powstań? – powiedziała cicho Karen, wpatrzona w kawał blachy.

Igor pokiwał smętnie głową.

– Byłyby pewnie inne kłopoty, ale wracając do skarbów... – Ponownie spojrzął na ekran tabletu. – Według rosyjskich legend zanim Polacy opuścili Moskwę, doszczętnie ją ograbili. – Przesunął tablet i zaczął czytać: – *Ograbili carski skarbiec, zabrali skarby po naszych monarchach, ich korony, berła, bogatą odzież, zdierali z ikon złoto, srebro, perły, drogocenne kamienie i tkaniny.* To tłumaczenie z jakiejś rosyjskiej strony ich poszukiwaczy skarbów – dodał wyjaśniająco. – Rzekomo polski hetman wyjechał z Moskwy, zabierając dziewięćset dwadzieścia trzy wozy wypełnione skarbami. No i według Rosjan wszystko to zostało ponoć ukryte gdzieś w okolicach Smoleńska, być może zatopione w którymś z jezior. No i teraz o rodzinie... – Uniósł brwi i spojrzął na Karen. – Babcia Maria wspomniała kiedyś, że Mikuliczowie to wychodźcy smoleńscy. Długo tego nie rozumiałem i myślałem, że to znaczy, że rodzina matki pochodzi od jakichś uciekinierów z Rosji. Dopiero potem dowiedziałem się, że wychodźcy smoleńscy to było polskie rycerstwo, które po zajęciu ziem wschodnich dostało tam w nagrodę majątki. W tysiąc sześćset pięćdziesiątym

ósmym Rosja wypowiedziała Polsce kolejną wojnę i tym razem odzyskała Smoleńsk na zawsze. Szlachta, która zdecydowała się tam pozostać, musiała oddać hołd carowi i przysiąc mu wierność. Ale niektórzy zabrali się i wrócili do Polski, a w zamian za tamte ziemie dostali nadania na ziemiach Królestwa Polskiego i na Litwie. Jako pamiątka po tamtych czasach zostały dziedziczne tytuły. No i właśnie, ten cały nasz Ferdynand, tak jak i jego ojciec, był podczaszym starodubieckim i połockim, a któryś tam z Mikuliczów był sędzią smoleńskim.

– Więc chcesz powiedzieć, że wracając, mogli ze sobą przytargać coś na Litwę? – spytał Jamie, gdy Igor umilkł.

– Na przykład, ale słabą stroną tej teorii jest to, czemu niby ten skarb przetrwał przez dwieście lat nietknięty.

– No i to, że nie pochodzi z czasów cara Pawła ani Aleksandra – dodała Karen.

– Chyba że ktoś go wtedy przeniósł – wtrącił Johann. – Powstania, wojny napoleońskie. Może ktoś z waszej rodziny zdecydował się ukryć go w innym miejscu?

– Ale po co mieliby go targać wte i wewte, zamiast po prostu wykorzystać. W dziewiętnastym wieku rodzina matki była owszem, bogata, ale nie aż tak, żeby lekceważyć złoto we własnym lochu – zapewnił Igor. –

Dlatego właśnie mam drugą teorię... – Mówiłeś, że jesteś specem od Napoleona. – Sięgnął po kubek z kawą i spojrzał na Dermota. – Dokładnie dwieście lat później, licząc od wojny z Polską, Moskwa została ponownie doszczętnie złupiona i ograbiona, tym razem przez Napoleona właśnie.

– To ja przecież pierwszy wspomniałem o skarbach napoleońskich – odezwał się Johann. – W Paryżu, kiedy oglądaliśmy kościół Inwalidów.

– No właśnie – przytaknął Igor. – To przez ten kościół sobie to wszystko skojarzyłem. A ponadto zadzwoniła do mnie matka, zaraz po telekonferencji.

Uśmiechnął się. Szurna nazwa wydawała mu się wciąż zabawna w zestawieniu z jego rodzicami i synem kucharki, który to spotkanie zorganizował.

– Otóż wyciągnęła ze szczecińskiego archiwum protokół służby bezpieczeństwa z czterdziestego szóstego. Rozumiem, że nic na ten temat nie

wiedziałaś. – Spojrzał wymownie na Karen, która ze zdziwieniem wymalowanym na twarzy gwałtownie zaprzeczyła. – Wspomnieli w tym dokumencie, że Bentinck zaraz po odwiedzinach w Szczecinie wybrał się do Książa i do Pełcznicy. Rzecz w tym, że w Pełcznicy stoi do dziś willa, właściwie taki mały neogotycko-bezstylowy zameczek, który pod koniec dziewiętnastego wieku kupił Johann Mikulicz-Radecki, bardzo znany wrocławski chirurg.

– Nie sugerujesz chyba, że to tam mógłby być ukryty... – zaczął Johann.

– No skądże – przerwał mu Igor. – Ale matka może mieć rację, że jeśli zaraz po wojnie Bentinck i ta sekta szukali śladów skarbu, to po prostu mógł sprawdzić i tę ewentualność. Najpierw pomyślałem, że to nonsens, kolejny zresztą... – Igor wzruszył ramionami. – Ale potem przypomniałem sobie, że armia Napoleona, wracając z Moskwy, naprawdę tamtędy niedaleko przechodziła, a w miasteczkach w pobliżu, w Siemianowicach, w Namysłowie, do dzisiaj krążą legendy o ukrytych skarbach Napoleona. No i najważniejsze, jeżeli Bentinck i ta sekta w ogóle brali pod uwagę dwór Johanna Radeckiego-Mikulicza, to musi to być coś związanego z Napoleonem. Nic innego nie wiązałoby się ze Śląskiem.

– A w Paryżu mnie zakrzyczeliście! – Johann spojrzał z wyrzutem na Igora i Dermota.

– Ale pojawiły się nowe fakty. – Igor potrzącił leżące przed nim żelastwo i po chwili zaczął ponownie mówić. – Napoleon po wkroczeniu do Moskwy zastał ją kompletnie opustoszałą, pozbawioną zapasów, ze zniszczonymi piekarniami, młynami, a także spalonymi wozami strażackimi i całym sprzętem. Rosjanie wciągnęli go w pułapkę. Kilka dni po tym jak armia wjechała w granice miasta, zaczęły wybuchać pożary. W każdym pałacu, cerkwi, większym budynku były podłożone lonty, które podpalali pozostawieni w mieście żołdacy. Po kilku dniach Moskwa już cała płonęła.

– Czytałem gdzieś, że to nie był plan Aleksandra, ale oszalałego gubernatora Moskwy Fiodora Rostopczyna – wtrącił Dermot.

Igor przytaknął.

– Po miesiącu wściekły Napoleon, bo armia rosyjska cofała się w głąb kraju, zamiast stanąć do bitwy, zarządził opuszczenie miasta, a w odwecie nakazał wysadzić w powietrze najświętsze dla Rosjan cerkwie i Kreml.

Podobno wybuch ładunków podłożonych pod murami Kremla był tak głośny, że żołnierze straży przybocznej Napoleona, który był już wtedy jakieś trzydzieści kilometrów od Moskwy, nigdy w życiu nie słyszeli niczego głośniejszego. Wybuch spowodował falę uderzeniową, która podobno zatrzęsała całym miastem i zrównała z ziemią okoliczną zabudowę. Ale najważniejsza dla nas jest dzwonnica Iwana Wielkiego przy placu Soborowym.

Dermot nagle głośno westchnął i wyciągnął rękę w kierunku srebrnego artefaktu.

– O rany... – powiedział cicho do siebie.

– Co rany? – Johann spojrzał na niego zniecierpliwiony. – O co w końcu chodzi z tą blachą?!

– Już mówię, nie irytuj się – zaproponował Igor z uśmiechem. – Na kopule dzwonnicy znajdował się ogromny srebrny krzyż. Wewnątrz niego natomiast był mniejszy, z litego złota, według niektórych wysadzany drogimi kamieniami, a w którego wnętrzu znajdowała się, a jakże, drzazga z krzyża, do którego przybito Chrystusa. To była wówczas najświętsza relikwia na Rusi. Napoleon polecił wysadzenie dzwonnicy, ponieważ postanowił zabrać ten krzyż do Paryża i umieścić go na szczycie kopuły kościoła Inwalidów.

– C.Seekers – cicho powiedziała do siebie Karen.

– Srebrny krzyż został rozbity, a jego fragmenty zabrali ze sobą oficerowie Napoleona. Krzyż Iwana Wielkiego natomiast pojechał wraz z wozami ze skarbem i łupem cesarskim.

– A oprócz niego bezcenny dla Rosjan obraz Madonny, ozdobiony ogromnymi rubinami i szmaragdami – przeczytała Karen, wpatrując się w jakąś stronę w internecie. – Ufundowany przez carycę Annę jako wotum za zwycięstwo nad Polakami dwieście lat wcześniej.

– A co się stało z tym krzyżem? – zapytał Patryk, który słuchał do tej pory w milczeniu.

– Przepadł w czasie odwrotu Napoleona – odpowiedział Dermot. – Chwycił dwudziestostopniowy mróz i armia, ponad czterysta tysięcy ludzi, a dodatkowo setki cywilów, którzy zdecydowali się jechać z Napoleonem, zginęło w drodze. Wszystkie wywiezione z Moskwy skarby, bezcenne

starodruki, biżuteria, ikony, kilogramy złota zostały po prostu gdzieś w śniegu.

– Chryste... – westchnęła Karen ze zgrozą.

– Sekta poszukiwaczy krzyża – wyszeptała Gwen. – To teraz wszystko już jest zrozumiałe.

– Ale co się stało potem? – zapytał w końcu z irytacją Jamie. – Krzyż krzyżem, ale co dalej? Wylądował w tych Bobtelach czy jak tam było waszym włościom?

Igor wzruszył ramionami.

– Pojęcia nie mam, jak ten kawał blachy trafił do kufra cioci Jadwini. W zasadzie to nadal jestem sceptyczny wobec tego całego skarbu. Wiecie, jak to mogło wyglądać? – zapytał i spojrzał z uwagą na Karen. – Któryś z naszych przodków, wraz z polskim garnizorem, brał udział w wojnach napoleońskich i przywiózł to po prostu ze sobą do domu. Leżało latami na strychu, może w Kozaczyźnie, może w Bobtelach właśnie, a cała historia z czasem obrosła legendą o wielkim skarbie.

– Litwa! – wykrzyknęła nagle Karen. – No oczywiście!

– Co Litwa? – Jamie spojrzał na nią zdezorientowany. – Kraj?

– Dwór! – Karen sięgnęła po laptop, przysunęła go do siebie i zaczęła gorączkowo uderzać w klawiaturę. – Majątek babci Marii. Leżał przecież koło Nowogródka, niedaleko Mińska.

– No jasne! – Dermot także zaczął szperać w swoim laptopie.

– Poczekajcie, bo nikt nic nie widzi. Każdy grzebie w swoim sprzęcie. – Johann przysunął swój laptop i po chwili na wielkim monitorze, na którym niedawno odbywała się telekonferencja z matką Igora, pojawiła się mapa Europy Wschodniej.

– Tu jest Litwa. – Najechał wskaźnikiem na mały punkt i oznaczył żółtą wirtualną pinezką.

Dermot zerwał się, okrążył stół, przeprosił Gwen i usiadł obok Johanna.

– Daj mi to! – Odebrał mu laptop i po chwili zaczął kreślić na ekranie długą linię. – Napoleon wracał z Moskwy starym traktem smoleńskim. Armia przechodziła przez Borysów, Ziembin, Pieszczenice – oznaczał po kolei

miejsowości na ekranie – potem Ilia i Mołodeczno. W Mołodecznie mieli postój.

– To tylko jakieś czterdzieści kilometrów – powiedział cicho Igor, przypatrując się mapie.

– Żołnierze głodowali, pożerali skórzane fragmenty odzieży, a nawet podobno swoich martwych towarzyszy. – Dermot wciąż wpatrywał się w laptop. – Ale w dalszym ciągu funkcjonowały oddziały aprowizacyjne sprawnie jeszcze działającej gwardii cesarskiej i trzech zdziesiątkowanych wprawdzie, ale wciąż jeszcze istniejących cesarskich korpusów. W poszukiwaniu pożywienia zapuszczali się w głąb kraju, grabiąc okoliczne dwory.

– Babcia opowiadała, że Litwa przed wojną stała na fundamentach znacznie starszego dworu. – Zaaferowana Karen wpatrywała się w Igora. – Na wysokim wzniesieniu nad wielkim stawem. Ten stary dwór mógł tam wówczas stać.

– Armia napoleońska mogła go spalić jeszcze w drodze na Moskwę – podjął Dermot. – A potem stał na wzniesieniu, na starych lochach, mógł wyglądać naprawdę jak jakieś stare niewielkie chateau. I możliwe, że tak go potem jacyś Francuzi opisali i to zostało w legendzie.

– A babcia Maria opowiadała nawet kiedyś o duchu żołnierza straszącym we dworze. – Igor usiłował przypomnieć sobie szczegóły tej historii. – Podobno w niektóre noce w bibliotece pokazywał się duch obszarpanego i półmartwego kawalerzysty. W drzwiach do biblioteki był do wojny ślad po kuli, dziura, ponieważ jakiś pradziad, gdy zobaczył którejś nocy zjawę, strzelił do niej...

– Pamiętam to! – Karen otworzyła szeroko oczy. – To znaczy mnie to opowiadała babcia Anna. Duch przestał się pokazywać, gdy któregoś dnia odkryto w pobliżu dworu grób ze zwłokami ubranymi w obszarpany francuski mundur. Sprowadzono księdza, a zwłoki przeniesiono na cmentarz gdzieś po sąsiedzku.

– W Rubieżewiczach. I od tamtej pory duch przestał nawiedzać dom – dokończył Igor.

– *Dawno, dawno temu w niewyjaśnionych okolicznościach na ziemiach należących do rodziny mojego męża, w podziemiach zamku, ukryta została*

ogromna fortuna z czasów cesarza Pawła albo Aleksandra – przypomniała Gwen. – Wszystko się zgadza.

– *Rzekomo widziano kiedyś wysadzany kamieniami szlachetnymi pastorał czy krzyż, który był częścią tego skarbu, ale i on potem zaginął...* – przeczytał dalej Johann. – Może wasi dziadkowie go po prostu sprzedali. Mówiłeś, że rodzina była bogata.

– Babcia też opowiadała, że rodzina była bardzo bogata – przytaknęła gorączkowo Karen. – Wspominała, że to było nawet trochę dziwne, bo po powstaniach ziemiaństwo cienko przędło, a tymczasem pradziad mógł sobie pozwolić nawet na podróże po całym świecie. A spalony stary dwór tłumaczy także i to, nad czym babcia się zastanawiała. Że był niezamieszkaany w dziewiętnastym stuleciu i dopiero pod koniec wieku, prawdopodobnie po odbudowie, tam się wprowadzono.

– Nawet ta tajemnicza machina da się wyjaśnić – wtrącił Dermot. – Żołnierze Napoleona zabrali z Moskwy wszystko, co wydawało im się cenne lub niezwykle. Na początku jesień była piękna i ciepła, więc za armią jechały złocone karoce, całe wozy cennych mebli, skrzynie pełne bogatych sukien i futer. Dopiero potem, gdy konie padały z głodu i zimna, wszystko to lądowało byle gdzie przy drodze. Może jakiś Francuz znalazł taką machinę zegarową, jak te, o których rozmawialiśmy, i także zabrał.

– Więc mogło być tak na przykład, że jakaś grupa żołnierzy albo maruderów przywiozła do waszej Litwy kilka wozów ze skarbami i ukryła je w lochach opuszczonego dworzyszczka – głośno myślała Gwen wpatrzona w mapę. – Może mieli nadzieję później po to wrócić, tymczasem zginęli gdzieś po drodze.

W hali panował już mrok. Tylko nad stojącymi na środku stołami jarzyły się jasne światła, wydobywając z ciemności sterty starych dokumentów i leżący w samym centrum srebrny artefakt. Po ostatnich słowach Gwen przez dłuższą chwilę trwała cisza.

Przerwał ją dopiero dźwięk telefonu Patryka, który spojrzał speszony na wyświetlacz, po czym mruknął „szef” i odszedł w głąb magazynu.

– No to musimy zacząć działać! – Johann podniósł się gwałtownie od stołu. – Ci Rosjanie ukradli starodruki, za chwilę sami mogą wpaść na to, o czym tutaj mówimy.

– Jak działać? A co ty chcesz robić? – Igor spojrzał zaskoczony na Johanna. – Przecież to tylko dywagacje.

– A poszukiwanie wraku „Nuestra Señora de Blanca” czym było na początku, jak nie dywagacjami? – Johann zrobił kilka długich kroków wzdłuż stołu. – Najpierw były tylko ogólne opisy jakiegoś tam okrętu, wzmianki w relacjach, czyjeś domysły, że mógł zatonać, a potem wpadł w nasze ręce dziennik bosmana z hiszpańskiego archiwum. Tylko że przez sir Carmondeleya – Johann spojrzał na siedzącego z założonymi na piersiach rękami Dermota – do pałdziernika nie mamy szans na zrobienie czegokolwiek.

– Nie przez Carmondeleya, tylko przez Hiszpanów! – zaprotestował Dermot.

– A co wy chcecie właściwie robić? – zapytał Jamie. – Jechać na Litwę?

– Żeby to jeszcze – parsknęła Karen. – Ta Litwa leży na Białorusi, to znaczy majątek babci Marii leży na Białorusi.

– Ty, Karen, nie pojedziesz na żadną Białoruś! – Igor spojrzał na siostrzenicę z irytacją.

– A dlaczego?

– Dlaczego?! Twoi rodzice nie wiedzą nawet, że jesteś w Londynie!

– Wy naprawdę myślicie o podróży na Białoruś? – Gwen patrzyła to na Dermota, to na Johanna. – Na wizy będziemy czekać z miesiąc, a poza tym, kto nam pozwoli tam czegokolwiek szukać?

– Wizy możemy załatwić szybciej – mruknął Johann w zamyśleniu.

– Możemy raz-dwa założyć jakąś fundację naukową. – Dermot chwycił swój laptop i zaczął stukać w klawisze. – Coś, co się spodoba tamtejszym władzom...

– Fundacja rozwoju technik przymusu bezpośredniego i budowy nowoczesnych łagrów – prychnął Igor. – To u nas też by się spodobało, od razu jakiś biskup by poświęcił.

– Ja mówię poważnie. – Dermot podniósł wzrok znad klawiatury.

– Poważnie mówisz o szukaniu skarbów pod nosem Łukaszenki?

– „Wieś białoruska – europejskie dziedzictwo!” – powiedział

z namaszczeniem Johann, zatrzymując się za plecami Dermota. – To pochlebi lokalnym władzom. A oficjalnie będziemy prowadzić badania dokumentujące tradycyjną architekturę.

– Genialne! – zawołał Dermot z entuzjazmem. – Podeprzemy się jakimiś naukowymi autorytetami. Twoja matka kogoś nam podsunie, o chociażby Dougarowitcha. Na pewno się zgodzi!

– Moja kuzynka ma doktorat z ruralistyki. – Gwen sięgnęła po telefon. – Mogę z nią od razu porozmawiać.

Igor wpatrywał się z obawą w swoich współników.

Skoro nawet Gwen, zazwyczaj opanowana i nieskora do okazywania entuzjazmu, przyłączyła się do tych planów, to już nie było szans, żeby je powstrzymać.

Rozdział 23

Patryk obudził się w niedzielę w cudownym nastroju. Tak jakby otworzył oczy na jakiejś rajskiej wyspie. Po części to była prawda, chociaż nawet przy ogromnej wyobraźni i wielkim zasobie pozytywnych uczuć dla Anglików Wielką Brytanię raczej trudno było tak określić.

Sobota przeciągnęła się prawie do pierwszej, a w hotelu był przed drugą. Całe towarzystwo wujka Karen początkowo wydało mu się zbieraniną dziwaków i ekscentryków, mogących sobie pozwolić na kaprys prowadzenia firmy eksploracyjnej dzięki pieniądзом bogatych rodziców. Ale kiedy spędził z nimi praktycznie cały dzień, zaczął zmieniać zdanie. Dalej uważał wprawdzie, że wszyscy oni reprezentują środowisko, które zostało bardzo niesprawiedliwie hojnie obdarowane przez los, żeby nie powiedzieć wprost, przez urodzenie, ale przynajmniej byli sympatyczni i bezpretensjonalni, czego trochę się nie spodziewał. Oczekiwał raczej dość wyniosłych i protekcyjnych osób. Sam siebie ganił w duchu za te lewackie osądy, w końcu jego też w kancelarii uważali za synalka mecenasa, ale na co dzień stykał się w Warszawie z takimi właśnie ludźmi, za jakich wziął Anglików. Na szczęście się mylił.

Poza tym słysząc o wujku Karen, miał przed oczami zwałistego faceta z wąsami. Nie wiedział dlaczego, może dlatego, że jego własny wujek taki właśnie był. Gdy więc zobaczył wysiadającego z tesli szczupłego i wyglądającego na trzydzieści lat kolesia z brodą, w czapce z daszkiem w dodatku, był nieco skonsternowany. Dopiero potem dowiedział się od Karen, że pomiędzy Igozem a jej matką była spora różnica wieku, a sam wujek i tak nigdy nie był podobno zbyt poważny.

Przypatrywał się wczoraj wszystkim tym ludziom z boku. Jako prawnik z kancelarii, która obsługiwała matkę jednego z nich, miał oczywiście dystans do wszystkiego, o czym mówili, ale zdał sobie także sprawę, że choć mogli się wydawać nawet nieco śmieszni, ktoś, kto chciałby ich zlekceważyć,

popęłniłby bardzo poważny błąd.

No i ten cały skarb. Oni naprawdę poszukiwali skarbu!

Patryk uśmiechnął się do siebie.

Jednak najbardziej oczywiście ucieszyła go możliwość ponownego spotkania Karen. Po jej wyjeździe z Warszawy szybko doszedł do wniosku, że najprawdopodobniej już się nie zobaczą, a nawet jeśli ze względu na sprawę willi przy alei Róż, to raczej nic z tego nie wyniknie. Dzieliła ich odległość, inny kraj, inne środowisko.

Do Londynu leciał zatem z takim właśnie nastawieniem, ale gdy zobaczył Karen na Stansted, znowu, tak jak niedawno w Warszawie, poczuł się tak, jakby wszystkie kolory stały się bardziej intensywne.

Wieczorem miał samolot, bo niestety od poniedziałku rano czekała go już robota, umówili się więc, że przed jego wyjazdem połączą jeszcze razem po Londynie. Sam znał Londyn bardzo dobrze, mieszkał tutaj przez trzy lata zaraz po studiach, gdy odbywał staż w kancelarii jednego z partnerów ojca. Karen była w Londynie dwa, trzy razy z rodzicami, widziała tylko najbardziej spektakularne atrakcje i muzea. Postanowił, że pokaże jej kilka mniej oczywistych miejsc, do których raczej nie zapędzają się niedzielni turyści.

Umówili się na Millennium Bridge. Mieli tam prawie taką samą odległość do przejścia, uznali zatem, że to sprawiedliwe. Ona z Butler's Warf, gdzie zatrzymała się u wuja, a on z Holiday Inn w Lambeth.

– Myślałam, że to ja będę pierwsza. Spodziewałam się, że przejście tego odcinka od London Bridge będzie jednak łatwiejsze. – Karen podeszła do Patryka, który stał oparty o ażurową balustradę i wpatrywał się w wodę.

– Niby dlaczego? – Patryk oderwał dłonie od poręczy i uśmiechnął się szeroko. – Tłumy turystów?

– Co chwila musiałam stawać, żeby pozwolić komuś zrobić zdjęcie na tle czegoś. Jak hotel?

– W porządku – odparł Patryk. – Już się w nim zatrzymywałem.

– A jak wrażenia po poznaniu wuja i jego znajomych? Oni naprawdę szukają skarbów, uwierzyłybyś?

– Tobie, jak zauważyłem, to także się podobało.

– No jasne, ale ja jestem studentką. – Karen zachichotała. – Wuj podobno zarobił ogromne pieniądze dwa lata temu na jakimś wraku okrętu czy czymś takim, chociaż woli o tym nie rozmawiać. Jako architekt zawsze twierdził, że ledwo wiąże koniec z końcem.

– To tak jak ja teraz – zażartował Patryk, stwierdzając w duchu, że to akurat niestety sama prawda. – Może też zaczniemy szukać skarbów?

– No, wczoraj już prawie zaczęliśmy. Ale ta srebrna blacha to aż trudno... – Karen przypomniała sobie nagle, że obiecała nie rozmawiać z Patrykiem na temat wydarzeń pod La Rochelle.

– Skąd ona się w ogóle wzięła? – spytał Patryk, nieświadomy rodzinnych ustaleń.

– Johann z wujkiem przywieźli ją z Francji.

Karen, żeby zmienić temat, podeszła do poręczy i spojrzała na płynącą w dole rzekę.

– Jak byłem pierwszy raz w Londynie, to ojciec zabrał mnie tutaj późnym wieczorem. Londyn potem kojarzył mi się zawsze z tym mostem milenijnym. I z London Eye. – Uśmiechnęła się, wskazując ręką ogromny diabelski młyn, schowany za dwoma wieżowcami przy Blackfriars Bridge.

– No to tam nie idziemy.

– Zdecydowanie. – Karen znowu się roześmiała. – A dokąd idziemy?

– Jedziemy – stwierdził Patryk i skinął ręką w kierunku katedry Świętego Pawła. – London Underground.

*

Igor obudził się bardzo późno i w bardzo kiepskim stanie. Poprzedni dzień postanowili uczcić z Johannem i chłopakami kilkoma piwami w pubie po drodze. Gwen machnęła ręką, zabrała Karen i Patryka i pojechała, odgrażając się tylko Johannowi, że ma wrócić przed czwartą.

Alice także się wymigała, mówiąc, że po południu ma dyżur. Spędzili zatem we czwórkę dwie godziny w pubie gdzieś pomiędzy Oxford Street a Piccadilly i gdyby miał tam wrócić, to nigdy w życiu by mu się to nie udało.

Igor dźwignął się z łóżka, zmierzwił włosy i podszedł do okna. Na dziedzińcu przed budynkiem parkowały i wyjeżdżały jakieś samochody. Wyszedł na korytarz. Z pokoju Karen nie dobiegały żadne dźwięki. Czyżby jeszcze spała? Może to i lepiej, pomyślał. Zdąży się doprowadzić do stanu używalności. Spojrzał na zegar nad wyspą w kuchni. Dochodziło południe. Poczłapał do łazienki i po chwili dobiegł stamtąd odgłos wody lejącej się pod prysznicem.

*

Karen wyszła na ulicę i odwróciła się. Niepozorny czterokondygnacyjny budynek z drzwiami na parterze, nad którymi wisiały dwie stylowe latarenki. Baker Street 237.

– Ale o ile pamiętam, w książce był inny numer – powiedziała do wychodzącego za nią Patryka.

– Żartujesz? – Patryk otworzył szeroko oczy. – Naprawdę pamiętasz z książki czy teraz gdzieś przeczytałaś? Tam pewnie były jakieś foldery?

– Naprawdę czytałam książkę. Lubiłam ją. – Karen się roześmiała. – Sherlock Holmes mieszkał pod numerem dwieście dwadzieścia jeden.

– Jesteś niesamowita! – Patryk pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ale i tak cię zaskoczę. Jak Conan Doyle pisał powieść, to pod numerem dwieście dwadzieścia jeden nie było jeszcze budynku. Dopiero potem go postawili. Muzeum powstało w ogóle dużo później, ale sprzęty w gabinecie Sherlocka są dokładnie z epoki.

Karen stanęła obok Patryka i zrobiła obojgu selfie na tle zielonej witryny muzeum Sherlocka Holmesa.

– To co teraz z listy nieoczywistych atrakcji Londynu, panie przewodniku? – Spojrzała na Patryka z uśmiechem.

– Możesz wybrać. Znowu książkowo albo bardzo *creepy*.

– Zdecydowanie *creepy*.

– No to odrzuciłaś Leadenhall Market, gdzie kręcono sceny do *Harry'ego Pottera*, a wybrałaś niestety cmentarz... – Patryk pokiwał głową z udawanym rozczarowaniem.

– Cmentarz? – Karen spojrzała rozbawiona. – Prawdziwy cmentarz?

– Bardzo prawdziwy. Zresztą tam także kręcili filmy, głównie horrory, ale także *Sherlocka*.

– To ta wersja z Watsonem, którego grał Jude Law?

– Ta właśnie – potwierdził Patryk. – Teraz w prawo. Znowu musimy podjechać kawałek. Ale proponuję najpierw coś zjeść, bo ja zgłodniałem. Nie wiem, jak ty? – Spojrzał na Karen z łobuzerskim uśmiechem.

– Ja też – potwierdziła Karen.

Śmiejąc się i nie przestając gadać, ruszyli w kierunku stacji metra.

*

Igor, po prysznicu i po bardzo porządnym śniadaniu, które spokojnie można było nazwać nawet późnym obiadem, spędził kolejną godzinę na nicnierobieniu. Bardzo typowy stan po wypiciu kilku piw poprzedniego wieczoru.

Przypomniał sobie rozmowę z Johannem i Dermotem i plany, które robili w pubie. Dermot miał jakieś przedziwne znajomości związane ze sprawami, które dotyczyły Litwy, a i Białorusi, okazało się, też. Utrzymywał kontakt z dwiema kancelariami prawnymi z tamtych regionów, z którymi nawiązał współpracę dzięki swoim klientom. Stwierdził teraz, że może zwrócić się do nich o dyskretną pomoc.

Igora to oczywiście niepokoiło, zwłaszcza kancelaria w Mińsku wzbudzała nieokreślone obawy, ale Dermot zaklinał się, że to porządni ludzie, a sprawa dotyczyła właśnie jakichś prześladowanych dysydentów z Białorusi.

Igor zaraz po prysznicu zajrzał do małego pokoiku, który zajmowała Karen. Domyślił się oczywiście od razu, że pewnie wybrała się gdzieś z tym prawnikiem z Warszawy. Facet wyglądał sympatycznie, Karen, było nie było, miała już dwadzieścia lat, więc nic mu do tego. Jedyne fakt, że ani Natasza, ani Swen nie wiedzieli nic o jej wjazdach i byli przekonani, że siedzi u babci w Dalewie, mocno go stresował.

Gdy minęła szesnasta, sięgnął w końcu po telefon i czując się jak jakaś ciotka przyzwoitka, wybrał numer Karen. Pomijając wszystko inne, ona

będzie pewnie chciała, żeby odwiedzić tego Patryka na lotnisko, a robiło się coraz później.

Swoją drogą, prawnik rzeczywiście się przydał. Znał rosyjski, wszystkie dokumenty z kufrów już na swoje potrzeby tłumaczył, w związku z czym ogólnikowo wprawdzie, ale w miarę zrozumiale był w stanie przekazać im, czego dotyczyły. I tak zresztą nie znalazło się tam nic, co mogłoby stanowić jakiś trop, na przykład tajemnicza poślizka mapa z carskim orłem i różą wiatrów albo wypisane cyrylicą sugestie, gdzie szukać kolejnych wskazówek. Najlepiej „szukać ich u tego, co na ucztę nigdy nie jadał z płaskiego talerza”[14].

Igor uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie lekturę z dzieciństwa.

Wczoraj wieczorem w magazynie przy Riverside, a zwłaszcza w pubie w Soho, wszystko wydawało się realne, a wielki skarb w zasięgu ręki. Dzisiaj w promieniach słońca cała ta gadanina nabrała raczej komicznego wymiaru.

Karen nie odbierała.

Pomyślał, że skoro już sięgnął po telefon, to zadzwoni do Johanna zapytać, jak się czuje i czy Gwen go nie wywaliła z domu. Po drugiej stronie mostu nad Shad Thames nikogo nie było, więc Johann musiał zapewne nocować u Gwen.

Igor odczekał kilka sygnałów, po czym wybrał numer Dermota, który także nie odebrał. Jego to można było w zasadzie zrozumieć, może miał akurat jakąś rozprawę.

Ale przecież była niedziela. I raczej było niemożliwe, żeby obaj tak długo spali.

*

Karen minęła furtę i obejrzała się za siebie. Na dwóch kamiennych filarach, pozieleniałych od mchów i porostów, wisiały skrzydła kunsztownie rzeźbionej bramy. Musiały mieć ze sto lat, a najpewniej jeszcze więcej. Za bramą stał kamienny budynek, najeżony wieżyczkami i sterczynami, a dalej rozciągał się mroczny park, niczym wyjęty wprost z wiktoriańskich gotyckich opowieści.

– Czemu ten cmentarz jest taki niezwykły? – zapytała idącego obok Patryka, nie wiedzieć czemu, ściszone głoŝem.

– Poniewaŝ wiąŝe się z opowieściami o wampirach. – Patryk takŝe ściszył głoŝ, rozglądając się dookoła siebie z udawanym niepokojem.

– A powaŝnie?

– Powaŝnie – przytaknął. – Powstał około tysiąc osiemset trzydziestego roku, czyli w czasach cesarza Aleksandra – powiedział i uśmiechnął się porozumiewawczo do Karen. – Od początku został pomysłany jako wielki angielski ogród, a wszystkie pomniki i grobowce były zaprojektowane przez prawdziwych rzeźbiarzy, jak dzieła sztuki. Leży tutaj wiele znanych osób, na przykład Charles Dickens, Michael Faraday, John Galsworthy, Karol Marks.

Minęli kilka okazałych grobowców i weszli do ciemnej długiej bramy, za którą zieleniły się oplecione bluszczem konary ogromnych buków albo wiązów. Karen sięgnęła po telefon, ale przypomniała sobie to, co mówił Patryk o ograniczeniach w kwestii robienia tu zdjęć. Po drodze minęły ich jakieś niewielkie grupy ludzi, tak jak i oni rozglądających się dookoła.

– W czasie wojny cmentarz został bardzo zapuszczony, potem takŝe mało kto o niego dbał i w efekcie strasznie zarósł i zdziczał. – Patryk znowu ściszył konspiracyjnie głoŝ. – No i któregoś dnia znaleziono tutaj rozkopane groby, a w nich trupy poprzebijane kołkami.

– To nie jest miejska legenda?

Patryk pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to nie. Podobno zdarzało się to potem wiele razy, a bywały i gorsze rzeczy. Na przykład wywleczone zwłoki porzucone na ścieżkach pomiędzy grobami. Ludzie w okolicznych domach znajdowali takŝe rozczłonkowane ciała w swoich ogrodach lub w samochodach. To podobno przesądziło sprawę i cmentarz objęto ochroną.

Karen przypomniała sobie opowieści Igora o grobowcach na Pomorzu, które po wojnie ludność otwierała po to, ŝeby szukać skarbów, a zabalsamowane zwłoki ciągnano potem za traktorem dla zabawy.

– Obwiniano za to filmowców, bo w latach sześćdziesiątych kręcono tutaj sporo horrorów i być moŝe zainspirowało to jakichś okolicznych ŝartownisiów.

Karen przyglądała się zapadniętym kamiennym postumentom opartym o siebie nawzajem i całkowicie niemal oplecionych bluszczem.

Weszli pomiędzy wielkie grobowce, których gabaryty sprawiały, że aleja pomiędzy nimi wyglądała jak uliczka ze stojącymi po obu stronach domami.

– W tych ogromnych grobowcach kręcono *Sherlocka* – wspomniał Patryk.
– Pamiętasz? Znalaziono zwłoki w jednym z nich czy coś tam.

Karen skinęła głową. Wyciągnęła telefon i zrobiła kilka fotek. Pomyślała, że i tak nikt tego tutaj nie zauważy.

– À propos waszych rodzinnych opowieści... – Patryk skinął ręką w stronę jednej z przecznic i ruszył w tamtym kierunku. – Są tutaj także groby polskich powstańców i emigracyjnych działaczy niepodległościowych.

Karen przystanęła i się rozejrzała. Patryk zniknął właśnie za załomem jednego z mauzoleów.

Wielkie kamienne grobowce z portalami z piaskowca, wieżyczkami, schodami niknącymi w ciemności stały tak blisko siebie, że Karen poczuła się jak w jakimś starym mieście. Starym i wymarłym. Wzdrygnęła się.

Patryk szedł powoli wąską aleją pomiędzy wiekowymi budowlami. Pamiętał, jak przyszedł tutaj po raz pierwszy. Jakiś angielski kolega na pytanie, co można w Londynie obejrzeć nietypowego, doradził mu to miejsce. Powiedział też, że najlepiej, jeśli przyjdzie tutaj po zachodzie słońca albo tuż przed nim. Tak zrobił, ale w najciemniejszych zakamarkach cmentarza czuł się wtedy bardzo nieswojo.

Uśmiechnął się do swoich wspomnień. Zrobił jeszcze parę kroków, po czym zatrzymał się i obrócił. Karen została z tyłu. Usłyszał za rogiem jakiś szelest, pewnie właśnie nadchodziła.

Chciał jej jeszcze pokazać nagrobek w kształcie fortepianu i rozczulający grobowiec, u którego wrót leżał kamienny, bardzo smutny pies.

Pomyślał, że Karen chyba się nie powstrzymała przed robieniem fotek. Odwrócił się i ruszył z powrotem. Wyszedł zza narożnika mauzoleum i znalazł się na wąskiej krętej uliczce pomiędzy innymi grobowcami. Tutaj, gdzie została Karen.

Ale nie było jej.

No tak, jeszcze się pogubimy. Pewnie weszła pomiędzy krypty i mauzolea i także go szuka. Patryk ruszył przed siebie, zaglądając w prześwity pomiędzy budowlami.

– Karen! – odezwał się przyciszonym głosem. – Nie wygłupiaj się!

Dotarł do końca alei i wyszedł na zacienioną drzewami ścieżkę pomiędzy kamiennymi płytami nagrobnymi. Po Karen nie było śladu.

Kręcąc głową ze zniecierpliwieniem, sięgnął po telefon. Dwa sygnały, pięć. Nie odebrała.

Trochę już zaniepokojony ruszył alejami cmentarnymi, rozglądając się za dziewczyną i wołając już teraz trochę głośniej jej imię.

Dwadzieścia minut później zdyszany znalazł się przy głównym wejściu. Zdenerwowany coraz bardziej sięgnął po telefon, żeby po raz nie wiadomo który zadzwonić do Karen. I tym razem nie odebrała.

Minął ogromne wrota, wyszedł na chodnik i zdążył zobaczyć, jak sprzed bramy odjeżdża czarne audi Q7.

Rozejrzał się, po czym z rezygnacją sięgnął ponownie po telefon i tym razem wybrał inny numer.

– Halo! – Patryk przycisnął telefon do ucha, słysząc głos wuja Karen. – Panie Igorze! Czy Karen pojechała właśnie gdzieś z wami?

– A to wy nie jesteście razem? – W głosie Igora słychać było zdziwienie.

– Byliśmy, ale nagle zniknęła bez pożegnania i nie odbiera. Wsiadła chyba do czarnego audi Q7. Może to któregoś z pana przyjaciół?

– Bez pożegnania? A gdzie pan jest? – Igor uprzytomnił sobie właśnie, że Karen nie odebrała żadnego z jego telefonów, a co gorsza, Johann ani Dermot także.

– W Highgate. Właśnie stoję przed bramą i...

Patryk urwał, bo jego wzrok przyciągnęło coś dziwnego.

Audi zdążyło się już trochę oddalić, ale i tak zauważył we wnętrzu jakąś szamotaninę. Tylne drzwi nagle się otworzyły, a zaraz potem gwałtownie zatrzasnęły z powrotem.

– Halo! Jest pan tam?! – odezwał się zaniepokojony Igor.

Tymczasem na wąskiej drodze wyjazdowej sprzed głównej bramy

cmentarza zrobił się niewielki zator. Z jakiejś wąskiej uliczki wyjeżdżał tyłem dostawczak firmy kurierskiej, którego kierowca, niewiele sobie robiąc z tego, że zablokował właśnie przejazd, uspokajająco kiwał z szoferki dłonią.

Na tylnej szybie audi nagle pojawiła się czyjaś ręka.

Patryk niewiele myśląc, prawie instynktownie rzucił się do stojącego w korku samochodu. Dopadł do audi i szarpnął za tylne drzwi. Nie zdążył zrobić nic więcej, bo z wnętrza wyskoczył potężny, ubrany na czarno mężczyzna i odepchnął go od samochodu, przewracając na asfalt.

Tymczasem kurier wymanewrował w końcu z bocznej uliczki i nie śpiesząc się szczególnie, ruszył z miejsca. Mężczyzna wszedł do audi, ale nie zdążył zamknąć drzwi. Patryk zerwał się i złapał za nie ponownie.

Ze stojących z tyłu samochodów rozległy się głośne klaksony, a kilka osób wychodzących właśnie przez bramę cmentarza odwróciło się, śledząc z ciekawością rozwój wydarzeń.

Audi nagle gwałtownie zahamowało. Mężczyzna z tylnego siedzenia wyskoczył ponownie na zewnątrz, złapał Patryka za kark i mimo jego nieskoordynowanych prób wyswobodzenia się wrzucił go na tylne siedzenie, po czym wszedł za nim.

Silnik audi ryknął i samochód z piskiem opon ruszył, błyskawicznie znikając za zakrętem wąskiej uliczki.

Rozdział 24

Dawno, dawno temu...

17 Decembra 1812

K*ochana Moja Kuzynko i Przyjaciółko!*

Jakaż straszna jesień i zima w tym roku. I nie tyle co do aury, boć zima u nas przecie zawsze sroga, ale co do wydarzeń przerażających, które tu się na oczach naszych rozgrywają.

Gdybyż to, jak w latach uprzednich, można było w rosnącej radości i rozgorączkowaniu świąt Bożego Narodzenia oczekiwać, ale kto dziś radości jakiej może oczekiwać, gdy tyle niedoli na kraj nieszczęsny spadło.

Pamiętasz zapewne, jakem w liście z początku lata pisała o tem, jak zatrzymał się u nas na dni kilka marszałek cesarza Joachim Murat. Pamiętne dla mnie te chwile uroczne, te zabawy i tańce, i ta namiętność niespodziewana, a wyrwana z tych strasznych dni. Nie oceniaj mnie źle, moja kuzynko, ja tylko chciałam, żeby ponownie wróciły te czasy, gdy wciąż tutaj brzmiała muzyka i bal za balem i radość znowu w te mury wróciła. A marszałek tak wytworny i tak uwodzicielski, że dla tych chwil zapomnienia w tym wojennym mroku i wiele więcej bym dała. Na pamięć znam każdą linijkę słodkiego wiersza, który dla mnie napisał:

Jakże lubię się zgubić

w tej przepięknej krainie,

w której śmiech i zabawy

oraz łaski miłości

przebywają ochotnie...

W ciszy drzew rozłożystych

i ich cieniu gościnnem,

kilka chwil wypoczynku

znajdzie rycerz bez broni.

Ale widać za każde dobre chwile złe po dwakroć przychodzą, a za czas miłowania porę nienawistną tęsknoty trzeba przełknąć.

Dni dwa minęły właśnie, jak do naszego domu przyniesiono ledwie żywego, straszliwie rannego kawalerzystę francuskiego pana de Lavout, jak się okazało wkrótce, podporucznika korpusu rezerwowego marszałka Murata.

Jak się domyślasz zapewne, serce mi stanęło na moment, gdy podporucznik ledwie słyszalnym tchnieniem tak nam się przedstawił.

Młodzian ten cały dzień leżał, jakby nieżywy był, i dopiero rankiem dnia kolejnego otworzył oczy, żeby przekazać nam wieści straszliwe o Wielkiej Armii, która zniszczona całkiem z Moskwy właśnie wracała. Do Wilna dobrnęły na pół żywe trupy, cienie dawnych żołnierzy, którzy wolność nam przynieść mieli, a pokonani wracali. A sam cesarz pono ucieczką się salwował w Smorgoniach jeszcze.

Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki strach tu na nas padł wszystkich. Wszak to ja przyłożyłam rękę do tego, iż Monroi, wierny do tej pory imperatorowi, po Napoleona stronie stanął i dał się ponieść tej fali uwielbienia do cesarza Francuzów, na której cała nasza Litwa płynęła jeszcze do niedawna.

Ale gorsza dla mnie godzina wybiła zaraz po tem. Gdy ku pomocy zajrzałam do chorego, żeby o samopoczucie i czy czegoś mu nie trzeba zapytać, skinął na mnie i list mi cichcem podał, zdradzając, że to sam król Neapolu, a obecny dowódca Wielkiej Armii, pod nieobecność cesarza do mnie napisał. Serce mi stanęło, kuzynko droga, po raz drugi, a podporucznik de Lavout jeszcze srogo szepnął, że nikomu mi mówić o korespondencyi nie wolno.

Podporucznik zdradził mi jeszcze, że mały oddział kawalerzystów, ochraniający przez kozaków Płatowa, skierowany został z misją dostarczenia wozów pod Braśław, skąd do cesarza Aleksandra do Petersburga jechać dalej miały. Pod Bouteleur zaatakowani zostali przez oddziały rosyjskich kawalerzystów, którzy wzięli ich za maruderów. Wywiązała się bitwa i nikt przy życiu oprócz niego nie został.

W głowę zachodziłam, że to przecież niepodobna, żeby francuscy kawalerzyści przez zbójów Płatowa eskortowani byli, i doczekać się już nie mogłam, aż do pisma od króla zajrzę. Ale tyle spraw na głowę się złożyło, że wieczorem dopiero zrobić to mogłam.

Pominę, kuzynko droga, ten wstęp pełen komplementów, którymi mnie król zarzucił, i zacytuję to, od czego wypieków z emocji dostałam.

„Skoro świt do Kowna ruszamy, a później dalej, na Królewiec. W Wilnie marne resztki największej niegdyś armii Europy bronią się przed jazdą Płatowa[15] i dywizjami Czaplica[16]. A nasi oficerowie, obdarci, przemarznięci do szpiku kości, ledwie żywi, nawet bronić się już sił nie mają, przeto żołnierze, bez przykładu, zamieniają się w pospolitych rzezimieszków i złodziei. Gdy opuszczaliśmy Moskwę, nie było oficera, który jednego najmniej wozu z trofeami by nie zabrał. Jechały za nami bryki, landary pełne złotych kielichów z kościołów i klejnotów wydartych z ikon. Bezcenne księgi oprawne w srebro, zbroje i sztandary tureckie, całe worki brylantów i pereł. I wszystko to zgubione w rowach, marność nad marnościami. Najcenniejsze łupy sam cesarz za sobą ciągnął i zostały na śniegu w Wilnie w spalonym wozie, wokół którego walały się starodawne obrazy i księgi.

Wchodząc do Wilna, pochwyciliśmy jeńców, kozaków z korpusu Płatowa. Obiecałem puścić ich wolno, jeśli zabiorą pięć wozów ze skarbem i bezcennym urządzeniem, które z Moskwy zabrałem, a które kolosalną przewagę w wojnie przynieść nam jeszcze może. Zachowały się przy nim pieczęcie Aleksandra, więc kozacy dali mi wiarę, że to dar dobrej woli, żeby pokój negocjować. Obiecali chronić tabor aż do Braśławia. Gdy jednakże konwój ów dotrze na miejsce, ukryjcie dobrze ten ładunek, żeby w łapy carskie nie wpadł. Niech Bóg ma cię w opiece, najdroższa moja”.

Kochana kuzynko, gdy czytać skończyłam, ręce tak mi się trzęsły, jakbym w gorączce była. Nie wiem, jak mogłabym wypełnić to życzenie króla, jeśli prawdą jest, że z całego oddziału tegoż porucznika, który dogorywa w naszym domu, nikt przy życiu nie został. I co z wozami temi się stało? Najgorsze, że nawet podzielić się tą troską z mym Monroiem nie mogę. Od dwóch miesięcy nieszczęśnik jest pod nadzorem carskiej policji, która go o współpracę z Francuzami podejrzewa. Rozumiesz zatem, kuzynko, na co mogłabym go narazić, wciągając w te tragedie.

Myślę co i rusz, że dla mnie ciężar to za duży. Nie wiem, jak szybko list ten do Ciebie do Krasławia dotrze. Mam nadzieję, że w tym czasie nie stanie się nic jeszcze straszniejszego. Pamiętaj, by pod żadnym pozorem o tym, o czym tutaj piszę Tobie, nikomu nie mówić, bo i na siebie, i na rodzinę ściągnęłybyś kłopoty. Bardzo boję się także o losy gospodarzy na Bouteleur i czy dom przetrwał. Pozdrawiam cię najserdeczniej, Kochana.

Twoja wierna kuzynka i przyjaciółka

KM

23 Decembra 1812

Kuzynko Droga! Twój list napęłnił me serce strachem. Skoro żołnierze obu armii tak blisko domostw naszych podchodzą, cudem jak do tej pory ocalonych, to bezpiecznie czuć się nadal już niepodobna.

Zachowałam w tajemnicy to, co napisałaś mi, kuzynko, o liście od marszałka, chociaż bardzo chciałam podzielić się tą historią z Franzem, wszak on wychował się w Bouteleur i w sercu ten dom zachował z lat szczenięcych.

Pan starosta pomorski i jego młoda żona, a córka brata mojego Franza, nadal za kordonem przebywa, więc w Bouteleur tylko zarządca został, a i on nie wiem, czy uciec nie zdecydował dalej od frontu, wszak mała córeczka urodziła mu się kilka wiosen raptem temu. Tak więc dom, całkiem możliwe, że pusty stoi dokumentnie i jeśli już, to tylko klucznica ze wsi przychodzi drzwi otwierać dla gości, chociaż Bogiem a prawdą, kogo jak kogo, ale gości to nikt dzisiaj raczej się nie spodziewa.

Nawet w głowie mi postać nie może, że coś takiego mogło spotkać Ciebie, kuzynko, i że przed takim zadaniem niezwykłym postawiona zostałaś. Napisz mi jak najszybciej, jak ta historia z podporucznikiem się skończyła i co stało się z owym taborem, który ukryć gdzieś król Ci polecił. Zrozumiałym jest dla mnie, że nie chcesz narazić Monroia, i tylko podziwiać za to Ciebie mogę, droga kuzynko. Ale jak Ty sama z tymi potwornościami radę sobie dasz? A ja boleję nad tem, że sama jakoś pomóc Ci nie mogę.

Z ogromnym napięciem będę czekała na wieści jakieś od Ciebie, kuzynko droga, bom ciekawa straszliwie, co stało się z tymi wozami króla.

Piszę do Ciebie, droga kuzynko, w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia,

znalazłszy chwilę wolną od krzątania zwyczajnej przed świętami. Najlepsze życzenia przy okazji przesyłam, zdrowych i wesołych świąt dla Ciebie i dla całej kochanej rodziny. I żeby te straszne czasy wreszcie się skończyły.

Twoja oddana kuzynka i przyjaciółka

JB

Rozdział 25

Igor czuł rosnący niepokój. Wpatrywał się w migoczącą przy imieniu Patryka ikonkę odłożonej słuchawki. Ani Dermot, ani Johann w dalszym ciągu nie odbierali telefonów. Karen także. Jak to możliwe, że się zgubili? To przecież nonsens. Co on powiedział? Highgate? To chyba dzielnica gdzieś na północy? Co oni tam robili, do diabła?

Wpisał w Google nazwę i przejechał kursorem po kilku początkowych wynikach. Zatrzymał się przy odnośniku do strony starego cmentarza. Przejechał szybko wzrokiem krótki opis na temat historii nekropolii i spojrzął w okno.

Karen zniknęła na cmentarzu, gdzie są groby przebitych osinowymi kołkami wampirów. No, litości. Żarty sobie robią?

Wybrał ponownie numer Karen, a gdy nie odebrała, spróbował jeszcze raz połączyć się z Patrykiem. Ściskając telefon w garści, zrobił kilka kroków i zatrzymał się przed wyspą w kuchni. Jeśli naprawdę to jakieś kretyńskie żarty, to powie im potem, co o tym myśli. Do diabła! Wypił ostatni łyk kawy i spojrzął z namysłem w kierunku okna.

Pięć minut później wypadł z klatki schodowej na podwórze pomiędzy budynkami i szybkim krokiem ruszył w kierunku wylotu na Gainsford Street. Najbliższa stacja metra była w City, po drugiej stronie Tower Bridge, i najbliżej było tam niestety piechotą.

Czy to możliwe, że ci sami ludzie, którzy napadli na nich pod Paryżem, porwali Karen? Po raz pierwszy sformułował tę myśl w głowie i stwierdził, że brzmi z jednej strony przerażająco, ale z drugiej wciąż idiotycznie. Zawsze pozostawał na szczęście ten scenariusz głupiego żartu. To w zasadzie byłoby nawet w stylu Karen. Dobrze wiedziała, że po wydarzeniach pod La Rochelle tym bardziej go to zaniepokoi. Czując, że trafia go szlag, sięgnął ponownie po telefon.

Wybrał numer Gwen. Nie odebrała, ale po chwili przyszła od niej wiadomość, że ma klientów i że oddzwoni.

Przeszedł marszowym krokiem przez most, mijając grupki turystów kręcące się w kółko z telefonami i tabletami i po chwili z ulgą zauważył stojącą przy balustradzie miejską hulajnogę. Nie minęło pięć minut, a był już na wysokości Tower. Metro, o ile pamiętał, było gdzieś niedaleko. Do Highgate to chyba musiała być linia Northern.

Pół godziny później wysiadł na stacji London Archway i pomagając sobie Google Maps, ruszył w kierunku cmentarza. Nigdy tutaj nie był. Ciekawe, czyj to pomysł, żeby zwiedzać groby wampirów? Raczej nie Karen, chociaż mogła wygrzebać to w necie, właściwie to nawet w jej stylu. A o ile pamiętał, Patryk studiował czy pracował w Londynie, więc pewnie jednak on to wymyślił.

Zatrzymał się na szerokim chodniku przed głównym wejściem i rozejrzał dookoła. Za plecami miał wielką kamienną kordegardę z bramą przejazdową, przez którą wciąż wchodziły i wychodziły grupki turystów, a naprzeciwko po drugiej stronie wąskiej ulicy bramę wejściową do wschodniej części cmentarza.

Wyjął telefon i wybrał ponownie numer Patryka. Przez chwilę czekał na sygnał i nagle ze zdziwieniem usłyszał głośną melodyjkę, dochodzącą skądś w pobliżu. Cały czas z telefonem przy uchu okręcił się wokół własnej osi i zobaczył nagle zdziwione spojrzenie młodego chłopaka stojącego tuż obok czarnej przyczepki, przy której można było napić się kawy lub herbaty. Napis na samochodzie głosił, że jest to Craft Coffee, a tuż nad nim szczyrzyła zęby stylizowana trupa czaszka.

Igor ruszył w kierunku chłopaka, znowu wybierając numer Patryka.

Ponownie gdzieś z wnętrza przyczepy dobiegł go sygnał telefonu.

– Pan nazywa się Igor Fleming? – spytał ciemnowłosy chłopak, gdy Igor stanął przy przyczepie, wpatrując się w zdziwionego chłopaka.

Czy to jakaś gówniana miejska gra, w którą właśnie go wciągnęli? Pomyślał, że własnymi rękami udusi Patryka, jeśli to jego pomysł.

– Jakies pół godziny temu pana znajomy go zgubił – powiedział chłopak i wyciągnął spod lady srebrnego iPhone'a.

– Zgubił? – Igor spojrział z niedowierzaniem na telefon.

– Szarpał się z kimś, chyba ze swoim kumplem – powiedział chłopak. – Trochę wcześniej jakaś laska wsiadła z takim napakowanym gościem do audi Q7, a zaraz potem pojawił się ten pana kochaś i ich dogonił.

– Szarpał się? – Igor puścił „kochasia” mimo uszu.

– No ja tam nie wiem. Ale skoro odjechał z nimi w końcu, to pewnie to była tylko jakaś kłótnia – stwierdził chłopak i spojrział na Igora. – Pan jest Rosjaninem?

– Dlaczego niby? – Igorowi przemknęło przez głowę, że mówi po angielsku jak jełop, ale bez przesady, nie ma przecież ruskiego akcentu.

– A tak pytam tylko. – Chłopak wzruszył ramionami. – Ten napakowany krzyknął coś w rodzaju *job twoju mat*, z filmów to znam. Wie pan, co to znaczy?

– Niestety wiem. – Igor rozejrzał się zdenerwowany. – W którą stronę pojechali?

– Na Holly Lodge. – Chłopak wskazał ręką dachy leżącego tuż obok cmentarza luksusowego, zamkniętego habitatu.

Akurat wąską uliczką przejeżdżała taksówka.

Igor zaczął machać rękami i wybiegł na jezdnię. Po chwili wskoczył do wnętrza czarnego samochodziku.

– Niech pan jedzie do Archway Road, a potem skręci na obwodnicę – rzucił do ciemnoskórego kierowcy. – Tak jakby chciał się pan wydostać na drogę do Southend. Niech się pan rozgląda za czarnym audi Q7.

– Do Southend? – dopytał chłopak, ale spojrział na swojego pasażera z niedowierzaniem. – Na lotnisko?

– Albo do Westcliff.

Igorowi instynkt podpowiadał, że za tym musiał stać ten cały Sokołow, przed którym ostrzegali ich ojciec Johanna. Rosyjski akcent, napad pod La Rochelle, w którym ukradli wyłącznie archiwalia, te włamanie w Londynie... Nie miał oczywiście żadnej pewności, że pojechali do Southend, ale nie wiedział, co ma robić, a to był jedyny ślad.

– To gdzie w końcu? – Młody kierowca patrzył na Igora podejrzliwie. –

Chce pan jechać londyńską taksówką na lotnisko w Southend? Zwariował pan? Wie pan, ile to będzie kosztowało?

– Potem będziemy się tym martwić.

– To pan się będzie tym martwić! – prychnął chłopak.

– Jedź, człowieku, do diabła! – Igor wyjął telefon z kieszeni i machnął ręką w kierunku wąskiej perspektywy ulicy. – Musimy dogonić to cholerne audi!

– Jakie znowu audi? Dowolne czarne audi czy jakieś konkretne? Za dużo filmów pan się chyba naoglądał!

– Niech pan jedzie na to cholerne lotnisko! – rzucił Igor ze złością, ponownie słysząc, że numer Johanna jest zajęty.

– Ale co pan chce, żebym ja mu drogę zajechał? – Młody kierowca, mimo głośno wyrażanych wątpliwości, ruszył niemal z piskiem opon i wyprzedził dwa wolno jadące samochody. – Uprzedzam, że nie biorę udziału w żadnych awanturach!

– Kurwa mać! – warknął Igor pod nosem, patrząc na bezużyteczny od kilku godzin telefon, przez który nie można się było z nikim połączyć.

– Pan jest Rosjaninem? – Chłopak patrzył z wyraźnym niepokojem w lusterko.

– A panu to skąd nagle przyszło do głowy?! – Igor spojrzał na niego ze złością. – Jestem Polakiem!

Sądząc po minie kierowcy, odpowiedź wcale go nie zadowoliła.

– A to nie to samo? – zapytał po chwili.

– No oczywiście, tak samo jak to, że pan jest Hindusem.

– Nie jestem żadnym Hindusem! – odparł chłopak i spojrzał na Igora z urazą. – Jestem z Pakistanu.

Igor, który na oko oceniał, że kierowca musi pochodzić gdzieś z tych regionów, stwierdził, że nic gorszego już powiedzieć nie mógł. Biorąc pod uwagę trwający od niepamiętnych czasów spór Pakistanu z Indiami o Kaszmir.

Szare volvo z reklamą wypożyczalni samochodów Cheap Airport Car Rental parkowało tuż przy ogrodzeniu, za którym znajdowały się dwa wielkie hangary. Za nimi i za niewielkim pasem zieleni widać było pasy startowe lotniska London-Southend. Zaraz za bramą wjazdową rozpościerał się ogromny wybetonowany plac, na którym stały pojedyncze samochody osobowe i kilka ciężarówek. Wielki napis na jednym z hangarów głosił, że firma Wind Aviation oferuje usługi w zakresie szkoleń i programów Engine Run-Up oraz badań technicznych samolotów lekkich.

– To nie jest trochę dziwne, że stoimy tutaj takim samochodem? – Dermot, który od dobrych dziesięciu minut gapił się przez okno, spojrzał powątpiewająco na Johanna. – Kilkaset metrów od wypożyczalni?

– Jeśli nas śledzili, to wiedzą, jakimi samochodami jeździmy.

– To mogli też wiedzieć, że właśnie zostawiłeś swoją tesłę na parkingu, a odjechaliśmy tym tutaj – wtrącił z tylnego siedzenia Jamie.

– Wam to ciągle coś nie pasuje – sarknął Johann. – Przyciemniane szyby ma, nie widać nas. A poza tym po drugiej stronie drogi jest osiedle, do którego mogliśmy przyjechać.

– Czyli ktoś przyleciał na Southend i wynajął samochód, żeby przejechać kilkaset metrów? – ironizował Jamie.

– Ta wypożyczalnia jest także na Heathrow.

– Skąd wiadomo, że ta firma Wind Aviation należy do tego Ruska? – odezwał się znowu po dłuższej chwili ciszy Jamie.

– Moi klienci go znają – mruknął Dermot, nie odwracając się. – Sokołów trzyma tutaj swój samolot.

– A co w ogóle stąd można zobaczyć? Przecież widzimy tylko płot, plac i blaszane ściany hangarów.

Johann spojrzał na Jamiego ze zniecierpliwieniem.

– Przyjechaliśmy tylko na zwiad. Rozejrzeć się.

– Po cholere Sokołów miałby trzymać starodruki Igora w hangarze. Prędzej już w swoim domu w Westcliff.

– Tam jest dookoła dwumetrowy mur z cegły.

– No, jak widać, nie bez powodu.

Johann spojrział na Jamiego morderczym wzrokiem.

– Czemu właściwie nie zabraliśmy Igora? – zapytał Dermot po kolejnej dłuższej chwili ciszy.

– Nie chciałem go budzić – westchnął Johann. – Wczoraj chyba najwięcej wypił.

– Igor to Polak – odezwał się Jamie. – Powinien wypić trzy razy tyle i jeszcze porozwozić nas do domów.

– Jak widać, za dużo przebywa w naszym towarzystwie. Poza tym pomyślałem, że pewnie chce spędzić czas z Karen i tym jej chłopakiem przed jego wyjazdem.

– To chyba nie jest jej chłopak – burknął Jamie.

– Wszystko jedno.

– A powiedziałaś Gwen? – drążył nadal Dermot.

– A co to przesłuchanie jakiegoś, panie mecenasie? – Johann zaczął tracić cierpliwość. – Nie pamiętasz, jak narzekała, gdy mówiłem, żeby tu przyjechać? A jakbym wciągnął w to Igora, to oczywiście i Karen by chciała się z nami zabrać, a ona oczywiście wygadałaby się Gwen. Już się wymieniły numerami.

Jamie nagle głośno syknął z tylnego siedzenia.

– Coś tu jedzie! Uwaga!

Dermot odruchowo się schylił, dopiero po chwili przypominając sobie, że auto ma przecież przyciemniane szyby.

Drogą, przy której na długim odcinku ciągnęło się ogrodzenie na tyłach lotniska, przemknęło szybko czarne audi Q7 i zatrzymało się przy bramie. Stalowe skrzydło powoli się odsunęło, a audi wjechało na teren zakładu i zatrzymało się przy jednej z bram prowadzących do hangaru.

– Widziałeś kiedyś Sokołowa? Poznałbyś go? – zapytał Jamie, wychylając się ostrożnie zza tylnego siedzenia.

– Przecież jego zdjęcia były nieraz w gazetach – odpowiedział przyciszonym głosem Dermot.

– Nie śledzę kronik towarzyskich.

– To były raczej kroniki kryminalne.

– Tym bardziej.

– Zamknijcie się! – warknął Johann, wpatrując się w samochód, z którego nikt jeszcze nie wysiadł.

W tym momencie zadzwonił jego telefon, powodując, że wszyscy trzej aż podskoczyli.

– Igor. – Johann spojrział na wyświetlacz. – Nie odbieram – poinformował i schował telefon z powrotem do kieszeni.

Audi Q7 stało wciąż z wyłączonym silnikiem przed bramą. Nagle otworzyły się drzwi i z hangaru wyszło dwóch mężczyzn w czarnych T-shirtach i kamizelkach. Rozejrzeli się dookoła i podeszli do czarnego samochodu. Tylnie drzwi audi otworzyły się i wysiadł kolejny ubrany na czarno mężczyzna.

Wielkie stalowe wrota, skrzypiąc starymi rolkami, powoli się otworzyły i po chwili czarne audi zniknęło we wnętrzu hangaru.

*

Droga do Southend, ze względu na nadwyreżone dość mocno stosunki bilateralne, przebiegała w końcowym etapie w lodowatej ciszy. Nie licząc powtarzanych przez Igora co jakiś czas pytań, czy nie można jechać szybciej, i zjadliwych odpowiedzi Pakistańczyka, że to nie wołga.

Samochód dotarł w końcu do miasteczka i przez zakorkowaną trasę na obrzeżach, a potem przez centrum zaczął się przedzierać w kierunku lotniska, leżącego na północnym skraju miejsciny.

– Gdzie pan chce? – mruknął Pakistańczyk, rzucając obrażone spojrzenie w lusterko. – Pod terminal?

– Nie, nie... – Igor przeglądał mapę w telefonie, usiłując sobie jednocześnie przypomnieć rozmowę z Dermotem, który pokazywał mu siedzibę firmy rosyjskiego oligarchy.

– South Road – zdecydował, bo znalazł w końcu nazwę ulicy. – Na samym końcu.

– To uliczka za lotniskiem – zauważył chłopak, patrząc na ekran nawigacji. – Same magazyny. Jest pan pewien?

– Nie jestem, ale zobaczymy. To ma się nazywać Wind Aviation Southend.

– No to zobaczymy. – Pakistańczyk wrzucił bieg i samochód ruszył dookoła ronda, zostawiając z tyłu wjazd na teren terminalu.

*

Tymczasem na drodze do hangarów firmy Wind Aviation pojawił się następny samochód. Ciemnobordowy rolls-royce ghost. Tak jak poprzednio audi rolls także zbliżył się do bramy, a po chwili wjechał na teren lotniska. Brama powoli się za nim zamknęła. Limuzyna stanęła przed barakiem i wysiadł z niej dobrze zbudowany łyśy mężczyzna w dopasowanym czarnym garniturze.

W volvo tymczasem znowu zadzwonił telefon, tym razem Dermota.

– Igor – westchnął Dermot. – Obrazi się na nas. Też nie odbieram wobec tego, ty się będziesz tłumaczył. – Spojrzał na Johanna i schował telefon do kieszeni.

Tymczasem łyśy mężczyzna rozmawiał przez chwilę z dwoma czekającymi na niego przy bramie, po czym ruszył w kierunku drzwi hangaru i zniknął. Jeden z mężczyzn otworzył drzwi rolls-royce'a, wyciągnął z tylnego siedzenia torbę podróżną i ruszył w ślad za łyśym.

Przez furtkę zarośniętą bluszczem i zmyślnie ukrytą w drewnianym trejażu zza płotu osiedla, po drugiej stronie drogi, wyszła kobieta, obrzuciła niechętnym spojrzeniem szare volvo i ruszyła w kierunku oddalonych o kilkaset metrów zabudowań lotniska Southend.

– Ten łyśy w garniturze to był właśnie Sokołow – szepnął Dermot, odchylając się w kierunku Jamiego.

– No to wyglądał jak stereotypowy ruski gangster.

– Pewnie dla zmylenia przeciwnika.

Dwaj mężczyźni, którzy zostali przy samochodach na placu przed hangarami, rozglądali się wokół, co chwila spoglądając podejrzliwie na szare volvo.

– W tym czarnym audi była chyba jakaś kobieta – niespodziewanie

odezwał się Jamie z tylnego siedzenia.

– Taki spostrzegawczy jesteś? – zakpił Dermot. – I zauważyłeś stąd, że tam siedziała jakaś laska?

– Widziałem długi biały płaszcz. Ilu facetów chodzi w długich białych płaszczech?

– Ja mam długi biały płaszcz – odezwał się Johann. – Dostałem od Gwen.

– I chyba nie założyłeś go ani razu – parsknął Jamie.

W tym momencie ponownie zadzwonił telefon.

– Pewnie znowu Igor. – Johann z rezygnacją sięgnął do kieszeni. – Będę musiał go później jakoś udobruchać. – Spojrzał na wyświetlacz. – Gwen tym razem.

Prawie jednocześnie zadzwonił telefon Dermota.

– Ajgor.

– Odbierzcie w końcu te cholerne telefony! – huknął z tylnego siedzenia Jamie. – Ciekawe, czemu do mnie nikt jakoś nie dzwoni.

– Dlaczego nie odbieracie telefonów! – Z komórki Johanna dobiegł poirytowany głos Gwen. – Igor też do was dzwoni od rana.

Z rolls-royce'a wysiadł mężczyzna w ciemnej marynarce i podszedł do dwóch ochroniarzy.

– Ona mi kogoś trochę przypominała... – Jamie przycisnął nos do szyby.

Johann podniósł telefon do ucha. Wpatrywał się cały czas w odgrywającą się przed hangarem scenę i słuchał jednocześnie Gwen. Nagle ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

– Co takiego?! Jak to zniknęła? – zawołał.

– Igor mi napisał, że Karen i Patryk gdzieś przepadli. Nie wiem, o co chodzi, bo miałam klienta i nie mogłam rozmawiać, a teraz z kolei on nie odbiera.

– Kto zniknął? – Dermot odwrócił się i spojrzał na Johanna z niepokojem.

– Na Highgate?! A co oni tam robili?

– To ten cmentarz z trupami wampirów? – Jamie pochylił się między siedzeniami. – Kto zniknął? O czym ty mówisz? A nie wydaje się wam, że ta

dziewczyna w białym płaszczu przypominała trochę Karen?

– Przecież nikt poza tobą jej nie widział, głąbie – fuknął Dermot.

Johann na sekundę znieruchomiał.

W tym momencie rozległ się głośny warkot silnika i po chwili minęła ich czarna londyńska taksówka i z piskiem opon zatrzymała się przed bramą wjazdową na teren spółki Wind Aviation Southend.

Z wnętrza wypadł Igor, rozejrzał się dookoła, po czym podszedł do bramy wjazdowej Wind Aviation i szarpnął za stalowe skrzydło.

Johann i Dermot, którzy obserwowali tę akcję zza przedniej szyby volvo, na moment oniemieli i z wytrzeszczonymi oczami wpatrywali się w scenę przed bramą.

– Co on tutaj robi, do diabła?! – Pierwszy ochłonął Jamie. – Mówiłem, żebyście odbierali telefony! On tu przyjechał taksówką?

Igor tymczasem wyjął telefon i wybrał czyjś numer.

W tym samym momencie w kieszeni dzinsów Johanna zadźwięczała komórka.

– Co się z wami dzieje, do cholery?! – Igor, którego Johann doskonale widział przez przednią szybę, machał ze złością rękami. – Dlaczego nie odbieracie?! Chyba porwali Karen!

– Co takiego?! Jak to chyba?

– Co się dzieje? – Dermot wpatrywał się w Johanna z napięciem. Był wystraszony, a to mu się naprawdę rzadko zdarzało.

– Porwali Karen – rzucił Johann. – Chyba.

Podniósł wzrok, spojrzął w kierunku rolls-royce'a.

Igorowi, który ponownie zaczął szarpać skrzydło przesuwnej bramy, w końcu udało się chyba jakoś skoordynować szarpanie z dzwonieniem i prawdopodobnie także uszkodzić mechanizm automatycznego otwierania bramy. Skrzydło pisnęło i uchyliło się na tyle, że zdołał dostać się na teren lotniska.

Dwaj stojący przy hangarze mężczyźni zaskoczeni spoglądali na Igora. Wysoki mężczyzna w marynarce pochylił się nagle do jednego z nich i powiedział coś, po czym zniknął we wnętrzu hangaru.

Ochroniarze stanęli na wprost Igora.

Igor zaczął energicznie gestykulować i najwyraźniej coś tłumaczyć.

Jeden z ochroniarzy postukał się palcem w czoło i nieco bardziej zdecydowanie wskazał palcem wyjazd z terenu firmy.

– Co on tam robi? – Jamie pochylił się między przednimi siedzeniami.

Johann i Dermot także zamknięci w volvo wpatrywali się z osłupieniem w to, co się działo na placu przed hangarem.

Ochroniarze, widząc, że Igor nie zamierza opuścić terenu zakładu, zastąpili mu drogę i coraz bardziej poirytowani zaczęli mu coś tłumaczyć.

Igor najwyraźniej zaczął krzyczeć, pokazując na wrota hangaru. Przez chwilę trwała gorączkowa wymiana zdań, gdy nagle Igor rzucił się do przodu, chcąc wyminąć ochroniarzy.

Jeden popchnął go z powrotem w stronę bramy, energicznie gestykulując.

Igor ponownie zrobił krok w ich kierunku, ale tym razem ochroniarz złapał go za ramię i po krótkiej szamotaninie przewrócił na ziemię.

– Szlag! – warknął Dermot, który po chwilowym oszołomieniu właśnie się ocknął. Szarpnął za klamkę i wyskoczył z samochodu. Johann wypadł zaraz za nim.

Jamie wygramolił się z tylnego siedzenia i pognął za nimi.

– Dzwonię po policję! – krzyknął.

Tymczasem Dermot jako pierwszy wbiegł na teren lotniska.

Mężczyzna, który przewrócił Igora, widząc pędzącego ku niemu kolejnego napastnika, tym razem jednak o znacznie poważniejszych gabarytach, poderwał się i sięgnął po broń.

Nie zdążył jednak nic zrobić, bo Dermot złapał go za kark i bez trudu przewrócił na ziemię.

Johann rzucił się na drugiego ochroniarza, ale stanął jak wryty, widząc wycelowany w siebie pistolet.

Z hangaru wyszedł nagle mężczyzna w ciemnej marynarce, a na drodze rozległ się dźwięk policyjnej syreny i po chwili przed bramą zatrzymało się niebiesko-żółte bmw.

Dwaj policjanci, którzy wysiedli z samochodu, widząc, co się dzieje, sami sięgnęli do kabur i wpadli na teren lotniska.

– Rzuć broń! – Policjant wycelował w ochroniarza, który potulnie cisnął pistolet na ziemię i podniósł ręce do góry.

– Co tu się dzieje? To pan nas wzywał? – zapytał mężczyznę w ciemnej marynarce drugi z funkcjonariuszy.

– Bardzo się cieszę, że jesteście panowie tak szybko – odpowiedział tamten i odetchnął głęboko.

– Powiedział pan, że to napad na terenie portu lotniczego. My jesteśmy z komisariatu lotniska.

– To także teren lotniska. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To prywatna posesja! – Policjant uważnie przyjrzał się wszystkim.

– To teren prywatny, jak pan słusznie zauważył – dodał mężczyzna w ciemnej marynarce. – Ci ludzie wdarli się tutaj i rzucili na ochronę.

– Oni porwali moją siostrzenicę! – przerwał mu Igor, podnosząc się z ziemi.

– To prawda – potwierdził Johann. – Widzieliśmy wszystko z naszego samochodu. Zabrali ją do środka.

– A skąd wyście się tutaj wzięli?! – Igor skierował nagle wzrok na Dermota i Johanna. – Co wy tu robicie?!

– Potem ci wytłumaczę – warknął Johann i zwrócił się do jednego z policjantów: – Proszę sprawdzić w hangarze! Dziewczyna nazywa się Karen Lindberg.

– Porwali także chłopaka. Nazywa się Patryk Nałęcz.

– I kogo jeszcze? – prychnął ironicznie mężczyzna w ciemnej marynarce.
– To są jacyś narkomani najwyraźniej. Są naćpani – zwrócił się do zdezorientowanych policjantów z ochrony lotniska.

Policjanci, cały czas trzymając broń przed sobą, wpatrywali się we wszystkich podejrzanych i nie bardzo chyba wiedzieli, co mają zrobić.

Igor usłyszał nagle dźwięk silników. Dochodziły z za hangaru.

– Zróbcie coś! – krzyknął do policjantów. – Oni właśnie odlatują!

– Teren należy do pana Olega Sokołowa – odezwał się ponownie mężczyzna w ciemnej marynarce. – Aleksander Pahlen. Jestem pełnomocnikiem pana Sokołowa. To jest wtargnięcie na teren prywatny. Ci ludzie to jacyś niebezpieczni mitomani.

– To ja wzywałem policję! – Od strony bramy nadbiegł nagle Jamie. – To porywacze! – wrzasnął, wskazując ręką pełnomocnika.

Jakby na potwierdzenie jego słów od strony centrum dobiegł ich dźwięk kolejnej syreny policyjnej.

Tymczasem zza hangaru rozległ się nagle głośny ryk silników i po chwili na placu, widocznym za kępą zieleni, pojawił się niewielki dwusilnikowy odrzutowiec, kołujący właśnie na pas startowy.

Gdy drugi policyjny wóz zatrzymał się przed bramą, a policjanci, którzy z niego wyskoczyli, wbiegli na plac przed hangarem, samolot właśnie wzbijał się w powietrze.

*

Karen otworzyła oczy i najpierw zobaczyła gładką kremową powierzchnię skóry fotela. Miała wrażenie, że obudziła się po bardzo męczącym dniu i nieprzespanej nocy, ale jednocześnie była odprężona. Przez krótką chwilę zastanawiała się, gdzie właściwie jest. Łóżko w jej pokoju na Shad Thames miało ciemnogrnatową narzutę. Może zasnęła w fotelu przed telewizorem? Nie wylądowała chyba w hotelu u Patryka?

Patryk! Odetchnęła i powoli odwróciła głowę. Przez moment wpatrywała się przed siebie i dopiero w tej chwili dotarł do niej miarowy, równy szum silników.

Poderwała się gwałtownie i rozejrzała dookoła. Była w samolocie!

No do diabła! I chyba prywatnym w dodatku. Nieduży odrzutowiec, sądząc po brzmieniu silników.

W kabinie były tylko cztery wielkie fotele lotnicze oddzielone składanymi stolikami. Ale od razu zauważyła, że nieco dalej, tuż koło drzwi, drzemał ubrany na czarno ochroniarz.

I nagle wszystko sobie przypomniała.

Ktoś ją chwycił na cmentarzu i zaraz potem zakreśliło jej się w głowie. Patryk poszedł przodem, nic nie dostrzegł. Potem chyba jechała samochodem. Musieli dać jej jakiś środek nasenny albo narkotyk.

Chciała się poderwać z fotela, ale zapięty pas skutecznie ją powstrzymał. Potrąciła tylko niechcący stolik, z którego spadła na ziemię szklanka z wodą. Nagle usłyszała za sobą kroki i po chwili stanął nad nią wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w stalowoszarym garniturze i czarnej koszuli. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, choć mógł mieć więcej.

– Widzę, że się obudziłaś. – Uśmiechnął się szeroko. Podniósł z podłogi szklankę, postawił ją na stoliku, po czym usiadł w fotelu naprzeciwko Karen.

– Czego pan ode mnie chce? – Karen patrząc na niego, czuła złość. Właściwie nie miało to nic wspólnego z tym, że jego ludzie podali jej jakiś narkotyk, że ją uprowadzili. Facet budził w niej wewnętrzny opór. Może to ten jego pewny siebie uśmiezek, a może drogie dopasowane ciuchy na nabitym cielsku.

– Gdzie jest Patryk? – zapytała z nagłym niepokojem.

– Nic mu nie będzie. – Mężczyzna uśmiechnął się ponownie z rubaszną ironią. – Zapewniam ci właśnie miłą wakacyjną rozrywkę, a ty tak ze złością do mnie?

– Dlaczego mnie uprowadziliście? Po co?

– Karinko, jedziesz ze mną na piękną wycieczkę i to wszystko. Za kilka dni, sądzę, że to nie będzie trwało dłużej, wrócisz spokojnie do Londynu, względnie do babci pod Szczecin.

– Chodzi panu o te archiwalia z kufrów?

– Twój wuj, jak tylko poproszę, na pewno mi je przywiezie – powiedział i zarechotał. – Nie musisz się o nic martwić.

– Przywiezie? Dokąd?

– Do Wilna oczywiście. Wszelkie papiery i zezwolenia na wywóz z Wielkiej Brytanii są wyrobione na niego, więc po co mamy cokolwiek komplikować.

– Lecimy do Wilna?

– Niezupełnie.

Karen wpatrywała się w mężczyznę, zastanawiając się jednocześnie, ile z tego, o czym wczoraj rozmawiali, on może wiedzieć. Przypomniała sobie to, co mówił wujek, o ewentualnych dokumentach z Petersburga i w ogóle o jakichś archiwaliach, które mogły się znajdować gdziekolwiek w Rosji, a do których on mógł dotrzeć. Czy to jest jakiś człowiek tego całego Sokołowa, o którym mówili Dermot i Johann? Mężczyzna miał jakiś taki miękki akcent, czy to Rosjanin?

Odetchnęła głęboko. Kłótnia z tym gościem nic jej nie da. Jeszcze ją gdzieś zamkną.

– Wy naprawdę szukacie tego mitycznego skarbu? – zapytała, uśmiechając się po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmawiać.

– A ty nie wierzysz w rodzinny skarb? – Rosjanin patrzył na nią drwiąco.

Karen wzruszyła ramionami. Pomyślała, że może najlepiej zagrać w otwarte karty.

– W tych archiwaliach nie było nic, co stanowiłoby jakąkolwiek wskazówkę. Same dokumenty gospodarcze, rachunki od budowniczych, trochę korespondencji i, najcenniejsze z tego wszystkiego, stare akty własności.

– Ja to wszystko widziałem, Karinko. – Porywacz patrzył na Karen z szyderczym uśmieszkiem. – Przecież skany tych dokumentów mam od dawna. Rzecz w tym, że w oryginałach jest chyba znacznie więcej treści.

Karen zauważyła, że mężczyzna na ułamek sekundy zmienił się na twarzy. Wtedy, gdy mówiła. O czym to mogło świadczyć?

– Powiem panu po prostu, co wiemy, bo nie jest tego zbyt wiele – zaproponowała z westchnieniem i sięgnęła po szklanę. – Ale czy mogę dostać coś do picia?

– Ależ oczywiście, co tylko sobie życzysz. – Rosjanin skinął na stewarda i po chwili na stoliku przed Karen pojawiła się szklanka z sokiem pomarańczowym.

– Jedyna rzecz, która nas zafrapowała w tych kufrach, to dokumenty majątku w Bobtelach pod Kownem. – Karen wzruszyła ostentacyjnie ramionami. – Nic poza tym.

I nagle Karen coś przyszło do głowy. Miała tylko nadzieję, że nie dała

tego po sobie poznać.

Jedyną rzeczą, o której on nic nie mógł wiedzieć, była przecież ta stara srebrna blacha z kufra cioci Jadwini. Szukali archiwaliów, dobrali się do skanów z Londynu, pod La Rochelle ukradli zawartość kufra, ale jego szczątki beztrząsliwie zostawili w volkswagenie.

– Pałac w Bobtelach stoi do dzisiaj – stwierdził mężczyzna i wzruszył ramionami. – Znam go doskonale. Jest tam skromny hotelik, a właściciel, przedsiębiorca z Wilna, zbiera stare motocykle i samochody. Całkiem ładne miejsce. Nie ma tam jednak żadnych podziemi.

– Ale pałac jest nieopodal miasteczka. – Karen przypomniała sobie zdjęcia w Google, które wczoraj przeglądała. Odruchowo sięgnęła po telefon, ale oczywiście nie znalazła go w kieszeni. – W miasteczku w tamtych czasach była pewnie siedziba starostwa i jakiś inny pałac.

– Nic tam nie ma. – Sokołow pokręcił głową. – W miejscu po pałacu starostwa stoi dzisiaj szpital. Badaliśmy tam wszystko georadarem i prowadziliśmy poszukiwania archeologiczne. Tam na pewno nic nie ma.

– No to sam pan widzi... – Karen sięgnęła po szklankę z sokiem pomarańczowym. Miała nadzieję, że nic do soku nie dodali. – To tyle, jeśli chodzi o zawartość kufrów.

– Obejrzymy sami, to będziemy wiedzieć. – Rosjanin uśmiechnął się pod nosem.

– Dlaczego właściwie wcześniej nie próbował pan zajrzeć do kufrów?

– Nim pojawił się testament twojej ciotki, myśleliśmy, że wszystkie dokumenty spłonęły.

Karen wpatrywała się w Rosjanina z uwagą. Nie sądziła, że zdradzi jej coś mającego znaczenie, ale i tak była ciekawa.

– Jest w waszej rodzinie jeszcze inna legenda, która pośrednio dotyczy tego oto wydarzenia – podjął wątek po krótkiej chwili, uśmiechając się do Karen. – W roku tysiąc osiemset szesnastym pewien twój daleki krewny zaginął. Wyjechał w podróż, zostawił żonę i czworo dzieci i przepadł jak kamień w wodę. Był wysoko postawionym urzędnikiem, komisarzem finansowym rządu austriackiego, więc początkowo podejrzewano, że został gdzieś napadnięty i ograbiony. To były trudne czasy na podróżowanie.

Skończyła się wojna, potem było to wasze nieudane powstanie listopadowe i któregoś dnia do rodziny dotarła wieść, że w jakimś zapomnianym szpitalu na wschodnich krańcach Galicji leży umierający w skrajnej nędzy starzec, który podaje się za ojca radcy cesarskiego z Wiednia, Andreeasa von Mikulicza-Radeckiego, i mający coś o królewskim skarbie i królewskim pochodzeniu. Gdy Andreas się o tym dowiedział, zabrał ze sobą sporą ilość pieniędzy i nikogo nie wtajemniczając w swoje plany, natychmiast wyjechał. Wrócił jakiś czas później, poinformował tylko rodzinę, że ojciec już nie żyje, i na jego temat do końca życia nie wypowiedział więcej ani jednego słowa. Dopiero na łożu śmierci przekazał dziwną informację, że wszystkie dokumenty spłonęły.

Karen wpatrywała się w Rosjanina zafascynowana. Zapomniała nawet o tym, że znajduje się na pokładzie samolotu i że, było nie było, została jednak brutalnie uprowadzona.

Ciekawe, że babcia nie wspomniała jej o tej legendzie. Może to była właśnie jedna z tych rzeczy, które znajdowały się dzisiaj tylko w niedostępnych rosyjskich archiwach albo w zbiorach prywatnych zbieraczy.

Inna sprawa, że zaczynała się w tym wszystkim gubić. Przyśpieszony, wakacyjny kurs genealogii rodziny jak na razie wywołał w jej głowie kompletny chaos. Ta przedziwna rodzinna tajemnica powodowała, że co rusz na scenie pojawiali się inni aktorzy sprzed wieków. Manuzzi, Jadwiga Strutyńska, a wczoraj jeszcze sama wygrzebała dalekiego krewnego, Leopolda von Schröttera. No i teraz wyskoczył kolejny von. Która z linii Mikuliczów używała von? Babcia by wiedziała. Zaraz...

Ten wrocławski lekarz, Johann von Mikulicz-Radecki. No oczywiście. I jeszcze linia z Inflan, która pożeniła się z jakimiś Niemrami...

– Pewnie się właśnie zastanawiasz, czy ta historia pomogła nam w jakiś sposób zlokalizować ten legendarny zamek? – Wpatrywał się w nią z uśmiechem, do którego właśnie zaczynała się przyzwyczajać, chociaż najchętniej dałaby mężczyźnie w pysk.

– To prawda – przytaknęła. – Bo w kufrach nie było nic, co mogłoby okazać się jakąś wskazówką.

Pomyślała, że może warto deprecjonować znaczenie archiwaliów. Może

dzięki temu facet przestanie przywiązywać do nich aż taką wagę i szybciej ją uwolni.

A w kwestii zamku pytanie zasadnicze – czy on też się domyślił, że może chodzić o Litwę? I jeszcze jedno – czy to nie jest przypadkiem sam Sokołow? Czy jego człowiek zdradzałby bez uzgodnienia te fakty?

– Jasne, że było wskazówką... – Sokołow pokiwał głową z zadowoleniem.

– Wie pan, o jakie miejsce chodzi? – zapytała zaskoczona Karen i podniosła wzrok.

– Oczywiście. Tam właśnie lecimy.

Rozdział 26

Igor wpatrywał się z irytacją w policjanta. Od dwóch godzin przebywał na komisariacie w Southend. Najpierw odpowiadał na powtarzane po trzy razy pytania, a potem siedział i czekał, aż policjant skończy pisać protokół.

Nie wdarł się na teren zakładu. Wszedł, żeby zapytać o swoją siostrzenicę. Ochroniarze nie chcieli mu udzielić informacji, a gdy dopytywał się, użyli w stosunku do niego siły. To on powinien się czuć poszkodowany.

– Czyli twierdzi pan, że pana siostrzenica została uprowadzona na cmentarzu Highgate, ale nie widział pan tego na własne oczy ani nie potrafi pan opisać porywaczy. – Policjant spojrział na Igora z rezygnacją. – To skąd pan wie, że to byli ochroniarze pana Sokołowa?

– Powtórzę raz jeszcze – wycedził Igor. – Miałem w tej sprawie telefon od prawnika. – Igorowi przyszło do głowy, że powoływanie się na profesję Patryka może być w tym kontekście korzystne. – Powiedział, że Karen odjechała czarnym audi Q7.

– Czarnych audi Q7 w Londynie jest pewnie kilkaset. Dlaczego pan pomyślał, że to może być akurat to, którym jeździ ochrona pana Sokołowa?

Igor stwierdził w duchu, że bez wtajemniczenia policjanta w wydarzenia we Francji raczej nie uda mu się tego racjonalnie wyjaśnić. Poza tym nie ma przecież żadnych dowodów, że za napadem we Francji stoi Sokołow. Już w ogóle pomijając fakt, że tego napadu nie zgłosili.

– Moja siostrzenica od paru godzin nie odbiera telefonu. – Westchnął ciężko. – Brak z nią w ogóle kontaktu, a nie ma tutaj żadnych znajomych.

– Panie Fleming... – Policjant postukał palcami w biurko. – Pana siostrzenica ma dwadzieścia lat, tak? – zapytał i spojrział na Igora, który przytaknął. – To dorosła kobieta. Poza tym... – Uśmiechnął się pod nosem. – Przebywa gdzieś pewnie ze swoim młodym znajomym.

– To jest nasz prawnik, a nie żaden znajomy.

– Ale na spacer poszli prywatnie, prawda? No właśnie. – Policjant pokiwał głową, gdy Igor nie zaprotestował. – Domyśla się pan, dlaczego dwoje młodych ludzi może nie odbierać telefonu od kilku godzin?

– Nie sędzę, żeby...

– Panie Fleming, pan jest Polakiem, prawda? – Policjant podniósł wzrok znad monitora i obrzucił Igora taksującym spojrzeniem.

– Jestem.

– Rozumie pan... – zaczął ostrożnie policjant. – Nie wiem dokładnie, jak wygląda teraz sytuacja w waszym kraju, różnie się tutaj u nas o tym mówi, ale w naszej kulturze nie akceptujemy żadnych honorowych prześladowań z tytułu rzekomej hańby. Dobrze, żeby pan o tym pamiętał...

Igora na moment замуrowało.

– Co pan za bzdury opowiada?

– Pana siostrzenica jest dorosłą kobietą, ma prawo poruszać się po Londynie bez nadzoru.

– Tu nie chodzi o żaden nadzór!

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich policjant w mundurze. Chciał coś powiedzieć, ale bezceremonialnie wyminął go mężczyzna w eleganckim garniturze i wszedł do pokoju.

– Dzień dobry, Connor Talbot, jestem prawnikiem pana Fleminga. Pan Oleg Sokołow wycofał właśnie wszelkie swoje wcześniejsze zarzuty pod adresem moich trzech klientów.

Policjant spojrział na napisany dopiero co protokół zatrzymania.

– Tak czy siak – stwierdził i spojrział na Igora z irytacją. – Nie możemy przyjąć zgłoszenia o zaginięciu. Upłynęło dopiero kilka godzin. Nie mamy żadnych podstaw.

Mina policjanta wskazywała jednoznacznie, że całkowicie solidaryzuje się z dziewczyną prześladowaną przez jakichś podejrzanych typów z jej rodziny.

Na parkingu przed komisariatem portu lotniczego Southend stał bordowy jaguar. Igor od razu domyślił się, że należy do prawnika, który przyszedł mu właśnie z pomocą. Tuż obok niego stali bowiem jego trzej koledzy,

prowadząc ożywioną rozmowę, którą raczej należałoby nazwać pyskówką.

Na widok Igora ucichli.

– Co wy, do diabła, tutaj robiliście? – Igor powiódł spojrzeniem po wszystkich twarzach.

– To się nazywało zwiad – odezwał się Jamie z przekąsem. – Przynajmniej według Johanna.

– Jaki zwiad?

– Przyjechaliśmy się rozejrzeć po prostu. – Johann rozłożył ręce. – A nie odbierałem twoich telefonów, bo celowo nic wam nie powiedzieliśmy, żeby wszystkiego bardziej nie komplikować.

– To faktycznie się udało. – Igor pokręcił głową i zmierzwił palcami włosy.

– Powinieneś nam raczej podziękować. – Jamie spojrzał na niego z wyrzutem. – Gdyby nie my, dostałbyś w łeb, wrzuciliby cię do ładowni i wywalili z samolotu gdzieś nad Białorusią.

Igor przez chwilę miał przed oczami wizję, którą roztoczył przed nim Jamie. Pokręcił głową z irytacją.

– Naprawdę widziałeś Karen?

– Widział kogoś w białym płaszczu – wtrącił Johann. – Pamiętasz, w co była ubrana?

– Nie mam pojęcia. Wyszła z domu przede mną.

– Może to jednak nie było żadne porwanie. Chyba daliśmy się wkręcić. Ten cały Patryk dalej nie odpowiada?

– Patryk zgubił telefon. – Igor przypomniał sobie o wciąż tkwiącym w jego kieszeni iPhone prawnika.

– Co ty w ogóle widziałeś? – zapytał nagle Dermot, który stał oparty o jaguara kolegi i wpatrywał się w swój tablet. – Do ciebie mówię, Jamie.

– Widziałem kobietę w białym płaszczu. Szatynkę.

– Biały długi płaszcz to raczej charakterystyczny element. – Johann spojrzał na Igora. – Nie pamiętasz, czy ona ma coś takiego?

– Sądziś, że przeglądałem jej ciuchy?

– No, długiego białego płaszcza raczej trudno byłoby nie zauważyć.

– Tu macie odpowiedź na wasze dyrdymały. – Dermot odwrócił tablet i wyciągnął go w kierunku kolegów.

– Co to jest? – Igor przekrzywił głowę, usiłując dojrzeć coś na ekranie.

– Facebook. Strona Anji Swallow.

– I co? – Igor spojrzał na Dermota pytająco. – Chcesz mi pokazać, jak wygląda biały płaszcz?

– To modelka, dziewczyna Sokołowa. Przeczytaj, co ona tu napisała.

Johann wyrwał tablet Dermotowi.

– „Kochani, czas na małą przerwę” – przeczytał głośno. – „Razem z moim misiem lecimy właśnie do Moskwy”.

Na zdjęciu wysoka, szczupła blondynka w czarnej koronkowej bieliźnie zasłaniała się długim białym płaszczem, a obok w dopasowanej białej koszuli z uśmiechem prężył muskuły łysy mężczyzna.

Johann podniósł wzrok i spojrzał na Jamiego.

– Widziałem biały płaszcz i szatynkę – potwierdził z uporem Jamie. – Po dziesięciu latach małżeństwa odróżniam blondynkę od szatynki.

W tym momencie zadzwonił telefon.

Johann poruszył się, oddał tablet Igorowi, który wbił wzrok w zdjęcie długonogiej modelki, a sam wygrzebał z dzinsów telefon.

– To ojciec – jęknął i przejechał palcem po ekranie.

– Gdzie ten Connor? – Dermot spojrzał ze zniecierpliwieniem w stronę drzwi na posterunek. – Co on robi tak długo?

– Pewnie załatwia, żeby twoje dane nie pojawiły się w protokole zatrzymania, panie mecenasie Carmondeley – zakpił Jamie.

Igor oddał tablet Dermotowi i wyjął swój smartfon. Po raz nie wiadomo który wybrał numer Karen, a gdy ona nie odebrała, z rozpędu wybrał numer Patryka, dopiero po chwili przypominając sobie, że telefon prawnika ma we własnej kieszeni.

– Karen ma wyłączony telefon – stwierdził z ciężkim westchnieniem. – Zaczynam się naprawdę martwić.

– Może to rzeczywiście jakieś nieporozumienie – powiedział Dermot bez przekonania. – A Jamie gównem widział.

– Alice chyba zna kogoś, kto wie, gdzie ta Anja Swallow mieszka. – Jamie puścił mimo uszu przytyki Dermota. – Może podjedziemy sprawdzić, czy rzeczywiście wyjechała?

– Tak, jasne – prychnął Dermot. – Mało było ci tego zwiadu tutaj? Tam to by nas od razu zamknęli za stalking.

– Ojciec chce się ze mną widzieć. – Johann podszedł do samochodu, chowając telefon do kieszeni. – Pewnie już do niego dotarło, że nas zatrzymali.

W drzwiach komendy pojawił się prawnik i uśmiechnął triumfująco do Dermota.

– Connor na pewno wszystko załatwił. – Dermot oderwał plecy od maski jaguara i wyszedł naprzeciw prawnikowi. – Nie masz się o co martwić.

*

Patryka obudził jednostajny miarowy szum. Przez moment leżał, zastanawiając się, co się stało. W pierwszej chwili pomyślał, że po prostu ktoś bierze kąpiel w łazience w sąsiednim pokoju hotelowym. Gdy wybudził się bardziej, stwierdził jednak, że po pierwsze, szum jest za głośny, a po drugie, zamiast lampki przy łóżku zobaczył jakieś skrzynie, zatem nie mógł to być ani jego pokój hotelowy, ani odgłosy z łazienki po sąsiedzku.

Od razu poczuł niepokój i w tym momencie przypomniał sobie wydarzenia ostatnich godzin.

Gwałtownie się podniósł i rozejrzał dookoła. Leżał na jakiejś szmacie w niewielkiej przestrzeni bagażowej, która niewątpliwie była częścią samolotu.

Czarne audi, drab, który go uderzył, a potem coś mu chyba wstrzyknął. A później, jak przez mgłę pamiętał, że ktoś go wywłókł z samochodu i prowadził przez ogromny hangar do stojącego w otwartych wrotach niewielkiego samolotu.

Karen!

Rozejrzał się wokół siebie. Szmata leżała na skrawku wolnej przestrzeni, resztę zajmowały paki i skrzynie. W głębi pomieszczenia zobaczył drzwi. Nigdzie nie było Karen. Musiała być zamknięta gdzie indziej. Obszukał kieszenie, ale nie znalazł ani portfela, ani komórki, co było zresztą do przewidzenia.

Ale co się stało? Dlaczego ci ludzie ją porwali? Z jakiego powodu? Może przesądziły o tym ciemne sprawy tego jej wujka i jego przyjaciół?

Podерwał się z posłania i w pierwszej chwili zatoczył na ścianę. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Oparł się i poczekał, aż wszystko wróci do normy, po czym oderwał ręce od ściany i ruszył w kierunku drzwi.

Uderzył w nie raz. Potem drugi, w końcu krzyknął głośno i zaczął walić w nie obiema rękami.

*

Lord Charles Carley, widząc Johanna w drzwiach swojego gabinetu, wstał od biurka i spojrzał na syna. Gdyby wzrok mógł zabijać, to Johann zwijałby się już w męczarniach na olejowanych deskach podłogi ogromnego gabinetu. Sir Carley miał biuro przy uroczym, nieskończone dystyngowanym placu Chester Square w dzielnicy Belgravia, nieopodal pałacu Buckingham. Biuro zajmowało parter, a na trzech wyższych kondygnacjach znajdowały się prywatne apartamenty lorda, w których zatrzymywał się podczas bytności w Londynie.

Dermota i Igora sir Charles prawie nie zauważył, ograniczając się jedynie do chłodnego powitania.

– Czego ty, synu, nie zrozumiałeś, kiedy cię prosiłem, żebyś trzymał się z daleka od Olega Sokołowa? – Lord Carley wbił wściekle spojrzenie w Johanna, który rozsiadł się na sofie i patrzył na ojca z lekkim zakłopotaniem.

– Tato, przecież ja nie mam z nim nic wspólnego...

– Policja aresztowała cię za wtargnięcie na jego prywatny teren! – Lord podniósł głos. – Czy ty rozum straciłeś? – A pan? – Lord przeniósł nieoczekiwanie wzrok na Igora. – Co pana łączy z tym gangsterem?

Igor otworzył szeroko oczy. Zdziwiło go, gdy Johann powiedział mu, że

jego ojciec chce się zobaczyć także z nim, ale takiego pytania w ogóle się nie spodziewał.

– Nic mnie z nim nie łączy – odparł uprzejmie. – Nigdy z nim słowa nie zamieniłem.

– Czy wy sobie ze mnie żartujecie? – Lord ponownie spojrzął z wściekłością na syna. – Myślałem, że masz już za sobą ten etap londyńskiego playboya.

– Tato! – Johann pomyślał, że trudno będzie wyjaśnić ojcu cokolwiek bez wprowadzania go w całą sprawę ze spadkiem ciotki Igora, z francuskimi wypadkami i całą resztą. – To było zwyczajne nieporozumienie. Poza tym kolega z kancelarii Dermota wszystko już wyjaśnił.

– A to? – Lord podszedł do swojego biurka, wziął tablet i rzucił go Johannowi na kolana. – To też nieporozumienie?

– „The Guardian”? – Johann spojrzął na nagłówek. – Od kiedy czytasz lewackie gazety?

– Lepiej spójrz niżej! Na razie jest tylko w necie, jutro rano będzie we wszystkich szmatławcach.

Johann westchnął i pochylił się nad tabletem. Na całkiem sporym zdjęciu zobaczył leżącego na ziemi Igora, a w tle siebie samego i ochroniarza celującego z pistoletu. W tle widać było biegnących policjantów.

– „Johann Carley, syn czcigodnego lorda Charlesa Carleya, przyłapany na włamaniu na teren spółki Wind Aviation Southend, należącej do rosyjskiego biznesmena Olega Sokołowa” – przeczytał głośno z osłupieniem na twarzy. – „Synowi lorda towarzyszył jego tajemniczy przyjaciel, kilka lat temu zamieszany w kradzież obrazów z galerii lorda Carleya w Carley House w hrabstwie Wiltshire”. Co to jest, do diabła?! – zapytał zdumiony i spojrzął na Dermota.

– Czemu patrzysz na mnie? – warknął Dermot. – Connor nikomu o tym nie powiedział.

– To na pewno zorganizował Sokołow. – Igor usiadł ciężko na sofie obok Johanna. – To jakieś ostrzeżenie.

– Ostrzeżenie?! – Ojciec Johanna spojrzął na Igora z niedowierzaniem. – Jakie ostrzeżenie? W co pan znowu wciągnął mojego syna?!

– Przestań, tato! – Johann ze złością rzucił tablet na ławę. – Igor w nic mnie nie wciągnął!

– Zjawia się pan w Londynie i mój syn, rok w rok, zaczyna nagle brać udział w coraz gorszych aferach! – Lord patrzył ze złością na Igora. – Ciebie to może bawi – stwierdził i przeniósł wzrok na syna. – W tym reklamowym biznesie, który prowadzisz z matką, takie afery to świetna promocja, ale to do mnie dzwoniło już dzisiaj ze dwudziestu pismaków!

– Dosyć! – Johann wstał gwałtownie i spojrzał na ojca bykiem.

– Może jednak powinniśmy powiedzieć twojemu ojcu... – zaczął Igor.

– O czym powiedzieć? – Sir Carley odwrócił się do Igora. – Proszę mówić!

– Nic nie będziemy mówić! – przerwał Johann, ruszając do drzwi. – Mój własny ojciec nawet nie spróbował mnie wysłuchać! Zawsze ważniejsze jest to, co powiedzą ludzie!

– Nie bądź dziecinny! – powiedział lord Carley z urazą. – A po co cię tutaj ściągnąłem? Ja mam się liczyć z twoimi sprawami, ale ty z moją pracą już nie?

– Tato, dajmy sobie z tym spokój! – Johann machnął ręką. – Idziemy! – rzucił do Igora i Dermota, którzy stali z opuszczonymi głowami jak uczniaki w gabinecie dyrektora.

– Możesz się na mnie wściekać, to zawsze wychodziło ci najlepiej. – Lord Carley zacisnął zęby i podszedł do swojego biurka. – Powtarzam ci jednak raz jeszcze, trzymaj się z daleka od Sokołowa!

*

Patryk, po kilku nieudanych próbach zwrócenia na siebie uwagi, usiadł na swoim posłaniu pod ścianą, ukrył twarz w dłoniach i zaczął intensywnie myśleć.

Kto mógł porwać Karen? Po co? Kto za tym stoi? Bo ewidentnie Karen została porwana. Słyszał raz czy dwa, jak i ona, i jej babcia mówiły coś o tym, że ten jej wuj, ten cały Igor, dorobił się majątku w jakiś dziwny sposób, ale czy był na tyle bogaty, żeby ktoś chciał Karen porwać dla okupu? Raczej nie.

Ale, myślał sobie, jego zabrali najwyraźniej przypadkiem, co, nawiasem mówiąc, nie wróżyło niestety niczego dobrego. Skoro przez przypadek musieli go zabrać, to równie szybko mogą się go pozbyć. Nie wiedział, jak bardzo ci porywacze są zdesperowani i bezwzględni.

Zmierzył palcami włosy i usiłował przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich dni.

Przed wszystkim wczorajszy dzień i narada w magazynie tej zwariowanej spółki poszukiwawczej wuja Karen i jego dziwacznych angielskich wspólników. Usiłował poukładać sobie w głowie wszystko, o czym wczoraj mówili. Te teorie na temat skarbu z testamentu ciotki Flemingów... Sam przecież podpowiedział Karen tę historię ze skarbcem wawelskim. Trochę absurdałne, ale fakt faktem, mąż Elżbiety, podporucznik Marian Radecki-Mikulicz, naprawdę eskortował konwój wywożący skarb wawelski do Rumunii.

No i te późniejsze teorie wujka Karen, zaraz po tym, jak odkrył ten srebrny...

Krzyż! Rzekomo ta srebrna blacha była częścią jakiegoś krzyża z kościoła w Moskwie. Karen nawet kilka razy wspomniała jakąś firmę? Krzyż... Cross... Cross Seekers!

Czy to możliwe, że to na przykład jakaś konkurencja? Czy konkurencyjne firmy eksploracyjne porywają ludzi? Przecież to brzmi jak scenariusz filmu sensacyjnego.

Przez chwilę usiłował wygrzebać z pamięci coś na temat poszukiwaczy skarbów. Jedyne, co sobie przypominał, to artykuł na ten temat. Przeczytał go z zainteresowaniem, gdyż wiele tam było akurat o procesach sądowych, które znalazcom wytaczają potomkowie właścicieli i załóg zatopionych okrętów, spadkobiercy kupców i firmy ubezpieczeniowe. Jedną z firm, która odkryła zatopiony hiszpański galeon, przez długie lata procesowała się z rządem Hiszpanii. Ile ten galeon był wart? Coś koło stu pięćdziesięciu milionów dolarów? No to fakt. Dla takiej kasy można kogoś porwać. Można nawet zabić.

Pamiętał także, z tego samego artykułu, historie o zdradach i morderstwach ludzi, którzy po odkryciu złota skakali sobie do gardeł. C.Seekers?

Przypomniawszy sobie nagle, że kiedy odszedł na bok, gdy zadzwonił jego szef, to ten blondyn, Johann, powiedział coś właśnie na temat jakiegoś hiszpańskiego wraku. Nuestra coś tam... No jak w mordę! Może to naprawdę konkurencja?

Ale ten Johann powiedział coś jeszcze. Że ktoś ukradł starodruki...

Patryk podniósł głowę. Rosjanie! Johann powiedział coś o Rosjanach!

I w tym momencie przypomniał sobie także, że drab, który go wepchnął do audi, powiedział *Job twoju mat'!*

A potem nagle stanęła mu przed oczami jeszcze inna scena...

*

Igor wyszedł wściekły z komisariatu policji Camden Highgate. Od rzekomego porwania, jak ostrożnie określali to wszyscy po kolei policjanci, z którymi usiłował tutaj rozmawiać, upłynęło stanowczo za mało czasu. To zaledwie kilka godzin, a dwie osoby, które zaginęły, były w dodatku dorosłe. Policjantka, która jako pierwsza przyjęła Igora, patrzyła na niego podejrzliwie. Usiłował wytłumaczyć, że ktoś widział moment porwania, ale rzecz w tym, że ten ktoś także rzekomo został porwany.

Koniec końców, jedyne, co Igor osiągnął, to że policjantka zapisała dane Karen i Patryka i obiecała przekazać je patrolom w terenie. Słyszając, że najprawdopodobniej zostali już wywiezieni prywatnym samolotem z lotniska Southend, policjantka ciężko westchnęła i zapytała, dlaczego nie zgłosił tego w Southend. Jednocześnie spojrzała na Igora tak, jakby dopiero teraz sobie uprzytomniła, że może mieć do czynienia z kimś łagodnie upośledzonym.

Jedyną rzeczą, która w końcu zastanowiła policjantkę, był pokój hotelowy, w którym zostały rzeczy Patryka, a recepcjonistka z Holiday Inn, do której funkcjonariuszka zadzwoniła, poinformowała ją, że istotnie, pan Nałęcz do tej pory nie wrócił. Zdarzało się jednak, że goście zalegali gdzieś na imprezie, a potem mieli pretensję o naliczenie dodatkowych opłat za przedłużenie doby hotelowej. Igor nie mógł nawet odebrać rzeczy Patryka, bo w żaden sposób nie był w stanie udowodnić, że ma z nim coś wspólnego.

Johann, który czekał na Igora na parkingu, widząc jego minę, od razu domyślił się, jakie są efekty kolejnej próby złożenia zawiadomienia

o porwaniu.

– To co teraz? – spytał, widząc zdenerwowanie na twarzy przyjaciela. – Co robimy?

– I jeszcze przeze mnie pożarłeś się z ojcem. – Igor wszedł do tesli Johanna i z rezygnacją oparł się o zagłówek. – Może powinieneś inaczej z nim pogadać?

– Nie żartuj! – fuknął Johann. – Dziewięć na dziesięć moich z nim dyskusji kończy się kłótnią. I to absolutnie nie jest twoja wina.

– Czemu właściwie nie powiedziałeś mi o wszystkim? – Igor zrobił ruch ręką, jakby chciał to wszystko zobrazować, na szczęście Johann nie potrzebował tłumaczeń.

– On ciągle uważa, że jestem nieodpowiedzialny – powiedział Johann ze złością. – I wciąż obwinia za to matkę.

Igor spojrzał na niego niepewnie.

– Po prostu nie chcę go w to wciągać – dodał Johann ze zniechęceniem. – Sokołów rzeczywiście może mu zaszkodzić. Teraz to tylko wygłupy jego niepoważnego synalka, o którym brukowce już i tak wielokrotnie pisały. Jeśli jednak ojciec byłby w tę sprawę naprawdę zamieszany, media zrobiłyby z tego wielki skandal.

– Nie bardzo wiem, co mam teraz robić. – Igor zmienił temat. – Nie mam żadnego kontaktu do bliskich Patryka, nie mogę ich powiadomić.

– Ale o czym ty chcesz kogokolwiek powiadamiać? – Johann włączył silnik i rozejrzał się dookoła. – Przecież nic jeszcze nie wiemy. Jeśli Sokołów za tym stoi, a stoi, bo któż by inny, to prędzej czy później się odezwą. Przecież wiadomo, o co chodzi. Musimy tylko poczekać.

– O Chryste! – jęknął Igor, słysząc charakterystyczny dźwięk alarmu w kieszeni. – Matka. I co ja jej powiem? – zapytał ze strachem i spojrzał na Johanna.

– Na razie nic jej nie mów.

– A jeśli dzwoniła do Karen i zaczęła się niepokoić? Matka ma szósty zmysł. – Igor wyjął telefon z kieszeni i spojrzał z rozterką na wyświetlacz.

– Powiedz, że jest gdzieś z Patrykiem, a ty nie wiesz, gdzie są ani co

robią. – Johann wyjechał na główną ulicę i skręcił w kierunku centrum. – Co akurat jest samą prawdą.

Igor głęboko odetchnął, po czym podniósł telefon do ucha.

– Mamo?

– Igor! – Matka miała zaaferowany głos, który od razu Igora zaniepokoił.
– Usiłuję się dodzwonić do Karen, ale od kilku godzin nie odbiera.

– Zwiedza Londyn z tym prawnikiem.

– Tak długo? A on przypadkiem nie miał dzisiaj wracać do Warszawy?

– Miał. – Igor wzniósł oczy do góry. – Możliwe, że właśnie odwozi go na lotnisko.

– Jak to? Sama go odwozi?

– Oj, nie sama. – Igor czuł, że brnie coraz bardziej. – Gwen ich odwozi.

– Ta przemiła narzeczona pana Johanna? – Matka Igora najwyraźniej odetchnęła. – To bardzo ładnie z jej strony. Pozdrów ode mnie Johanna i ją, ale ja właściwie nie o tym chciałam...

Igor najpierw poczuł ulgę, że temat Karen został na razie odłożony na bok, ale prawie jednocześnie zaniepokoiło go, co też matka mogła chcieć więcej. Możliwości były nieograniczone i już się zaczynał bać.

– Dzwoniłam do Karen, bo to z nią rozmawiałam cały czas o naszych rodzinnych sprawach, ale słuchaj, coś przegapiliśmy! Zupełnie zapomniałam, bo wypytywaliście mnie o te nieszczęsne Bobtele i Olitę, które należały do naszych krewnych...

– Mamo, ja teraz nie za bardzo mogę rozmawiać...

– Ale posłuchaj przynajmniej ogólnie, bo potem będziesz znowu pytał. – Anna westchnęła z niezadowoleniem.

Igor coraz bardziej denerwował się zniknięciem Karen i Patryka i rodzinne bajdy i skarby zupełnie mu wywietrzały z głowy.

– Johann von Mikulicz-Radecki, ten wrocławski chirurg, pamiętasz? – kontynuowała opowieść Anna. – On się urodził na Bukowinie, ale jego dziadek Franciszek wyjechał tam zaraz po insurekcji, gdy w wyniku represji rosyjskich stracili majątek pod Wilnem...

Represje rosyjskie, pomyślał Igor. Lepiej tego nie można było nazwać.

– Doczytałam, że była w ich rodzinie pewna bardzo tajemnicza legenda...

Igor myślami znowu był na lotnisku w Southend i miał przed oczami odlatujący samolot. A może oni w ogóle nie odlecieli? Skąd mógł mieć pewność? Może po prostu zamknęli oboje w tych hangarach...

– A dziadek Johanna był kuzynem naszego Ferdynanda, któregoś tam stopnia, nie pamiętam dokładnie – mówiła z ożywieniem Anna. – A on przecież zniknął dokładnie za czasów cesarza Aleksandra, zaraz po wojnach napoleońskich...

Matka umilkła, jakby czekając na reakcję Igora, który zajęty był tymczasem roztrząsaniem w myślach topografii lotniska w Southend.

– No, interesujące – bąknął, żeby jej nie urazić. – Mamo, ja jestem w drodze właściwie...

– A druga sprawa to Konstancja i Murat! – powiedziała Anna tak triumfalnym tonem, że Igor na moment wrócił z lotniska w Southend do tesli Johanna i skupił się na tym, co mówiła.

– Jaka Konstancja?

– Konstancja Manuczyna, żona „królewicza” Stanisława. Ja sobie to uprzytomniłam, kiedy przypomniały mi się te listy.

– Jakie listy?

– No listy, które znalazłam na strychu w naszym starym domu na Pogodnie. Tam była też korespondencja cioci Jadwini z Philippe’em.

– Aha... – Igor ponownie wrócił myślami na lotnisko w Southend.

– Ale to przecież fantastyczna historia, a Francuzi dopiero całkiem niedawno znaleźli wiersze Murata, przedtem wszyscy myśleli, że to tylko legendy...

Igor usłyszał kliknięcie, które oznaczało, że w trakcie, gdy rozmawiał z matką, ktoś przysłał mu wiadomość. Intuicja podpowiadała mu, że to musiało mieć związek z Karen. Poczul to wręcz.

– Mamo, muszę kończyć, przepraszam...

– Ale nie uważasz, że to niezwykle frapujące? W Opsie do dzisiaj stoi dąb, który nazywają dębem Napoleona, a to w Opsie przecież tak naprawdę stacjonowały oddziały Murata...

– Mamo, oddzwonię potem, okay? Muszę odebrać telefon, to pewnie z pracy...

– W niedzielę?! – Anna nie straciła czujności.

– No właśnie tym bardziej mnie to martwi. – Igor wykazał się kreatywnością. – Jeśli ktoś dobija się w niedzielę, to na bank oznacza jakieś kłopoty. Oddzwonię.

Igor rozłączył się z matką i zdenerwowany zaczął klikać w ekran smartfona, usiłując otworzyć wiadomość.

Przez moment wpatrywał się w wyświetlacz.

– Co to jest? – zapytał Johann, który obserwował go kątem oka i zobaczył, że Igor zbladł. – Kto to przysłał?

– „Bądź o dwudziestej drugiej na Millennium Bridge” – przeczytał zdumiony Igor i spojrzał na Johanna. – Wiadomość jest wysłana z telefonu Karen.

– Na Millennium Bridge? – Johann na chwilę oderwał wzrok od drogi. – I to wszystko? W samym centrum miasta?

– Nic więcej. – Igor wybrał numer, z którego przyszła wiadomość, i oddzwonił, ale telefon był już wyłączony. – Która jest godzina? – Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Dwudziesta. Na szczęście to niedaleko od domu.

Johann wjechał w zabudowania Bermondsey i zaczął się przedzierać wąskimi uliczkami w kierunku Butler's Wharf.

Dwie godziny później Igor przemierzał szybkim krokiem bulwar nad Tamizą. Zbliżała się dwudziesta druga. Nad miastem zapadł już zmrok, a w rzece odbijały się tysiące świateł z przeciwległego brzegu.

Mijał właśnie budynek teatru The Globe, a przed sobą widział już wieżę Tate Modern i plac przed muzeum.

Na bulwarach kręciło się mnóstwo ludzi. Igor na każdego przechodzącego samotnie mężczyznę spoglądał podejrzliwie. Kobiety zresztą także nie wzbudzały jego zaufania.

Po chwili minął szpaler drzew przy wejściu na przyczółek mostu i zaczął

się wspinać po lekkiej pochyłości w kierunku wieży katedry Świętego Pawła usytuowanej dokładnie na osi przeprawy.

– I co? – dobiegł go głos Jamiego.

– Nic – odburknął do dyndającego mu na brodzie mikrofonu. – Właśnie wchodzę na most.

Johann, Jamie i Dermot kręcili się w pobliżu. Igor nie zdołał wybić im tego z głowy. Porywacze przecież nie zażądali, żeby był sam, argumentowali. Mało tego, wybrali zatłoczone, pełne turystów miejsce w centrum Londynu.

Johann stał na placu przed Tate Modern, skąd rozciągał się doskonały widok na cały most. Jamie z Dermotem przechadzali się przy zejściu na brzeg, po drugiej stronie Tamizy.

Igor doszedł do połowy mostu i przystanął. Spojrzał na zegarek. Była za dwie minuty dwudziesta druga.

– I co jest? – zapytał z kolei Dermot.

– Zamknijcie się! – warknął Johann. – Jak będzie tak z wami w kółko gadał, to jeszcze zrezygnują.

Igor wzniosł oczy do nieba. Oparł się o balustradę i udając zainteresowanie nocnymi widokami Londynu, rozejrzał się wokół.

Mostem przemieszczały się tłumy ludzi. W godzinach rannych byli to przede wszystkim pracownicy City, ale o tej porze widać było wyłącznie turystów. Co chwila migały lampy błyskowe aparatów w telefonach.

Oparł się o stalową poręcz i poprawił słuchawki.

Od strony Tate Modern, łamiąc wszelkie zakazy, nadjeżdżał właśnie rowerem kurier ubrany w obcisłe szorty i T-shirt z nadrukiem jakiegoś dostawcy. Chłopak sprawnie przeciskał się pomiędzy spacerującymi, energicznie manewrując pojazdem.

Igor przez chwilę mu się przyglądał, po czym spojrzął w drugą stronę. Od katedry powoli zbliżał się do niego rozświetlony tłumek młodych Japończyków.

Igor poprawił nerwowo plecak i obrócił się w kierunku rzeki.

Za plecami nagle usłyszał pisk opon na metalowej nawierzchni mostu i czyjś przyśpieszony oddech.

– Pan Igor Fleming? – Kurier sięgnął do torby na plecach.

– Tak. – Igor zmarszczył brwi, patrząc na chłopaka ze zdziwieniem.

– Mam dla pana przesyłkę. – Kurier wyjął z torby dużą kopertę obklejoną szarą taśmą, zasalutował z uśmiechem i prawie natychmiast zawrócił, rozpędzając na boki stadko Japończyków.

– Co się dzieje?! – odezwał się zaaferowanym głosem Jamie. – Co się stało?

– Kurier! – Igor oderwał się gwałtownie od balustrady i wpadając na przechodniów, usiłował dojrzeć nad ich głowami chłopaka na rowerze. – Ubrany na czarno, blondas – krzyknął do mikrofonu.

Jamie podskakując i ściągając na siebie wzrok rozbawionych turystów, zobaczył szybko przemieszczającą się jasną głowę chłopaka na rowerze.

Gdy kurier był już tylko kilka metrów od niego, rzucił się do przodu i zatarasował mu drogę, rozkładając szeroko ramiona.

Chłopak zahamował gwałtownie.

– Co pan robi? – zawołał. Chciał wyminąć Jamiego, ale z drugiej strony mostu podbiegł właśnie Dermot.

Kurier szarpnął rowerem, ale Dermot zdążył już złapać za ramię.

– Co wy robicie! Odbiło wam? – Chłopak z niepokojem patrzył na Dermota, który miał posturę gladiatora, i szarpnął ponownie. – Puszczaj! Zaraz zawołam policję!

– Przed chwilą dałeś komuś kopertę. – Dermot zacisnął dłoń na ramieniu chłopaka. – Kto ci to zlecił?

– O, jemu dałeś! – krzyknął Jamie, widząc biegnącego w ich kierunku Igora.

– Kto ci dał przesyłkę?! – Dermot szturchnął posłańca. – Na pewno nie ta firma. – Wskazał brodą napis na koszulce kuriera. – Zgodnie z przepisami każda przesyłka musi być zaadresowana.

Tymczasem Igor dobiegł do całej trójki, która zaczęła już wzbudzać spore zainteresowanie przechodniów.

– Jest tam jakiś adres? – Jamie spojrzał na kopertę, którą trzymał Igor.

– Nic nie ma. – Igor pokręcił głową. – Kto ci to dał? Lepiej powiedz, bo

zaraz to my wezwiemy gliny.

Kurier obrzucił ich wyraźnie wystraszonym wzrokiem.

– Ja nic nie zrobiłem – zapewnił. – Zaczepił mnie na ulicy taki jeden i powiedział, że o dziesiątej będzie pan na moście i mam to panu dać.

– Jak wyglądał?

– Jak zwykły facet. Nie przyglądałem się. Czego chcecie? Dorobiłem sobie ekstra pięćdziesiątka. To aż taka zbrodnia?

– A gdzie cię zaczepił? – Dermot nadal nie puszczał kierownicy roweru.

– Na Tower Hill. – Chłopak spojrzał z nadzieją na Dermota. – Mogę już jechać? Jak się spóźnię do City, to mnie wywalą.

Z tłumu przechodniów wypadł nagle zdyszany Johann i podbiegł do roweru kuriera.

– Co wy wyprawiacie?

– Już nic. – Dermot puścił kierownicę, a chłopak, jakby w obawie, żeby łobuz się nie rozmyślił, prawie natychmiast śmignął i zniknął między ludźmi.

– Co tam w ogóle jest? – Jamie spojrzał na kopertę, którą wciąż trzymał w rękach Igor.

– Zaglądałeś? – Dermot sięgnął po kopertę, którą trzymał Igor.

Rozerwał taśmę i zajrzał do środka.

Po chwili trzymał w ręku zwyczajną kartkę. Przez chwilę jej się przyglądał.

– Co tam jest? – Jamie zniecierpliwiony zajrzał mu przez ramię.

– Co tu jest napisane? – Dermot oddał Igorowi list. – To chyba po polsku.

Igor zdeorientowany jeszcze ostatnimi wydarzeniami czuł się jak statysta w tanim filmie sensacyjnym. Wziął do ręki kartkę i szybko przebiegł po niej wzrokiem.

Po dłuższej chwili spojrzał na przyglądających mu się uważnie przyjaciół.

– Mam im dostarczyć archiwalia z kufrów – wydukał w końcu.

– Dokąd? – spytał Johann.

– Do Wilna.

Rozdział 27

Lasy pod Brasławiem

Karen przyzwyczajona do dużych międzynarodowych lotnisk z kilometrami dobrze oświetlonych pasów startowych i z zabudową, którą widać było podczas lądowania, teraz miała wrażenie, że samolot ląduje w środku lasu.

Mały odrzutowiec nagle zaczął zniżać lot, zmienił się tembr silnika i dopiero w ostatniej chwili Karen zauważyła oświetlone domostwo na horyzoncie. Samolot uderzył kołami w ziemię i podskakując na nierównej nawierzchni, zwolnił, a potem zatrzymał się przed pobliskimi hangarami.

Wyjrzała przez okno, usiłując dostrzec jakieś szczegóły, które pozwoliłyby się jej zorientować, gdzie się znalazła, ale najbliższe otoczenie było kompletnie nieokreślone. Na pewno nie było to Wilno. Nie była wprawdzie nigdy na Litwie, ale domyślała się, że port lotniczy w stolicy państwa musiał jednak wyglądać zupełnie inaczej.

Gdy wyszła na podest schodów i rozejrzała się wokół, zobaczyła tylko ciemny zarys okolicznych lasów. Gdzieś dalej musiało być jednak jakieś miasteczko, bo w powoli zapadającym zmroku nad drzewami widać było łunę. Domyślała się, że to jakieś niewielkie lotnisko krajowe. Tylko gdzie?

I nagle zobaczyła Patryka. Ubrany na czarno mężczyzna w wojskowej kamizelce pchnął go właśnie w kierunku stojących nieco dalej ciężarówek. Obok nich stał wielki czarny SUV na ogromnych kołach i z mocno podniesionym podwoziem.

Karen krzyknęła do Patryka i chciała zbiec po schodach, ale stojący na dole ochroniarz zagroził jej drogę.

– *Miedlenno!* – warknął. – *Nie spieszy.*

Karen odprowadziła chłopaka wzrokiem. Patryk i pilnujący go Rosjanin zatrzymali się koło jednej z ciężarówek. Patryk spojrzał w kierunku Karen

i pomachał jej.

Na trapie ukazał się Sokołow, a zaraz za nim, nieodstępujący go na krok, dwaj ochroniarze. Rozmawiali po rosyjsku, ale Karen wyłowiła jedno znajome słowo. „Utiena”.

Przez moment zastanawiała się, skąd może je znać. Jakaś gra? Może to z którejś z tych wojennych gier na platformę, w które całymi godzinami grał Lasse? Utiena?

– Idziemy, Karinko. – Sokołow zwrócił się do niej ze swoim protekcyjnym rubasznym uśmiechem i wskazał dwie ciężarówki, do których jego pracownicy ładowali właśnie jakieś skrzynie i toboły.

Nagle Karen sobie przypomniała. Utiena. Uciana! Jej tak denerwujący babcię zwyczaj sprawdzania wszystkiego w Wikipedii, każdej nazwy na mapie i każdego nazwiska, najwyraźniej, się opłacił. Uciana! To tutaj przecież urodziła się Jadwiga Strutyńska, bezwzględna faworyta Stanisława Augusta, a później żona Mikołaja Manuzziego.

Ale dokąd w takim razie mogą jechać? Usiłowała przypomnieć sobie mapę. Dalej na wschód była Opsa, dawne włości pierwszego męża Jadwigi, starosty Ciechanowieckiego, jeszcze dalej Bohiń, rezydencja Manuzziego, którą ograbili lokalni powstańcy Kościuszki, a jeszcze dalej Belmont, a wszystko do ostatniej wojny to były przecież ziemie praciotki Elżbiety...

Majątki Mikuliczów, te wszystkie Bobtele i inne, leżały gdzieś w okolicach Kowna, daleko na zachód. Gdyby Sokołow tam się wybierał, to przecież bardziej by mu się opłacało lądować w Wilnie albo może w Kownie, jeśli było tam lotnisko. Nie mówiąc o majątku w Litwie. Żeby tam trafić, trzeba by chyba lecieć aż do Mińska.

Idąc w kierunku ciężarówki, Karen miała wrażenie, jakby nagle znalazła się w krainie z baśni. Sama siebie wyśmiała w myślach za to dziecinne skojarzenie, ale taka była prawda. Opowieści babci o tych wszystkich prababkach w krynolinach, odważnej sufrażystce cioci Jadwini, kuzynach z Inflant, tajemniczych dworach, pochowanych w litewskich lasach, to wszystko było jak z bajki.

– Pojedziecie na pace – rzucił nagle Sokołow, sprowadzając ją brutalnie z krainy babcinych bajek wprost na betonową płytę lotniska w Ucianie.

Karen uśmiechnęła się blado do Patryka. Odwzajemnił się równie niepewnym uśmiechem.

– Radzę wam nie robić żadnych spektakularnych performansów na granicy. – Sokołow spojrzał na Karen i Patryka. – Nie macie dokumentów, jeśli Białorusini was znajdą na pace, to wylądujecie w więzieniu i wszelki ślad po was zaginie.

Przed oczami Karen znowu pojawiła się mapa, ale zanim zdążyła znane z opowiadań miasteczka usytuować względem aktualnej granicy między Litwą a Białorusią, ktoś ją popchnął, a Sokołow wskazał jej tył jednej z ciężarówek.

W głębi pod samą szoferką były dwie malutkie ławki schowane za wielkimi skrzyniami poustawianymi jedna na drugiej.

Gdy oboje wdrapali się na pakę, stalowe drzwi z hukiem zamknięto, a po chwili Karen usłyszała pojedyncze słowa w języku rosyjskim, czyjs głośny śmiech i wreszcie warkot silnika. Ciężarówka po pokonaniu kilkuset metrów zniszczonego betonowego placu przed hangarem minęła bramę, wyjechała na drogę i ruszyła przez pograżony w całkowitej ciemności las.

– Domyślasz się, dokąd nas wiozą?! – Patryk pochylił się do Karen, gdy tylko samochód ruszył. – Co to w ogóle za ludzie?! Dlaczego nas porwali?!

Karen wpatrywała się w niego ze strachem. Widziała, że Patryk jest zdenerwowany, i zaczęło jej się to udzielać. Był Polakiem, więc uznała go za bardziej kompetentnego w szacowaniu zagrożenia ze strony Rosjan. Wtedy, gdy ona rozmawiała sobie z tym bandziorem jak gdyby nigdy nic, on był chyba, biedak, zamknięty w ładowni.

– Mam tylko podejrzenia – odpowiedziała po chwili niepewnie.

– Dlaczego oni cię porwali?! – Patryk powtórzył pytanie. – Czy chodzi może o jakieś ciemne sprawy twojego wuja?

– Co takiego? – Karen zmarszczyła brwi. Nie rozumiała pytania Patryka, dopóki nie przypomniała sobie, że on przecież nic nie wiedział.

– Nie chodzi chyba o to poszukiwanie skarbów?

– Możliwe jednak, że tak. Muszę ci coś powiedzieć... – Karen westchnęła i pokrótce streściła wydarzenia, w których brała udział tydzień wcześniej.

– Chryste! – jęknął Patryk, gdy Karen skończyła mówić. – Zakładałem, że

to gangsterskie porachunki, ale sam nie wiem teraz, co gorsze. Jakiś szaleniec, mitoman i w dodatku pewnie powiązany z rosyjskimi służbami...

Patryk nagle umilkł.

– Boże... – westchnął.

– Co jest? – Karen spojrzała na niego z niepokojem. – Co się stało?

Patryk siedział ze wzrokiem utkwionym w podłodze i usiłował poskładać w głowie wszystkie te rzeczy, o których myślał w samolocie. Najpierw odszkodowanie za Willę Róż. Gdy zaproponował tę sprawę, Łaniewski uznał, że jest kompletnie nieopłacalna i w ogóle z góry przegrana, a potem nagle nabrał dla niej entuzjazmu. Mało tego, obiecał, że uporają się z nią w ciągu pół roku. A Patryk doskonale wiedział, że sprawy o grunty i nieruchomości warszawskie potrafią się ciągnąć latami. No i jeszcze tego samego dnia niespodziewanie znalazły się dokumenty w sprawie byłego prezesa spółki skarbu państwa, oskarżonego o przekręty z zaniżaniem cen akcji.

Skanów archiwaliów nikomu nie udostępnił. Pokazał je tylko na własnym laptopie pani Annie Fleming, nawet notariusz przecież ich nie dostał. Patryk przypomniał sobie za to, jak Łaniewski wezwał go do siebie i opieprzył za zostawienie dysku w sali konferencyjnej.

Ale po co to właściwie zrobił? Przecież miał klucz od jego szafki, mógł, tak jak dysk wyjął, włożyć go z powrotem. Chyba... Chyba że w ten sposób znalazł sobie kozła ofiarnego, którego w razie problemów, gdyby coś wyszło na jaw, oskarżyłby o wynoszenie dokumentów z kancelarii.

– Kurwa! – zaklął, wpatrując się z otępieniem w przestrzeń. Łaniewski dał się komuś podkupić. Komuś? Temu łysemu bandziorowi?!

– Patryk! – syknęła Karen, która zaczynała się coraz bardziej denerwować. – Co się dzieje?

Patryk podniósł wzrok i przypomniały mu się nagle zamieszki w Warszawie i ten dziwny prokurator, który przesłuchiwał Karen. Jeśli ktoś miał takie wtyki, że mógł znaleźć papiery obciążające tego zasranego prezesa, to pewnie bez trudu mógł także zorganizować takie przesłuchanko.

No i jeszcze...

– Wczoraj dzwonił do mnie szef. – Spojrzał na Karen, czując nagły zamęt

w głowie. Co on mu powiedział? Wychodzi na to, że sam się przyczynił do tego porwania.

Przez chwilę wpatrywał się w nią, usiłując jednocześnie powstrzymać gonitwę myśli, po czym zrezygnowany streścił jej swoje podejrzenia.

Karen przez chwilę milczała, jakby analizowała wszystko to, co właśnie usłyszała.

– Co mu powiedziałeś? – zapytała w końcu. – Powiedziałeś o tej srebrnej blasze?

Patryk pokiwał smętnie głową.

– O pałacu w Bobtelach także mu wspomniałem.

– Ale to akurat było w skanach, a Sokołow już je widział. – Karen przypomniała sobie to, co Sokołow mówił o Bobtelach. – Poza tym oni już tam szukali. Mało tego, teraz wiedzą, o jakie miejsce chodzi. Podobno tam właśnie jedziemy.

– Czyli gdzie? – Patryk podniósł głowę. – Mówił coś o granicy.

– Usłyszałam, jak jeden z tych Rosjan wspomniał o Ucianie, więc zakładałam, że to tam lądowaliśmy. Gdzie jest najbliższe przejście graniczne na Białoruś?

Patryk podrapał się w głowę.

Na Litwie był wyłącznie turystycznie. W Wilnie i Trokach. Ale pamiętał, że niedawno czytał coś na temat przejść granicznych z Białorusią. Jest jakieś koło Grodna, potem Sołeczniki, razem chyba pięć, ale nie jest powiedziane, że Sokołow nie ma układów, dzięki którym przejeżdża przez jakieś półlegalne...

Zerwał się gwałtownie i trzymając się skrzyń, poszedł na tył samochodu.

– Jeśli lądowaliśmy w Ucianie, to do granicy mamy jeszcze jakąś godzinę – rzucił i złapał za stalową wajchę do otwierania tylnych drzwi.

– Co ty robisz? – Karen podniosła się i ruszyła za nim.

– Słyszałaś, co ten typ mówił o Białorusi? – Patryk szarpnął za sztabę, ale oczywiście na niewiele to się zdało. – Cholera! Zamknęli nas!

Drzwi ciężarówki zaskrzypiały, ale nie dało się ich otworzyć.

– Pomóż mi. – Patryk ponownie chwycił za wajchę. – Może to jednak

puści?

Karen złapała sztabę i przez chwilę oboje siłowali się z drzwiami.

– Nie da rady – jęknęła w końcu Karen i oparła się o drewnianą skrzynię.

Samochód nagle skręcił i oboje polecili na przeciwległą ścianę, zatrzymując się na stercie leżących tam worków.

– A nawet jeśli je otworzymy, to co potem? Wskoczymy? – Karen spojrzała na Patryka ze strachem, gdy ten podniósł się i ponownie wrócił do tylnych drzwi.

– Jasne, że powinniśmy wyskoczyć. – Patryk ponownie napiął mięśnie i spróbował jeszcze raz otworzyć drzwi. Szarpnął kilka razy ze złością, po czym bezsilnie kopnął z całej siły w blachę. Rozległ się głuchy rumor, ale na ciężkich stalowych sztabach nie zrobiło to większego wrażenia.

– W środku lasu w całkowitej ciemności. Nawet nie wiemy, w którą stronę iść. – Karen złapała się za róg jednej ze skrzyń, gdy samochód wjechał w następną koleinę.

– Ale tutaj przynajmniej jesteśmy w Unii Europejskiej. Na Litwie jest zwyczajna policja i cywilizowane procedury. Na Białorusi ten cały Sokołow ma pewnie wszystko pod kontrolą. Skąd pewność, że oni w ogóle chcą nas wypuścić? Nawet jak dostaną to, czego żądają?

Karen usiadła na podłodze i podciągnęła nogi pod brodę. Teraz dopiero powoli zaczynała docierać do niej powaga sytuacji. Rozmowa z Sokołowem w luksusowym wnętrzu prywatnego odrzutowca uspiła jej czujność. Czuła się jak na wycieczce. Idiotka!

Patryk szarpnął jeszcze raz za uchwyty drzwi, po czym zrezygnowany usiadł obok Karen na podłodze.

– A jeśli spróbujemy wrzeszczeć i walić w ściany na granicy?

– Słyszałeś, co mówił Sokołow? – Karen objęła kolana rękami. – Jeśli to jest jakieś tubylcze przejście, to on na bank ma wszystkich w kieszeni. Pewnie stale coś tędy przemycą.

– To jesteśmy w czarnej dupie. – Patryk oparł głowę o drewnianą skrzynię i ciężko westchnął.

– Może na miejscu uda nam się jakoś uciec?

– Na Białorusi? Nie żartuj! Sama mówisz, że on ma tam pewnie wszystkich w kieszeni, a poza tym, jeśli to jakiś dawny oprych z KGB, to z władzami też jest ustawiony.

Ciężarówka podskoczyła na wyboju i rozległ się głośny rumor obijających się o dach gałęzi. Samochód zwolnił i skręcił. Jechał jeszcze przez chwilę, telepiąc się na nierównościach, po czym stanął. Obok przejechała druga ciężarówka i jeszcze jeden samochód. Karen domyśliła się, że to SUV Sokołowa. Przez chwilę słychać było warkot obu silników, po czym hałas ustał. Rozległy się natomiast najpierw trzaśnięcia drzwi samochodów, a zaraz potem okrzyki po rosyjsku i głośny, rehotliwy śmiech, który Karen od razu rozpoznała.

Karen i Patryk podnieśli głowy i zaczęli nasłuchiwać.

– To za wcześnie na granicę. – Patryk spojrział na Karen z niepokojem.

– Może zatrzymali się na stacji benzynowej albo żeby coś zjeść?

– Ale jesteśmy chyba w środku lasu.

Jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości ktoś kilka razy mocno uderzył w stalową skrzynię ciężarówki. Łomot rozszedł się głośno po ścianach.

Usłyszeli czyjś głos i po chwili stukot odsuwanych sztab.

– *Wychodi!* – Na zewnątrz stał jeden z ochroniarzy Sokołowa. – *Użyn.*

Karen spojrzała ze strachem na Rosjanina.

– Kolacja – przetłumaczył Patryk, podnosząc się z podłogi.

Zeskoczył na ziemię i podał rękę Karen.

– Zapraszam na kolację! – usłyszeli nagle z tyłu rozbawiony jak zwykle głos Sokołowa. – Spróbujecie kołdunów. Tutejsza babuszka, Rosjanka, robi najlepsze na Litwie.

W głębi podwórza stał dom z białych pustaków, nakryty eternitem. Przed wejściem ciągnęła się spora, dobudowana chyba całkiem niedawno, drewniana weranda.

– Może lepiej nie przyznawaj się, że znasz rosyjski – szepnęła Karen do Patryka.

– Pewnie i tak wiedzą już od Łaniewskiego – mruknął cicho Patryk. – Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ten drań nas w to wpakował.

Na werandzie czekały już nakryte stoły. Karen pomyślała, że Sokołow musiał się tu zatrzymywać częściej. Gdy usiedli, dwie dziewczyny uśmiechające się zalotnie do Rosjan zaczęły wynosić talerze z parującym jedzeniem.

Sokołow pokazał Karen i Patrykowi miejsca przy mniejszym ze stołów i usiadł razem z nimi.

Jego ochroniarze rozsiedli się przy drugim i po chwili dobiegły stamtąd głośne wybuchy śmiechu.

– Umówiłem się już z twoim wujem, że ma nam oddać nasze archiwalia. Tak że za dwa, trzy dni wrócicie *rebiata* do *Polszy*.

Karen miała wrażenie, że Sokołow celowo wplata rosyjskie słowa, żeby ich zdenerwować.

– Wasze? – Spojrzała na Rosjanina znad talerza parujących kołdunów.

– A czyje, Karinko? – Sokołow wpakował do ust kluczę i przewrócił oczami z rozkoszą. – Twoja rodzina wywiozła cenne litewskie i rosyjskie dokumenty. Przecież większość tych materiałów była pisana cyrylicą, nie mam racji?

Sokołow, rechocząc, spojrzał na Patryka, który odsunął od siebie talerz i sięgnął po kubek z kompotem.

– Litwa to biedny kraj. Nie zachowało się tutaj zbyt wiele zabytkowych dokumentów ani narodowych skarbów. A ja jak tylko dowiem się tego, co trzeba, to przekażę je oczywiście do miejscowego muzeum. Litwini to nasi towarzysze i prędzej czy później do nas wrócą i znowu będzie między nami zgoda. A wy, *Polaki*, grabiliście ten biedny naród przez całe wieki. Chociaż tyle twój wuj teraz może dla nich zrobić.

Sokołow zanosił się śmiechem, wpatrując się z rozbawieniem w twarze Patryka i Karen.

Karen stwierdziła, że jest głodna. Chociaż miała ochotę odsunąć od siebie talerz, a raczej cisnąć nim prosto w Sokołowa, pomyślała, że sprawiłaby mu tym tylko dodatkową frajdę.

Sięgnęła po sztucce i ukroiła kawałek ciasta.

– Całkiem dobre. – Uśmiechnęła się do Patryka. – Spróbuj.

– Pewnie interesuje cię, dokąd jedziemy? – Sokołow wytarł usta serwetką i poważniejąc, sięgnął po kufel z piwem.

Karen zauważyła, że Rosjanin wyraźnie lekceważy Patryka, zwracając się głównie do niej. Uznała, że to po prostu z powodu jej chwilowej przydatności. Była mu potrzebna po to, żeby zdobyć archiwalia z kufrów. Patryk był kompletnie bezużyteczny.

– Bardziej niż pana poglądy na temat Polski i Litwy – odpowiedziała chłodno.

Sokołow ponownie parsknął śmiechem.

– *Wot megiera.* – Wypił do końca piwo i skinął do kręcącej się w pobliżu dziewczyny. – *U ciebia użasnyj charakter.* – Spojrzał na Karen z rozbawieniem. – *Ja lublu takoje dziewczki.*

Po chwili kelnerka postawiła przed nim kolejny kufel.

– Dawno, dawno temu pewna twoja daleka krewniaczka fatalnie się zakochała. – Uśmiechnął się do Karen ironicznie. – I tak właśnie wszystko się zaczęło. *Krasawica* była z niej wyjątkowa, ale weszła już wtedy w wiek balzakowski, dzieci się nie doczekała, a jej mąż był strasznym safandulą. Ale zamiast jak większość kobiet z jej sfery szukać pociechy w postawnym koniuszym lub stajennym, jak głupia ulokowała swoje uczucia we Francuzie – powiedział Sokołow pogardliwie. – *Soszła s uma, grafinia.*

Karen spoglądała na Rosjanina z mieszaniną niechęci i zaciekawienia. Sokołow, na tym litewskim zadupiu, odsłaniał rubasznymi żartami i rechetem swój prawdziwy charakter, ale gdy mówił poważnie, zdradzał doskonałą znajomość angielskiego i maniery nabyte w londyńskim biznesie. Chociaż, biorąc pod uwagę opinię, jaką miał o nim ojciec Johanna, to pewne progi były jednak dla niego nieprzekraczalne.

Ale to, co mówił, oczywiście od razu ją zaciekawiło.

– Gdy w tysiąc osiemset dwunastym Napoleon ruszył na Rosję, w pałacu z kwaterą główną stanął dowódca Pierwszej Armii Zachodniej Imperium Rosyjskiego generał Michaił Barclay de Tolly, zresztą Niemiec z pochodzenia – stwierdził pogardliwie Sokołow. – Jakby mało było tych zaszczytów, kilka dni po wycofujących się Rosjanach zawitał tutaj jeden z ulubionych dowódców Napoleona, marszałek Francji, książę Bergu,

tytularny król Neapolu, szalony i rzekomo diabelsko uwodzicielski Joachim Murat.

Karen porzuciła pozory chłodu i lekceważenia i wpatrywała się w Sokołowa z fascynacją. Król Neapolu?! O tym to babcia jej nie opowiadała. Może rzeczywiście, jak twierdził wujek, gadanina na te tematy zajmuje strasznie dużo czasu i babcia po prostu jeszcze do tego nie dojrzała. Tysiąc osiemset dwanaście? To przecież czasy cesarza Aleksandra!

– Wtedy jeszcze nikt nie mógł wiedzieć, jak się potoczy wojna – kontynuował Sokołow. – Napoleon był pewny zwycięstwa, a Rosja stale się wycofywała, unikając starć. Ale możliwe, że już wtedy latem, gdy trwał upojny, choć krótki romans, zawiązał się ten spisek...

Rosjanin przerwał, żeby napić się piwa, i spojrzał na Karen z uśmiechem.

– Widzę, że cię jednak zainteresowałem?

– I co było dalej? – zapytała Karen, udając, że nie zauważa szyderstwa w słowach Rosjanina.

– Kilkanaście lat temu w archiwum Departamentu Wywiadu Wojskowego FSB[17], notabene nie wiem, czemu akurat tam to wpakowali, pewnie nie wiedzieli po prostu, komu to podlega, natknąłem się na dokumenty dotyczące działań pewnej jednostki z lat czterdziestych...

– Batalion roboczy do spraw restytucji i zabezpieczania mienia? – nie wytrzymała Karen.

Złowiła przy tym ostrzegawcze spojrzenie Patryka, który w milczeniu słuchał opowiadania Sokołowa. Może rzeczywiście nie powinna się zdradzać za bardzo z tym, co wie.

– Dokładnie – przytaknął Sokołow. – Widzę, że także w Londynie coś niecoś można było na ten temat znaleźć.

– To tylko nasze domniemania – odpowiedziała niewinnie Karen.

– No więc jednostka ta zebrała przedziwną kolekcję archiwaliów. Przede wszystkim protokoły przesłuchań z czasów cara Aleksandra, zeznania różnych świadków, ale i późniejsze materiały organizacji, której nazwę pewnie też już słyszałaś?

Karen z wahaniem przytaknęła.

– Rzecz w tym, że już w czasie trwania kampanii napoleońskiej carat uruchomił specjalne jednostki do zabezpieczania najcenniejszych skarbów narodowych. Po wojnie prowadziły one poszukiwania na tak zwanym trakcie smoleńskim, którym po złupieniu Moskwy wycofywała się Wielka Armia. Spora część tych dokumentów, które znalazłem w archiwum Czeki, dotyczyła zaś zaginionych bezcennych dla Rosji skarbów z...

– Wieży Iwana Wielkiego na Kremlu! – dokończyła Karen z malującym się na twarzy oszołomieniem. Więc jednak wuj Igor miał rację. Czy oni jadą zatem do Litwy? Aż pod Mińsk? Niemożliwe! Po co w tym celu lądowałiby w Ucianie?!

– Tak właśnie, Karinko – przytaknął Sokołow. Na jego twarz wrócił właśnie zwykły protekcjonalny uśmieszek. – Krzyża z kawałkiem drewna z krzyża Chrystusa oraz bezcennej ikony Madonny... – Sokołow na chwilę umilkł, obserwując wrażenie, jakie jego słowa zrobiły na obojgu słuchających. – Ponadto według ustaleń carskich służb wszystkie te przedmioty mogły zostać ukryte w jednym miejscu. Carska tajna policja nie zdołała jednak ustalić gdzie. I można by szukać wiatru w polu, gdyby nie jeszcze jeden dokument, który kilka lat później znalazłem w innym departamencie FSB.

– Jaki? – zaciekawiała się Karen.

– Zeznania twojego krewnego, Franciszka Mikulicza-Radeckiego, o którym ci opowiadałem w samolocie. W roku tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym został zatrzymany przez carską policję i osadzony w więzieniu w Dyneburgu. Formalnie zatrzymany został pod zarzutem pomocy udzielanej powstańcom, ale carskich śledczych tak naprawdę zainteresowały jego rozgłaszane po całym powiecie opowieści na temat skarbu królewskiego pochodzenia. Nieszczęśnik jeździł od dworu do dworu i usiłował nakłonić swoich kuzynów do wspólnych poszukiwań skarbu Murata. Zeznał, że tajemnicę tego skarbu ukrywa korespondencja zgromadzona w archiwum rodzinnym w jednym ze starych dworów, a wiedział o tym rzekomo od swojego brata, który był tam zarządcą czy czymś tam. Tylko rzecz w tym, że ten dwór spłonął w powstaniu listopadowym.

– To dlatego zaraz po wojnie brygada trofejna przeszukiwała dom wrocławskiego chirurga Johanna Mikulicza-Radeckiego? Pod Książem?

– Oczywiście – przytaknął Sokołow. – Franciszek to był jego dziadek.

Karen, która i tak miała zamęt w głowie, usiłując wszystko to, co usłyszała, dopasować do wcześniejszych ustaleń, przypomniała sobie nagle to, jak zmienił się na twarzy Sokołow, gdy opowiadała o zawartości kufrów. Boże! Czy to mogło chodzić o korespondencję? Ale o którą? Korespondencja? Przecież tam były tylko jakieś gospodarskie epistoły wymieniane pomiędzy różnymi zarządcami i dzierżawcami.

Karen nagle zbladła. Listy ukryte w kalendarzu! Miała tylko nadzieję, że w ciepłym świetle lamp zawieszonych pod dachem werandy Rosjanin nie zauważył rumieńca na jej twarzy.

– Franciszek spędził jeszcze rok w twierdzy dyneburskiej, a potem został zwolniony z nakazem opuszczenia imperium – przypomniał Sokołow z udawanym smutkiem i spojrzał na milczącą Karen. – Resztę już znasz. Wiele lat później odnalazł go jego syn Andreas. Musiał zapłacić sporą łapówkę i podpisać papiery austriackiej tajnej policji, że tego, czego dowiedział się od ojca, nie będzie rozgłaszał.

Przy stole nad zimnymi już, wzgardzonymi przez Patryka kołdunami i pustymi talerzami zapadła cisza, w której głośno rozbrzmiewały przy sąsiednim stole chichoty litewskich kelnerek i rechot ochroniarzy.

– A o co chodzi z tą machiną? – odezwał się nagle milczący do tej pory Patryk.

Sokołow uderzył w stół, a następnie pochylił się i poklepał Patryka po kolanie.

– I tu, synku, trafiłeś w samo sedno! – huknął. – Szczerze wam odpowiem, bo jak już rozmawiamy, to nie będę ukrywał...

Karen, która przez chwilę obserwowała towarzystwo obok, znowu spojrzała na Sokołowa z niepokojem. Miała wrażenie, że po dwóch kuflach piwa zrobił się nazbyt bezpośredni.

Kto wie, co tym wszystkim Rosjanom przyjdzie do głowy, jak jeszcze trochę tutaj wypiją?

– To ta machina najbardziej mnie w tym wszystkim interesuje! – głośno oznajmił Sokołow. – Powiem szczerze, krzyż, jeśli go znajdę, oddam ojczyźnie! A co?! Niech wróci tam, skąd go ukradli. Tak jak i ten wysadzany

rubinami obraz Madonny, co go caryca Anna Iwanowna Romanowa za zwycięstwo nad Polakami pod Smoleńskiem ufundowała. Ale ta machina... To moje marzenie, żeby ją odrestaurować. Jedyna taka rzecz na świecie...

– Ale co to było? – Karen, mimo obaw o ewentualne zamiary coraz weselszego towarzystwa Rosjan, nie mogła powstrzymać ciekawości.

– Tuż przed atakiem Napoleona na Rosję Aleksander Pierwszy sprowadził do kraju z Wirtembergii pewnego niemieckiego naukowca... – Sokołow zasłonił usta dłonią, czknął i dopiero po chwili zaczął mówić ponownie. – Na rozkaz cara gubernator Moskwy Fiodor Rostopczyn na ogromnych pustych przedpolach miasta urządził poligon, na którym szwabski inżynier rozpoczął budowę ogromnej maszyny. Miała ona zniszczyć nadciągające wojska Napoleona. Tyle że nie zdążył – powiedział Rosjanin. – Machina była tak ogromna, że po to, by ją przetransportować, potrzebne byłoby sto dwadzieścia wagonów kolejowych, zatem tuż przed opuszczeniem Moskwy Rostopczyn kazał ją spalić. Niemiec uciekł z planami do Petersburga, ale na poligonie w hangarze pozostał wielki działający model...

Nagle od strony sąsiedniego stolika rozległ się głośny krzyk jednej z dziewczyn, a po chwili przewróciło się krzesło i część zastawy ze stołu wylądowała na ziemi. Jeden z ochroniarzy poderwał się gwałtownie i popchnął kolegę, który z głośnym hukiem wylądował razem z krzesłem na ziemi.

– *Duraki!* – warknął Sokołow i walnął z całej siły w blat. Talerze zabrzęczały i przewróciła się jedna szklanka, a przy sąsiednim stole zapanowała nagle cisza.

– Jedziemy! – Rosjanin poderwał się, podszedł do swoich ludzi i zaczął głośno ich napominać. Po chwili jeden z ochroniarzy podniósł się i machnął ręką do Karen i Patryka.

– *Dawajcie!* – krzyknął. – *Idiom!*

Chwilę później znaleźli się ponownie na pace ciężarówki, na zewnątrz rozległy się rosyjskie okrzyki i nawoływania, a zaraz potem zawarczały silniki i samochód ruszył, przedzierając się ponownie pod uderzającymi o dach gałęziami drzew.

– Wiesz, o co mogło mu chodzić? – Karen spojrzała na Patryka. – Co to za machina?

– Pojęcia nie mam – powiedział Patryk i pokręcił głową. – Bardziej mnie martwi, po co on nam o tym wszystkim opowiadał.

– A jak możemy mu przeszkodzić? W czymkolwiek?

– Zdradził nam przecież to, co odkrył w ruskich archiwach KGB.

– Ale to pomogło mu tylko znaleźć ten zamek z testamentu ciotki, a przecież i tak tam właśnie jedziemy.

Karen wzruszyła ramionami, widząc ciągle pełne wątpliwości spojrzenie Patryka.

– Mam nadzieję, że wujek przywiezie mu te kufry jak najszybciej. – Karen oparła się o ścianę ciężarówki. – To znaczy szkoda, że stracimy takie rodzinne pamiątki, ale... Co za łajdak! – Pokręciła ze złością głową. –

Widziałeś, jak on się zachowywał? Tak jakby Litwa i Polska to właściwie nadal były rosyjskie prowincje. I co ja powiem babci?

– Nie myśl teraz, co jej powiesz, myśl, jak się stąd wydostać. – Patryk rozejrzał się dookoła. – A gdybyśmy sprawdzili, co oni tutaj mają. – Stuknął w jedną z wielkich skrzyń. – Może broń?

– Załóżmy – powiedziała Karen. – I co wtedy? Jak następnym razem ten Rusek otworzy nam drzwi, to co? Zetniesz go z uzi?

– No niech będzie, broń jak broń, ale może na przykład latarki. W nocy by się przydały.

Karen spojrzała z nowym zainteresowaniem na drewniane pudła.

– Są zabite gwoździami i oklejone taśmą – zauważyła. – Od razu zauważą, że w tym grzebaliśmy. Poza tym gdzie schowamy te latarki?

Patryk ciężko westchnął i kopnął ze złością skrzynię.

Karen oparła się ponownie o ścianę i przymknęła oczy. Poczula, że jest zmęczona i najchętniej by się zdrzemnęła, ale bała się stracić kontrolę nad sytuacją.

Patryk wprawdzie czuwa, ale...

Nawet nie zauważyła, że odpłynęła. Obudziła się, gdy samochód nagle wjechał na nierówności, a z zewnątrz zaczęły dochodzić hałasy i klaksony innych samochodów.

Otworzyła oczy i spojrzała na drzemiącego Patryka.

– To chyba granica – szepnęła i szturchnęła chłopaka, który natychmiast oprzytomniał i spojrzał czujnie w kierunku drzwi.

Obok samochodu przeszli jacyś mężczyźni, rozmawiając po rosyjsku. Ktoś uderzył kilka razy w skrzynię ciężarówki, po czym głosy się oddaliły.

Karen sama już nie wiedziała, co gorsze. Jechać dalej z Rosjanami czy zostać znalezionym przez białoruskich pograniczników. Gdyby tak się stało z ich winy, to Sokołow na pewno dogadałby się z Białorusinami, a oni wylądowaliby w więzieniu. Albo w obozie.

Wzdrygnęła się. Czy to możliwe? Właśnie opuszczają Europę.

Złowiła spojrzenie Patryka. Myślał chyba dokładnie o tym samym.

Siedzieli nieruchomo, nasłuchując tego, co działo się na zewnątrz. Przez szpary w drzwiach widać było przesuające się światła. Nagle rozległ się łoskot otwieranego zamka, drzwi zatrzeszczały i się uchyliły. Do wnętrza wpadło światło.

Karen i Patryk skuleni za ostatnimi kuframi starali się nie oddychać. Słyszeli, jak na pakę ktoś się wspiął. Usłyszeli kroki i po chwili w przejściu pomiędzy skrzyniami stanął jeden z ochroniarzy Sokołowa. Przyłożył palec do ust.

– *Pieriewalka. Tiszyna* – powiedział cicho.

Mężczyzna odwrócił się i stanął tyłem, blokując przejście. Po chwili rozległ się zgrzyt, jakby do samochodu przystawiono rampę, a zaraz potem łomot kroków i odgłos wynoszonych skrzyń.

Minęło kilkanaście minut i usłyszeli w końcu głośne pokrzykiwania, ktoś przebiegł wzdłuż ciężarówki i trzasnęły drzwi szoferki. Ochroniarz pogroził im palcem i, rechocząc, zeskoczył na ziemię. Usłyszeli łoskot zamykanych ponownie rygli i samochód wreszcie ruszył.

– Co to było? – Karen pytająco spojrzała na Patryka.

– Powiedział, że to przeładunek.

Karen zastanawiała się, po co robili przeładunek w środku lasu. W którym miejscu przekraczali tę granicę? Pamiętała, że na lotnisku w Ucianie dostrzegła jaśniejsze zachodnie niebo nad masywem lasu, więc teraz podejrzewała, że jechali głównie na wschód.

– To nie mogło być oficjalne międzynarodowe przejście. – Patryk czytał jej w myślach.

– Pewnie wieźli jakąś kontrabandę – szepnęła Karen. – Dlatego przylecieli na małe lokalne lotnisko, a teraz jedziemy przez lasy, bo na sto procent przekupili strażników. Tylko po co robiliby przeładunek?

– Możliwe, że to był odbiorca.

Samochód przetoczył się przez nierówny wyboisty dukt, po czym wjechał na niewielki nasyp i ruszył dalej w miarę równą drogą.

Karen wyprostowała nogi i oparła się o bok ciężarówki. Była zmęczona i tym razem postanowiła się przespać. Widziała, jak Patryk wciągnął nogi i położył się na ławce.

Przez chwilę mu się przyglądała, przypominając sobie, jak pobiegł na cmentarzu w Londynie za samochodem i wdał się w bójkę z ochroniarzem.

Czy Lasse by to zrobił? Uświadomiła sobie, że już od dobrego tygodnia nie pomyślała o nim ani razu. A potem zasnęła.

Obudziło ją głośnie walenie w drzwi i czyjś śmiech. Otworzyła oczy i wyprostowała się, czując, że po drzemce na niewygodnej drewnianej ławce bolą ją wszystkie mięśnie.

Patryk miał mocniejszy sen. Otworzył oczy dopiero, gdy stalowe drzwi zakrzypiały i stanęły otworem. Na zewnątrz widziała światła dwóch samochodów i zabudowania wokół sporego podwórca.

Zeskoczyła na ziemię i rozejrzała się wokół. Czy to naprawdę jest ten legendarny zamek, gdzie *ukryta została ogromna fortuna z czasów cesarza... Aleksandra?*

Pierwsze, co zobaczyła, to wyłaniające się z mroku mury budynku, ze ścianami wspartymi potężnymi kamiennymi przyporami. Szumiąły nad nim niepokojąco stare wielkie drzewa. Za samochodami widać było zarysy parterowych baraków, a nieco dalej jaśniały poustawiane na wysokich słupach reflektory. Ich światło odcinało się od mrocznego, szumiącego groźnie lasu. Na kilku ogromnych stertach leżały dookoła pocięte pnie wykarczowanych drzew. Na tle nieba wyłaniało się z mroku wzniesienie, które porastał las.

Karen zrobiła kilka kroków w stronę dziwnie oświetlonego miejsca. Minęła ciężarówkę i stanęła nagle prawie na wprost iluminacji.

Na sporej powierzchni widać było najwyraźniej dopiero co odkopane piwnice i fundamenty jakichś budowli, które dawno temu musiały zniknąć z powierzchni ziemi. Wykopy przypominały kształtem czworobok i ciągnęły się na długości kilkudziesięciu metrów wokół dawnego dziedzińca. Dookoła wznosiły się zwały gruzu i ziemi.

Karen podeszła bliżej i spojrzała w głąb lochów.

W głębi krateru poprzecinane grubymi na ponad dwa metry ścianami ciągnęły się korytarze i dawne pomieszczenia piwniczne. Gdzieś widać było zachowane fragmenty kamiennych posadzek i wystające ze ścian podpory i słuźki nieistniejących już sklepień. W jednym z największych lochów schodziły w głąb granitowe schody i niknęły w masie ziemi i gruzu.

– O rany! – usłyszała obok siebie czyjś głos i poczuła oddech. Odwróciła się i zobaczyła Patryka patrzącego z niedowierzaniem na ogromne rumowisko.

Z tyłu rozległy się jeszcze czyjeś kroki.

– W całej tej półmilionowej hordzie barbarzyńców – Francuzów, Niemców, Austriaków, Polaków i kogo tam jeszcze diabli nie przywlekli z Napoleonem do Moskwy – powiedział cicho Sokołow – był tylko jeden szaleniec, który zamiast kraść futra z soboli i gronostajów, złote naczynia i wysadzane rubinami ikony, mógł połasić się na model maszyny Franza Leppicha. A na Litwie czekała na niego niewierna żona „królewicza” Stanisława, Konstancja Manuzzi.

Karen uprzytomniła sobie, że słucha z otwartymi ustami.

– Więc to musi być Belmont... – wyszeptała.

Rozdział 28

LONDYN

Igor praktycznie cały poniedziałek spędził na chodzeniu z kąta w kąt po ogromnym lofcie Johanna. Od rana wypił jedynie litr wody mineralnej, jedzenie wydawało mu się zbyteczną stratą czasu, mimo że nic poza denerwowaniem się nie miał do roboty.

Co chwila z niepokojem spoglądał na telefon, który zaczynał go doprowadzać do szału. Z jednej strony wpadał w panikę, gdy tylko pomyślał, że może zadzwonić matka albo siostra ze Szwecji i zapytać o Karen. Obie miały cholerną intuicję i zawsze jakimś tajemnym sposobem wiedziały, gdy coś było z nim nie tak. Postrzeganie pozazmysłowe.

Z drugiej natomiast strony czekał na wieści od Dermota lub od tego faceta, żywcem wyjętego z jakiegoś amerykańskiego serialu detektywistycznego.

W końcu skoro świt obudził go Dermot. Igor w niedzielę poszedł spać koło drugiej, więc gdy o ósmej wyrwał go ze snu telefon prawnika, był półprzytomny i wydawało mu się, że dopiero się położył. Otrzeźwiał błyskawicznie, jak tylko usłyszał, co Dermot wymyślił. Umówił ich na spotkanie z „pewnym człowiekiem”, jak go nazwał, który zajmował się zawodowo wyręczaniem w obowiązkach policji. Godzinę później dojeżdżali na Holborn, gdzie mieściło się biuro agencji Oskar & Oliver. Oskar Williams, łysy i posągowo zbudowany czarnoskóry detektyw, w pierwszej chwili nie wzbudził zaufania Igora, głównie zresztą przez swój serialowy image. Po godzinie rozmowy jednak zaczął być przekonujący.

Poszukiwanie zaginionych osób, jak się okazało, było jedną z najczęściej zlecanych spraw, częściej jednak wiązało się z poszukiwaniem rodziny czy małżonków lub kontaktu z krewnymi, po których ślad zagaął, a którzy byli niezbędni w celu przeprowadzenia postępowania spadkowego. Co innego

porwanie.

Detektyw, gdy tylko usłyszał, że sprawa polega na tym, że dorosła siostrzenica Igora po prostu nie wróciła na noc po spotkaniu z równie dorosłym chłopakiem, okazał totalny sceptycyzm. W dodatku szybko wspólnie ustalono, że prawdopodobnie koleś jej się podobał.

Kontekst rozmowy uległ zmianie dopiero, gdy Oskar Williams usłyszał całą historię spadku, wraz z potyczkami we Francji i domniemywanym poszukiwaniem skarbu. Co prawda na chwilę ponownie na twarzy detektywa zagościło powątpiewanie, ale szybko zniknęło, gdy padło w końcu nazwisko Sokołowa.

Rozmowa trwała dość długo. Detektyw zażądał zdjęć Karen i Patryka, ich profilów na Facebooku tudzież wielu innych informacji, także związanych z legendarną, rodzinną tajemnicą. Oznajmił w końcu, że najpierw się rozejrzy, a dopiero potem da odpowiedź w kwestii ewentualnej współpracy.

Igor wyszedł po raz któryś z rzędu na most nad Shad Thames i zatrzymał się przy balustradzie nad wąwozem wąskiej ulicy. W niedzielę wieczorem oficjalnie skończył się jego urlop, z założenia przeznaczony na przygotowania do wyprawy podwodnej, która wzięła w łeb na samym starcie. Spodziewał się zatem lada chwila także telefonów z pracowni.

Ale jak na razie przysłowiowa złośliwość przedmiotów martwych sprawiła, że jego telefon, który zawsze dzwonił nie w porę i generalnie za często, teraz milczał jak zaklęty.

Igor po raz nie wiadomo który rozważał właśnie powiadomienie o wszystkim Nataszy, bo zaczynał mieć coraz większe wyrzuty sumienia, gdy milcząca od wielu godzin komórka w końcu zaterkotała.

Pół godziny później wpadł Dermot, a zaraz po nim przyszedł do domu Johann.

– Oskar będzie tutaj za piętnaście minut. – Dermot rzucił swoją czarną torbę na sofę, podszedł do wyspy kuchennej na drugim końcu ogromnego salonu Johanna i nalał sobie soku z otwartego kartonu.

– Wolałbym whisky. – Skrzywił się.

– Zleciłem właśnie dokładny porządnny skan wszystkich dokumentów. – Johann rozwiązał krawat, zdjął go przez głowę i rzucił na fotel. – Przejrzę

też wszystko pod kątem ewentualnych ukrytych jeszcze pozlepianych, jak w kalendarzu, dokumentów. Mają zdążyć do jutra rana.

– A w tym kalendarzu były naprawdę jakieś listy? – zapytał Dermot.

– Tak. Jakieś gówniane liściki dwóch dziewczyn. Gwen je wczoraj zabrała razem z kalendarzem i obiecała, że także je zeskanuje.

– Ten facet coś mówił? – Igora zainteresowała głównie informacja na temat detektywa.

– Nie gadał ze mną za długo, powiedział tylko, że wpadnie o piętnastej. – Dermot odstawił szklanekę i spojrzał na Igora z namysłem. – Zastanawiałem się nad tym wczorajszym spotkaniem na moście. Po co Sokołow w ogóle wysyłał gońca? Przecież to, że mam przywieźć archiwalia do Wilna, mógł po prostu napisać w esemesie.

– Może nie chciał zostawiać śladów. – Igor usiadł na stołku przy wyspie kuchennej i sięgnął po karton z sokiem. – Albo po prostu zrobił to specjalnie, żeby dodatkowo mnie wkurwić.

– Biorąc pod uwagę to, co mój ojciec opowiedział mi o Sokołowie, to stawiałbym nawet bardziej na to drugie. – Johann otworzył lodówkę i przez chwilę kontemplował jej zawartość. – Facet to psychopata. Jego poprzednia dziewczyna, też zresztą modelka, Rosjanka, kilka lat temu wylądowała w szpitalu z rozbitą głową. Wytoczyła mu później proces o znęcanie się i sutenerstwo. Kilka lat temu Sokołow był oskarżony o współudział w morderstwie i jego tuszowaniu. Oczywiście niczego mu nie udowodniono, twierdził, że usiłowano go zrobić i zniesławić. A od dobrych paru lat piszą o jego domniemanym szmuglowaniu płynnej amfetaminy do Rosji, którą tam przerabiają na proszek. Zamówimy coś? – Odwrócił się w końcu do Igora. – Jadłeś w ogóle?

– Nie jestem głodny – odparł Igor. Wpatrywał się w Johanna z przerażeniem.

Johann wsadził sobie do ust plaster szynki i podszedł do stołu.

– O rany, przepraszam. Nie chciałem cię straszyć – powiedział, widząc minę Igora.

Igor wprawdzie sam zdążył już zrobić research na temat rosyjskiego biznesmena, ale i tak to, co usłyszał, zdenerwowało go do ostatecznych

granic.

– Gadałeś z ojcem? – zapytał, żeby zmienić temat.

– Nawet byłem z nim dzisiaj na lunchu. Usiłował mi znowu przemówić do rozsądku. Musiałem mu coś niecoś powiedzieć, bo ciągle go prześladowają różne szmatławce. A wiecie, kto jest naszym strategicznym sponsorem?

– Co mu powiedziałaś? – Dermot, jak przystało na prawnika Johanna, od razu się zainteresował.

– Właściwie to powiedziałem mu wszystko. – Johann westchnął, patrząc na przyjaciół. – No co?

– Powiedziałeś mu o porwaniu? – Dermot wpatrywał się w Johanna z niedowierzaniem. – I nie ubezwłasnowolnił cię od razu?

Johann wznosił oczy do nieba.

– Jego pomoc może nam się przydać. Był oczywiście przerażony. Głównie wprawdzie tym, jak to się odbije na jego politycznej karierze, ale obiecał dyskretnie się rozeznąć. Jego pomoc może się naprawdę przydać w sprawie na przykład wiz, jeśli będzie trzeba jechać na Białoruś czy do Rosji.

Dalszą rozmowę przerwał telefon Dermota, a kilka minut później rozległ się dzwonek do drzwi i po chwili do mieszkania wszedł Oskar Williams, tym razem w towarzystwie drugiego detektywa.

– Piękne mieszkanie. – Detektyw rozejrzał się dookoła i pokiwał z uznaniem głową. – Dawny magazyn herbaty? Jak byłem dzieckiem, to pamiętam, że były tutaj meliny i pracownie różnych artystów i performerów. Pan Carley, prawda? Miło mi pana poznać.

Johann przywitał się z mężczyzną.

– To jest mój współpracownik, Peter Ward – przedstawił Williams kolegę, po czym sięgnął do torby i wyjął tablet.

– Na początek mamy już pewne ustalenia. – Przez chwilę stukał w ekran urządzenia, po czym podał tablet Igorowi. – Najpierw Anja Swallow. Zamieściła dzisiaj rano na Facebooku kilka fotek z Moskwy, ale w rzeczywistości od soboty nie opuszczała domu Sokołowa w Westcliff.

Igor spojrział na ekran. Przesunął palcem, oglądając zdjęcia. Były zrobione najwyraźniej z dużej odległości. Widać było na nich przez jasne zasłony

sylwetkę szczupłej kobiety, która wyglądała akurat na podjazd przed domem.

– Sokołow prawdopodobnie zapewnia sobie w ten sposób alibi. Chociaż to właściwie zbyteczne, ponieważ bardzo trudno go w jakikolwiek sposób z czymkolwiek powiązać.

Mężczyzna powiódł spojrzeniem po twarzach trzech współników.

– Po pierwsze, nie ma żadnych dowodów na domniemane porwanie. Jak na razie – dodał, widząc minę Igora. – Poza tym nie zgłosili panowie tego napadu we Francji, tamtej sprawy więc także oficjalnie nie ma i trudno będzie komuś dowieść, że brał w niej udział. Są jedynie włamania do waszej spółki na Riverside oraz do pani Carley w Hatfield, ale zostały uznane za zwykłe włamania rabunkowe.

– W których w dodatku nic nie zginęło – dodał z przekąsem Johann.

– Tak – potwierdził skinieniem głowy detektyw. – To jest ewentualny argument, ale nie ma niczego na potwierdzenie, że coś te włamania łączy. Mówię to dlatego, żeby uzmysłwić wam, że oskarżenie Sokołowa o cokolwiek będzie praktycznie niemożliwe.

– Chcemy przede wszystkim znaleźć Karen – odezwał się Igor. – Nie liczę na to, że uda się oskarżyć Sokołowa o cokolwiek.

– W porządku. W takim razie naszym celem jest wyłącznie znalezienie dziewczyny – potwierdził detektyw.

Podszedł do Igora, po czym przesunął palcem po ekranie, otwierając kolejny katalog fotografii.

– Tutaj są zdjęcia samolotu. Odrzutowiec PC-24 szwajcarskiej firmy Pilatus. Ma tę przewagę nad konkurencją, że jest dostosowany do lądowania na krótkich pasach, nawet tych nieutwardzonych. Specjalna konstrukcja silników uniemożliwia zanieczyszczenie ich podczas lądowania i startu na gorszej nawierzchni. W jego zasięgu są zatem małe lotniska trawiaste.

– Czyli mógł polecieć gdziekolwiek. – Johann westchnął ciężko, wpatrując się w zdjęcie niebieskiego odrzutowca.

– Na szczęście to podlega jednak pewnym procedurom. – Williams uśmiechnął się półgębkiem. – Sprawdziliśmy. Samolot Sokołowa wylądował wczoraj o dwudziestej drugiej piętnaście na lotnisku w Ucianie na Litwie.

– Ucianie? – Igor podszedł do sofy przed telewizorem i po chwili wrócił

z tabletem.

Johann zerwał się i stanął za jego plecami.

– Dlaczego polecili akurat do Uciany? – zapytał. – Znasz tę miejscowość?

Igor pokręcił głową, myśląc, że w tej sprawie czeka go ewentualnie dyplomatyczna rozmowa z matką. Nazwa nie była mu obca, ale nie kojarzył jej w kontekście dawnych rodzinnych włości.

– Miejscem docelowym niekoniecznie jest Uciana – odezwał się detektyw. – To może być nawet Białoruś. W tamtych rejonach są nielegalne przejścia, którymi odbywa się szmugiel towarów. Miejscowe władze, odkąd Litwa jest w Unii, starają się to ukrócić, ale Sokołów ma tam na pewno swoich ludzi.

Johann rzucił Igorowi porozumiewawcze spojrzenie.

– Czyli porwanie mogło być tylko przy okazji – stwierdził Dermot. – A główny cel to jakaś kontrabanda.

– To możliwe – zgodził się detektyw. – O ile rzeczywiście dziewczyna została wywieziona z kraju.

– To gdzie niby jest? – Igor spojrzał na niego z irytacją.

– Proszę się nie denerwować. – Detektyw podniósł pojednawczo dłoń. – Musimy wziąć pod uwagę także inne możliwości.

– Minał prawie cały dzień, a Karen wciąż nie ma. Jakie możliwości?

– Na przykład taka, że są przetrzymywani gdzieś w Londynie. Może na przykład na terenie lotniska.

Igor chciał coś powiedzieć, ale przypomniał sobie właśnie, że sam wczoraj o tym pomyślał.

– Od tego powinniśmy zacząć. Poza tym – ciągnął ostrożnie detektyw – należy się jednak zastanowić, czy jest możliwe, że to jakiś żart ze strony tych dwojga.

Igor w pierwszej chwili chciał od razu zaprotestować, ale pomyślał, że cały czas ma właśnie nadzieję, że to wszystko okaże się kretyńskim dowcipem. Ale przecież ten chłopak to prawnik z kancelarii, która reprezentuje jego matkę. Nie ma takiej możliwości, żeby zgodził się na taki żart, nawet jeśli wpadłoby to Karen do głowy. Musiałby chyba okazać się

idiotą albo niebezpiecznym psychopata.

– To niemożliwe – odparł zdecydowanie.

– Okay – zgodził się Williams. – Jeżeli nadal są panowie zainteresowani współpracą... – Zawiesił głos i spojrzał na Igora.

– Oczywiście. – Igor odłożył tablet na stół. – Co mam robić?

– Proponuję zacząć jednak od sprawdzenia hangarów spółki Wind Aviation Southend. Możemy się tym zająć od zaraz. Kiedy ma pan dostarczyć okup... To znaczy te materiały?

– Jutro. O dwudziestej mam być na lotnisku w Wilnie.

– Przygotujemy wszystko i będziemy pana dyskretnie obserwować. Czy ustaliliście, w jaki sposób pana bratanica...

– Siostrzenica.

– Siostrzenica zostanie odwieziona? Czy ma pan ją odebrać w czasie przekazywania okupu?

– Mam tylko ten list, który panu pokazywaliśmy rano. Więcej się nie odezwali.

– Proszę natychmiast dać znać, jeśli się zgłoszą. Zakładamy, że porywacze będą się kontaktować z panem. Mogę dostać na moment pana telefon?

Igor sięgnął do kieszeni i położył komórkę na stole.

Milczący do tej pory drugi detektyw wziął telefon.

– Muszę prosić o pana hasło – zwrócił się cicho do Igora. – Wgram panu aplikację szpiegującą. Będziemy mieć dostęp do pana połączeń, wiadomości, kont społecznościowych, historii przeglądarki, zdjęć i filmów. Będziemy mieć także pana lokalizację przez GPS.

– Proszę się nie obawiać, wszystkie pana dane będą całkowicie bezpieczne – zapewnił z uśmiechem Williams, widząc niepewne spojrzenie Igora.

– Nikogo nie interesują twoje wizyty na Pornhubie – odezwał się Dermot.
– Poza tym każdy tam zagląda.

Igor pokiwał z rezygnacją głową. Większym problemem niż Pornhub wydała mu się od razu matka, która niechybnie zaraz zadzwoni.

Drugi z detektywów podłączył telefon Igora do swojego laptopa i przez

dłuższą chwilę manipulował w jego ustawieniach, wreszcie skończył, uśmiechnął się i oddał smartfon Igorowi.

– Dobrze. To wydaje mi się, że byłoby na tyle. – Williams wstał. – Proszę dać nam czas. Odezwiemy się do pana.

– Mam nadzieję, że to się jutro skończy i ich pomoc jednak nie będzie potrzebna – powiedział Igor, gdy tylko dwaj detektywi zniknęli za drzwiami. Opadł ciężko na sofę.

Johann wziął ze stołu tablet i usiadł obok niego.

– Może ten facet wygląda niepozornie, ale oni się znają na rzeczy. – Dermot nalał sobie soku i podszedł do lodówki.

– Niepozornym to raczej bym go nie nazwał. Nawet nie zapytałem, ile będą kosztowały jego usługi.

– Sporo – odezwał się Johann. – Ale na razie tym się nie martw. Spółka jest wypłacalna.

– Karen to moja siostrzenica. Dlaczego spółka ma za to płacić? – zaprotestował Igor, chociaż nawet w przybliżeniu nie orientował się, jakie są ceny podobnych usług.

– Bo wplątała się w nasze sprawy. To my przecież zaczęliśmy szukać skarbów na Litwie i wciągnęliśmy ją w to. Na pewno wszyscy się ze mną zgodzą.

– Racja – mruknął Dermot, wpatrując się we wnętrze lodówki. – Nic do żarcia nie macie.

– A co właściwie jest na Białorusi w pobliżu tej Uciany? – Johann zmienił temat.

W trakcie rozmowy leżał na sofie i wciąż przypatrywał się mapie na ekranie tabletu.

– Opsa, Bohiń i Belmont – odpowiedział cicho Igor.

– Ten Bohiń? Z pałacem Manuzziego?

– Tutaj. – Igor wskazał palcem punkt na mapie. – A tutaj było zaginione miasto Uhor.

– Więc może się jednak myliliśmy z tą Litwą? – Johann przekrzywił głowę, wpatrując się w mapę. – Tam na pewno nie jechaliby przecież przez

granicę, tylko lądowałiby w Mińsku.

Dermot nagle uderzył się dłonią w czoło.

– Nie do końca się myliliśmy. Zapomniałem, że ja też coś ustaliłem.

Podszedł do swojej torby i wyciągnął z niej plik kartek formatu A4.

– To zdjęcia z pewnego miejsca – powiedział i rzucił je na ławę. – Wspominałem wam, że mamy taką partnerską kancelarię w Mińsku, z którą raz czy dwa współpracowaliśmy. No więc odezwałem się do nich i poprosiłem o przysługę. Będę musiał im się jakoś odwdziaczyć.

– Co to jest? – Igor sięgnął po wydruki i spojrzał na pierwszy z nich.

Na zdjęciu widać było rozkopane wzniesienie okolone pojedynczymi starymi drzewami. Po prawej stronie wznosiły się zabudowania gospodarcze i hale przemysłowe, a po lewej widać było teren porośnięty drzewami. W oddali za wzniesieniem połyskiwało jezioro.

Igor spojrzał na następne zdjęcie, na którym w sporym zbliżeniu widać było rozkopane wzgórze. Spomiędzy zwałów ziemi i stert powycinanych drzew i krzewów wyglądały odkopane lochy budynku.

– Co to jest? – Igor powtórzył pytanie, patrząc ze zdziwieniem na Dermota.

– Zdjęcia z drona. Ci kolesie z białoruskiej kancelarii pojechali na miejsce i trochę powęszyli. Teren jest ogrodzony, a na tablicy widnieje informacja, że są tam prowadzone badania archeologiczne przy pozostałościach dawnego dworu.

– To jest przecież ta wasza Litwa! – powiedział w końcu Dermot, widząc, że Igor wciąż wpatruje się w fotografię.

Igor zszokowany pochylił się ponownie nad zdjęciem. Majątek babci Marii koło Nowogródka.

– A może to prawda? Może rzeczywiście prowadzą tam jakieś prace archeologiczne? – Johann zajrzał Igorowi przez ramię i przeniósł wzrok na Dermota, który uśmiechnął się z politowaniem.

– To byłyby niesłychany wprost zbieg okoliczności. Poza tym prace przerwano jakiś miesiąc temu. Zaraz po odkopaniu i splądrowaniu lochów. Miejscowi opowiadali, że ci domniemani archeolodzy nikogo tam nie

wpuszczali, a ochroniarzy było więcej niż na jakimś rządowym raucie. Przy jakich pracach archeologicznych zatrudniani są ochroniarze?!

Igor oderwał w końcu wzrok od zdjęcia rozkopanego wzniesienia.

– Więc wygląda na to, że Sokołow nas uprzedził? – skonstatował i popatrzył skołowany na obu przyjaciół.

– Dokładnie. – Dermot kwaśno się uśmiechnął. – Pierwszy wpadł na to, że to mogła być Litwa. Nawet zastosował ten wymyślony przez nas manewr z jakimiś pozorowanymi pracami badawczymi. Ale skoro nadal szuka, to znaczy, że to jednak nie była Litwa.

– Jeśli chodziłoby o któryś z waszych dworów koło Kowna, to przecież Sokołow poleciałby do Kowna – głośno myślał Johann, przesuwając palcem po tablecie. – To muszą być w takim razie miejscowości w okolicach Belmontu.

– Wcale nie jest powiedziane, że oni zabrali Karen i Patryka akurat na miejsce poszukiwań. – Dermot poluzował krawat i rozsiadł się w fotelu.

– Zaraz, zaraz... – Igor ścisnął głowę obiema rękami. – Przecież to nielogiczne. Jakie miejsce poszukiwań?! To po co byłyby mu potrzebne te archiwalia, w których rzekomo jest jakaś wskazówka, skoro już wie, gdzie szukać?

– Może chce się upewnić. – Dermot wzruszył ramionami. – Albo plądruje po kolei każdy dwór i zamek, licząc, że w końcu coś znajdzie. Sam mówiłeś, że może mieć dostęp do sowieckich dokumentów, w które zwyczajni ludzie nie mają wglądu.

– Nie mógłby robić tego na ślepo – powiedział w zamyśleniu Igor. – W ten sposób tych miejsc byłoby za dużo. Zwłaszcza że w testamencie ciotka napisała o ziemiach należących do rodziny męża. Z sensu wypowiedzi wynika raczej, że chodziło jednak o naszego prapradziadka, ale ciotka nie była lingwistką, a testamentu nie sprawdzał żaden redaktor, tylko prawnik. Jeśli jednak miała na myśli swojego pierwszego męża, Feliksa Broel-Platera, to liczba zamków i starych dworów rośnie wręcz wykładniczo i rozlewa się po całej Litwie, Żmudzi i Inflantach.

– To znaczy, że jednak coś przegapiliśmy. – Johann pokręcił głową, wpatrując się w okno. – Może to chodzi o interpretację. Przeglądaliśmy

z pomocą profesora Dougarowitcha i Patryka wszystkie te akta i dokumenty i nic. To wszystko były przecież papiery gospodarcze, akta nadania... Może któryś z tych tekstów trzeba było po prostu odpowiednio zinterpretować?

– To i tak już za późno – stwierdził Igor z rezygnacją. – Jeśli Sokołow wie, czego szuka, to od razu to odczyta, jak tylko dostanie do rąk nasze archiwalia.

– A twoja mama? – Johann nagle sobie o czymś przypomniał. – Coś przecież wymyśliła. Dzwoniła wczoraj do ciebie.

Igor także w tym momencie przypomniał sobie rozmowę z matką. Mówiła coś o Konstancji Manuzzi i kimś tam jeszcze... Jakimś krewnym tego chirurga z Wrocławia czy kimś tam.

– Może zadzwoń do niej i wypytaj o wszystko. Jeśli będziemy wiedzieć, gdzie Sokołow prowadzi teraz poszukiwania, to możliwe, że będziemy też wiedzieć, gdzie jest Karen.

Igor spojrzał nieufnie na swój telefon.

Matka oczywiście zacznie pytać o Karen. Będzie musiał kłamać.

Nie zdążył nic przedsięwziąć, bo jego telefon nagle zadzwonił. Wszyscy trzej akurat się w niego wpatrywali, więc wszyscy prawie podskoczyli.

– Gwen – westchnął Igor, spoglądając na wyświetlacz. Sam nie wiedział, czy czuł ulgę, czy rozczarowanie, że to nie Sokołow. Dalej przecież nie wiedzieli nic o szczegółach przekazania kufrów w Wilnie.

Podniósł telefon i przez chwilę słuchał tego, co mówiła Gwen.

– Gwen zaraz tu będzie – powiedział w końcu nieco zdezorientowany. – Przeczytała listy z kalendarza i koniecznie musi o tym porozmawiać.

Pół godziny później na Shad Thames przyjechał dostawca pizzy. Nieco się wystraszył, gdy drzwi z impetem otworzyli mu trzej faceci i uważnie go zlustrowali. Złożył to w końcu na karb głodu, a poza tym dali mu spory napiwek, więc nie miał powodów do niezadowolenia.

Zaraz po nim do mieszkania Johanna wpadła rozgorączkowana Gwen.

– Przeczytałam te listy! Jest ich niestety tylko połowa – powiedziała, jak tylko wypięła duszkiem prawie całą szklanekę wody mineralnej. – Druga musi być u tej drugiej... Chryste, nawet sobie nie wyobrażacie, jak jest gorąco.

– Drugiej? Jakiej drugiej? – wtrącił Igor niepewnie, gdy Gwen piła kolejny łyk wody.

– No adresatki! Tutaj były odpowiedzi tej drugiej skądś tam, a gdzieś muszą być listy tej pierwszej.

– Gwen... – Johann westchnął z rezygnacją.

– O Boże! No czego wy nie rozumiecie?! Pisały do siebie dwie baby... przepraszam. – Gwen spojrzała na Igora. – To pewnie jakieś twoje prababki albo praciotki.

– Jakie baby? – Dermot zignorował skrupuły Gwen.

– Te listy, które były w kalendarzu, to tylko odpowiedzi od tej z zamku!

Gwen wpatrywała się z przejęciem w trzech skołowaciałych facetów.

– Rozumiecie? A nie ma tych, które ta pierwsza do niej wysłała.

– Jakiego zamku? – zapytał słabym głosem Igor, chociaż domyślał się, że Gwen ma na pewno na myśli zamek z testamentu ciotki Elżbiety.

– No tego waszego cholernego zamku na ziemiach rodziny męża!

– Gwen. Powinnaś się chyba napić.

– Jest za gorąco na picie. Poza tym dlaczego niby powinnam?

Johann, nie wdając się w dyskusję, wstał i ruszył w kierunku kuchni. Wrócił po chwili z wysoką szklanką wypełnioną zielonkawym płynem.

– Napij się, to orzeźwiający. Rum, ananas i mięta. I dużo lodu, tak jak lubisz.

Gwen chciała w pierwszej chwili zaprotestować, ale po namyśle wzięła szklankę z rąk Johanna i upiła łyk drinka.

– A teraz po kolei... – Dermot pochylił się w jej kierunku. – O co chodzi z babami Igora?

– Boże, jakie dobre. – Gwen przymknęła oczy, rozkoszując się smakiem napoju. – Na zewnątrz jest chyba czterdzieści stopni. – Odstawiła szklankę na stół i sięgnęła do swojej torebki.

Wyjęła antyczny kalendarz w starych skórzanych okładkach i kilka odbitek ksero i rozłożyła wszystko na ławie.

– Zrobiłaś skany tego kalendarza? – zainteresował się Johann.

Gwen kiwnęła głową ze zniecierpliwieniem.

– Listów także? Dobrej jakości te skany zrobiłaś?

– W NASA może zrobiliby lepsze, ale też nie sędzę. – Gwen spojrzała z politowaniem na Johanna, rozłożyła jedną z odbitek i zwróciła się do Igora. – To są listy, które wymieniały między sobą dwie kuzynki – powiedziała. – Jedna musiała mieszkać w pałacu w Belmoncie, a druga gdzieś blisko tego legendarnego zamku waszej rodziny. Tak wynika z treści tych listów. Pisały do siebie po francusku, to była przypadłość tej klasy społecznej w całej ówczesnej Europie. Wiem, bo w archiwach mojej rodziny z tego okresu prawie połowa korespondencji także jest po francusku.

– Skąd wiadomo, że w Belmoncie? – Igor nieco oszołomiony wpatrywał się w odbitkę listu, w którym jakaś kobieta dłoń dwieście lat wcześniej pisała równiutkie kaligraficzne linijki.

– Kalendarz jest z Belmontu. Są w nim krótkie wzmianki o uroczystościach w miejscowym kościele, o jakimś ślubie dzierżawców z Idalinowa. To folwark, który twoja ciotka wymieniła w testamencie. O wizytach jakiejś rodziny, świętach. Notabene to wcale nie były panienki, jak zakładał Dougarowitch. Obie były mężatkami. Te listy tutaj to są odpowiedzi od tej drugiej kuzynki...

– Skąd wiesz, że to kuzynki?

– Bo tak się tytułują. Obie bardzo skrupulatnie unikały podawania własnych imion, nie wiem, czy rozmyślnie, raczej chyba rozmyślnie, ale w tych trzech listach ani razu nie występuje żadne imię. Tylko wykaligrafowane na końcu inicjały. – Gwen pokazała palcem piękny zawijas na samym dole kartki.

– JB? – Igor odcyfrował litery i spojrzał z namysłem w przestrzeń. Pomyślał, że matka jest jednak niezbędna, żeby tajemnicze inicjały połączyć z konkretną osobą.

– Nie kojarzysz w rodzinie żadnej kobity o takich inicjałach? – zapytał Dermot.

– Chyba żartujesz.

– Siedziałam wczoraj nad tym do trzeciej. – Gwen ponownie sięgnęła do swojej torebki i wyciągnęła trzy kolejne kartki. – Ten francuski nie dość, że

z początku dziewiętnastego wieku, to jeszcze z naleciałościami polskimi. Ale w końcu przetłumaczyłam – oznajmiła z dumą i podała kartki Igorowi.

– Skąd wiesz, że ta druga kuzynka miała coś wspólnego z zamkiem z testamentu ciotki?

– Te listy tutaj – Gwen postukała palcem w leżące na ławie wydruki – to są właśnie jej odpowiedzi. Rzecz w tym, że bez listów tej z Belmontu nie do końca wiadomo, o co dokładnie chodzi. Ale przewija się nazwa miejsca, w którym zimą tysiąc osiemset dwunastego coś ukryto. Château Bouteleur.

– Château Bouteleur – powtórzył Igor, patrząc oszołomiony w kartkę z tłumaczeniem Karen.

– A skąd nagle taka francuska nazwa? – Johann sięgnął po odbitki. – Igor! Nie kojarzysz takiej nazwy? Skąd się wziął nagle francuski zamek na Litwie?

– A Belmont to polska nazwa? – skomentował Dermot z przekąsem.

– Prawdopodobnie one tak tylko go nazywały między sobą. – Gwen wzruszyła ramionami. – W listach przewija się także ciągle ktoś, kogo nazywają „Monroi”. Z tego, co zdołałam zrozumieć, to mąż tej kuzynki z Belmontu.

– Przecież to chyba proste – odezwał się ponownie Dermot, patrząc na Igora.

– Co takiego? – Igor podniósł wzrok i spojrzał zdezorientowany. – Co jest proste?

– Ustalenie, kim są te dwie kobity. Twoja matka na pewno wie, kto po kolei urzędował w Belmoncie. A jak ustalimy tę ciotkę z Belmontu, to i do tej z tego château Bouteleur dojdziemy.

– Racja! – Johann poderwał się z sofy.

– O jakim ona może pisać królu? – zapytał nagle Igor, który studiował z uwagą tłumaczenie Gwen. Podniósł wzrok i spojrzał na nią zdumiony. – Jesteś pewna swojego tłumaczenia?

Gwen prychnęła.

– Nie bądź śmieszny.

– Króla? – Johann podniósł głowę znad tabletu. – Jakiego króla?

– Kilka razy wspomina o jakimś królu. – Igor pochylił głowę i zaczął

czytać z kartki: – *Napisz mi jak najszybciej, jak ta historia z podporucznikiem się skończyła i co stało się z owym taborem, który ukryć gdzieś król Ci polecił.*

– A wiesz, kto to jest Leonard i kto to Franz? – zapytała Gwen, spoglądając na Igora. – Z listu wynika, że to bracia, a jeden wychowywał się w tym zamku.

Igor pokręcił głową. Na jego twarzy malowało się kompletne osłupienie.

– Nie mam zielonego pojęcia. Zaczynam podejrzewać, że zostałem adoptowany.

– No to nie ma rady. – Johann sięgnął po tablet i przez chwilę coś przeglądał.

– Na co nie ma rady?

– Mamy lot o dziewiętnastej trzydzieści. Zdążymy.

– Gdzie zdążymy?! – Igor spojrzał na niego z przerażeniem.

– Do Szczecina! W Dalewie będziemy przed dwudziestą drugą.

– Przecież jutro wieczorem mam być w Wilnie!

– O trzynastej trzydzieści i o osiemnastej czterdzieści jest połączenie ze Szczecina do Wilna. Z przesiadką w Warszawie.

– Ty zwariowałeś chyba! – Igor patrzył na Johanna wstrząśnięty. – A kto załatwi transport kufrów?

– Ja – odezwał się Dermot. – Mam pełnomocnictwa od twojej mamy i od londyńskiego archiwum. Zajmę się wszystkim tutaj na miejscu i polecę do Wilna z Londynu.

– A co z Williamsem? – Igor przypomniał sobie detektywa z londyńskiej agencji. – Przecież mieli mnie przygotować do tego spotkania.

– Jak wylecimy ze Szczecina o trzynastej, to w Wilnie będziemy wszyscy przed dziewiętnastą. Sokołow ustalił spotkanie na dwudziestą.

– Ja sobie znacznie lepiej poradzę z Williamsem niż ty – odezwał się Dermot. – Ważne, żebyście tylko dotarli na lotnisko w Wilnie na dwudziestą. Johann ma rację. Nie ma na co czekać. Im więcej będziemy wiedzieli na temat tej sprawy, tym lepiej.

Igor wpatrywał się skołowany w Johanna. Jego entuzjazm był zawsze nie

do opanowania. To on z reguły był motorem wszystkich ich najbardziej zwariowanych i spontanicznych akcji i pomysłów.

– A co ja powiem matce? Jak jej wytłumaczę, że przyjeżdżamy do Dalewa bez Karen?

– Coś wymyślimy. – Johann poklepał Igora po ramieniu. – Miejmy nadzieję, że wszystko się jutro skończy.

Igor ciężko westchnął.

– Cały czas myślę o Nataszy. Ona powinna chyba wiedzieć, co się dzieje.

– W niczym nam tutaj nie pomoże – stwierdził Johann. – A robi się z tego afera.

– Sokołow jest poza podejrzeniami, słyszałeś, co mówił Williams – odezwał się ponurym głosem Dermot. – Jeśli wokół tej sprawy robi się gorąco, to wtedy dopiero Karen może być w niebezpieczeństwie. Pozbędzie się jej po cichu, żeby nic się nie wydało.

Igor pokiwał głową, po czym sięgnął po telefon.

Rozdział 29

Dawno, dawno temu...

28 Januara 1813

Kochana Moja Kuzynko i powierniczko jedyna trosk, których nikomu innemu zdradzić nie mogę. Miesiąc cały minął od mojego poprzedniego listu. Przepraszam najmocniej, że tyle czekać musiałaś w nerwach na informację jakąś o tych potwornościach, w które wciągnęła mnie ta wojna.

Z samym nowym rokiem Monroia aresztowała carska policja i do Dyneburga przewiozła. Przerazenie prawie rozum mi odjęło i tylko chodzić z kąta w kąt mogłam przez dobrych dni kilka. Męża mojego przesłuchiwali tam za pomoc udzielaną wrogowi i za przychylność okazywaną cesarzowi. I mnie także ci okropni carscy żandarmi wypytywali, a najbardziej bolała ich ta pomoc, której udzieliliśmy biednemu podporucznikowi de Lavout. Biedak umarł tuż przed Nowym Rokiem. Chociaż kulę mu lekarz z Braśławia sprowadzony wyjął i rany opatrzył, to zakażenie się wdało i gorączka straszliwa. Pocięszam się, że gdyby przeżył, to zabraliby go do aresztu i tam życia by dokonał, a tak spędził te ostatnie chwile pod opieką i w spokoju, chociaż daleko od bliskich. Wyposażył mnie tuż przed śmiercią w listy do rodziców swoich, które obiecałam wysłać przy pierwszej okazji.

Gdy już sił nabrałam, po pomoc do władz carskich z Braśławia, z którymi Monroi w zgodzie żył zawsze, poszłam i listy polecające od nich dostałam. Do cara Aleksandra też pismo wysłałam i czy to dzięki moim staraniom, czy też winy żadnej udowodnić nie zdołali, biednego Monroia wypuścili z Dyneburga i do domu wrócił, jak piszę teraz, to dwa dni temu.

Jeszcze w grudniu natomiast, zaraz po tym jak list od króla przeczytałam, zdecydowałam się na rzecz wielce brawurową. Monroia i także zarządców naszych carska policja zabrała wtedy do Braśławia na kolejne przesłuchania, zatem do pomocy sobie dobrawszy imć pana Ksawerego, któren listy

w tajemnicy do ciebie dostarcza, skoro świt kazałam zaprzęgać i pojechałam na przegląd naszych folwarków i dóbr. Pretekst ten pozwolił mi po drodze w pałacu naszym w Opsie się zatrzymać, aby wiarygodniejszą ta historia była.

Opsa zrujnowana, poniszczone meble, podłogi, kominki i piece spalone, lustra kryształowe, które jeszcze dziadów imć pana Ciechanowieckiego pamiętały, porozbijane. Jedna rozpacz. Folwark opustoszały, żadnego zwierzęcia czy ptactwa nie zostało ani nawet worka zboża czy ziemniaków.

Imć pan Kossecki, zarządca Opsy, nawet nie wiadomo, gdzie przebywa i czy żyje. Jedyne pociecha, że pałac murowany, więc ostał się, choć bez renowacji to zamieszkać tam niepodobna.

Z wielkim strachem dojeżdżałam do Bouteleur. Uspokoił mnie nieco widok już z końca alei tej z lip starych, co jeszcze pana hrabiego Mikołaja pamiętają. Dom ocalał, chociaż powybijane okna i zniszczenia wszędzie widoczne. Ale prawdziwe przerażenie mnie zdjęło, gdy na podwórzec bazylianów wjechaliśmy. Spichlerz nowy przy galerii dawnej zawalony z działa chyba. Zwalił się dach, a i korzenie drzew dwóch na wzgórzu nie wytrzymały i dwa wielkie dęby razem z gruntem nań padły. Nie do odbudowy żadnej i chyba zasypać trzeba będzie, coby innych drzew nie pociągnęło.

I wszędzie tam na ziemi, w śniegu, pozabijani żołnierze i konie. Trupów chyba ze dwadzieścia. Przez tych kilka dni, które minęły od wydarzeń onych, kiedy jeden tylko pan de Lavout ocalał wraz z druhem (zmarłym zresztą po drodze), maruderzy i kmiotki odarli truchła nieszczęsne ze wszystkiego. Nawet butów nie zostawili. Szczęściem mróz zelżał naonczas i pan Ksawery, zostawiwszy mnie we dworze przy ogniu, pomoc ze wsi zdołał przywołać i ciała onych żołnierzy i resztki koni, z których kawały koniny kmiotkowie już poodkrawali, gdzieś pochowali.

Po owych wozach ze skarbem i tajemniczym urządzeniem tym, o którym król pisał, ani śladu nie było. I nie wiem, czy to carscy żołnierze je stamtąd zabrali, czy okoliczna ludność pokradła, ale śladu żadnego nie zostało.

Zamknęliśmy dwór i bramy i w drogę powrotną ruszyliśmy, żeby przed nocą na nocleg zdążyć. Przykazałam panu Ksaweremu, żeby nikomu pary z ust nie puszczał, bo to lochem w Dyneburgu skończyć by się mogło dla nas wszystkich. Schować Twoje listy muszę tak, żeby nikt do nich wglądu nie

miał, i Ty, kochana kuzynko, zrób tak samo z mojami, bo po sznurku carska policja i do Krasławia dotrze jeszcze. Ale może nie niszczy ich, bo pamięć zawodna, a los ojczyzny się odwróci i wtedy szukać diabelskiego tego zaiste urzędnika dla obowiązku i dobra Rzeczypospolitej będzie trzeba.

Twoja wierna kuzynka i przyjaciółka

KM

12 Februara 1813

Kochana Kuzynko, doczekać się wieści od Ciebie nie mogłam. Gdyby nie to, że strach dzisiaj jeździć gdziekolwiek, żeby w łapy dezertków albo oczadziałych chęcią zemsty chłopów ze spalonych przez armię siół czy zbójów zwyczajnych nie wpaść, to wybrałabym się z wizytą pod Brasław. A tak na list od Ciebie jeno czekać mogłam.

Straszliwe wieści mi przekazujesz o tem, że Monroi pod kuratelę carskiej policji trafił. Ale na szczęście dobrze się to skończyło. Bracia także bali się o zarzuty, jakie za sprzyjanie Bonapartemu dostać można, bo Rosjanie grożą, że konfiskaty będą przeprowadzać i zsyłać wszystkich, co z armią Napoleona współpracowali. Ale Aleksander dla Litwinów pono łaskaw i nawet urzędników podprefektur i komisji Tymczasowego Rządu Litewskiego najęli na swoje usługi. Pragmatyzm za tym najpierwej stoi, bo o rosyjskich urzędników trudno, a nasi wszystko tutaj znają.

Dochodzą do nas straszliwe wieści o popalonych dworach i pomordowanych dziedzicach, czy to przez chłopów, czy przez zdziczałe hordy maruderów, które jak robactwo się rozpełzły po kraju. Szczęśliwam bardzo, że dom stoi i ocalał od tej zawieruchy.

Tajemnicę naszą utrzymuję i tylko Franzowi powiedziałam, żeby się nie martwił, że wieści mam od Ciebie i że dom w Bouteleur także ocalał.

Pan starosta i bratanica moja nie zamierzają jeszcze wracać z Królewca. Czekają, aż sytuacja bardziej się uspokoi i znowu będzie można bez strachu o życie w domu osiąść.

A więc ten tajemniczy konwój z wozami króla przepadł? Niepodobna, jaka to niezwykła historia. Może to i lepiej w obecnym czasie, bo za ukrywanie takiego spisku na Sybir całą rodzinę by wysłali, a majątek w konfiskatę by poszedł ani chybi. Podziwiam Cię, droga kuzynko, że na taki czyn się

odważyłaś i pojechałaś taki kawał drogi pomiędzy tymi wszystkimi zbójami po drogach grasującymi. Ja nie miałabym tyle odwagi. Dobrze, że pan Ksawery ci towarzyszył i że dzięki jego pomocy śladów po tych wydarzeniach w Bouteleur nie zostało żadnych.

Listy od Ciebie ukryję dobrze, tak żeby w niczyje ręce nie wpadły. Przesyłam Ci gorące słowa wsparcia i pociechy w tym niełatwym czasie.

Twoja oddana kuzynka i przyjaciółka

JB

Rozdział 30

Lasy pod Braślawiem

Karen obudziło słońce wpadające przez okno i prześwietlone zielenią liści. Przez moment wydawało jej się, że jest w Dalewie, dopóki wszystkiego sobie nie przypomniała. W normalnej sytuacji chętnie by jeszcze pospała, ale teraz, gdy tylko uświadomiła sobie, że wydarzenia poprzedniego dnia nie były snem, otworzyła szeroko oczy i usiadła, rozglądając się dookoła.

Wczoraj, gdy ludzie Sokołowa przyprowadzili ją tutaj, było ciemno, nie rozglądała się, a poza tym kładła się spać zszokowana, że są w Belmoncie. Tym legendarnym Belmoncie ciotki Elżbiety, Jadwigi Strutyńskiej, Mikołaja Manuzziego i jego syna, „królewicza” Stanisława.

Bardziej jednak niż wzruszała malownicza historia tego miejsca, niepokoiła ją lokalizacja.

Białoruś.

Co babcia mówiła? Że Belmont nawet przed wojną to były kresy kresów. No a teraz została wywieziona na te kresy kresów, gdzieś pod samą granicę z Rosją.

Rozejrzała się dookoła. W pomieszczeniu, w którym nocowała, stało łóżko, szafa, stół z dwoma krzesłami, a w jednej ze ścian zobaczyła drzwi do niewielkiej łazienki. Wszystko było stare i zużyte, a i samo wnętrze wyglądało tak, jakby cały budynek był zapuszczony i tylko naprędce wyrychtowany do użytkowania.

Weszła do łazienki. Gdy spojrzała na siebie w lustrze, przestraszyła się. Włosy w totalnym nieładzie i te koszmarnie podkrążone oczy. Efekt niewyspania, ale pewnie także narkotyku, który wczoraj jej podali.

Nie wiedzieć czemu, pierwsza jej myśl związana z aktualnym wyglądem dotyczyła Patryka. On ją oglądał wczoraj w takim stanie? A właśnie. Co

z Patrykiem?

Doprowadziła się do porządku, przynajmniej na tyle, na ile mogła, i wróciła do swojego pokoju. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

Barak stał w pewnym oddaleniu od tego dziedzińca, na którym wczoraj się zatrzymali. Był od niego oddzielony wąską asfaltową drogą. Za nią, dokładnie na wprost, widziała w pewnym oddaleniu rumowisko odkopanych pałacowych lochów, a po prawej wznosiło się wzgórze, na które zwróciła uwagę wczoraj w nocy. Po lewej zaś, za starymi owocowymi drzewami, stał stary budynek gospodarczy z kamienia i cegły.

Na dziedzińcu parkowało kilka samochodów.

Podeszła do drzwi i szarpnęła za klamkę. Oczywiście były zamknięte. Tak jak i okno, które można było wprawdzie otworzyć, ale zabezpieczała je krata. Poza tym dokąd miałyby uciekać? Bez dokumentów, na samym krańcu Białorusi. Może i żyli tu jeszcze jacyś potomkowie Polaków, ale raczej nie udzieliliby jej pomocy.

Zastanawiała się, czy Patryk także jest w tym baraku. Może w pokoju obok?

Słońce wskazywało, że jest jakaś siódma.

Rozejrzała się po wnętrzu jeszcze raz. Przypomniała sobie nagle te kretyńskie gry, w które całymi dniami i nocami grał Lasse i parę razy usiłował ją w nie wciągnąć. Co robi typowa bohaterka gry komputerowej, takiej klasycznej przygodówki, zamknięta w jakimś pomieszczeniu? Oczywiście sprawdza każdy kąt, żeby znaleźć fanty i przedmioty, które mogłyby jej się później przydać. O lekach i cudownych kryształach poprawiających sprawność manualną, względnie dających nadprzyrodzone zdolności, mogła raczej zapomnieć, ale może coś jednak znajdzie.

Karen zaczęła systematycznie przeglądać wszystkie zakamarki pokoju. W szafie wisiała stara kurtka przeciwdeszczowa. Raczej do niczego jej się nie przyda, ale po namyśle zaczęła przeszukiwać jej kieszenie. W jednej znalazła paczkę gumy do żucia i stare pudełko po papierosach, a w drugiej, niespodzianka!, małą latarkę. Wyjęła ją i schowała do kieszeni. Przejrzała wszystkie pozostałe miejsca, łącznie z szafkami w łazience oraz podłogą pod łóżkiem i za szafą, ale nic więcej już nie znalazła.

Skończyła w samą porę, bo na zewnątrz usłyszała czyjeś kroki, a po chwili zachrobotał klucz w zamku i drzwi stanęły otworem. Zobaczyła jednego z ochroniarzy Sokołowa.

– *Dawaj!* – Skinął do niej głową.

Karen poszła za mężczyzną. Na zewnątrz przy drodze czekał na nią, jak zwykle jowialnie uśmiechnięty, Sokołow.

– I jak się waćpannie spało? – spytał po polsku.

– Dziękuję, dobrze. – Karen rozejrzała się dookoła. Teraz spostrzegła, że owa asfaltowa droga, przebiegająca obok dziedzińca, z jednej strony prowadzi do wyjazdu na główną szosę, tuż obok tego budynku z kamienia i cegły, a w drugą stronę biegnie pod górę i omija wysokie, porośnięte lasem wzgórze. Przy dziedzińcu, po prawej stronie, u stóp wzgórza, stały dwa baraki, a obok nich wiata, w której wnętrzu widać było jakieś wielkie butle i zbiorniki.

Cały dziedziniec był rozjeżdżony przez samochody. Rosnące na nim samosiewy zostały wycięte, a na środku dostrzegła jakąś nową drewnianą konstrukcję, z której zwieszała się lina. Studnia?

– Gdzie jest Patryk? – spytała Sokołowa z nagłym niepokojem.

– Twój chłopak zaofiarował nam swoją pomoc. – Sokołow uśmiechnął się szeroko i wskazał ręką trwające przy fundamentach roboty. – A raczej przystał na naszą grzeczną propozycję.

Czyli zagonili go do kopania. Karen obrzuciła Rosjanina niechętnym spojrzeniem.

– Może chciałaby waćpanna, jak niegdyś prababki, przejść się po okolicy? – Sokołow nie ukrywał, że się dobrze bawi. – Toż wszystko tutaj, aż po horyzont, do rodziny waćpanny należało. – Zatoczył ręką dookoła.

– Nie woli pan pilnować swoich wykopów? – Karen rzuciła Rosjaninowi ironiczne spojrzenie. – A jak nagle odkryją ten osiemnastowieczny wehikuł czasu? Nie wolałby pan być przy tym?

Sokołow parsknął śmiechem i dwornie wskazał ręką kierunek.

– Wszystko jest pod kontrolą. Tędy, waćpanna.

Karen pomyślała, że powinna skorzystać z zaproszenia. Dzięki temu

rozejrzy się po okolicy pod kątem ewentualnych możliwości ucieczki.

Asfaltowa droga wspinała się łagodnie pod górę, by u szczytu, na rozstaju, rozdzielić się na drogę, która niknęła gdzieś wśród drzew wzgórza, i w drugą stronę, na prostą jak strzeżoną drogę, biegnącą najprawdopodobniej w kierunku wsi. Karen usiłowała sobie przypomnieć opisy topografii Belmontu, które roztaczała przed nią babcia. No i te nieliczne zdjęcia, które oglądała w babcinych albumach, ale wszystko to było bardzo mgliste. Poza tym opisy dotyczyły tego, jak wyglądało to miejsce przed wojną, a nie po siedemdziesięciu latach zniszczeń.

Na rozstaju Sokołow skręcił w drogę, która malowniczo wspinała się pod górę. Na jej końcu pomiędzy drzewami było widać niewielki budynek.

– Dzisiaj to klub wiejski i biblioteka. – Sokołow wskazał ręką obiekt obity brzydkim sidingiem, efekt remontu z lat dziewięćdziesiątych. – Miejscowi nazywają go dworkiem, ale to tylko dawna oficyna.

„Dworek” stał na stoku wzgórza, ale pod górę było jeszcze kawałek drogi. Za budynkiem pomiędzy drzewami majaczyły wielkie zabudowania z kamienia i drewna.

– Dawny folwark, prawie wszystko się zachowało – poinformował Sokołow, widząc, że Karen patrzy na dawne gospodarstwo. – Ze wzgórza jest piękny widok – zapewnił. Po chwili stanęli na jego szczycie.

Jezioro leżało u stóp wzniesienia, jakieś kilkanaście metrów niżej. Majaczyło między drzewami. Teren spadał łagodnymi tarasami w dół, a pomiędzy pniami starych dębów i świerków widać było okoliczne pola i lasy. Karen westchnęła z zachwytem. Nawet teraz widać było, jak nieziemski musiał być stąd niegdyś widok. To akurat pamiętała. Babcia opowiadała, że Belmont stał na wzniesieniu, z którego park schodził aż nad brzeg jeziora. Jak ono się nazywało? Drywiaty! Na jego drugim brzegu leży Brasław.

Spojrzała w tamtym kierunku, ale widok zanikał wśród liści.

Swoją drogą, pomyślała, że te tereny uniknęły jednak charakterystycznej dla Polski, barbarzyńskiej urbanizacji. Stawiania wszędzie bloków, odralniania przypadkowych pól pod zabudowę, bez dbałości o krajobraz i osie widokowe. Oczywiście nigdy by jej takie problemy nie powstały w głowie, gdyby nie to, że praktycznie za każdym razem, kiedy była w Polsce, narzekał na to wujek.

– Pięknie, prawda? – Sokołow oderwał ją od rozmyślenia o wuju i jego londyńskiej szajce. Wskazał ręką zbocze, które opadało łagodnie na południe.
– A tam leżą nasze ruiny.

– Naprawdę spodziewa się pan znaleźć w tych lochach napoleońskie skarby?

– Samo szukanie też jest niezłą zabawą. – Sokołow uśmiechnął się pod nosem. – Poza tym mam tutaj także inne interesy. Ale skoro pytasz, to tak, spodziewam się. I liczę na to, że jak dostanę w końcu to stare archiwum, zagadka wreszcie się wyjaśni.

– Kiedy wuj przyjeżdża? – Karen spojrzała czujnie na Rosjanina.

– Dzisiaj. Dzisiaj twój wujek ma przywieźć te papierzyska do Wilna. I lepiej, żeby nie próbował mnie wykiwać.

Karen stwierdziła, że tym razem uśmiech Sokołowa nie był ani jowialny, ani rubaszny. Raczej budził grozę.

– Odkopał pan ruiny pałacu, widziałam tam wczoraj zresztą schody prowadzące być może do jakichś starszych lochów. Skoro wie pan już, że to tutaj ukryto skarb, to czego jeszcze spodziewa się pan po tych archiwach?

– Nie wszystko jest jeszcze jasne, ale liczę, że w czwartek wszystko się wyjaśni.

– Dlaczego akurat w czwartek?

– Skoro według legendy ma to być w czwartek, to będziemy szukać w czwartek. – Twarz Rosjanina rozjaśniła się typowym złośliwym uśmiechem. – Tędy, waćpanna.

Meandrująca pomiędzy drzewami ścieżka prowadziła w dół zbocza i po chwili u jego stóp Karen zobaczyła odkopane ruiny pałacu. Wewnątrz nich uwijała się spora grupa robotników. I Karen nagle poczuła się niezręcznie, że chodzi po dawnym parku z tym bandziorem, a Patryk macha łopata.

Dlaczego w czwartek?

Idąc w dół zbocza, usiłowała rozszyfrować, co też Sokołow miał na myśli, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Zresztą wszystkie te rozważania uleciały jej z głowy, jak tylko zobaczyła Patryka.

Przebrany w jakieś zielone łachy z wojskowego demobilu przerzucał

łopatą gruz z wykopu.

Karen pomachała do niego ręką. Otarł pot z czoła i uśmiechnął się do niej.

Wokół wykopów kręciło się chyba z pięciu ochroniarzy. Karen dopiero teraz spostrzegła z przerażeniem, że każdy z nich miał pistolet. I to nie były byle pukawki, tylko osiemnastostrzałowe pistolety niemieckiej firmy Heckler & Koch. Bezużyteczna, zdawałoby się, wiedza z cholernych gier komputerowych Lassego przydała się ponownie. Takich pistoletów używała większość bohaterów przygodówek, z Larą Croft na czele.

Nagle rozległ się jakiś sygnał i robotnicy zaczęli rzucać łopaty i wygrzebywać się z rowu.

– Śniadanie. – Sokołow machnął ręką w kierunku drewnianych stołów, porozstawianych opodal jednego z baraków. Karen dopiero teraz je zauważyła. – Pewnie także jesteś głodna. Przy okazji będziecie sobie mogli pospiskować.

Rosjanin roześmiał się i poszedł w kierunku samochodów.

Chwilę później Karen usiadła obok Patryka przy jednym ze stołów. Robotnicy wokół głośno rozmawiali i śmiali się, wrywając sobie butelki z wodą mineralną i jakimiś sokami. Karen nagle zdała sobie sprawę, że jest bardzo gorąco.

– Zmusili cię do tego kopania? – zapytała Patryka z troską.

– Niezupełnie. – Patryk wypił spory łyk wody. – Gdybym nie zgodził się kopać, to pewnie by mnie gdzieś zamknęli. A tak miałem okazję się rozejrzeć. Wszystko naokoło jest ogrodzone. Rano nosiłem jakieś skrzynie z folwarku z za tego wzgórza. – Wskazał głową wzniesienie, skąd Karen dopiero co przyszła. – Droga ze wsi jest zamknięta, a wszędzie są płoty. Pewnie dostali od Białorusinów zezwolenie na prowadzenie badań.

– Badań?

– No a myślisz, że co? Musieli jakoś to nazwać. Domyślam się, że biorę udział w pracach archeologicznych. Ale patrz, co zdobyłem.

Patryk nachylił się do Karen i dyskretnie wyjął z kieszeni fragment jakiegoś stalowego przedmiotu.

– Latarka – szepnął. – Ci robotnicy dostali takie, nie wiem, po co. Może pracują po nocach. W każdym razie jednemu wypadła.

– Też znalazłam taką u siebie w pokoju – powiedziała szeptem Karen. – Tylko nie wiem, do czego miałyby się nam przydać.

– Nigdy nic nie wiadomo.

Patryk wbił zęby w bułkę i przez moment jadł, popijając sokiem.

– I mam pewne wątpliwości – powiedział po chwili, pochylając się do Karen.

– Jakie wątpliwości?

– Kiedy zajmowałem się sprawą spadku twojej babci, przeglądałem rozmaite źródła. Zresztą nawet w tych archiwaliach były stare plany gospodarcze. Nie mówiąc o Google Earth.

– I co w związku z tym?

– Pałac w Belmoncie był jedną z największych rezydencji dawnej Rzeczypospolitej. Mikołaj Manuzzi postawił go na wzór carskiego pałacu w Peterhofie, na planie wydłużonego prostokąta. W rzucie miał ponad sto metrów długości.

Karen parsknęła śmiechem.

– Jakbym słuchała swojego wujka, słowo daję.

– To popatrz teraz na te wykopaliska. Są założone na planie litery E z podwórcem wewnątrz. A długość całości nie przekracza nawet czterdziestu metrów.

Karen spojrzała w kierunku rozkopanych fundamentów. Zaraz. O czym myślała tam na szczycie wzniesienia? Że Belmont leżał na stoku opadającym w kierunku Drywiat. A te wykopaliska leżą przecież u stóp wzgórza, wprawdzie też powyżej jeziora, ale jednak nie w taki sposób.

– Poza tym Belmont leżał na wielkim cyplu nad Drywiatami – kontynuował Patryk, jakby czytając jej w myślach. – I był tam ogromny park. To do dzisiaj zachowany największy park pałacowy na Białorusi, prawie sto hektarów. A ile może być tutaj? Z dziesięć?

Patryk przytaknął i spojrzał w kierunku wzgórza.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale to na pewno nie Belmont.

Rozdział 31

Dalewo, niedaleko Szczecina

Samolot irlandzkich linii lotniczych obsługujących połączenie Wielkiej Brytanii ze Szczecinem wylądował w podgoleniowskich lasach dokładnie o dwudziestej pierwszej trzydzięci. Słońce zaszło pół godziny wcześniej, więc niebo nad lotniskiem było już granatowe i tylko nad drzewami na zachodzie jaśniało szarobłękitem wymieszanym z brudnoczerwonymi maźnięciami pędzla.

Wynajęty zdalnie samochód czekał na szczęście już na parkingu przed terminalem, a sympatyczny młodzieniec w biurze wypożyczalni w hali przylotów miał już przygotowane papiery i kluczyki. Igor obawiał się, że rezerwacja zniknie z systemu, a obsługa uzna go za oszusta, po czym godzinę później okaże się, że samochód został podstawiony na lotnisku w Radomiu. Wszystko wbrew czarnowidztwu Igora odbyło się jednak sprawnie.

Ani Johann, ani Gwen, od dzieciństwa wychowani w kraju, gdzie wszystkie instytucje, urzędy i obsługa klienta działały przewidywalnie, choć oczywiście nie zawsze idealnie, nie potrafili oczywiście zrozumieć fatalizmu Igora. Na szczęście dziesięć minut po tym jak odebrali kluczyki, znaleźli się na drodze ekspresowej S6, a kilkanaście kilometrów później zjechali na boczne drogi i ruszyli w kierunku Dalewa.

Gdy granatowy renault megane wjechał pomiędzy pierwsze zabudowania wsi, było już całkiem ciemno. Brama na teren gospodarstwa agroturystycznego rodziców Igora była otwarta na oścież, a w głębi podwórza widać było dom, w którym na parterze paliły się wszystkie światła.

Od strony jeziora i niewielkiego zagajnika, gdzie stały domki letniskowe dla turystów, dochodziła głośna muzyka i śmiechy.

– Karen pojechała z Dermotem i Alice do Szkocji – powiedział Johann, rzucając Igorowi porozumiewawcze spojrzenie. – Pamiętasz?

– Tak. Po co miałyby jechać z nami do Dalewa, gdzie była setki razy, a w Szkocji nigdy – dodał Igor pod nosem bez przekonania, tak jakby sam siebie chciał w tym utwierdzić.

– Idziemy – westchnęła Gwen i otworzyła drzwi samochodu.

Po chwili znaleźli się w holu, gdzie powitała ich Anna, głośno wyrażając swoje niezadowolenie z powodu wyjątkowej lekkomyślności syna, który mógł przecież wcześniej powiadomić o ich przyjeździe. Wtedy można byłoby przygotować znacznie lepsze pokoje, a tak nie mogła przecież wyrzucić letników z domu.

– Prawdę mówiąc, twoja matka chciała to zrobić, ale ją powstrzymałem – dodał Edward, witając się z synem.

Johann i Gwen dopełnili ceremoniału, przepraszając za kłopot i przyjazd bez wcześniejszego uprzedzenia, i w końcu wszyscy znaleźli się w kuchni, gdzie czekał stół uginający się od różnorodnych dóbr.

– Mamo... – jęknął Igor.

– Co mam? Co mam? – ofuknęła Anna syna. – Ty sobie możesz głodować, ale pan Johann na pewno chętnie zje moje drożdżowe ciastka.

– Oczywiście! – Johann usiadł przy stole i z entuzjazmem sięgnął po ociekające lukrem ciacho. – Nie ma lepszych w Europie.

Wybiła dwudziesta trzecia, gdy po tym jak ulokowali się w swoich pokojach, zeszli na dół i znaleźli się znowu wprawdzie w kuchni, ale tym razem przy pustym stole, na którym leżały stare albumy i księgi.

Pani Anna zamknęła za sobą drzwi i położyła na stole jeszcze kilka grubych teczek.

– Przygotowałam wszystko, co znalazłam na ten temat, ale Karen już to wszystko oglądała, więc nie wiem, czy coś to pomoże. Igor oczywiście nie chce się przyznać, po co wam są potrzebne te wszystkie informacje, ale ja aż taka głupia, jak sądzi mój syn, to nie jestem.

Igor wzniosł oczy do nieba.

– Mamo, nikt przecież nie mówi, że jesteś głupia...

– Wprawdzie trudno mi uwierzyć, że ktoś w ogóle może brać na poważnie te rodzinne legendy, które nasze babki i ciotki powtarzały od dwustu lat, ale

jeśli was to naprawdę interesuje...

– À propos ciotek... – przerwał matce Igor i położył na stole kartki, które przywieźli ze sobą z Londynu. – Kojarzysz kogoś z rodziny o inicjałach JB? Z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku?

Podsunał matce jeden z listów, które Gwen przetłumaczyła z francuskiego na angielski, a on potem przełożył na język polski.

Pani Anna sięgnęła do kieszeni i włożyła okulary.

– Ta JB najwyraźniej komuś tutaj odpisuje. Wspomina o jakimś château Bouteleur, który dostał w posagu małżonek córki szwagra... Chryste! Nawet powtórzyć tego się nie da. Kojarzysz coś w ogóle z tego? Jakiś Franz się w tym zamku Bouteleur wychował. I kto to jest Monroi?

– Poczekaj, aż przeczytam – zniecierpliwiła się Anna, usiłując skupić uwagę na treści listu. – Jak mi tak gadasz nad głową, to przecież nic sobie nie przypominę. Córka Leonarda... – Anna potarła czoło z namysłem.

– A ten cały król? O jakiego króla może chodzić? Chyba nie o Stanisława Augusta?

– Skąd się to w ogóle wzięło? – Anna spojrzała znad okularów na Johanna i Gwen.

– Te listy były ukryte, zaklejone, w takim starym kalendarzu – odpowiedziała Gwen.

– W kufrach ciotki Elżbiety? – zapytała matka Igora.

Igor przytaknął.

– Założyliśmy, że skoro te listy były w archiwum Belmontu, w dodatku w kalendarzu z Belmontu, to adresatką była jakaś kobieta stamtąd właśnie. W tysiąc osiemset dwunastym! – Igor patrzył na matkę z napięciem. – Kto z Belmontu mógł pisać do tej jakiejś JB?

Anna nagle pobladła. Powoli sięgnęła po okulary i zdjęła je, wpatrując się w przestrzeń.

– Boże! Te listy są po francusku! – powiedziała cicho.

– No po francusku. – Igor spojrzał na matkę z irytacją. – Takie czasy. Urzędowe pisma po rosyjsku, a prywatna korespondencja po francusku. Oto Polska.

– Mój Boże! – Anna wpatrywała się w okno. – Że też ja ich nie zabrałam stamtąd. Ale ten kufer był dość ciężki, a ojciec na zewnątrz gadał z tą straszną babą...

– Mamo! O czym ty mówisz? Jaką babą?

– Znalazłam taką starą korespondencję. Była razem z listami cioci Jadwini do tego całego Francuza. Teraz, jak spojrzalam na te listy tutaj, przypomniałam sobie datę na tamtych. Tysiąc osiemset dwanaście!

– Ale gdzie znalazłaś? – Igor wpatrywał się w matkę bezradnie.

– W domu na Pogodnie. Na strychu. – Anna włożyła okulary i ponownie pochyliła się nad trzymaną w ręku kartką. – Tam były inicjały KM. Pamiętam. A skoro... No oczywiście!

Anna podniosła wzrok i spojrzała na Johanna i Gwen z triumfem.

– KM to Konstancja Manuzzi, żona Stanisława „królewicza” Manuzziego! Gwen nagle klepnęła się w czoło.

– Monroi! Teraz to jest zrozumiałe. Mój królewicz! Tak go nazywała.

– Dzwoniłam do ciebie przedwczoraj, żeby ci o tym powiedzieć – wspomniała Anna i spojrzała na Igora z wyrzutem. – Oczywiście, jak zwykle nie miałeś czasu posłuchać, a teraz, proszę, dwa dni nawet nie minęły i już wracasz do matki z pytaniami...

– Mamo... – Igor znowu westchnął. – Mówiłaś wtedy coś jeszcze. Konstancja tak, ale pamiętam, że napomknęłaś jeszcze o kimś, jakieś listy miłosne czy coś...

– Joachim Murat. – Anna sięgnęła po kartki z tłumaczeniem. – Marszałek Napoleona, król Neapolu. W drodze na Moskwę oddziały pod jego dowództwem zatrzymały się w Belmoncie. To znaczy armia stała w Opsie, a on sam po sąsiedzku w Belmoncie. To wtedy rzekomo miał romans z Konstancją. Całymi latami różni kronikarze pisali, że to bajdy, do czasu, gdy we Francji nie odnalazły się wiersze, które Murat pisał dla Konstancji.

– Czyli to był ten król... – Gwen sięgnęła po jeden z listów. – I to on wysłał jakieś tabory z ładunkiem do Brasławia.

– Ale to wszystko zmienia! – Anna zdjęła okulary i wytarła je o brzeg fartucha. – Niestety, ale wynika z tego, że nasza rodzina nic z tym skarbem

wspólnego nie miała.

– Dlaczego? – Igor, który przeglądał właśnie w Wikipedii stronę poświęconą Joachimowi Muratowi, spojrział na matkę zaskoczony.

– Konstancja była z domu Broel-Plater. Jeśli ona koresponduje tutaj z jakąś swoją kuzynką, to wychodzi jednak na to, że ciotka Elżbieta pisząc o zamku na ziemiach rodziny męża, miała na myśli Feliksa, swojego pierwszego męża. Ten zamek Bouteleur to mógł być jakiś ich majątek na Litwie albo w Inflantach. Nawet przecież pisze tutaj, że gospodarze są za kordonem...

Igor pomyślał, że dopiero co, wczoraj, to samo mówił Johannowi.

– Co to jest kordon?

– Po zaborach tak mówiono o granicy między Rosją a Prusami. A tu, proszę. – Anna pokazała palcem odpowiedni ustęp w liście. – Tutaj pisze przecież o Królewcu, że jakiś pan starosta z jej bratanicą, czyli gospodarze zamku w Bouteleur, jak należy się domyślać, jeszcze bawią w Królewcu.

– Gdzie jest to Pogodno? – Johann spojrział na Igora. – Co to w ogóle jest?

– Co? – Igor w pierwszej chwili nie zrozumiał pytania. – Aha... Dzielnica w Szczecinie. Mieszkaliśmy tam jeszcze, jak zaczynałem studia.

– Wszystko się pewnie wyjaśni w listach od tej Konstancji. Musimy po nie jechać.

– Teraz?!

– A kiedy? Jutro przecież musimy być... – Johann przerwał i spojrział na Annę – w Warszawie!

– W Warszawie? – Matka Igora podniosła wzrok na syna. – Nie mówiłeś, że wybieracie się do Warszawy.

– Oj, bo to są takie nieważne sprawy. – Igor skrzywił się lekceważąco. – Ciągle chodzi o ten francuski kufer i załatwienie dokumentów potwierdzających do niego prawa. Gwen i Johann chcieli przy okazji zobaczyć Warszawę.

– A to nie do mnie powinni się z tym zwrócić? Przecież jeśli chodzi o potwierdzenie prawa do dziedziczenia...

– A po co mieli ci zawracać głowę? Kancelaria warszawska ma twoje

pełnomocnictwo. Sama im je wystawiłaś.

Johann rzucił Igorowi porozumiewawcze spojrzenie i wstał.

– To jedźmy na to Pogodno. Umieram z ciekawości, co było w listach Konstancji.

– Teraz chcecie jechać do Szczecina? – Anna patrzyła zdumiona na syna i jego przyjaciół. – Poszaleliście? W nocy?

– Obrócimy w godzinę, co za problem.

– Jaką godzinę? Co ty opowiadasz? Od razu widać, jak często tu do nas przyjeżdżasz. Ale to ja muszę w takim razie jechać z wami – powiedziała Anna zdecydowanie.

Podniosła się i ruszyła do drzwi.

– Nie poradzicie sobie sami, a jeszcze wezmą was za złodziei.

– Ale, mamo, po nocy chcesz jeździć?

– A to ty możesz po nocy jeździć, a ja nie?

– Przecież ja tam mieszkałem dwadzieścia lat – jęknął Igor. – Wiem, jak trafić.

– Mnie też się wydawało, że to takie proste...

Czterdzieści minut później wypożyczony na lotnisku renault megane wjeżdżał w ulicę Ludwika Waryńskiego. Minął stylowe szeregowce, przejechał przez mały plac i zatrzymał się pod koronami starych drzew. Tuż obok pogrążonego w całkowitej ciemności opuszczonego domostwa.

– Tylko bądźcie cicho, żeby to się zaraz źle nie skończyło. – Anna otworzyła torebkę i zaczęła przeczesać jej wnętrze w poszukiwaniu kluczy.

Po chwili pochyliła się i wetknęła klucz w zamek. Pchnięta furtka zaskrzypiała potępieńczo.

– Chryste! – szepnęła przestraszona. – W dzień to aż tak nie słychać.

Przemknęli wąskim chodnikiem z koślawych płyt chodnikowych i wspięli się na schodki do ganku wejściowego.

Anna zaczęła przekładać klucze, szukając tego pasującego do zamka.

- Pośpiesz się, mammo – syknął Igor. – Bo zaraz ktoś policję wezwie.
- A chciałeś tutaj sam jechać.

Trzeci z kilku takich samych kluczy okazał się tym właściwym i drzwi stanęły otworem.

- Nie zapalaj światła. – Igor wyminął matkę i wszedł do przedsiionka.

Anna ostrożnie zamknęła drzwi za Gwen i Johannem i wskazała im ręką hol ze schodami. Po chwili, torując sobie drogę światłem aplikacji latarek, wspięli się na piętro i stanęli przy schodach na strych.

- Czyli tutaj się urodził Igor? – zapytała cicho Gwen.

– On tak. – Anna kiwnęła głową. – Ale Natasza miała już sześć lat, jak się tutaj wprowadziliśmy.

– Czemu my się tutaj właściwie włamujemy? To nie jest już wasz dom? – Johann ruszył za Igorem, który uporał się w końcu z kluczem tkwiącym w drzwiach prowadzących na strychowe schody i zaczął się po nich wspinać.

- Kuzynów, ale mama coś nakręciła z nimi...

– Niczego nie nakręciłam – odezwała się oburzonym szeptem matka. – Obiecałam, że będziemy mieć pieczę nad domem w czasie ich pobytu w Australii, tylko że twojemu ojcu nigdy się nie chciało przyjeżdżać i w końcu poprosili sąsiadkę, żeby pilnowała.

– Czyli jest jednak jeszcze szansa, że spędzimy wszyscy resztę tej nocy w areszcie.

- Nie opowiadaj głupot.

Anna przekręciła włącznik i światło zalało środek strychu mdłym żółtawym światłem.

– Mówiłem, żebyś nie zapalała! – Igor przekręcił wyłącznik z powrotem i dziesiątki pudeł i skrzyń, poustawianych w stertach pod ścianami, tak jak nagle się pojawiło, tak nagle zniknęło w ciemności.

– Zapomniałam. Tam to było. – Anna wycelowała palec w kierunku małego okienka w ścianie szczytowej, zza którego dochodziły światła z ulicy, i po chwili trzy snopy latarek skrzyżowały się na stercie starych pudeł.

– Tam są stare rzeczy po cioci Jadwini, które przyjechały tutaj jeszcze z Warszawy. O! To ten kuferek!

Anna ukucnęła przy stercie rozmaitych maneli i przeciągnęła skrzynkę po zakurzonej podłodze. Otworzyła wieko i odetchnęła z ulgą. Jakiś przekorny głos podpowiadał jej przez całą drogę, że kuferek zostanie pusty, a po listach nawet śladu nie będzie.

W środku, upchnięte jedna obok drugiej, nadal leżały stare pozółkłe koperty.

Wyciągnęła plik najstarszych, tych, które miały ślady ognia, i rozłożyła pierwszy z samego wierzchu.

– *Mon Dieu...* – wyjąkała nabożnym szeptem Gwen.

– To są te listy? – Johann patrzył na nią niecierpliwie.

– Ale jest ich tutaj chyba więcej? – Igor ukucnął obok matki i sięgnął po kolejną kopertę. – Boże! Mieliśmy to przez całe moje życie? – Spojrzał na matkę z niedowierzaniem. – I nigdy mi nie powiedziałaś?

Anna się zirytowała.

– Tysiące razy usiłowałam ci opowiadać o rodzinie, ale ty nigdy nie słuchałeś.

– A tu są jakieś plany. – Igor pochylił się nad większą, pozółkłą kartą. – To też jakiś stary projekt. Jezu! To fascynujące.

– Skupmy się na listach – odezwał się Johann. – To są na pewno te?

Gwen przeleciała wzrokiem po treści pierwszego listu i pokręciła głową.

– To nie ta data. Ten list jest z końca tysiąc osiemset trzynastego. Konstancja najwyraźniej schowała tylko te, które dotyczyły sprawy z królem, ale ta kuzynka zachowała całą korespondencję.

– To będzie trzeba przejrzeć wszystkie po kolei. – Anna przesunęła palcem po pliku kopert.

– Ale to coś się nie zgadza. – Igor spojrzął w zamyśleniu w przestrzeń. Wokół, w świetle palących się światełek telefonów, migotały unoszące się w powietrzu drobiny kurzu.

– Co niby? – Gwen podniosła wzrok znad listu.

– Jeśli nasza rodzina nie miała nic wspólnego ze skarbem i to była tajemnica Platerów, skąd te listy wzięły się niby u cioci Jadwini?

– Potem będziemy się nad tym zastanawiać – stwierdziła matka Igora

i podniosła się. – Lepiej chodźmy stąd, zanim ktoś się zorientuje, że tu myszkujemy. Weźcie ten kufer, chłopcy, on wcale nie jest taki lekki.

Chwilę później trzy smugi światła latarek zatańczyły na zakurzonej podłodze i cała czwórka znalazła się na schodach.

Przez okno w korytarzu na piętrze wpadało do wnętrza domu blade światło ulicznej latarni.

Zeszli na parter, minęli hol i nadal sobie przyświecając komórkami, znaleźli się w przedsiionku. Igor otworzył drzwi i razem z Johannem wytargali kufer na zewnątrz i postawili go na podeście zewnętrznych schodów.

Z otaczającej dom gęstej, rozrośniętej bez żadnego nadzoru zieleni dochodziły szmery i piski jakichś nocnych stworzonek. Z oddali słyhać było szum ulicy.

Anna głęboko odetchnęła i wsunęła klucz w zamek.

– Kto tam jest?!

Głos, który rozległ się niespodziewanie zza gęstego na szczęście żywopłotu z żywotników, sprawił, że wszyscy podskoczyli, a Anna upuściła klucze, które z brzękiem upadły na betonowy podest.

– Chryste! To ta koszmarna baba – szepnęła.

– Kto tam jest?! I co robi?!

Igor syknął do Johanna i obaj chwycili kufer. Matka schowała klucze do torebki i na palcach ruszyła w kierunku furtki.

– Zaraz milicję wzywam! – Kobięcy głos zza żywopłotu podniósł się o kolejną oktawę. – Jak nie odpowie, co robi, to wzywam milicję!

Igor przystanął niezdecydowanie jakiś metr od furtki i odwrócił się do matki.

Dotarło do niego, że jak wyjdą teraz przez furtkę na ulicę, to będą doskonale widoczni ze schodów sąsiedniego domu, a stamtąd właśnie słyhać było napastliwy głos.

– Słyszałam kroki! Niech sobie nie myśli! Ostatni raz pytam, co tam robi?!

Anna stanęła za plecami Johanna i wzniosła oczy do nieba.

– Idę dzwonić po milicję! – Z sąsiedniego ogrodu rozległy się kroki i po chwili trzaśnięcie drzwiami.

– Teraz! – Anna stuknęła w plecy Johanna. – Teraz! Póki ona dzwoni po tę milicję!

Igor szarpnął furtkę i wypadli z Johannem na chodnik. Renault stał kilka metrów dalej, schowany za pniem starej lipy.

Gwen otworzyła drzwi i po chwili kufer znalazł się na tylnym siedzeniu.

– Mamo! – syknął Igor, oglądając się za Anną. – Co ty robisz? Pośpiesz się! Ta baba zaraz znowu wyjdzie!

– Ciszej! Furtkę przecież zamykam. – Matka wrzuciła klucz do torebki i na palcach podbiegła do samochodu.

Po chwili w ciszy spokojnej uliczki rozległ się pomruk silnika, granatowy renault ruszył z miejsca i potoczył się w kierunku wyjazdu na główną drogę.

Godzinę później znaleźli się ponownie w kuchni w Dalewie. Kilka minut temu minęła pierwsza. Znad jeziora nadal dochodziły śmiechy i coraz bardziej bełkotliwa głośna paplanina.

– Już miałem po policję dzwonić – przywitał ich na progu Edward, wpatrując się z naganą w swoją małżonkę. – Co cię napadło, żeby się młodym narzucać? Przez ciebie musieli wracać tak wcześnie.

– Co ty za głupoty opowiadasz? Jakie wcześnie? Jest pierwsza. – Anna obrzuciła męża pobłażliwym spojrzeniem.

– No jak na życie nocne, to wcześnie. – Edward wpatrywał się w żonę podejrzliwie.

– Jakie życie nocne? Przecież bym nie jechała z nimi, gdyby wybierali się do nocnego klubu! Coś ty wymyślił? Poza tym głupoty gadasz i oni zaraz usłyszą. Nie wiadomo, ile ci Anglicy Igora już rozumieją po polsku.

– To gdzieś ty była?

– Oj, potem ci opowiem. – Anna machnęła ręką i rzucając porozumiewawcze spojrzenia w kierunku Johanna i Gwen, weszła do kuchni.

Ojciec Igora, mrużąc pod nosem coś o durnowatej konspiracji, wycofał się w głąb domu.

Anna po krótkim namyśle nastawiła wodę na herbatę.

Tymczasem Gwen i Johann przeglądali po kolei stare listy.

– Jest! – krzyknęła nagle Gwen, wyciągając jedną z pożółkłych kartek, i z namaszczaniem położyła ją na stole. – Z czternastego lipca. To musi być pierwszy z listów, bo nie ma żadnego innego przed dwudziestym czwartym.

– I co tam jest? – Igor zerwał się i zajął jej przez ramię.

– Szukajcie dwóch pozostałych, a ja spróbuję przetłumaczyć.

– Kolejne odpowiedzi były z dwudziestego trzeciego grudnia i dwunastego lutego. – Johann zaczął rozkładać kolejne kartki.

– Mam tutaj z dwudziestego ósmego stycznia – odezwał się po chwili Igor.

– Odłóż na bok. – Johann sięgnął po kolejną kopertę. – Swoją drogą, powinniście to jakoś zabezpieczyć, to przecież zabytki. A biorąc pod uwagę, że dotyczą tak znanych ludzi, to możliwe, że i niemało warte.

– Nikt tam całymi latami nie zaglądał. – Anna uśmiechnęła się usprawiedliwiająco i postawiła na stole tacę z czajnikami i filiżankami. – Sama się nie spodziewałam, że w szpargałach po ciotce zostały takie rzeczy.

– À propos... – Igor podniósł wzrok znad kupki listów. – Cały czas się zastanawiam, jak to się stało w takim razie, że te listy znalazły się u cioci Jadwini?

Teoria matki, że tajemnica z testamentu dotyczyła rodziny Platerów, nie tłumaczyła także tego, skąd w kufrze ciotki Jadwigi wzięła się srebrna blacha, ale o tym akurat Igor nie mógł z matką porozmawiać.

– Czy mogłabym dostać coś do pisania? – Gwen odwróciła się nagle do Igora.

– Już ci daję, dziecko. – Anna zerwała się i wyszła do holu, skąd po chwili wróciła z brulionem i mazakiem.

– Jest! – wykrzyknął nagle Johann. – Z siedemnastego grudnia. I widzę tu, że jest coś o Muracie. Zatem to musi być ten. To mamy komplet.

Gwen sięgnęła po kolejny list i zaczęła czytać, cały czas coś na boku notując. Gdy dobiegła do końca, sięgnęła po trzecie pismo. Widać było, że korespondencja sprzed dwustu lat ogromnie ją wciągnęła. Skupiła się na niej

do tego stopnia, że ledwie zauważała, że w kuchni jest jeszcze ktoś poza nią.

– To niezły thriller... – podsumowała w końcu, odkładając na bok ostatni z listów. Następnie wzięła wszystkie sześć i ułożyła chronologicznie na stole.

– Ten pierwszy list potwierdza, że rzeczywiście chodzi o marszałka Joachima Murata, wprawdzie nigdzie nie padła nazwa Belmont, ale wydaje mi się, że to oczywiste. – Gwen dotknęła palcami pierwszego z listów, jakby nie mogła jeszcze wrócić do rzeczywistości z okresu wojen napoleońskich. –

Na początku Konstancja zwraca się do swojej kuzynki, odwołując się do wspólnych wakacji w majątku jej ojca – zajrzała do pisma – w Krasławiu. –

Spojrzała na matkę Igora, jakby spodziewając się, że nazwa miejscowości nie będzie jej obca.

– No to kolejne potwierdzenie, że ta legenda dotyczy rodziny Platerów. – Anna pokiwała głową. – Krasław to miasteczko na północ od Belmontu, dawne dobra Platerów. Pałac nadal stoi, jest odremontowany. Dzisiaj to jest Łotwa.

– Konstancja pisze o jakimś sporze rodzinnym, który poróżnił ich rodziny, ale to chyba mało ważne. A potem wspomina o tym, że na początku wojny stacjonował w Belmoncie rosyjski dowódca, marszałek Michaił Barclay de Tolly, a zaraz po nim, jak tylko Rosja się wycofała, właśnie Joachim Murat. Jego armia stanęła w Opsie, a on sam zatrzymał się w pałacu w Belmoncie, czyli dokładnie jak pani powiedziała. – Gwen uśmiechnęła się do matki Igora. – Chyba rzeczywiście mieli ten romans, bo ona opisuje marszałka w dosyć pikantny sposób.

– Czyli jak? – zainteresował się Igor.

– Porównuje go do arabskiego ogiera, w przeciwieństwie do zwykłego rasowego konia, jakim według niej, przy Muracie, był jej Monroi.

Igor parsknął.

– Nieźle.

– Stanisław „królewicz”, jeśli wierzyć rozmaitym kronikarzom, był bardzo łagodnej natury – wtrąciła Anna. – Podobno straszliwie go męczyły nieustanne bale, które Konstancja urządziła w Belmoncie, i co rusz uciekał do Uciany, do rodziny matki.

– No to by się zgadzało – uśmiechnęła się Gwen. – Pewnie się przy nim

nudziła. Kończy list zapytaniem o zamek w Bouteleur i o zdrowie jakiegoś królewskiego kamerdynera, który, jak mi się zdaje, mógł być albo ojcem tej kuzynki, albo mężem. Stawiam na męża.

– Kamerdynera? Gwen chodzi o cześnika chyba? – Igor spojrział na matkę, słysząc angielski tytuł, który, jak szybko sprawdził w Wikipedii, pochodził od dawnego zaufanego króla, opiekującego się piwnicą z trunkami.

– Też tak sędzę – zgodziła się Anna.

– I teraz odpowiedź tej całej JB. – Gwen zajrzała do swoich notatek. – Na początek informacja, dzięki której może uda się ją zdemaskować. Miała czterech braci, a jeden z nich miał na imię Adam. – Spojrzała z nadzieją na Annę. – Dalej pojawia się informacja, że nowym właścicielem tego zamku w Bouteleur jest mąż córki jej szwagra Leonarda. Potem pada imię jej męża, Franz, a przynajmniej ona tak go nazywa.

– To zaczyna przypominać jakąś łamigłówkę logiczną – mruknął Igor.

– Poszukiwania genealogiczne generalnie przypominają rebusy – wtrąciła Anna. – Czasem rachunek prawdopodobieństwa. W Inflantach były bardzo silne wpływy niemieckie. To mogła być jakaś pruska rodzina.

– Więc tak... – odezwał się Johann. – Bracia Leonard i Franz. Franz to mąż tej Platerówny JB, a jego brat Leonard ma córkę, która wyszła za mąż za jakiegoś starostę pomorskiego, o czym pisze na końcu, że się schronili u rodziny za kordonem. To tłumaczyłoby te niemieckie wpływy. A czemu pomorskiego?

– Pojęcia nie mam! – przyznała Anna.

– Następnie pojawia się jakiś tajemniczy szambelan Konstancji – Gwen na moment zawiesiła głos – Ksawery. Jego ojciec, starosta olszewski, za udział w insurekcji kościuszkowskiej stracił majątek, a syn musiał szukać roboty. I najważniejsze, ten Ksawery to kuzyn starosty pomorskiego.

– To straszne. Ja się już pogubiłem – jęknął Igor.

– I na koniec cenna informacja o zamku. – Gwen pokazała palcem odpowiedni ustęp w tekście. – Przez lata gospodarowali tam jacyś bracia. Czy chodzi o braci tej Platerówny?

– A może o jakiś zakon? – odezwał się Johann.

Igor pokiwał głową. Faktycznie, to nie przyszło mu do głowy, gdy

wcześniej o tym czytał w liście.

Gwen odsunęła na bok drugi list i sięgnęła po kolejny.

– A od drugiego pisma Konstancji zaczyna się już prawdziwa akcja. Przetłumaczyłam całość. – Podała kartki Annie.

Igor pochylił się w stronę matki i zaczął czytać. Po chwili parsknął z niedowierzaniem.

– *Obiecałem puścić ich wolno, jeśli zabiorą pięć wozów ze skarbem i bezcennym urządzeniem, które z Moskwy zabrałem, a które kolosalną przewagę w wojnie przynieść nam jeszcze może...* – przeczytał głośno i spojrzał na Johanna i Gwen. – A myśmy myśleli, że to jakaś lalka z mechanizmem zegarowym. Pojęcia nie mam, o co może tutaj chodzić. – Spojrzał osłupiały na Johanna i Gwen.

– Wunderwaffe z osiemnastego wieku – skomentował Johann.

– Szkoda, że nie ma Dermota. On pewnie by wiedział, jaką maszynę chciał wybudować Aleksander Pierwszy.

– Wpisywałem w Google rozmaite określenia. – Johann uniósł głowę znad tabletu. – Machina Aleksandra Pierwszego, machina z czasów wojen napoleońskich, cudowna broń cara Aleksandra. Nic się nie pojawia. Przecież to jakiś kosmos. W necie powinno być sporo na ten temat.

– Natomiast w odpowiedzi JB nie ma nic ciekawego. – Gwen, przerywając wątek tajemniczej maszyny, przesunęła kolejny list na bok i sięgnęła po ostatnią kartkę. – Za to trzeci list Konstancji to już prawdziwy thriller.

– Stanisław rzeczywiście miał kłopoty z carską policją. – Anna podniosła w końcu głowę znad tłumaczenia i z namysłem wpatrywała się w przestrzeń. – Belmont był nawet w sekwestrze przez pewien czas.

– I są tutaj kolejne puzzle dotyczące tego upiornego zamku. – Igor wskazał matce palcem fragment tekstu. – Lipowa aleja pamiętająca hrabiego Mikołaja. Nic ci się nie kojarzy?

– Jeśli to był dom Platerów, to jak ma mi się kojarzyć – zniecierpliwiła się Anna. – Zgłębiałam tylko dzieje naszej rodziny. I jestem matematyczką. Nie kończyłam historii.

– Ważniejszą informacją jest to, że Konstancja wybrała się tam o świącie,

a wróciła do Belmontu przed zmrokiem – odezwał się Johann. – To zawęża poszukiwania.

– Racja. – Igor sięgnął po tablet.

Po chwili wszyscy czworo wpatrywali się w mapę okolic Brasławia.

Igor wziął brulion i zaczął notować.

– Zakładając, że poruszała się jakimś powozem...

– Prędeż saniami – wtrąciła matka Igora. – To była przecież ta napoleońska zima. Minus dwadzieścia pięć stopni.

– Racja – zgodził się Igor. – Zatem zakładając, że wyjechała tuż po wschodzie słońca, a wróciła tuż po zachodzie, a w dodatku była połowa grudnia, no to zbyt wiele czasu to ona nie miała. Od jakiejś ósmej do szesnastej.

– Nie wiemy, co miała na myśli, pisząc „świt” i „przed nocą”. – Gwen patrzyła z powątpiewaniem na notatki Igora. – Zazwyczaj pewnie dama z jej sfery, hrabianka, wstawiała około dziewiątej, ale jeśli naprawdę chciała zachować pozory, to na przegląd dóbr mogła wyjechać i o szóstej.

– Nie przesadzaj – stwierdził Johann. – Po ciemku by nie jechali. Za to przed nocą to mogło być rzeczywiście trochę później. Słońce zachodzi o szesnastej, ale jeszcze przez dwie godziny jest szarówka. Mogła mieć na myśli moment, gdy zazwyczaj kładli się spać u niej w Belmontie.

– Czyli można założyć, że około dwudziestej pierwszej – wtrąciła Anna.

Wzięła mazak i także zaczęła notować.

– Zatem zakładając, że prędkość sań to jakieś, powiedzmy, sześć kilometrów na godzinę, uwzględniając to, co tam robili...

– Właśnie – przytaknęła Gwen. – Zakopanie tych trupów w zamrzniętej ziemi...

– Napisała, że mróz zelżał naonczas – wtrącił Johann.

– Nieważne. – Anna machnęła ręką. – Musimy coś założyć. Zakładam, że spędzili w zamku jakieś cztery godziny. Jeśli wyjechali o siódmej, a uśredniając, wrócili o ósmej, daje nam to po cztery i pół godziny na podróż, czyli...

– Zatrzymali się w Opsie! – Igor nagle podniósł głowę.

– No to po cztery godziny...

– Ale skoro zatrzymali się w Opsie, to musieli jechać w kierunku południowo-wschodnim!

– Racja! – Johann sięgnął po tablet i ponownie otworzył mapę.

– Tak czy inaczej, to tylko jakieś dwadzieścia pięć kilometrów.

– Chyba trochę za małą prędkość przyjęłaś. – Igor spojrział na ekran swojego smartfona. – Piszą tutaj, że zaprzęg w dwa konie może jechać i dwanaście kilometrów na godzinę. A ta Konstancja była na pewno zdenerwowana i przerażona i Ksaweremu gnać kazała.

– Przyjmując w takim razie dziesięć... – zgodziła się Anna. – Wychodzi czterdzieści kilometrów w jedną stronę.

– Bohiń! – powiedział nagle Johann głośno. – No jak w mordę! Jest o dwadzieścia sześć kilometrów od Belmontu, dokładnie na południowy wschód. Opsa jest trochę z boku, ale przecież mogli jechać wolniej na miejsce, a gnać z powrotem. No i stał tam pewnie jeszcze ten zrujnowany po waszym powstaniu kościuszkowski pałac Manuzziego...

– Ale ta JB pisze tutaj, że pałac trafił w posagu do jakiegoś starosty pomorskiego. – Gwen spojrzała na matkę Igora. – Wiadomo coś o tym, żeby Manuzzi oddał Bohiń w posagu?

Anna powoli pokręciła głową.

– Przecież Bohiń należał do ciotki Elżbiety do drugiej wojny. – Igor spojrział na matkę. – Jakby przeszedł na kogoś w posagu, to nie zostałyby w rodzinie.

– Może wrócił do Platerów, po bezpotomnej śmierci starosty pomorskiego na przykład – głośno myślała Gwen.

– Mikołaj Manuzzi umarł w tysiąc osiemset dziewiątym – powiedziała w zamyśleniu Anna. – Tuż przed jego śmiercią Stanisław „królewicz” podpisał ugodę ze wszystkimi swoimi wrogami. Według podań rodzinnych to właśnie doprowadziło do śmierci Mikołaja, który nie mogąc się z tym pogodzić, umarł ze zgryzoty.

– No i właśnie Konstancja wspomina o tym w pierwszym liście. – Gwen sięgnęła po jedną z kartek. – *Trzy lata upływają właśnie od smutnej tej rocznicy, gdy ojciec ukochanego mego Monroia zmarł od zgryzot w swojej*

myśliwskiej samotni w Albinowie... – przeczytała. – Podziękować Panu Bogu naszemu jedynie należy, że mój Monroi zdołał do ładu dojść ze wszystkimi i że zgoda w powiecie zapanowała po latach tych waśni i sporów, które jeszcze dziad jego rozpoczął, a które niczym Montekich i Kapuletich nasze rodziny rozdzieliły.

– Jaki dziad rozpoczął? – Igor przetarł twarz obiema rękami i spojrzał na matkę z rozpaczą.

– Ojciec jego matki, Jadwigi Strutyńskiej przecież. – Anna popatrzyła na syna z urazą. – Tyle razy o tym opowiadałam. Józef Strutyński, dziedzic Uciany, to on rozpoczął te wszystkie wojny, które ciągnęły się jeszcze do dwudziestego wieku. Między innymi z twoimi pradziadami i on, i później Mikołaj Manuzzi się sądzili. O rabowanie drewna, o podjazdy, tak, tak... Zajazdy na Litwie to nie fantazja Mickiewicza, ale jak najbardziej fakty. W archiwaliach ciotki Jadwigi były chyba dokumenty z takiego sporu o jeziora Sołockie, które należały do naszej rodziny, a które Manuzzi ogołocił z ryb.

– Chryste! – Igor ciężko westchnął. – Nie wybrniemy z tego.

– Ale to przecież tylko potwierdza, że tak mogło być! – powiedział z entuzjazmem Johann. – Jeśli „królewicz” ze wszystkimi się pogodził, to i Bohiń mógł komuś wspaniałomyślnie oddać. Może jakiejś siostrze czy kuzynce Konstancji, a później majątek rzeczywiście wrócił do rodziny.

– W zasadzie Belmont także przecież przeszedł na najmłodszego brata Konstancji. Ze Stanisławem nie mieli dzieci – przytaknęła w zamyśleniu Anna. – To przez to wybuchł kolejny spór sądowy, zakończony dopiero w tysiąc dziewięćset szóstym. Przegraną Platerów zresztą.

– Jak to możliwe, że wszystko i tak zostało przy ciotce? – Igor patrzył na matkę z rezygnacją.

– Ugodzili się. Ale łatwo nie było. Ciotka Elżbieta zdążyła nawet przed pierwszą wojną wybudować nowy dwór w Opsie, żeby przenieść się tam, w razie gdyby mieli ich jednak wywalić z Belmontu. Stoi do dzisiaj. Ale koniec końców, podpisali ze Strutyńskimi ugodę i spłacili ich.

– Czyli, biorąc pod uwagę te wszystkie komplikacje i spory rodzinne, jak najbardziej Bohiń mógł na chwilę przejść w inne ręce – podsumował Johann.

– A nawet ta dziwna nazwa, Bouteleur, da się w tym przypadku od biedy uzasadnić – przytaknęła mu z wahaniem Anna. – Ruiny pałacu zniknęły z powierzchni ziemi w czasie powstania listopadowego i wszyscy mogli zapomnieć jego nazwę. Przecież wieś, gdzie stał pałac Belmont, nazywała się Achremowce i dopiero Manuzzi nadał mu taką nazwę. To samo mogło dotyczyć Bohinia.

Na moment zapadła cisza, a wszyscy wpatrywali się w tablet Johanna, na którym, na mapie w Google Earth, widać było spore jezioro i położone na jego brzegu miasteczko.

– Nawet jeśli to Bohiń, to i tak nie wiadomo, co się stało z taborem Murata – odezwała się w końcu Gwen. – Konstancja przecież napisała, że po wozach ze skarbem i tym tajemniczym urządzeniem nie było już tam śladu.

– Boże kochany! – Anna spojrzała nagle na zegar. – Jest wpół do trzeciej! My tu o głupotach i skarbach rodzinnych rozmawiamy, a wy przecież jutro chcecie wyjechać! Będziecie zmęczeni straszliwie!

Pół godziny później, gdy cała trójka udała się już do swoich pokojów, Anna krzątała się jeszcze w kuchni. Wiedziała, że po tej emocjonującej rozmowie i tak nie będzie mogła szybko zasnąć, więc postanowiła pozmywać. Cały czas nie dawały jej spokoju pewne nazwy, pojawiające się w listach dwóch hrabianek, które w tysiąc osiemset dwunastym wplątały się w kryminalną aferę. Starosta pomorski i olszewski. Nazwy wydawały się jej znajome, tak jakby coś już na ten temat kiedyś czytała. Tylko gdzie i kiedy?

Skończyła zmywać i spojrzała na leżące na stole bruliony z własnymi notatkami, wycinkami z gazet i kserokopiami jakichś artykułów. Analizowali tak długo listy, że nawet nie zdążyli do tego zajrzeć.

Anna wytarła ręce, usiadła przy stole i otworzyła pierwszy z albumów.

Rozdział 32

KRESY

Płyta lotniska w Wilnie przywodziła na myśl patelnię. W dodatku ze skwierczącym na niej gorącym olejem. Upał lał się z nieba jak roztopiona lawa. Zaraz po zejściu ze schodków Igor poczuł, że jest na pewno ponad trzydzieści stopni. Dokładna odwrotność aury, którą dopiero co we wspomnieniach opuścili w Dalewie – litewskiej zimy 1812 roku.

Po chwili wpadli we trójkę najpierw do przeszklonego przejścia, a zaraz potem do dwukondygnacyjnej hali przylotów.

– *Oh my God!* – Gwen przystanęła i zadarła głowę do góry.

Główna, wybudowana w latach pięćdziesiątych część lotniska w Wilnie wyglądała raczej jak dworzec kolejowy niż port lotniczy stolicy europejskiego kraju.

Prostokątny dwupoziomowy hol okolony był galeriami wspartymi na kolumnach w klasycznym porządku i nakryty kasetonowym stropem ze zwisającym centralnie ogromnym żyrandolem z kutego żelaza. Socrealistyczny ukłon w stronę klasycyzmu, litewsko-polskich dworów i pałaców, i carskich budynków użyteczności publicznej.

– Gwen, nie mamy czasu. – Johann szarpnął pasek od torby dziewczyny.

Dermota nie dało się nie zauważyć. Stał praktycznie w geometrycznym środku westybulu, a swoją potężną sylwetką ściągał spojrzenia przechodzących.

– Dostałeś jakąś wiadomość? – spytał od razu Igora, jak tylko zauważył idącą do niego trójkę zdenerwowanych przyjaciół.

Igor pokręcił głową.

Cała sytuacja sprawiała, że był oczywiście przerażony, ale złośliwe, teatralne posunięcia Sokołowa zaczynały go także straszliwie denerwować.

Jaki był powód, żeby nie podać od razu miejsca spotkania? Poza granicami na nerwach oczywiście.

– A gdzie kufry? – zapytał Johann, lustrując Dermota, który miał przy sobie jedynie niewielki plecak.

– Bez obawy. Są – powiedział Dermot uspokajająco. – Ja tu jestem od szesnastej. Zdążyłem załatwić mnóstwo rzeczy. Między innymi hotel, bo o tym oczywiście nikt nie pomyślał. Archiwalia czekają w samochodzie z tym człowiekiem Williamsa, Wardem.

– Która jest godzina? – Gwen podniosła głowę, szukając zegara.

– Dziewiętnasta dziesięć – odpowiedział machinalnie Igor. – Muszę się napić – dodał. – Najlepiej wódki.

– To raczej już po tej operacji. – Dermot ruszył w kierunku wyjścia z terminalu. – Jak będzie po wszystkim, to wszyscy się upijemy.

Wyszli przed budynek. Nad wielkim parkingiem zastawionym po horyzont samochodami wisiała groźna czarna chmura. Igorowi od razu skojarzyła się z literaturą z dzieciństwa, z diabolicznymi Mandiablami, rasą kosmicznych krasnoludków, zagrażających bohaterom powieści o Tapatikach[18]. Tam też była, o ile dobrze pamiętał, jakaś straszna czarna chmura i też kogoś porwano.

Przed wielką terenową toyotą stał znajomy detektyw, ten sam, który całkowicie pozbawił prywatności telefon Igora.

Dermot otworzył tylną klapę i wskazał przepastną komorę bagażową auta. Stały w niej trzy stalowe skrzynie transportowe, których gładkie grafitowe ściany zabłyśły w słońcu.

– A gdzie kufry? – zaniepokoił się Igor.

– Przełożyliśmy wszystko do tych pojemników. Tak jest bezpieczniej. – Dermot uspokajająco podniósł dłoń. – Pamiętasz, co się stało z kufrem w La Rochelle?

– To ja tak doradziłem – odezwał się detektyw.

Igor przypomniał sobie, że koleś nazywał się Ward. Peter chyba.

– Proszę uważać, prawdopodobnie ci ludzie nas obserwują. – Detektyw sięgnął na tylne siedzenie i wyjął tablet. – W pojemnikach jest lokalizator...

– A jeśli Sokołow go odkryje i się wkurzy? – przerwał mu Igor, rzuciwszy tylko okiem na ekran urządzenia, na którym widać było mapę Wilna.

– Jak będzie z nimi Karen, to może się wkurzać do usranej śmierci – warknął Dermot.

– A jak jej nie będzie?

– Panie Igorze – zaczął Ward uspokajająco. – Wtedy lokalizator tym bardziej się przyda. Jest ukryty w obudowie, wprawdzie mogą go znaleźć przy użyciu detektora, ale może wcześniej uda nam się czegoś dowiedzieć. Czy odezwali się do pana inaczej niż przez telefon?

Igor pokręcił głową.

– W takim razie musimy czekać – stwierdził detektyw, rzucił tablet na siedzenie i oparł się o maskę.

– Jakie macie plany? – Johann spojrzał na niego z irytacją. – Mamy tak stać tutaj i nic?

– Dopóki nie będziemy wiedzieli, gdzie chcą się spotkać, to musimy czekać – odpowiedział spokojnie Ward. – Proszę się nie martwić. Nie jesteśmy tutaj sami.

– Macie snajpera?

– Niepotrzebnie pan się denerwuje.

– Johann! – powiedziała Gwen z irytacją i spojrzała na swojego chłopaka. Otworzyła drzwi samochodu. – Czy możemy wsiąść do środka i włączyć klimatyzację? – zaproponowała.

– Oczywiście. – Detektyw okrążył auto i siadł za kierownicą.

– Gdzie mamy hotel? – zapytał Igor po chwili milczenia.

– Na Starym Mieście – odparł Dermot. – Jakiś Grand Hotel.

Igor nie zdążył sprawdzić lokalizacji w Google, bo nagle rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Z jego komórki i tabletu detektywa.

Ward natychmiast chwycił tablet i spojrzał na ekran.

– Plac Ratuszowy – skomentował głośno, jednocześnie sprawdzając punkt na mapie.

Wstukał kilka cyferek na swoim telefonie i po chwili zaczął z kimś

rozmawiać.

– O ósmej – dodał Igor. – *Witam, Wujaszku, czekamy na placu Ratuszowym punkt dwudziesta* – przeczytał głośno całą wiadomość. – Skurwysyn!

– Jest wpół do ósmej. – Gwen spojrzała na zegar na tablicy rozdzielczej.

– Do centrum jest dwadzieścia minut. – Ward zapalił silnik i po chwili toyota ruszyła z piskiem opon, wymijając stukającego się palcem w czoło mężczyznę.

Pół godziny później Ward z pomocą nawigacji przebijał się wąskimi uliczkami Starego Miasta w kierunku placu Ratuszowego.

– Tu w ogóle można jeździć? – Gwen odprowadziła wzrokiem egzotyczną fasadę malutkiej cerkwi Świętej Paraskiewy.

– Nie ma zakazu – stwierdził Ward i wjechał w wąską uliczkę, u której wylotu widniał klasycystyczny fronton ratusza, wsparty na sześciu kolumnach.

Kresy. Litwa. Igorowi przemknęło przez myśl, że kolumnowe portyki były tutaj kwintesencją wszelakiej architektury. Wznosiły się przy fasadach kamienic, wielkich pałaców, mniejszych dworów, a nawet przy wiejskich chatach zaścianków oraz stajniach i stodołach. Przypomniał sobie zdjęcia majątku prababci Marii w Litwie, gdzie na folwarku stała ogromna wozownia, której ściana szczytowa zakończona była potężnym klasycystycznym sześciokolumnowym portykiem.

Toyota wjechała w rozwidlenie w kierunku placu Ratuszowego i zatrzymała się niezdecydowanie na wysokości fontanny.

Nagle rozległ się dźwięk przychodzącej wiadomości. Ward stuknął w tablet i na zamocowanym na tablicy rozdzielczej ekranie ukazał się tekst.

Igor cały czas miał nadzieję, że w czasie trwania tej całej awantury żaden z kolegów nie wyśle do niego głupawej wiadomości albo Paulinie nie zbierze się w Danii na nieprzyzwoite żarty.

– *Cofnij. Miejsce postojowe obok czarnego audi* – przeczytał Ward i spojrzał w lusterko. Obok czarnego SUV-a stał jakiś mężczyzna i blokował sąsiednie miejsce parkingowe.

Ward cofnął i zaparkował. Mężczyzna obrzucił go taksującym spojrzeniem, zajął do środka toyoty, przemknął wzrokiem po czterech pasażerach, po czym mruknął:

– *Wam pridietsia podożdat*’.

Chwilę później u wylotu placu Ratuszowego pokazał się czarny samochód terenowy z mocno podniesionym nadwoziem. Przejechał wolno wzdłuż parkingu i zatrzymał się tuż obok toyoty, blokując jej wyjazd.

Z samochodu wysiadł mężczyzna i podszedł do audi. Tylne klapy otworzyła się automatycznie, a Rosjanin pokazał jej wnętrze.

– Dawać tu kufry! – rzucił w kierunku obserwującego go z wnętrza toyoty Warda.

Igor szarpnął za klamkę i wyskoczył na zewnątrz. Dopadł stuningowanej terenówki Rosjanina i szarpnął tylne drzwi.

W samochodzie, za kierownicą, siedział tylko kierowca.

– *Won!* – warknął do Igora, sięgając ręką do piersi.

– Spokojnie. – Pierwszy z mężczyzn uśmiechnął się rubasznie. – Niech się wujaszek nie denerwuje. Oddacie nam nasze kufry, to dziewczynka wróci do babci. Tak jak powiedziałem.

Z toyoty wyskoczył Johann, a zaraz za nim Dermot. Ward wyminął ich i podniósł uspokajająco rękę.

– Spokojnie, panowie. – Spojrzał na obu mężczyzn i odwrócił się do Rosjanina. – Mieliliśmy wymienić tutaj archiwalia na dziewczynę – powiedział i obrzucił mężczyznę zimnym spojrzeniem.

– Ja prosiłem tylko, żebyście przywieźli tutaj kufry. – Rosjanin się uśmiechnął. – A dziewczyna, jak tylko znudzi jej się pobyt u nas, wróci do babci. Na razie ze swoim chłopakiem bawią się wyśmienicie. Sami ich elegancko odwieziemy, no chyba że wujaszek życzy sobie, żeby panią wróciła samolotem do Londynu, a kawaler do Warszawy. Proszę bardzo.

– Jaką mamy pewność? – warknął Johann.

– Nasze słowo, sir. – Rosjanin uśmiechnął się kpiąco. – A jaką ja mam pewność, że to są te dokumenty? Ich jest za dużo, żeby tutaj sprawdzić. Wszystko będzie okay, dziewczyna zostanie odwieziona z powrotem.

Przez moment wszyscy wpatrywali się w siebie nawzajem. Jedni z wściekłością, inni z rozbawieniem.

– No, panowie... – Rosjanin rozłożył w końcu ręce. – Przecież nikt waszej Karinki nie porwał. Nie mówiąc o jej kawalerze, który sam wskoczył nam do auta. Co my byśmy z nimi zrobili? Rosja już nie wywozi Polaków na Sybir – stwierdził i parsknął śmiechem. – Chociaż niektórym dobrze by to zrobiło. – Spojrzał kpiąco na Igora.

– Nie wiem, czy mamy jakieś wyjście – odezwała się niespodziewanie po francusku Gwen, wysiadając z toyoty.

– Ta kanalia zniknie z dokumentami, a Karen nigdy w Rosji nie znajdziemy – warknął Dermot, patrząc uważnie na twarz Rosjanina, z której zniknął rubaszny uśmiezek. – Na szczęście to ścierwo nie rozumie po francusku.

– Ja rozumiem – odezwał się Ward. – Proponuję oddać im archiwalia.

– I co dalej? – Johann spojrzał na niego z irytacją.

– Nie mamy wyjścia. Jeśli facet odjedzie z niczym, mogą coś zrobić dziewczynie, żeby udowodnić, że z nimi nie ma żartów.

Pierwsze, o czym w tym momencie pomyślał Johann, to chore praktyki rosyjskiej sekty skopców i zrobiło mu się niedobrze. Spojrzał na Igora.

– Czy narada zabójców już się skończyła? – warknął mężczyzna, najwyraźniej zirytowany tym, że stracił na moment kontrolę nad rozmową.

Ward sięgnął pod kierownicę i kłapa bagażnika toyoty się otworzyła, ukazując stojące we wnętrzu stalowoszare kontenery.

Zagroził drogę ochroniarzowi, który od razu ruszył, żeby je zabrać.

Dookoła słyhać było zwyczajne hałasy letniego wieczoru w dużym mieście, szelest wody w fontannie, muzykę z ogródków kawiarnianych i gwar rozmów. Ulicą śmiejąc się głośno, przechodziło właśnie dwóch pijaczków. Na wysokości samochodu Sokołowa jeden popchnął drugiego, ten zatoczył się na terenówkę i oparł o drzwi.

– *Won! Pridurok!* – krzyknął do młodego mężczyzny, który podniósł ręce w obronnym geście i zataczając się, pobiegł za zaśmiewającym się kolegą.

– No to jak? – Mężczyzna spojrzał z lekką irytacją na Igora. – Wujaszek

oddaje nam te archiwalia czy woli pożegnać się z siostrzenicą?

Ward odszedł na bok, a dwaj mężczyźni z audi chwycili stalowe kontenery i przenieśli do bagażnika.

Igor wpatrywał się z bezsilnością, jak kilkusetletnie rodzinne archiwum znika w bagażniku SUV-a. Po chwili audi warknęło i z piskiem opon wyjechało na ulicę. Rosjanin z wielkiej terenówki, nie śpiesząc się, patrzył, jak audi wjeżdża w jedną z uliczek, a dopiero wtedy, uśmiechając się do Igora, wsiadł do samochodu. Stuningowane auto przeraźliwie zapiszczało oponami i ruszyło z warkotem, by zniknąć po chwili między kamieniczkami Starego Miasta.

*

Około godziny szesnastej upał nieco zelżał. Z prawie trzydziestu stopni w pełnym słońcu zrobiło się dwadzieścia kilka, a w cieniu dało się już nawet swobodnie oddychać. Cały poniedziałek Karen spędziła w swoim pokoju, pilnowana przez oprychów z pistoletami rodem z gier komputerowych. We wtorek rano zaraz po śniadaniu uparła się, że skoro Patryk pomaga przy odkopywaniu pałacowych lochów, ona także będzie to robiła. Sokołow uśmieł się serdecznie. Gdy Karen schodziła z zaciętą miną po drabinie na dół wykopów, stał na górze i rechotał.

– Ot, sprawiedliwość społeczna. – Wytarł zażawione od śmiechu oczy. – *Potomkini grafini tożę budiet*’ machać łopata – wystękał łamaną polszczyzną wymieszaną z rosyjskim, po czym klepnął się po udach i odszedł, głośno się zaśmiewając.

Odkopana budowla musiała mieć w całości rzut litery E bez środkowej poprzeczki, przy czym w trakcie robót szybko okazało się, że boczne skrzydła nie były podpiwniczone, podpiwniczony był jedynie korpus główny tajemniczego obiektu. Mniej więcej w jego środku w posadzce dawnej piwnicy były schody, które prowadziły jeszcze głębiej. Gdy przyjechali tutaj w nocy, Karen je zapamiętała doskonale, bo oczywiście od razu rzucały się w oczy. Do czego mógł służyć loch pod piwnicą budynku? Późnym popołudniem, gdy Karen przyłączyła się do pomocy, prawie cały środek piwnic był już odgruzowany, a w sąsiedztwie wykopów wyrastały coraz większe sterty piachu i resztek cegieł. Sokołow, obawiając się widać

naruszenia ewentualnego zejścia do jakichś ukrytych lochów, nakazał prowadzenie prac metodami wręcz konserwatorskimi. Możliwe zresztą, że władze białoruskie mogły skontrolować te domniemane badania historyczne i się do nich przyczepić. Mając zatem do dyspozycji tanią siłę roboczą, specjalnie się nie przejmował brakiem udogodnień.

Takie domysły snuli po cichu Patryk i Karen, wynosząc kolejne wiadra gruzu do zaimprovizowanej windy, czyli sporego stalowego kosza, który na górę transportowała wyciągarka. Prowadzące w głąb ziemi schody zostały już odsłonięte na prawie dwa metry w dół, ale wciąż nie było widać żadnego wejścia ani drzwi.

– Jeśli to jest zasypany cały loch, to będziemy to odkopywać przez tydzień – mruknął Patryk, wycierając pot z czoła.

Karen spojrzała na niego posepnie.

– Dzisiaj Sokołow miał się spotkać z Igorem. Nie kracz. – Nabrała łopatą kolejną porcję piachu i wrzuciła do wiadra pod windą. – Cały czas się zastanawiam, gdzie my w ogóle jesteśmy. Może to Opsa na przykład. Także należała do ciotki, była niedaleko Belmontu i stał tam pałac.

– W Opsie pałac się zachował – powiedział Patryk ściszym głosem. – Gdyby to była Opsa, poznałbym. Oglądałem dokładnie w Google wszystkie rejony, których dotyczył testament twojej ciotki. Ja podejrzewam, że to może być Bohiń.

– Ten pałac Mikołaja Manuzziiego, który kościuszkowcy spalili? – Karen uniosła brwi. – Rzeczywiście – przyznała. – Względnie blisko granicy, nad jeziorem...

– Właśnie to jezioro trochę nie pasuje – powiedział Patryk. – W Bohiniu było chyba większe, ale może po prostu nie widzieliśmy tutaj wszystkiego. Właściwie tylko rzuciłem okiem z góry, jak łąziłem do folwarku po drugiej stronie. No i tyle, co stąd widać. – Machnął łopatą w górę.

Karen podniosła głowę i przysłaniając oczy dłonią, spojrzała w niebo.

– Jezioro jest na południowy wschód od tych wykopalisk. To się chyba zgadza z Bohiniem.

Od strony robotników pracujących przy odkopywaniu tajemniczego zejścia do lochów nagle doszedł ich okrzyk. Patryk i Karen stali w rogu

dawnego pomieszczenia i napełniali gruzem kosz przy windzie. Dwóch robotników rzuciło łopaty i podeszło do brzegu schodów.

– Coś znaleźli? – Karen spojrzała na Patryka.

Oboje rzucili łopaty pod ścianę i ruszyli w kierunku niewielkiego zbiegowiska, które zrobiło się na brzegu niknącego w ziemi zejścia.

Schody, szerokie może jedynie na osiemdziesiąt centymetrów, schodziły prosto w dół i kończyły się odkopaną właśnie ścianą, w której tkwiły drzwi. Zardzewiałe okucia trzymały stare zmurszałe deski.

– O rany... – szepnął Patryk. – To naprawdę loch.

– *Dawaj!* – krzyknął jeden z robotników do stojącego na dole kolegi. – *Kopat' do kanca!*

Karen z fascynacją obserwowała, jak stare drzwi powoli odsłaniają się w całości. Rosjanin raz za razem wywalał gruz z podestu przy schodach. Po kilku minutach dał się słyszeć odgłos łopaty szorującej po twardym podłożu i ukazała się kamienna posadzka.

Mężczyzna włożył kraniec łopaty pomiędzy drzwi i ścianę i szarpnął, ale stalowe zawiasy nadal mocno tkwiły w starym murze.

– *Łom! Dawaj łom!* – krzyknął mężczyzna do przypatrujących się wszystkiemu z góry kolegów.

Po chwili ktoś wrzucił na dół wielki stalowy pręt. Karen podniosła głowę i zobaczyła, że na krańcu wykopu zebrała się cała gromada pracowników, w tym trzech ochroniarzy, którzy czujnie obserwowali to, co się działo na dole.

Rosjanin chwycił łom i usiłował go wsadzić pomiędzy ścianę a drzwi, ale na zastosowanie dźwigni na dole było za mało miejsca. Drzwi ani drgnęły.

Gdzieś z góry rozległ się nagle warkot i po chwili na krawędzi ścian piwnicznych pojawił się tył jednego z samochodów, półciężarówki, którą, jak zauważyła wcześniej Karen, ludzie Sokołowa przywozili na miejsce robotników. Po chwili na ziemi wylądował kłęb liny holowniczej.

Karen zastanawiał brak Sokołowa. W obliczu takich wydarzeń powinien od razu znaleźć się na miejscu. Pod samymi wrotami do lochów. Czyżby to znaczyło, że gdzieś wyjechał?

Tymczasem dwaj robotnicy zdołali zaczepić hak holowniczy pomiędzy deskami a stalowymi okuciami drzwi i wyskoczyli z dołu schodów na posadzkę piwnicy.

– *Dawaj!* – wrzasnął jeden z nich. – *Idti!*

Samochód warknął i ruszył, powoli znikając poza krawędzią wykopów. Lina powoli się napięła i po chwili zaczęła szorować po dopiero co oczyszczonych kamiennych schodach. Karen i Patryk wpatrywali się, jak hak zaczyna się naprężyć. Rozległ się głośny trzask łamiących się desek i zgrzyt stalowych zawiasów i nagle drzwi z łoskotem wyleciały z otworu, a roztrzaskując się na schodach, zatrzymały się na ich szczycie.

Po drabinie zszedł szybko z góry jeden z przybocznych Sokołowa i bezceremonialnie odpychając skupionych u wylotu schodów robotników, zajrzał w dół.

W grubej na dobry metr ścianie z poszarpanymi po wyrwanych zawiasach obrzeżami ciemniała teraz wielka dziura.

Karen usłyszała, że stojący obok niej Patryk westchnął.

Pomocnik Sokołowa odepchnął pochylonego nad zejściem robotnika i ruszył w dół. Zatrzymał się przed otworem i sięgnął do kieszeni. Zapalił latarkę, wycelował w czarny otwór. Nagle głośno krzyknął i odskoczył do tyłu.

Latarka wyleciała mu z rąk i spadła na kamienną posadzkę przed wejściem do lochu.

Karen odruchowo wrzasnęła i odskoczyła od krawędzi schodów. Na próg wypełzły, kręcąc się i sycząc, dwa spore zygzakowate gady.

*

Toyota ominęła fontannę i wąską uliczką, nad którą wisiały ukwiecone balkony, ruszyła z prędkością znacznie przekraczającą dopuszczalne limity. Głośny klakson zmusił jakiegoś wychodzącego akurat z bramy mężczyznę do gwałtownego cofnięcia się na chodnik. Samochód dojechał do końca uliczki i tuż obok odrapanej narożnej kamienicy skręcił w lewo w kolejną wąską przecinkę pomiędzy gęstą zabudową Starego Miasta.

– Co pan robi? – zawołał Dermot, łapiąc się na zakręcie drzwi. – Zaraz

kogoś potrącimy.

– Nikogo nie potrącimy. – Ward, widząc, że na wąskiej drodze nie ma nikogo, przyspieszył i po chwili był już w kolejnym zaułku.

Toyota z piskiem opon zakręciła pod kątem dziewięćdziesięciu stopni i wypadła na ostatni prosty odcinek, na którego końcu widać było wyjazd na jakąś szerszą ulicę.

– Gonimy ich? – zapytał Igor, wychylając się z tylnego siedzenia.

Ward przejechał palcem po ekranie na tablicy rozdzielczej. Ukazała się na nim mapa z małym pulsującym niebieskim punktem. Wystukał numer telefonu.

– Czarne audi Q7 – powiedział do kogoś po drugiej stronie. – Jadą w kierunku wyjazdu na trasę 102. Dojeżdżam do soboru.

Mały punkt na ekranie zakręcił dookoła placu Katedralnego i mijając Muzeum Narodowe, zaczął się szybko przemieszczać w kierunku mostu Mendoga. Tuż przed nim skręcił w prawo i pojechał wzdłuż Wilii.

– Tak jak powiedziałem, chyba wyjeżdżają z miasta na trasę 102. Przesyłam lokalizację.

– Jesteśmy bliżej, okay! – potwierdził ktoś. – Bierzemy go.

Toyota ominęła sobór Bogurodzicy i zatrzymała się na światłach. Ward nerwowo stukał palcami o kierownicę i ruszył, jak tylko pojawiło się zielone.

– Po co my za nimi w ogóle gonimy, skoro przed chwilą sami oddaliśmy im archiwalia? – Igor ponownie nachylił się między przednie siedzenia.

– Za chwilę mogą się pozbyć lokalizatora – odpowiedział Ward, znowu stukając w ekran.

W głośnikach rozległ się warkot silnika i jakieś trzeszczące hałasy z ulicy.

– *Blat'*! – W głośniku rozległo się nagle głośne przekleństwo.

– *Ty czto to naszeł?* – usłyszeli czyjeś pytanie.

– *Da. Durak!* – powiedział ktoś pogardliwie.

Toyota minęła zakole Wilejki i przejechała obok kościoła Świętej Anny. Igor przypomniał sobie kolejną opowieść babci Marii. O Napoleonie, któremu tak bardzo podobała się kunsztowna gotycka elewacja kościoła, że chciał go nawet rozebrać i przewieźć do Francji.

Toyota przejechała na żółtym świetle, pomknęła wzdłuż placu Katedralnego i zakręciła w kierunku mostu nad Wilią.

– To był podsłuch? – zapytał Johann. – Jak go założyliście?

– GPS z funkcją nasłuchu.

Niebieski punkcik nieoczekiwanie gwałtownie skręcił na jakiś plac, zwolnił i się zatrzymał.

– No i koniec – mruknął Ward.

Toyota rozpędziła się na szerokiej wyjazdówce z miasta. W jej perspektywie majaczyła jasna sylwetka kolejnego wielkiego kościoła. Po chwili wpadła na rondo.

Ward zwolnił i zatrzymał się przy zatoce dla autobusów. Otworzył drzwi i wyskoczył na plac przed kościołem. Stał i zaczął się rozglądać dookoła, po czym nagle ukucnął i podniósł jakiś mały przedmiot.

– *Shit!* – zaklął pod nosem.

*

Karen wpatrywała się jak zahipnotyzowana w wijące się na progu żmije. Albo węże. Nie miała żadnej fobii, ale pojawienie się ich było tak niespodziewane, że aż mróz przeszedł jej po plecach.

Rosjanin, który zszedł na dół, wskoczył na schody i chwycił podaną mu przez jednego z robotników łopatę, po czym odepchnął ostrożnie oba stworzenia w głąb lochu. Jeden, sycząc w proteście, podniósł łeb.

– *Czto ty diełajesz? Durak!* – krzyknął jeden z robotników stojących na schodach. – *Dołžen był ubit'!*

Karen odeszła na bok i zacisnęła zęby. Zabijanie jakiegokolwiek zwierzęcia budziło w niej odrazę. Nawet pająki w domu łapała w szklanke i wyrzucała przez okno.

Z góry zleciał nagle kłęb kabla i ktoś zniósł na dół dwa spore reflektory. Podłączono je już po chwili. Puściły na ściany zrujnowanych piwnic snopy mocnego, widocznego nawet w dzień światła.

– Słyszałaś, co oni mówią między sobą? – szepnął Patryk nad uchem Karen. – *Że to sokrowisznica.*

– Czyli co?

– Skarbiec. To według nich był klasztor, a nie żaden pałac.

Karen, przełamując wstręt, podeszła do obrzeża schodów i spojrzała w dół. Dwóch robotników wносиło właśnie reflektory, ciągnąc za sobą długi kabel, który pętił się na schodach. Snop światła wpuszczony do wnętrza lochu spowodował, że obaj robotnicy zamarli.

– *Wot dier'mo!*

Po chwili obaj ostrożnie podeszli do dziury i zajrzeli do środka. Jeden zrobił krok do wnętrza, ciągnąc za sobą kabel.

Patryk nie wytrzymał i zeskoczył na schody.

– Uważaj! – krzyknęła za nim Karen.

Chłopak skinął uspokajająco głową i zajrzał do wnętrza lochu.

– Ja pierdołę! – wyrwało mu się.

Karen stwierdziła, że musi to jednak zobaczyć, najwyżej będzie później żałowała. Przepchnęła się między robotnikami, zeszła w dół i zatrzymała się w połowie schodów. Już z tego miejsca spostrzegła coś, co spowodowało, że mróz ponownie przeszedł jej po plecach.

Loch był sporym czworobocznym pomieszczeniem nakrytym dobrze zachowanym krzyżowym sklepieniem. Pod ścianami zachowały się zmurszałe, rozpadające się ze starości drewniane regały. Po kątach stało kilka beczek. Ale najbardziej rzucało się w oczy to, co znajdowało się w samym centrum. Jedne na drugich leżały tutaj ludzkie szczątki. Czaszki z resztkami włosów, piszczele i kościste dłonie wystające z resztek poszarpanych mundurów.

*

Okna pokoju hotelowego wychodziły na plac Katedralny. Igor, siedząc w jednym z wygodnych foteli obitych bordowym materiałem, widział na wprost dzwonnice katedry Świętego Stanisława, śnieżnobiałej świątyni z portykiem wspartym na sześciu toskańskich kolumnach, która wyglądała tak, jakby trafiła tu wprost z Akropolu, i to z czasów jego największej świetności.

Johann chodził wte i wewte, przemierzając ten sam odcinek pomiędzy otwartymi na oścież drzwiami sypialni a gustowną szafką z orzechowego drewna, na której stały szklanki i żółty kwiatek w donicy.

Ward, przy drzwiach, przyciszonym głosem rozmawiał z kimś przez telefon.

– I co teraz? – Johann zapytał Warda z powstrzymaną z trudem irytacją.

– Kochanie – westchnęła Gwen. – Nerwy w niczym nie pomogą.

– Pewnie, że nie pomogą, bo to panowie mieli nam pomóc. – Johann kiwnął głową w kierunku usiłującego dojść do głosu detektywa.

– Wiem, że się denerwujecie – odezwał się w końcu Ward. – Macie prawo w takiej sytuacji, ale proszę się uspokoić. Zaraz będzie tutaj mój kolega.

– Można było przewidzieć przecież, że znajdą ten lokalizator.

– Tak – potwierdził detektyw. – Liczyliśmy się z taką możliwością, ale dzięki temu nasz drugi samochód zdołał ich przejąć...

– Jak to? – zdziwił się Dermot.

– Na placu pod kościołem nasi byli pierwsi po prostu – oświadczył Ward. – I pojechali za audi.

– I co? – Johann wpatrywał się w twarz detektywa. – No niech pan mówi, do diabła.

– Audi zatrzymało się w motelu pod Wilnem. Obserwujemy ich.

– Pod Wilnem? – zapytał Igor. – Nie pojechali od razu na Białoruś?

– Może nawet oni mieliby problem z przewiezieniem archiwaliów przez granicę – stwierdził Ward. – Pewnie potrzebują czasu, żeby to załatwić.

– A co z tym drugim samochodem? – zapytał nagle Johann. – Tym, którym przyjechał ten bandzior. To był Sokołow? – zapytał Dermota, który przytaknął.

– Właśnie. – Ward podszedł do ławy i położył na niej swój tablet. Przesunął palcem po ekranie i po chwili ukazała się na nim mapa z migoczącym niebieskim punkcikiem.

Igor i Dermot poderwali się z foteli i stanęli nad stołem, wpatrując się w ekran urządzenia.

– Co to jest? – spytał Johann.

– Samochód Sokołowa – odpowiedział Ward. – Pamięta pan tych dwóch pijaczków, którzy wpadli na jego wóz na placu Ratuszowym?

Johann uniósł brwi.

– To byli nasi ludzie. Jeden z nich umieścił w aucie Sokołowa lokalizator. Miejmy nadzieję, że zaprowadzi nas na miejsce.

– A teraz gdzie on jest? – Dermot przekrzywił głowę, patrząc na migoczący punkcik.

– Tutaj przebiega granica między Litwą a Białorusią. – Ward wskazał ją na ekranie. – A jego samochód jest w lasach przy granicy.

– Więc jednak to jest Białoruś. – Gwen sięgnęła do torby po swój tablet i także zaczęła stukać palcem w ekran. – Obok tego miejsca, gdzie teraz jest Sokołow, tuż za granicą są Widze.

Igorowi przemknęło przez głowę, że wszystkie stare nazwy, które brzmiały jak z jakiejś starej polskiej powieści lub wręcz z Sienkiewicza, jakoś dziwnie brzmią w ustach Anglików. Bohiń na przykład, Williams z trudem wymówił tę nazwę, kalecząc makabrycznie dawne śpiewne białoruskie brzmienie.

– Zaraz za granicą jest droga, która biegnie przez Opsę i dalej do Belmontu. – Gwen spojrzała na Igora. – A w bok zjeżdża się na Bohiń. Bogmino dzisiaj. – Spojrzała na mapę.

– Nie możemy za nim pojechać? – zapytał Dermot i spojrzał na Warda.

Detektyw pokręcił głową.

– Niech pan pamięta, że ten facet przemyca przez granicę narkotyki, a to jest środek jakiegoś lasu. Nie ma mowy, żeby ktoś z was tak się narażał.

W krótkiej chwili ciszy rozległ się nagle przeraźliwy alarm.

Wszyscy podskoczyli, a Gwen wymusknął się z rąk tablet i spadł na wykładzinę.

– Miałeś zmienić ten dzwonek! – Dermot spojrzał na Igora wściekłym wzrokiem.

– Jestem do niego przywiązany. – Igor przesunął palcem po ekranie. – Moja mama – rzucił do Warda dla wyjaśnienia.

Detektyw nic nie powiedział.

Igor wstał i podszedł do okna.

– Mamo? – Od dawna starał się bardzo, żeby za każdym razem, gdy odbierał od matki telefon, w jego głosie nie brzmiała irytacja. Tym razem jednak obawiał się, że teraz już na pewno padną pytania o Karen.

– Igor, wysłałam ci link. – Matka Igora na chwilę najwyraźniej oderwała się od swojego telefonu, bo Igor słyszał, jak pyta kogoś w tle, czy to się nazywa link i czy dobrze powiedziała. – Wysłałam ci załącznik, nie link – powtórzyła zaaferowanym głosem – do pewnych dokumentów.

– Mamo... – Igor westchnął, czując, że nie jest w stanie skupić się teraz nad kolejnymi genealogicznymi dywagacjami.

– Igor, ale to jest akurat ważne. Musisz przejrzeć te dokumenty. Ja już wiem, kim była kobieta, która podpisywała się inicjałami JB.

– Co takiego? – Igor odwrócił się do przyjaciół, ale byli akurat pochłonięci słuchaniem wywodów Warda.

– Nazywała się Józefina Marianna Izabela hrabianka Broel-Plater z Krasławia...

– To gdzie tu JB? – Igor, denerwując się, że traci cały wątek rozmowy z Wardem, słuchał matki ze zniecierpliwieniem.

– Józefina Bielikowicz! – powiedziała Anna z triumfem.

– No i?

– No i wysłałam ci link do pewnych dokumentów. Szczęśliwym trafem kilka lat temu to wszystko zeskanowali, a i wyszły nawet opracowania i reprinty.

– Mamo...

– Nie mamo! Nie mamo! – Anna w końcu się zirytowała. – Choć raz w życiu musisz mnie wysłuchać. Tyle razy usiłowałam ci opowiadać o różnych rzeczach, a ty niczego i tak nie zapamiętałeś.

Igor westchnął.

– W tysiąc siedemset osiemdziesiątym czwartym biskup płocki Michał Poniatowski, brat króla Stasia zresztą, przedsięwziął pewien wielki projekt. – Matka Igora na moment zawiesiła głos. – Był to spis wszystkich parafii

diecezji wileńskiej. Przez dobrych kilka lat proboszczowie z różnych wsi i miasteczek jeździli po całym województwie i spisywali dokładnie każdy najmniejszy nawet kościółek, klasztor czy zabudowania należące do Kościoła.

– I jakie to niby ma znaczenie? – nie wytrzymał Igor.

– Ma, ale jeszcze nie skończyłam. Rzec w tym, że spisali przy okazji także wszystkie większe i mniejsze majątki ziemskie wraz z dokładnym opisem dworów, karczem, młynów i innych obiektów. Dokładnym oczywiście jak na owe czasy i możliwości prowincjonalnych księży, jeżdżących wszędzie powozami lub konno.

– A co z Józefiną? Kim ona była?

– Żoną brata twojego praprapraprapradziadka! – wypaliła Anna. – Pięć razy pra!

– Chryste. – Igor podszedł do swojej torby i wyjął tablet. Przez tę koszmarną historię, w którą się wpakowali, wszyscy jeździli teraz ze swoimi laptopami i tabletami, żeby własnoręcznie sprawdzać na mapie każdą wiochę.

Usiadł w fotelu pod oknem i podtrzymując telefon ramieniem, zaczął klikać na ekran tabletu.

– Wysłałaś na moją pocztę? – upewnił się.

– Wysłałam – potwierdziła matka. – Filip twierdzi, że na pewno poszło.

– Źródła do dziejów Wielkiego Księstwa Litewskiego... – przeczytał Igor.
– Dekanat Brasław. To to? I czego mam tutaj szukać?

– Parafia Sołoki. Nie powiem ci, o co chodzi, żebyś sam znalazł.

– Mamo!

– Nic ci się nie stanie, jak trochę pomyślisz. Tymczasem posłuchaj o Józefinie...

– Mamo. – Igor spojrział w kierunku przyjaciół i Warda. Detektyw zapewniony, że to prywatna rozmowa, akurat teraz nie podsłuchiwał.

– Rzec w tym, że ona zaraz po tych wydarzeniach z tysiąc osiemset dwunastego umarła...

Rozdział 33

Karen siedziała na swoim łóżku z nogami podciągniętymi pod brodę i zastanawiała się, co się dzieje w Londynie. Tamtej nocy, gdy jechali z Uciany na miejsce, Sokołow wspomniał, że za dwa, trzy dni wrócą do domu. Więc musiał się wcześniej umówić na przekazanie archiwaliów, może nawet już je odebrał. Tymczasem nadal siedzieli tutaj zamknięci.

Zaraz po tym, jak robotnicy wdarli się do tej tajemniczej podziemnej komnaty, dwaj ochroniarze Sokołowa zbiegli na dół i kazali Patrykowi i Karen natychmiast wyjść z lochów. Zaprowadzili ich do baraku i zamknęli, więc resztę dnia spędzili uwięzieni w swoich pokojach, nawet nie mogli wymienić się spostrzeżeniami na temat tego, co się wydarzyło.

Koszmarne sterta ludzkich szczątków rzuconych na kupę w lochu była przerażająca. I jeszcze te pełzające po nich żmije. Jak one tam wlażyły? Musiały mieć nory w okolicy i dostały się przez dziury w popękanych ścianach fundamentów. Karen się wzdrygnęła. Umierała jednak z ciekawości, skąd się tam wzięły te kościotrupy. Zwłaszcza że resztki odzieży, które zdążyła zobaczyć, zanim ją i Patryka stamtąd wyciągnęli, nie pochodziły raczej z czasów wojny. Nie wyglądały ani na mundury Armii Czerwonej, ani tym bardziej niemieckie. W ogóle nie wyglądały jak mundury z dwudziestego wieku. Więc jak to się stało, że te szczątki znalazły się w lochach pałacu? Co Patryk mówił? Że słyszał, jak Rosjanie nazywali to pomieszczenie skarbcem. Co mogli mieć na myśli? Prawdziwy skarbiec? Czy we dworach z XVIII wieku były jeszcze skarbcce? Wydawało jej się, że to raczej domena średniowiecznych zamków. A może rzeczywiście to pozostałości jakiegoś zamku. W końcu w testamencie ciotki było o zamku. A potem przypomniała sobie, że Patryk mówił coś o klasztorze. Chociaż mnisi w zamkach też mieszkali.

Karen straciła rachubę czasu. To znaczy generalnie wiedziała, że jest już środa. Po tym jak ich wczoraj zamknęli, zdrzemnęła się, a gdy się obudziła,

było już ciemno. A teraz dostała śniadanie, które wstawił do środka jeden z oprychów i zamknął ją ponownie.

Przez okno swojego więzienia widziała, że na dziedzińcu jest podejrzenie cicho i spokojnie. Robotników pracujących przy wykopaliskach ludzie Sokołowa przywozili tutaj ciężarówkami o siódmej i odwozili także koło siódmej wieczorem. Zazwyczaj w ciągu dnia ciągle ktoś się tutaj kręcił. Tymczasem teraz nie docierały do niej żadne odgłosy prowadzonych robót. Domyślała się, że Rosjanie nie przywieźli dzisiaj robotników z uwagi na wczorajsze odkrycia. Na pewno chcieli obejrzeć wszystko bez świadków. Zastanawiała się, w jaki sposób chcą utrzymać to odkrycie w tajemnicy. Przecież niemożliwe, żeby ci ludzie niczego nie wygadali. Chyba że im zagrozili. To w końcu gangsterzy.

Odeszła od okna i usiadła na łóżku, ale nagle usłyszała warkot samochodu. Chyba nawet dwóch samochodów. Zerwała się i wyjrzała na zewnątrz. Na dziedzińcu koło jednego z baraków robotników stały dwa terenowe bmw. Właśnie wysiadali z nich jacyś mężczyźni. Jeden z nich otworzył tylną klapę, a dwaj inni zaczęli wyciągać z wnętrza metalowe skrzynie. Postawili je ostrożnie na ziemi i poczekali, aż z drugiego samochodu wysiądzie Sokołow. Ruszył w kierunku budynku, w którym ich przetrzymywali, a za nim jego trzech ochroniarze, taszcząc skrzynie.

Po chwili zniknęli jej z oczu, usłyszała, że wchodzą do baraku. Na korytarzu rozległy się głośne kroki i przyciszone rozmowy w języku rosyjskim, po czym trzasnęły drzwi. Karen, z uchem przyciśniętym do drzwi swojego pokoju, usiłowała wyłowić jakieś zdania, ale dochodziły do niej tylko echa rozmowy.

Stała przy wejściu, nasłuchując jeszcze przez chwilę, po czym zniechęcona podeszła do okna. Ciekawe, po co Sokołow i te jego bandziory zmienili samochody? Sokołow jeździł jakimś wielkim czarnym amerykańcem, przerobionym tak, że samochód wyglądał bardziej jak jakaś mutacja niż tuning. Jego ludzie natomiast mieli audi Q7. A teraz bmw?

Na placu nadal panowała cisza. Barak położony był w cieniu rozrośniętych drzew, więc nie nagrzewało go słońce, ale Karen czuła, że dzisiaj jest chyba jeszcze goręcej niż wczoraj. Początek lipca, czwarty konkretnie. Nie spodziewała się, że tutaj będą aż takie upały.

Nagle usłyszała za drzwiami jakiś hałas, potem chrobot przekręcanego klucza i w drzwiach stanął jeden z drabów Sokołowa. Skinął na nią.

Wyszła na korytarz i zobaczyła, że kilka metrów dalej idzie także Patryk. Wyszedł z pokoju po przeciwnej stronie korytarza. Jeden z bandziorów otworzył przed nią drzwi i po chwili znalazła się w największym pomieszczeniu baraku. Na środku stały dwa połączone ze sobą stoły, a na nich leżały rozrzucone archiwalia. Obok stołu stały trzy stalowe pudła. Pod ścianą zobaczyła jeszcze jeden stół, a na nim poukładane w sterty inne stare dokumenty i od razu domyśliła się, że to prawdopodobnie archiwalia z kufra z Francji.

Przy stole na środku pokoju stał starszy mężczyzna w okularach, a tuż obok niego Sokołow. Na jego twarzy dostrzegła tym razem irytację i gniew, a nie ten charakterystyczny uśmieszek. Spojrzał na nią z nieukrywaną złością i wskazał ręką trzy pożółkłe kartki, na które dopiero teraz zwróciła uwagę.

– Poznajesz to? – spytał, wpatrując się w nią uważnie.

Karen w pierwszej chwili nie wiedziała, czego od niej chce, ale gdy spojrzała uważniej na stare dokumenty, domyśliła się, że to pewnie są owe listy, które były prawdopodobnie zaklejone w dzienniku jakiejś panienci z Belmontu, o czym wspomniał znajomy matki Johanna, Dougarowitch.

– Wiesz, co to jest? – Sokołow powtórzył pytanie, patrząc tym razem na Patryka.

– Listy! – odpowiedziała Karen, uznając, że nie ma potrzeby zaprzeczać. – Były zaklejone w kalendarzu.

– A więc widziałas je? Ty też? – Spojrzał na Patryka.

Karen pokręciła głową.

– Porwaliście nas, zanim zdążyliśmy je obejrzeć. Johann Carley miał je oddać do pracowni konserwacji, nie chcieliśmy sami rozdzierać sklejonych kart kalendarza.

– Tutaj są tylko trzy listy. Wszystkie są adresowane do Konstancji Manuzzi. Pewnie wiesz, o kim mowa. – Sokołow patrzył na Karen bez uśmiechu. – To ja ci, Karinko, opowiedziałem o znalezionych dokumentach dotyczących twojego krewnego, tego, który zeznał carskiej policji, że tajemnicę Murata skrywa stara korespondencja, a ty o tych listach nic mi nie

wspomniałaś? Ładnie to tak?

– Nie widzieliśmy ich – wtrącił się Patryk. – Nawet nie było pewności, że to rzeczywiście listy.

– Jeśli w archiwum Belmontu były ukryte listy do Konstancji Manuzzi, to w tym tutaj – Sokołow machnął ręką w kierunku dokumentów pod ścianą – powinny być listy, które Konstancja pisała do Józefiny Bielikowicz. Nie było ich tam i jak się domyślam, nie wiecie, gdzie są?

– Przecież powiedziałem panu, że nie wiedzieliśmy nic nawet o tych tutaj, a co dopiero jakichś innych – warknął Patryk. – Doskonale pan wie, że nie mieliśmy kiedy przejrzeć archiwum z Agrenioux, bo pana ludzie prawie od razu nam je zabrali. Zaraz jak tylko je dostaliśmy.

– Jak je ukradliście, chciałeś powiedzieć.

– Może pan sobie nazywać to, jak pan chce – powiedziała zniecierpliwiona Karen. – Ja nawet nie wiem, do diabła, kto to jest ta cała Józefina Bielikowicz!

Sokołow sięgnął po jeden z listów.

– Z ostatniego z tych, które Józefina wysłała do Konstancji, wynika, że to właśnie Konstancja Manuzzi z pomocą Ksawerego Radeckiego-Mikulicza zatarła ślady po wydarzeniach tutaj. Widzieliście ten stos trupów w lochu? To francuscy kawalerzyści z oddziałów Joachima Murata, kozacy i szaserzy carscy. Ale nie ma śladu po wozach, które konwojowali.

Karen patrzyła na Sokołowa wstrząśnięta. Ksawery Radecki-Mikulicz?

– Kim był Ksawery? – zapytała słabym głosem.

– Szambelanem Konstancji i bratem Franciszka, tego, który zamknięty w Dyneburgu zeznał, że w archiwum Belmontu znajduje się odpowiedź, gdzie zostały ukryte moskiewskie trofea. Ksawery, jak widać, nie potrafił utrzymać języka za zębami i opowiedział bratu o wyczynach Konstancji i Józefiny.

Sokołow rzucił list na stół i oparł się obiema rękami o blat.

– Mam wrażenie, Karinko, że twój wujaszek próbuje nas wykiwać. Damy mu ostatnią szansę, a jeśli nie skorzysta, to...

Rosjanin nagle szeroko się uśmiechnął, zaciskając szczęki.

– Pamiętasz może, jakie praktyki stosowała pewna rosyjska sekta, z której wywodziła się sekta poszukiwaczy krzyża?

Sokołow uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc wyraz twarzy Karen.

– No właśnie. – Spojrzał na Patryka. – Zaczniemy od ciebie. Jak wujaszek Karinki nie nabierze rozumu, przykro mi, ale Karinka już nigdy nie będzie miała z ciebie pożytku.

Rosjanin, widząc, że Patryk przełknął ślinę, zaczął się głośno śmiać, po czym machnął ręką do jednego ze stojących przy drzwiach ochroniarzy.

– Zamknąć ich!

*

Igor siedział przy przysłanych przez matkę dokumentach do późnej nocy. Ward i Williams wyszli około dwudziestej trzeciej. Obserwowane przez ich ludzi audi Q7 do tego czasu nie ruszyło się z parkingu w motelu pod Wilnem, tak samo jak i zaginiony gdzieś w lasach pod granicą z Białorusią samochód Sokołowa. Niebieska ikonka nie drgnęła nawet o milimetr.

Mieli więc do wyboru – czuwać do rana albo iść spać i mieć nadzieję, że detektywom uda się w końcu namierzyć bandziorów.

Igor zamknął się w swoim pokoju i razem z jakimiś wikariuszami, którzy w 1784 roku przemierzali konno bezdroża Wileńszczyzny i inwentaryzowali dobra kościelne, śledził większe i mniejsze wioski i miasteczka, szukając śladów zaginionego zamku Bouteleur.

Po rozmowie z matką narysował drzewo genealogiczne rodziny i krewnych z początków XIX wieku, żeby zwizualizować sobie relacje pomiędzy poszczególnymi bohaterami dramatu sprzed wieków.

Po wysłuchaniu długiej relacji matki orientował się już także, skąd się wzięła hrabianka Józefina i kim był Franz, a także tajemniczy starosta pomorski. I pod tym względem wszystko było dla niego już prawie jasne, poza jedną rzeczą.

Gdzie się podział ten cholerny zamek?

Zgodnie z ich wyliczeniami miał stać jakieś czterdzieści kilometrów na południe lub wschód od Belmontu. I nic kompletnie nie pasowało. Jedynie

Bohiń znajdował się w polu rażenia upiornej legendy ciotki Elżbiety, ale teraz, po rozmowie z matką, Bohiń przestał z kolei przystawać do konfiguracji genealogicznych.

Igor, wykończony śledztwem z czasów króla Stanisława Augusta, które miało jednak ten niewątpliwy plus, że przynajmniej oderwało go od myślenia o tym, co dzieje się z Karen, zasnął w końcu koło trzeciej.

Punkt dziewiąta rano zaś obudził wszystkich telefon od Warda, który był w drodze i miał dotrzeć za piętnaście minut.

Igor zapukał do pokoju Johanna i Gwen pięć minut później. Gwen w pośpiechu właśnie czesała włosy, a Johann zapinał ostatni guzik koszuli. Zaraz po Igorze wpadł Dermot.

– Boże! Prawie nie spałam – westchnęła Gwen, robiąc sobie makijaż.

– Jamie będzie tutaj o pierwszej – poinformował wszystkich Dermot. – Pół godziny temu wszedł do samolotu.

– Miejmy nadzieję, że Williams i Ward coś wreszcie ustalili. – Johann nalał sobie szklanek soku pomarańczowego.

– A może jednak nie powinniśmy ich śledzić. – Gwen włączyła czajnik i spojrzała na wszystkich po kolei. – Chcecie herbaty? Kawę trzeba zamówić.

– Czemu? – zapytał Igor.

– Sokołow mówił, że odwiozą Karen do Londynu. Może jak zaczniemy im przeszkadzać, tylko skomplikujemy wszystko.

Igor westchnął. Także się tego obawiał.

– Jakoś mu nie wierzę – mruknął Johann.

– Poza tym już za późno na takie rozkminy. – Dermot usiadł na sofie obok Johanna. – Przecież znaleźli pluskwę w pudłach z dokumentami. Wiedzą, że ich śledzimy.

Igor wziął od Gwen filiżankę z herbatą i podszedł do okna. Zamierzał właśnie opowiedzieć o tym, co znalazł w dokumentach od matki i o czym od niej usłyszał, ale najpierw chciał to sobie poukładać w głowie.

Okazało się jednak, że to akurat będzie musiało poczekać.

Nagle rozległo się stukanie i w drzwiach pokazał się Ward. Przywitał się, podszedł do ławy i położył na niej swój tablet.

– To jest rezultat naszej wczorajszej rozmowy. Filmy i zdjęcia z Białorusi – powiedział bez wstępów i przejechał palcem po ekranie.

Johann i Dermot poderwali się i pochylili nad tabletem.

Kamera przemieszczała się nad lasem, w kierunku wystającej nad drzewami wieży kościoła. Gdzieś w dali widać było zabudowania jakiegoś miasteczka. Urządzenie obróciło się, pokazując teren rozległego dziedzińca, przy którym stały małe budynki. Przed kościołem kręciło się parę osób. Kamera ponownie się obróciła, pokazując widok na porośnięty drzewami stok, który łagodnie opadał w kierunku jeziora.

– To Achremowce – podpowiedział Ward. – Miejscowość pod Braślamiem. Na drugim brzegu jeziora Drywiaty. Kościół stoi w miejscu, gdzie kończył się pałac. Sprawdziliśmy to na mapach. Kościół jest nowy, postawili go w latach osiemdziesiątych w miejscu rozebranej kaplicy pałacowej. Film jest nowy. Ktoś wrzucił go na YouTube kilka dni temu.

– Ale co to za miejsce? – zirytował się Johann.

– Achremowce – odpowiedział Dermot. – Pamiętam to, co mówił O'Malley. Tak się nazywa teraz wieś...

– Belmont. – Gwen podniosła wzrok na Igora, który wpatrywał się w ekran tabletu.

– Park ma wprawdzie sto hektarów – Ward wskazał głową zieleń, którą ciągle pokazywał dron nad Belmontem – ale w miejscu po pałacu i w najbliższej okolicy nie ma nawet śladu po jakichkolwiek pracach. Tak samo w sąsiedniej Opsie.

Detektyw pochylił się i stuknął palcem w ekran.

Tym razem otworzyło się zdjęcie ukazujące rozległy park i neobarokowy pałac z frontonem wspartym na dwóch kolumnach stojący na stoku opadającego ku jezioru wzgórza.

– Pałac jest wystawiony na sprzedaż. Miejsce jest ogrodzone. Nikt tam niczego nie szukał. To znaczy – dodał Ward – miejscowi oczywiście opowiadają legendy o dębie Napoleona, który stoi w parku niedaleko pałacu, i o tym, że już przeszukiwano nieraz piwnice, ale sądzimy, że to nie ma nic wspólnego z Sokołowem.

Igor wpatrywał się w zdjęcia neobarokowego pałacu. Więc to był ten

dwór, który ciotka wybudowała tuż przed wybuchem rewolucji, kiedy ważyły się losy Belmontu i tego, czy przypadkiem nie przejmą go spadkobiercy Jadwigi Strutyńskiej. Ciągący się przez sto lat proces o Belmont. W opisach w różnych źródłach i rodzinnych opowieściach występował zawsze jako całkiem skromny dwór wybudowany znacznie poniżej standardów. Pałac na zdjęciach tymczasem był wielką budowlą z dwoma bocznymi skrzydłami i frontonem zaakcentowanym łamanym mansardowym dachem wspartym na dwóch potężnych filarach. Igor pomyślał, że standardy sprzed rewolucji musiały być niebotyczne. Nic dziwnego, że ciotka nazywana była jedną z najbogatszych wdów II Rzeczypospolitej.

– I ostatnie miejsce, które państwo brali pod uwagę. – Ward ponownie stuknął w ekran. – Bognino, dawny Bohiń.

Na fotografiach pokazały się po kolei widoki małego miasteczka, pełnego zachowanej drewnianej zabudowy uzupełnionej nieśmiertelnymi dla tej szerokości geograficznej domami z pustaków z płaskimi dachami. Na kolejnych zdjęciach widać było las nad brzegiem, szeroką groblę, która biegła w zwężeniu pomiędzy dwoma wydłużonymi jeziorami i kolonie mniejszych i większych domków.

– W sąsiedztwie jeziora, poza rozpoczętymi dwiema czy trzema budowlami jakichś domków, nie prowadzono żadnych robót.

Ward wyprostował się i obrzucił spojrzeniem całą grupę, wciąż wpatrującą się w zmaterializowane na zdjęciach miejsce, o którym do tej pory jedynie słyszeli. Igor przypomniał sobie, że w Bohiniu i okolicach, tak jak zresztą w Belmontie, nie było jeszcze Google Street View.

– Stawialiśmy na Bohiń – powiedział zawiedziony Johann. – Pasował do tych opisów w listach. I był w zasięgu podróży saniami.

Ward pokiwał głową z niewyraźną miną.

– Niestety. Zmieniając temat... Samochód Sokołowa tak jak i audi pod Wilnem nadal stoją, gdzie stały. Co niestety świadczy o jednym. Przejrzeli nas i zmienili środek transportu.

– Jak to? – Johann prawie od razu się zdenerwował. – Przecież rzekomo obserwowaliście ten motel pod Wilnem.

– Nie byliśmy w stanie sprawdzić wszystkich samochodów, które stamtąd

wyjeżdżały. – Ward spuścił wzrok. – Możliwe, że ukradli jakiś samochód albo ktoś po nich przyjechał.

– A Sokołow?

– Jego samochód nadal stoi w miejscu. Ustaliliśmy, że to leśny parking pod granicą.

– No to gównno! – warknął Johann. Wstał i zaciskając pięści, zaczął chodzić po pokoju.

– Zostaje nam w takim razie czekać, aż Sokołow się odezwie. – Gwen westchnęła i usiadła obok Dermota.

– Powinniśmy byli oddać mu wszystkie listy. – Igor wstał i dołączył do chodzącego po pokoju Johanna.

– O Boże! Przestańcie tak łązić, bo tylko wszyscy bardziej się denerwujemy – poprosiła Gwen.

– Oddaliśmy mu te, które były w archiwaliach – odezwał się Ward. – Poza tym dobrze jest zachować asa w rękawie, gdyby Sokołow zaczął kręcić.

Igor przytaknął bez przekonania i podszedł do okna.

Słońce już zalewało plac przed katedrą, a ulica przed Grand Hotelem ukryta była jeszcze w cieniu. Pod katedralną dzwonnica, a dawniej jedną z wież murów obronnych, którą dopiero w XIX wieku przekształcono w dzwonnica, zbierały się już pierwsze grupki turystów.

*

Gdy dwaj ochroniarze wyprowadzili Karen i Patryka, Sokołow sięgnął po telefon.

Paszchenko i Iwanow to byli jego dwaj najbardziej zaufani ludzie. Obu znał jeszcze z początków swojej kariery, gdy dopiero zaczynał zajmować się interesami. I to z nimi jeszcze rozkręcał swój pierwszy dochodowy biznes, czyli przerzut płynnej amfetaminy do Rosji przez Białoruś. Najmocniejszym elementem układanki były z początku jego dawne znajomości wśród białoruskich urzędników. Później, gdy zaczął się zajmować biznesem na serio – metalurgią i wydobywaniem paliw – jego wpływy w Rosji i na Białorusi wzrosły na tyle, że drobne znajomości nie były już potrzebne. Ale Sokołow

szanował ludzi, z którymi zaczynał, i dlatego tak bardzo go dotknęła ta historia pod granicą.

Cholerni Angole! Nie wiedział, kiedy zdążyli to zrobić, ale na bank to musieli być oni. Nie podejrzewał nikogo ze swoich ludzi. Chyba że wśród robotników litewska policja miała jakąś wtykę. Mało prawdopodobne, ale możliwe.

Prosto z Wilna ze spotkania z Polaczkiem wujaszkiem i tymi nadętymi Angolami udał się na miejsce przerzutu. W niedzielę zostawili tutaj prawie kilkaset litrów płynnej amfy, a wczoraj mieli ją odebrać od zleceniodawcy i eskortować do Rosji. Miała pojechać dalej, a potem jego ludzie mieli ją przerzucić przez granicę z Rosją. Łańcuch zmienianych tras, samochodów, rejestracji. Inne ładunki, inne papiery, przychylnie białoruskie władze na wszystkich szczeblach. Nie do udupienia.

A teraz nagle jakiś młokos, cwaniak, którego przysłali z Moskwy, miał przy sobie detektor. I, kurwa, znalazł pluskwę w jego samochodzie. Zrobiła się chryja. Pierdolone przygłupy wyciągnęły broń, tak jak i jego ludzie oczywiście, ale tamci zaczęli obrzucać go oskarżeniami. Podobno litewska policja dostała cynk i zaczęła na serio patrolować lasy przy granicy. Od Mejsztów do Twerecza.

Sokołow wiedział, że powinien już dawno zerwać z przemytem i nastawić się wyłącznie na legalne interesy. Legalne to one oczywiście nie były, ale umówmy się, że to jednak nie była taka drobnica jak to tutaj. Ale sentyment do starych czasów, romantyzm tych nocnych wycieczek na granicę, ta adrenalina powodowały, że nie mógł się rozstać ze starym biznesem.

Co innego skarby. Tym zajmował się wyłącznie hobbystycznie. Marzył od dawna o tym, że znajduje tę zapomnianą maszynę cara Aleksandra, odnawia ją i prezentuje później w wielkim szklanym budynku, który zamierzał specjalnie w tym celu postawić w Moskwie.

No i krzyż z dzwonnicy Iwana Wielkiego i ikona carycy Anny Iwanowny. Gdyby coś takiego odzyskał dla Rosji, miałby bez ograniczeń zapewnione pozwolenia na wydobycie paliw, koncesje i państwowe dotacje. No i jaki prestiż. Bogaty biznesmen Oleg Nikołajewicz Sokołow w darze ojczyźnie ofiarowuje bezcenne narodowe pamiątki.

I wydawało się, że już jest u celu. To musiało być to miejsce. To tutaj,

według zachowanych carskich protokołów, zaginął mały oddział rozpoznawczy VI Korpusu Dochturowa[19]. I to musiał być ten klasztor. No i był. Wśród trupów byli przecież żołnierze carscy i francuscy.

Ale konwój zaginął. Był przekonany, że zawartość pięciu wozów została schowana w lochach klasztoru.

Sokołow nie miał wątpliwości, że pozostała część listów jest w rękach Angoli. Musiała mieć zasadnicze znaczenie, skoro zdecydowali się na narażanie siostrzenicy tego Polaczka.

W tych brakujących listach musiała być odpowiedź. To przecież Konstancja Manuzzi osobiście zacierała ślady po tej potyczce, a zatem musiała wiedzieć, gdzie zostały ukryte wozy ze skarbami. Ani krzyż, ani obraz Madonny, ani tym bardziej machina Leppicha nigdy nigdzie się nie pojawiły. Na żadnej aukcji, w żadnych zbiorach, na żadnych półlegalnych notowaniach czy choćby w jakichś plotkach.

Więc nie ma siły, musiały być nadal ukryte i czekać na swojego odkrywcę.

Sokołow z trudem oderwał wzrok od leżących na stole archiwaliów i spojrzął na dwóch mężczyzn, którzy pojawili się w drzwiach. Ruchem głowy kazał się zabierać swojemu profesorowi od historii XVIII wieku i znawcy epoki napoleońskiej i zamknął ostrożnie drzwi.

– Mamy problem – powiedział.

– Z wykopaliskami? – zapytał Paszczenko, nabity wysoki blondyn.

– Z wykopaliskami także, ale ten chyba da się rozwiązać. Z Inwestorem.

Inwestorem nazywali między sobą odbiorców płynnej amfetaminy z Rosji.

– Angole podrzucili nam pluskwę, lokalizator. Jeden baran, jakiś nowy, miał ze sobą detektor. No i trochę się posprzecaliśmy. Inwestor będzie musiał to zrozumieć. To jego wina, skoro wysyła nam jakichś nieopierzonych gówniarzy, którzy od razu zaczynają strzelać.

– A co z samochodem? – Paszczenko patrzył na szefa z malującym się na twarzy niepokojem.

– Spalony, razem z ciałami. Został w lesie. Litwini znajdą go pewnie za kilka dni. Litewskie media znowu napiszą, że to mafijne porachunki.

– Ciałami? – odezwał się Iwanow. Szczupły, żyłasty szatyn.

– No ciałami, kurwa. Rąbnęli Wasyla. Broniliśmy się. Tych od Inwestora było trzech. No więc cztery spalone ciała leżą teraz w wozie na bagnach koło granicy.

– Co robimy? – Paszczenko patrzył na Sokołowa.

– Wy macie mieć oczy szeroko otwarte, bo nie jest do końca pewne, czy ten lokalizator to na pewno wina Anglików. – Sokołow postukał palcami w stół i sięgnął po telefon.

– A co z chłystkiem i dziewczyną?

– Nic. Jak skończymy wykopy, to się ich pozbędziemy. Postawcie kogoś w korytarzu, niech ich pilnuje. Nie chcę, żeby teraz narobili jakiegoś gówna. A ja dzwonię do Inwestora i wszystko sobie wyjaśnimy.

Paszczenko i Iwanow spojrzeli po sobie i wyszli.

Sokołow jednak wcale nie był taki pewny rezultatów rozmowy z ludźmi z Moskwy.

Przez chwilę wazył w dłoni telefon i w końcu wystukał numer.

*

Igor westchnął głęboko i powoli usiadł obok Gwen. Sięgnął po swój tablet i położył go na ławie. Pomyślał, że czas najwyższy wtajemniczyć przyjaciół w rewelacje, które wczoraj wieczorem przekazała mu matka.

– Jak to możliwe, że nie możemy ustalić, gdzie stał ten cholerny zamek?!

– Johann spojrzał na Igora z wyrzutem, jakby czytał mu w myślach.

Gwen uśmiechnęła się pod nosem i obrzuciła Johanna kpiącym spojrzeniem.

– To się działo dwieście lat temu, kochanie!

– No więc wczoraj właśnie rozmawiałem z matką – zaczął Igor ostrożnie.

– Zdołała rozwikłać wszystkie rodzinne koligacje. Przesłała mi także pewne stare dokumenty...

– Dopiero teraz o tym mówisz? – Johann podszedł szybko do ławy i spojrzał na ekran.

– W skrócie. Okazało się, że ta JB, czyli Józefina Bielikowicz, to moja cioteczna pra-ileśtam-babka czy jakoś tak...

– Chryste – jęknął Johann i usiadł obok Gwen. – I dopiero teraz się o tym dowiadujesz?

– Jak powiedziała Gwen, to było dwieście lat temu – rzucił Igor Johannowi poirytowanym tonem. – Kontynuując, Franz i Leonard to byli bracia Bielikowiczowie. Ich matka miała ogromny majątek, który odziedziczyli po połowie. Franz ożenił się z Józefiną Malwiną Broel-Plater z Krasławia, kuzynką Konstancji Manuzzi. Leonard miał córkę Anastazję, która wyszła za mąż za Ferdynanda Aleksandra Radeckiego-Mikulicza, starostę pomorskiego, mojego prapra-ileśtam-dziadka. Z tych wszystkich Mikuliczów z Olity, Bobtel, Serej i tak dalej, o których gadaliśmy z moją matką. A Pomorze to było starostwo na Podlasiu.

– A ten Ksawery? – zapytała Gwen, która w międzyczasie otworzyła na swoim tablecie skany listów Konstancji i Józefiny i śledziła teraz ich treść, słuchając Igora. – To był w takim razie krewny tego Aleksandra?

Igor przytaknął.

– Ksawery miał brata Franciszka. Matka odkryła, że Franciszek był dziadkiem Johanna von Mikulicza-Radeckiego, tego wrocławskiego chirurga. A w rodzinie chirurga pokutuje do dzisiaj legenda o tym, że dziadek umarł, straciwszy uprzednio rozum i opowiedziawszy na łożu śmierci brednie o królewskim skarbie...

Dermot złapał się nagle za głowę.

– A więc dlatego Rosjanie razem z naszym ambasadorem Bentinckiem przeszukiwali po wojnie dom słynnego chirurga pod Książem. Czyli Ksawery się wygadał?

– No właśnie – zgodził się Igor.

– Przecież Karen znalazła w kufrze z Francji intercyzę ślubną Ferdynanda i Anastazji! – przypomniała sobie Gwen. – Rozmawialiśmy o tym, wracając z La Rochelle. Nawet pamiętam, że intercyza była z tysiąc osiemset drugiego.

– No i przecież twoja cioteczna prababka Józefina pisze tutaj o Aleksandrze! – Johann wskazał palcem ekran. – *Château Bouteleur w posagu wziął sześć lat temu...*

– Więc zamek Bouteleur musiał być częścią majątku matki Franza i Leonarda! – stwierdziła Gwen. – I naprawdę nie wiesz, o jakie miejsce chodzi?

– Matka przysłała mi wczoraj jeden stary dokument, spis parafii diecezji wileńskiej z tysiąc siedemset osiemdziesiątego czwartego. Siedziałem nad tym pół nocy, szukając czegoś, co by pasowało. Jakieś czterdzieści kilometrów od Belmontu, na zachód lub południe.

Johann wyjął z rąk Gwen tablet, położył go na stole i otworzył mapę.

– Potrafisz określić granicę tego majątku, który dostał się w posagu twojemu prapradziadkowi?

– Chyba żartujesz – parsknął Igor.

– A może twoja mama coś źle policzyła? – Johann pochylił się nad tabletem i zaczął przesuwać palcem po ekranie. – Albo źle oszacowaliśmy prędkość sań. Może Konstancja jechała na przykład w cztery konie? Albo i sześć.

– Albo... – odezwała się nagle Gwen. – Źle zrozumieliśmy jedno zdanie w liście Konstancji.

– Które? – zapytał zaciekawiony Johann.

Gwen przesunęła palcem po ekranie tabletu.

– Konstancja napisała: *Zamknęliśmy dwór i bramy i w drogę powrotną ruszyliśmy, żeby przed nocą na nocleg zdążyć.* – Gwen spojrzała na Igora i Johanna. – Może ona wcale nie miała na myśli Belmontu?

Na moment zapadła cisza.

– Tylko co? – spytał w końcu Johann.

– Może po prostu zanocowali gdzieś po drodze? W jakimś zajeździe albo u sąsiadów?

– To było wtedy możliwe bez przyzwoitki? – zdziwił się Johann i spojrzał na Igora. – Sama z Ksawerym?

– Ona to aż taka święta to nie była – odezwał się milczący do tej pory Dermot. – Przecież właśnie miała romans z Joachimem Muratem.

– Nie gadajcie głupot – skarciła ich Gwen niecierpliwie. – Była mężatką, mogła sobie jeździć, gdzie chciała. Co nowego wynika z założenia, że

Konstancja zanocowała gdzieś w drodze powrotnej?

– To wszystko diametralnie zmienia – stwierdził Igor. – W takiej sytuacji wchodzi w rachubę praktycznie całe włości Franza i Leonarda. – Otworzył tablet i zaczął przesuwając palcem po mapie. – O Boże! – jęknął. – To potworny szmat ziemi.

Zdał sobie sprawę, że wczoraj przebrnął jedynie przez miejscowości, które były najbliżej Belmontu. Teraz oznaczało to kilka razy więcej pracy.

– To niemożliwe, żeby zamek zniknął nagle z map i atlasów – powiedział z niedowierzaniem Johann. – Musiałeś coś przeoczyć. Jeśli był zamek, to nie mogła być jakaś mała wieś ani folwark.

– Niekoniecznie. – Igor dobrze pamiętał pogmatwane losy rezydencji na kresach. Wojny, powstania, insurekcje. O wielu starych siedzibach były jedynie jakieś wzmianki, nikt nie wiedział ani jak wyglądały, ani gdzie dokładnie stały.

– Oficerowie Napoleona każdy pałac i większy dwór nazywali *château* – odezwał się Dermot. – To mogło wprowadzić później sporo zamieszania.

– Ale obie hrabianki opisują go bardzo konkretnie. *Z końca alei tej z lip starych, co jeszcze pana hrabiego Mikołaja pamiętają... Dom ocalał... Ale prawdziwe przerażenie mnie zdjęło, gdy na podwórzec bazylianów wjechaliśmy. Spichlerz nowy przy galerii dawnej zawalony...*

Johann przerwał nagle i podniósł wzrok na Igora.

– Co to jest podwórzec bazylianów?

– Bazylianie to chyba zakon – powiedział Igor.

– Czyli obok stał klasztor.

– Józefina pisze także, że dom stoi, jak stał od lat dwustu – przypomniała Gwen. Czyli musiał powstać jakoś na początku siedemnastego wieku.

– Aleja z czasów hrabiego Mikołaja, klasztor – dodał Johann, patrząc na Igora z wyrzutem. – Przecież to mnóstwo informacji. I nic?

Igor otworzył spis parafii. Rzeczywiście, musiał coś przegapić. Bazylianów kojarzył.

– Jakiś klasztor Bazylianów stał niedaleko Kozaczyzny. Ufundował go Jan Butler na początku osiemnastego wieku, a potemłożył na jego utrzymanie

Leonard. Czytałem o tym wczoraj w nocy... Jest! *Droga do Bołder, czyli Kozaczyzny, gdzie jest kościół Księży Bazyliańców...*

Igor przerwał, ponieważ w pokoju hotelowym zapadła nagle cisza. Uświadomił sobie, że czytał, głupek, po polsku, więc oni nic ze starego opisu nie zrozumieli.

– Coś ty powiedział na początku? – Dermot wpatrywał się w Igora intensywnie. – Powtórz!

– Że klasztor Bazyliańców stał niedaleko Kozaczyzny...

– Później, jak zacząłeś szeleścić po polsku.

– Droga do Bołder, czyli Koza... – Igor przerwał i poczuł, jak po plecach maszeruje mu zimne stado mrówek. Boże!

Dermot pochylił się i wpatrując się w Igora, zaczął mówić dobitnie.

– Butlerowie pochodzą z Irlandii. W starych dokumentach to nazwisko zapisywane jest jako Butler, ale dawniej także jako Boteler. Ten twój przodek z Butlerów, który osiadł w Kozaczyźnie, musiał tak nazwać dwór albo miejscowi tak go po prostu nazywali. – Dermot przeniósł spojrzenie z Igora na Johanna i Gwen. – Bołdery. Przecież to praktycznie fonetyczna wymowa nazwiska!

– A te dwie kretynki pisały po francusku i nazwę z francuska zapisały – westchnęła Gwen.

Igor oszołomiony wpatrywał się w Gwen. Szukali jakiegoś legendarnego zamku, od Suwałk do Brasławia, a on stał we wsi jego pradziadków.

...Uspokoił mnie nieco widok już z końca alei tej z lip starych, co jeszcze pana hrabiego Mikołaja pamiętają...

Pierwszym właścicielem majątku był pradziadek Franza i Leonarda, Mikołaj Butler, który ziemie w Inflantach i na Litwie dostał od króla Jana Kazimierza za udział w wojnie ze Szwecją. Boże! Przecież babcia Maria opowiadała o tym przez całe lata.

Całe lata słuchał, jak babcia i matka opowiadały, że w Kozaczyźnie był stary park i francuskie ogrody. Tylko wszystkim nie pasował ten mały dworek, stojący z boku, dziwnie nieprzystający do całego założenia. A to była po prostu stara oficyna albo jakiś lamus, który po pierwszej wojnie pradziadkowie przerobili na dom.

– Kozaczyzna, rejon Ignalino. – Igor usłyszał nagle, jak przysłuchujący się do tej pory w całkowitym milczeniu Ward rozmawia z kimś przez telefon. – Jedenaście kilometrów na północ od Ignalina.

*

Dzień dłużył się strasznie. Karen, zamknięta od rana w swoim pokoju, dwie godziny spędziła na chodzeniu z kąta w kąt, denerwując się tym, co ich czeka. Sokołow po raz pierwszy wyglądał na tego, kim był w rzeczywistości, czyli na bandziora. Wreszcie zrzucił maskę dobrodusznego wujka i stał się bezwzględny.

Zastanawiała się także, czy to możliwe, że wuj Igor i jego Angolicy rzeczywiście nie oddali wszystkich listów z kalendarza. Czy tam istotnie było coś, co mogło naprowadzić Sokołowa na miejsce ukrycia tego cholernego ładunku? Poza tym skąd się wziął nagle jakiś ładunek?

Karen, która nie miała możliwości zapoznania się z korespondencją swoich ciotecznych prababek, nie miała także zielonego pojęcia o opisanych przez nie wydarzeniach.

Gdy mijały godziny, a nadal była zamknięta, żeby nie oszaleć z bezczynności i stresu, zaczęła się gimnastykować. Uprzytomniła sobie, że prawie trzy tygodnie wytrzymała bez jakiegokolwiek treningu.

Najpierw to koszmarne rozstanie z Lassem.

Bo, nie oszukujmy się, myślała, to było rozstanie. Lasse pewnie teraz świetnie się bawi, a ona siedzi zamknięta gdzieś na krańcach Europy, na pograniczu Rosji i Białorusi. I zaczynało do niej docierać, że w Rosji rzeczywiście nikt jej nie znajdzie. Ani Patryka. Całe pokolenia Polaków zniknęły na Wschodzie na zawsze. A teraz, paradoksalnie, mogło spotkać ją to samo.

W dwudziestym pierwszym wieku!

Potem wyjazd do Warszawy, Francja, Londyn. Dawno nie było tak, żeby na trzy tygodnie mogła zupełnie porzucić treningi. Od tyłu dni nie biegła, nie pływała, nie siedziała na koniu. We wrześniu, jak tylko wróci na uczelnię... Jeśli w ogóle wróci, to będzie miała zerową kondycję.

Ćwiczenia pozwoliły jej zapomnieć o tym, że siedzi zamknięta na końcu

świata i nie wie, co ją czeka. Czas dzięki temu w magiczny sposób przyspieszył i nagle minęło południe, a cienie starych drzew, chyba dębów, które rosły na wzniesieniu za barakami robotników, skróciły się i przesunęły, kładąc się rozczapierzonymi łapskami na dachach budynków.

Patryk chodził po swojej celi jak zamknięte w klatce dzikie zwierzę. Po godzinie takiego łażenia od ściany do ściany miał tylko nadzieję, że nie będzie toczył piany z pyska.

Przemyślał wszelkie najgłupsze nawet sposoby ucieczki, z przegryzieniem krat w oknach włącznie. Były zardzewiałe, a on miał zdrowe zęby, teoretycznie mogło się udać.

Cały czas w głowie słyszał śmiech Sokołowa i to, jak spojrzał na jego krocze. Czy to naprawdę mogło się stać? Codziennie czytał przecież na portalach wiadomości o różnych grupach terrorystycznych, o znalezionych ofiarach porwań, o zakatowanych ludziach, zwłokach zakopanych gdzieś w lasach. Żył sobie w komfortowej bańce i informacje o rozmaitych potwornościach z różnych stron świata ledwie do niego docierały. Czy to możliwe, że sam stanie się teraz ofiarą czegoś takiego? Przecież nikt nie wie, gdzie on jest. Co może powstrzymać Sokołowa? Koszmarne rytuały sekty skopców. Chryste!

I jak to bywa z wiedzą teoretycznie bezużyteczną, przypomniał sobie akurat teraz teorie Freuda, chyba Freuda, na temat najgorszych lęków o podłożu seksualnym i tego, skąd się biorą.

Patryk szarpnął po raz setny za kraty w jednym z okien i ruszył po raz któryś z rzędu na przeszukiwanie wszystkich zakamarków pokoju w celu znalezienia czegoś do obrony, czegoś, co byłoby lepsze niż poluzowana półka w szafie.

Chrobot w zamku rozległ się dokładnie w tym momencie, gdy wyjął półkę – całkiem grubą deskę, nie sklejkę, ale zwykły kawał dechy – i ważył ją w dłoniach, zastanawiając się, w jaki sposób można jej użyć do obrony przed uzbrojonymi drabami. Odruchowo schował ją za plecami. Strażnik, który stanął w drzwiach z tacą z żarciem, nie mógł jej zauważyć.

Patryk oczywiście nigdy nie zdecydowałby się na to, co zrobił, ale nagle z zewnątrz dobiegł głośny warkot silników, a zaraz potem rozległy się

strzały.

Na chwilę obaj zamarli. Strażnik z tacą i Patryk z deską za plecami. A potem rozbrzmiały krzyki i kolejny strzał.

Patryk, kierowany instynktem samozachowawczym, zrobił gwałtowny zamach i wyrznął draba deską w łeb.

Mężczyzna kompletnie nieprzygotowany na to, co się stało, poleciał do tyłu, wypadł przez drzwi i zwałił się na ziemię, uderzając głową o przeciwległą ścianę. Zupa rozbryznięła się wokół.

Patryk nie miał pewności, czy facet stracił przytomność, ale bez zastanowienia wyskoczył na korytarz, wyszarpnął pistolet z kabury bandziora i stanął nad nim przerażony, ciężko dysząc i celując mu w głowę. Strażnik jednak leżał bez ruchu.

Patryk się rozejrzał. Zapamiętał drzwi, z których wychodziła Karen, podbiegł i załomotał w nie.

– Karen!

Usłyszał szybkie kroki i po chwili Karen szarpnęła za klamkę.

– Patryk! Co się dzieje? Możesz otworzyć te drzwi?!

Patryk spojrzał niezdecydowanie na pistolet. Nigdy nie strzelał. Podejrzewał, że odrzut wybije mu zęby. Spojrzał na leżącego bandytę i na klucze wciąż tkwiące w drzwiach do jego pokoju.

Wyszarpnął je z zamka i zaczął po kolei sprawdzać. Czwarty okazał się tym do drzwi Karen. Wyskoczyła z pokoju. Obrzuciła spojrzeniem Patryka i nieprzytomnego bandytę.

– Zabiłeś go? – Spojrzała z przerażeniem na pistolet w rękach Patryka.

– Nie, to znaczy nie wiem. To znaczy nie pistoletem! To znaczy mam nadzieję, że nie. Idziemy! – krzyknął w końcu i ruszył w kierunku drzwi wyjściowych. – Tam się dzieje coś złego.

Na obrzeżu placu stały dwie terenówki, a wokół nich kręciło się kilku mężczyzn z pistoletami w rękach. W pobliżu baraków robotników panowało zamieszanie. Kilku ludzi Sokołowa, chowając się za stojącymi tam ciężarówkami, krzyczało coś głośno.

Karen i Patryk schowali się za narożnikiem budynku i obserwowali

przebieg wydarzeń.

Od strony baraków nagle wyszedł Sokołow w towarzystwie jednego ze swoich ludzi. Ręce trzymali w górze i szli w kierunku uzbrojonych drabów przy terenówkach.

W pobliżu zabezpieczonej prowizorycznym dachem studni stało czarne bmw. Jedno z dwóch, którymi w nocy wrócił Sokołow. Przednie drzwi samochodu były otwarte, tak jakby ktoś z niego wyskoczył, gdy zaczął się ferment.

– Może spróbujemy dostać się do tego auta – szepnęła Karen.

– Jeśli nie zostawił kluczyków, to jak? Filmowe sztuczki z kablami można o kant dupy...

– Możemy uciec w kierunku folwarku za wzgórzem, a potem do wsi. – Karen spojrzała na stary park.

– Tam wszędzie jest ogrodzone. Przy bramie stoi buda ze strażnikiem.

Od strony czarnych terenówek dochodziły podniesione głosy, a Sokołow, energicznie gestykułując, tłumaczył coś swoim niespodziewanym gościom.

– Musimy się ruszyć, bo jak oni się dogadają i odkryją, że uciekliśmy... – Patryk umilkł, usiłując odpędzić od siebie wizję rytuałów rosyjskiej sekty i bandziora z korytarza, który, gdy oprzytomnieje, niewątpliwie zapala żądzą zemsty. – Wszędzie dookoła jest wysoki płot. Od razu zobaczą, jeśli zaczniemy przełazić.

– To zostaje tylko samochód. – Karen spojrzała na krzaki od frontu budynku. – Pobiegniemy tam, a potem do auta. Jeśli nie zdołamy go uruchomić, to...

– I tak nie mamy wyjścia. – Patryk oderwał się od ściany i ruszył ostrożnie przed siebie.

Rozrośnięty krzew czarnego bzu dawał im iluzoryczną osłonę. Gdy w grupie Rosjan temperatura rozmów ponownie się podniosła, Karen i Patryk przemknęli obok studni i dopadli do drzwi samochodu.

– Jest kluczyk! – wyszeptał Patryk. – Mamy szczęście!

Szczęście jednak opuściło ich w momencie, gdy Patryk wskoczył za kierownicę. Czy to alarm był tak złośliwie ustawiony, czy samochód

kradziony, a alarm zepsuty, ale gdy tylko Patryk dotknął tyłkiem skórzanego fotela, samochód zaczął wyć.

Zdezorientowani Rosjanie spojrzeli w kierunku bmw. Sokołow sięgnął do kieszeni i wycelował kluczyk w kierunku auta, ale nagle któryś z mężczyzn wskazał ręką samochód i sięgnął po broń.

Patryk wyskoczył z wozu i schował się za samochodem. Karen niewiele myśląc, wyrwała mu pistolet. Przypomniała sobie o zakratowanym magazynie z butlami i jakimiś zbiornikami w pobliżu baraków budowlanców, wychyliła się więc nieznacznie zza samochodu i wycelowała. Pomyślała w duchu, że to przecież niczym nie różni się od strzelania na strzelnicy.

Kula odbiła się od metalowego ogrodzenia, a któryś z Rosjan strzelił w ich kierunku, rozwalając bak, z którego wytrysnęła benzyna.

– To się nie dzieje naprawdę. – Patryk skulił się za kołem bmw.

Karen podniosła się ponownie i strzeliła po raz drugi. Tym razem celnie. Jedna z butli z gazem wybuchła z potwornym hukiem, a Rosjanie rzucili się w popłochu do ucieczki.

Okratowany magazyn z butlami i zbiornikami. Dokładnie nie wiadomo, co w nim było, ale biorąc pod uwagę popłoch Rosjan, musiało to być coś podejrzanego. Gdy wybuchła kolejna butla, nagle cały magazyn stanął w płomieniach, jak gdyby na plac spadła bomba.

Magazyn był przyklejony do stalowych ścian baraków, zatem cały impet eksplozji i ściana ognia ruszyły prosto na studnię i stojący przed nią samochód.

Karen patrzyła oniemiała, jak zbliża się do niej tsunami ognia. Takiego efektu raczej nie zamierzała wywołać. Chciała tylko odciągnąć uwagę bandziorów, żeby można było uruchomić to zasrane bmw.

Patryk zerwał się, ale samochód za jego plecami eksplodował, popychając go prosto na studnię. Zdołał chwycić się liny i zniknął we wnętrzu dziury. Karen, mając w perspektywie pochłonięcie przez ogień, skoczyła także. Przez chwilę zjeżdżała w dół z impetem rozwijającego się sznura, a gdy fala ognia zdmuchnęła nad jej głową drewniany dach i kołowrót, runęła w dół wraz z wijącą się i walącą o kamienne ściany oderwaną liną.

Rozdział 34

Do południa cała trójka Anglików wyczekiwała informacji od Warda, który zaraz po porannej rozmowie gdzieś zniknął. Igor natomiast co chwila spoglądał na telefon w oczekiwaniu na jakąkolwiek wiadomość od Sokołowa. Sokołow uparcie milczał, co doprowadzało Igora do szaleństwa.

O pierwszej do hotelu dobrnął Jamie, bardzo niezadowolony, że nikt po niego nie wyjechał. Po wysłuchaniu relacji z przebiegu dotychczasowych wydarzeń w Dalewie i w Wilnie zaczął drobiazgowo o wszystko wypytywać. Nijak nie mógł się od razu połapać w zawłościach genealogicznych.

– Czyli chcesz powiedzieć, że po dochodzeniu obejmującym bez mała całą Litwę, Białoruś, a biorąc pod uwagę także twoje babkociotki z Wołynia, to jeszcze Ukrainę, okazało się, że zaginiony zamek, którego wasza rodzina szukała od dwustu lat, stał w waszej wsi tuż pod nosem?

Pytania Jamiego na początku potwornie irytowały Igora. Miał ochotę wyjść na spacer i zostawić Anglików samych, ale dotarło do niego, że ta rozmowa odrywa go od nieustannego myślenia o Karen.

– Na to wychodzi – odparł, spoglądając ponownie na ekran telefonu.

– A jak to możliwe, że cała ta afera z ukrywaniem konwoju ze skarbami, jeżdżeniem po nocy saniami, własnoręcznym zakopywaniem trupów przez te hrabianki nie wyszła na jaw? Żadna z nich nie pisnęła nawet słówkiem? Nie chce mi się wierzyć.

– Józefina umarła zaraz po tych wydarzeniach. W tysiąc osiemset czternastym albo siedemnastym. Konstancja, aż do powstania listopadowego, żyła w strachu o „królewicza”, którego carska policja podejrzewała o współpracę z Napoleonem. Poza tym kilka lat trwała batalia o utrzymanie Belmontu, na który władze rosyjskie nałożyły sekwestr. Konstancja miała mnóstwo problemów na głowie, więc pewnie była szczęśliwa, że nikt się nie zainteresował jej tajemniczą działalnością.

– A skąd się wziął ten cały Ksawery? To on puścił w obieg tę legendę?

– Ksawery pewnie napisał list do swojego brata i zdradził mu tajemnicę. Cztery lata później Franciszek porzucił rodzinę i wrócił na Litwę, żeby szukać z bratem zaginionego skarbu króla Murata. I tak narodziły się dwie rodzinne legendy, w dwóch liniach Radeckich-Mikuliczów. W naszej o tajemniczych kufrach, a w tej bukowińsko-niemieckiej o zaginionym szalonym dziadku.

– A właściwie co to była za machina? – przypomniała sobie Gwen i spojrzała na Dermota. – Liczyliśmy, że to ty będziesz wiedział.

Dermot pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Epoką napoleońską interesowałem się na studiach, ale nie pamiętam nic o żadnej machinie. Może to był na przykład nowy rodzaj działa. Napoleon miał obsesję na punkcie dział, uważał, że tylko dzięki nim wygrywa się wojny. Wycofując się z Moskwy, kazał ciągnąć wszystkie armaty. Ich transport przez rzeki i oblodzone wzgórza kosztował życie setek koni.

– Tak czy siak – odezwała się Gwen. – Biorąc pod uwagę ostatni list Konstancji, konwój Murata zaginał. Więc Sokołow i tak niczego tam nie znajdzie.

*

Na dziedzińcu zatrzymała się ciężarówka, z paki zaczęli zeskakiwać robotnicy. Rozglądali się dookoła z ciekawością, pokazując sobie palcami zniszczenia.

Zaraz za furgonetką wjechała przez bramę stara terenówka i zatrzymała się tuż obok stojącego tutaj Sokołowa.

– Nigdzie nie ma po nich śladu. – Z samochodu wysiadł jeden z ochroniarzy i trzasnął drzwiami. – Nikt ich nie widział. Albo złapali okazję i zdołali odjechać, albo...

Mężczyzna skinął głową w kierunku dziury na środku placu, obok której leżała sterta spalonych desek, a tuż obok zniszczone bmw. W pobliżu uwijało się kilku ludzi Sokołowa.

– Zaraz zwali się nam na kark policja – odezwał się Paszczenko.

– Sprzątamy po wypadku – uspokoił go Sokołow. – Policja już do mnie dzwoniła, ktoś ze wsi powiadomił ich o eksplozji. Wybuchły zbiorniki z płynnym gazem, nikt nie ucierpiał, zniszczenia są niewielkie. Dlatego przerywamy prace na jakiś czas.

Od strony zniszczonej studni nadszedł jeden z ochroniarzy. Miał pod okiem wielką opuchliznę, która rozlewała mu się sinym kolorem na połowę policzka.

W rękach trzymał mokrą niebieską kurteczkę.

– Tylko to wyciągnęliśmy ze studni – oświadczył. – Na dół poleciał wał od kołowrotu i ciężka lina. Studnia ma prawie osiem metrów głębokości. Samo uderzenie o wodę było wystarczające, a jeśli przygniótł ich jeszcze kołowrót...

– Potrzebny jest akwalung i dźwig, żeby tam zejść i sprawdzić – odezwał się Paszczenko.

– Nie przeżyli na bank – zapewnił ten z podbitym okiem. – Gówniarza mi nie żal, sam bym skurwiela utopił, więc i tak by nie przeżył, ale dziewczuszki szkoda.

Sokołow spojrzał w kierunku studni.

Gdy trafili tutaj kilka tygodni wcześniej, dziedziniec przed dawnym klasztorem, a także całe to dawne podzamcze były w zasadzie przykryte ziemią. Cembrowina studni była rozwalona do poziomu bruku, nakryto ją grubymi deskami i wielkim kawałem blachy. Cholera wie, kiedy zasypano to wszystko. W każdym razie, gdy przyjechał tutaj po raz pierwszy, cały teren przypominał wielką łąkę zarośniętą wysokimi po pas pokrzywami. A tuż obok wznosiło się wzgórze po dawnym zamku Butlerów, który Litwini nazywali Bołdery, a te polskie grafinie Bouteleur.

Za czasów Związku Radzieckiego ani po klasztorze, ani po zabudowaniach przy dziedzińcu nie było śladu. Do dzisiaj został zaledwie dawny folwark po drugiej stronie wzgórza. No i te dwie oficyny. W grę wchodził tylko klasztor, jedynie w nim były podziemia. Poza tym zapisy w protokołach carskiej policji mówiły wyraźnie – oddział Dochturowa stoczył bój przed klasztorem. No i, kurwa, miał rację. Znaleźli przecież trupy tych biedaków z konwoju Murata i oddziału Dochturowa. Dwór Butlerów może i miał podziemia, ale już je badali za czasów sowchozu. Zwykle lochy,

które Litwini zasypali, gdy w latach osiemdziesiątych park został uznany za narodowy pomnik przyrody. Jedyne park podworski na Litwie położony na pięciu tarasach o takiej różnicy wysokości terenu.

Sokołow spojrzał w kierunku wzgórza opadającego ku jezioru. I nagle coś go tknęło. *Blat'!* Przecież to oczywiste! Gdzie najszybciej Francuzi mogli ukryć ciężkie wozy ze skarbami? Wystarczyło jedynie zepchnąć je ze wzgórza! Święto Mendoga! Dlatego najłatwiej było dostać się do nich w lipcu. No jasne!

Sokołow uśmiechnął się szeroko i pomyślał, że wszystko znowu układa się, jak trzeba. Szczęście go wcale nie opuściło. Z Inwestorem jakoś się ugadali. Jego chłopcy zwinęli się zaraz po strzelaninie. Trzeba było tylko zrobić tutaj porządek.

– Posprzątać mi to wszystko! – rzucił do Paszczenki. – Zostawcie tylko dwóch dozorców na bramach. Przerwywamy roboty. Trzeba zorganizować pletwonurków i gówniany sprzęt.

– A co z... – Paszczenko się zawahał.

– Karinka i Patryczek Aleksandrowicz poległi. Polacy to lubią. To ich narodowa tradycja. My, Danił – spojrzał, rechocząc, na Paszczenkę – lubimy wygrywać, a *Polaki duraki* lubią ginąć za ojczyznę. Oddaliśmy im tylko przysługę.

*

Telefon Johanna spowodował, że wszyscy zamarli. Johann odebrał i słuchał, a na jego twarzy pojawiało się coraz większe napięcie.

– Co się stało? – nie wytrzymał Igor.

Johann skończył rozmawiać i spojrzał dziwnym wzrokiem na Igora.

– Tylko się nie denerwuj na zapas. Jeszcze nic nie wiadomo...

– Czego nie wiadomo? – Igor wpatrywał się w Johanna z niepokojem.

– Ludzie Warda dotarli do Kozaczyzny. Cały teren jest ogrodzony i pilnowany przez strażników. Oficjalnie trwają tam prace archeologiczne związane z badaniami pozostałości klasztoru Bazylianów, ale teraz chyba przerwane. Są tam ślady po jakimś wybuchu.

– Jakim wybuchu?! – krzyknęła Gwen.

– Skąd mam wiedzieć? – zniecierpliwiał się Johann. – Wiem tyle, ile mi przekazał Ward. Ale to nie wszystko...

– Mów, do diabła! – warknął Dermot.

– W lesie przy granicy z Białorusią znaleziono spalony samochód Sokołowa. Były tam zwłoki czterech ludzi.

W pokoju na moment zapadła cisza.

Igor nagle wstał i zaciskając pięści, zaczął chodzić od ściany do ściany.

– Ward powiedział, że powiadomili litewską policję. Jak tylko się czegoś dowie, to ma się odezwać.

– Mamy tak siedzieć tutaj i czekać?

– A co możemy zrobić innego?

– Możemy tam jechać – odezwał się nagle Dermot.

Gwen spojrzała zaniepokojona na swoich przyjaciół.

– Ward to fachowiec. Powinniśmy mu zaufać. Wie, co robi.

Johann przez chwilę wpatrywał się w okno.

– Właściwie równie dobrze możemy mu zaufać tam na miejscu.

*

Połamany kołowrót z łomotem spadał w głąb studni. W końcu, opleciony poskręcaną liną, zablokował się pomiędzy jej ścianami i zawisł jakieś dwa metry nad wodą.

Karen spadła prawie na środek studni. Na krótką chwilę znalazła się pod powierzchnią, a gdy otworzyła oczy, zobaczyła prześwitujące przez wodę kamienne ściany studni. Spadająca lina uderzyła ją w głowę i prawdopodobnie nabiła sporego guza. Ale poza tym chyba wszystko było w porządku. Poruszyła gwałtownie ramionami i po chwili znalazła się na powierzchni. Rozejrzała się desperacko wokół siebie.

Woda zafalowała i po chwili na powierzchnię wypłynął Patryk. Miał na policzku sporą szramę. Pomyślała, że kiedy wybuchły te zbiorniki, pewnie oberwał kawałkiem jakiegoś żelastwa.

– Nic ci nie jest? – zapytał, a gdy zaprzeczyła ruchem głowy, syknął. – Wszystko mnie boli. Możliwe, że coś sobie złamałem. – Poruszył rękami i łapiąc się kamulców wystających z muru studni, przylgnął do ściany. – Jak my stąd wyjdziemy?

Karen podniosła głowę i spojrzała w górę. Studnia była głęboka na jakieś siedem metrów. No w zasadzie nic dziwnego, klasztor stał na stoku wzgórza. Dobrych kilka metrów nad taflą wody jeziora. Ściany studni wykonane były z granitowych kamieni, szczelnie ze sobą zespolonych.

– Gdyby ten kołowrót walnął z całej siły w wodę, to na pewno by nas zabił. – Karen chwyciła za zwisającą z drewnianej beli linę i pociągnęła.

Rozległ się zgrzyt, a ze ścian posypały się okruchy piachu.

– Po nim raczej nie wyjdziemy. – Patryk wzdrygnął się i wziął głęboki oddech. – Staram się nie myśleć o tym, że jesteśmy na dnie ośmiometrowej kamiennej rury. Zawsze mi się wydawało, że mam klaustrofobię.

– Jakbyś rzeczywiście miał, to teraz zacząłbyś się już dusić. – Karen podpłynęła do Patryka i chwyciła się palcami ściany.

– Jeśli nas wyciągną, to i tak pewnie nie przeżyjemy. Na ich miejscu sam bym siebie zabił.

Karen nagle odwróciła się i sięgnęła ręką pod wodę.

– Co się stało? – Patryk spojrzał z niepokojem. – Nie mów tylko, że coś cię ugryzło.

– Chryste! Co ty opowiadasz? Teraz będę cały czas myślała o tym, co jest pod wodą.

Wyciągnęła rękę, w której trzymała znaną w szafie latarkę. Przesunęła włącznik i na ścianie ukazała się świetlna plama.

– A jednak się przyda – ucieszyła się. Potrząsnęła głową, strącając z włosów kawałki żwiru.

– Ja też mam superlatarkę, którą ukradłem robotom. – Patryk zaczął grzebać w tylnej kieszeni.

Przed oczami Karen ponownie pojawił się pokój w Lund. Jasny dywan, liście klonu za oknem i wisząca na ścianie wielka plazma, z której korzystał jedynie Lasse, i to wyłącznie do swoich durnych gier. Co by teraz zrobiła

bohaterka którejs z tych beznadziejnych przygodówek?

Karen, przesuwając plamę światła, powędrowała wzrokiem po ścianach studni. Nagle jej wzrok zatrzymał się na dziwnie ułożonych kamieniach – jeden obok drugiego, po łagodnym łuku, którego końce znikwały pod wodą.

Co to mogło być? Wujek pewnie by wiedział.

Podpłynęła do dziwnych kamieni i wyciągnęła rękę. Granitowe głązy kończyły się tuż pod powierzchnią wody. A pod nimi była jakaś dziura. Więc to musiało być nadproże!

Coś tam jednak zapamiętała z tego ciągłego gładzenia wujka.

– Co tam jest? – Patryk zapalił swoją latarkę i przesunął się wzdłuż ścian do Karen.

– Chyba wlot bocznego kanału czy coś podobnego.

Karen zaczęła energicznie poruszać ramionami, usiłując pozbyć się swojej dżinsowej kurteczki.

– Możemy sprawdzić – powiedziała i rzuciła kurtkę na jedną z nadpalonych desek pływających po tafli wody.

– Sprawdzić?! – Patryk zachłysnął się niechcący wodą. – Zwariowałaś?! Po co mamy sprawdzać?

– Może w tym wzgórzu jest boczne wyjście albo, bo ja wiem, jakiś wąż kanalizacyjny. Mam tylko nadzieję, że ta latarka będzie świecić pod wodą.

Karen policzyła do pięciu, po czym nabrała powietrza w płuca i zanurzyła się pod wodę.

Światło latarki wydobyło z mroku boczny kanał, który wiódł gdzieś w głąb. Woda na szczęście była bardzo przejrzysta. Karen pomyślała cierpko, że jest chyba jedyną kobietą z rodziny, która kiedykolwiek pływała w folwarcznej studni. Za facetów głowy by nie dała.

Odepchnęła się silnie nogami i wpłynęła do środka kanału.

*

Dermot patrzył na Jamiego z irytacją.

– Przecież możesz zostać w hotelu i zająć się koordynacją akcji na

miejscu.

– Jakiej akcji? – Jamie postukał się palcem w czoło. – Jaka akcja w hotelu? Mam tu siedzieć i się denerwować?

– Chcesz jechać z najniższych pobudek! – warknął Dermot ze złością. – Po to, żeby być w centrum wydarzeń!

– Tobie odbiło już całkiem, bałwanie!

– Obu wam odbiło! – wrzasnęła Gwen, wzbudzając zainteresowanie wychodzących akurat z Grand Hotelu japońskich turystów, którzy obrzucili zaciekawionymi spojrzeniami grupę Anglików stojącą przy terenowej toyocie Warda.

Jedyny Polak w tym towarzystwie stał z boku i co chwila spoglądał na ekran swojego smartfona.

Przeszło mu przez myśl, że wszystkim zaczynają puszczać nerwy. Po tym jak Ward odebrał kolejny telefon i przekazał im, że w spalonym samochodzie nie było żadnej kobiety, nieco im ulżyło, ale cały czas i tak czekali na wiadomość od Sokołowa. Igor napisał do niego, a właściwie do Karen, już z pięć esemesów, ale na żaden nie doczekał się odpowiedzi.

– O co państwu tak w ogóle chodzi? – zapytał w końcu ze stoickim spokojem Ward, patrząc na kłócących się zawzięcie rodaków.

– Żadnego busa to tak szybko tutaj już nie znajdziemy – odezwał się zniechęcony Johann.

– Jakiego busa? – spytał z wyraźnymi oznakami zniecierpliwienia Ward.

– No samochodu na sześć osób! – wtrącił Dermot, patrząc z irytacją na detektywa. – Razem z panem jest nas sześcioro!

Ward popatrzył na swoich klientów dziwnym wzrokiem, po czym podszedł do toyoty, otworzył tylną klapę i szarpnął za jakąś wajchę.

Rozległ się cichy szmer i po chwili na końcu samochodu podniósł się trzeci rząd siedzeń.

*

Patryk wpatrywał się w tafłę wody, chlupoczącej pod kamiennym nadprożem, i starał się powstrzymać narastającą panikę. Nie dość, że

znajdują się na dnie ośmiometrowej studni, to Karen wpłynęła właśnie do jakiegoś kanału. Nawet wyobrażanie sobie tego sprawiało, że zaczynał mieć duszności.

Upłynęło chyba z dziesięć minut, gdy woda znów się zakotłowała i na powierzchni pojawiła się Karen.

– Boże! – Patryk odetchnął z ulgą. – Ile ty możesz pod wodą wytrzymać?

– Nie upłynęła nawet minuta. – Karen przetarła twarz ręką. – Może z dziesięć metrów dalej jest jakieś pomieszczenie. Można się wynurzyć i nabrać powietrza.

Nagle usłyszeli z góry hałasy, czyjeś głosy i warkot silnika.

– Zaraz tu zajrzą. – Patryk spojrział ze strachem na Karen. – Może nam pomogą wyjść?

– Prędzej nas zastrzelą. – Karen zagryzła wargi. – Może niech lepiej myślą, że zginęliśmy.

– Przecież obiecali, że odwiozą nas do Londynu! – jęknął Patryk.

Kolejny raz pomyślał, że to wszystko chyba nie dzieje się naprawdę.

Karen była bardziej sceptyczna.

– Po co Sokołow miałby się tak narażać? Nikt mu nie udowodni, że kogokolwiek porwał. Ewentualne poszukiwanie nas będzie trwało latami i nic nie da. Czytałam niejedną raz o rodzinach poszukujących swoich bliskich przez dziesięciolecia.

U wylotu studni ponownie usłyszeli czyjś podniesiony głos.

– Nie mamy wyjścia. – Karen spojrzała do góry. – To tylko dziesięć metrów, a woda jest bardzo przejrzysta, chociaż strasznie zimna.

– Karen! Ja jestem papugą, a nie Paulem Prospero[20]! – jęknął Patryk. – W Warszawie mieszkam! Nawet w cholernych Bieszczadach w życiu nie byłem.

– To żadna trudność. Tylko dziesięć metrów. – Karen nabrała powietrza i zniknęła pod wodą.

Z góry znowu dobiegł czyjś głos, a na ścianie ukazał się snop światła z latarki.

Patryk odetchnął głęboko i także zanurzył się pod wodę.

Gdy zobaczył niknący w ciemności kanał, w którym majaczyła sylwetka płynącej Karen, miał ochotę od razu wrócić na powierzchnię, ale zamknął oczy i odbił się nogami. Może dla dziewczyny, która od ośmiu lat uprawia pięciobój, dziesięć metrów pod wodą to jest nic, ale dla niego to było prawdziwe wyzwanie. W basenie to i owszem, nie ma sprawy. Potrafił przecież jakoś tam pływać, ale, kurwa, w studni?! Pod ziemią?!

Zobaczył nagle przed sobą dużą plamę światła. Wynurzył się, kaszłąc, i zobaczył, jak Karen oświetla latarką ściany dziwnego małego pomieszczenia, nakrytego kopulastym stropem.

– I co dalej? – spytał, gdy już nabrał powietrza i wyrównał oddech.

Karen oświetlała po kolei każdy kawałek ściany. Nie mogła uwierzyć, że nie ma stąd dalszego przejścia. To po cholere byłyby ten korytarz? Kto go w ogóle zbudował? Zakonnicy? To raczej nie byli templariusze.

Karen, łapiąc się na tym, że zamiast do rozumu i wiedzy odwołuje się ciągle do gier komputerowych i filmów sensacyjnych, zaczęła naciskać rozmaite kamienie na ścianach dziwnego kolistego pomieszczenia.

Pomieszczenie było zalane do wysokości podstawy sklepienia, jego dół zaś tonął w wodzie. Nigdzie dalej nie było przedłużenia tego korytarza, którym dopłynęli.

I nagle jeden z kamieni zachrobotał i gładko dał się wcisnąć w ścianę. Rozległ się jakiś dźwięk, jakby chlupot, i usłyszała szmer, a potem narastający zgrzyt.

Spojrzała na Patryka, który z otwartymi szeroko ustami wpatrywał się w ukrytą pod wodą ścianę. Celował tam snopem światła ze swojej latarki.

Gdy spojrzała w tamtą stronę, zdążyła jeszcze zauważyć odsuwające się dwa kamienie, które otworzyły kolejny kanał.

– To, kurwa, niemożliwe – powiedział Patryk, nie odrywając wzroku od ściany.

Karen zanurkowała. Dwa płaskie kamienie schowały się właśnie w ścianach, otwierając perspektywę długiego ciemnego i zalanego wodą korytarza. Przejechała światłem latarki po ścianach, zastanawiając się, czy te kamienne drzwi aby nie zamkną się nagle. Spojrzała za siebie. Gdy ponownie wycelowała latarkę w głąb tunelu, zobaczyła wypływające skądś powoli

ludzkie zwłoki, które wpatrywały się w nią pustymi oczodołami.

*

Toyota wjechała w lasy Pojezierza Auksztockiego i skręcając w zniszczoną, asfaltową drogę, skierowała się na Dukszty.

– Kilka kilometrów od Kozaczyzny jest mały ośrodek agroturystyczny – powiedział Ward i spojrzał na Igora, który siedział obok. – Mamy tutaj swoją bazę. Zatrzymamy się i zostaniemy tam na noc.

– Jak to? – Johann od razu nachylił się pomiędzy przednimi fotelami, żeby lepiej słyszeć. – Nie pojedziemy na miejsce?

– Nie możemy wam zapewnić ochrony. – Ward spojrzał w lusterko. – Na miejscu był jakiś wybuch, nie wiemy jaki. Sokołow zostawił tam dwóch strażników, więc nie ma możliwości swobodnego poruszania się po okolicy.

– To po co my tam jedziemy? – odezwał się Jamie z trzeciego rzędu siedzeń.

– Z całym szacunkiem – Ward uśmiechnął się ironicznie – też się nad tym zastanawiam.

– I mamy tam tak siedzieć po prostu? – Dermot spoglądał na Warda z irytacją. – Odpoczywać na leżakach?

– To bardzo ładne miejsce, więc to nie najgorszy pomysł – odparł Ward rozbawiony.

– Jaki macie plan? – zapytał po chwili milczenia Johann. – Jest w ogóle jakiś plan?

– Na miejscu mamy kilku ludzi. W tym dwóch pracujących z nami Litwinów. Poczekamy do zmroku i dopiero wtedy wejdziemy na teren robót archeologicznych.

– A co ze strażnikami? – zapytała Gwen.

Ward spojrzał w lusterko i nie odpowiedział.

– Nie zamierzacie chyba ich zabić? – Gwen patrzyła na niego ze zgrozą.

– Po co mielibyśmy to robić? – Ward wzruszył ramionami. – Uśpimy ich. Pójdą sobie spokojnie spać, a jutro będą myśleć, że zmorzył ich sen. I bać się, że szef ich za to wywali – dodał.

W samochodzie zapadła cisza. Słyszeć było tylko równy pomruk silnika.

– Będę miał kamerę – odezwał się po chwili Ward, widząc zawiedzione miny swoich klientów. – Będziecie widzieć, co się dzieje w trakcie całej akcji.

*

Karen wynurzyła się i kaszłając, odskoczyła przerażona pod ścianę lochu.

– Co się stało? – Zdenerwowany Patryk patrzył to na nią, to na wodę rozświetloną leżącą teraz na dnie latarką Karen. Miał zamiar właśnie po nią zanurkować, gdy zobaczył, że na środek pomieszczenia powoli wypływa na powierzchnię ludzkie truchło odziane w zgniłe szmaty. Na czaszce trupa falowały zachowane resztki włosów.

Patryk wrzasnął i odskoczył pod przeciwległą ścianę. Przez moment wpatrywali się ze zgrozą w co najmniej stuletniego nieboszczyka, pływającego na środku niewielkiego lochu. Patryk pierwszy doszedł do siebie. W końcu jako prawnikowi zdarzyło mu się raz czy dwa razy w życiu oglądać zwłoki. W dodatku o wiele świeższe niż te tutaj.

– Ktoś, jak widać, był tu przed nami – stwierdził spokojnie i uśmiechnął się blado do Karen.

– Wypłynął prosto na mnie! – Karen odetchnęła głęboko, czując, że wciąż jeszcze się trzęsie. Spojrzała na dno lochu, na którym leżały już dwie latarki, oświetlające zalaną część pomieszczenia żółtą upiorną poświatą.

Nagle rozległ się zgrzyt, dwa kamulce powoli wyjechały ze ściany i zamknęły drogę do zalanego korytarza.

– To musi być jakaś prosta hydraulika. – Patryk skupił się na kamiennych wrotach, chcąc oderwać wzrok i myśli od pływającego na środku trupa. – Wsunięty kamień przerywa obieg wody, który powoduje, że tamte dwa kamienie wpadają gdzieś, a gdy woda powoli napiera, ponownie wszystko wraca na miejsce. Czy jakoś tak – dodał na wszelki wypadek. – Nie jestem inżynierem.

Karen przesuwając się wzdłuż ścian, dobrnęła ponownie do kamienia uruchamiającego przejście i wcisnęła go po raz drugi. Tak jak poprzednio rozległ się chłupot i chrzęst i dwa kamienie ponownie otworzyły drogę na

korytarz.

Karen zanurkowała, chwyciła szybko obie latarki i wróciła na powierzchnię.

– Spróbuję tam wpłynąć – powiedziała. – Zobaczę, co jest dalej.

– Przecież to się zamknie!

– Dlatego zostaniesz tutaj i otworzysz, jak tylko ponownie się zatrzasną. Razem nie możemy tam włączyć, bo nie wyjdziemy. Pewnie to właśnie spotkało tego nieszczęśnika.

Oboje odwrócili się w kierunku unoszących się na wodzie zwłok.

– Jakiś biedny poszukiwacz skarbów – szepnął w końcu Patryk. – To właśnie spotyka poszukiwaczy skarbów.

– My usiłujemy tylko się stąd wydostać. Nie szukamy żadnych skarbów.

– Myślisz, że ta deklaracja przekona litewskie demony?

– Nie gadaj głupot. – Karen uśmiechnęła się. – Pilnuj kamienia.

To powiedziawszy, nabrała powietrza i zanurkowała.

Patryk po chwili zobaczył, jak jej nogi znikają w kanale. Trzęsąc się z zimna i z emocji, wpatrywał się w otwarte wrota, co chwila spoglądając na unoszącego się na wodzie trupa. W każdym amerykańskim szanującym się horrorze trup z pewnością by ożył i rzucił się na nich. Skoro istnieją wrota otwierane wciskaniem kamieniem, to zombie nie byłoby w zasadzie żadną niespodzianką.

Po czasie, który wydawał mu się ponownie przerażająco długi, kamienie nagle zazgrzytały i zamknęły się. Ale tym razem upłynęło już na pewno z kilka minut. Pomyślał, że to niemożliwe, żeby Karen potrafiła aż tak długo przebywać pod wodą.

Trzęsącymi się rękami wcisnął jeszcze raz kamulec, a następnie zanurkował i spojrzał w głąb korytarza.

Akurat w momencie, gdy Karen pojawiła się u jego wylotu.

Patryk odskoczył gwałtownie do tyłu, nerwy miał napięte jak postronki i wziął Karen za kolejne zwłoki.

Wypłynęli oboje na powierzchnię, a zaraz potem kamulce ponownie się zasunęły.

– Korytarz podnosi się do góry i dalej można normalnie iść – wydyszała Karen, łapiąc oddech. – Do tego miejsca jednak jest trochę większy kawałek. Na oko jakieś dwadzieścia metrów. Ten biedak wpłynął tam, ale gdy za jego plecami kamienie się zamknęły, wpadł w panikę, zamiast płynąć dalej.

– No to razem nie możemy się tam dostać.

– Z tego, co zdążyłam się zorientować, dalej są schody. Nie chciałam dłużej tam siedzieć, żebyś się nie denerwował. Może to jest wyjście?

– A co z wejściem? – Patryk skinął w kierunku zamkniętego teraz wlotu kanału. – Przecież sama mówisz, że trup tak się właśnie utopił. Jak się za nami zamkną, to będziemy tam uwięzieni. Nie ma żadnej pewności, że wyjście, o ile istnieje, nie jest zasypane. Inaczej ktoś już dawno by je przecież znalazł.

Karen odwróciła się do kamienia w ścianie.

– Gdyby można było go jakoś zablokować... – Wcisnęła kamień i odczekała, aż stare hydrauliczne urządzenie otworzy kamienne wrota, a następnie zaczęła manipulować dłonią przy kamieniu. – To na nic – westchnęła w końcu zniechęcona. – Te ściany nie mają praktycznie spoin. Kamień układany obok kamienia, nie da się nic tu wcisnąć.

– Pomijając, że jedyne, czym dysponujemy, to latarki – dodał Patryk cierpko.

Karen nagle uderzyła ręką w wodę.

– Deski!

– Gdzie deski? – Patryk rozejrzał się bezradnie, starannie omijając wzrokiem dryfujące zwłoki.

– W studni! Tam przecież są resztki dachu i kołowrotu. Zostań tutaj!

Karen nabrała powietrza i zanurkowała. Korytarz prowadzący do studni wydał jej się jakiś ciemniejszy niż poprzednio. Jak tutaj wpływali, to początek kanału był jeszcze oświetlony przez wpadające do studni światło. Która właściwie mogła być godzina? Przecież niemożliwe, żeby już się ściemniło. Chyba że pogoda aż tak się zepsuła. Początek lipca, okres burz. To akurat prawdopodobne.

Wykonała ostatnie machnięcia ramionami i wypłynęła na powierzchnię.

Światło latarki wydobyło z mroku pływające nadpalone deski. Kołowrót w dalszym ciągu tkwił zaklinowany pomiędzy ścianami. Na nim leżały resztki spalonego drewna i pokruszone fragmenty cegieł. Pewnie spadły tutaj razem z całym tym majdanem. I z nimi.

Ale w studni było całkiem ciemno.

Karen podniosła głowę i skóra jej ścierpła.

Wylot studni był całkowicie ciemny. W dodatku nie dochodził stamtąd żaden hałas. Przecież mogła być dopiero jakaś piętnasta, szesnasta. Nawet jakby zebrały się burzowe chmury, wylot i tak powinien być jaśniejszy.

Wyciągnęła latarkę i skierowała ją do góry. Snop światła w odległości kilku metrów rozpraszał się, ale i tak spostrzegła zarysy czegoś, co potwierdziło jej najgorsze obawy.

Ten skurwiel Sokołów zamknął wylot studni. Zawalili ją czymś!

Patryk, unosząc się na wodzie, słyszał tylko swój oddech i plusk poruszanej rękami wody. Przypomniały mu się wszystkie dreszczowce o ludziach uwięzionych w pieczarach pod wodą. Razem z jakimiś potworami oczywiście. Jego wzrok automatycznie powędrował w kierunku nieszczęsnego poszukiwacza skarbów.

Ile on mógł tu już pływać? Sto lat? Pięćdziesiąt? Resztki odzienia były całkiem przegniłe. W jego rodzinie musi pokutować legenda o zaginionym pradziadku, który wybrał się na poszukiwanie skarbów i nigdy nie wrócił.

Patryk się wzdrygnął. Nagle dziko zatęsknił za warszawskim metrem. Chociaż nie, to też przecież podziemia. Pamiętał kilka horrorów dziejących się w zawalonych tunelach metra. Zatęsknił za swoim mieszkankiem na Mokotowie.

Ten niezbyt logiczny tok jego myśli przerwał głośny plusk i na powierzchni wody pojawiła się Karen. Uniosła twarz do góry i wyrównując oddech, przez chwilę wpatrywała się w sklepienie.

Patryk intuicyjnie wyczuł, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – zapytał.

Dopiero teraz zauważył, że Karen przyciągnęła ze sobą nadpaloną deskę.

– Zamknęli studnię.

– Jak to zamknęli? – Patryk otworzył szeroko oczy. – W sensie, że...

– W sensie, że ją czymś zakryli.

Przez chwilę milczeli.

– Może tylko dla bezpieczeństwa. Żeby ktoś nie wpadł. – Patryk uczeplił się racjonalnego wytłumaczenia.

– I nie próbowali nas ratować?

Chciał jej odpowiedzieć coś mądrego, ale przełknął tylko ślinę.

Karen sięgnęła do kieszeni i wyjęła kawałek cegły, który zabrała ze sobą ze studni. Podpłynęła do granitowego przycisku i łapiąc się wystających kamieni, narysowała wielką strzałkę.

– Spróbuję zablokować to przejście.

Zanurkowała i włożyła deskę pomiędzy kamienie.

W milczeniu odczekali, aż minął czas, w którym wrota pozostawały otwarte. Po chwili rozległ się znajomy chrobot i chlupot, a zaraz potem coś zazgrzytało.

Karen zanurkowała przed podwodnymi drzwiami. Deska blokowała zamykające się kamienie, ale ze ściany wydobywał się zgrzyt, tak jakby stary mechanizm nie chciał się poddać.

– Na razie trzyma – stwierdziła po wynurzeniu się na powierzchnię.

– Ja nie wiem, czy dam radę przepłynąć taki kawał – stwierdził wystraszony Patryk. – Mówiłaś, że to dwadzieścia metrów.

– Gdzieś po drugiej stronie musi być taki sam przycisk. – Karen potarła czoło z namysłem. – Przecież to bez sensu, że wejście jest tylko od tej strony.

– Może to właśnie klasyczna pułapka? Na poszukiwaczy skarbów.

– Ale kto by robił coś takiego? Mówiłaś coś o klasztorze. Zakonnicy? Jakiś litewski zakon strzegłby skarbów Napoleona? Po cholere? Prędzej by to wyciągnęli i sprzedali, a nie bawili się konstruowaniem zapadni i pułapek.

– Pamiętasz opowieści swojej babci? Jeden z twoich pradziadków był zapalonym podróżnikiem. Może on to zrobił? Dziewiętnasty wiek sprzyjał w całej Europie różnego rodzaju poszukiwaczom, szaleńcom i odkrywcom.

Karen pomyślała z żalem, że prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła

opowiedzieć o tym babci ani skonfrontować tej historii z jej wiedzą. Nawet jeśli jakimś cudem się stąd wydostaną, to przecież do końca życia nie pozwolą jej o tym opowiadać.

Odwróciła się i spojrzała w kierunku wrót. I po raz pierwszy pomyślała o czymś, czego żadne z nich wcześniej nie brało pod uwagę.

– Te latarki świecić ciągle nie będą – powiedziała grobowym głosem.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie niepewnie.

– Dobra – westchnął głośno Patryk, który oczami wyobraźni zobaczył siebie zostającego w ciemnym lochu z trupem. – W takim razie płyniemy. Ale jak się okaże, że nie ma stamtąd wyjścia, wracamy od razu. Zanim deska pęknie.

Patryk płynął przodem. Karen stwierdziła, że w ten sposób będzie miała go na oku.

Gdy dopływali do końca kanału i zaczynało mu już brakować powietrza, zobaczył przed sobą kamienne kanty.

I od razu skoczyło mu ciśnienie. Karen musiało się coś pomylić. Wierząc nogami, czując, że wpada w panikę i że nie ma najmniejszych szans, żeby zdołał z tego miejsca wrócić do lochu z trupem. Chyba że także jako trup. Poczł nagle, że Karen go popchnęła i skierowała światło latarki do góry.

Wtedy zobaczył, że w tym miejscu zaczynały się po prostu schody. Wynurzył się gwałtownie i nabrał łapczywie powietrza. Słyszał, że Karen także wypływa na powierzchnię.

Chwilę potrwało, zanim wyrównał oddech na tyle, żeby się rozejrzeć. Teraz dopiero poczuł, jak ból w barku rozlewa mu się na całe plecy. Wcześniej chyba znieczulała go adrenalina.

Siedzieli na stopniach zalanych schodów, które wspinały się pod górę, niknąc w ciemności.

Nakryte były ceglany sklepieniem, miały nie więcej niż metr szerokości.

I wyglądały przerażająco.

– Idziemy? – Spojrzał z wahaniem na Karen.

– Oczywiście – odparła, dźwigając się z wody i wychodząc na wyższy, suchy już stopień. – Po co byśmy tutaj płynęli?

Schody wspinały się przez dobrych kilka metrów. Przez jakiś czas Karen liczyła stopnie, ale wreszcie przestała. I wtedy w świetle latarki zobaczyła ich koniec. To musiał być koniec, bo ceglane sklepienie schodów nagle się urywało, a dalej zaczynała się jakaś pusta przestrzeń.

Patryk wspinał się za nią, ciężko łomocząc mokrymi butami o kamienne stopnie. Przypomniała sobie, że przecież ludzie Sokołowa dali mu robocze ciuchy i nie miał kiedy przebrać się w swoje własne. I on płynął w tych butach? Boże! Nic dziwnego, że pod koniec o mało nie dostał zawału.

Karen pokonała ostatni stopień i znalazła się w wąskim, ale za to wysokim korytarzu. Kilka metrów dalej zaczynały się kolejne schody. Wystarczyło zrobić jednak jeszcze dwa kroki w ich kierunku, żeby spostrzec, że wyżej są zawałone. Widać było może z sześć stopni, a reszta niknęła pod gruzem i ziemią. Z zawałiska sterczały fragmenty kamiennych dekoracji. Zobaczyła nawet chyba kawałek jakiejś rzeźby.

Pomyślała, że wuj widząc to, pewnie umarłby ze szczęścia.

– No to koniec – usłyszała za plecami Patryka. – Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Karen rozejrzała się na boki, tak jakby mogło to jej pomóc w ustaleniu stron świata. Pojęcia nie miała, w którą stronę przebijał się tunel ze studni. Za to było pewne, że droga cały czas prowadziła w jednym kierunku.

– Schody miały jakieś siedem metrów wysokości – powiedziała, oświetlając latarką kamienne ściany. – To znaczy pokonaliśmy różnicę siedmiu metrów. Wychodzi na to, że jesteśmy teraz mniej więcej na poziomie terenu przy studni.

– A w poziomie najpierw było dziesięć metrów – dodał Patryk. – Potem ze dwadzieścia. Schody to nie wiem, powiedzmy, że też z dziesięć.

Karen potwierdziła.

– Więc jeśli nadal jesteśmy pod ziemią, to znaczy, że musimy być pod wzgórzem.

– Czy to możliwe, że te schody prowadziły do jakiegoś zamku? – Patryk zrobił kilka kroków i wycelował latarkę w kupę gruzu nad pierwszymi

stopniami.

– Wzgórze wznosi się jeszcze o kolejne osiem metrów, więc pewnie prędzej do zamkowych lochów lub piwnic.

– A to co? – przerwał jej nagle Patryk, wpatrując się w boczną ścianę.

Karen dopiero teraz zauważyła, że po lewej stronie, w kamiennym murze korytarza, znajduje się wyrwa, a w niej...

– To przecież drzwi! – zawołał Patryk.

Drewniane skrzydło było zachowane w doskonałym stanie, zarówno żelazne okucia, jak i ciężkie stalowe zawiasy, i nawet wielka klamka z wyrzeźbionym łbem smoka czy lwa.

Patryk złapał za nią i szarpnął.

– W drugą stronę. – Karen oświetliła zawiasy.

Patryk naparł ramieniem na drewniane skrzydło, z całej siły nacisnął klamkę i głośno krzyknął. Ból barku sprawił, że prawie stracił przytomność, ale, jak od razu spostrzegł, nie na darmo.

Drewniane wrota, skrzypiąc potwornie po zawałonej gruzem i piachem posadzce, otworzyły się do wnętrza jakiegoś pomieszczenia.

– To kolejny korytarz. – Karen zajrzała przez próg i wycelowała do środka latarkę.

Korytarz wiódł w kierunku przeciwnym do schodów i kończył się otworem prowadzącym do kolejnego, ale większego wnętrza. Na końcu korytarza ze sklepienia zwisały wiekowe pajęczyny.

Patryk odetchnął głośno i ruszył w tamtym kierunku. Machając latarką, przebił się przez zakurzoną siatkę pełną wysuszonych resztek much i ciem i nagle znalazł się w ogromnej sali. Skierował światło latarki na sam środek i zamarł.

Słyszał, jak Karen za jego plecami głośno przełknęła ślinę.

Rozdział 35

Ubrani na czarno agenci Warda rozdzielili się na dwie trzyosobowe grupy. Jedna przemknęła cicho przez dziedziniec w kierunku baraków robotników, a druga skierowała się do stojącego pomiędzy drzewami parterowego budynku, który Igor ochrzcił mianem budynku socjalnego po sowchozie.

Dwaj towarzyszący Wardowi Litwini zostali przy bramach, razem z uśpionymi strażnikami Sokołowa.

Nagle zrobiło się prawie całkiem ciemno. Dawny sowchoz nie miał żadnego oświetlenia. W parku przy budynkach oficyn były co prawda lampy nad drzwiami wejściowymi, ale nie zostały włączone. Latarni nigdzie nie było – ani przy drodze gminnej od strony dziedzińca przed dawnym klasztorem, ani przy dawnej alei wjazdowej do majątku. Dziedziniec oświetlony był jedynie zimnym światłem księżyca, który akurat zbliżał się do pełni.

Generalnie, gdyby nie okoliczności, byłoby tutaj sielsko i pięknie. Ale okoliczności były takie, jakie były, więc Igor, zamiast podziwiać włości przodków, wpatrywał się ze zdenerwowaniem w monitor. Miał nieodparte wrażenie, że to jakaś strategiczna gra wojenna.

To wrażenie podkreślała kamera zamontowana na czole Warda i jego ręce ukazujące się co jakiś czas w kadrze.

Pomijając tę gamerską logistykę, miał jednak wrażenie, że cała akcja była zbyteczna. Jeżeli Sokołow z jakiegoś względu zdecydował się opuścić to miejsce, z pewnością zabrał Karen i Patryka ze sobą. Zostawienie ich tutaj nie miałyby żadnego sensu i tylko mogłyby ściągnąć mu na głowę kłopoty. Panowała całkowita cisza, nie licząc radia jednego ze strażników, które Ward postanowił dla niepoznaki pozostawić, żeby dalej sobie grało.

Po dłuższej chwili na drodze przed pawilonem sowchozu pojawili się dwaj agenci. Jeden skinął ręką do Warda, a potem pokazał palcem park i oficyny. Dwaj inni po barakach robotników mieli sprawdzić budynki gospodarcze na

folwarku za wzgórzem.

– Dlaczego nie możemy obejrzeć wewnątrz tych budynków? – zapytał Dermot, nie odrywając wzroku od ekranu. – Sprawdziliście wszystko?

Detektyw odwrócił się i skinął ręką do kolegi stojącego obok samochodu. Na chwilę na ekranie pokazał się skąpany w świetle księżyca dziedziniec, a zaraz potem droga z majaczącą za nią bryłą budynku dawnego sowchozu.

– W budynku są czyjeś ubrania – powiedział cicho Ward, ignorując uwagi Dermota. – Możliwe, że dziewczyny i chłopaka. Pójdę tam, żebyście mogli je obejrzeć.

Ward machnął do stojącego przy bramie człowieka, pokazując mu, dokąd się wybiera.

Droga szybko przesunęła się po ekranie, a zaraz potem kamera wpadła pomiędzy krzewy. Pokazała się ściana budynku, obraz zaczął się szybko przemieszczać.

Igor musiał się hamować, żeby nie sięgnąć po myszkę i nie zacząć sterować ruchami Warda. Pomyślał, że teraz najbardziej brakowałoby mu klawisza umożliwiającego strzelanie.

Kamera zatrzymała się przed drzwiami i po chwili zobaczyli rękę Warda sięgającą do klamki.

– Chryste. Ja wiem, jak te wszystkie gry się kończą, jak masz tylko jedno życie do dyspozycji – powiedziała ponuro Gwen.

– Czy nie mógłby pan pokazać nam więcej otoczenia? – zapytał Dermot. – Może tam jest coś istotnego?

Usłyszeli westchnięcie Warda.

– To nie jest wycieczka krajoznawcza, sir.

– Niech pan wchodzi. W budynku będzie bezpieczniej – odezwała się Gwen.

– Przecież folwarku nie zbombardują – mruknął Dermot.

– Jesteście nieodpowiedzialnymi durniami – odezwał się Jamie. – Pan Ward powinien kazać was związać i zakneblować, żebyście przestali wygadywać te głupoty.

Ponowne westchnięcie Warda nie pozostawiało wątpliwości, że się

całkowicie z Jamiem zgadza.

Budynek był opustoszały. Wejście do niego mieściło się w bocznej ścianie, a dalej przez całą długość przebiegał środkiem korytarz, otwierając się na pokoje po obu stronach. Latarka na czole Warda wydobywała z mroku fragmenty ścian i podłóg. Na środku traktu frontowego ulokowana była największa sala, być może jakaś dawna stołówka.

Ward przebiegł szybko przez korytarz i zatrzymał się przed drzwiami jednego z pokoiów.

We wnętrzu stało rozgrzebane łóżko, szafa, a w głębi były drzwi do łazienki. Igor pomyślał, że ten budynek ktoś już zdążył przebudować. Za czasów sowchozu nikomu raczej nie śniły się łazienki przy pokojach. Dawni pracownicy byli zadowoleni, jak mieli sławojkę z desek koło obory.

Na krześle pod oknem leżały złożone jakieś robocze ciuchy, które nie wyglądały na używane. Ward rozejrzał się dookoła i wtedy Igor zobaczył na szafce koło łóżka skórzaną bransoletkę. Od razu ją poznał, bo miała przyczepioną małą srebrną zawieszkę, słonika. Pamiętał, że w Paryżu Karen miała ją na rękę.

– To przecież bransoletka Karen! – Gwen także ją poznała.

Ward podszedł do stolika i widzieli, jak podnosi bransoletkę.

– Jest pan pewien? – spytał.

– To bransoletka mojej siostrzenicy! – potwierdził Igor.

– Czyli na pewno tutaj była. Obok są jeszcze ubrania chłopaka. – Ward opuścił pokój i wszedł do kolejnego, po przeciwnej stronie korytarza. – Krótkie spodnie khaki i biała koszula z krótkim rękawem.

Igor pokręcił głową. Rozstali się z Patrykiem w sobotę. Wtedy chłopak był ubrany zupełnie inaczej.

– Szefie! – Z korytarza rozległ się nagle przyciszony głos innego agenta.

Ward odruchowo sięgnął ręką pod marynarkę i wyjrzał na zewnątrz. Agent stał w drzwiach do jednego z pomieszczeń.

– Tu są chyba te dokumenty. – Wskazał ręką do środka.

Chwilę później Ward stał nad stołem i przeglądał leżące na nim archiwalia.

– Są i listy Józefiny. – Gwen postukała nagle palcem w ekran. – Po prawej.

Ward dotknął jednej z pożółkłych kartek.

Igora natomiast, który mniej więcej pamiętał wizualnie archiwalia z kufrów ciotki Elżbiety, od razu zainteresowały dokumenty leżące z boku. Natychmiast zauważył, że mają dziwne pieczęcie i opisane są cyrylicą. Na pewno nie było ich w kufrach ciotek.

– Może pan sprawdzić tę stertę leżącą z boku po lewej? – zapytał.

Kamera przesunęła się po starych dokumentach i zatrzymała nad burymi teczkami z wielkimi sowieckimi pieczęciami.

– Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej – przeczytał Igor z osłupieniem.

Ward otworzył pierwszą teczkę. Na samym wierzchu leżał poskładany pożółkły dokument.

– Co to jest? – Johann pochylił się nad monitorem.

– Jakaś mapa – mruknął Ward i ostrożnie rozłożył stary papier.

Igor westchnął z zachwytem.

Plan przedstawiał otoczenie jakiegoś majątku. Wyraźnie zaznaczony był większy budynek, przy którym znajdowały się po dwóch stronach dwa mniejsze. A nieco dalej, przy geometrycznym, barokowym ogrodzie, stał...

– *Monastyr'* – przeczytał. – Klasztor! Przecież to mapa Kozaczyzny, a to klasztor Bazylianów – stwierdził zdumiony i podniósł wzrok.

– A skąd tutaj ten ogród? On mi coś przypomina. – Jamie przekręcił głowę, usiłując rozpoznać kształty barokowych parterów.

– *Cwietocznyj sad Bołdiery!* – powiedziała nagle łamanym rosyjskim Gwen. – To plan tego samego ogrodu, który był w archiwaliach twojej ciotki. Nie pamiętasz? – dopytała i spojrzała na Igora. – Mówiłeś o nim przez cały dzień, zanim nie wpadłeś na to, że blacha z francuskiego kufra jest srebrna.

Igor wpatrywał się z zachwytem w stary projekt.

– Może pan pokazać bliżej? – zapytał Warda. – Tam jest jakaś data.

Na dole dokumentu widniały cyfry układające się w datę 1778. A niżej zamaszty opis, z którego wynikało, kto zamówił u jakiegoś

osiemnastowiecznego ogrodnika projekt ogrodu.

– Jaśnie pani hrabina Jelizawieta Bielikowicz de domo Butler – przeczytał Igor.

– A to przypadkiem nie matka tych dwóch Bielikowiczów? Franza i Leonarda? – zapytała Gwen. – Ta, po której odziedziczyli po połowie majątek? Czytałeś o tym w tym spisie parafii – pośpieszyła z wyjaśnieniem, widząc, że Igor nie kojarzy.

– Racja! – Igor otworzył szeroko oczy. – No oczywiście!

Wyciągnął z kieszeni komórkę i zaczął nerwowo przesuwać palcem po ekranie, szukając maila z załącznikiem przysłanego przez matkę.

– Jest! – Otworzył dokument i po chwili zatrzymał się na właściwym ustępie. – *Klasztor bazylikański był fundowany w 1758 roku przez Jana Butlera, cześnika brasławskiego. Później fundusz przeszedł na Leonarda Bielikowicza...*

– Pewnie pani hrabina trochę się rządziła u syna i postanowiła upiększyć sąsiedztwo klasztoru – zakpił Johann, wpatrując się w osiemnastowieczny projekt. – Skąd ja to znam? A co to jest? – Pochylił się nagle nad monitorem i wskazał palcem czarny prostokąt. – Pomiedzy zamkiem a ogrodem.

Ward cierpliwie stał nad starą mapą.

Igor powiódł spojrzeniem za palcem Johanna.

– Galeryja z listu! – wykrzyknęła nagle Gwen. – Ja wiem, jak to wygląda. To taki taras na stoku wzgórza, pod którym są arkady i stoją tam najczęściej palmy w donicach. Przecież Konstancja o tym pisała!

Gwen sięgnęła ponownie po telefon.

– *Spichlerz nowy przy galeryi dawnej zawalony z działą chyba – przeczytała. – Zwalił się dach, a i korzenie drzew dwóch na wzgórzu nie wytrzymały i dwa wielkie dęby razem z gruntem nań padły. Nie do odbudowy żadnej i chyba zasypać trzeba będzie, coby innych drzew nie pociągnęło.*

– Więc braciszku bazylianie najwyraźniej olali później starania hrabiny Jelizawiey i dobudowali do tej galeryi nowy spichlerz – wtrącił Johann z przekąsem.

– I o tym też obie pisały. – Gwen sięgnęła ponownie do swojej komórki. –

Ale po latach gospodarowania tutaj braci dom pusty i zaniedbany i dopiero przy nowych gospodarzach wracać do świetności począł... – przeczytała.

Ward obrócił się, a w polu widzenia kamery na jednym z bocznych stołów pokazały się jakieś duże wydruki.

– Niech pan tam podejdzie! – krzyknął nagle Johann.

Na kolorowych wydrukach widać było zdjęcia lotnicze. Na zielonej płaszczyźnie, pomiędzy drzewami i krzakami, wyraźnie odcinał się kształt jakiegoś dawnego budynku.

– Wiesz, co to jest, głąbie?! – Johann spojrzał triumfalnie na Dermota. – To LIDAR właśnie. Zdjęcia terenu wykonane laserem. To dzięki temu Sokołow odnalazł dawny klasztor! A czepiałeś się, że to kupiliśmy.

Dermot nie zdążył odpowiedzieć, bo Ward nagle gwałtownie się obrócił i spojrzał w kierunku drzwi.

Do pokoju wpadł jeden z agentów i coś dyskretnie powiedział.

Ward na moment znieruchomiał, a następnie gwałtownie się obrócił. Kamera przemknęła po brudnych ścianach świetlicy i zatrzymała się na czarnym oknie, wychodzącym na dziedziniec przed klasztorem.

Igor przypomniał sobie właśnie, po co tu przyjechali. Oglądanie starych dokumentów oderwało go na chwilę od rzeczywistości, ale po reakcji Warda widział, że rzeczywistość właśnie się energicznie dobija do jego świadomości.

– Co się stało? – Gwen patrzyła z niepokojem na ekran.

– Nasi ludzie przeszukali także odkopane fundamenty. Proszę się nie denerwować. – Ward ruszył w kierunku drzwi. – Znaleźli tam zwłoki. Najpewniej z czasów, o których państwo tutaj rozmawiali! – dodał szybko, domyślając się, jakie wrażenie zrobiły te słowa na jego klientach.

Pięć minut później kamera trzęsąc się wraz z biegnącym Wardem, ukazywała uciekające w tył krzaki przy drodze, a potem rozjeżdżoną trawę dziedzińca. W tle słyszeli równy oddech Warda.

Nagle pokazały się zarysy oświetlonych reflektorami wykopów i kilka uwijających się obok nich cieni. Ward zszedł szybko po drewnianej drabinie.

Igor musiał złapać się stołu, bo miał wrażenie, że sam zaraz wyrznie

głową o kamienną posadzkę lochów klasztoru.

A chwilę później wszyscy w pokoju, kilka kilometrów od miejsca akcji, wpatrywali się w koszmarną stertę trupów. Pomieszczenie pod poziomem lochów dawnego klasztoru było, jak się domyślił Igor, dawnym skarbcem zakonu. A więc to tutaj Ksawery ukrył zwłoki żołnierzy. Klasztor w 1812 po rozbiorach stał już od lat pusty.

– *Pan Ksawery, zostawiwszy mnie we dworze przy ogniu, pomoc ze wsi zdołał przywołać i ciała onych żołnierzy i resztki koni... gdzieś pochowali...* – przypomniała Gwen.

– Mundury francuskie i rosyjskie – dodał Dermot, wpatrując się w monitor.

Z poziomu terenu świeciły w dół dwa reflektory, które przynieśli tutaj ludzie Warda. Dno wykopów wyglądało więc trochę jak plan filmowy, a trochę jak miejsce zbrodni oświetlane właśnie przez ekipę zajmującą się badaniami kryminalistycznymi.

– Wszystkie budynki i baraki zostały sprawdzone – relacjonował chwilę później Ward, gdy wyszedł już z wykopów. – Przy barakach, chyba robotników, bo są tam wewnątrz szafki z ubraniami roboczymi, są ślady jakiejś eksplozji. Prawdopodobnie wybuchły zbiorniki z gazem albo paliwem. W jednym z budynków stoi spalony samochód.

Mówiąc to, detektyw obracał się dookoła, a na ekranie pokazywały się majaczące w oddali budynki.

– A folwark? – spytał Igor.

– Nic tam nie ma. – Ward pokręcił głową. – W części budynków są worki ze zbożem i słoma, a część stoi pusta. Oficyna jest zamknięta tymczasowo, prawdopodobnie Sokołow jakoś się dogadał z miejscowymi władzami.

– Może tam ich zamknęli? – spytał Johann. – Nie sprawdzaliście w środku?

– Włamaliśmy się tam – przyznał Ward ściszym głosem. – Na co dzień jest tam biblioteka i chyba miejscowy klub. Budynek jest pusty.

– Na środku dziedzińca jest jeszcze stara studnia. – Ward odwrócił się i wskazał głową stertę desek. – Podczas eksplozji musiała ucierpieć jej obudowa, dlatego ją zakryli.

– Czyli wychodzi na to, że przerwali prace przez wybuch? – zapytała Gwen.

Agenci Warda wyciągnęli z wykopów reflektory i ustawili je na ziemi. Jeden został zapalony, front miał skierowany w ziemię. Blask wydobywający się z jego obudowy podkreślał tylko panującą dookoła ciemność.

– Jeśli to był wypadek – zauważył Dermot. – Przypominam tylko o spalonym samochodzie Sokołowa i czterech trupach.

– W każdym razie na pewno nie ma tutaj pańskiej siostrzenicy – potwierdził Ward i ciężko westchnął. – Traktowałbym to jednak jako dobrą informację. Pewnie po prostu zabrali ją ze sobą.

– A do studni zaglądaliście? – zapytał nagle Dermot.

– Zaglądaliśmy – odpowiedział ktoś obok Warda.

– Możemy zajrzeć ponownie. – Ward ruszył w kierunku sterty desek.

Dwóch agentów zaczęło odrzucać deski na bok, a gdzieś zza kadru wraz ze ściąganiem na miejsce reflektorem nadpłynęło światło.

Chwilę później Ward pochylił się nad ciemną czeluścią, tak że Igorowi na moment zakręciło się w głowie. Kamienny krąg niknął za kilka metrów w ciemności. Na samym dole wyłaniały się tylko resztki desek i wału po dawnej studni.

– To kołowrót – szepnął Dermot. – Reszta musiała wpaść do środka. No to ten wybuch był niczego sobie.

– Może pan zrobić zbliżenie? – zapytał Igor, wpatrując się w studnię.

Ward sięgnął do czoła, przez chwilę widzieli jego dłoń, po czym kamera straciła ostrość, by po kolejnej sekundzie pokazać w zbliżeniu kamienne ściany studni.

Obraz zjechał w dół i ukazała się nieco rozmyta drewniana bela, opleciona liną. W głębi w świetle reflektora połyskiwała czarna jak smoła woda.

Igor odpędził od siebie myśli, które momentalnie wywołał ten widok, i zamknął na chwilę oczy.

Zbyt dużo zbiegów okoliczności musiałyby nastąpić w jednym czasie. Wybuch, którego zapewne nikt się nie spodziewał. Musiałaby stać gdzieś w pobliżu... Musieliby stać, przecież Patryka też nie znaleźli...

Pokręcił głową i odetchnął głęboko.

– To mało prawdopodobne – odezwał się obserwujący go Johann. – A właściwie w ogóle niemożliwe.

Ward odszedł w końcu od krańca studni. Na ekranie pokazały się samochody i kilku ludzi, którzy ładowali do środka liny i reflektor.

– Zbieramy się stąd. Pogadamy na miejscu. – Ward ruszył w kierunku samochodów. Na ekranie jeszcze na moment ukazał się jeden z agentów, który zasłaniał deskami otwór studni.

Kilka minut później i parę kilometrów dalej dwa czarne terenowe samochody wjechały w lasy wokół jezior auksztockich. Oświetlone księżycem litewskie pola i łąki zamieniły się w czerń, poprzetykaną burymi pniami dębów i sosen. Reflektory toyoty wydobywały z mroku wąską asfaltową drogę.

Ward wpatrywał się w zamyśleniu w przestrzeń, a chwilę później sięgnął po leżącą na siedzeniu obok kamerę i włączył podgląd nagrania. Kierujący samochodem agent ominął dziurę w asfalcie i przyśpieszył.

Na małym ekraniku pokazał się ponownie głęboki kamienny krąg i drewniane rumowisko po kołowrocie. Ward przesunął palcami po ekranie i powiększył obraz.

Chwilę później dwa terenowe samochody zatrzymały się nagle na opustoszałej drodze.

Parę kilometrów dalej, w samym sercu Auksztoty, najbardziej historycznej z historycznych krain Litwy, w miejscu, gdzie rzekomo narodziła się litewska państwowość, w dorzeczu Wilii i Niewiaży, na brzegu sporego jeziora otoczonego gęstymi lasami, był mały ośrodek agroturystyczny, a w nim kilka ustronnie położonych domków.

Ward chodził po pokoju od ściany do ściany i łowił co chwila spojrzenia swoich dwóch oczekujących na decyzję agentów, którzy milcząc, stali przy drzwiach.

– Nie mogę pozwolić na takie ryzyko – powiedział w końcu, stając przed Johannem. – Nie będziemy w stanie zapewnić wam żadnej ochrony. Lepiej będzie, jeśli poczekamy na sprzęt z Wilna.

– Sprzęt dotrze tutaj za trzy godziny. Skąd wy w ogóle go weźmiecie o dwudziestej trzeciej? – zapytał cierpko Johann, wpatrując się w Warda.

– Poradzimy sobie! Od tego jesteśmy.

– Skoro dwudziestoletnia dziewczyna mogła tam się dostać bez akwalungu, to nam też nie będzie potrzebny.

– Nie ma właściwie żadnej pewności, czy się tam dostała. – Ward przeszedł się ponownie po pokoju i stanął przy oknie. – To tylko strzałka wskazująca w dół.

– I imię Karen – odezwał się Igor. – Prawdopodobieństwo, że jakaś inna Karen nurkowała w tej studni w ciągu ostatnich stu lat, jest żadne.

– Pana siostrzenica od ośmiu lat trenuje pięciobój nowoczesny. – Ward odwrócił się i stanął przed wpatrującymi się w niego klientami. Musiał przyznać w duchu, że tak upierdliwych nie miał już od lat.

– A my nurkujemy od prawie dwudziestu – odezwała się Gwen.

– Proszę nie żartować. – Ward uniósł brwi. – Zaczęła pani w wieku niemowlęcym?

– Jest pan bardzo miły. – Gwen uśmiechnęła się mimowolnie. – Ale niestety, zaczęłam, mając lat piętnaście.

– Moi ludzie także potrafią nurkować.

– Nie ma wśród waszych ludzi lepszego nurka niż Dermot.

– Gabaryty pana Carmondeleya, z całym szacunkiem, sir... – Ward z prawie niezauważalną ironią skłonił głowę w kierunku Dermota. – Akurat jego bezdyskusyjnie eliminują z tego zadania.

– Ja w takim razie w ogóle się nawet nie odzywam – wtrącił Jamie.

– Większość pańskich ludzi ma podobne wymiary – burknął Dermot.

– Dlatego nie zamierzam ich tam posyłać – odpowiedział mu Ward i spojrzał na Johanna. – Zejdę tam sam – oświadczył po chwili.

Igor z powątpiewaniem patrzył na muskularną sylwetkę detektywa.

Pół godziny później w głąb ciemnego kamiennego leja spadła sznurowa drabinka. Dwa reflektory oświetlały wnętrze studni jasnym, wręcz stroboskopowym światłem.

Ward szybko zszedł na sam dół i stanął na zaklinowanym między ścianami kołowrocie. Podskoczył kilka razy. Z nadpalonego drewna posypały się w dół okruchy. Szarpnął za drabinkę i spojrzał w górę.

Jako drugi zszedł na dół Johann, a zaraz po nim Igor.

Obaj włożyli silne czołówki. Ward, ponownie wyposażony w kamerę, zeskoczył z wału do wody i zniknął na chwilę pod powierzchnią.

Wynurzył się po minucie.

– Tunel ma dziesięć metrów – powiedział do radia na piersi. – Potem jest jakiś grobowiec.

Igor zeskoczył z kołowrotu i poczuł, jak zimna woda zakrywa go po szyję. Teraz dopiero zobaczył ceglane nadproże, które wystawało kilka centymetrów ponad wodę.

– Płyniecie za mną – rozkazał Ward, nabrał powietrza i zniknął pod wodą.

Chwilę później wynurzyli się pod ceglanym sklepieniem.

Igor oddychał ciężko. Zastanawiał się, gdzie, u diabła, się znajdują. Kanał odchodził ze studni w kierunku wzgórze. Teraz powinni być zatem na wysokości ogrodowej galeryi. Kto to zbudował? Bazylianie nie zajmowali się takimi rzeczami. Hodowali jedynie zioła i chyba pędzili czasem samogon.

Ward wskazał palcem kolejną strzałkę na ścianie. Podpłynął do niej i zaczął dotykać palcami kamieni pod nią. Zatrzymał się na moment na jedynym jakby bardziej regularnym i lekko go nacisnął. Gdy to nie dało efektu, napiął mięśnie i wdusił mocniej.

Nagle rozległ się chrobot, a spod wody wydobyły się bąble powietrza.

Igor wpatrywał się z osłupieniem, jak dwa kamulce odsuwają się i chowają w ścianach.

Hydraulicznie odsuwane wejście. I to nadal działa? Chryste.

Ward wskazał palcem pod wodę i chciał się zanurzyć, ale Johann nagle złapał go za ramię.

Teraz dopiero zauważyli pływającego pod ścianą trupa. Ward sięgnął do głośnika i powiedział kilka słów do swoich ludzi.

Igor wpatrywał się w unoszące się na wodze zwłoki i przełknął głośno ślinę.

I w tym momencie kamienne wrota się zasunęły.

– Otwierają się tylko na chwilę – wyszeptał do Igora oniemiały Johann. – Jak w jakiejś grze.

Igor, który zdołał dojść do siebie po tym, jak zobaczył kolejne już dzisiaj starożytne zwłoki, odkaszlnął.

– To jakiś mechanizm hydrauliczny. Wejście otwiera się tylko do momentu, gdy woda ponownie go nie napełni.

Ward wcisnął kamień i zanurkował. Wynurzył się po chwili i spojrzał na Igora.

– Dalej jest dłuższy odcinek. Zostanie pan tutaj, żeby pilnować tego mechanizmu. Pan płynie za mną – zwrócił się do Johanna i zniknął pod wodą.

Gwen siedziała w zaparkowanym przy studni samochodzie i wpatrywała się w ekran laptopa, nie mogąc nawet na chwilę oderwać wzroku od tego, co działo się osiem metrów pod ziemią.

Na ekranie w świetle czołowego reflektora Warda widać było przesuwające się kamienne ściany. Po chwili zobaczyła krawędź schodów i zaraz potem kamerę zalała spływająca po obiektywie woda, gdy Ward podniósł się i wyprostował. Odwrócił się i zobaczyła, jak tuż obok w wąskim korytarzu dźwiga się Johann.

Ward obrócił się i popatrzył w górę.

Gwen przełknęła ślinę. Wąskie schody wspinały się, niknąc w ciemności.

– I my nie możemy być tam razem z nimi... – Dermot westchnął ciężko.

Ward wbiegł pod górę. Słysząc było jego urywany oddech. Zatrzymał się na szczycie schodów. Kamera pokazała wąski korytarz nakryty sklepieniem z cegieł. A dalej były kolejne zasypane schody.

Johann podniósł głowę, wpatrując się w ściany korytarza. Dołem, do wysokości jakichś dwóch metrów, ściany były kamienne, a wyżej nadmurowane z cegły. Czyli ktoś to przebudował? Kiedy? Może to hrabina Jelizawieta? W czasach, kiedy zakładała swój barokowy ogród z galerią.

Ward zniknął za drzwiami otwierającymi się w bocznej ścianie korytarza.

Johann stał przez moment i wpatrywał się z zachwytem we fragmenty kamiennych dekoracji wystających z gruzu na schodach, myśląc, że pewnie spodobałyby się Igorowi.

Dopiero po chwili dotarły do niego głośne krzyki...

Kamera pokazała korytarz, który kończył się ceglany portalem i otwierał do wnętrza wielkiej sali. Składała się z kilku mniejszych pomieszczeń, oddzielonych od siebie ceglanymi filarami. Ward zrobił parę kroków w głąb i nagle pod ścianą zobaczył dwie skulone sylwetki, które wpatrywały się w niego z przerażeniem. Światło czołowego reflektora Warda oślepiło nieszczęśników, którzy spędzili tutaj chyba kilka godzin w całkowitej ciemności.

Gwen, obserwując reakcję Karen, gdy usłyszała, jak Ward głośno mówi coś po angielsku do radiotelefonu, poczuła łzy na policzkach.

Po chwili do środka wpadł Johann i Gwen zobaczyła, jak Karen rzuciła mu się na szyję.

W głośnikach rozległy się wrzaski radości, które usiłował przekrzyczeć Ward, instruując swoich ludzi na powierzchni, co mają dalej robić.

A potem Ward spojrział w bok i zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia.

Gwen zamarła, a pod Dermotem, który gwałtownie pochylił się w stronę laptopa, zaskrzypiało siedzenie toyoty.

Dermota oczywiście nikt już nie był w stanie powstrzymać przed przedarciem się pod wodą do ogrodowej galerii hrabiny Jelizawiey de domo Butler, w której w 1812 roku utkwili wozy z konwoju wysłanego przez Joachima Murata do Belmontu. Nie powstrzymały go nawet szyderstwa Jamiego, który ostrzegał, że jeśli Dermot zaklinuje się w otwieranym hydraulicznie przejściu, będą zmuszeni spuścić wodę z jeziora, żeby go uwolnić.

Godzinę później wszyscy z Dermotem włącznie byli już na powierzchni, a w samochodach Warda nawet znalazły się dla nich ręczniki.

Igor stwierdził, że po raz pierwszy widzi Warda uśmiechniętego. Nie licząc cynicznych uśmiezków, którymi odpowiadał na zaczepki swoich

klientów.

– Szefie, strażnicy mogą się lada chwila obudzić – ostrzegł jeden z agentów, wróciwszy od strony bramy.

– Kogo to teraz obchodzi? – mruknął Johann, wycierając swoje jasne włosy. – Zdamy stąd odjechać.

– Środek nasenny powinien działać jeszcze dwie godziny – powiedział Ward uspokajająco. – Co nie znaczy, że nie powinniśmy się pośpieszyć.

– A skarb? – zapytała Karen. – Zostawimy go tak Sokołowowi?

Igor parsknął śmiechem.

– Mało ci było przygód?

Ulga, którą odczuł po odnalezieniu Karen i Patryka, nie dała się porównać z czymkolwiek. Przez tych kilka dni nieustannego zamartwiania się miał wrażenie, że wyhodował sobie co najmniej wrzody żołądka.

– Nie ma żadnej możliwości, żeby go powstrzymać? – Gwen spojrzała na Warda.

– Proszę na mnie nie patrzeć – powiedział detektyw ze śmiechem. – Ja jestem ochroniarzem, nie politykiem. Na szukaniu skarbów wy się lepiej znacie.

– Aerostat Leppicha – powiedział uroczyście Dermot. – Zachowany model pierwszego na świecie sterowca. Wyobrażacie sobie?! – Spojrzał na przyjaciół.

– A tej tony złotych dwudziestofrankówek nie zauważyłeś? – spytał Jamie. – Złote napoleony, złoto próby dziewięćset! Każda moneta warta jest dzisiaj jakieś czterysta euro!

– A do tego kupa złotych rupieci – skomentował ze stoickim spokojem Patryk.

Kiedy dobre cztery godziny wcześniej wysiadły im baterie w latarkach i spowiała ich całkowita ciemność, z minuty na minutę tracił nadzieję, że ktoś ich znajdzie. Gdy zobaczył świecącego mu prosto w oczy draba, w pierwszej chwili pomyślał, że to któryś z ludzi Sokołowa. A teraz wciąż był bardziej szczęśliwy, że udało im się wyjść cało z tej awantury, niż uradowany z odnalezienia mitycznego skarbu. Chociaż musiał przyznać, że pod

wpływem słów tych zupełnie nieprawdopodobnych przyjaciół wuja Karen te proporcje powoli zaczynały się zmieniać.

– I możliwe, że obraz Madonny i ten cały krzyż! – dodała Gwen, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Ale mnie i tak najbardziej fascynuje wejście do lochów. Kto to wymyślił? Przecież nie zakonnicy.

– Korytarz uciezkowy – odezwał się niespodziewanie Dermot.

– Co takiego? – Igor spojrział na niego zaskoczony. Że też pierwszy o tym nie pomyślał.

– Jeśli ten zamek na górze postawił w siedemnastym wieku Irlandczyk, pierwsze, co zbudował, to korytarz uciezkowy.

– A co to takiego? – zainteresowała się Karen.

– Tajny tunel umożliwiający ucieczkę w razie nagłego ataku.

– Dlaczego się łączył z ogrodową galerią na stoku?

– Pewnie go odkryli podczas jej budowy i postanowili zostawić – stwierdził Igor. – Drzwi tam na dole przy schodach są pewnie z tego okresu.

– Wiecie, który dzisiaj jest? – zapytała nagle Karen.

– Zapomniałaś o jakimś zaliczeniu? – zakpił Igor.

– Szósty lipca! – powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

– No i?

– Święto Mendoga! Przecież według legendy jedynie tego dnia można było znaleźć skarb.

Na moment zapadła cisza. Słyszeć było jedynie ludzi Warda krzątających się przy samochodach.

– To się da racjonalnie wytłumaczyć – stwierdził Igor. Pomyślał, że chyba właśnie go oświeciło. Pewnie przez nadmiar adrenaliny.

– Na początku lipca z reguły były tutaj upały, a poziom wód gruntowych się obniżał. Przez to odsłaniał się korytarz w studni, a to urządzenie hydrauliczne otwierało drzwi na stałe.

– O rany! – Karen aż otworzyła usta ze zdziwienia. – Rzeczywiście.

Od strony studni zakrytej ponownie deskami i kamieniami nadszedł Ward.

– Nie chcę państwa popędzać, ale powinniśmy się jednak zbierać.

– Boże! Jutro znowu będę w Warszawie – radośnie odezwał się Patryk.

– Nie będziesz w żadnej Warszawie! – zaprotestował nieoczekiwanie Dermot. – Zostajemy w Wilnie!

– Dlaczego? – Karen spojrzała na niego z niedowierzaniem. Właśnie wyobrażała sobie, że wsiada na konia w Lund. To znaczy najpierw chciała się zobaczyć z babcią. No a Patryk? Tak od razu chce uciekać do Warszawy?

– Zostaniecie w Wilnie tak długo, jak będzie trzeba!

– Czy zaszkodziło ci coś pod wodą? – wtrącił się Jamie.

– Wszyscy jesteście debilami – oświadczył Dermot z wyższością. – Przypominam, że właśnie dlatego sprawy naszej spółki prowadzę ja. Tylko żadnego bredzenia o parku Estrecho! – uprzedził otwierającego już usta Johanna.

– Ale ja muszę w poniedziałek być w kancelarii – zaprotestował słabo Patryk. – Jeśli chodzi o jakieś formalności, to...

– Oczywiście, że chodzi o formalności! – przerwał mu Dermot. Wrzucił ręcznik do bagażnika toyoty i spojrzał na wszystkich współników. Patrzyli na niego jak na wariata.

– Wiecie, co mówi prawo o poszukiwaniu skarbów obowiązujące na Litwie od dwa tysiące trzynastego roku? – Powiódł spojrzeniem po ich twarzach. – Że poszukiwanie skarbów jest kategorycznie zabronione! Bez wyjątku! Grozi za to więzienie.

– Przecież nikt nas nie wyda – odezwała się Karen, spoglądając ze strachem na Irlandczyka. Nie spodziewała się, że okaże się takim służbistą.

– Chyba że... – Dermot się uśmiechnął. – Ktoś znajdzie skarb przypadkowo. Wtedy ma obowiązek zgłosić to natychmiast do właściwych władz i należy mu się pięćdziesiąt procent wartości.

Na rozkopanym dziedzińcu zapanowała kompletna cisza. Od strony jeziora słychać było tylko nocne odgłosy rozmaitych stworzeń.

– A jeśli ktoś znajdzie skarb na własnej ziemi, to należy mu się sto procent – dokończył Dermot i spojrzał z triumfem na wszystkich oniemiałych współników i ich rodziny.

– To może najpierw zorientujemy się, czy tego majątku nie można

odkupić? – palnął Jamie. – Ale ja mówię poważnie – dodał, słysząc, że wszyscy parsknęli śmiechem. – Przecież to się opłaci. Wiem, co mówię, w końcu jestem księgowym!

Dziesięć minut później Wardowi udało się wreszcie zapędzić ich do samochodów, które ruszyły w końcu w stronę bramy wyjazdowej na drogę.

I zatrzymały się nagle pod bramą.

– Archiwalia! – Gwen postukała się palcem w czoło. – Zapomnieliśmy o archiwaliach. Nie możemy ich tutaj zostawić. Pomijając nawet, że to rodzinne dziedzictwo, to przecież Litwini, gdy je zobaczą, nie uwierzą, że znaleźliśmy skarb przez przypadek!

– Masz rację! – Dermot wyskoczył z toyoty. – Trzeba zabrać wszystko! Włącznie z tymi papierami i dokumentami Sokołowa! Nic nie może zostać!

Ładowanie do samochodów dokumentów i papierów trwało kolejnych dwadzieścia minut. Gdy skończyli i ruszyli w końcu w drogę, na wschodzie widać już było czerwoną łunę.

W biurach Sokołowa nie pozostał nawet jeden kawałeczek papieru.

Następnego dnia skoro świt Igora obudził ryk syreny alarmowej. Otworzył oczy, przez moment leżał, z wolna przytomniejąc i obiecując sobie solennie, że teraz już na pewno zmieni sygnał telefonu matki.

– Igor! Co się dzieje? Wydzwaniam do Karen od kilku dobrych dni. Cały czas ma wyłączony telefon! Zaczęłam się martwić.

– Mamo, wszystko jest w najlepszym porządku. – Igor ziewnął. – Karen śpi w sąsiednim pokoju. Zgubiła telefon. Jesteśmy nadal w... Warszawie. Musimy zostać parę dni. Tydzień, może dwa.

– A co ona znowu robi w Warszawie?

– Coś wspominała, że chce zmienić kierunek studiów i przenieść się do Warszawy.

– Chyba zwariowała?!

– Zdaje się, że na archeologię.

– O Chryste! – Matka westchnęła ciężko. – Natasza będzie miała z nią prawdziwy krzyż pański. Jak ona wybije jej to z głowy?

Epilog

Joachim Murat, marszałek Francji, Wielki Książę Bergu i Klivii, król Neapolu i Obojga Sycylii, po upadku kampanii moskiewskiej walczył jeszcze u boku Napoleona pod Dreznem, a także w największej z wojen napoleońskich pod Lipskiem, gdzie cesarz poniósł klęskę, a w jej efekcie został zesłany na Elbę. Po tej porażce Murat opuścił Napoleona, uzyskując od jego wrogów gwarancje zachowania tronu Neapolu. Kongres wiedeński tych gwarancji nie podtrzymał, Murat zatem powrócił do cesarza i walczył z nim podczas tak zwanych Stu Dni, w czasie których Napoleon chciał odzyskać władzę.

Po ostatecznej klęsce Napoleona Murat próbował zbrojnie odbić królestwo Neapolu, został jednak pokonany i schwytyany przez wojska panującego już wówczas Ferdynanda IV, a 13 października 1815 roku został rozstrzelany.

Długo potem w archiwach rodzinnych książąt Murat, potomków Joachima, odnaleziono wiersz, który Joachim napisał dla Konstancji – *Nieoczekiwany odpoczynek wojownika*. Na prośbę rodziny włoski kompozytor z Neapolu Caraffa napisał do niego muzykę.

Jadwiga Strutyńska zmarła 22 września 1778 roku w Grodnie. Do końca życia walczyła z braćmi swojego pierwszego męża, tracąc w tych utarczkach ogromne środki i zdrowie.

Rzekomo tuż przed śmiercią Jadwiga napisała list do króla Stanisława Augusta, w którym odwoływała się do jego ojcowskich obowiązków i prosiła o otoczenie opieką małoletniego syna, żeby wpływom przybranego ojca Mikołaja Manuzziego nie uległ.

Kilka lat później Giacomo Casanova w swoich pamiętnikach, w których opisywał historię życia i barwne przygody w wielu europejskich stolicach, napisał o Manuzzim: *Podobno w Polsce zrobił karierę przez ożenek z jakąś polską panią, którą jednak później zamordował. Tak przynajmniej twierdzą*

niektórzy, lecz ja z braku dowodów wolę w to nie wierzyć, choć z oczu źle mu patrzyło.

Stanisław „królewicz” Manuzzi nie doczekał się opieki swojego prawdziwego ojca. W młodości znalazł się jednak pod silnym wpływem przybranego opiekuna, który był stronnikiem prorosyjskiego obozu przeciwników reform i targowiczanie. Po śmierci ojca awanturnika starał się odpokutować grzechy młodości i zdołał do tego stopnia przekonać do siebie sąsiadów, że w 1814 wybrali go na swojego marszałka i funkcję tę sprawował aż do śmierci w roku 1823. Po kampanii moskiewskiej był przez rok prawie więziony w carskim więzieniu w Dyneburgu, skąd zdołała go w końcu uwolnić Konstancja. Do końca życia usiłował dźwignąć zrujnowany wojną Belmont i jeszcze przed śmiercią procesował się z władzami carskimi o rujnujące majątek podatki.

Konstancja Broel-Plater i Stanisław poznali się w Petersburgu, na dworze ówczesnie panującego Pawła I Romanowa i jego żony Marii Fiodorowny, czyli Marii Doroty Wirtemberskiej ze Szczecina, której podobno Konstancja była jedną z ulubionych dwórek. Małżonkowie początkowo mieszkali w Petersburgu, po zamachu na Pawła I przenieśli się do Belmontu. Po śmierci „Monroia” Konstancja przekazała majątek swojemu najmłodszemu bratu, rozpoczynając tym samym trwający przez sto następnych lat proces z potomkami Jadwigi Strutyńskiej. Umarła dopiero w roku 1874, w wieku lat dziewięćdziesięciu dwóch.

Ignacy Broel-Plater zapoczątkował nową linię Platerów na Belmontie.

Józefina Broel-Plater Bielikowicz niedługo po wydarzeniach roku 1812 zmarła we dworze Bielikowiczów w Gudziszkach. Mąż Franz Bielikowicz przeżył ją o kilka lat. Nieletnią córkę Wirginię najprawdopodobniej wzięli pod swoje skrzydła dziadkowie z Krasławia.

Ferdynand Aleksander Radecki-Mikulicz i Anastazja Bielikowiczówna z Butlerów wrócili na Litwę po zakończeniu wojen napoleońskich. W międzyczasie urodził się ich syn Stanisław, który zapoczątkował nową linię Radeckich-Mikuliczów na Kozaczyźnie. Prawdopodobnie nigdy nie dowiedzieli się, jaką tajemnicę skrywał legendarny zamek w Bołderach.

Mimo że była dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Pałac w Belmoncie spłonął w czasie powstania listopadowego. Jedna z największych rezydencji ówczesnej Rzeczypospolitej, wzniesiona według legendy na zrębach zamku królowej Bony, zamieniła się w monumentalną ruinę. Platerowie przenieśli się do jednej z oficyn, którą z czasem rozbudowali do rozmiarów bez mała starego pałacu. Ta nowa siedziba spłonęła z kolei w czasie rewolucji, a po niej ostatnia właścicielka wciąż ogromnego majątku Elżbieta Radecka-Mikulicz zbudowała kolejny dwór, który przetrwał do czasów drugiej wojny światowej.

Zamek w Bołderach/Kozaczyźnie przetrwał powstanie listopadowe. Przetrwał także powstanie styczniowe. Pod koniec XIX wieku do pracy przy renowacji parku i ogrodów w Belmoncie zatrudniony został botanik i ogrodnik Piotr Wardein. Zaraz potem pracował on w parku w Kozaczyźnie. I to wtedy prawdopodobnie zniknęły ostatecznie pozostałości galerii i barokowego ogrodu.

Dwór spłonął dopiero w czasie pierwszej wojny światowej, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości ostatnia właścicielka bardzo okrojonego przez traktat wersalski majątku Jadwiga Radecka-Mikulicz zamieszkała w zaadaptowanej na cele mieszkalne oficynie, która przetrwała do dzisiaj.

Tak naprawdę nie wiadomo, czy aerostat Franza Leppicha spłonął przed wkroczeniem Napoleona do Moskwy. 22 sierpnia 1812 roku feldmarszałek armii rosyjskiej generał Michaił Kutuzow zapytał Leppicha, czy będzie można użyć aerostatu do obrony miasta, a gdy nie otrzymał jednoznacznego potwierdzenia, zdecydował się przerwać prace i zarządził ewakuację maszyny. I tutaj pojawiają się rozbieżne relacje. Według niektórych gigantyczne urządzenie zostało spalone, a potem rozpuszczono nawet plotki, jakoby to przez to właśnie ogień przeniósł się na miasto. Kampania dezinformacji, którą uruchomiły carskie służby, miała rzekomo ukryć fakt, że sto dwadzieścia wagonów wywoziło w rzeczywistości zdemontowaną maszynę do Niżnego Nowogrodu, a później do Oranienbaum, gdzie na zlecenie Aleksandra I Franz Leppich kontynuował swoje prace.

Dzisiaj wiadomo, że z powodu niemożności uzyskania kontroli nad tak

ogromną maszyną wyłącznie za pomocą wiosł poruszanych siłą mięśni, ten eksperyment skazany był na niepowodzenie. Skonstruowane przez niemieckiego inżyniera niewielkie modele działały całkiem sprawnie, ale statek powietrzny, który miał za zadanie uniesienie dział oraz dużej ilości ładunków wybuchowych, przy swojej masie nie był w stanie uzyskać sterowności.

Dopiero jednak 20 listopada 1813 roku car nakazał zakończenie eksperymentu, który pochłaniał gigantyczne sumy pieniędzy.

Franz Leppich wyprzedził jednak z pewnością swoją epokę. Jedyne, czego mu w tamtych czasach brakowało, to odpowiedni silnik. Problem rozwiązany został dopiero w 1851 roku, gdy francuski inżynier Jules Giffard opatentował maszynę parową służącą do napędu statków powietrznych, dzięki czemu zbudowany został pierwszy na świecie sterowiec.

Natomiast krzyż z dzwonnicy Iwana Wielkiego po raz ostatni widziany był bezspornie 19 października 1812 roku. Opisał to dwudziestoosmioletni komisarz wojenny Bellot de Kergorre, maszerujący w konwoju za kwaterą główną generalnego intendentą, w którym oprócz wozów ze skarbem armii przewożono także łupy z Moskwy. De Kergorre napisał później w swoich pamiętnikach: *Przewoziłem trofea zdobyte na Kremlu, w tym krzyż z dzwonnicy Iwana, kilka ozdób używanych podczas carskich koronacji oraz obraz Madonny ozdobiony cennymi kamieniami, który został ufundowany przez carycę Annę w 1749 roku jako wotum za zwycięstwa nad Polakami i zdobycie Gdańska w 1733 roku.*

Późniejsze relacje na temat artefaktu wzajemnie się już wykluczały.

Przed wymarszem z Wilna 9 grudnia 1812 roku, gdy temperatura spadła do minus dwudziestu dwóch stopni, a wzgórza na drodze do Kowna pokryły się lodem, marszałek Francji Louis Alexandre Berthier zdecydował się porzucić większość wozów z cesarskim łupem.

Jednym ze świadków tego, jak gwardziści podpalają wozy, był Louis Albert Guislain Bacler d'Albe, cesarski doradca i kartograf. Napisał później: *Zostały zniszczone wszystkie trofea, jakie Cesarz zabrał z Moskwy. Między nimi były flagi zabrane Turkom w ciągu ostatnich stu lat, starodawna broń i obraz Madonny. Z pewnością także i krzyż ze szczerego złota, wysoki na*

około 10 cali.

Świadkiem spalenia cesarskich wozów była także hrabina Marie de Choiseul-Gouffier, żona dyrektora Akademii Sztuki w Moskwie. Hrabina napisze później we wspomnieniach, że obserwowała, jak na dziedzińcu Uniwersytetu Wileńskiego *płonęły powozy Cesarza oraz sterta innych rzeczy – namiotów, łóżek polowych, a także trofeów, z których unosił się dym przesłaniający inicjały Napoleona.*

Ale dzień później na drodze wyjazdowej z Wilna na Kowno, u stóp wzgórza pod Ponarami, sierżant Bourgogne z Gwardii Cesarskiej Napoleona widział rzekomo zniszczone dzień wcześniej artefakty.

Sierżant napisał w swoich dziennikach: *Powozy porzucone u podnóża wzgórza były palone i ograbiane z przeróżnych rzeczy. Sztandary zdobyte na wrogu, a nawet zabrane z Kremla wielki krzyż świętego Iwana, leżały porzucone na drodze.*

Rok po wojnie przyjechał do Rosji dawny starszy lekarz Wielkiej Armii Heinrich von Roos, któremu udało się przeżyć kampanię moskiewską. Spotkał się tutaj z carskim oficerem z jednostki, której zadaniem było przeszukiwanie terenów wzdłuż szlaku powrotu Wielkiej Armii. Usłyszał od niego, że w lasach i na polach znajdowano: *całe góry zegarków, sreber, odznaczeń, broni, a także cenne księgi, dokumenty, mapy i listy. Nawet te pisane przez samego cesarza.*

Jednakże najcenniejszej rosyjskiej relikwii, która do 1812 roku znajdowała się na szczycie dzwonnicy Iwana Wielkiego na Kremlu, nigdy nie odnaleziono.

KONIEC

Od autora

Ta książka nigdy by nie powstała, gdyby nie jedna, wyjątkowa osoba. Moja Babcia.

Całymi latami opowiadała – mnie siedzącemu na stołku w kuchni – niesamowite historie z czasów swojej młodości, a także te najdawniejsze z dziejów rodziny, wplatające się w historię kraju, a przede wszystkim kresów.

Kresy stały się dla mnie wówczas legendarną krainą, w której niegdyś żyły tury, stało sześćdziesiąt zamków strzegących granic Rzeczypospolitej, gdzie prawie pod każdym dębem lub starą lipą znajdowała się mogiła powstańca lub napoleońskiego piechura, a w lochach zrujnowanych dworów ukryte były skarby z zamierzchłej przeszłości. Opowieści babci dorosłały wraz ze mną. Z czasem dowiedziałem się o wywózkach na Sybir, o pradziadkach, którzy zaginęli gdzieś w litewskich lasach lub zostali zamordowani w sowieckich obozach, i dopiero wówczas stało się dla mnie jasne, dlaczego nigdy nie poznałem żadnego faceta z rodziny swojej Mamy.

Historia drugiej wojny światowej bowiem to nie tylko dramat ludzi, których rodzinne domy starły na proch przesuwające się granice, a ich samych rozproszyły po całej Europie. To także poprzerywane więzy z historią. Nie tą wielką, z podręczników i encyklopedii, ale tą małą, indywidualną, którą budowały całe pokolenia rodzin, która zostawiła po sobie portrety przodków, stare fotografie, archiwalia, zamieszkanie od wieków domy i groby na starych cmentarzach i przede wszystkim strzegącą tego wszystkiego pamięć.

Gdy pamięć zostaje zniszczona, wszelkie próby odtworzenia dawnych więzów i koligacji zaczynają przypominać archeologiczne wykopaliska. Okazuje się, że w zachowanych albumach dziadków na fotografiach jesteśmy w stanie zidentyfikować może z pięć procent osób i miejsc, reszta zaś pokrywa się kurzem i zlewa z bezimienną historią, stopniowo zamieniając się

w legendę.

Wszyscy przedstawiciele rodziny Radeckich-Mikuliczów, którzy pojawiają się w książce, są jednakże postaciami autentycznymi. Także wszelkie opisane nieruchomości, domy, dwory, zamki naprawdę istniały bądź stoją jeszcze do dzisiaj. Legenda związana z kuframi także jest prawdziwa, o ile oczywiście prawdziwa może być legenda.

Historię o szalonym zaginionym w Galicji dziadku przekazał Klaus Kausch, wnuk Johanna Mikulicza-Radeckiego, a opisał biograf słynnego lekarza profesor Waldemar Kozuschek w książce *Johann Mikulicz-Radecki, współtwórca nowoczesnej chirurgii*.

Jako że moja opowieść jest fikcją opartą jedynie na tych legendach, moich bohaterów musiałem jakoś wpleść w drzewo genealogiczne Mikuliczów. Mam nadzieję, że nikt z rodziny nie poczuje się tym dotknięty.

Często wspominam o tym, że aby napisać krótki akapit dotyczący jakichś wydarzeń historycznych, muszę przeczytać nawet kilka książek i opracowań. Nie inaczej było i tym razem.

Przede wszystkim udało mi się wygrzebać dwa urocze staroświeckie dzieła słynnych niegdyś kronikarzy kresów, którzy szczęśliwym trafem pisali kiedyś na tematy, które i mnie obecnie interesowały.

Opowieść o jednej z faworyt Stanisława Augusta Poniatowskiego Starościna Opeska, autorstwa Antoniego Józefa Rollego, dzięki urokliwym dygresjom i ciekawostkom historycznym nawet dzisiaj świetnie się czyta.

Dziełko *Graf Manuzzi*, o upiornym mężu starościny, Włochu z pochodzenia, Mikołaju Manuzzim, „diable północy”, jak nazywali go jego poddani, autorstwa Ottona Hedemanna, przedwojennego nauczyciela historii z Braśławia, znalazłem we własnej bibliotece.

Każdy, kogo po przeczytaniu mojej książki zainteresuje Rosja i malowniczy okres przełomu XVIII i XIX wieku, powinien sięgnąć po książkę Andrzeja Andrusiewicza *Aleksander I. Wielki gracz*, biografię cara i wnuka Katarzyny Wielkiej napisaną niczym najlepszy kryminał. Jeśli zaś interesująca okaże się historia nieudanego podboju Rosji przez Napoleona, obowiązkowo należy sięgnąć po trzytomowe dzieło Paula Brittena Austina – *1812 Marsz na Moskwę, 1812 Napoleon w Moskwie, 1812 Wielki odwrót* – które jest kompilacją wspomnień i cytatów autentycznych świadków

tamtych wydarzeń. To naszpikowana niezwyklejmi opisami historyczna cegła, a jednak trudno się od niej oderwać.

Muszę wspomnieć jeszcze jedno gigantyczne – bez krzty przesady wiekopomne – dzieło, czyli *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej* Romana Aftanazego. Jest to dwunastotomowy traktat o siedzibach ziemiańskich na kresach, spisany przez autora, który w wielu z tych domów zdążył jeszcze być gościem, a znakomitą większość opisów starych siedzib podyktowali mu żyjący jeszcze dawni gospodarze lub ich krewni.

Surfując po internecie w poszukiwaniu materiałów do książki, trafiłem na pewien archiwalny artykuł na temat strat wojennych. Znajdował się tam przypis, który wyglądał jak kod z powieści Dana Browna. I pewnie nigdy bym go nie rozszyfrował, gdyby nie pomoc Marka Łuczaka, historyka i policjanta z Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie, zajmującego się na co dzień przestępstwami związanymi z kradzieżą dzieł sztuki. Tajemniczy szyfr okazał się sygnaturą akt z Archiwum Państwowego w Warszawie, w których znalazłem kwestionariusz w sprawie strat wojennych wraz ze spisem zniszczonej w powstaniu warszawskim kolekcji dzieł sztuki z pałacu w Alejach Ujazdowskich w Warszawie.

Usiłując skonstruować powieściowy testament, od którego ta historia się zaczyna, trafiłem na prawie niemożliwe do pokonania rafy w postaci kompletnie niezrozumiałych dla mnie różnic pomiędzy przepisami dotyczącymi kwestii dziedziczenia dzisiaj i w okresie międzywojennym. Z pomocą przyszły mi dwie moje koleżanki: mecenas Monika Starosta, z którą przegadałem kilka godzin przez telefon, aby książkową pracę jednego z moich bohaterów, prawnika, uczynić bardziej prawdopodobną, oraz notariusz Anna Karkota. To ona nakierowała mnie na odpowiednie akty prawne, dzięki którym ze zdumieniem odkryłem, że w okresie międzywojennym w kwestiach spadkowych nadal obowiązywał Kodeks Napoleona.

Tradycyjnie wdzięczny jestem bratu Marcinowi za kolejne godziny absurdalnych rozmów, które kiedyś niechybnie zaprowadzą nas na kozetkę u psychiatry.

Olce, przyjaciółce z Berlina i lingwistce jednocześnie, dziękuję za

tradycyjnie pierwszą profesjonalną recenzję, a pani redaktor Małgorzacie Burakiewicz, także już tradycyjnie, za cierpliwość i doskonałą jak zwykle redakcję.

- [1] TNA – The National Archives.
- [2] Foreign Office (Foreign and Commonwealth Office) – Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii.
- [3] POSK – Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie (Polish Social and Cultural Association).
- [4] ECTS – Europejski System Transferu Punktów w ramach programu Erasmus, umożliwiający kontynuowanie edukacji na dowolnej europejskiej uczelni.
- [5] *Downton Abbey* – angielski serial historyczny, ukazujący losy kilku pokoleń brytyjskiej rodziny arystokratycznej na tle burzliwych przemian społecznych początku XX w.
- [6] ROV (Remotely Operated Vehicle) – zdalnie sterowany pojazd podwodny.
- [7] LIDAR (Light Detection and Ranging) – technologia laserowego skanowania powierzchni terenu.
- [8] Park narodowy na najbardziej na południe wysuniętym krańcu Półwyspu Iberyjskiego i jednocześnie Europy.
- [9] Fragment utworu *Szczur pod podłogą* z kabaretu Olgi Lipińskiej.
- [10] Pełna nazwa Izby Lordów to *The Right Honourable the Lords Spiritual and Temporal of the United Kingdom of Great Britain and Northern Ireland in Parliament assembled* – „Wielmożni lordowie duchowni i świeccy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej w parlamencie zgromadzeni”.
- [11] „Polityka” nr 33 z 16 sierpnia 2008, artykuł *Graf Manuzzi*.
- [12] Szlak ujścia rzeki.
- [13] Elisabeth Cady Stanton – amerykańska sufrażystka i abolicjonistka, autorka wielu publikacji na temat równouprawnienia kobiet, założycielka Amerykańskiego Stowarzyszenia Sufrażystek. Wydana w 1895 r. *Biblia kobiet* stanowiła polemikę ze zinstytucjonalizowanym chrześcijaństwem.
- [14] Cytat z *Szatana z siódmej klasy* Kornela Makuszyńskiego.
- [15] Matwiej Płatow – generał kawalerii carskiej armii i pierwszy ataman

kozaków dońskich. W czasie wojen napoleońskich dowódca Korpusu Kozaków I Armii Zachodniej Imperium Rosyjskiego.

- [16] Eufeniusz Czaplic – Polak, z rodziny herbu Kierdeja, służył w armii Imperium Rosyjskiego. W czasie wojen napoleońskich w randze generała.
- [17] FSB – Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej.
- [18] *Tapatiki kontra Mandiable* – trzeci w kolejności tom z genialnego cyklu książek dla dzieci autorstwa Marty Tomaszewskiej.
- [19] Dmitrij Sergiejewicz Dochturow – generał carskiej armii. W czasie wojen napoleońskich dowódca VI Korpusu Piechoty I Armii Zachodniej Imperium Rosyjskiego.
- [20] Paul Prospero – posiadający nadprzyrodzone zdolności detektyw, bohater wydanej w 2014 gry przygodowej *Zaginięcie Ethana Cartera*, wyprodukowanej przez polską firmę The Astronauts.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz